

Jerzy Kennan.

SYBERYA

przełożył

autor »Wspomnień więźnia«.

Wydanie czwarte.

D. E. Friedlein
Herausgeber.

L w ó w.
Nakładem tłumacza.
1895.

Marie Ventral

28/11 - 98.



Z drukarni W. A. Szykowskiego ul. Kopernika 1. 5.

Kilka słów tłumacza.

Gdy w ostatnich dziesiątkach lat, niewolnicza Rosja, poczęła z wnętrza swego wyłaniać żywioły, które uświadamianiem warstw społecznych w przynależnych im prawach, zwróciły na siebie podejrzenie rządu rossyjskiego; wówczas rząd ów, użył przeciwko nim tych samych środków represyjnych, jakie zwykł był praktykować od wieku na nienawistnych mu Polakach. Odtąd wolność każdego uczciwszego obywatela kraju pozostawała na łasce pierwszego lepszego policjanta; zbiorowe areszty wystąpiły na porządek dzienny; więzienia zapełniły się ofiarami prześladowań; zaskrzypiały szubienice; pustynie sybirskie zaludnili wygnańcy, a katownie tameczne stały się znów widownią grozą przejmujących obrazów.

Długi czas okrucieństwa rządowe, zostawały dla świata tajemnicą, ofiary zaś zwierzęcej brutalności i wyrafinowanego cynizmu satrapów sybirskich ginęły i giną męczeńską śmiercią bez uznania, współczucia, a kamienie potępienia zaznaczają ich mogiły.

Jest to prawie bezprzykładnem, ażeby ludzie stanowiący czoło inteligencyi narodu, którzy swą wolność osobistą, życie, pracę i mienie poświęcili dla polepszenia opłakanej doli ludu i wolności swej ojczyzny, i z których pewna część tylko uczuła się zmuszoną odpowiedzieć — na teroryzm rządowy — teroryzmem; —

ażeby ludzie tacy, w oczach cywilizowanego świata uważani byli za niosących wszystkiemu zagładę, »nihilistów«. A jednak tak zapatrywały się na przeciw-rządowe rossyjskie stronnictwo cywilizowane społeczeństwa; tak zapatrują się one i dzisiaj jeszcze... Taką o stronnictwie tem opinią, przejęty był autor niniejszego dzieła, występujący już raz publicznie w Nowym Jorku, w obronie rządu rossyjskiego. Podejmując podróż po Syberyi, był on tego przekonania, że zebrane na miejscu fakta uzasadnią tylko jego dotychczasową korzystną o rządzie rossyjskim opinię. Jakie zaś rezultaty wyniósł z swej podróży po Syberyi, ów sumienny badacz i przyjaciel ludzkości, o tem czytelnik dowie się najlepiej z toku niniejszego dzieła.

Podając w polskim przekładzie szacowne i że wszęch miar pożyteczne dzieło Jerzego Kennana, mam to głębokie przeświadczenie, że spełniam życzenie czcigodnego autora, i że przyczynieniem się do dania świadectwa prawdzie, wywiązuje się poniekąd z przyrzeczenia danego dręczonym po dzień dzisiejszy w katowniach sybirskich, moim współtowarzyszom niewoli, dla których żywię w sobie głębokie uznanie i uczucie serdecznej życzliwości.

Przedmowa autora.

Pracę moją o Syberyi i systemie deportacyjnym poprzedzić muszę krótką wzmianką o okolicznościach, towarzyszących mojej podróży, tudzież o mojem ówczesnem zapatrywaniu się na wewnętrzne stosunki państwa rossyjskiego. Myśl, zwiedzenia mało dotąd znanych części Syberyi i gruntownego zapoznania się z systemem deportacyjnym, tak ściśle stojącym w związku z tym krajem, opanowała mnie jeszcze w r. 1879. Spostrzeżenia dokonane w ciągu 3½ letniego pobytu mojego w Rossyi, tudzież ostatnia 5000 wiorstowa moja podróż lądem do Petersburga utrwaliły mnie w przekonaniu, że Syberya przedstawia dla istotnego badacza bardzo zajmujące i wdzięczne pole badania. Rossyanom wprawdzie, będącym od wieku przeszło w posiadaniu Syberyi, kraje te stosunkowo są dobrze znane, dla zwykłego jednak Amerykanina jest ona po dziś dzień, podobnie jak północna Afryka lub Tybet, ziemią zupełnie obcą. Zabójstwo Aleksandra II. w roku 1881 i wygnanie znacznej liczby rossyjskich rewolucjonistów do kopalń zabajkalskich, potęgując moją ciekawość, obudziły zarazem we mnie żywe życzenie, zapoznania się na miejscu z systemem deportacyjnym, a zarazem, zbadania charakteru ruchu rewolucyjnego rossyjskiego. Ażeby więc dojść do zamierzonego celu, należało mi udać się w strony cesarstwa, będące główną siedzibą wygnańców politycznych. Poszukiwania nihilistów w Moskwie lub w Petersburgu, albo też zaciąganie tam wiadomości o interesujących mnie objawach socyalnych nie zdawały mi się prowadzić do żadnego celu. Wy-

datniejsze osobistości, przyjmujące udział w rewolucyjnym dramacie od r. 1878 do 1879, znajdowały się na wygnaniu, dalsze zaś śledzenia policyjne za małą garstką, uszła z pod ich ręki, z pewnością były daremne.

Przeróżne okoliczności, brak czasu i środków materialnych, nie pozwoliły mi przystąpić do spełnienia powziętego zamiaru, i dopiero latem 1884 r. wydawca „Century Magazine”, zainteresowany moim projektem, zrobił mi propozycję odbycia podróży po Syberyi, i ogłoszenia publicznie wyniesionych z tamąd rezultatów. Zamierzoną podróż uprzedziłem krótką wycieczką do Petersburga w celu zebrania materiałów, jakoteż dla przekonania się, czy zamiar mój nie napotka na przeszkodę ze strony rządu rossyjskiego. W październiku wróciłem napowrót z tem zapewnieniem, że rząd nie ma nic przeciwko mojemu zamiarowi, że nie widzi potrzeby skrywania się w Syberyi z tem, co mnie obchodzić może; że wreszcie rząd patrząc na mnie, jako na literata, podejmującego podróż po Syberyi w celu zbadania tamecznych stosunków, — wcale przychylnem okiem, przyczyni się sam do zapoznania mnie z tem wszystkim, co stanowić może przedmiot mojego badania. — Ówczesne moje zdanie o systemie deportacyjnym w Syberyi i postępowaniu rządu rossyjskiego z politycznymi przestępcami, wypowiedziane zostało publicznie w r. 1882 w towarzystwie geograficznem w Nowym Jorku; wywołało ono nawet żywą polemikę w ówczesnych czasopismach. Wtedy ja sam byłem tego przekonania, że niektórzy rossyjscy pisarze, jak Stepiak i książę Krapotkin, rozmyślnie oczerniają rząd, przedstawianiem systemu deportacyjnego w nadto czarnych barwach. Mniemałem więc, że Syberya nie jest ziemią tak znowu straszną, jak to sobie przedstawiają Amerykanie, i że opis kopalń i więzień, podany w dziełku ks. Henry Lansdella jest zupełnie wiarogodny. Wszystkich nihilistów, terorystów i malkontentów politycznych, będących postrachem dla Rosyi, uznawałem za niedoświadczonych zagorzałych fanatyków, dających się podciągnąć pod jeden wspólny typ, z przed-

stawicielami, którego mieliśmy nieprzyjemność zawiązania stosunków znajomości w Nowym Jorku. Mówiąc jednym słowem, byłem z rządem, a przeciw rewolucjonistom. Kładę tu umyślnie nacisk, i to nie tylko z tego względu, bym miał przywiązywać jakieś szczególne znaczenie do ówczesnego mojego sądu, ale głównie z tego względu, że rezultat każdego spostrzeżenia o tyle zasługuje na uznanie, o ile wolnym jest zarówno od uprzedzeń, jakoteż osobistych sympatyj, samego badacza. Nacisk ten kładę jeszcze dla tego, że ówczesnemu mojemu przychylnemu usposobieniu dla rządu rossyjskiego przypisywać należy jego życzliwe w obecnym zachowanie się, wynikiem którego było udzielenie mi pozwolenia zwiedzenia więzień i kopalń sybirskich z narażeniem się na małe stosunkowo nieprzyjemności nawet w tych razach, gdzie bliższe stykanie się moje z wygnańcami politycznymi mogło istotnie budzić przeciwko mnie podejrzenie u miejscowych władz sybirskich. Powątpiewać należy, czyby obcokrajowcowi, nieznanemu oficjalnie z jego przychylności dla rządu, pozwolono wtajemniczać się w stosunki, dotyczące systemu deportacyjnego; lub też czyby patrzano obojętnie na jego ścisłą znajomość z przestępcami politycznymi. Istotnie, tylko list ministra spraw wewnętrznych ochraniał mnie, w czasie tak częstego stykania się z władzami rządowymi po wsiach i miastach sybirskich od aresztu, tudzież uwieżienia, i temu to wyłącznie listowi zawdzięczam, iż w ciągu całej podróży nie poważono się ani razu rewidować mojej osoby, ani też rzeczy, co nieodwołalnie narażało mnie na wydalenie za granicę cesarstwa i utratę moich notatek i dokumentów. Nie byłbym zaś nigdy w posiadaniu owego listu, będącego dla mnie wśród nawalnic ostatnią deską ratunku, gdyby kilkakrotne, publiczne moje wystąpienie w obronie rządu rossyjskiego nie było mu wiadomem i gdyby ów rząd nie miał na względzie tej także okoliczności, że w razie nawet znalezienia więzień w złym stosunkowo stanie, ambicya moja własna nie pozwoliłaby mi zrobić użytku z wyniesionych z tam spostrzeżeń.

Kończąc moją przedmowę, pragnąłbym złożyć najszczerze i najserdeczniejsze dziękczynienie tym wszystkim przyjaciółom moim, tudzież znajomym i życzliwym osobom, które w różny sposób udzieleniem mi odpowiednich materiałów przyczyniły się do uzupełnienia niniejszej mej pracy. Jedni z tych, jako wygnańcy polityczni, podając mi opis swego życia, rzucali na kartę i tak już oplakaną swoją przyszłość; inni, oficerowie wchodzący w skład personalu administracyjnego, dzielili się ze mną wynikami swych wieloletnich spostrzeżeń, ufając memu honorowi i dyskrecyi; inni znów, prawi i uczciwi urzędnicy, przekonani doświadczeniem, że wszystkie ich dotychczasowe starania, upominania i przedstawienia, wnoszone do rządu względem polepszenia oplakanego położenia więźniów i wygnańców nie osiągają żadnego skutku, nie taili przedemną złęgo stanu rzeczy, spodziewając się, że zwróceniem uwagi narodów i rządów na dziejące się tam nadużycia, choć w części zdołają im zapobiedz. Nazwisk większej ilości tych ludzi, zasługujących na uznanie i szacunek, podać tu nie mogę z tego mianowicie względu, iż zamieszkują oni w kraju, gdzie sama myśl otwarcie wypowiedziana, ściąga na osobę podejrzenie rządu, zaś dążenie do jakichkolwiek ulepszeń uważane jest za zbrodnię. — Wymieniać osoby te z nazwiska, było by zwrócić na nich podejrzenie rządu, a tem samem pozbawić ich mocy świadczenia dobrego. Moje uznanie dla tych osób za położone wemnie zaufanie, wyrazić mogę jedynie zapewnieniem, że powierzone mi objaśnienia zużytkowane zostały w interesie ludzkości, wolności i oprawy rządu. Dla Rosyji i ludu rosyjskiego żywię w sobie istotną sympatyę i życzliwość, a największą nagrodą za poniesione trudy byłoby to przeświadczenie moralne, że praca niniejsza przyczyni się choć czemkolwiek do polepszenia oplakanego losu tych »nieszczęśliwych«, dla których »Bóg za wysoko a Car za daleko«.

Jerzy Kennan.

I.

Granice rosyjskie.

Ekspedycja sybirska »Century Magazine« wyruszyła 2-go maja 1885 r. z Nowego Jorku do Liwerpola. Uczestniczyli w niej pan George A. Frost, artysta z Bostonu i ja. Obadwaj będąc już poprzednio w Syberyi, władaliśmy językiem rosyjskim; ja zaś już po raz czwarty zwiedzałem Carstwo. Pozostając przez lat 3¹/₂ w służbie towarzystwa telegraficznego rosyjsko amerykańskiego, przewidywaliśmy trudności i niewygody, na jakie naraża podróżnych dłuższy pobyt w Azyi północnej. Plan naszego działania został przez naszych zlecodawców w zupełności przyjętym, a choć misya nasza miała wcale poważny charakter, to jednak nie traciliśmy nadziei należytego jej spełnienia. W sobotę 10. maja stanęliśmy w Londynie, zaś 30. udaliśmy się przez Dover, Ostendę, Hanower, Berlin i Eidkuny do Petersburga. Mając na widoku krótkotrwałe lato sybirskie, postanowiliśmy podróż tę odbyć w jak najkrótszym czasie, ograniczając nasz pobyt w stolicy rosyjskiej do dni pięciu. Na nieszczęście przypadające podówczas uroczyste święta, stanawszy przeszkodą w załatwieniu naszych interesów, zmusiły nas do zatrzymania się w Petersburgu przez dni dziesięć.

Uzyskawszy audyjencyę u pana Vlangellego, sekretarza ministra spraw zewnętrznych, wręczyłem mu

moje listy rekomendacyjne, wykazując zarazem powody, skłaniające nas do podjęcia tak odległej podróży. Powiedziałem mu otwarcie, że podług mego sposobu widzenia, niektórzy literaci rossyjscy, powodowani uprzedzeniami lub też złą wolą, przedstawiają Syberję i system wygnania w nadto złem świetle; że skreślenie wierne stosunków tamecznych kopalń i więzień wypadłoby na korzyść rossyjskiego rządu; wreszcie, gdyby wykonanie powziętego przezemnie zamiaru nie obudziło przeciwko mnie podejrzania, to gotów jestem, po zbadańniu stanu rzeczy na miejscu, wystąpić publicznie w obronie rządu. To moje wyznanie, wypływające z przekonania, zdawało się przychylnie usposabiać dla mnie p. Vlangellego. Po 20-minutowej rozmowie oznajmił mi on, że mogę liczyć na otrzymanie pozwolenia zwiedzenia Syberji; że on sam wedle możliwości będzie starał się życzeniu mojemu zadośćuczynić; że opatrzy nas listami polecającymi do gubernatorów sybirskich, a oprócz tego pismem odręcznem ministra spraw wewnętrznych. Na zapytanie moje, czy listy rzeczzone ułatwią nam wstęp do więzień, odpowiedział p. Vlangelli przecząco, gdyż podobnego rodzaju pozwolenia wydawać zwykli tylko gubernatorzy prowincjonalni. Powstrzymywał on się widocznie od wyjawienia własnego swego zapatrywania, z czego mogłem wnioskować, że rząd nie darzy nas nieograniczonem zaufaniem, lecz oddając nas pod nieprzyjacielską kontrolę, ułatwi lub utrudni nam wstęp do więzień w miarę własnego uznania. Przewidywałem wyniknąć mogące stąd dla nas przeszkody, roztropność jednak nie pozwoliła mi się upominać o żadne ustępstwa: podziękowawszy tedy za łaskawe i uprzejme przyjęcie, wyszedłem.)

W parę dni później miałem powtórna audyencyę u p. Vlangellego. Tą razą wręczając mi obiecane listy polecające, wyraził życzenie, bym w przejeździe przez Moskwę, przedstawił się znanemu redaktorowi „Moskowskich Wiedomostiej” panu Katkowowi. Otrzymałem też list polecający do cesarskiego archiwisty, ba-

rona Buhlera, który miał mnie zaprowadzić do p. Katkowa. Charakter i koleje życia tego wielkiego szermierza autokratyzmu nie zupełnie były mi obce, a chociaż zdawałem się być na tropie myśli kierującej życzeniem p. Vlangellego, to wszelako rad byłem z następującej się okazji poznania p. Katkowa w jego własnej osobie. Szło tu głównie o to, aby ów uzdolniony i tak wysokie zajmujący stanowisko człowiek, udzieleniem mi swych własnych uwag nad ustrojem państwowym, utrwalił mnie w dotychczasowej mej korzystnej o rządzie opinii, która w danych razach miała posłużyć mi za tarczę przeciw zgubnym wpływom osiedlonych w Syberji nihilistów.

Przezorność ta jednak była zbyteczną, gdyż niekorzystne moje ówczesne zdanie o nihilistach, przewyższało z pewnością życzenie samego rządu. Zwierzenie się moje przed wysokim urzędnikiem rossyjskim było szczere: to, co mówiłem, wypływało z mego przekonania. Prosząc o pozwolenie zwiedzenia Syberji, nie miałem na myśli zwracania się do jakichkolwiek bądź forteli. Jeżeli zaś moje ówczesne, a wyjawione p. Vlangellemu zapatrywania uległy zmianom, to tylko na podstawie faktów uderzającej doniosłości.

Zaopatrzeni w aparat fotograficzny, niezbędne książki, i przynajmniej w pięćdziesiąt listów polecających do profesorów, inżynierów górniczych i urzędników całej Syberji, wyruszyliśmy 31. maja wprost do Moskwy. Stolica caratu leży w odległości 1600 mil (2570 km.) od granicy sybirskiej, trakt zaś główny, uczęszczany najwięcej przez kupców, a bezwarunkowo przez wszystkich wygnańców, prowadzi na Moskwę, Niżnij-Nowgorod, Kazań, Permę i Jekaterynburg. Sieć wschodnich kolei żelaznych rossyjskich kończy się w Niżnim-Nowgorodzie. Latem jednak, miasto to z Permą łączy komunikacya wodna. Z Permy do Jekaterynburgu prowadzi linia kolei żelaznej uralskiej; linia ta 180 milowej długości (360 km.), nie mająca żadnego związku z innymi kolejami, przerzyna góry

uralskie, i łączy przerwana komunikację wodną po rzekach Obie i Woldze. *)

Zaraz po przybyciu do Moskwy wręczyłam list polecający bar. Buhlerowi, skąd udałem się do redakcyi »Moskowskij Wiedomostiej«. Dowiedziawszy się tu, że p. Katkow wyjechał na kilka tygodni, postanowiliśmy powrotu jego nie czekać, udając się koleją żelazną do Niżnego Nowgoroda, gdzieśmy stanęli 4. czerwca w czwartek o godzinie 11. przed południem.

Każdy z podróżnych, zwiedzający po raz pierwszy Niżny-Nowgorod, kierując się z dworca kolejowego od brzegów Oki ku Woldze, uledek musi pewnemu zdumieniu, a raczej trwodze. Ujrzy on czysto utrzymane brukowane ulice, w długie szeregi wyciągnięte domy i kamienice, bulwar wysadzony brzoźami i topolami, kanał poprzerynany mostami, wspaniałą katedrę Aleksandra Newskiego, teatr, hotele, rynki, ale — ni śladu życia. — Na zarosłych trawą i zielskiem ulicach panuje głucha cisza. Na drzewach ocieniających pusty bulwar, świergocze ptastwo, sklepy i magazyny zaryglowane, milczą dzwony cerkiewne, a zdumiony wędrowiec może przez długie godziny błądzić od domu do domu, nie ujrawszy żadnych drzwi otwartych, żadnej istoty żyjącej. — Jeżeli mu zaś pamięć podszeptnie o stawie jarmarcznej Niżnego Nowgorodu, to przekona się, że tu tą sławną siedzibą jarmarczną jest zupełnie bezлюдna część miasta i rzeczywiście zdumi go myśl, że miasto, pozostające przez całych dziewięć miesięcy w stanie zupełnego odrętwienia, ożywia się tylko w porze jarmarcznej. Miasto jarmarczne leży na niskim półwyspie pomiędzy Oką i Wołgą, przy złączeniu się ze sobą obydwóch rzek; stare zaś miasto rozciąga się na płaskiem, urwistem wybrzeżu Wołgi. Miasto jarmarczne

*) W czasie naszego pobytu w Syberji, ukończono właśnie drogę żelazną pomiędzy Tiumentiem i jakąś rzeką, wpadającą do Obu. Komunikacja więc wodna pomiędzy Petersburgiem, Siemipalatynskiem i Omskiem była już otwarta.

mające wygląd ogromnego handlowego karawan-seraju sprowadza tu corocznie 500 kupców, zbywających i nabylających wszelkie możebne towary. We wrześniu liczba mieszkańców dochodzi do 100.000 dusz, zaś nagromadzony towar przedstawia wartość 75,000 000 dolarów (300 milionów marek). W styczniu, lutym i marcu liczba mieszkańców tak dalece się zmniejsza, że wszyscy pozostali mogą się pomieścić w jednym hotelu, towary zaś w jednym magazynie.

Zdaje się niemożliwym do uwierzenia, ażeby tak wielkie miasto z cerkwiami, meczetami, teatrami, rynkami, bankami, hotelami, giełdą i liczące około 700 sklepów i tyleż domów mieszkalnych, odgrywało tylko rolę przejściową, a po odbytych rocznym jarmarku stało pustką. — Gdy po raz pierwszy zwiedzałem Niżny-Nowgorod w styczniu 1868 roku wydał mi się on zupełnie pustkowiem. Miesiąc oświecał długie, głuche, śniegiem zasypane ulice, srebrząc białe mury i kopuły starej katedry. W jego łagodnym świetle kapały się zaspasy śniegu i tysiące białym całunem pokrytych dachów. Miasto zdawało się nie tylko bezлюдnem, ale z jego murów wiał duch samotności i lodów arktycznych.

W jesieni 1870 r. w porze jarmarcznej, toż samo miasto było do niepoznania; otaczał je las masztów; przeraźliwy świst parostatków przedzierał się przez kuznem i parą wodną przesycone powietrze: w sklepach przybrzeżnych mieściło się towaru na 125,000.000 rs., budynki wszystkie napechane, ciżba; codziennie około 60.000 osób przeciskało się po moście ku starymu miastu; na wielkim bulwarze przed domem gubernatora muzyka wojskowa grała operetki Offenbacha, a z wszystkich ulic, po długotrwałym śnie zbudzonego miasta, spieszyli gromadnie ludzie, ożywieni jedną myślą handlu.

W r. 1885 w czerwcu nawiedziłem znów miasto jarmarczne, znalazłszy je tą razą znacznie na korzyść zmienionem. Całe rzędy dawniejszych sklepów drewnianych zastąpiły obecnie budynki murowane, wiele ulic nowo brukowanych, liczba składów towarowych zna-

cznie zwiększona. a w niższym końcu półwyspu wznosiła się wspaniała katedra Aleksandra Newskiego.

Mniemano, że rozszerzająca się z każdym rokiem sieć kolei żelaznych, przyczyni się z czasem do upadku miasta jarmarcznego. Tak się jednak nie stało. Od roku 1868 do 1881 wartość towaru jarmarcznego z 120 milionów rs. wzrosła do 246 milionów, zaś ilość sklepów z 5738 doszło do 6298. Obecnie podczas dwumiesięcznego jarmarku, nagromadzony na rynkach towar przedstawiał wartość 225 milionów rs., liczba zaś sklepów doszła do 7000. Stacya kolei żelaznej Moskiewsko-Niżnio-Nowgorodzkiej, leżąca w obrębie miasta, na lewym brzegu Oki, połączona jest ze starem miastem wiszącym mostem, a oprócz tego latem kursują tu parostatki.

Stare miasto rozłożone na urwistej 400 stóp po nad poziom rzekł wzniesionej równinie, nader malowniczy przedstawia widok. Ulice wjazdowe głęboko w ziemię werżnięte, gdzieniegdzie pokratowane wążkami, bujnie trawą porośniętymi tarasami, na których pośród cienistych drzew wznoszą się mury cerkwi i klasztorów. Na płaskim wzgórzu rozsiadła się bizantyńska cerkiew, której różnobarwne, wyłaczane kopuły unoszą się malowniczo ponad zielenią zastłanymi tarasami; spadziste błonia, tu i owdzie dotykające koryta rzeki — wszystko to przy jasnej, pięknej pogodzie czerwcowej malowniczy przedstawia krajobraz. Na zakręcie Wołgi sterczy forteca, opierająca się murami o samą rzekę, a baszty jej i sklepienia przenoszą widza w czasy średniowieczne. Przed 350 laty twierdza ta uchodziła za niezdo-bytą. W ciągu całego stulecia służyła ona za schronienie mieszkańcom miasta przed napadami dzikich hord tatarskich. Baszty jej sięgające pierwotnie do wysokości 100 stóp, dzisiaj sterczą ruiną, a z murów obwodowych nie pozostałoby ani szczątko, gdyby nie wspierały się na tak szerokich i trwałych fundamentach. Na mnie forteca ta nierównie silniejsze wywarła wrażenie, niżeli ów sławny moskiewski Kremlin. — Ulokowawszy się w jednym z hoteli starego miasta, po

oddaniu paszportów, przechadzaliśmy się wzdłuż murów fortecznych ku brzegom rzeki. Pomiedzy urwistem wzgórzem, a samą rzeką, na wąskiej równinie, leży część miasta zwana »Starym bazarem«. Jakoż malownicza różnorodność! Mieszają się tu z sobą domy przeróżnych kształtów i rozmiarów. Obok nowomodnych, wykwinnych magazynów z wyłaczanymi sztyldami i zwierciadlanymi szybami, stoją z desek zbite stragany; hotele, sklepy; agencye parostatkowe mieszają się z kramikami i tandytnemi budkami, a w najmniej spodziewanem miejscu napotyka się fantastycznie malowaną cerkiew, sięgającą minionych stuleci. Na całej drodze pomiędzy rzeką a wzniesieniem, stoi mnóstwo najróżnorodniejszych sklepików, w których dostać można wszystkiego, co się tylko podoba: szpilki, grzebienie, suszone grzyby, kotwice okrętowe, dzwony kościelne i maszyny parowe. W jednym sklepie na dolnym bazarze widziałem wystawione: garnitur mebli salonowych, dwa z łożiny plecione wózecki dziecinne, fotel ogrodowy, dwie piły, pół tuzina starych samowarów, kołyskę, parową maszynę, parę rogów łośiowych, trzy stare kotły, zbiór teleskopów, krzyż żelazny, kościelny, sześć do ośmiu zegarów, wasąg brykowy, skrzydła do zamiatania kurzu, lornetki, łańcuszki, postumenta do zegarków, warsztat stolarski, stare buty, kaukazki sztylet, dzwonki do sanek, liny okrętowe, węzownice sikawkowe, chomonta, kowadło, poduszki powozowe, złożone bransoletki, obręcze żelazne do beczek, kufry, kilka waz obiadowych wypełnionych gwóźdźmi i śrubami, noże, trzonki, śrubsztaki, szybry do pieców, rewolwery, siodło, pozytywki, skrzynkę pełną biszkoptów angielskich i wannę kąpielową. Spis ten zrobiony doraźnie nie mieści w sobie ani jednej trzeciej części nagromadzonego w tym sklepiku towaru; na skompletowanie go brakło mi czasu. Sklep ten może posłużyć jako typ wszystkich innych, mieszczących się w »Dolnym bazarze«. Uderza tu przedewszystkiem różnorodna konstrukcyja domów mieszkalnych i sklepowych. Wzdłuż całego brzegu rzeki czernią się

parostatki i pomosty. Ruch handlowy gromadzi tu ludzi ze wszystkich stron carstwa. Niemal co godzina odpływają parostatki w dół Wołgi, do granic sybirskich i do morza Kaspijskiego; chmary Hiszaków Tatarów wyladują wielkie czarne barki a mnóstwo jednokonných niezdatnych wozów, mających pozór wzdłuż przeciętych na czterech kołach osadzonych beczek, rozwożą złożone na brzegach rzeki towary worki, skrzynki, kosze; po całej szerokiej ulicy wśród tumanów kurzu snują się wciąż kupcy, właścianie, pielgrzymi, żebracy i włóczęgi.

Wszehwładny duch handlu zda się nawet opanował tu niedorostków i dzieci. Przypatrując się ożywionemu ruchowi na brzegu rzeki, zoczyłem przeciskającego się przez tłum jakiegoś obdartego dziewięcioletniego dzieciaka, którego cały towar składał się kilku wiąnek suszonych grzybów. Ów dzieciak, ukazując swój towar wrzeszczał na całe gardło: grzyby! piękne grzyby! Popierajcie panowie handel! kupujcie moje grzyby! popierajcie handel!

Na jarmarku czerwcowym, nie spotyka się jeszcze takiej różnorodności typów ludowych, jak na sierpniowym: co się tyczy jednak ubiorów, to te oryginalnością swoją zwrócić muszą uwagę każdego cudzoziemca. Tu spocznie oko na czarno-brunatnym Tatarze w okrągłej czapce i długim chałacie; tam na rosyjskiem chłopie, przyodzianym w barani kożuch, w postołach splecionych z łożyny i wiązanych łykiem. Podejrzanymi się wydają długowłose i wielkobrodę postacie mnichów, zbierających jałmużnę dla szpitali i kościołów. Wyciągają oni po datek drewniane wążkie deseczki pokryte czarnym pluszem, a ofiarowany pieniądz chowają do zawieszonych na szyi, na klucz zamykanych skarbonek. Tu przekupień zachwala swój przewyborny kwas, miód, sorbet, i przeróżne piękne zabarwione trunki, tam znów sztuczne biżuterje, solone ogórki, suszone grzyby, chustki do nosa z wydrukowanymi kartami kolei żelaznych rosyjskich. Dodać należy, że oprócz miejscowych handlarzy, wloką się tu całymi

stadami kupcy i kupeczyki z wszystkich okolic nadwożańskich.

Podróżującego obcokrajowca zadziwić musi nadzwyczajna produkcja południowo-wschodniej Rossyi, obfitość płodów surowych i panujący na wszystkich liniach komunikacyjnych gorączkowy ruch handlowy. Zwykłemu amerykańcowi, południowo-wschodnia Rosya wydaje się być w części pastwiskiem, w części gruntem ornym, wystarczającym wprawdzie na zaspokojenie potrzeb niewielkiej liczby półcywilizowanych mieszkańców, we względzie handlowym jednak, nie zdolnej wytrzymać konkurencji z najmniej nawet produkcyjną stroną Stanów zjednoczonych. Zdziwi się on nie mniej, zoczywszy w Niżnym-Nowgorodzie cały brzeg rzeki na długości 6 do 8 mil ang. zaległy parostakami i galarami. Do jakiego stopnia rozwoju doszedł tu ruch wodny, świadczy najlepiej ta okoliczność, że dla uregulowania żeglugi istnieje oddzielna izba sądowa ze swoją własną jurysdykcyą. Przystań zostaje pod kontrolą urzędnika, naznaczonego przez Ministerstwo handlu, któremu do pomocy przeznaczają się cały sztab podwładnych. Liczba parostatków, kursujących po Wołdze i wpadających do niej rzekach, większa jest niż na Mississipi; wartość zaś dowozowego rocznie towaru z jednej rzeki Kamy dochodzi do 15 milionów dolarów, a wody należące do systemu Wołgi, noszą corocznie na swych falach 5 milionów ton towaru, który to transport zajmuje 7.000 parostatków i 300.000 wioślarzy.

Rankiem 6. czerwca siedliśmy na parostatek braci Kamięńskich i popłynęli po Wołdze i Kamie do Permy, odległej od Niżnego Nowgorodu o 1600 km. Jeżeli, jak powiadają, okolice Nilu są śpichlerzem dla całego Egiptu, to nadwożańskie, — dla całej wschodniej Rossyi. Na etnograficzny skład ludności wpłynęła przeważnie rzeka Wołga. Poczynając od lat zwyż 1000, cała historia Rossyi stoi w ścisłym związku z tą rzeką; wpływała ona na rozwój życia i charakter całego szczepeu wschodnio-rossyjskiego a dzisiaj, dobrobyt przeszło 10 milionów ludzi od niej zależy. W tym względzie

Wołgę należy uważać za jedną z najważniejszych rzek. Długość jej od Wałdaju do morza Kaspijskiego wynosi 2300 mil (3700 km): w czasie zaś wezbrania rozlewa się pod Carycynem na szerokość 30 mil (45 km.); oko więc żeglarza, przepływającego rzekę, gubi się w przestrzeni, nie dostrzegające brzegu przeciwnego. Wołga przepływa dziewięć gubernij Caratu, a na brzegach jej rozłożyło się 39 miast i zwyczajnie tysiąc wsi i siół. Najdonioślejszego znaczenia jest część Wołgi pomiędzy Niżnym-Nowgorodem a połączeniem się jej z Kamą, na której to przestrzeni wodnej w czasie otwarcia żeglugi kursuje częstokroć po 450 parostatków. Okolice nadwołżańskie aż do zagięcia się koryta rzeczno nad Samarą, przedstawiają obraz życia czynnego, widać tu mnóstwo parowców, barek, holowników, ogromnych łodzi obładowanych towarem rosyjskim, sybirskim i średnio-azyatyckim. Same już okolice Wołgi dostarczają ogrom płodów ziemnych. Wiele wsi przybrzeżnych, wydających się zdala małąkami siółami, jak n. p. leżące pomiędzy Niżnym-Nowgorodem i Kazaniem Łysakowo, obładowuje rocznie swem zbożem aż do 700 parostatków. Lewy brzeg Wołgi jest przeważnie niski i mało przedstawia interesu; prawy jednak wznosi się nagle na wysokość 400 do 500 stóp, i w przerwach dwu do trzech miłowych odchylając się pasmem wzgórz od brzegu koryta, tworzy małe zlewające się z sobą jeziora, w których zwierciadło odbijają się ciemno zielone bory dziewicze, to znów nadbrzeżne, kształtne wzgórza; tu i owdzie na wierzchołku góry w cieniu drzew bieleje cerkiew z błyszczącymi kopułami i kunsztownie rzeźbionym pomalowanym szczytem. Po przez głębokie parowy, przerywające wały poprzeczne, ukazują się w dali żywe urodzajne doliny; niekiedy występuje na widownię tulący się samotnie do stóp góry i ocieniony drzewami klasztor. Parowiec płynie częstokroć pół godziny samym środkiem rzeki, a w ciągu całego tego czasu malowniczy obraz prawego brzegu rzeki przesuwają się przed oczyma przepyszną, 10 mil w dal sięgającą panoramą; gdy

zaś wymijając skałę nagle zwróci się ku lądowi, wtedy owa obszerna panorama ścieśnia się zamykając w swych ramach obrazek małego rosyjskiego sióła. Czasami tak bliźutecznie podpływa do brzegu, że można rozróżnić rysy twarzy chichoczących i powiewających chustkami dziewcząt, albo też chwycić uchem rozmowy leżących przed cerkwią na murawia odzianych w czerwone koszulki parobczaków. Widoki tak szybko mijały przed naszymi oczyma, że trudno było je pochwycić. Śledzisz za szczegółami charakteryzującymi rosyjski krajobraz, a ten już zniknął ci z przed oczu; statek zabiegł już w kolano rzeki, której jeden brzeg skalisty, drugi zaś pokryty gęszczą leśną, niedotkniętą stopą ludzką.

Podziwiając malowniczą piękność majestatycznej rzeki i wciąż zmieniające się widoki, siedzieliśmy na pokładzie jak przykuci, nie opuszczając go dopóty, dopóki ciemności nocne nie przysłoniły nam oczów. Powietrze przepelnione było wonią kwiatów łąkowych i orzeźwiającem chłodem leśnych dolin; rzeka snuła się między brzegami wspaniałą błyszczącą wstęgą, której światła lamp wśród nieprzeniknionych ciemności dawały jeszcze więcej uroku; a z odległej dali dochodził ucha głos każdemu żeglarzowi rosyjskiemu tak miłej pieśni o matce Wołdze («W nisz po matuszkie, po Wołgie»). Znalazłszy się w naszej małej, ale miłutkiej kajucie, wypiliśmy po kilka szklanek wybornej herbaty, powymowiali z zawiniątek kołdry i poduszki i za przykładem rosyjskich podróżnych położyliśmy się na długich skórzanych ławkach, zajmujących w rosyjskich statkach większą część przestrzeni.

Około godziny 5-tej rano zbudził mnie przeraźliwy świst parostatku; zatrzymał się on u przystani, zaczęto z łoskotem wyładowywać bagaże, a na naszymi głowami powtarzał się wciąż jakieś mocne stukanie i tupanie. Domyśliwszy się że jesteśmy w Kazaniu, udałem się na pokład. Słońce już od godziny kroczyło po niebie, a rzeka przemykała jakby strumieniem płynnego srebra pomiędzy naszym statkiem a pochyłością

brzegu, zasłaną przepyszną zielenią. Licznie pozatykane na przystani flagi witały nadchodzące statki. Powyżej na jałowym, piaszczystym wybrzeżu, rozsiadły się szeregiem drewniane sklepy i domy mieszkalne z różnobarwnymi dachami i ścianami, zaś w dali na wzgórzu widać było mury, baszty, minarety i błyszczące cerkiewne kopuły, co wszystko odnowiło spoczywający w mej pamięci od lat dzieciennych »obraz miasta próżności« w Bunyan »z podróży pielgrzyma«. Obecnie mieliśmy przed oczyma sławne miasto tatarskie — Kazan. Ongi przed wiekami wzgórze, na którym wznosi się twierdza kazańska, odpływa Wołga, obecnie przez zmianę łożyska leży ono w odległości 3 do 4 mil ang. od rzeki. Miasto Kazan widziałem tylko w przelocie, pobudza ono wyobraźnię i zaostrza ciekawość. Stojąc w przystani przypatrywałem się różnobarwnie malowanym domom. Jak długotrwałe działanie wywiera ta pstrokacizna na nerwy wzrokowe mieszkańców, tego nie umiem powiedzieć, nie dziwi mnie jednak, że w rosyjskim języku zamiast pięknie, mówi się pięknie, ani też — że rosyjscy pisarze o istotnie pięknej dziewczycy wyrażają się krasnaja dziewica. Rozmyślając o tem na kazańskiej przystani słupiałem z podziwu, że rosyjska mowa nie opiewa o »czerwono-zielonej dziewczycy« »szkarłatno-niebieskiej melodyi« lub też o »pasowo-żółtej i czekoladowo-brunatnej poezyi«. Byłaby to, że tak powiem, czerwono-biało-niebieska przyjemność wyrażać swe podziwienie barwami i dla wykazania najwyższego stopnia zachwyty pod ręką całą skalę możebnych kolorów.

O godzinie 7-mej rano zjawily się w przystani doróżki, odwożące pasażerów, o 8-mej zaś odbiliśmy od brzegu. Dzień był tak piękny i ciepły, że nie chciało się nam schodzić z pokładu; ożywieni promieniami słonecznymi i kołysaniem parostatku, wdychaliśmy błogą woń lasów, pokrywających wzgórze lewego brzegu, robiliśmy notatki, szkicowali od czasu do czasu spotykane na rzece przeróżnych kształtów barki, łodzie holowce, co już bez oglądania nadbrzeżnych okolic,

charakteryzowało Wołgę jako rzekę rosyjską. Na wstępie ukazał się ogromny holownik, wlokący za sobą poważny szereg czarnych barek, mających pozór ogolonych z żagli parostatków; za nim kroczyła zwolna jakaś osobliwsza barka z kabłąkowatym, wysokim przodem. Barka ta, zaopatrzona liną długą nawijającą się na wał, do końca której przytwierdzona była ciężka kotwica, posuwała się przeciw prądowi w ten sposób, iż kilku ludzi idąc brzegiem zarzucali kotwicę na ląd podczas gdy inni nawijając linę na wał, statek ów wprowadzali w ruch. Wreszcie spotkaliśmy jakąś olbrzymią tratwę około 500 stóp długą a 100 szeroką, wiozącą na sprzedaż w okolice Wołgi ogolone z lasów, ku morzu Kaspijskiemu, gotowe domy drewniane z niekształtnymi dachami. Mieszkańcy tego pływającego sioła z odkrytymi głowami, w czerwonych i niebieskich koszulach, rozłożyli się około żywo płonącego na tratwie ognia, popijając herbatę. Zdawało się, jakby owe sioło ocalone cudownym sposobem z powodzi, pływało spokojnie po rzece. Od prawego brzegu dochodził uszu naszych odgłos dzwonów, nieopodal położonej, złotokulistej cerkwi, do której na mszę spieszyli w łodziach sześciowiosłowych, jaskrawo przystrojoni mężczyźni i kobiety.

Okolo godziny 11-tej przed południem rozstaliśmy się z Wołgą, wpływając w koryto bystrej, posępnej Kamy. Rzeka ta, biorąca swój początek w Uralu od granicy sybirskiej przed ujściem swem do Wołgi, poniżej Kazania przyjmuje kierunek południowo-zachodni. Wszystko wydaje się tu nieswojskiem, nawet dzikiem. Brzegi Kamy mniej zaludnione, niż Wołgi; nie spotkać tu już bielejących się murów klasztornych, owej ozdoby krajobrazów nadwołżańskich, zwłaszcza pomiędzy Niżnym-Nowgorodem i Kazaniem; niezdarne statki wodne z drewnianymi czerwono lub niebiesko malowanymi poręczami i wysokimi masztami, ubiory włóścian, kręcących się po przystani, oryginalnego kroju i tak jaskrawe, że cudzoziemcowi wydawać się muszą okolice za niedostępne dla wszelkich możebnych wpływów cywilizacyjnych. Może ową pstrokacizną odzna-

czają się tylko ubiory świąteczne, ale bądź co bądź w całej Rosyi nie spotkaliśmy tylu parobków w niebieskich, purpurowych, różowych i fioletowych koszulach, ani dziewcząt w cytrynowo-żółtych spodnicach, pasowych fartuchach, różowych stanikach i liliowych chustkach.

Aczkolwiek w ciągu całej podróży po Kamie, niespotkaliśmy się z niczem osobliwym, to zawsze nie była ona dla nas bez pewnego powabu. Przesuwające się wśród cudownej czerwcowej pogody przed oczyma naszymi krajobrazy, nęciły swą dziką pięknnością; topole, osiki i srebrzyste brzozy, zdobiące stromy brzeg rzeki, gdzieniegdzie tak nisko opuszczały nad wodę bujnie liściem pokryte gałęzie, że te ocieniały pokład przemykającego się parostatku. Na każdej przystani przynosiły nam dzieci wiejskie równianki kwiatów, tak że mała nasza jadalnia przesycona była błogą wonią tych zwiastunów wiosny. Powietrze, okolica i wegetacya nie przypominały nam w niczem bliskości Syberyi; zdawało się raczej, że zblizamy się do Kalifornji; wszędzie widzieliśmy obfitość kwiecia, każdej nocy dochodził nas z nadbrzeżnych krzewów śpiew słowików; przesiadywaliśmy też razem z innymi podróżnymi na pokładzie statku długie wieczorne godziny, pijąc herbatę, gawędząc, póty ostatnie zorze wieczorne nie zgasły za górami. Nasza podróż po Kamie wydała mi się tak przyjemną, wygodną i pełną swobody, że dobiwszy dnia 10 czerwca do Permy, z prawdziwym żalem rozstawaliśmy się z naszym małym parostatkim »Aleksander«.

Perma, gdzieśmy zatrzymali się na nocleg, pozostała dla nas pamiętną pierwszem zajęciem z rosyjską policją. Aczkolwiek ów wypadek małej jest doniosłości, to wszakże przytaczam go w celu zwrócenia uwagi na nieograniczoną władzę rosyjskiej policji, oraz wykazania, na jak wielkie nieprzyjemności może narazić się obcokrajowiec podróżujący po gościnicach sybirskich. Bezwłocznie po przybyciu do Permy, udaliśmy się z panem Frostem na przechadzkę,

szukając odpowiedniego pagórka, z któregooby można było zdjąć ołówkiem kilka widoków miasta. Idąc, znaleźliśmy się trafem około więzienia, a że to było pierwsze na gościńcu sybirskim, przeto oglądaliśmy je z pewnem zajęciem. Przekonawszy się jednak, że od upatrzonego pagórka dzieli nas dość znaczna odległość, odłożyliśmy zamiar nasz ze względu na sgoźnioną porę do dnia następnego. Wracając, zbliżyliśmy się znowu pod więzienie, zaś nazajutrz poszliśmy szkicować miasto. P. Frost odrysował miasto z przedmieściami, i niebawem skierowaliśmy się ku domowi. Przechodząc przez szerokie błonia w pobliżu więzienia, spotkaliśmy jadących dwoma dorożkami czterech oficerów w pełnych uniformach z pałaszami i rewolwerami przy boku. Pierwsi dwaj oficerowie, zdawali się zwracać na nas szczególniejszą uwagę; nie znając jednak podówczas mundurów rosyjskiej policji i żandarmeryi, wziąłem owych uzbrojonych ludzi za wojskowych. Nie dojeżdżając do nas, obaj oficerowie, wysiadłszy z dorożki, rozeszli się w strony przeciwne na odległość jakich 50 kroków, poczem zwracając się jednocześnie, zabiegli nam drogę. Wtedy minęła mi myśl, że obudziliśmy podejrzenie policji, która w osobach owych czterech urzędników przybyła nas aresztować. Otoczyli nas, a jeden z pośród nich, oficer żandarmeryi, przystojny, około 30 lat liczący mężczyzna, skłoniwszy się, oznajmił: Pozwólcie panowie zapytać się, kto jesteście? — Jesteśmy podróżującymi Amerykanami — odpowiedziałem. — Kiedyście panowie przybyli do Permy? — Wczoraj. — Skąd jedziecie? — Z Niżnego - Nowgorodu. — Gdzie się udajecie? — Do Syberyi. — W jakim celu, jeżeli można wiedzieć? — Jako podróżnicy. — »Turyści« — zawołał z przekąsem — nie jeżdżą po Syberyi, — cel panów podróży musi być inny. Jakiż to cel? — Tłumaczyłem mu, że amerykańscy podróżni, nie koniecznie zaś turyści, zwykli podróżować po całym świecie, a celem ich jest zwiedzanie i poznawanie rozmaitych krajów i okolic. Te moje wyjaśnienia nie zdawały się

go zadowalać, zaczął mnie zapytywać różnemi pytaniami; w końcu oznajmił z pewnym naciskiem: -- panowie przechadzaliście się wczoraj około więzienia? -- Tak jest -- odpowiedziałem. -- Po co? -- Wytlumaczyłem mu powody: -- Panowie oglądaliście więzienie z szczególną uwagą. -- Tak jest. -- Cóż was do tego skłaniało? -- Objaśniłem mu rzecz ponownie. -- Ależ panowie nie wstępowaliście wcale na wzgórze, a tylko podchodziliście wciąż pod same więzienie, obserwując go z szczególniejszą uwagą i z pewnym celem. A i dzisiaj rano skierowaliście wasze kroki znowu ku więzieniu.

Gotów byłem parsknąć śmiechem w oczy owemu oficerowi, widząc jednak, że naszym strażnikom nie zbiera się wcale na śmiech, lecz owszem sprawę ową oględzin więzienia biorą na seryo, zacząłem ponownie rzecz wyjaśniać. Oficer żandarmeryi, któremu słowa moje nie zdawały się trafiać do przekonania, zażądał od nas paszportów, a dowiedziawszy się, że te pozostały w hotelu, oznajmił, że zmuszony jest nas aresztować do czasu sprawdzenia tożsamości osób i wykazania się z właściwego celu podróży. Frost podążył tedy pod opieką oficera żandarmeryi, mnie zaś towarzyszył siwobrody urzędnik, którego miałem za prezydenta policji. Widocznie uznano nas za spiskowców, przybyłych do Permy w celu wykradzenia kogoś z tamecznego więzienia. Skoro weszliśmy do hotelu, przyjąłem towarzyszących nam panów z całą uprzejmością i przedstawivszy im nasze dokumenta podrózne, zaprosiłem na herbatę. Ów młody oficer, w czasie przeglądania papierów, mierzył nas wciąż podejrzliwym wzrokiem. Jakby miał przed sobą jakiś nowy rodzaj niepodgatunkowanych jeszcze niebezpiecznych przestępców, przed którymi należało się mieć na szczególnej baczności. Paszporta nasze okazały się niedostatecznymi dowodami, list jednak ministra spraw wewnętrznych położył rychły koniec całej tej komedii. Oficer żandarmeryi poczerwieniał w czasie czytania tego listu i porozumiawwszy się szeptem z prezydentem policji, z pewnym

zakłopotaniem zbliżył się do mnie, prosząc o przebaczenie za zaszłe nieporozumienie. Pokazało się, że policja upatrując w naszych osobach, śledzonych przez nią dwóch przestępców politycznych, niemców, aresztowaniem nas, miała na myśli spełnienie ciężącego na niej obowiązku. W dowód przebaczenia za zaszłe nieporozumienie, oficer ów poprosił o podanie ręki i skłoniwszy się nisko, pożegnał nas. Ta mała przygoda, charakteryzująca sposób postępowania rosyjskiej policji, stała się dla mnie ostrzegającą wskazówką na przyszłość. Jeżeli jeszcze przed przekroczeniem granicy sybirskiej za same oględziny więzienia zostaliśmy aresztowani, to na jakąż odpowiedzialność narazić nas mogło samo spełnienie powziętego zamiaru!

Dnia 11. czerwca wieczorem opuściliśmy Permę, kierując się koleją żelazną uralską do Jekaterynburga. Znużeni ostatnimi przygodami podróży, oddaliśmy się w objęcia snu, budząc się dopiero nazajutrz o godzinie 8 na stacyi Bissior. Dzień był przesłizny, zapach żywicznych lasów i kwiecica przepępiał powietrze, z wysokich brzoź rozlegało się kukanie kukulek, jednym słowem wczesne lato rozwijało cały swój urok. Frost botanizował wzdłuż linii kolei, spotykając tu róże alpejskie, bratki, stokrocie i wiele innych kwiatów muie nieznanych. Poczynając od Bisioru, pociąg nasz wciąż wspinał się po lesistych pagórkach, to znów spieszył po przez gęste świerkowe lasy, niedostępne dla stopy ludzkiej; niekiedy przejeżdżaliśmy koło rzek, gdzie setki mężczyzn i kobiet przemysłowali złotonośny piasek; tu i owdzie nęciły oczy przepyszne lesne dąbrowy z malowniczo grupującymi się drzewami. A wszędzie taka obfitość kwiecica: konwalij, róż, fiołków, poziomek i t. d.

Nie mało nas także zdziwiło spotkanie w tej dzikiej okolicy tak trwale, wybornie, a nawet zbyt koźownie zbudowanej linii kolei żelaznej. Budynki kolejowe pomiędzy Permą i Jekaterynburgiem należą do najlepszych w całej Rossyi, wagony zaś mogłyby ubiegać się o pierwszeństwo z pierwszorzędnymi kolejami ro-

syjskimi. Dworce, magazyny, nawet strażnice, wszystko wykończone niezwykle starannie, nawet na zdobnych mozaiką słupach milowych zaznaczono odległość w wiorstach.

Stacya »Niżny Tagł«, gdzieśmy zatrzymali się na obiad, leżąca już na stronie azyatyckiej mogłaby przynieść zaszczyt pierwszorzędnym kolejom. Fundamentalnie zbudowany dworzec kolejowy, mający 100 stóp długości i 20 stóp szerokości, z peronem krytym, żelaznym malowanym dachem, otoczony przepysznym parkiem, z trawnikami, kłębami, pełnymi wonnego kwiecica, a wśród wieńca srebrzystych róż wytryska fontanna. W sali jadalnej, posadzka dębowa gustownie tallowana, ściany do połowy wysokości szalowane dębem, a powyż wybite desenionym safianem. Wielki stół obiadowy zasłany śnieżną bielą obrusem i serwetami, mieścił na sobie przepyszną porcelaną i podziwu godne serwisy kryształowe, wazon z bukietami, a w dodatku akwaryum. Prócz kunsztownie rzeźbionych krzesel, stał na pięknie brązowanym piecu kosztowny zegar. Ubiór służby nie pozostawiał nic do życzenia, nawet kucharz w pełnej bieli nosił na głowie białą, czworograniastą czapkę. Jadalnię tę mogę bez wszelkiej przesady zaliczyć do najwytworniejszych, jakie kiedykolwiek spotykałem w życiu, a gdy w dodatku podano obiad, składający się z wytwornych czterech potraw, wtedy istotnie nie mogłem uwierzyć, że jestem na pograniczu dzikiej Azji. Było to rzeczywiście ostatnie nasze zetknięcie się ze zbytkiem cywilizacyjnym, bo w ciągu uciążliwej, wielomiesięcznej podróży nie spotykaliśmy się już więcej z koleją żelazną.

W piątek 12. lipca przybyliśmy do Jekaterynburga, miasta, położonego na wschodniej pochyłości Uralu, a odległego o 150 mil ang. od granicy sybirskiej. Ponieważ droga żelazna do Tiumenta nie była jeszcze wykończoną, przeto zmuszeni byliśmy jechać końmi, przebywszy tym sposobem w ciągu dziewięciu miesięcy tam i z powrotem około 8000 mil ang. (12870 km.). Na trakcie łączącym Jekaterynburg z Tiumentem

kursowały wówczas poczty pośpieszne, tak, że podróż tę odbyliśmy w ciągu 48 godzin. Towarzystwo prywatne, wydzierżawiające od rządu prawo przewożenia pasażerów na całej tej linii, obowiązane było, za pobraniem oznaczonej taryfą taksy, odstawić ich końmi rozstawionymi do wskazanej miejscowości. Ekwi-pażem używanym tu powszechnie jest tarantas, składający się z wasągu koczowego, półkrytego, spoczywającego na dwóch lub czterech długich dźwawkach, łączących osie i zastępujących powozowe resory. W czasie zaś sloty, zakrywa się on od przodu skórzaną osłoną. Ponieważ w tarantasach nie ma żadnego siedzenia, podróżny przeto składa swe rzeczy na samo dno bryki, zapycha nierówności słomą i pokrywszy to wszystko dywanikiem lub derką, sadowi się, zabezpieczając swe plecy od potłuczenia poduszkami. Opatrzni biletami jazdy, dnia 13. czerwca wgramoliliśmy się do naszego tarantasu, zajmując wcale niewygodne siedzenia na kufrze pana Frosta. Nasz siwobrody kuczer ująwszy w rękę dwie pary powrozianych lejców, zawołał donośnym głosem: »a no przyjaciele!« i wśród odgłosu dwóch nieharmonijnych dzwonek, przytwardzonych do długi konia hołoblowego, przemknęliśmy bystro plac parady, i minąwszy dwa czworograniaste słupy z dwugłowymi orłami, znaleźliśmy się wkrótce w ciemnym, gęstym lesie. Był to właśnie główny szlak sybirski, ciągnący się pomiędzy Uralem i Amurem na długości 3000 mil ang. czyli 4830 km.

Długie szeregi wozów, obładowanych towarami, przekonały nas na wstępie, że dotychczasowe mniemanie nasze o Syberji jako o kraju nieprodukcyjnym, były mylne. Wozów tych nie spotka się nigdzie samopas jadących, lecz złączonych w pewne oddziały czyli grupy zwane obozami. Obóz taki składa się z kilkudziesięciu jednokonných, dobrze wyładowanych kibitek, posuwających się gęsiego. W ciągu niespełna godziny, napotkaliśmy 538 takich wyładowanych kibitek, pierwszego zaś dnia naliczyłem ich 1445. Sam więc ów ruch produktów dowodzi, że Syberja nie jest

pustynią. Z pustyni nie wywozi się dziennie półtora tysiąca tonn produktów handlowych.

Okolo północy, wśród zwiększających się ciemności, karawana zatrzymała się na spoczynek. Wkrótce też oczom naszym przedstawił się bardzo malowniczy obraz: na zrębie lasu w kwadracie sformowanym z uszeregowanych w cztery rzędy kibitek, biwakowali przy żywo płonących ogniach ludzie, prowadzący karawanę, podczas gdy wyprężone i popętane konie pały się pod drzewami na łące. Żywo gorejące ognie obozowe, iskrzące łuną, oświecały stopy posępnej leśnej gęstwiny, podczas gdy nocna zorza smugami matowego światła rozwidniała wierzchołki. Mimo dość dobrej drogi, nie robiliśmy w godzinę więcej nad mil 8, zatrzymując się na stacyach tylko dla zmiany koni. Słońce zachodziło w tej porze o godzinie $\frac{1}{2}$ 10, wchodziło zaś o $\frac{1}{2}$ 3 rano, nocę przeto były dość widne. Często kroć przejeżdżaliśmy przez bardzo wielkie wsie; domy były wszędzie drewniane, wyciągnięte w dwa rzędy wzdłuż gościńca i odgródzone od siebie płotami. Nigdzie nie było widać drzew, ni krzewów. Niektóre wsie ciągnęły się wzdłuż gościńca na 5 mil ang., każda zaś leżała wśród ogrodzonego błonia, zajmującego przestrzeń około 200 do 3000 akrów kwadrat.; w miejscu, gdzie gościniec przerzynał zagrodę, znajdowały się wrota tudzież buda dla stróża. Ci stróże, są to zwykle starzy, sponiewierani przestępcy. Obowiązkiem ich jest strzedz pasącego się w zagrodzie bydła i otwierać w każdej porze wrót przejezdnym, za co pobierają od gminy po 3 do 4 rs. miesięcznie i zamieszkują w nędznych, zawsze pełnych dymu lepiankach.

Jeszcze w dzień wyjazdu naszego z Jekaterynburga widzieliśmy po raz pierwszy dom etapowy i spotkaliśmy transport więźniów w drodze do Syberyi. Z ustaleniem komunikacji wodnej pomiędzy Niżnym-Nowgorodem i Perną tudzież z wykończeniem linii kolei żelaznej uralskiej, wygnańcy z wszystkich miejscowości na wschód Uralu położonych, z więzień: moskiewskiego, niżnionowogrodzkiego i kazańskiego wy-

selani są parostatkami i koleją żelazną do Jekaterynburga. Na drugiej stronie Uralu następuje rozdział więźniów na oddziały i stąd już wszyscy zmuszeni są pieszo wędrować do miejsc im naznaczonych. Wyjątek stanowią ludzie zaliczeni do klasy uprzywilejowanej, jakoteż chorzy i mocno wycieńczeni, którzy wloką się za etapem w jednokonnych kibitkach. Ponieważ po za Tomskiem miałem sposobność podróŜowania z takim etapem wygnańców, przeto opisanie ich sposobu życia w czasie marszu pozostawiam na później.

Drugiego dnia naszej podróŜy z Jekaterynburga pomiędzy wsiami Markowa i Tugulińskaja, wśród rzadkiego lasu, woźnica nasz powstrzymawszy nagle konie zawołał: »Tu granica!« Wyskoczywszy z tarantasu zoczyliśmy przy gościńcu czworograniasty 10 do 12 stóp wysoki, słup murowany, opatrzony z jednej strony herbem europejskiej guberni permskiej, z drugiej zaś azyatyckiej — tobolskiej. To był znak graniczny sybirski. Poczynając od Petersburga do oceanu Spokojnego, do żadnej miejscowości nie przywiązuje się tyle bolesnych wspomnień; żadna z nich nie przedstawia dla przejezdnego tyle przykrego zajęcia jak ten kawałek przerzedzonego lasu z owym bólem, żalością i łzami uświęconym słupem.

Żaden inny znak graniczny na całej powierzchni ziemi nie był świadkiem tak wielkiej nędzy ludzkiej: około żadnego z nich nie przechodziła taka mnogość istot z poszarpanem i stargnem boleścią sercem. Już od r. 1878 przywędrowało tędy 170.000 wygnańców, od początku zaś bieżącego stulecia — zwyż pół miliona. Ponieważ ów kamień graniczny stoi pomiędzy dwoma krańcowemi stacyami: rosyjską i sybirską pozwolono jest wygnańcom wytchnąć tu chwilę, i ostatniem słowem pożegnać dom ojczysty i ziemię rodzinną: chłop rosyjski choćby zbroduiarz nawet, nosi w sobie gorącą miłość do ojczystej ziemi, to też przy tym słupie granicznym odbywają się nieraz sceny rozdzierające serce. Wielu, nie mogąc się rozstać z szarpającym ich bólem, noszą go wciąż z sobą i w sobie; inni szukają w łzach

pociechy; niektórzy rzucają się na kolana, zwracając twarz ku ziemi rodzinnej, lub też przytulają usta do zimnego muirowanego słupa, jakby on był dla nich symbolem tego, co ukochali a z czem rozłączają się może na zawsze.

»Formować szereg« brzmi rozkaz podoficera prowadzącego kolumnę. Na komendę: »naprzód marsz!« wygnańcy i przestępcy robią spieszenie znak krzyża, i przy głuchym brzęku kajdan, partya powolnym krokiem rusza ku granicy sybirskiej.

Na słupie tym widocznie było wiele napisów, słów pożegnalnych, nazwisk i t. d. W czasie naszych nawiedzin powłoka cementowa prawie ze szczętem odpadła; bardzo więc mało pozostało napisów rozrzewniających lub obudzających zajęcie. W jednym miejscu przeczytałem napis: Bądź zdrowa, Maryo! Dla wygnańca piszącego te ostatnie słowa pożegnalne na słupie granicznym. owa Marya musiała być wszystkim na świecie; przestąpienie więc granicy, było pozbawieniem go ojczyzny, strzechy rodzinnej i miłości.

Zatknąwszy kilka kwiatów u podnóża słupa granicznego, siedliśmy do tarantasu i powiedziawszy Europie za przykładem setek tysięcy: »bądź zdrowa!, podążyliśmy do Syberyi.



II.

Równiny i więzienia w zachodniej Syberyi.

Przekroczywszy granicę sybirską pomiędzy Perma i Tobolskiem, zapuściliśmy się w głąb owej carskiej prowincyi, która ze względu na obszar i produkcję przechodzi przypisywane jej dotąd znaczenie. Syberya rozciąga się od południa ku północy od Siemireczyńska i przylądku Czeluńskiego aż pod 30° szerokości geograficznej, i od Urala do zatoki Berynga; zaś od zachodu na wschód, do 130° długości geograficznej. Na tej więc ogromnej przestrzeni pomieścićby się mogły całe Stany zjednoczone północnej Ameryki, poczynając od Mainu do Kalifornii, i od górnych mórz europejskich do Golfu i Meksyku razem z Alaską i ze wszystkimi nóstwami europejskimi z wyjątkiem Rossyi, a prócz tego pozostałoby jeszcze dość miejsca wolnego dla połowy cesarstwa niemieckiego.

Łatwo pojąć, że kraj obejmujący przestrzeń 5¹/₂ milionów mil kwadrat., czyli 12 milionów km. kwadratowych, ze względów klimatycznych, etnograficznych i wegetacyjnych przedstawiać musi rażące różnice, i że nie może on być cały jałową, arktyczną pustynią. Rzucawszy okiem na kartę geograficzną widzimy, że najważniejsza część zachodniej Syberyi leży więcej ku południowi niż Nizza, Medyolan i Wenecya, a zaś granica południowa Siemireczyńskiej prowincyi, sięga bliżej równika niż Neapol. Średnia temperatura niektórych miej-

scowości prowincyi Jakuckiej dochodzi w styczniu —50° (Farenheita), podczas gdy w Siemipalatyńsku podnosi się ona do +72° (Farenheita); zdarza się zaś nieraz, że w cieniu średnia temperatura dochodzi do 95°, a nawet 100° Farenheita. Na półwyspie Taimurze, ziemia wśród lata nawet nie taje głębiej, jak na kilka cali, całą zaś tameczną vegetacyę stanowią krzewy i mchy, podczas gdy południowe części zachodniej Syberyi obfitują mnóstwem dojrzałych kawonów, melonów i wieloma gatunkami tytoniu.

Zima w ogóle w całej Syberyi, jest bardzo surowa, zaś lato stosunkowo nader gorące. Na całym pasie żywej, uprawionej ziemi, 400—500 mil szerokim, przecinającym Azyę środkową, wzdłuż granicy mongolskiej, leży szereg miast, których średnia temperatura w czerwcu, lipcu i sierpniu przewyższa temperaturę Londynu. Średnia temperatura Irkucka przewyższa o 5° temperaturę Dublina; Tobolsk ciepłym jest o 4° od Londynu; temperatura Siemipalatyńska wyrównywa w sam raz temperaturze Bostonu; zaś lato w mieście Wierny jest równie gorące jak w Chicago.

Ktokolwiek znalazł się w porze letniej po raz pierwszy za Uralem, tego wprowadzić musi w podziw ciepło słoneczne i bogactwo flory syberyjskiej. Aczkolwiek byliśmy przygotowani podróżą po Kamie na spotkanie się z czemś niezwykłym, to mimo to krajobrazy, flora zachodnio-syberyjska i pogoda, przesły nasze oczekiwania. Niebo było czyste, pogodne; drzewa obficie przystrojone zielenią; na zastanych kwiatami łąkach brzęczały pszczoły; z srebrno-białych brzoź odzianych bujnym liściem dochodził świergot ptactwa; powietrze przesycone było wonią kwiatów i zół, a słońce czerwcowe tak szczerze darzyło swymi promieniami, że z pogodniejszym dniem trudno byłoby się spotkać w najładniejszej miejscowości sfery umiarkowanej. Pomiedzy stacyami Czeremińskaja i Sugatskaja, ziemia urodzajna i dobrze uprawiona. Bezleśne, lekko wzdęte płaszczyny gdzieniegdzie poprzerzynane borkami lub też brzożowo-osikowymi gajami. Pomiedzy długie niwy

obsiane żytem i pszenicą, wciskały się smugi świeżo zoranej nowiny, albo też obszerne bujne łąki, zastane kaczynicem, brodownikiem, pierwiosnkami, na których pasły się krowy i owce. Różnobarwne ubiory pracujących w polu wieśniaków i wieśniaczek urozmaicały krajobraz. Gościniec niekiedy wprowadzał nas w chłodne lasy, lub snuł się po bezmiernych łąkach, jakby umyślnie zasianych niezabudkami. Wszędzie kwiaty i kwiaty, a jakże rozmaite; jaka ich obfitość! Step zmienił się w morze kwiatów, — trawy nie widać było nawet, tak gęsto pokrywało ją kwiecie złoto-żółtego podróżnika. Wielomilowa przestrzeń niebieska od mnóstwa niezapominajek, zdawała się wód oceanem, w którego zwierciadle przeglądały się niebiosy.

Gościniec jekaterinbursko-tiumeński na całej swej długości, z wyjątkiem okolic leśnych, jest wysadzony po obu stronach przepysznyimi, płaczącymi brzożami, które splatając się wzajemnie gałęziami, tworzą sklepienie, nieprzepuszczające promieni słonecznych. Milowe odległości przebywaliśmy często pod tym zielonym baldachimem, wspierającym się na srebrno-białych kolumnach. Zdawało mi się koniecznie, że nie jestem na sybirskim gościńcu, lecz w jakimś starannie utrzymanym parku i oczekiwałam wciąż spotkania się tutaj z angielskim zamkiem lub też przepyszną willą.

Podanie niesie, że brzozy te posadzono z rozkazu Katarzyny II., stąd też część ta gościńca sybirskiego nazywa się »aleją jekateryńską«. Nie wchodzę w to, czy caryca kierowała się tu myślą ułatwienia wygnancom pochodu w czasie lata, lub też zwiększenia napływu ludności do kraju, jakbądź jednak, aleje te uwieczniły jej pamięć i tysiące strudzonych wędrowców, znajdujących schronienie przed żarem słonecznym pod konarami tych brzoź, nie przestają błogosławić jej imienia.

Każdego podróżującego po zachodniej Syberyi Amerykanina, uderzyć musi na wstępie zupełny brak w tym kraju domów wieśniaczych i ogrodzeń. Grunt orny rozdzielono tu wprawdzie na parcele, ale nigdzie

nie ma ogrodzenia, tak, że na wielomilowych przestrzeniach uprawnej ziemi, oko nie spotka się z jednym nawet kołkiem. Przyczyną zupełnego braku płotów w zachodniej Syberyi jest przyjęty tu powszechnie zwyczaj, wypuszczania bydła na wspólnie pastwisko, położone w obrębie wsi. Brak zaś domów mieszkalnych tłumaczy się tem, że włościanin sybirski, będąc czasowem tyłką posiadaczem gruntu, nie widzi potrzeby zabudowywania się na nim. W ogóle grunta tamtejsze są wyłączną własnością rządu, i aczkolwiek gmina upoważniona jest do darzenia każdego swojego członka kawałkiem ziemi, to wszelako przy każdym nowym podziale, dotychczasowy jej posiadacz może być wywłaszczonym, a w danym razie i wyrzuconym z własnej swej chałupy.

Drugą charakterystyczną cechą zachodniej Syberyi jest lichy stan budynków gospodarskich po wsiach, a nawet ich zupełny niedostatek, co w obec ogromu gminnych gruntów i dobrobytu krajowego rażąco przedstawia przeciwieństwo. Każdą wieś sybirską składają dwa rzędy wzdłuż gościńca wyciągniętych domów drewnianych, z ogrodzonymi podwórkami, mieszczącymi stajnie, szopę, stodołę i szpiczlerz. Domy mieszkalne, mimo szczytowych sztukaterii, są przeważnie niezgrabne, często wpół zbutwiałe, drewniane chłopskie chałupy. Jedna i jedyna ulica wiejska, będąca zarazem głównym gościńcem, przekształca się w czasie deszczów w wielką kałużę. W całej wsi nie widać ani jednego drzewa, krzewu lub kawałka łąki. Włochate, obwalane świnie tarzają się w błocie, lub też uganiają po ulicy za żerem, co wszystko świadczy o ubóstwie i braku zamyślenia do porządku. Na szczęście jednak nie wszędzie tak jest, przeciwnie, większość mieszkańców lubi wygodę i cieszy się dobrobytem. Wieśniak sybirskiego mało obchodzi powierzchowność jego siedziby; nie stara się ją upiększyć, ani też utrzymywać w należytym porządku. Natura zda się odmówiła mu zmysłu towarzyskiego, jakoteż ducha przedsiębiorczego. Do czasu gotów on patrzeć na wszystko z założonymi rękoma,

dopiero przyparty koniecznością bierze się do pracy. Pozorna ta obojętność, jest po części niewątpliwie wynikiem przeszkód, stawianych ze strony ojcowskich rządów. Niepodobna jest nawet wymagać od włościan dbałości o dobro gminne tam, gdzie każdy zamiar skierowany ku temu, w samym zarodku zostaje przez rząd ubezwładnionym, gdzie przeprowadzenie lada jakiej nawet melioracyi zawisło od widzimisię pierwszego lepszego policyjnego urzędnika. W obec takich nieprzyjaznych okoliczności, włościaninowi sybirskiemu nie pozostaje nic więcej jak służyć ślepo władzy urzędowej, oddać się na jej łaskę, i dziękować Bogu że tak jest jak jest, bo mogłoby być gorzej.

Zmysł estetyczny wieśniaków zachodnio-sybirskich znamionuje się wyłącznie w zamilowaniu do kwiatów. W całej wsi nie widać ani jednego drzewa ani źdźbła trawy, ale za to w oknach pełno fuksyi, oleandrów, kaktusów, geranij, róż herbacianych i gwoździaków. Zbiór kwiatów, znajdujących się u ubożego nawet włościanina sybirskiego, przyniósłby zaszczyt cieplarni istotnego amatora. Szkło używane tu powszechnie do szyb, z przyczyn szczególnego swego składu chemicznego lub też innych, natury fizycznej, pod wpływem promieni słonecznych nabiera z czasem własności opalizujących, mieniając się tęczowymi barwy, co przy poczerńniętych futrynach okien taki sam wywołuje kontrast, jak owe pyszne kwiaty w obec błotnistej, ogołoczonej z drzew ulicy.

Na dojeździe do Tiumentia, owe podziwiane przez nas obszerne, żyzne, uprawne równiny ustępują miejscu zimnym, bagnistym, nieprzepuszczalnym podlesiom. Gościńiec dotychczas stosunkowo równy i suchy, zmienia się w jakieś czerniejące, błotniste stawisko, po którym ciężki nasz tarantas grzęźnie po same osie tak, że w ciągu czterech godzin przebyliśmy ledwie 18 mil ang. czyli 25 km. Próbowano w niektórych miejscach poprawić ów błotnisty gościńiec nakładaniem kłoców, drzewo jednak nie przeciwstawiało należytego oporu gniotowi toczących się po nim tysięcy wyladowanych

wozów; zamiast tedy poprawy, potworzyły się na gościńcu tak wielkie wyboje, że przejazd stał się zupełnie utrudnionym. Tarantas nasz tak niezdolnie podrzucał, że woleliśmy wysiąść i iść piechotą; dręczeni jednak skwarem słonecznym i jadowitymi muszkami sybirskimi, zmuszeni byliśmy po upływie niespełna 20 minut wsiąść do tarantasu z pokąsanymi do krwi twarzami. Jedynym owocem tego spaceru była wiązanka zebranych przez nas kwiatów. Gdybyśmy z panem Frostem pierwsi byli odkryli ten kraj, to o nazwie jego rozstrzygałyby kwiaty lub też złośliwe muszki; nosiłby więc miano: Floryda albo Kuleksia.

Na dojeździe do ostatniej wsi przed Tiumeniem, powitał nas donośny głos dzwonka, żywo przypominający licytację. Zatrzymawszy się w samych wrotach, zoczyliśmy przed sobą człowieka w czarnej, długiej kaptocie, z długimi spadającymi na ramiona płowymi włosami, ze skarbonką na szyi i dzwonkiem w ręku, ukazującego na jakiś ciemny obraz w złoconych ramach, przedstawiający zapewne jakiegoś świętego rosyjskiego. Nareszcie człowiek ów, usiłujący ciągłymi pokłonami i żegnaniem się, sprowadzić na nas boskie błogosławieństwo, poprosił o datek dla tuż obok wrót stojącej cerkwi. Ów dzwonek licytacyjny, obraz świętego, kopytkowe i żebrak kościelny, wszystko to razem tak się wydało pociesznem panu Frostowi, że spytał: czy gościńiec po którym jedziemy należy do świętego i czy on jest poborcą kopytkowym. Strażnik odpowiedział, że święty nic nie ma z gościńcem wspólnego, ale że cerkiewi jego uboga a dobrzy panowie przejeżdżając tedy starają się ją wspierać i nie zapominają także o biednym stróżu. Rozumie się, że obaj szlachetni panowie z pokąsanymi twarzami, rozczochranymi włosy, siedzący w całej swej dostojności w zabłoconym tarantasie na kufrze, mieli nadto delikatnego uczucia, by podobnej prośbie odmówić. Rzuciliśmy tedy owemu stróżowi kilka miedziaków z tem zastrzeżeniem, aby połowę tego datku włożył do skarbonki świętego; po uiszczeniu zaś daniny dwom wielkim rosyjskim

instytucyom, cerkwi i szynkowi, ruszyliśmy w dalszą drogę.

We czwartek 18. czerwca, gdy opuszczając las wjechaliśmy na szerokie błotniste łąki, jakby umyślnie zasiane ostromleczem, woźnica nasz ukazując przed siebie biczem, zawołał: »tam leży Tiumeń!« Jakoż w dali zarysował się przed nami długi szereg dachów drewnianych, poprzegradzany gdzie niegdzie bielejącymi się murami cerkwi lub budynków rządowych. Na wjeździe do miasta zoczyliśmy czworokątną marmurową kolumnę, wystawioną przez mieszczan tiumeńskich w r. 1868 na pamiątkę bytności wielkiego księcia Włodzimierza; spotkaliśmy oddział żołnierzy idących na ćwiczenia strzelnicze, i minawszy długi szereg niskich drewnianych stodół otoczonych mnóstwem płótnem krytych kibitek, używanych do przewozu wygnańców, wjechaliśmy w środek miasta.

W Tiumeniu są dwa czy też trzy hotele; idąc za radą naszego woźnicy zajechaliśmy do Kowalskiego, utrzymującego tam w wynajętym domu pokoje gościnne. Staaliśmy przed tym domem o godzinie 6, ale tak znużeni tą ostatnią 40-godzinną podróżą, że z trudnością przyszło nam się wygramolić z tarantasu. Co do mnie, czułem się tak dalece wyczerpanym z sił, że nie byłbym w stanie nagiąć mego grzbietu nawet przed samym carem wszech-Rosyi; z trudem wywindowaliśmy się na pierwsze piętro i zaspokoivszy dopominające się posiłku żołądki, legliśmy do snu.

Tiumeń, od którego rozpoczęliśmy właściwie nasze badania nad systemem deportacyjnym, leży na wschód Petersburga w odległości 1700 mil czyli 2740 km. nad rzeką Turą, powyżej złączenia się jej z Tobolem. Miasto to, zarówno jak i jego okolice, pod względem handlowym ma doniosłe znaczenie. Zatrzymam się dłużej na tym przedmiocie, w celu przytoczenia dat statystycznych mających uzasadnić wygłaszane już poprzednio moje uwagi nad tytoniem, roślinami storczykowymi w Syberyi i tamecznymi wielbładami, które to uwagi zdawały się dla wielu przesadzonymi a nawet

śmieszni. Gubernia tobolska, z którą na wstępie spotkać się musi każdy podróżny zmierzający z Europy do Syberyi, rozciąga się od wybrzeży oceanu Lodowatego aż do żarem słonecznym wypalonych stepów akmołińskich i siemipałatyńskich; zaś od Uralu, — do granic gubernii Jenissejskiej i Tomskiej. Zajmuje ona przestrzeń 59.000 mil kwadratowych (152,743.979 ha), z której przypada 270,000.000 akrów (10,926.000 ha) na grunt orny; ma ośm miast, liczących z osobna od 3000 do 20.000 mieszkańców; ludność zaś całej gubernii wynosi 1,200.000 dusz. Według wykazów statystycznych gubernia Tobolska produkuje rocznie 30,044.800 czetwereków (zwyż 10¹/₂ milionów hektolitrow) zboża, 3,778.230 czetw. kartofli, i posiada 2,647.000 sztuk bydła rogatego. Przestrzenie te dostarczają Rossyi ogromną ilość płodów surowych jako to: skór, łaju, szerści, futer, pieprzu, lnu; corocznie wysyła się stąd do Konstantynopola 2,000.000 funtów masła, a na targach miejscowych wymieniają lub sprzedają masła tiumeńskiego za 35,000.000 rs. Przemysł handlowy będący tu jeszcze w kolebce, zatrudnia 6352 przedsiębiorców i dostarcza na jarmarki towarów w wartości 8,517.000 rs. Prócz robotników fabrycznych zamieszkuje w mieście 27.000 mechaników i rękodzielników. Domowy przemysł tej gubernii doszedł równie do wcale znacznego stopnia rozwoju, — wyrabiają bowiem tu rocznie 50.000 dywaników i derek wełnianych; 1,500.000 motków (sześciostopowych) szpagatu na sieci rybackie, 50.000 beczek drewnianych, 70.000 kibitek, powózek i sań skóry wyprawiane w tutejszych garbarniach przedstawiają wartość 50,000.000 rs., a oprócz rzeźzonych towarów wyrabiają tu jeszcze znaczną ilość kozuchów, rękawic, pończoch, pasów, koronek i kunsztownie wyszywanej bielizny. Rzeka Ob i wpadające do niej inne, dostarczają rocznie zwyż 8.000 beczek ryb, do zasolenia których zużywa się 3000 beczek soli. Tiumeń, najważniejsze z miast całej guberni Tobolskiej, złączony jest wodną komunikacją przez rzekę Turę z wszystkimi rzekami wpadającymi do Ob, a zatem —

z przeważną częścią zachodniej Syberyi, poczynając od Tomska i Siemipałatyńska po same wybrzeża oceanu Lodowatego; z liczby 58 parostatków kursujących po rzece Ob i innych do niej wpadających, przeważna ich część krąży pomiędzy Tomskiem i Tiunieniem, towar zaś transportowany przez te dwa miasta, przedstawia wartość 30 do 40 milionów rs.

Syberya dowozi corocznie na jarmark w Niżnym-Nowgorodzie płodów na 16 milionów rubli, natomiast otrzymuje z Rossyi 300.000 tonn wyrobów rękodzielniczych. Te statystyczne daty wykazują, że Syberya niekoniecznie jest lodową pustynią, za jaką zwykła powszechnie uchodzić.

W Tiunieniu mieliśmy najlepszą sposobność przekonania się o zmienności klimatu sybirskiego; po pięknym łagodnym dniu, zerwał się nagle od oceanu Lodowatego zimny, przenikliwy wicher z gwałtownym deszczem, zmieniając niebrukowane ulice miejskie w błotniste jeziora; faktycznie, nie można było zrobić kroku za drzwi domu. Przywoławszy dorożkę, ledwie nam się udało dobrnąć do poczty i z powrotem do domu, gdzie już resztę dnia spędziliśmy na czytaniu otrzymanych z kraju 18 listów i pisaniu odpowiedzi. — W sobotę, korzystając z chwilowej pogody, postanowiliśmy zwiedzić miasto, jednakowoż niepodobna było się wyruszyć, gdyż na niebrukowanych ulicach stały kałuże; tak, że miasto nie różniło się od zwykłych przydrożnych osad wiejskich, chyba tylko stosunkowo większymi domami mieszkalnymi i błotnistymi chodnikami. Zarówno tam jak tutaj nie widno było drzew ni krzewów, a jedyne urozmaicenie stanowiły zielone kopuły cerkiewne.

Z licznych listów polecających, jakimi nas zaopatrzone w Petetersburgu, pozostał tylko jeden do dyrektora szkoły realnej w Tiunieniu pana Słowcowa. W niedzielę po południu błysnęło słońce, z czego też korzystając udaliśmy się do mieszkania tego pana, gdzie doznaliśmy najserdeczniejszego przyjęcia. Szkoła, której był dyrektorem, zajmowała największy i najpię-

kniejszy budynek podarowany miastu Tiumeniowi przez tamecznych kupców, a kosztujący ich 85.000 dolarów; mieściło się tu kilka oddziałów, mianowicie: mechaniczny z maszynami parowymi, tokarnią i różnymi warsztatami; nauk przyrodniczych zaopatrzone przesłicznymi aparatami fizycznymi a nawet telefonami Bella, Edisona i Dobleara, fonografem, a prócz tego znajdowało się tu wzorowo urządzone laboratorium chemiczne; dalej, — oddział mechaniczno-artystyczno-rysunkowy, dobra biblioteka, wytworne muzeum i 900 okazów roślin dziko rosnących w okolicach Tiumentia. Jednym słowem szkoła ta przynieść by mogła zaszczyt każdemu równorzędnemu miastu świata cywilizowanego.

Pan Słowcow dał nam adres pewnego Szkota p. Jakóba R. Vardropera, zamieszkałego od zwyż 20 lat w Syberii, przemysłowca, do którego udaliśmy się wprost i przyjęci z całą serdecznością, zaraz na wstępie uczuliśmy się jak we własnym domu.

Tiumeń mieści w sobie jedno z największych więzień etapowych w całej Syberii; zatrzymują się tu wszystkie transporta wygnańców i skazanych w ciężkie roboty. W biurze administracyjnym sporządzają się wszystkie protokoły i wykazy statystyczne, dotyczące systemu deportacyjnego. Okupiwszy w Permie samą tylko chęć przyjrzenia się więzieniu chwilowym, osobistym aresztem, nader małą tylko mogliśmy mieć nadzieję na pomyślny skutek naszej prośby względem zwiedzenia tutejszego więzienia. Pan Vardropper wszakże będący innego zdania, udał się nazajutrz z nami do naczelnika okręgu p. Krassina, który odczytawszy doręczony mu przezemnie list ministra rossyjskiego, przyjął nas z przechodzącą wszelkie oczekiwanie serdecznością. Poprosiwszy nas na śniadanie, oznajmił p. Krassin, że o przejeździe naszym przez Syberję zdawna był uprzedzonym urzędownie jako też listami prywatnymi, i że jest do naszych usług. Wypowiedziawszy swe obawy ze względu na ciasnotę panującą w więzieniu, i złe warunki sanitarne, bez wszelkiego

wahania pozwolił nam obejrzeć więzienie, a w dodatku przyrzekł w tej wyprawie nazajutrz osobiście nam towarzyszyć.

Nagła słabość p. Krassina stanęła na przeszkodzie w dotrzymaniu danego przyrzeczenia, o czym uprzedziwszy nas, nadesłał zarazem list polecający do rządcy więzienia.

W środę więc rano około godziny 10. skierowaliśmy się w towarzystwie pp. Vardropera i Ignatowa b. członka komitetu nadzorczego, ku bramie więzienia etapowego. Jestto budynek murowany, otynkowany, około 75 stóp długi, a 50 stóp szeroki, pokryty blachą cynkową i obwiedziony murowanym parkanem, strzeżonym przez żołnierzy uzbrojonych karabinami systemu Berdana; po prawej stronie bramy stał mały budynek mieszczący kancelaryę więzienną i odwach. Przed więzieniem siedziało kilkanaście przekupek sprzedających więźniom chleb żytny, zimne mięso, jaja solone, mleko i pierogi nadziewane rybą. Więzienie tiumeńskie zbudowane pierwotnie na 500 tylko aresztantów, obecnie zwiększone dwoma przystawionymi drewnianymi barakami, miało mieścić ogółem 800, tymczasem zastaliśmy tam, jak to wykazywała wisząca nad bramą tabliczka, 1741 dusz. W bramie zatrzymał nas szyldwach; zawiadomiony on jednak o dozwołonym nam wstępie do więzienia, zawołał: »starszyj!«; bezzwłocznie pojawił się podoficer, z szablą przy boku i pistoletem u pasa, i odebrawszy z rąk moich list polecający, poniósł go do rządcy więzienia. Po chwili wpuszczono nas w podwórze, po którym włóczyło się kilkudziesięciu aresztantów w szarych, długich chałatach z żółtymi kwadratami na plecach; bielizna na nich była z grubego płótna, a głowy pokrywały szerokodenne, szare czapki. Prawie wszyscy byli okuci w kajdany bręcząc nimi, jakby wielkimi pękami kluczy.

»Kamera«, czyli cela, do której nas wprowadzono, mieściła się w jednopiętrowej, drewnianej przystawce.

Ściany tej celi, około 35 stóp długiej, 25 szerokiej, a 12 wysokiej, czerniły się od brudu; podłoga pokryta była skorupą zaschniętego błota, światła zaś dziennego dostarczały skąpo trzy okratowane i na dziedzińcu wychodzące okna. W samym środku stały nary, czyli wielkie ławy drewniane 30 stóp długie, a 12 szerokie, na których kładą się więźniowie w dwa ściśnione rzędy, zwrócenie do siebie głowami. Oprócz tego jedyne go sprzętu, znanego w więzieniach syberyjskich, mieścił się jeszcze wielki, drewniany kubeł na odchody. Pościeli nie otrzymują więźniowie żadnej, spiąc na gołych deskach, okryci aresztanckimi chałatami. Gdyśmy wchodzili do tej celi, więźniowie zerwawszy się z swych legowisk wśród brzęku łańcuchów i obnażywszy głowy, stanęli w milczeniu wyciągnięci w jeden szereg. — Jak się macie zuchy? — spytał rządca. — Życzymy zdrowia Waszej Mości — zawołało sto głosów chórem. Więzienie jest bardzo przepelnione, — mówił rządca, ot n. p. ta cęła mająca 25 stóp długości, mieścić powinna 35, a najwyżej 40 ludzi. — Wieleż was tu nocowało dzisiaj? — spytał zwracając się ku więźniom. — Stu sześćdziesięciu — zaintonowało razem pół tuzina głosów. — W tej celi oznajmił on — mieści się cztery razy więcej ludzi, niż być powinno. Tak samo dzieje się w całym więzieniu. — Nie dostrzegłem nigdzie śladów wentylacji, a powietrze było tak zepsute, że prawdziwie tamowało oddech. W następnych sześciu celach tenże ścisk co tutaj, w każdej z nich mieściło się cztery razy więcej ludzi nad liczbę przepisaną. W wielu celach była taka ciasnota, że mimo możebnego kupienia się aresztantów, znaczna ich część nie znajdując pomieszczenia na narach, walała się po podłodze. W jednej zaś, zoczyłem kilku ludzi tak dalece wycieńczonych, że nie mogli utrzymać się na nogach.

Po zwiedzeniu »baraków«, czyli przystawek drewnianych, weszliśmy do głównego budynku więziennego, mieszczącego kuchnię, warsztaty, szpital i inne jeszcze cele, znajdujące się ze względów sanitarnych w gorszych nierównie warunkach, niżeli już przez nas

zwiedzone. P. Ignatów, któremu jako b. członkowi komitetu nadzorczego nadto dobrze znany był oplakany stan tiumeńskiego więzienia, powstrzymał się od towarzyszenia nam w dalszych oględzinach. Po obu stronach ciemnego, brudnego, wilgotnego korytarza ukazywały się szeregi ciężkich drzwi, prowadzących do cel o przestrzeni 80 — 150 stóp kwadratowych, a mieszczących od 30 do 60 aresztantów. Nary tych cel zupełnie też same, co w poprzednich, okienka gęsto okratowane, wentylacji zupełnie żadnej; w niektórych celach zamieszkiwało po 8 do 10 osób, należących do inteligencji, w obec których rządca więzienia zdejmował czapkę. Musieli być to więźniowie polityczni, bo ta część więzienia, jak mi mówiono, dla nich była przeznaczoną. Powietrze w korytarzach, jakoteż w celach, było istotnie zabójcze; zawierało ono w sobie jak najmniej atomów tlenu, będąc przesycone wyziewami febrycznymi, rozchodzącymi się po więzieniu z nigdy nie wentylowanych izb lazaretowych, gdzie prócz wszelkich innych nieczystości, można było widzieć przepelnione wydzielinami drewniane naczynia. Tamowałem oddech dopóki tego siły pozwalały, każdorazowe bowiem wciągnięcie w pierś owego zgnitego powietrza, oddziaływało na mnie trująco, tak, że nogi zaczęły chwiać się podemną. Zauważywszy to rządca, rzekł do mnie: »nie jesteś pan przyzwyczajony do powietrza więziennego; zapal tymczasowo cygaro, a skoro zajdziemy do apteki poprosimy o wino, po którym uczujesz się pan lepiej«. Usłuchawszy jego rady, towarzyszyłem mu dalej. Zaszliśmy teraz na drugie piętro, zwiedziwszy tam warsztaty ustawione w dwóch małych celkach, nie odpowiadających bynajmniej swemu przeznaczeniu; w jednej z tych celek kilku aresztantów szyło obuwie, w drugiej zaś odbywały się próby stolarskie bez pomocy odpowiednich jednak narzędzi i instruktora. Było istotnie śmiesznem, mianować te celki warsztatami. W suterrenach więziennych mieściła się brudna kuchnia, gdzie kilku obnażonych po pas ludzi zagniatąo żytnie ciasto, inni krzatali się

około zatłuszczonego drewnianego kotła, w którym gotowano zupę. Spróbowaawszy owej zupy, przy pomocy podanej mi drewnianej łyżki, znalazłem ją dość pożywną. Chleb był czarny i kwaśny, ale nie gorszy od używanego powszechnie przez rosyjskich włóścian. Porcja dzienna każdego aresztanta składa się z 2 $\frac{1}{2}$ funtów czarnego chleba, sześciu uncji gotowanego mięsa, trzech do dwóch uncji owsianej lub jęczmiennej kaszy, tudzież szklanki rosyjskiego kwasu. *)

Po zwiedzeniu warsztatów, kuchni, jakoteż cel pierwszo- i drugopiętrowych, rządca więzienia spytał czy nie życzymy sobie obejrzeć lazaretu. — Dobrze, odpowiedziałem — obejrzymy już wszystko, cokolwiek jest do widzenia. — Ciekawość ta moja zdawała się mu niezrozumiałą; powstrzymawszy się jednak od zrobienia mi jakiegokolwiek uwagi, wstrząsnął ramionami i powiódł nas na trzecie piętro, zajmowane wyłącznie przez chorych. Cele szpitalowe były nierównie większe od właściwych więziennych i przytem widniejsze, nie mogłem jednak zauważyć tu nigdzie nawet śladów wentylacji. Przesyczone chorobliwymi wyziewami powietrze świadczyło, że środki desinfekcyjne są tu wcale niezbrane. Podług mego zdania, powietrze to w ciągu ośmiu dni mogłoby zabić zdrowego nawet człowieka; nie pojmowałem też, jakim sposobem chorzy mogą odzyskiwać tu zdrowie. W każdej z tych cel mieściło się 12 do 15 uszeregowanych w trzy rzędy żelaznych łóżek. Pościel składała się z cienkiego materacyka, częściej zaś z szarego siennika, jednej poduszki, grubej szarej kołdry, lub też płachty pozszywanej z łachmanów. Pan Frost utrzymuje, że na niektórych łóżkach widział szare, płócienne prześcieradła i takie powłóczki na poduszkach, czego ja jednak przypomnieć sobie nie mogę. Nad głowami każdego chorego przybita była

*) Podług sprawozdania inspektora traktu za r. 1884, utrzymanie dzienne każdego zwykłego aresztanta w więzieniu kosztuje rząd 6 kop., zaś zaliczonego do klasy uprzywilejowanej 10 kop.

czarna tabliczka z napisem: nazwy choroby pacjenta, i daty wstąpienia jego do szpitala. Panującymi tu chorobami były: szkorbut, tyfus, gastryczna febra, bronchitis, reumatyzm i syfilis. Chorzy na tyfus mieścili się w osobnej izbie, tych jednak nie klasyfikowano podług stopnia i rodzaju choroby. Dano chorym miejsce do spoczynku i to stanowiło całą kurację. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć więcej wybladłych, wynędzniałych i przygnębionych moralnie twarzy jak w szpitalu tiumeńskim. Chorych nie tylko trawiło zwątpienie, ale nadto boleść zdawała się rozrywać ich serca. Czyż ludzie, w obec tak strasznej nędzy i wśród tak zabójczych warunków istnienia mogą wyglądać inaczej?! Nad drzwiami tego szpitala powinien tkwić napis: »Wy, którzy tu wchodzicie, pozostawcie za sobą wasze nadzieje.« *)

Po zwiedzeniu oddziału chorych dotkniętych tyfusem, dalszem oględzinom więzienia dałem za wygrane, trawiony jedynem życzeniem odetchnienia świeżem powietrzem. Rządca poprowadził nas do apteki więziennej, gdzie poczęstowano nas jakimś mocnym napitkiem, a następnie skropiono odzież naszą rozcieńczonym kwasem karbolowym, co też istotnie podziało dobrze. Znalazłszy się na dziedzińcu, odetchnąłem całą piersią z tem błogiem uczuciem, jakiego doświadcza człowiek wyciągnięty z pod wody.

— Jak wiele więźniów umiera rocznie w szpitalu — spytałem rządce.

— Około 300 — odpowiedział on. — Każdej prawie jesieni panuje tu tyfus, i czyż może być inaczej, jeżeli w budynku, przeznaczonym na 800 osób, mieści się ich aż 1800? Tak przepelnione więzienie nie może być nigdy utrzymanem w czystości; przekonałeś się pan naocznie, jakim powietrzem oddychają więźniowie.

*) Koszta utrzymania i leczenia wynosiły w r. 1884 od każdego chorego 27 cent. dziennie; zaś pogrzebanie zmarłego 1 dolar 57 cent. (sprawozdanie inspektora traktu za r. 1884).

W jesieni bywa jeszcze gorzej; wśród lata można przynajmniej odświeżać powietrze otwieraniem okien, podczas burzy jednak i zimna muszą być one zamknięte. Pod tym względem my wszyscy cierpiemy na równi z więźniami. Mój asystent, zaraziwszy się na służbie tyfusem, przez całe sześć tygodni nie wstawał z łóżka. Władze tutejsze już niejednokrotnie zwracały się z prośbą do rządu, by przez wprowadzenie odpowiednich zmian w kursie parostatków przewożących aresztantów, uwolnił tutejsze więzienie od praktykowanego dotychczas natłoku; jednakowoż dotychczas nie więcej nie uczyniono, prócz przystawienia dwóch drewnianych baraków. *)

Rządca opowiadał z całą otwartością fakta wiadome każdemu mieszkańcowi tiumeńskiemu, nie widząc potrzeby ukrywania się z nimi przed cudzoziemcem zwiedzającym więzienia.

Opuściwszy dziedziniec, udaliśmy się do więzienia kobiecego, położonego na drugiej stronie ulicy i obwiedzonego sztachetami. Mało się ono różniło powierzchnością od zwiedzonych już przez nas baraków. W celach zajmujących przestrzeń 125 — 130 stóp kwadrat., mieściło się po 30 do 40 chorych. Cele te były widne i czysto utrzymane, podłogi i tapczany wymyte, tu i owdzie widać było rozesłane na łożach dywaniki, a nawet kwiatki w doniczkach. Tutaj jednak, zarówno jak w innych celach, kobiety leżały na gołych deskach bez kołder i poduszek, powietrze wszakże zdawało się czystsze. Przeważna część aresztantek, o ile wnioskować mogłem z rysów twarzy, były to wieśniaczki, a niektóre z nich razem z dziećmi. W końcu zaszliśmy do drewnianego baraku, około 30 stóp długiego, ogrodzonego sztachetami, w którym mieszcili się wygnaćcy razem ze swymi rodzinami. Liczba miesz-

*) W r. 1884 w ciągu pory przewozowej, trwającej 151 dni, więzienie tiumeńskie przepelnione było aresztantami przez dni 133. (Raport inspektora traktu za r. 1884).

kańców dochodziła 300 dusz. Powietrze tu było bardzo zepsute, a przytem wielka ciżba; dzieci trawione głodem wrzeszczały o pokarm, na twarzach kobiet i mężczyzn malowała się nędza, największe udręczenie i bezsenność. Kobiety tu więzione nie należały do kategorii przestępców, lecz tylko dobrowolnie dzieliły dolę swych mężów.

Ogłędziny te nasze trwały aż do godziny 1-szej, poczem udałem się z pp. Frostem, Vardopperem i Ignatowem na śniadanie. Wiedząc, że nasz gospodarz jest przedsiębiorcą barek transportowych i zarazem członkiem komitetu nadzorczego więzienia etapowego, spytałem go, czy zarząd centralny w Petersburgu uwiadomiony jest o oplakany stanie więzienia tiumeńskiego. Dowiedziałem się od niego, że władze miejscowe, komitet nadzorczy i inspektor traktu zachodniej Syberii składają władzom wyższym bezwarunkowo corocznie raporta o stanie więzienia. Rząd sam uznaje potrzebę wystawienia nowych więzień w Rosyi i Syberyi, ale, że podobnego rodzaju reorganizacja wymaga sumy 10 milionów, przeto odłożono ją dla braku funduszy, do lat przyszłych.

Pan Ignatów przedstawił w całej rzeczywistości okrutny stan tiumeńskiego więzienia, nalegając na urządzenie nowego szpitala, a gdy odmówiono jego słusznym żądaniem, wtedy wystąpił z komitetu.

Wszystko to, co nam opowiadali pan Ignatów i rządca o podjętych przez nich staraniach względem ulepszenia więzienia, było rzetelną prawdą, stwierdzoną słowami innych urzędników i mieszkańców miasta Tiumenta. Z raportów składanych corocznie przez oddział lekarski ministerstwu spraw wewnętrznych okazuje się, że w ciągu roku 1884 z ogólnej liczby przetrzymywanych w więzieniu tiumeńskim aresztantów odechorowało ich tam aż 28%; a więc trzecia część ogółu powinna była znaleźć pomieszczenie w szpitalu. Zważywszy teraz, że w więzieniu tiumeńskim zatrzymuje się corocznie 17 do 19.000 aresztantów, z których większa część, ciężko chorych, nie oglądając

nigdy szpitalu, przebywa swą słabość w celach więzennych, to nie trudno będzie sobie wyrobić choć ogólne pojęcie o okrutnej nędzy ludzkiej, której widownią jest to więzienie. Dla dokładnego zrozumienia celu systemu deportacyjnego i doniosłej zarazem roli, jaką tu odgrywa więzienie tiumeńskie, należy zwrócić uwagę na tę okoliczność, że w całym carstwie rosyjskiem nie ma nigdzie domów poprawczych. Przestępca więc, zasądzony na karę poniżej lat czterech, odsiaduje ją w więzieniach wewnątrz carstwa położonych, gdyż wygnanie na tak krótki czas na Syberję nie opłaca się skarbowi. W latach 1823—1887 wytransportowano na Syberję 772,979 osób.

Od	1823—1832	=	98.725
»	1833—1842	=	86.550
»	1843—1852	=	69.764
»	1853—1862	=	101.238
»	1863—1872	=	146.380
»	1873—1877	=	91.257
W roku	1878	=	17.790
»	»	1879	= 18 255
»	»	1880	= 17.660
»	»	1881	= 17.183
»	»	1882	= 16.945
»	»	1883	= 19.314
»	»	1884	= 17.824
»	»	1885	= 18.843
»	»	1886	= 17.477
»	»	1887	= 17.774
	Razem *)		772.979

Deportowani na Sybir, stosownie do zapadłych nań sądowych wyroków, dzielą się na 4 klasy. 1. Katorżników skazanych na roboty przymusowe w kopal-

*) Dany statystyczne, jakoteż fakty tu przytoczone czerpałem ze źródeł oficjalnych.

niach. 2. Osiedleńców zawyrokowanych. 3. Zwykłych wygnańców. Pod czwartą klasę możnaby podciągnąć kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie swym ojcom lub mężom. Wszyscy przestępcy zaliczeni do 1. i 2. klasy pozbawieni są praw stanu i skazani na dożywotne osiedlenie w Syberji. Wygnańcy należący do klasy 3. pozbawieni są tylko niektórych praw stanu, nadto, po przebyciu w Syberji naznaczonego wyrokiem terminu, dozwolony im jest powrót do kraju. Przestępcy pozbawieni praw stanu, zmaszeni są w ciągu lat 5. nosić kajdany i golić jedną połowę głowy. Do wygnańców 3. klasy należą:

- Włóczęgi czyli brodiagi (ludzie nie mający paszportów) wahający się udowodnić tożsamości swych osób.
- Osoby, wydalone wyrokiem sądów.
- Osoby, wydalone przez gminy wiejskie.
- Osoby, wydalone z rozkazu ministra spraw wewnętrznych.

Niżej zamieszczona tablica wykazuje wzajemny stosunek tych klas za r. 1885.

K L A S A	Mężczyzn	Kobiet	Ogółem
1. Katorżniki, skazani wyrokiem sądu do ciężkich robót, zbrodniarze	1440	111	1551
2. Osiedleńcy, osadzeni za wyrokiem	2526	133	2659
3. Wygnańcy:			
a) włóczęgi (brodiagi	1646	73	1719
b) wydalenii z umowy sądowej	172	10	182
c) wydalenii na żądanie gmin	3535	216	3751
d) wydalenii drogą administracyjną	300	68	368
4. Dobrowolni (towarzyszący krewnym)	2068	3468	5536
Razem .	11687	4079	15766

Cyfry te wykazują, że najliczniejszą klasę stanowią kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie na Sybir ojcom rodziny. Podług sprawozdania zarządu transportowego stosunek kobiet i dzieci idących dobrowolnie na Syberję jest następujący:

Rok	Deportowani	Kobiety i dzieci	Odsetki
1882	16.945	5.276	31
1883	19.314	6.311	33
1884	17.824	6.067	34
1885	18.885	5.536	28
	72.926	23.190	31

Okazuje się dalej, że z 1023 osób wygnanych do Syberyi w charakterze przestępców, tylko 3492, a zatem mniejszą część stanowią wydaleni z wyroków sądowych, pozostających zaś 3858 idą na wygnanie drogą administracyjną t. j. z rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Od r. 1867—1876 wysłano na Sybir 151.585 wygnańców, z których 48.80% zawyrokowanych, zaś 51.20% drogą administracyjną. Od roku 1880 do 1886 włącznie w więzieniu etapowym tiumeńskim przebywało czasowo 120.065 wygnańców, z których 64.518 a zatem 53.7% zawyrokowanych przez sądy, zaś 55.552 czyli 46.3% wydalonych z rozkazu ministra spraw wewnętrznych. Podług sprawozdania komisji reformującej więzienia, ustanowionej przez Aleksandra II. w drugiej połowie ostatniego dziesiętka lat wypada na każdych 100 wygnańców 45.6% zawyrokowanych a 54.4% wydalonych drogą administracyjną. Z tych zaś ostatnich zwyż $\frac{1}{3}$ część wysyła się na Sybir na żądanie gmin, a nie z rozporządzenia rządu.

Każdy »mir« czyli gmina w Rossyi jest w prawie wykluczania i wydawania tych wszystkich swoich członków, którzy są jej ciężarem, lub też złem swem zachowaniem, przynoszą szkodę innym; podobnież gmina odmówić może przyjęcia osobom powracającym z wygnania, które należąc już do niej, wydalone zostały bądź za wyrokiem sądu, bądź też drogą administracyjną.

Polityczni wygnańcy nie tworzą żadnej oddzielnej klasy, lecz podciągają się pod wszystkie wyż wymienione. Liczba ich nie jest tak znaczna, jak to powszechnie utrzymują, nie przewyższa ona rocznie 150 ludzi. W r. 1883 przebywało w więzieniu tiumeńskim 140 transportowanych politycznych wygnańców, a w czasie mojej tam bytności w r. 1885 przechodziło wszystkich 60 osób.

Ponieważ dopiero od niedawna wprowadzono w regestrach więziennych oddzielną rubrykę dla politycznych, trudno jest przeto ściśle oznaczyć stosunek ich liczebny do ogółu wygnańców. Zdaje mi się, że nie powinien przechodzić 1%.

W czasie naszych pierwszych oględzin więzienia tiumeńskiego miałem sposobność obserwowania całego oddziału wygnańców, transportowanych do Jałutorowska. Zabierając się do odszkiecowania i fotografowania budynków więziennych, zoczyliśmy na dziedzińcu mnóstwo skupionych w jedną gromadę ludzi; składała się ona z około 100 kobiet i dzieci w płóciennych różnobarwnych sukniach, tudzież z 250 mężczyzn w szarych aresztanckich ubiorach. Całą tę gromadę otaczali uzbrojeni żołnierze, a nieopodal stało 15 do 20 jednokonnnych kibitek, z których kilka było wyładowanych workami płóciennymi, zawierającymi różne drobiazgi, będące własnością osobistą wygnańców; na pozostałych zaś kibitkach, mieścili się chorzy, tudzież kobiety, mężczyźni i dzieci, uznani przez lekarza ze względu na wiek lub zbyteczne osłabienie za niezdolnych do odbywania podróży piechotą. Nie mogłem prawdziwie pojąć, ażeby ci ludzie po kilkutygodniowym pobycie w więzieniu, mogli się jeszcze poruszać. Wśród przerywanego szmeru i gwaru tłuszczy, dochodził uszu naszych od kibitek płacz chorego dziecięcia, głuszony brzękiem kajdan aresztantów, którzy umęczeni długotrwałem stanieniem, szukali sobie wypoczynku na ziemi. Oficer komenderujący etapem, barczysty mężczyzna z rudawym zarostem, niebieskimi oczyma, niesympatycznych rysów twarzy,

zajął miejsce przy kibitkach, obojętnie przyjmując prośby otaczających go kobiet i dzieci.

— Bądź pan łaskaw, pozwól mojemu dziewczęciu przysiąść na kibitce, nie skończyła ona jeszcze lat dziecięciu a przytem nie może wlaść nogą — prosiła błagalnie jakaś wynędzniała kobieta. — Cóż jej jest w nogę? — spytał oficer, wpatrując się w obnażoną schudzoną nóżkę dziecięcia. — Nie wiem; ale jej bardzo dolega, zlituj się pan, na miłość Boga — odpowiedziała matka. — Nie można, niema miejsca — odrzekł oficer z coraz większą niecierpliwością; — nie jest z nią tak źle, a przytem wydaje mi się starszą. Idź piechotą — odezwał się ponuro do dziecięcia — lepiej ci będzie zrywać kwiaty.

Matki z dziećmi odeszły nie pisnąwszy ni słowa, oficer zaś widocznie unikając dalszych próśb zakomenderował: — formować szereg! Nastąpiła głucho ciska, przerywana tylko dzwonieniem łańcuchów; żołnierze wzięli broń na ramiona, wygnańcy zaś zwróceni twarzami ku kaplicy więziennej, pokłonili się, przeżegnali i na komendę: — Naprzód marsz! — cała kolumna ruszyła z miejsca. Na samym przodzie widziałem trzech kozaków w ciemnozielonych mundurach, tuż za nimi postępowali w nieporządku ściśnieni w jedną kupę mężczyźni, niewiasty i dzieci pod strażą po obu stronach idących żołnierzy; za kolumną wlokły się eskortowane przez kozaków, nabite chorymi i dziećmi jednokonne kibitki, koniec zaś kolumny stanowiło kilka kibitek wyładowanych bagażem. Za chwil kilka cały ten orszak zginał nam z widnokręgu, o uszy tylko nasze odbijał się dźwięk kajdan, lub też głos kozaków, napominających dzieci, by nie wysuwały się po za łańcuch straży. Wygnańcy ci, byli to prawie wyłącznie zawyrokowani osiedleńcy, lub też osoby wydalone z gmin wiejskich; obecnem miejscem ich zamieszkania były wsie i miasteczka, położone w południowych częściach tobolskiej guberni.

Po wyruszeniu owego transportu, skierowaliśmy się w niedzielę po południu ku przystani, by przyjrzeć

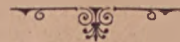
się partyi 700 wygnańców ekspedowanych na barce do Tomska. Barka ta przypominająca zwykły parostatek, zdawała się nieco płytszą i pozbawioną przyrzędu ruchu. Żelazny, czarno malowany korpus tej barki, mający około 220 stóp długości a 30 szerokości, opatrzony był po obydwu stronach prostokątnymi otworami, stanowiącymi okna kajut sypialnych. Na pokładzie wznosiły się w odstępie 75 stóp, dwa kryte, żółto malowane domki, z których jeden mieścił kilka oddziałów dla chorych i aptekę, drugi zaś — kajutę oficerską i kilka innych schowków dla wygnańców należących do klas uprzywilejowanych. Pozostała część środkowa pokładu, pokryta dachem i po bokach okratowana mocnym, żelaznym drutem, tworzyła 75 stóp długą i 30 stóp szeroką klatkę, do której w oznaczonych godzinach wpuszczano aresztantów dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Klatka ta, zwana przez nich »kojcem«, przedzieloną była kratami żelaznymi na dwie nierówne części, z których mniejsza przeznaczona dla kobiet i dzieci, większa zaś dla mężczyzn. Statek ów mieścił w sobie trzy do czterech kajut sypialnych, mających 30 stóp szerokości, 7 stóp wysokości i 30 do 60 długości. Jedną z tych kajut zajmowały kobiety, zaś pozostałe — mężczyźni. Wzdłuż kajut, jakoteż całej barki, stały mocne, podwójne mary drewniane, na których kupili się wygnańcy istotnie jak śledzie w beczce. Powietrze zdawało się dość świeże, bowiem gotującą się do podróży barkę dobrze wymyto i desynfekcyonowano. Aresztanci, schodząc z stromego, piaseczystego brzegu po balach, ułożonych w zygzak, dostawali się na pomost, a stamtąd na barkę. Żołnierze pilnujący więźniów, rozstawili się w różnych punktach brzegu rzeki, podoficerowie zaś strzegli pomostu. Obecny tej wyprawie inspektor traktu zachodniej Syberyi p. Winokurów, udzieliwszy nam pozwolenia odfotografowania barki i wygnańców, dał rozkaz wpuszczenia partyi na statek. Wtedy aresztanci zarzuciwszy na ramiona swe szare worki, zstępowali gęsiego po dylach, a następnie po moście wchodzili na barkę. Przynajmniej czwarta część więźniów była okutą

na nogi tak, że brzęk łańcuchów w ciągu jakiej godziny odbijał się wciąż o moje uszy. Ponieważ w zbiorowisku tem znajdowali się ludzie z różnych okolic carstwa, przeto mimo wspólnej wszystkim szarej odzieży, uwydatniało się tu wiele typów odrębnych. Obok zdziczałych górali dagestańskich, których zaprowadziła w katorgę żądza krwawej zemsty, widzieć można było ogorziałych nadwołżańskich Tatarów, Turków z półwyspu krymskiego, w żywo odbijających od szarych chałatów, czerwonych fezach; — przebiegłych żydków podolskich skazanych na wygnanie za szwarcowanie towarów, wreszcie włościan rossyjskich z różnych stron carstwa. Na twarzach skazańców przebijała się dobroduszość; najgorsi z nich nawet nie wydawali mi się zapamiętałymi zbrodniarzami, lecz raczej bezmyślnymi głupcami. Nakoniec wszyscy znaleźli się na pokładzie statku; zamknięto drzwi wehodowe, okratowanego kojca i zaryglowano je. Teraz rozpoczął się formalny jarmark. Tu niedorośle dziewczę wtyka przez druciane kratki twardo gotowane jaja, tam znów jakaś staruszka wlewa przez rurkę mleko do podanego jej czajnika; wszyscy zajęci skwapliwie kupnem chleba, solonych ogórków i ryby. Przekupki, widocznie ślepe pokładając zaufanie w rzetelność wygnańców, pozwalają im zabierać towar bez uiszczenia z góry należytości. Żołnierze utrzymujący straż, dorodni parobczacy, pośredniczą niez mordowanie w zakupnie wiktuałów, podając je aresztantom, to znów odliczając przekupniom wypłaconą na ich ręce przez kupujących należytość, lub wreszcie od czasu do czasu odsuwają drzwi kojca, by ułatwić dostawę większych przedmiotów n. p. bochenków chleba, nie dających się precyzyjnie przez otwory kratowe.

W czasie tej ożywionej akcji, zoczyliśmy zmierzającego do barki popa w długiej czarnej sutannie, i czarnym filcowym kapeluszu. Towarzyszący mu dkańniósł w jednym ręku brewiarz w drugim szaty kościelne. Po kilku minutach pop ów przebrany w ornat, z dymiącą kadzielnicą i otwartym brewiarzem zaszedł do

kajuty zamieszkałej przez kobiety. Przejęte skrucuchą padały one na kolana i żegnając się były pokłony. Po tej dla oka odbytej ceremonii, pop poruszył parę razy kadzielnicą i wyniósł się do kajuty męzkiej. Tutaj jednak służę bożego przyjęto dość obojętnie, wygnańcy i żołnierze pozdejnowali wprawdzie czapki, jednakże w modłach bardzo słaby przyjmowali udział, a po chwili przerwany na statku targ, wystąpił znowu na widownię w całej pełni. Donośny śpiew popa, brzęk kajdan, gwar targowy, rozkazy nawoływujących się żołnierzy, wszystko to wydawało mi się jakimś osobliwym zjawiskiem. Po odśpiewaniu modłów, pop przywdziawszy sutannę, złożył komendantowi życzenia szczęśliwej podróży i poszedł do miasta, ja zaś z p. Frostem przechadzając się po przystani, przyglądaliśmy się z zajęciem twarzom wygnańców. Z małymi wyjątkami, zdawali się oni wszyscy weseli i zadowoleni; z różnych stron klątki dochodziły nas śmiechy, żarciki i żywe rozmowy. Pan Frost wydobywszy notatkę począł szkicować ołówkiem wybitniejsze typy, co zauważywszy skazańcy, uśmiechając się i dowcipkując, wysunęli z pomiędzy siebie na czoło tych, których uznawali godnymi ołówka artysty. Ci zaś wybrańcy, przystroiwszy fantastycznie głowy czerwonymi fezami, i przyjmując malownicze pozy, udzielali artyście, doniosłym głosem, odpowiednich objaśnień. Słyszac śmiechy tych ludzi i ich dowcipy, zdawało mi się koniecznie, że patrzę nie na przestępców, lecz na młodzież szkolną jadącą na wakacje.

Przed samym zachodem słońca dopłynął parostatek pod barcę; na dany rozkaz odwiązano liny, wygnańcy skupili się wszyscy przy kracie, by po raz ostatni pożegnać Tiumeń, i wielkie czarno-żółte pływające więzienie, wprowadzone na otwartą wodę, rozpoczęło swą długotrwałą podróż do Tomsku.



III.

Stępy Irtyszskie.

Po głębszym namyśle postanowiłem jechać do Tomska przez stępy irtyszskie, Omsk, Pawłodar, Siemipałatyńsk, Uśc-kamieniogórsk i Barnauk. Droga ta przeznajająca najurodzajniejsze okolice gubernii Tobolskiej i Tomskiej i prowadząca wprost do okolic najwięcej zamieszkałych przez wygnańców politycznych, nastęrczała nam nietylko sposobność poznania koczującego plemienia kirgizkiego, ale nadto zwiedzenia części Al-taju, owej malowniczej górskiej krainy, którą nam pewien rossyjski oficer, w uniesieniu opisał jako sybirską Szwajcaryę.

Był jeszcze inny ważny powód skłaniający nas do zбочenia z głównego gościńca pocztowego. Otóż, na wyjeździe z Petersburga mniemałem, że podróż naszą z Tiumenta do Tomska odbędziemy parostatkiem lub końmi po gościńcu głównym. Utwierdzony w tej wierze minister spraw wewnętrznych, zawiadomił o naszym przejeździe wszystkie władze urzędowe na całej tej linii, dołączając pewne, dotyczące przyjazdu tego instrukcyje. Jakie były te instrukcyje, tego właściwie wiedzieć nie mogę, jednakże doświadczyliśmy ich skutków na wszystkich punktach głównego gościńca sybirskiego, poczynając od Tiumenta aż do stolicy ziemi zabajkał-skiej. Przejazd nasz przez zachodnią Syberyę od wielu miesięcy wszystkim tamecznym władzom był wiadomy; w Tiumentu wizycie naszej nadano charakter urzęd-

dowy; a że właśnie to przychylne usposobienie dla nas rządu przyczynić się mogło do zwichnięcia moich zamiarów względem politycznych wygnańców, wypuszczając tedy umyślnie gościńiec główny, skierowałem się w te strony, gdzie władze o przejeździe naszym wiedzieć nie nie mogły. Okazało się później, że ta zmiana projektu wypadła na naszą korzyść. Po złożeniu naszych wizyt pożegnalnych, kupiliśmy tarantas i zaopatrzeni »podorożną« skierowaliśmy się pocztą rządową z Tiumenta do Siemipałatyńska. Z wszystkich poczt całego świata, rossyjska extra-poczta osobowa jest najlepiej zorganizowaną i sięga aż do największych odległości państwa. Poczynając od krańców południowej Kameczatki do najdalej wysuniętej wsi findlandzkiej, — od burzliwych wybrzeży Lodowatego oceanu do gorących, piaszczystych pustyń środkowo-azyatyckich, całe państwo rossyjskie pokryte jest siecią dróg pocztowych. Podróżny spakowawszy swój tłómoczek w Niżnym-Nowgorodzie, udaje się z »podorożną« do urzędu pocztowego, i puszcza się stamtąd choćby nawet do przystani Pietro-Pawłowskiej w Kameczatce (w odległości 10.000 km.) z tą pewnością, że na całej tej ogromnej linii, na każdej stacyi pocztowej zastanie już konie, psy, jelenie, i bez straty chwili czasu, nocą i dniem spieszyć będzie do oznaczonego miejsca. Powozów pocztowych w Rossyi nie ma, każdy z podróżnych zwykł jechać swym własnym, zmieniając na stacyach konie. Podróżny, podług swego życzenia może w ciągu 38 godzin przebyć 280 km., lub też w 280 godzinach 38 km., może on zatrzymać się na każdej stacyi tak długo, jak mu się tylko podoba, lub jechać dalej, a każdej chwili znajdzie konie gotowe na swoje usługi. Każdy więc wybierający się w podróż po Rossyi, bez względu na miejscowość, wyseła swą »podorożną« do najbliższego urzędu pocztowego, zjawia się tam w ciągu 20 minut sam lub też z swoim towarzyszem i ruszwszy ze stacyi, znajduje na wszystkich następnych, konie zawsze gotowe. Cena jazdy w zachodniej Syberyi jest nadzwyczaj niską; za każdego konia poczto-

wego płaci się 1½ kopijek na 1 km. włączając w to napiwek woźnicy: czyli za trójkę pocztową 3⅜ centów 4½ kopijek. — Dwie więc lub trzy osoby, w swym własnym powozie, przebywają trójką pocztową odległość 10 milową (32 km.) za opłatą 38 centów (1 rs. 44 kop.; 1 zł. 98 ct.).

Wstyd mi niejednokrotnie było płacić woźnicy za jazdę 32 km. trójką koni wśród ciemnej, dżdżystej nocy po błotnistym gościńcu, nędzną kwotą 68 centów (niespełna 2 zlr. w. a.); jednakże i to małe wynagrodzenie dla chłopów tamtejszych wydaje się dość znacznem, bowiem wypowiadają konkurencyę rządowi, i każdy podróżny ma na zawołanie całe setki tak zwanych »wolnych« furmanek. Ponieważ zaś konie »wolne« są zwykle więcej wypoczęte i lepiej utrzymane niż pocztowe, przeto w wielu razach korzystnie jest nimi się posługiwać. Podług zwyczaju, woźnica na dojeździe do wsi, zapytuje podróżnego, czy ma zajechać na pocztę, czy też do którego z swych przyjaciół. Zgadza się podróżny na tę ostatnią propozycyę, to osiąga tę korzyść, że stanąwszy u włoscianina, łatwiej przychodzi mu się zapoznać ze sybirskimi zwyczajami i sposobem życia wiejskiego, niżli w urzędzie pocztowym.

Początkowa podróż nasza z Tiumentia do Omska nie wzbudzała wiele zajęcia; gościniec pocztowy snuł się wciąż po błotnistej, obfitej w jeziora równinie, porosłej gdzie niegdzie wierzbina, olchą, zgurbiałą sosną, świerkiem lub brzezina, co wszystko zasłaniając widnokrąg nie dawało oku swobodnego pola widzenia. Zdaje się, że część ta gubernii Tomskiej była w odległych czasach dnem śródmorza, łączącego morze Kaspjskie i Aralskie z oceanem Lodowatym, skierowanem przez dolinę przetrziętą obecnie rzekami Obem i Irtyszem. Piaszczyste ławy, solanki, pokłady gliny i bagniste jeziora tak licznie tu spotykane, świadczą wymownie, iż okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, stanowiła ongi dno morza.

W odległości niespełna 100 wiorst za Tiumentiem, nie dojeżdżając do wsi Zawadowo-Ukowskaja, zajecha-

liśmy na kilkogodzinny wypoczynek do pewnego zamoznego fabrykanta sybirskiego, pana Kołmakowa, do którego mieliśmy list polecający. Na samym wstępie wprowadził nas w zdumienie przepych i wygody, z jakimi tu spotkaliśmy się. Drewniany, jednopiętrowy gustownie zbudowany dom, pod względem wewnętrznego rozkładu i wygod nie pozostawiał nic do życzenia. Widok z okien rozciągał się na ogród, upiększony sadzawką, cienistymi altanami, krzewami i kwiatowymi kłębami. W głębi ogrodu stała oranżerya pełna gieranji, werbeny, hortensyi, kaktusów. drzew pomarańczowych i cytrynowych, tudzież przeróżnych krzewów podzwrotnikowych; a tuż obok oranżeryi obszerne inspekta z ogórkami, kawonami i melonami. Szczególną uwagę zwracał, stojący w samym środku ogrodu, szklany domeczek. Był to istotny kryształowy pałacyk zagajony wewnątrz palmami, bananami, obok których prowadziły ścieżyny, brzeżone różnobarwnem kwieciami; wśród przepysznych tego gaju rozstawione były wygodne ławeczki i fotele; krzewy zaś i drzewka nie wyrastały z doniczek lecz wprost z ziemi. Znalazłszy się w owym gaju, zdawało się koniecznie, że jakaś niewidzialna siła przeniosła nas nagle w okolice podzwrotnikowe. — Któż mógł się spodziewać — odezwał się p. Frost, siadając na krześle tuż przy kłębie lśniącym werbenami, — że w Syberyi odpoczywać będziemy w cieniu palm i bananów. — Zwiedziwszy jeszcze park, stykający się z ogrodem, wróciliśmy do domu, gdzie oczekiwano nas zastawiona już wieczerza, składająca się z kawioru, przyprawionych grzybów, ptastwa, salami, bułek, ciast, jagód, wódki, trzech gatunków win i herbaty.

Około godziny 11. w nocy, nadeszły zamówione dla nas z sąsiedniej wsi konie; pożegnawszy tedy gościnnych naszych gospodarzy, ruszyliśmy w drogę. Nieszutrowany gościniec pocztowy, po długotrwałych deszczach zmienił się w błotnistą kałużę. Woźnice nasz, nie zwracający na to żadnej uwagi, pędził jak szalony; podskakując wciąż po wybojach tarantas darzył nas

takimi szturkańcami, że zamiast myśleć o drzemce, trzeba się było mieć na baczności by karków nie połamać. Zmęczeni bezsennością, zbici i wycieńczeni na siłach, rankiem dopiero zatrzymaliśmy się we wsi Nowo-Zaimskaja, w domu jednego z przyjaciół naszego woźnicy, gdzie położywszy się na podłodze w połowie już zaległej przez jakie pół tuzina śpiących członków rodziny, po kilku bezsennych godzinach zapomnieliśmy o wycieńczeniu fizycznym i nieprzyjemnościach podróży.

Całą następną dobę jechaliśmy bez odpoczynku i to po jak najgorszym gościńcu, dotarłszy dopiero w czwartek rankiem wśród ulewnego deszczu do okręgowego miasta Iszyna. Kto sam nie doświadczał, ten nie może mieć pojęcia o udręczeniach cielesnych, jakimi nabawia podróżnego ta wściekła jazda po gościńcach sybirskich. Ujechawszy w ciągu 35 godzin, z kwadransowymi ledwie przerwami 200 mil. (320 km.) uczuliśmy się tak strzęsieni, że nie było w nas i jednej niezbolelej kosteczki; z niemalym też trudem przyszło na ostatniej stacji wy dostać się z tarantasu.

W Iszymiu zamierzaliśmy wypocząć dłużej, przewidując jednak, że nieustanne deszcze zepsują drogę do reszty, wypiliśmy w jakiejś nadrzecznej chłopskiej chałupie po kilka szklanek herbaty i ruszyli dalej.

W pewnej odległości za miastem, na wjeździe do rzadkiego lasu, spotkaliśmy brodzącą po błotnistym gościńcu jakąś gromadę; — byli to przeważnie chłopci w długich butach, ogorzałe wieśniaczki w różnokolorowych chustkach na głowach, niedorostki, dzieci i jeszcze jacyś wędrowcy w strojach europejskich z parasolami w rękach.

W dalszym ciągu, w odległości 9 klm. od miasta, natknęliśmy na drugą, większą jeszcze gromadę kobiet i mężczyzn, brodzących środkiem błotnistej gościńca z trójramiennymi krzyżami, różnobarwnymi chorągwiemi i palącymi się latarniami, osadzonymi na długich drzewcach.

W miarę zbliżania zarysował się przed oczyma naszymi, coraz to wyraźniej wśród tłumu jakiś obraz

oprawny w błyszczące ramy. Obraz ten, przytwierdzony do końca wysokiego drążka, osadzonego w kwadratowym postumencie, musiał mieć ramy szczerolote lub srebrne wyłacane, gdyż z trudem go dźwigało sześciu tęgich parobczaków.

Przed obrazem szedł pop z obnażoną głową, z książką w ręku, a obok niego kilku diakonów w długich sutannach, niosących trójramienne wyłacane krzyże, jedwabne chorągwie i jarzące się świece. Pop, diakoni, i jakaś część orszaku, towarzyszącego obrazowi, śpiewali jednym ciągiem jakieś monotonne pieśni, podczas gdy stu innych od czasu do czasu wtórowali śpiewom. Wielu chłopców brodziło po błocie na bosaka, a wszystko to zdawało się tak na wskroś przejęte doniosłością tego obrzędu, że nie zwracano żadnej uwagi na ulewny deszcz, smagający ich ogorzałe twarze i nie pozostawiający na nikim jednej suchej nitki.

Gromadę tę liczącą 400 do 500 głów, złożoną przeważnie z kobiet, zwiększali ściągający się ze wszech stron nowi przybysze.

W ciągu całego mojego pobytu w Syberii, po raz pierwszy spotkałem się z czemś tak niezwykle, przypominającym czasy średniowieczne. Zdawało mi się w istocie, że nagle znalazłem się wśród jakiejś gminy chrześcijańskiej, która sfanatyzowana krasomówstwem Piotra z Amiens, podążyła na wyprawę krzyżową. Po dłuższej chwili, gdy utraciliśmy już z przed oczu ostatki wlokących się za orszakiem maruderów, udało mi się dowiedzieć od naszego woźnicy, że obraz ten Bogarodzicy zaliczony do cudownych i mający swą stałą siedzibę w cerkwi w Iszymie, corocznie obnoszony bywa z wielką uroczystością po całej okolicy. Obecnie, po odbytej już wielomilowej podróży, powracał on do Iszyna. Wypadek ów streścił nasz woźnica w następnych słowach: »Boga-rodzica wraca do swego domu«.

Mimo nieustającego deszczu posuwaliśmy się wciąż naprzód, zmieniając konie pocztowe na stacyach w Bo-

rowsku, Tiukalińsku, Tusznolobowie, Abatsku i Kamy-szowej. Czując się nadto zmęczeni tą 60-godzinną podróżą, przedzermaliliśmy się godzin cztery w Orłowej, skąd znów dalej; — w nocy zaczęło się przecierać a nazajutrz na oczyszczonych z chmur niebiosach ukazało się słońce; powietrze przepelniał zapach orzeźwiający ziół i kwiatów.

Gościniec pocztowy dość znośny, prowadził nas w coraz piękniejszą okolicę, a przed południem rozłożyła się przed oczyma naszymi żyzna, urodzajna, po krańce niebios sięgająca równina, upstrzona gdzieś gdzie olchą, wierzbą i gajami brzoźowymi. Step pokrywał kobierzec kwiecisty; tu i tam czerniące się długie pasy świeżej zoranej ziemi, tudzież falujące łany zbóż, zapowiadały bliskość oczekiwanej niecierpliwie przez nas wsi. Życzeniom naszym wkrótce stało się zadość. Nasz woźnica nagle ujawszy konie krótko w lejce, przysiadł mocno na samym brzegu kozła i smagnawszy po koniach wysoko w powietrzu rozpuszczonym harapem, krzyknął rażno: heekh-ja-a-a! Cała czwórka puściła się cwałem, tak aż mi tchu w piersiach nie stało; rozpedzony tarantas zatoczywszy się w głęboką jamę, z takim gwałtem z niej wyskoczył, że mnie aż podrzucił na siedzeniu. Niewątpliwie mieliśmy wieś przed sobą; woźnica bowiem sybirski na dojeździe do stacyi zwykł wyprawiać z swymi końmi wszelkie możliwe sztuki: daremnie wychylając głowy z tarantasu krzyczeliśmy »wolniej!« »stój!«; woźnica ani myślał zwracać uwagi na nasze krzyki, a konie widząc bliski kres swej drogi, stuliwszy tylko uszy rwały się bez pamięci, jak gdyby cały step stanął w płomieniach »Ja-a-wa-Aj, durak! Nu-u-u! heek-a-ja«, wrzeszczał dziko woźnica, rozpuszczając harap w powietrzu. Nie pozostawało nic innego tylko milczeć i zamknawszy oczy oddać się losowi. Błoto wrywające się z pod kopyt czterech cwałujących koni, gradem otraskiwało nasz tarantas, mnie zaś w chwili, gdym wychylił głowę ku woźnicy, omal że bryła błota gęby nie zaważyła. Wreszcie ukazał się wyciągnięty po obu stronach gościniec

z gałęzi pleciony parkan, obejmujący wieś z przyległym do niej pastwiskiem. Przy wrotach, które przemineliśmy z chyżością błyskawicy, stała wgłębiona w ziemię buda, pokryta gałęziami, z której ukazał się wychodzący jakiś siwobrody starzec w łachmanach z wywiedłą twarzą i opuchniętymi oczyma. Zaledwie ów starzec, przypominający mi przebudzonego po 20-letnim śnie Rip Van-Vinkela zdołał zdjąć z swej głowy oplakane szczątki byłego niegdyś kapłusza, zostawiliśmy go już zdala za sobą. Oba też żalowaliśmy mocno, że minęła nas okazja odfotografowania owiej w ziemi stojącej budy i jej gospodarza. Za zwrotami stał słup milowy z czarną tablicą, mieszczącą napis: Wieś Krutaja; odległość od Petersburga 2992 wiorst; odległość od Moskwy 2520; domów 42; mieszkańców płci męskiej 97. W okolicy wsi rozciągały się szerokie gminne błonia, na których pasły się stada krów, wołów i owiec. Tu i owdzie wznosiły się czteroskrzydłowe, deskami lub słomą kryte wiatraki. Wzdłuż błotnistej gościńca, po którym wciąż cwałowaliśmy, ciągnęły się dwa rzędy drewnianych domów. Krzyk woźnicy i turkot tarantasu sprowadzały do okien wszystkich mieszkańców, nie wątpiono, że wjeżdżający z takim gwałtem, muszą być generał gubernatorami lub też wysłańcami samego cara. Przed domem jednego z swych przyjaciół woźnica nasz wstrzymawszy zgonione i spienione konie, krzyknął na całe gardło: »dawaj łoszadi!« (dawaj konie). Teraz zaczęła się schodzić cała gromada gapiów, oglądających z ciekawością zablocony nasz tarantas. Były to prawdziwie typowe, godne pędzla postacie, z przestraszonymi twarzami, rozczochranymi lub też zbitymi w kołtun włosami i długimi, szorstkimi posiwiałymi brodami. Jedni bez czapek, drudzy boso, w kożuchach pozszywanych z kawałków baranich skór, przesiąknięch na wskroś tłuszczem, inni znów w długich butach i chałatach orzechowego koloru, przepasanych na biodrach szerokimi rzemieniami lub też brudnymi szalikami. W czasie tych oględzin, woźnica nasz zeskoczywszy z wysokiego kozła, wziął się do wy-

przegania koni. Niebawem zbliżył się do nas gospodarz domu, pytając czy nie życzymy napić się herbaty, usłyszawszy zaś że jedziemy dalej, zawołał na swego syna: »Andruszka, spiesz na łąkę po konie«. Andruszek dosiadł natychmiast konia na oklep i pocwałował na pastwisko. Tłum, otaczający tarantas, wpatrywał się w nas ciekawie, śledząc za każdym niemal naszym ruchem; krytykowano nasz nowomodny tarantas, dopytując się furmana kogo przywozi. Nie zaspokoivszy i tu należycie swej ciekawości, zwrócił się do mnie pewien starzec z zapytaniem: Barin! pozwólcie się spytać, gdzie Was Bóg prowadzi? Odpowiedziałem, że zmierzamy przez Siemipałatyńsk, do Tomsku. — Ah-a-a — zamruczało naraz wiele głosów. — Skąd panowie raczycie przybywać? — pytał uparcie ów starzec. — Z Ameryki, — odpowiedziałem. — Jestto miasto rosyjskie? — spytał ów starzec — Ameryka nie jest miastem, lecz krajem — odezwał się jakiś piękny chłopczyna. — Cała ziemia. — mówił z pamięci, jakby wydając lekcję, — dzieli się na pięć części, Europę, Azyę, Afrykę, Amerykę i Australię Państwo rosyjskie zajmuje dwie trzecie części Europy i połowę Azyi! — Tutaj urwał, wyczerpawszy cały swój zasób wiadomości. Ze starszych mieszkańców tej wsi nikt zapewne nie słyszał o Ameryce; pewien jednak młody człowiek, który przypadkowo był w Omsku w czasie przewozu zwłok Amerykanów uczestniczących w nieszczęśliwej ekspedycyi »Jenetta«, począł objaśniać swych współbraci o Amerykanach; dotąd bowiem najwięksi mędracy tej wsi nie mieli żadnego o nich pojęcia, żegnając się krzyżem świętym na samą wzmiankę oceanu Lodowatego. Znalazł się jednak pewien starzec, który utrzymywał, że i rosyjscy żeglarze przebijali się także przez lody oceanu północnego, a chociaż, głosił on dalej, nie byli oni tak mądrzy jak »Amerykanie«, to wszakże w tym względzie nie ustępują im miejsca. Zawiązała się żywa rozprawa nad podróżami podbiegunowymi, w czasie której chłopiec wysłany na pastwisko, przyprowadziwszy konie, począł je zaprzęgać

do naszego tarantasu. Po chwili, nowy nasz woźnica wskoczywszy na kozioł, na dany znak do odjazdu, krzyknął rażno na swe rumaki »Nu-uh! i wśród brzęgu błota przy odgłosie dwóch klekocących dzwonek opuściliśmy osadę.

W ten sam sposób, z małymi chyba tylko odmianami, odbywały się nasze wjazdy i wyjazdy z wszystkich innych stacji pocztowych pomiędzy Tiumentem i Omskiem. Prawie wszystkie wsie stepowe ogołoczone są z drzew, krzewów i trawników, co w ogóle smutne na przejeźdnym robi wrażenie; wszędzie też same w dwa rzędy wyciągnięte domy drewniane i występujące z topieli błotnej walące się kamienne parkany.

Lżej się też robi na duszy, gdy podróżny opuściwszy wieś, ujrzy się na szerokim stepie, odetchnie świeżem powietrzem nasyconem zapachem kwiecia; gdy szczebiot ptastwa dźwięczną melodyą pieści jego ucho, a zachwycone oko gubi się po bezmiernym zielonutkim kobiercu, przetykanym krzewami róż, bratkami, angielskimi hyacentykami i purpurowo-tygrysowymi liliami. Pomiedzy wsiami Krutaja i Kałmakowa, przejeżdżaliśmy morze kwiatów. Wysiadłem z tarantasu i pogrążony po biodra w tym kwiatowym oceanie, wśród ciszy i samotności nasycam się pięknnością natury. Po lewej stronie gościńca step zakłęsał się nieco i znów występując nieznacznie sięgał w bezden, i rąbił niebiosą wąską smugą brzoźowego lasku. Wśród całej bezmiernej tej płaszczyny znajdowało się tylko jedno jezioro, a resztą roztaczała się ona w jeden zielony kobierzec, na którym grupowały się malowniczo stada pasącego się bydła i owiec. Lekko wzdęty szmat stepu zdobiła mnogość astrów pomarańczowych, lilii tygrysowych, spirei, nostrzyku, konieczyny, bratków, angielskich hiacentyków i osobliwszych kwiatów, które na swych cienkich, długich łukowatych łodyżkach wydawały się strzelającymi raketami. Spokojne, przejrzyste powietrze przesycone było szczególnym zapachem jakby leśnego miodu. Na stepie panowała urocza cisza, przerywana chyba brzęczeniem pszczoł, lekkim szelestem kołyszą-

cych się zdźbeł trawy, lub też posępnym krzykiem unoszącego się nad gniazdami myszy, stepowego sokoła. W błogim zachwycie spoczywałem w tem morzu kwiatów, nasycając wzrok widokiem stepu, słuch jego melodją i pierś jego oddechem..]

Przez cały dzień piątkowy, jechaliśmy wciąż po kwiecistym stepie, zatrzymując się czasem we wsiach, gdzie zdejmowaliśmy krajobrazy, zbierali kwiaty i rozpytywali się włościan o wygnańców. Na drodze spotykaliśmy niekiedy jakiego podróznego w zabłoconym tarantasiu, lub też wymijali, brodzącą środkiem błotniste gościńca partję wygnańców, odprowadzaną przez uzbrojonych żołnierzy; przejezdni, byli to przeważnie powracający z pól okoliczni włościanie.

Część gubernii Tobolskiej, przez którą przechodzi gościniec z Tiumenta do Tomsku, jest o wiele żyzniejszą i bogatszą, niżeli przejezdniemu pozornie zdawać by się mogło. Przestrzeń ta, obejmująca 4,000.000 akarów (1,618.800 ha.) i licząca 650.000 mieszkańców, mieści w sobie cztery okręgi: Tiumeńskie, Jałutorowski, Tiukaliński i Iszymski. Ilość bydła rogatego w tych okręgach dochodzi do 1,500.000 sztuk; cała zaś gubernia produkuje rocznie 30,000.000 czetwereków (10,752.000 hl.) zboża. W miastach i miasteczkach czterech tych okręgów odbywa się corocznie 220 targów zbożowych; w okręgu Jałutorowskim wymienia się rocznie zboża na 2,000.000 dolarów, w Iszymskim na 3,500.000, a w całej gubernii na 14,000.000 dolarów. Daty statystyczne i moje własne spostrzeżenia prowadzą mnie do wniosku, że gubernia Tobolska przy dobrym i sumiennym zarządzie, tudzież zwolnieniu jej od napływu osiedleńców, przewyższyła by pod względem produkcji i dobrobytu wszystkie inne gubernie cesarstwa.

W piątek po południu wyjechaliśmy z Tiukalińska i minawszy Bakiszów, znaleźliśmy się na bagnistym stepie barakińskim, gdzie napadnięci przez całe chmary jadowitych muszek, nałożyliśmy rękawiczki, ponasuwali na głowy kaptury, broniąc się gałęziami. Całą noc tę przepędziliśmy bezsennie. Na szczęście

była to noc ostatnia, gdyż 4. lipca o godzinie 10 z rana, tarantas nasz toczył się po ulicach Omska. Byliśmy tak ochlapani błotem, że z pewnością najbliżsi nawet nasi znajomi nie poznaliby nas z twarzy. W ciągu ostatnich czterech dni i nocy ujechaliśmy 700 kilometrów, śpiąc wszystkiego zaledwie godzin jedenaście.

Omsk, stolica ziemi akmolińskiej i rezydencya gubernatora, liczący 30.000 mieszkańców, jest miastem przeważnie urzędniczo-handlowo-fabrycznem. Z dość znacznej liczby wcale niepokaznych budynków publicznych uwidatniają się nieco: szkoła kadetów, rezydencya gubernatora, dom policyjny z wieżą strażniczą i ostrog. Ulice miasta szerokie, niebrukowane, domy mieszkalne przeważnie drewniane, przytem wiele cerkwi z pstrokato malowanymi, a nawet wyłączanymi kopułami. Krótką charakterystykę Omska można by zamknąć w następujących słowach: jestto miasto gubernialne liczące 30.000 mieszkańców, z których jedna połowa, przyodziana w carskie mundury, chciała by władać — pozostała druga; ma ono wcale zwykły budynek szkoły wojennej, dość malowniczą strażnicę policyjną, natomiast ogołocone jest z biblioteki i wszelkich czasopism. Przytoczone poniżej słowa, wypowiedziane przy pożegnaniu się ze mną przez pewnego wykształconego omskiego obywatela, rzucają pewne światło, na stosunki urzędników tamecznych do reszty publiczności. — Panie Kennan, — wyraził się on, — jeżeli uznasz koniecznem wymienić w swej pracy moje nazwisko, to proszę, nie wspominaj pan o mnie dobrze. — Na miłość Boga, dla czego nie mam o panu dobrze wspominać? — Książka pańska, — odpowiedział on, — nie spodoba się rządowi, a skoro pan odezwiesz się o mnie przychylnie, to urzędnicy będą mnie jeszcze gorzej prześladować niż dotychczas. Moje żądanie może się panu nie spodoba, ale w niem się zamyka jedna i jedyna prośba.*)

*) Życzenie to wypowiedział pan X. gdy powracając zimą, udzielił mi sprawozdanie z naszej podróży po zachodniej Sy-

W Omsku, nie zdarzyło mi się spotkać z niczem godnym uwagi; nie widzieliśmy też tu nic więcej, prócz małego muzeum, mieszczącego się w budynku towarzystwa geograficznego, lichych drewnianych domów, obejmujących dwoma rzędami przedmieścia zamieszkałe przez osiedlonych tu przestępców. Szukałem więzienia, w którym przesiadywał ongi dwukrotnie tam knutowany, zdolny nowelista Dostojewski, ale było ono zburzonym. Nie dziwiło mnie wcale, że rząd kazał zniszczyć te mury, będące świadkami tyłu okrucieństw i nędzy ludzkiej, tak dosadnie opisanej w dziele tego zdolnego pisarza »Dom umarłych«. Był tu jeszcze jeden budynek zwracający na siebie moją uwagę, to jest więzienie, ale brutalna odmowa, jakiejśmy doznali ze strony tamiecznego gubernatora, spowodowała nas do bezwłocznego opuszczenia domu Jego Excelencji.]

Wypocząwszy należycie w Omsku po trudach wielodniowej podróży, opuściliśmy to miasto 8 lipca we środę, podążając trójką pocztowych koni i kozakiem-pocztylionem do Siemipałatyńska. Prawy brzeg Irtysza, po którym snuje się gościniec pocztowy, zasiany jest cały mnóstwem osad kozackich. Podług dawno już przyjętej reguły, rząd rosyjski zwykł słabiej strzeżone swe pograniczne posiadłości zastaniać przed możebnym najściem nieprzyjaciela całymi tysiącami kozaków sprowadzanych z rodzinami. W ten sposób przed czterema laty, dla zabezpieczenia południowej Rosyji od możebnych napadów czerkieskich górali, ustalono wojenną granicę nad Irtyszem przy Tereku. Aczkolwiek grożące Rosyji niebezpieczeństwo ze strony półdzikich plemion dawno już przeminęło, to wszelako potomków sprowadzonych wtedy kozaków po dziś dzień zamieszkują w osadach, założonych przez swych ojców i dziadów. Wszyscy ci kozacy są ludzie zręczni, zmyślni, przebiegli, nadający się wybornie na strażników

beryi. Chętnie przytoczyłbym tu wiele przykładów, świadczących o udręczeniach pana X. — nie mogę jednak tego uczynić, bo byłoby to złamaniem danego słowa.

granicznych i pionierów. Pomiędzy Omskiem a Siemipałatyńskiem naliczyłem około 40 osad kozackich, w mniejszej też liczbie rozłożyły się one pomiędzy Siemipałatyńskiem i Altajem.

Poczynając od Omska fizyonomia stepowych okolic zmienia się; w pobliżu tylko rzeki widać bujną roślinność, dalsze zaś przestrzenie pokrywa coraz to mizerniejsza trawa, aż wreszcie step zmienia się w bezmierną, żarem słonecznym wypaloną równinę. Gaj brzoźowe, owa ozdoba okolic, wysuniętych na północ Omska, napotykają się tu coraz rzadziej; pól uprawnych wcale nie widać, a step zmienia się stopniowo w środkowo azjatycką pustynię.

Za Omskiem zoczyliśmy po raz pierwszy kilka koczowniczych aułów kirgizkich. Rodowici ci nomadzi, stanowiący zwyż trzech czwartych ludności całego stepu, koczują z swymi trzodami po równinach sybirskich od morza kaspijskiego do samego Altaju. Auł kirgizki składa się z kilku małych wojłokowych szarych namiotów, nieopodal gościńca na stepie rozłożonych. Ni śladu ścieżyny nie było widać, a owe szare namiotki zdawały się tak dalece wyosobnione z pod wszelkich wpływów cywilizowanego świata, że wyglądały istotnie jak rozbite statki wśród wód oceanu Spokojnego.

Zamieszanie, jakiego pojawienie się nasze nabiwiło mieszkańców aułu, świadczyło wymownie, że goście zaliczają się tu do osobliwości. Strach, malujący się na brunatnych twarzach półnagich, ucieczką do namiotów ratujących się dzieci, zdradzał, że pojawienie się nasze wzięto za jakiś przeciw aułowi skierowany najazd; kobiety wychyliwszy głowy z po za ścian namiotu, oglądały nas z bojaźliwą ciekawością, kryjąc się spiesznie do wnętrza, a i mężczyźni nawet podchodzących ku nam w zwartej gromadzie, nawiedziny nasze ogarnęły zdziwieniem, a nawet trwogą. Kozak nasz atoli, kilkoma słowy wyrzeczonymi po kirgizku, rozprószył te płonne obawy; zaproszeni wreszcie przez jakiegoś sędziwego starca w żółtoczerwonej czapce, zdającego się

być patriarchą tych rodzin kirgizkich, weszliśmy do wnętrza namiotu. Namiot ów, mający w dole 15 stóp średnicy, a 8 stóp wysokości, składał się z drewnianego, kopułowego daszku, obitego w okół kawałkami opuszczającego się ku ziemi wołtoku. Lekko wygięte krokwie rozchodziły się, podobnie jak sprychy w kole, od środkowego słupa, wspierając się na drążkach wbitych prostopadle w ziemię w okół namiotu i tworzących jego ściany; w obwodowej ścianie umieszczone były drzwi. Daszek namiotu zaopatrzony był pierścieniowatą szczeliną, służącą do wyprowadzenia dymu i odświeżania powietrza. Kominek zastępowało tu kilka płyt kamiennych, na których przy tlejących się drewnkach stało kilka garnków. Sprzęty namiotu stanowił wazki drewniany tapczan, dwie czy trzy niebiesko malowane rossyjskie skrzynki i niski stolik, przy którym Kirgizi, siedząc w kuczki, spożywają jadło. Na stoliku tym stały lub też leżały w nieporządku brudne drewniane łyżki, także czary drewniane i stary miedziany czajnik; zaś na łatach przysięciennych, obok rozpiętej kory brzozonej, wisała uprząż końska, zarzdewiała skałkówka, strzemiona wykładane srebrem i dywanowy czaprak.

Pierwszym obowiązkiem gospodarza jest uraczenie swych gości kumysem. Zaledwie siedliśmy na płycie kamiennej, pokrytej kawałkiem grubego wołtoku, gdy jedna z kobiet, podbiegłszy śpiesznie do wiszącego na drążku brudnego, skórzanego worka; zawierającego w sobie kumys, powierciła tam patykiem, i wnet miałem przed sobą czarę drewnianą, napełnioną po brzegi tym ulubionym kirgizkim napojem. Spodziewałem się, że to będzie coś podobnego do mieszaniny mleka z wodą sodową, przeciwnie jednak, napój ów wydał mi się smacznym i zarazem orzeźwiającem. Nie miałem jednak pojęcia, jak ogromną ilość należy pochłoniąć tego napoju, by zadość uczynić zwyczajowi. Zaledwie zdołałem wychylić tę pierwszą porcję, gdy patriarcha podał mi następną, a kiedym go prosił, aby tą już czarą, której spełnienie przechodzi moje siły,

ugościł pana Frosta, ujrzałem go tak dalece strapionego moją odmową, że chcąc go rozweselić posłałem do tarantasu po moję lutnię i przebijając po strunach palcami, zacząłem mu śpiewać. Pan Frost, który nie miał wcale ochoty spotkania się z kumysem, widząc swą kolej, wydobyl śpiesznie z kieszeni notyskę i zabrawszy się do rysowania sześciolatniego synka kirgizkiego patriarchy, spełnienie podanej mu czary odłożył na później. Zręczny ten jednak wybieg chybił ze szczętem celu; zaledwie bowiem wziął on ołówek do ręki, gdy matka owego chłopczyny, przerażona baczem wpatrywaniem się artysty w jej dziecię, pochwyciła w objęcia małego łapserdaka i całując go namiętnie, jakby uratowanego z grożącego życia niebezpieczeństwa, śpiesznie usunęła z pod złowrogiego oka mniemanego czarownika. Widząc, że grą moją na lutni nie zażegnam najniespodzianiej wynikłego nieporozumienia, wynieśliśmy się z jurty. Chciałbym istotnie wiedzieć, jakim to przeróżnym gadkom dało początek owe pojawienie się w namiocie kirgizkim dwóch niby życzliwych giaurów, z których jeden przy pomocy jakiegoś czarodziejskiego instrumentu wyśpiewywał bezbożne pieśni, drugi zaś usiłował złym wzrokiem urzec dziecko.

Przez całe następne cztery doby jechaliśmy bez odpoczynku po bezbrzeżnym stepie irtyszkim; w przejeździe zbieraliśmy na stawach zarosłych sitowiem, wodne białe lilie, zdejmowali szkice osamotnionych grobów kirgizkich i spijali kumys w namiotach uprzejmych nomadów. Gościniec snuł się czasami po irtyszkich dolinach po nad brzegiem rzeki, gdzie wiatrem rozkołysana złota wełnica i wysoka stepowa trawa, jak wzburzone wody, roztrącały swe spienione fale na krzacastych grzebieniach srebrno białej spirei; — niekiedy gościniec odchylając się od rzeki, prowadził po nieco podniesionych, skwarem słonecznym wypalonych równinach, to znów skręcał nagle w wilgotne oazy, okolonie stepowymi jeziorami, gdzie spotykaliśmy urocze naturalne ogrody kwiatowe pełne róż, astrów, gwoździ-

ków, hiszpańskiej wyki i przepysznych ciemno-niebieskich dzwonek.

W piątek, przy wyjeździe naszym z miasteczka kozackiego Pawłodaru, gorąco w południowej godzinie dochodziło do 91° Fahrenheita. Słońce tak paliło, że chociaż rozebrani do koszuli, omdlewaliliśmy w głębi krytego skórą tarantasu; ażeby nachwytać choć trochę świeżego powietrza, wymachiwaliśmy kapeluszami, rozganiając zarazem chmury płasających po bezmiernym stepie zielonookich, polnych koników; słońce zwrotnikowe tak doskwierało, że niepodobna było uwierzyć, ażeby to była Syberya.

Obecnie przejeżdżaliśmy wciąż przez liczne kozackie osady, ciągnące się brzegiem Irtysza. Niskie położenie sprzyja tu nadzwyczaj roślinności, dzięki czemu, wsiom tym nie brak cienistych drzew i ogrodów warzywnych. Prawdziwie błogo było po całodziennym skwarze słonecznym odetchnąć na tej stepowej oazie, zroszonej wodami przerzynającej ją wąskiej odnogi Irtysza; patrzeć na te cieniste drzewa, na ogrody pełne warzywa, ogórków, melonów, wśród których tak malowniczo odbijały czerwone, rozstrzępione kwiaty maku ogrodowego. Kobiety w rozpuszczonych letnich szlafrokach prały na rzece bieliznę, podczas gdy półnagie dzieci towarzyszące matkom, igrały pod cieniem drzew lub też obluźgiwały się wodą.

Pozostała część drogi do Siemipałatyńska przebyliśmy nocą. W miarę zbliżania się ku miastu, roślinność karłała stopniowo tak, że pół nagi jałowy step wydawał się wypaloną żarem słonecznym, gdzie nierzadko nanieśioną piaskiem, pustynią, na której czasem tylko można było zobaczyć wynędzniały krzew, lub też kępki wyżółkłej trawy

Zaraz po północy zasnąłem, przebudziwszy się dopiero na dodniu. w chwili gdyśmy przejeżdżali obok dość wielkiego bielonego budynku, oświetlonego latarniami, który jak się później dowiedziałem był miejscem więzienia. Niebawem wjechaliliśmy w jakąś długą, szeroką, odosobnioną ulicę, objętą dwoma rzędami

drewnianych, pozamykanych domów o nader wysokich stromych dachach, co wszystko na dodniu wyglądało niezwykle ponuro. Ponieważ cała ulica zasłana była cienką warstwą piasku, przesuwaliliśmy się tedy po niej tak cichuteńko, jakbyśmy nie toczyli się tarantasem, lecz płynęli gondolą po lagunach weneckich. Ten przejazd nasz o szarej rannej godzinie przez miasto, jakby opustoszałe, nie zdradzające ni śladu życia i nanieśione piaskiem stepowym, miał w sobie coś tajemniczego i uroczego zarazem; tylko z rozległej dali dochodziło nas grzechotanie nocnych stróżów, przypominające bębnienie na alarm.

Wreszcie stanęliśmy przed jakimś murowanym domem, nazwanym przez naszego woźnicę: »hotelem sybirskim«. Tutaj kołataliśmy dość długo w bramę, aż wreszcie pojawił się zaspany kelner i poprowadził nas na drugie piętro do jakiegoś dusznego pokoiku, gdzie rozłożywszy się na podłodze, doczekaliśmy rana.

Miasto gubernialne Siemipałatyńsk, leżące na prawym brzegu Irtysza w odległości 760 km. od Omska, 1450 km. od Tiumentia, ma 15.000 mieszkańców, w skład których wchodzi Rosyjanie, Kirgizi i Tatarzy. W Siemipałatyńsku schodzą się trakty karawanowe, prowadzące do Taszkentu i środkowej Azji; miasto więc to, jednoczące ruch handlowy znacznej części stepu kirgizkiego, ma wcale doniosłe znaczenie. Prowincya siemipałatyńska jest więcej krajem stepowym niż rolniczym; ludność jej wynosi 547.000 mieszkańców, między którymi 497.000 nomadów. Koczujące te plemiona zamieszkują w 111.000 namiotach, posiadają 3.000.000 sztuk bydła łącznie z wielbłądami, których liczba dochodzi po 70.000. Cała ta prowincya, dostarcza rocznie 45 000 funtów masła, 370.000 funtów tytoniu, 100.000 czetweryków kartofli i zwyż 12.000.000 czetweryków (4.200.000 hl.) zboża. Odbywa się tu rocznie 11 jarmarków, na które dowożone ziemiopłody przedstawiają wartość 1.000.000 dolarów. Z samego Siemipałatyńska rozechodzi się rocznie, po różnych okolicach Mongolji i środkowej Azji, towaru za 150 do 200.000 dolarów.

Siemipałatyńsk zasłużył sobie w zupełności na przydomek «djabelskiej piaseczniczki», którym obdarzyli go łameczni oficerowie. Miasto to istotnie razi cudzoziemca swą ponurą fizyonomią; nie zoczy on tu nigdzie jednego drzewa, ni źdźbła trawy, a tylko rzędy posepnych, wpół zbutwiałych domów, obejmujących piaskiem rzeczonym zasłane ulice. W ciągu całej półgodzinnej naszej wędrówki nie spotkałiśmy ani śladów roślinności, brnąc po kostki w zaspach piaszczystych, zalegających ulice i chodniki. Zdawało mi się koniecznie, że znalazłem się w którymś z miast północno-afrykańskiej pustyni. Meczety tatarskie z ciemnymi minaretami, mułlowie długobrodzi z białymi na głowach turbanami, dwugarbne wielbłądy, kroczące poważnie po ulicach, wszystko nadaje temu miastu charakter czysto mahometański.]

W poniedziałek rano udałem się do gubernatora Cieklińskiego, wręczyłem mu listy ministra spraw wewnętrznych i zagranicznych, dowiadując się tu z zadowoleniem, że nie był on uprzedzony urzędownie o naszym przyjeździe, ani też nie otrzymał żadnych względem nas instrukcyi: przyjął mnie przyrzem bardzo uprzejmie, pozwolił zwiedzić więzienie, przyrzekł przysłać nam policmajstra by nas oprowadził po mieście, i w dodatku opatrzył mnie listami polecającymi do wszystkich urzędników swej guberni.

Idąc za radą pana Cieklińskiego, udałem się od niego wprost do biblioteki miejskiej, zajmującej wcale niepokazny budynek w środku miasta. Biblioteka ta mieściła antropologiczne muzeum, wygodnie urządzone czytelnia i zaopatrzona wszelkimi możebnymi rosyjskimi gazetami i czasopismami, a w dodatku księgozbiór, zawierający wyż tysiąca najwyborowszych dzieł i to przeważnie naukowych. Z prawdziwym zdumieniem przyszło mi się tu spotkać z Spencerem, Bucklem, Lewensem, Millem, Tainem, Lubbockiem, Taylorem, Huxleyem, Darwinem, Leyllem, Tyndallem, Alfredem Russlem, Wallacem i Sir Henry Mainem: — z romansopisarzami i nowelistami: Scottem, Dickensem, Maryatem, George-

Eliotem, George Mac Donaldem, Anthony Troloppem, Justin Mac Carthym, Ereckmann-Chatrianem, Edgar Allan Poëm i Bret Hartem. Dzieła naukowe a w szczególności dotyczące ekonomii narodowej wybitnie były przedstawione. Wybór dzieł przynosił zaszczyt założycielom tej biblioteki i świadczył o wysokim ich wykształceniu i istotnym smaku naukowym. *)

Wyszedłszy z biblioteki, włóczyłem się po prawym brzegu Irtysza, dochodząc aż do przewozu przez rzekę, dzielącą Siemipałatyńsk od przedmieścia kirgizkiego. Stacya przewozowa znajduje się na wyspie, leżącej pośród Irtysza, do której dostać się można ścieżyną lub też przeprawić się przez osuszony kanał. Niebawem zoczyłem przed sobą gromadę Kirgizów z kilkoma dwugarbnymi wielbłędami, z których jeden ciągnął za sobą kibitkę. Przy samym przewozie, Kirgiz wyprzągnął wielbłąda i przewróconą do góry kołami kibitkę umieścił mu na grzbiecie. Baktryjskiego wielbłąda dostatecznie ośmieszają jego dwa niekształtne garby, niezmiernie długa szyja i pogardliwy wyraz fizygnomii, — nigdy wszelako nie wydał mi się on komiczniejszym jak obecnie, gdy dźwigał na grzbiecie wywróconą do góry kołami kibitkę.

Poczynając prawie od koryta rzeki roztacza się w kierunku południowym bezgraniczna, stepowa pustynia. Na brzegu spotkałem zmierzającą do miasta wielbłądźią karawanę, obładowaną materjami jedwa-

*) Wszystkie wyż wspomniane dzieła naukowe, obrobione już były należycie przez cenzurę rosyjską. W «historji racjonalizmu» Lecky's'a brakowało całego rozdziału; przebiegając przelotnie tę książkę spostrzegłem w niej brak około 60 stronnic. Mimo tego, dzieło to nabawiało takim strachem rząd rosyjski, że nawet w tem na krańcach świata znajdującem się mieście, wolno je było czytać tylko tym osobom, które miały na to pozwolenie od ministra spraw wewnętrznych, podpisane przez samego cara. Pod tą samą kontrolą pozostawały dzieła Spencera, Milla, Lewes'a, Lubboka, Huxley'a, Lyell'a, mimo że cenzura powycinała z nich wszystko cokolwiek zdawać się jej mogło «niebezpiecznem» lub też «demoralizującym».

bnymi, dywanami i innymi towarami, dowożonymi tu z Taszkontu i Azyi środkowej.

Powróciwszy z tej wycieczki dopiero po południu, zastałem w hotelu pana Frosta z mnóstwem szkiców, które w czasie mojej nieobecności pozdejmował z południowej dzielnicy miasta. Wieczór był tak gorący i duszny, że rozebrani do koszuli siedzieliśmy do późna przy otwartem oknie, wsłuchując się w gwary, dochodzące nas od strony tatarskiej części miasta. Był to ostatni dzień postu miesięcznego Ramazan; cała ludność zdawała się do północy być na nogach. Wśród nocnej ciszy rozlegały się w powietrzu odgłosy nocnych strażników i przeciągłe żałosne nawoływania muezinów z minaretów tatarskich meczetów.

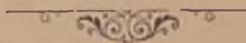
Nazajutrz rankiem w mieście panował wielki ruch; Kirgizi i Tatarzy w świątecznych ubiorach gromadzili się na ulicach, obchodząc uroczyste trzydniowe święta popostne. Przed samym południem mieliśmy gościa, w osobie policmajstra, który zgodnie z życzeniem gubernatora przyszedł nam się przedstawić i oprowadzić nas po mieście. Wyszliśmy też wkrótce, i zwiędziwszy w jego towarzystwie meczety tatarskie, tudzież złożyw-
szy wizyty urzędowe tatarskiemu mulle i wyższym urzędnikom, skierowaliśmy się ku zachodniemu końcu miasta, zatrzymując się na piaszczystym placu, na którym miała się właśnie odbywać walka pomiędzy Tatarami i Kirgizami. Cała publiczność otaczająca arenę sformowała się w trzy kręgi. Widzowie najbliżsi areny, siedząc na kuczkach, opasywali ją trójrzędnym pierścieniem; następny krąg tworzyli stojący spektatorowie, trzeci zaś — jeźdźcy na koniach. Przycisnąwszy się z policmajstrem przez wszystkie trzy kręgi, siedliśmy sobie na piasku pod żarem promieni słonecznych spowici lekkim obłokiem kurzu, wydobywającego się z placu walki.

Zgromadzeni dzielili się na dwa obozy, z których jeden stanowili Tatarzy, drugi — Kirgizi. Przyłączyliśmy się do tych ostatnich, mając naprzeciw siebie Tatarów. Czterej mistrzowie ceremonii, przyodziani w zie-

lone togi, trzymali w rękach trzciny. Tatarzy wybrali z pomiędzy siebie jednego zapaśnika, zarzucili na niego szeroki pas, i wciągnawszy go na arenę, zawezwali kirgizów mężów zaufania, by stawili przed nim współzawodnika; skoro się ten ukazał, rozpoczęły się bezzwłoczne zapasy. Pierwszym, występującym do walki był urodziwy, sympatyczny Kirgiz, w niebieskiej czapeczce i czerwonym pasie. Naprzeciw owego Kirgiza stanął atletycznej budowy Tatar, w żółtej czapeczce i zielonym pasie. Przeciwnicy, zmierzyszy się wzrokiem, rzucili się na siebie i chwytając się wzajemnie jedną ręką za pasy, drugą za ramiona, usiłowali powalić jeden drugiego na ziemię. Zwarci głowami, podając — dla zachowania równowagi — naprężone nogi nieco ku tyłowi, naginali się niemal pod kątem prostym i ciągnąc się w tej podstawie po arenie, oba upatrywali żądnie chwili, sprzyjającej do pokonania się. Wreszcie atletycznej budowy Tatar, oswobodziwszy się z objęć Kirgiza, odskoczył w tył i natarł na niego tak gwałtownie, że ten zachwiał się na nogach, z czego korzystając Tatar, uderzył go tak silnie nogą, a w ślad zatem kolaniem, że nim Kirgiz zdołał się opamiętać, Tatar pochwycałszy go w swe łapy, przerzucił jak piłkę po nad swą głową. Biedny Kirgiz padł z takim gwałtem, że mu krew puściła się gardłem i nosem. Nie mógł nawet podnieść się o swych siłach, dopiero przy pomocy innych, wśród zwycięskich okrzyków Tatarów wrócił na swe miejsce.

Publiczność z wyteżoną uwagą przypatrywała się występującym na pole walki coraz to nowym współzawodnikom. Unoszący się z areny kurz i piasek gęstym tumanem spowijał widzów, wygryzając oczy; powietrze nasycone potem końskim i ludzkim, tudzież wstrętnym odorem zatłuszczonych kozuchów, tamowało oddech, a promienie słoneczne tak mocno doskwierały, że twarze i ręce nasze wyglądały jakby obłożone wizykatoryą; przedstawienie jednak tak dalece pochłaniało naszą uwagę, że przypatrywaliśmy się z rzędu piętnastu walkom. Pokonani ustępowali z placu boju bez

urazy lub zawziętości, śmiejąc się często z doznanego niepowodzenia. Tatarzy wydawali mi się w ogóle jeżeli nie silniejszymi od Kirgizów, to przynajmniej zręczniejszymi. Szala też zwycięstwa przechylała się częściej na ich stronę. Walka trwała do późna, my jednak opuściliśmy arenę około godziny 5 po południu i przecisnąwszy się przez tłum, skierowaliśmy się ku hotelowi, by ochłodzić się i obmyć czerniące się od kurzu twarze i ręce.



IV.

Pierwsze spotkanie się z wygnańcami politycznymi.

Z wygnańcami politycznymi w Syberii poznałem mnie, rzecz dziwna, same władze rządowe tamtejsze. Między wieloma urzędnikami, których poznałem, był niejaki Pawłowski *), człowiek wykształcony, inteligentny, zajmujący przez czas dłuższy wybitniejsze stanowisko w służbie rządowej, które zawdzięczał gruntownej znajomości Syberii, a w szczególności krajów stepowych. Chociaż Pawłowski od razu zrobił na mnie wrażenie wykształconego, ludzkiego i wolnomyślnego człowieka, to wszakże idąc za radą daną mi w Petersburgu, że rząd rossyjski złem patrzy okiem na przejezdnego cudzoziemca, interesującego się wygnańcami politycznymi, wahałem się zawiązywać z nim rozmowę w tym przedmiocie, postanowiwszy sobie natomiast dążyć skrycie do zamierzonego celu. Nie przypuszczając, ażeby rossyjskiego urzędnika łączyła z wygnańcem politycznym jakakolwiek sympatya, nie mogłem też liczyć na jego pośrednictwo. W rozmowie mojej przeto strzegłem się potrącać o drażliwy przedmiot, nie dając żadnego powodu do przypuszczeń, że znane mi są ruchy rewolucyjne w Rosyi i że interesuję się żywo wygnańcami.

*) Właściwe nazwisko tego urzędnika zmuszony jestem zatrzymać w tajemnicy i zastąpić je przybranem.

Kiedy raz po obiedzie gawędziliśmy o Ameryce, spytał mnie nagle i niespodzianie pan Pawłowski: panie Kennan, nie zwrócili też pańskiej uwagi młodzi ludzie, wysłani tu z Rossyi na osiedlenie?

Nie zmiarkowawszy na razie, dokąd zapytanie po-
dąży, odpowiedziałem, że nie dosć mi ono jasnym.

— Sądzę — odrzekł on — że obecnie wysyłają z Rossyi na Sybir wiele wykształconej młodzieży i zdaje mi się, że sprawa ta nie jest dla pana obojętną. — Wzrok jego wymowny, łagodny, a przytem sięgający do dna samej duszy, utrwalił mnie w przekonaniu, że mowa tu o wygnańcach politycznych

Z tem wszystkim nie zapomniałem na chwilę, że mam do czynienia z urzędnikiem rosyjskim. Przeważnie nie pozwoliła mi być otwartym, zbyłem go też ogólnikową odpowiedzią. Mnie się zdaje — mówił on, wpatrując się we mnie badawczo — że ruch ten jest objawem społecznym zbyt doniosłego znaczenia, by pana jako cudzoziemca nie mógł żywo zainteresować.

— W istocie — odpowiedziałem — wszelkie objawy społeczne budzą we mnie zajęcie, bezwątpienia też i ruch, o którym mówimy, żywo by mnie mógł zainteresować, gdyby nie był mi obcym.

— Między młodzieżą zesłaną obecnie do Syberyi — mówił P. — są osobistości wybitne, mężczyźni z wykształceniem uniwersyteckim, kobiety zaś osobliwej siły charakteru.

— Tak słyszałem; byłoby też w istocie rzeczą zajmującą poznać się z takimi ludźmi — odpowiedziałem.

W ten sposób próbowaliśmy z panem Pawłowskim przez ciąg kilku minut sondować wzajemnie nasze zapatrywania co do politycznych wygnańców, powstrzymując się od wszelkich zwierzeń. Z jego słów mogłem wnioskować, że ci młodzi wygnańcy mocno go obchodzą, ukrywa się on jednak z tem przedemną, nie przekonawszy się poprzednio o mojej stałości charakteru i sympatii dla nich. Przeważnie nie pozwo-

liła mi wszczynać dalszej w tym drażliwym przedmiocie rozmowy zwłaszcza z urzędnikiem rosyjskim, którego mniemana otwartość mogła być tylko fortelem, użytym dla wybadania istotnego celu mojej podróży po Rossyi. Objawy współczucia dla wygnanych wrogów rządu ze strony urzędnika rządowego wydawały mi się czemś tak niezwykłym i bezprzykładnym, że w istocie obudziły we mnie ku osobie jego nieufność.

Gra jednak w ciuciubabkę okazała się nużąca, rzekłem więc otwarcie: panie Pawłowski, mówisz pan o wygnańcach politycznych. Nie wiedząc gdzie są oni, nie mogę zawierać z nimi znajomości. W dodatku zapewniano mnie, że rząd złem patrzy okiem na cudzoziemca, wchodzącego w stosunki z wygnańcami politycznymi.

„Politycznych“ z łatwością można odszukać, — odpowiedział mi Pawłowski. Jest ich zbyt wiele w kraju; mógłbyś pan przy dobrej chęci łatwo się z nimi zaznajomić. Tu w samym Siemipałatyńsku jest ich 30 do 40; chodzą oni po ulicach jak wszyscy inni ludzie, dlaczegoż nie miałbyś pan przypadkowo z nimi gdzie się spotkać?

Po złamaniu pierwszych przeszkód, tamujących rozmowę, szybko nastąpiło wzajemne porozumienie. Wkrótce też nabrałem przeświadczenia, że sympatie Pawłowskiego dla wygnańców politycznych nie są udane, lecz szczere. Nadto on ufał mojemu rozsądkowi i mojej stateczności, by mógł wątpić o mojej dyskrecyi. Z rozmowy naszej dowiedział się on, że dotąd uznawałem nihilistów za zaślepionych fanatyków, marzydliwych, socyalnych teoretyków, dążących do zakłócenia porządku państwowego; ja natomiast dowiedziałem się od niego, że to są ludzie spokojni, roztropni, niedopuszczający się żadnych nadużyć, i że swem zachowaniem się zjednali sobie względy i wysokie uznanie u gubernatora Cieklińskiego. Dowiedziałem się dalej, że wszyscy osiedleńcy polityczni w Siemipałatyńsku w liczbie 23, nie z wyroku sądowego, lecz z rozkazu ministra spraw wewnętrznych, potwierdzonego przez

cara, zostali z kraju wypędzeni. Wygnanie ich trwać miało od 2 do 5 lat, po upływie zaś naznaczonego terminu, każdy z wygnańców, którego postępowanie władze miejscowe uznają nienagannem, mógł własnym kosztem powrócić do swego kraju. Niektórzy z wygnańców znaleźli zatrudnienie w Siemipalałyńsku i utrzymywali się z zarobku; innym dopomagali krewni lub przyjaciele, reszta otrzymała wsparcie od rządu, — zaliczeni do stanu szlacheckiego po 6 rs., zaś nieuprzywilejowani po 2 rs. 70 kop. miesięcznie; wsparcie więc to wystarczyć ledwie mogło na uchronienie od głodowej śmierci.

Istotnie — rzekł pan Pawłowski — kwota ta pod żadnym względem nie wystarczy na utrzymanie; 9 kop. co najmniej pochłania sam tylko chleb, zaś o schronisku i mowy być nie może, i gdyby nie pomoc zamężniejszych, to wielu znalazłoby się w wielkim niedostatku. W liczbie wygnańców i wygnanek politycznych są przeważnie ludzie wykształceni, a gubernator Ciekliński, świadomy ich potrzeb, pozwala im udzielać lekcji prywatnych, mimo, że podług litery prawa, wzbroniono jest przestępcom politycznym zajmować się nauczaniem. Kobiety zarabiają szyciem i haftowaniem. Wygnańcom wolno jest prowadzić korespondencję listowną, czytać książki i czasopisma treści dozwolonej, pozostawia się im wolność osobista, mimo, że pozostają wciąż pod dozorem policyjnym.

— Za jakie przestępstwa wygnani są ci młodzi ludzie? — zapytałem. — Czy byli oni sprzyśnięci? lub należeli może do spisku na życie cara?

— O nie — odpowiedział pan Pawłowski, uśmiechając się — okazali się tylko niebłagomądnymi. Jedni z nich należeli do zakazanych stowarzyszeń, inni posiadali lub też sprowadzali wzbronione książki, innych zaś łączyły stosunki znajomości z niebezpiecznymi przestępcami stanu, lub też uczestniczyli w rozruchach szkolnych i uniwersyteckich. Tutejsi wygnańcy są przeważnie administracyjni, t. j. osoby, które rząd z wiadomych mu względów uznał

za stosowne wydalic z kraju do tych prowincyi koronnych, w których nie mogą być szkodliwymi i gdzie zostają pod nadzorem policyjnym.

Z następnich uzyskanych na moje zapytania o politycznych wygnańcach od pana Pawłowskiego odpowiedzi dowiedziałem się że ludzie ci wolni są od wszelkiego zarzutu; wreszcie oznajmił, że dla wyrobienia sobie właściwego o wygnańcach tu osiedlonych sądu, gotów jest sam mnie z nimi zaznajomić. Pójdziemy, rzekł, w odwiedzinę do jednego z młodych wygnańców, Łobonowskiego, który właśnie w tej porze zajęty jest malowaniem kurtyny dla miejskiego teatrzyku. Jest to także kawałek artysty i ma u siebie dość przeróżnych szkiców sybirskich. Pan sam zdejmujesz krajobrazy i zbierasz je, więc masz usprawiedliwiony powód do zwiedzenia jego pracowni.

— W istocie — odezwałem się. — Szkice są moja słabą stroną; prócz tego jestem znawcą kurtyn teatralnych, a więc muszę obejrzeć obrazy tegoż artysty bez względu na to, że jest on nihilistą i wygnańcem.

Powóz pana Pawłowskiego stał przed bramą, siedliśmy więc, podążając wprost ku pracowni pana Łobonowskiego.

Zżywszy się już od roku z wygnańcami politycznymi, trudno mi jest dzisiaj, zwłaszcza w obec nowo związanych znajomości z wygnańcami w Siemipalałyńsku, odnowić sobie w pamięci moją dawniejszą o nich opinię.

Wiem dobrze jednak, że byłem ich przeciwnikiem, że nie mogłem dopatrzeć w kobietach jak i w mężczyznach wykształcenia, ani też innych przymiotów, właściwych ludziom dobrego towarzystwa. O ile sobie przypominam, to pod nihilistami rozumiałem jakieś ponure, mniej lub więcej dziwaczne stworzenia z pewnym zasobem wiadomości w jednym tylko kierunku, zresztą zagorzałych fanatyków, o bezgranicznym poświęceniu, lecz z najprzewrotniejszymi pojęciami o rządzie i porządku społecznym, obdarzonych przytem małą dozą zdrowego rozsądku. Nie wierzyłem, by mnie

łączyć miała z nimi jakaś wspólna idea, jak n. p. z anarchistą Ludwikiem Lingiem, i jakkolwiek zamierziałem wysłuchać z całą bezstronnością ich skarg przeciw rządowi, nie wątpiłem wszakże, że wszystkie te zażalenia nie wpłyną na zmianę mojej dotychczasowej o nich opinii.

Nawet po tem wszystkim, com słyszał z ust pana Pawłowskiego, przedstawiałem sobie owego pana z paletą, jako długowłosego o biegających oczach młodzieńca, zasypującego nas deklamacyami o nadużyciach rządowych, dopatrującego w każdym rozporządzeniu gubernatorskiem brutalnej tyranii i wymagającego odemnie uznania dla zabójstwa, spełnionego na osobie Aleksandra II.

Ponieważ dom, przed którym zatrzymaliśmy się, zajmował wyłącznie pan Łobonowski, weszliśmy tedy nie opowiadając się. Nie przystąpiwszy jeszcze progu drzwi rozwartych ręką pana Pawłowskiego, ujrzałem w głębi komnaty przed wielkim kawałem naciągniętego płótna, trzydziestoletniego mężczyznę, blondyna w ciemnej płóciennej bluzie, trzymającego w jednej ręce penzel, w drugiej zaś paletę z ledwie co rozrobionymi farbami. Silna i kształtna postać, tudzież całe wzięcie się, cechowało człowieka wykształconego, z razu też zrobił on na mnie korzystne wrażenie. Jasne, niebieskie oczy, gęste, ciemne włosy, opadające na wysokie czoło i jasno blond broda, nadawały kształtnej jego głowie wyraz mężkości i godności; z oblicza jego przebijała taka szczerłość i swoboda, że od razu uznałem go za człowieka serdecznego, wrażliwego, a prztem pełnego siły i harmonii wewnętrznej. Oblicze to nie miało nic wspólnego z wytworzonym przezemnie typem nihilisty.

Pan Łobonowski dowiedziawszy się od p. Pawłowskiego, że ma przed sobą amerykańskiego podróżnika, którego jako amatora krajobrazów sprowadza tu chęć obejrzenia jego szkiców, powitał mnie serdecznie, bez śladu zakłopotania i przedstawiając mi widoki okolic zdejmowanych przez niego przeważnie z po za krat

więziennych, prosił o wyrozumiałość dla nienależycie wykonanej swej pracy. Szkice te wykonane niewprawną jeszcze ręką, zdradzały siłę i talent. Przedstawiały one wnętrza więzień, domów etapowych, portrety wygnańców politycznych, jakoteż widoki okolic, rysowanych przez artystę z okien więziennych w czasie podróży jego do Syberyi. W rozmowie naszej z p. Łobonowskim nie poruszaliśmy żadnej kwestyi politycznej. Opowiadał mi on o swej podróży do Syberyi w ten sposób, jakby ją odbywał nie przymusowo, lecz z dobrej woli, unikając wzmianki o wszystkim, co mogło przypomnieć, że jest politycznym przestępcą i wygnańcem. Zachowanie się jego było spokojne, skromne i szczerze; w każdym zwrocie rozmowy okazywał wiele taktu, i mimo najściślejszych obserwacji nie mogłem wykryć w nim ani śladu dziwaństwa. Domyślił się on zapewne, że ma przed sobą badacza, usiłującego nieznacznie pochwycić cechy, właściwe nowemu typowi kryjącego się w nim przestępce; to go jednak nie krępowało ani też wprowadzało w zarozumiałość, umiał panować nad sobą, zachowując spokój i godność istotnego dzentelmana.

Po półgodzinnej rozmowie, żegnając się ze mną prosił, bym razem z p. Frostem zechciał odwiedzić go w mieszkaniu, gdzie nas oczekiwać będzie z kilkoma towarzyszami. Podziękowałem mu i przyrzekłem przyjść.

— No, i cóż pan sądzisz o wygnańcach politycznych? — Zagadnął mię pan Pawłowski.

— Bardzo dobre zrobili na mnie wrażenie — odpowiedziałem. — Czy wszyscy są tacy?

— Wszyscy nie, ale nie ma między nimi złych ludzi. W mieście, jest jeszcze jeden, zasługujący na uwagę wygnaniec, nazwiskiem Leontiew, z którym powinien się pan koniecznie poznać. Pracuje on w biurze sędziego pokoju pana Makowieckiego z którym wspólnie oddają się studjom antropologicznym nad Kirgizami, i o ile mi wiadomo zbierają materiały do mono-

grafji kirgizkiego prawa zwyczajowego. *) Udał się pan do pana Makowieckiego, on cię z pewnością poznamy z panem Leontiewem. Obaj ci panowie są ludźmi wykształconymi i inteligentnymi.

Ponieważ p. Makowiecki należał do zarządu biblioteki miejskiej, mieszczącej także zbiór rozmaitych sprzętów, narzędzi kirgizkich, udałem się tedy do niego z prośbą o udzielenie mi pozwolenia na zwiedzenie tej biblioteki. Przyjąwszy mnie najuprzejmiej, p. Makowiecki z zadowoleniem zadość uczynił mojemu życzeniu i przedstawivszy mi swego sekretarza p. Leontiewa, poświęcającego się studjom nad życiem Kirgizów, zobowiązał go by zechciał obeznać mnie z materyałami, dotyczącymi pochodzenia i sposobu życia szerepu kirgizkiego.

P. Leontiew, młody, przystojny, około 25 lat liczący mężczyzna o wyrazistach szarych oczach i ciemno blond włosach, wywarł na mnie — wyraz energii przebijającej się w jego twarzy — bardzo sympatyczne wrażenie. Biegły znawca mógł od razu poznać w nim człowieka nauki. Dowiedziałem się później, że p. Leontiew był synem b. komendanta kirgizkiego garnizonu w Siemipałatyńsku i kształcił się początkowo w szkole paziów w stolicy rossyjskiej. W 18 roku życia wstąpił do uniwersytetu petersburskiego, lecz w czwartym roku swych studjów został aresztowany i zesłany drogą administracyjną na pięcioletnie osiedlenie w Syberji. Przyczyną zaś wydalenia jego, było podejrzenie o utrzymywanie stosunków z przestępcami politycznymi, więzionymi w fortecy Piotro-pawłowskiej.

P. Leontiew, mimo pewnej etykietalności i powściągliwości w słowach, wywarł na mnie wcale przyjemne wrażenie. Powróciwszy po półgodzinnej rozmowie do hotelu, przyznać musiałem, że gdyby wszyscy rewolucyoniści stali na równi z dwoma dopiero co po-

*) Monografia zamieszczona była w roczniku zachodnio-sybirskiego towarzystwa geograficznego.

znanymi, to dotychczasowa opinia moja o nich, powinna uleść zasadniczej zmianie.

Punkt o godzinie 8 wieczorem zapukaliśmy z panem Frostem do drzwi Łobonowskiego. Wpuszczono nas i przyjęto najserdeczniej.

Lokal gościnny naszego gospodarza składał się z małego pokoiku, którego ściany były wytynkowane, podłoga z zwykłych desek, nie zasłana kobiercem. Na prawo od drzwi wchodowych stało skromnie zasłane łóżko. W rogu pokoju, na trójkątnym stoliku między innymi książkami leżało dzieło Herberta Spencera. »Rozprawy moralne, polityczne i estetyczne« i tegoż autora »Zasady filozofji«. Przeciwny róg pokoju zajmowała z desek zaimprovizowana etażerka, na półkach której leżały przeróżne książki, zielnik z teksturowymi okładkami i Nowy testament w angielskim języku. Pomiędzy dwoma oknami stał wielki prosty stół drewniany, na którym leżało rozwarte, właśnie co studyowane przez pana Łobonowskiego dzieło Balfours'a »Zachowanie siły czynnej«. Reszta umeblowania składała się z drewnianych stołków. Wszystko to aczkolwiek utrzymane nader schludnie, świadczyło wymownie, że mieszkaniec pokoiku z braku środków, zmuszony jest ograniczać się na najniezbędniejszych sprzętach.

P. Łobonowski zadawał nam różne pytania, dotyczące naszej podróży po Rossyi i nie tał zadowolenia, jakie mu sprawiało przyjmowanie Amerykanów w swym domu; zwracając się zaś ku mnie, rzekł z uśmiechem:

— W Ameryce słyzałeś pan niezawodnie wiele strasznych rzeczy o rossyjskich socyalistach?

— Tak jest — odpowiedziałem — to co słyzałem tam o was, streszcza się w słowach: walka na bomby i mordercze zamachy: nic dziwnego przeto, że stworzył sobie o was niepoehlebną opinią. W Ameryce zwykliśmy rozumieć pod nihilistą człowieka w nie niewierzącego, który zaprzysiągł zagładę wszelkim instytucjom.

— Jeżeli już o to idzie, to nazwa nihilisty jest terminem przestarzałym, nie dającym się z żadnych

względów zastosować do dzisiejszego stronnictwa rewolucyjnego w Rosyi. Powątpiewam bardzo, czy pan będziesz mógł między wygnańcami politycznymi w Syberyi odszukać nihilistę w ścisłym tego słowa znaczeniu. W partyi przeciwrządowej, są ludzie wszelkich możebnych poglądów politycznych, mało jednak takich, którzyby wierzyć mogli w tak zwany »teroryzm«. którzyby chcieli usprawiedliwiać morderstwo w celu wywrócenia rządu; wszakże nawet i terorystów zadaniem nie jest zagłada wszystkiego, co istnieje. Każdy z nich skłonny jest do złożenia broni, jeśliby tylko car zechciał ustanowić rząd konstytucyjny, zapewnić wolność słowa, zniósł dowolne aresztowania, więzienia ludzi i wygnania. Spotkałeś się też pan gdzie z listem, wystosowanym przez rewolucjonistów rosyjskich do Aleksandra III. w czasie jego wstąpienia na tron?

— Nie — odrzekłem — lecz słyszałem o nim.

— List ten wyjawiał zamiary tudzież cele partyi rewolucyjnej, i zapewniał wyraźnie, że skoro tylko car zezwoli na wolność słowa i zaprowadzi narodowe ustawodawcze zgromadzenia, to rewolucyoniści wykreślą z swego programu wszelkie gwałtowne wystąpienia i uznają formę rządu, ustanowioną przez owo zgromadzenie. Wszakże ludziom poddającym się pod podobne warunki, nie można przypisywać dążności niszczenia wszystkich instytutów. Panu najlepiej wiadomo — mówić dalej — że po zamordowaniu prezydenta Garfielda, »Goniec woli narodowej« (organ rosyjskich rewolucjonistów w Genewie) na znak żalu i współczucia wyszedł z czarną obwódką, zaś we wstępnym wymownym artykule zaznaczono, że w państwie, mającym jawną procedurę sądową, wolność prasy i urzędników, wybranych wolą narodu, morderstwo polityczne niezem usprawiedliwionem być nie może.

— O tem wcale nie wiedziałem — odrzekłem.

— Tak jest — mówił dalej — morderstwo Garfielda uznano za zbrodnię polityczną i tak zawyrokowali najzagorzalsi nawet teroryści.

Tu rozmowa nasza przerwana została wejściem trzech młodych ludzi i pewnej damy, których to gości przedstawił mi p. Łobonowski jako swych przyjaciół na wygnaniu. Jeden z nich zdawał się być dziarskim, około 24 lat liczącym studentem, inni zaś robili wrażenie wykształconych włościan lub rzemieślników; byli to typy czysto rosyjskie, Życie i wygnanie dało im się dobrze we znaki, a świadczyły o tem wymownie ich stroskane twarze. Przybyła dama, pani Dicheskula, widocznie zajmowała przedtem inne stanowisko w społeczeństwie. Była to osoba jeszcze młoda, żywego, gorącego temperamentu. Ciemne jej włosy opadały w miękkich pierścieniach na ramiona wyniosłej, smukłej i kształtnej kibici. W twarzy jej przebijała się inteligencya, chociaż piękne i wymowne rysy, zarówno jak i delikatna pięć ucierpiałą od mrozów i poniewierki. Suknia z cienkiej, wełnianej tkaniny z oszyciem koronkownem około szyi i rękawów dodawała jej uroku. Zdawała mi się ona bardzo nawet powabną, a zwłaszcza gdy twarz jej ożywiała rozmowa. Całe jej zachowanie się świadczyło o starannem wychowaniu; daremnie starałem się dopatrzeć w niej choćby cienia zuchwalstwa, szorstkości lub pozowania na oryginalność, co uważałem dotychczas za niezbędne w każdej kobiecie, skazanej za przestępstwo polityczne na wygnanie. Mówiła płynnie i gładko, czasami nawet wspomnienia z podróży na Sybir wywoływały na jej twarzy wesoły uśmiech, i z prawdziwą werwą opowiadała nam o swych przygodach na stepach kirgizkich pomiędzy Akmolą i Siemipałatyńskiem. Była to natura ruchliwa a przytem głęboko czująca. Tak n. p. wydała się do głębi wzruszoną, wspominając nam o włościanach w Kamyszolowej, którzy w dowód szacunku i uznania dla wygnańców politycznych, stary dom etapowy najstaranniej wyczyścili, a cele więzienne przystroili zielonymi gałązkami. Około godziny 8. wniósł Łobonowski kipiący samowar, a pani Dicheskula zajęła się przygotowaniem herbaty. Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy przy wielkim stole, zajęci żywą rozmową,

której przedmiotem były ruchy rewolucyjne w Rosyi, system wygnania, literatura, sztuka, umiejętności i amerykańska polityka. Czas mijał szybko w tak miłym towarzystwie, zdawało nam się wszystkim, że znajomość nasza datuje się przynajmniej od wielu miesięcy, nie zaś od kilku godzin.

Zauważyć muszę, że ujął mnie nader ów umiarkowany i roztropny sposób, w jaki omawiano sprawy publiczne, kwestye rządowe i osobiste swoje poglądy. Opowiadano spokojnie, bez przesady, bez przymieszki goryczy. Zaden z wygnańców nie starał się zaskarbić naszej sympatyj opisywaniem osobistych dolegliwości. Pani Dicheskula np. zaledwie zlekka napomknęła o swej własnej poniewierce, gorącymi słowami natomiast i z uniesieniem opowiadała o przyjacielskiem wystąpieniu włóścian w Kamyszolowej. A jednak miała słuszne powody do utyskiwania na swą dolę. Zaraz bowiem po aresztowaniu odzież jej tudzież rozmaite drobnostki stały się łupem policyi, trzymano ją bez żadnego sądu przez rok cały w więzieniu etapowem w Moskwie, skąd wysłano do jakiejś wsi, położonej w ziemi Akmolińskiej, a następnie przez stopy kirgizkie pognano do Siemipałatyńska.

Przyjemna i ze wszechmiar zajmująca gawędka przeciągnęła się do godziny 11., poczem pożegnaliśmy towarzystwo, udając się na spoczynek do hotelu.

Nazajutr pan Łobonowski, pani Dicheskula, pan Frost i ja przedsięwzięliśmy kilkumilową wycieczkę do lasku topolowego, położonego nad Irtyszem, gdzie latem w namiotach obozowało 6 do 8 wygnańców politycznych. Na murawie pod drzewami rozbity był jeden wielki namiot kirgizki z »wojłoku« (filcu) i kilka małych płóciennych. Mieszkańcami tych namiotów były młode kobiety i mężczyźni, szukający tu schronienia przed szalonymi upałami piaszczystego, оголоconego z drzewa miasta. Spotkałem tu dwie mniej więcej 17-letnie panienki, które na samem ukończeniu studyów wygnane zostały na Sybir. Jakaż to wina mogła ciężyć na tych dziewczętach? Wszakże nie mogły one w żad-

nym kraju i pod żadnymi warunkami zakłócić porządku społecznego, ani też szkodzić rządowi. Zauważwszy też, bojaźń i zakłopotanie, jakim nabawiła te biedaczki moja obecność, i rumieniec wstydu oblewający ich twarze, gdy mnie witał podaniem ręki; wówczas to, po raz pierwszy uczułem wzgardę dla rządu rossyjskiego.

— Gdybym ja był carem — odezwałem się do p. Frosta — i mając na skinienie całą armię wojskową i policyjną, lękał się dwóch małoletnich uczenie, i nie mógł zasnąć spokojnie, dopóki nie wygnam ich na Sybir, to wolałbym raczej abdykować na korzyść kogoś odważniejszego i silniejszego. Myśl że tak potężny rząd jak rossyjski szuka środków bezpieczeństwa w odrywaniu dziewcząt od ich ogniska domowego i gonieniu ich po dzikich stepach azyatyckich, wydała mi się nie tylko śmieszną, ale nawet ohydną.

Spędziliśmy cały ten skwarny dzień w ocienionych namiotach. Podczas gdy pan Frost szkicował ołówkiem namioty, ja rozmawiałem z młodymi ludźmi, z których jeden czytając w oryginale Irvinga, dopytywał się mnie o Amerykę i z kolei opowiadał mi Rosyi. Przed wieczorem wyruszyliśmy do miasta, udając się następnie do mieszkania p. Leontiewa, gdzie zastaliśmy resztę nieznanych nam dotąd wygnańców politycznych. Pokój, w którym nas przyjmowano, był nierównie większy i lepiej urządzony niż p. Łobonowskiego; zwrócił tu szczególniejszą moją uwagę, wiszący nad biurkiem gospodarza, portret Herberta Spencera. Towarzystwo składało się mniej więcej z 15 osób, włączając p. Łobonowskiego, panią Dicheskula, siostry Pryszedzkie i dr. Bogomolca, którego żonę z wyroku sądu wysłano do robót katorżnych w Karze.

Nie krępowani niczem, prowadziliśmy żywą i zajmującą rozmowę. Pan Leontiew, zaspakajając moją ciekawość, opowiadał mi o bibliotece w Siemipałatyńsku, która nie tylko oddawała wielkie usługi wygnańcom, ale nadto przyczyniła się do podniesienia poziomu umysłowego tuziemców.

— Korzystają z niej nawet Kirgizi — rzekł on. — Znam osobiście pewnego wiekowego już Kirgiza, który czytał Buckla, Milla i Drapera.

— Kirgiza w Siemipałatyńsku, czytającego Milla i Drapera! — zawołał pewien młody student.

— Tak! tak! — odrzekł pan Leontiew. — Przy pierwszym naszym spotkaniu wprowadził mię w podziw prośbą o wyjaśnienie mu różnicy pomiędzy indukcyą a dedukcyą.

— Sądziś więc pan, że rozumiał to wszystko, co czytał? — spytał student.

— Uderza mnie prawdziwie — zauważyłem z kolei — że z liczby książek, mieszczących się w tutejszej bibliotece, najwięcej wzbronione są dzieła angielskie i to naukowe, pomimo iż owe dzieła przechodziły już cenzurę rządową. Jak to sobie tłumaczyć, że książki raz już dozwolone są zakazanymi.

— Nasza cenzura — odpowiedział wygnaniec — jest bardzo kapryśną. Jak to sobie wyjaśnić, że n. p. »Bogactwo narodów« Adama Smitha zaliczono do dzieł zakazanych, podczas gdy niebezpieczniejsze od niego »Powstawanie gatunków« Darwina cieszy się wolnością.

— Do spisu wzbronionych książek — odezwał się inny — wciągają nagłówki wszystkich książek znajdujących przez policję u politycznego przestępcy. Ponieważ »Bogactwo narodów« wpadło w ręce policji w czasie odbytej rewizji w mieszkaniu pewnego rewolucjonisty, zatem dzieło to musi być zaliczone do niebezpiecznych.

— Gdy mnie aresztowano, — zabrał głos p. Łobonowski — policja skonfiskowała znajdującą się u mnie wypożyczoną z biblioteki Historję Francji. Urzędnik policyjny, przeglądając pobieżnie kartki tej książki, dostrzegł słowo »rewolucya« i ta okoliczność okazała się dostateczną do skonfiskowania owej książki. Daremnie usiłowałem go przekonać, że w dziele traktującym o dziejach narodu francuskiego musi być mowa

o francuskiej rewolucji. Oprócz tej książki powlekli oni wtedy z sobą model maszyny parowej, skonstruowanej przez mojego młodszego brata twierdząc, że to machina piekielna, a rury jej — lunetami.

Rozpowiadano mi jeszcze z całą wesołością przez różnego rodzaju anegdotki o policji rossyjskiej, poczem skierowaliśmy rozinową na inny poważniejszy przedmiot.

Zauważyłem, że młodzi ci ludzie posiadali więcej niż powierzchowną znajomość angielskiej i amerykańskiej literatury, a poglądy ich były bardzo racjonalne na historję amerykańską i tameczne instytucje. Omawialiśmy krytycznie tego wieczora Szekspira, Milla, Spencera, Buckla, Balfoura, Stewarta, Heinego, Hegla, Langa, Irvinga, Coopera, Longfellowa, Bret Harta i Becher Stowe. Wszystkim, zebranim tu młodym wygnańcom znanem było nazwisko nowo wybranego prezydenta, omawiali oni przez niego wprowadzoną reformę służby cywilnej, zadawali trafne zapytania o skutkach tej reformy, a ich dokładna świadomość spraw amerykańskich wprowadzała mnie w zdziwienie. Nigdy się nie spodziewałem spotkać tak kompetentnych ludzi po drugiej stronie Oceanu, a tem mniej w Syberji.

Spożywszy złożoną ze zwykłych potraw, lecz wyborną wieszczerę i wypiszą kilka filiżanek wysmienitej karawanowej herbaty, wygnańcy odspiewali chórem parę smętnych pieśni narodowych, poczem i ja z p. Frostem wystąpiliśmy z pieśnią studencką, bojową, a nawet z muzyką murzyńską. Około północy pożegnaliśmy towarzystwo, udając się do hotelu.

Niepodobna mi jest tutaj podać, nawet w głównych zarysach, rozmowy mojej z politycznymi wygnańcami w Siemipałatyńsku, której przedmiotem był rząd rossyjski i ruch rewolucyjny w Rossji. Wyraźnie zaznaczyć tu jednak muszę silne wrażenie, jakie na mnie sprawili ci osławieni nihilisci, o których słusznie utrzymywał p. Pawłowski, »że w innych okolicznościach mogliby oni ojczyźnie swej oddać wielkie usługi«. Tak się jednak nie dzieje, bo wydalaniem pozbawiono ich możności zużytkowania dla dobra kraju

ich wiedzy, pracy, natchnionej miłością ojczyzny i ich cnót obywatelskich, a wszystkiemu temu winien rząd, który przywłaszczywszy sobie prawo działania w imieniu narodu rosyjskiego, stanął z duchem czasu w zupełnej sprzeczności.

18. czerwca zwiedziliśmy miejskie więzienia, pożegnaliśmy naszych przyjaciół i zaopatrzwszy się nową »podorożną«, puściliśmy się trójką pocztową w góry Altajskie. Pasma dzikich gór, ku którym zmierzaliśmy, snuło się na wschód od Siemipałatyńska na długość 500 km., zaś na południe w stronę Tomska na 960 km.

Niemieccy naturaliści Finsch i Brehm dotarli w r. 1876 do samych kończyn tego pasma; szczyty śniegowe jednak gór Katunskich i Chuiskich zwiedzone zostały wyłącznie przez kilku tylko Rossyan.

Trzymając się prawego brzegu Irtysza przejechaliśmy dwieście wiorst po suchym, wyżółkłym stepie. Tylko w miejscach nawodnionych rzeczułkami wyptywającymi z Irtysza, przerzynałymi małe, żyzne doliny porośłe bujnie krzewami głogu, agrestu, porzeczek i innymi, pysznymi kwiaty. Osady kozackie przydrożne, nie odróżniały się od rozłożonych pomiędzy Omskiem i Siemipałatyńskiem, zdradzały jednak dobrobyt mieszkańców. Jak tam tak i tutaj, ubiory nawet codzienne kobiet i dziewcząt świadczyły wymownie o zamiłowaniu Rossyan do jaskrawych kolorów. W dzień zaś niedzielny, gdy kozacy przywdziewają szaty świąteczne, błyszczą po ulicach czerwone, niebieskie i żółte stroje kobiet i mężczyzn; wówczas też, zasiadają oni rzędem pod cieniem swych strzech, gawędzą, dowiecpują, lub też puszczają się ochoczo w tany.

W miarę zbliżania się ku górom Altajskim, uczuwaliliśmy stopniowo zwiększającą się ciepotę, a suchy, ze szczytów wypalony step, zdawał się w oczach naszych zmieniać w arabską lub północno-amerykańską pustynię. Termometer z dnia na dzień okazywał w cieple 90—103° F. Powietrze było duszne; w rozległą dal biegnące oko, nie mogło dostrzedz nigdzie zielonego

listka, ni żdźbła trawy; po nad wypaloną słonecznym żarem równiną unosiły się majestatycznie słupy piasku 100—150-stopowej wysokości; jednego i jedynego tylko jeźdźca kirgizkiego zdołaliśmy zauważyć w odległości 8 kilometrów po tumanie kurzu, wydobywającym się z pod kopyt jego konia. Spieka dzienna i wzmagające się pragnienie dokuczały mi do niewytrzymania. Unikając żaru słonecznego, owinałem się w czworo złożoną wełnianą derką i nakryłem nogi duńską poduszką, co też w istocie mnie trochę ochłodziło. Siedząc jednak w tarantasie od strony słońca, uczułem się tak dalece wycieńczonym i cierpiącym, że musiałem prosić pana Frosta o zmianę miejsca.

Pewien oficer w Tomsku, opowiadając nam, że szalone upały na stepie irtyjskim wprowadzają ludzi nie tylko w stan omdlenia, ale nawet przyprawiają o śmierć, radził, byśmy podczas wielkich upałów nie puszczali się w drogę pomiędzy godziną 11 a 3 z południa. Myśl spotkania się w Syberii ze śmiercią, nie była mi wcale do gustu; wyśmiałem więc owego doradcę, choć jak się okazało później, niesłusznie.

Na tym martwym stepie pod stacją Woroninską, gdy termometer wskazywał w cieniu 103° F., nawiedziła nas od strony południowo-zachodniej straszliwa, piaskowa burza. Gorący piasek i pył unoszone siłą gwałtownego wichru do wysokości 100 stóp, gęstym, duszącym obłokiem zasypywały wszystko przed nami. Przez całe dwie godziny, kłęby kurzu tamowały nam oddech, a gdyśmy dobili do stacji Czeremszańskiej, z twarzy naszych trudno było odgadnąć, czy jesteśmy Kirgizami czy też Amerykanami. Wypiłem duszkiem litr świeżego mleka, ale i to nie było w stanie zaspokoić dręczącego mnie pragnienia, zaś pan Frost dopiero po wychyleniu siedmiu szklanek mleka zdobył się na zrobienie uwagi: »Jeśli ktokolwiek nie zechce uwierzyć panu, że w Syberii gorąco, to poszlij go do mnie«.

Przy stacji Mało-Krasnojarskaja, pozostawiliśmy za sobą rzekę Irtysz. Po południu ukazały się nam zdala

zgrupowane pagórki pasma Altajskiego i zaczęliśmy powolnie, stopniowo podjeżdżać do stacji altajskiej. Nazajutrz przed wieczorem przejeżdżaliśmy chłodne, wysoko nad poziomem leżące łąki górskie, zasłane przeważnie słodką trawą, dzwonicami i gwoździkami, podczas gdy świeżo pokryte śniegiem szczyty gór, piętrzyły się przed naszymi oczami.

To nagłe przejście z gorącej, afrykańskiej pustyni Irtysza w zachwycający krajobraz szwajcarski, wprawiło mię w zdumienie. Zapytałem się sam siebie, czy te spalone, nagie, wyżółkłe i duszące żarem swym stepy przesuwały się we śnie przed moimi oczyma, i czy podobna zmiana dekoracji w ciągu jednej doby, może mieć miejsce na jawie? Moje znużone stepem oko spotkało się tutaj z czarującymi swą pięknnością widokami. Po lewej stronie gościńca snuły się wzgórza o łagodnych stokach, pokrytych mnogością kwiatów, co wszystko pod cieniem, wędrujących po niebiosach obłoków przepyszny przedstawiało obraz: z prawej zaś strony, tuż obok gościńca, występował łańcuch gór we wspaniałych pierwotnych swych kształtach z pokrytymi śniegiem szczytami, odgraniczonych szerokim pasem zieloniutkiego lasu.

Gościeńiec pocztowy snuł się po malowniczej, park przypominającej dolinie oświetlonej rozłożystymi konarami świerków; tu i ówdzie przeprawialiśmy się przez górskie, przejrzyste strumyki, wypływające kaskadami ze szczelin gór, to znów mknęliśmy po zielonych łąkach, upstrzonych fiołkami, gwoździkami i poziomkami. Po przebyciu około 4800 kilometrowej odległości suchym stepem, ta nagła zmiana krajobrazu wywarła na mnie porywające wrażenie. Około godziny 6 po południu wśród uroczej ciszy letniej w pobliżu stacji Altajskiej, zwanej przez Kirgizów Karaghai, spostrzegliśmy czarujący widok, który mi wiecznie stoi przed oczami. W zieleniejącej się, lesistej, umajonej różnobarwnem kwieciami dolinie, ugrupowały się malowniczo pstrokate namioty kirgizkie. Zwiedzałem góry Nikaraguańskie

w Sierra-Newadzie, przejechałem wzdłuż i w szerz cały Kaukaz i Kamczatkę, spotykając się tam z cudownymi krajobrazami, ale z podobnie skończenie pięknym widokiem nie spotkałem się nigdzie.

Stacja kozacka, w której stała stacja pocztowa, liczy 70 do 80 domów mieszkalnych, tworzących kilka szerokiej, schludnie utrzymanych ulic; mała ta, na krańcach świata położona osada ma także swój właściwy powab, a zwłaszcza dla podróżnika, rozłączającego się z suchym, wyżółkłym stepem Irtyszkim. Przed każdym domem, a raczej dworkiem, znajdował się rodzaj małego ogródka obsadzonego brzozą, srebrną topolą i kwiatami. Przejrzyste, górskie strumienie podbiegały tuż pod domostwa.

Zewsząd dochodził uszu szmer i plusk wody; by jednak odczuć cały powab tej przyjemnej muzyki, należało wprzód znieść trudy całonocnej, po wypalonym stepie podróży. Przeróżne rzeczki i rzeczulki zdają się z swej kolebki lodowej roznosić chłód właściwy szczytom gór. Termometr traci tu swoją powagę. Może on sobie wskazywać gorąco, wskazówkom jednak jego zaprzeczać będą wciąż i nieustannie wygłaszane pluskiem wód opowieści o śniegach i lodowcach, a gadała ten stary umie tak ukolysać zmysły, że siła wyobraźni gawędom jego uwierzy.

W czasie kilkodniowego wypoczynku naszego na stacji altajskiej, zrobiliśmy wspólnie z komendantem rosyjskim i jego żoną wycieczkę w pobliskie góry, zwiedziliśmy i odfotografowali rozłożony pod wsią obóz kirgizki, tudzież zasięgnęli wiadomości o wschodniej partyi gór, będących celem następnej wycieczki.

W poniedziałek 27. czerwca zamierzaliśmy zrobić konną wycieczkę w góry katujskie czyli »Beilki«, najdziksze i najwyższe szczyty rosyjskich Altajów; że jednak w dniu tym przypadła imieniny kapitana Majewskiego, na które zostaliśmy przez solenizanta zaproszeni, odkładając przeto projektowaną wycieczkę w góry na później, udaliśmy się wspólnie z gośćmi p. Majewskiego na piknik, mający się odbyć u szypotu

Butarmy w odległości 16 wiorst od stacyi. W tej wycieczce brali udział państwo Majewscy z córką, ataman kozacki i jego żona, wygnaniec polityczny Zawaliszyn z swą żoną, tudzież kilka innych dam i oficerów. Orszak ten, pięknie ubranych pań i mężczyzn, konwojowany przez kilkunastu jeźdźców kirgizkich w pstrokatych »beszmetach« z srebrnymi pasami, ciągnąc się po zielonych altajskich, kwieciami umajonych błoniach, przedstawiał nader malowniczy obraz. Przybywszy na miejsce, zastaliśmy wszystko już gotowe, gdyż pan Majewski rankiem jeszcze, wysłał tam dwa namioty kirgizkie, kobierce, poduszki i zapasy wiktuałów; ognie obozowe płonęły żywo, a towarzystwo rozłożywszy się na kobiercach, pokrzepiało się pyszną, aromatyczną herbatą. Spożywszy wytwornie przyrządzony obiad, składający się z zupy, świeżo złowionej ryby, pieczonej na ogniu baraniny, ryżowego puddingu i poziomek, zabawialiśmy się zbieraniem roślin, łowieniem ryb, strzelaniem, łapaniem motyli, odgadywaniem zagadek i śpiewami. Piknik ten zaliczam do najpiękniejszych i najudatniejszych, w jakich uczestniczyłem, to też opuszczając wesołe towarzystwo, obaj z panem Frostem nosiliśmy się z myślą odłożenia wycieczki w góry katujskie przynajmniej na jaki tydzień.

Zanocowawszy w strażnicy kozackiej, igieltajskiej, składającej się z dwóch, nowo zbudowanych domów w dolinie buktarmskiej, w czwartek jechaliśmy przez malowniczą osadę Arul, zatrzymując się na stacyi kozackiej Berel, skąd już wprost mieliśmy podążać w góry. Zaopatrzeni w żywność na cały tydzień wyruszyliśmy z dwoma przewodnikami i pięcioma koniami kirgizkimi, wdrapując się przez całe dwie godziny na grzbiet góry po śliskiej, zygzakowatej kirgizkiej ścieżynie. Po krótkim wypoczynku w obozie kirgizkim na platformie, przniesionej na wysokość 3000 stóp nad dnem doliny, przyciągnęliśmy u siodła popręgi, kierując się na północ ku dzikim górcom. Następnego popołudnia, po nader żmudnej i uciążliwej 30-wiorstowej jeździe, spuściliśmy się śliską karkołomną ścieżką z wysokości około

3000 stóp, w dolinę ciepłych źródeł Rakmanowskich. Tu formalnie zamurowani dokoła wysokimi górmi, rozlokowaliśmy się w dwóch opustoszałych domach położonych nad małym, górskim jeziorkiem. Naza utrz spał tak gwałtowny deszcz, że o dalszej podróży i mowy być nie mogło. Słota z małymi tylko przerwami trwała przez całe dwie doby, dopiero trzeciego dnia zaczęło się wypogadzać; pokulbaczywszy natychmiast konie, ruszyliśmy w drogę.

Ostatnia 60-wiorstowa nasza podróż połączona była nie tylko z wielkimi przeszkodami, ale nadto narażała nas na niebezpieczeństwo życia, trzymając się bowiem górskich potoków, natrafialiśmy na strasznie ostre głazy, to znów na skaliste, głębokie przepaście. Drapaliśmy się po lodowcach, brnęliśmy po bagnach i przedzierali się przez dziką gąszcz leśną, zawałoną powywracanymi drzewami; czasami puszczaliśmy się po tak oslizłych, stromych ścieżynach, że z trudnością przychodziło utrzymać się na siodle. Konie nasze ześlizgiwały się wciąż na czworakach, a kamienie usuwające się z pod ich kopyt, rozbiły się w przepaściach. Miałem już pewien zapas doświadczenia w podróżach górskich, przejechawszy konno całą Kamczatkę i po trzykroć Kaukaz, zwiedzałem nawet szczyt góry 12 000-stopowej wysokości, mimo tego wyznać muszę, że do tej karkołomnej wyprawy w dolinę źródeł Rakmanowskich wcale nie przystępowałem z ochotą. Podobną podróż można odbywać tylko na koniu kirgizkim, nigdy zaś i bezwarunkowo na innym. W ciągu całej tej drogi, raz tylko upadłem z koniem, jednak nieszkodliwie. Okolica, którą zwiedziliśmy, była zupełnie dziką, znaną zaledwie Kirgizom. Obsługuje ona w dzikiego zwierza; — widzieliśmy też sybirskich łosi, wilków, dzikie owce i natrafiali na ślady niedźwiedzi. Nastraszaliśmy dzikie kozy, nastrzelali mnóstwo głuszców, kuropatw, kaczek, gęsi, orłów i żurawi. Bogata jest także flora niższej doliny. Napotkać tu można wszędzie dzikie bratki, w kilku odmianach i kolorach gwoździki, spiree, róże herbaciane, stokrocie, niezapo-

minajki, róże alpejskie, pełnik, dziki mak i mnóstwo innych, nieznanych mi kwiatów niebywalej wielkości. Wiele też roślin uprawianych u nas, rośnie dziko w Altaju, n. p. reumbarbarum, czarne porzeczki, agrest, truskawki, poziomki, wisznie i brzoskwinie. Jagody w przeważnej części były dojrzałe, a porzeczki dorównywały wielkością uprawianym w ogrodach. Okolice dzikością i wspaniałością przewyższała kaukazką.

W sobotę 1. sierpnia dobiliśmy się pieszo do skalistego działu wodnego, odgradzającego nas od głównego łańcucha gór katuńskich, rozłożywszy się na nocleg w dolinie białego Berelu, którego źródłem jest, stąd o mil kilka odległy lodowiec. Powietrze było chłodne; zapaliliśmy ognie obozowe, spędzając tę noc dość wygodnie.

W niedzielę wdrapaliśmy się na szczyt góry, wysokości 2.000 stóp, obserwując dziką dolinę katuńską, z której występuje najwyższy wierzchołek rosyjskich Altajów. Aczkolwiek obserwując pierwaj ów wierzchołek, przygotowany byłem na spotkanie się z wspaniałym widokiem, to jednakże ten, który się obecnie przedstawił moim oczom, przechodził tak dalece wszelkie moje oczekiwania, że w istocie jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie przechodzi mnie mrowie. Nie był to widok piękny, ani też wspaniały, ale przerażający swą majestatyczną grozą. Wązka dolina katuńska, rozciągająca się pod naszymi stopami, miała głębokości 2—3000 stóp; z przeciwnej strony piętrzył się po nad naszymi głowami potężny łańcuch gór katuńskich, z którego wystrzela ku niebiosom najwyższy śniegiem pokryty wierzchołek.*)

Skorupa lodowa pokrywająca ten wierzchołek, gdziekolwiek tylko pokryta była czerniącymi się zdala szczelinami lub też poprzeszywana sterczącymi, igla-

*) Według mego zdania góra ta sięga do wysokości 15.000 stóp po nad poziom morza; p. Majewski podnosi tę cyfrę do 18.000 stóp. Góra ta, dotychczas nie była przez nikogo jeszcze zwiedzana, ani też wymierzona; nawet wysokość podnóża jej nie jest wiadomą.

stymi skałami. Do ścian wierzchołka przytuliło się siedm ogromnych lodowców, z których największy o licznych odnogach, zagnieżdżony w skalistym rozszczepie, spuszczał się przynajmniej na jakie 4.000 stóp ku dołowi. Inne dwa lodowce, stanowiły masy lodowe zwieszane prostopadle na jakie 1.500 stóp ku dołowi. Jeden z tych olbrzymich sopli wyrzucał z siebie mnóstwo wody, która spadając srebrzystym, około 800 stóp wysokim słupem, z hukiem i gwałtem wdzierała się w wąską szczelinę, sterczącej w dole skały. Ostatni lodowiec przecinały w kierunku podłużnym trzy moreny, wydające się zdala wązkami smużkami żużla lub miążkiego węgla, w rzeczywistości zaś składały się one z brył kamiennych, poczynając od wielkości głowy ludzkiej, do wozu ładowego; moreny te, mające do 300 stóp szerokości, a 50 do 75 wysokości, zalegały powierzchnię lodowca na długość 6 do 7 km. Zewnętrzne cyple dwóch najwyższych wierzchołków spowijały obłoki, co potęgowało dziką wspaniałość krajobrazu, zdawało się bowiem, jakby owe lodowce, spadające z nadpowietrznych krain, przebijały się przez chmury. O uszy nasze odbijał się wciąż szum, wdzierającego się w szczelinę wodospadu, głużony od czasu do czasu hukiem odrywających się brył lodowych. Oko wprowadzie nasze nie mogło dostrzedz żadnego ruchu, ale ciągle trzeszczenie i dudnienie staczających się mas, świadczyło o olbrzymich ze sobą zapasach sił przyrody.

Podziwiając dość długo wspaniałość górskiej krainy, spojrzeliśmy w dolinę dla przeświadczenia się, czy zdolamy dostać się pieszo do głównego lodowca katuńskiego. Pan Frost, który zamiar ten uważał za niemożliwy do wykonania, zniecierpliwiony moją naradą z przewodnikiem oznajmił, że każdy powinien wiedzieć, iż pod stopami naszymi nieprzebyta przepaść, i jeżeliby nawet koniom udało się spuścić w dół, to pod żadnym pozorem nie wydrapią się na górę. Jestto istotnem szaleństwem myśleć o czemś podobnem. Co do mnie, to przekonawszy się niejednokrotnie w ciągu

tej podróży o niesłychanej zręczności koni kirgizkich wdrapaniu się po skałach, zjazd z góry uważałem jako niebezpieczny, jednakże możliwy. Podczas gdyśmy oba omawiali ową kwestyę zjazdu, nasz przewodnik pokusił się o rozwiązanie jej sposobem praktycznym. Z początku zniknął on zupełnie nam z przed oczu, a tylko od czasu do czasu dochodził nas trzask strąconego w przepaść kopytem końskim kamienia. Nagle, przewodnik ukazując się na skalistym występie, przynajmniej jakie 600 stóp pod naszymi stopami zawołał radośnie: chodźcie panowie! chodźcie! to bagatelka; tu można zjechać z całym wozem! Dość było spojrzeć w przepaść, by doznać zawrotu głowy; teraz też i ten zjazd w dół wydał mi się trochę zagadkowym. Bądź jakbądź, zachęta przewodnika miała ten skutek, że p. Frost wzięwszy konia za cugle, z całą przezornością sprowadzał go gzygzakiem na dół, podczas gdy ja postępowałem ślad w ślad za przewodnikiem. Na skalistym występie, przewodnik przyciągnął koniowi tak mocno popręg, że zwierzę aż jęknęło. Czulem się pewniejszym na koniu, niż prowadząc go w rękę, w tym bowiem ostatnim razie, lada jaki kamień, wymykający się z pod kopyta końskiego, godząc mnie w nogę, zagrażał upadkiem w przepaść. Zjazd z góry początkowo połączony był z wielkimi trudnościami. Niepodobniństwem prawie było utrzymać się na siodle; to też raz omałom nie przeskoczył koniowi przez głowę. Wreszcie dostaliśmy się z mozołem na stromą pochyłość pokrytą trawą, z której występował glaz, wydający się zdala jakąś kobietą olbrzymem. Odpocząwszy tu chwilę, spuściliśmy się z wielkim mozołem, jednakże bez wypadku, w dolinę katuńską. W miarę zbliżania się ku stopom gór, przekonywałem się coraz to dotykałniej, o ile oko ludzkie mylić może w ocenianiu wielkości przedmiotów obserwowanych z różnych punktów widzenia. Tak n. p. okazało się, że Katun, wydający się nam z wysokości wązką, brudno białą wstążeczką, którą mogło przeskoczyć lada jakie dziecko, był w istocie potokiem, mającym od 30 do 40 stóp szerokości i do-

statecznie głębokim, by pochłonął w swych nurtach jeźdźca z koniem. Lodowiec główny, zdający mi się zdala nie więcej nad 300 stóp szerokim, miał w istocie przynajmniej 800 metrów szerokości; środkowa morena, która przedstawiała się oczom naszym wązką smużką ciemno zabarwionego piasku, okazała się obecnie zbiorem olbrzymich brył kamiennych; miała ona 3—400 stóp szerokości, a 6 km. długości. Pan Frost oceniał szerokość lodowca na 100 metrów, zaś wysokość moreny na 100 m.

Obciążony aparatem fotograficznym, wdrapywałem się przynajmniej przez jakie 1½ godziny na środkową morenę i zbliżyłem się do głównego pola lodowego na odległość jakich trzech km. Musiałem przeskakiwać mnóstwo szczelin, w które wciskały się gwałtownie gnane z lodowców wodospady; dla wymiarowania głębokości, rzucałem w szczeliny kamienie, oceniając ją przynajmniej na 100 stóp. Był to z kolei jedenasty lodowiec dostrzeżony, przez nas z wierzchołka gór oddzielających Irtysz od Obu.

Zdjąwszy fotografie i szkice okolicy, umęczeni długotrwałym wdzieraniem się na skały, wróciliśmy wieczorem do białego Berelu. Noc z 2 na 3 sierpnia była jeszcze chłodniejsza od poprzedniej. W kociołku naszym herbacianym zamarzła woda, a moje wełniane kołdry i poduszki obficie pokryte były szronem.

W piątek zrobiliśmy jeszcze jedną wycieczkę na wierzchołek grzbietu góry, z którego roztaczał się widok na dolinę katuńską. Fotografie zdjęte przy pomocy naszego małego aparaciku są nader małe, i nie uwydatniają właściwej tym kolosom wspaniałości i majestatu; dla nas jednakże i te wizerunczki czarującej swą pięknnością górskiej krainy, będą zawsze miłą pamiątką.

W poniedziałek powróciliśmy do ciepłych źródeł Rakmanowskich, a 5 sierpnia, po dziesięciodniowej nieobecności, znaleźliśmy się znów na stacyi altajskiej.

V.

Wygnanie porządkiem administracyjnym.

W notkach moich o Syberyi, mało już jest równie miłych wspomnień jak te, które wyniosłem z pobytu w Altaju. Przeglądając też kartki, zapisane moją ręką na stacyi altajskiej dnia 5 sierpnia 1885 r., tak żywo występują mi w pamięci owe malownicze osady kozackie, gdy zmrużę oczy, zdaje się wciąż, jakbym wstuchiwał się w melodyjne gwary i pluski przejrzystych potoków, że patrząc na umajone kwieciami podnóża gór i śniegowe ich szczyty, i oddycham orzeźwiającem balsamicznem powietrzem zieleniejących się łąk. Gdybyśmy podróżowali po Syberyi dla samej tylko przyjemności, to z pewnością całe lato spędzilibyśmy na stacyi altajskiej, gdyż w całej Syberyi, zarówno jak w innych krajach, nie spotkalibyśmy się z powabniejszą i rozkoszniejszą miejscowością. Powietrze górskie było tak balsamiczne i ożywcze, jakby składało się z ozonu i oddechu kwiecia. Flora górską przykuwała nas swą bujnością i pięknnością*); rzeczutki i strumienie przepelnione były rybami; wprawny strzelec każdego czasu mógł nabić w leśnej kniei do syta dzikich kóz, niedźwiedzi, wilków, lisów i łosi; oddział kirgizkich jeźdźców był gotowy na każde nasze żądanie eskortować nas do mongolskiej granicy, do cudownego

*) Zielnik, przywieziony przezemnie z Altaju, zawiera około 1000 egzemplarzy roślin z kwiatami.

jeziora Marka Kula, lub też w dzikie wąwozy chińskich Altaji, — a gościnnie komendant, kapitan Majewski, starał się uprzyjemnić nasz pobyt obmyśleniem przeróżnych wycieczek.

Głównym celem obecnej naszej podróży był Tomsk odległy o 1.200 wiorst od stacyi altajskiej; wypadło nam tedy znany już gościńcem dojechać do stacyi w Pionojarowsku, skąd w kierunku północnym zdażyć do kopalni aleksandrowskich i miasta Barnaulu. Przy trakcie naszym leżały dwie osady zamieszkałe przez politycznych wygnańców; Ulbińsk odległy o 200 km. od stacyi altajskiej, i Uś-kamienogórsk. Każdej z tych osad postanowiliśmy cząstkę czasu poświęcić.

W czwartek 6. sierpnia wyakowaliśmy nasz tarantas: zamówili konie pocztowe; pośniadali po raz ostatni z p. Majewskim i jego małżonką — dzięki dobroci której i serdecznej uprzejmości czuliśmy się tu jak w domu rodzinnym, — i spełniwszy toast za zdrowie wszystkich naszych znajomych w Altaju, tudzież strzemienne, pożegnaliśmy góry, kierując się w dół Irtysza. Podróż nasza przez dolinę Bukarmską i znane już stepy Irtyszskie mało przedstawiała zajęcia. Jak poprzednio tak i teraz rozłaczał się przed naszymi oczami nagi wypalony step. W piątek około godziny 6 po południu dojechaliśmy do Buktarmy. Tu Irtysz przerzyna odnoże pasma altajskiego, zaś gościńiec Uś-kamienogórski zbaczając od rzeki, zwraca się w góry. Koni pocztowych nie można było dostać, zanosiło się na burzę, a długotrwałe ulewy tak dalece popsuky gościńiec, że żaden właściciel nie miał chęci ofiarowania swych koni za pieniądze, zwłaszcza do ciężkiego naszego tarantasu i w tak złą pogodę. Dopiero przy pomocy pocztmistrza udało się nam wynająć cztery konie do Aleksandrowska. Ruszyliśmy ze stacyi, załując wkrótce, że wbrew dobrej radzie naszego woźnicy nie zanocowaliśmy w Buktarmie, gdyż w połowie drogi zaskoczyła nas ulewa z grzmotami i błyskawicami. Wśród nocnych ciemności zbaczaliśmy kilkakrotnie

z gościńca, aż wreszcie wywróciliśmy się z tarantasem w głęboki rów, przepelniony ściekającą z drogi wodą. Woźnica kłął, wymyślał, bijąc zmęczone konie, podczas gdy ja z p. Frostem rozglądając się w miejscu katastrofy przy świetle zapalanej wiązki siana, wzięliśmy się do podnoszenia wywróconego tarantasu. Wszystkie jednak wysilenia nasze okazały się daremne, tarantas tak głęboko zagrzezał w błocie, że nie można go było wydzwignąć i dopiero nadjeżdżający z Buktarmy poczylion zdołał nas z tej biedy wyprowadzić. Mając jednak lekko wyładowaną telegę, wyminął nas i pozostawiając własnemu losowi, zniknął w nocnych ciemnościach. Nie pozostało nic innego, jak samemu brnąć pieszo przed końmi i chustką od nosa wskazywać woźnicy kierunek drogi. Ta atoli pielgrzymka tak dalece mnie znużyła, że zdając się na wolę Opatrzności, przemoczony do kostki i zabłocony po uszy, siadłem znów do tarantasu, ale niestety nie na długo, gdyż w ciągu niespełna kwadransu leżeliśmy powtórnie w rowie. Teraz, przekonawszy się przy pomocy zmysłu dotyku o rozpaczliwym naszym położeniu, wysłaliśmy woźnicę po pomoc, szukając schronienia przed deszczem w tarantasie. Dochodziła godzina jedenasta; wiatr ucichł trochę, deszcz jednak padał nieustannie, tylko błyskawice od czasu do czasu rozświecały ciemności nocne. Zziębnięci, zgłodniaли i jak najgorzej usposobieni, w milczeniu siedzieliśmy w tarantasie, oczekując ranka. Niedługo pojawił się nasz woźnica z kozakami z Aleksandrowska opatrzonymi w drągi i latarnie, dzięki której to pomocy tarantas nasz stanął na kołach.

Na stacji w Aleksandrowsku napiliśmy się herbaty i przedrzymawszy się trochę, ruszyliśmy stąd w ośm koni i z trzema poczylionami. Droga z Aleksandrowska do Siewiernej prowadzi początkowo z jakiego 9—10 km. wciąż pod górę, następnie snując się po grzbietach gór, opuszcza się głębokim wąwozem w dolinę ulbińską, rozciągającą się po sam Uś-kamienogórski. Podgórza te altajskie nie są wysokie, lecz ma-

lownicze, pogrupowane i poprzegradzane nader pięknymi dolinami i wąwozami.

Złe drogi i górzyste okolice opóźniły naszą podróż, a chociaż zaprzęgano nam po 5, a nawet 8 koni, to jednak na przebycie 30-kilometrowej przestrzeni z Siewiernej do Ulbińsa zużyliśmy aż 10 godzin czasu. Dla urozmaicenia tej nudnej drogi szliśmy pod górę pieszo, rozglądając okolicę i zrywając łąkowe kwiaty, którymi zdobiliśmy nasz tarantas. W sobotę na samym zachodzie słońca, zjechaliśmy żywo wąwozem w dolinę Ulmy zatrzymując się na stacji pocztowej, gdzie wkrótce posililiśmy się mlekiem, chlebem i malinami.

W liczbie politycznych wygnańców, osiedlonych w Ulbińsku byli: Aleksander Blok, słuchacz prawa z Saratowa nad Wołgą; Apollo Karelin, syn znanego fotografa z Niżnego Nowgorodu; Seweryn Gross, słuchacz prawa z Grodna i Dr. Witert, lekarz z Warszawy. Panu Karelinowi towarzyszyła na wygnaniu jego małżonka, reszta o ile mi wiadomo, byli to ludzie bezżenni. Ponieważ zamieszkali tu osiedleńcy polityczni zostali mi poleceni przez swych współtowarzyszy siemipalałyńskich, postanowiłem tedy zapoznać się z nimi bliżej. Zaliczając jednakże tych pierwszych, ze względu na ich wysokie wykształcenie do szczególnych tylko wyjątków, nie rozstawałem się z myślą spotkania między tutejszymi wygnańcami takich osobistości, któreby w istocie mogły odpowiedzieć urobionemu przezemnie typowi nihilisty.

W jaką godzinę po naszym przyjeździe, pp. Blok i Gross pospieszyli przedstawić się nam osobiście. Ten pierwszy zjednał sobie na wstępie najzupełniejszą moją sympatię. Był to 26—28 lat liczący mężczyzna, średniego wzrostu, atletycznej budowy ciała, z ciemnymi oczami i włosami; oblicze jego promieniejące jakimś wyższym nastrojem duchowym, nosiło wyraz dzielności i wzbudzającej szacunek powagi. Jednym słowem p. Blok należał do liczby tych ludzi, którzy od pierwszego wejrzenia zdobywają sobie zupełne zaufanie. Marek Aureliusz wyraża się swym prostym sty-

lem: »dobrego człowieka można poznać w pierwszej chwili, podobnie jak cuchnącego po brzydkim odorze; chcesz lub nie chcesz, a poczujesz go zbliżka«. P. Blok też, przebijającą się w jego twarzy szczerością, dobrocią i otwartością zjednał sobie zrazu zupełne moje uznanie i sympatyę. P. Gross, było przystojny, około 30-letni mężczyzna z czarnym zarostem i wąsami, o bardzo kształtnych rysach twarzy. Wymowę miał dźwięczną, płynną; pryncyplem charakteryzowała go przywyczka otwierania szeroko oczu, gdy rozmowa dotyczyła żywo go obchodzącego przedmiotu. — Obydwaj ci młodzi ludzie taktownem swem wzięciem się, robili wrażenie profesorów. Obaj też byli wykształceni, władali dobrze językiem francuskim, zaś pan Blok obeznany był także z angielskim. Obecując zaledwie godzinę z tymi panami, przekonałem się, że nieustępują oni pod względem wykształcenia wygnańcom siemipalatynskim. Należało mi więc w odleglejszej, niż Ulbińsk okolicy doszukiwać się urobionego moimi pojęciami typu »nihilisty«.

Rozmawialiśmy na stacyi pocztowej do godziny 9, poczem na życzenie p. Grossa udaliśmy się w odwiedzinę do reszty osiedlonych w tej osadzie wygnańców. Zamieszkiwali oni domy drewniane, mocno zbudowane, które wynajmowali od kozaków: całe otoczenie świadczyło, że ci młodzi ludzie zmuszeni są ograniczać się na zaspakajaniu koniecznych tylko potrzeb życia; wszystko to znosili z godną naśladowania rezygnacją. Nie przypominam sobie, ażeby który z nich jakimkolwiek bądź wyrzekaniem lub skargą starał się o zdobycie naszej sympatyi. Umieli oni panować nad sobą i cierpieć z całą godnością. Wszyscy zdawali się cieszyć dobrem zdrowiem, wyjąwszy pani Karelinowej i Dra Witerta, steranego do ostatka 10-letniem więzieniem i trzykrotnem już z rzędu wygnaniem. Podług mego zdania, rząd rossyjski, wydarłszy Drowi Witertowi zdrowie i szczęście, obecnie mógłby być o niego zupełnie już spokojnym i uwolnić go z pod swej opieki. Mimo 45 lat wydał

mi się on zupełnie złamanym na drowiu, ebodził o kiju, cierpiąc nieustannie na reumatyzm, którego nabawił się w wilgotnej celi więziennej. Dr. Witert gruntownem swem i wszechstronnem wykształceniem przewyższał — jak się zdawało — wszystkich znanych mi wygnańców politycznych w zachodniej Syberyi. Od niego to pierwszego dowiedziałem się szczegółów, towarzyszących śmierci generała Granta. Rozmawialiśmy długo o Stanach Zjednoczonych, w czasie której rozmowy zadawał mi on różne pytania o wojnie mieszczańskiej, o zaprowadzonych już po tej wojnie ulepszeniach, o polityczno-cywilnej reformie prezydenta Clevelanda, co wszystko dowodziło gruntownej jego znajomości ustroju wewnętrznego Stanów Zjednoczonych. Mimo szczupłych środków, jakimi mogli rozporządzać wygnańcy, u każdego widziałem stolik do pisania i czasopisma, jak to: »Revue des deux Mondes« tudzież »Russkij Wiestnik«; w domu zaś p. Bloka mieściła się biblioteczka, w której oprócz wybornych dzieł rossyjskich znajdowały się i obce, jak to: »Poezye Longfellowa«; »Stare prawo« i »Gminy wiejskie« Maina, »Logika« Baina, »Ekonomia narodowa« Milla, »Historia racjonalizmu« (obejęta przez cenzurę rossyjską) Leckysa, »Zasady socyologii« Spencera, »Historia Stanów Zjednoczonych« Labouley'a i wiele innych dzieł francuskich i niemieckich, traktujących o jursprudeneyi i ekonomji narodowej. Zbyteczną była by uwaga, że ludzie studyujący podobne dzieła i wożący je z sobą wśród takiej poniewierki, nie mogą być dzikimi fanatykami, ani też nieukami oderwanymi od warsztatów, jak to się wyraził o nich pewien oficer rossyjski — ale ludźmi myślącymi, poważnymi i wykształconymi. Jestto więc bardzo niekorzystnie dla państwa, że ludzie tacy zamiast służyć krajowi, zmuszeni są z łaski rządu poniewierać się po sybirskich pustkowiach.

Wygnańcy polityczni, z którymi przepędziliśmy w Ulbińsku całą prawie dobę, tak żywe obudzili we mnie zajęcie, że gorącym mojem życzeniem było, przemieszkać tu chociaż jaki tydzień. Niestety jednak, brakło

czasu, którego zabrała już tyle wycieczka w góry katuńskie, a że postanowiliśmy sobie koniecznie zwiedzić przed nadejściem zimy kopalnie wschodnio-sybirskie, przeto wypadało jechać dalej. W niedzielę tedy po południu opuściliśmy Ulbińsk i w towarzystwie odprowadzających nas konno do przewozu na Ulbie pp. Bloka i Grossa skierowaliśmy się ku Uśc-kamieniogórsku. Na brzegu rzeki obaj panowie, pożegnawszy nas najserdeczniej, i prosząc byśmy po powrocie do »wolnego i szczęśliwego kraju« zatrzymali ich w swej pamięci, dosiedli koni i stojąc w milczeniu nad brzegiem, oczekiwali naszej przeprawy na drugą stronę rzeki. Teraz dopiero powiewając chustkami i podrzucając w górę czapki, żegnali nas, póki gęstwiny leśne nie rozdzieliły nas wzajemnie. Jeżeli kartki niniejsze dojdą kiedy rąk waszych, osamotnieni wygnańcy w Ulbińsku, to najwymowniej świadczyć one będą, że nie tylko nosimy Was w swej pamięci, ale nadto wspomniany o Was z prawdziwą życzliwością i szacunkiem.

W niedzielę już o zmroku przybyliśmy do Uśc-kamieniogórska. Miasto to liczące 5 000 mieszkańców, a 600 do 800 domów drewnianych, leży przy ujściu Ulmy do Irtysza, w ogołoconej zupełnie z drzew dolinie. Oprócz dwóch tatarskich meczetów i trzech cerkwi prawosławnych z pstrokatymi, cynkiem pokrytymi kopułami, stoi tu na placu okopanym głębokim rowem, — ostróg. — Okrągło-wieżate minarety, mułowie w białych zawojach, jeźdźcy kirgizcy harcujący po ulicach, muezynie, nawołujący z wieży na modlitwę wiernych, wreszcie kroczące poważnie dwugarbne wielbłądy, wszystko to nadaje temu miastu cechę wschodnią. To też jak w Siemipalatyńsku zdawało nam się, że podróżujemy nie po Syberyi, lecz po środkowej Azji lub też północnej Afryce.

Zaledwie rozgościliśmy się na stacyi pocztowej, gdy z prawdziwym zdumieniem w otwierających się drzwiach, zoczyliśmy p. Grossa, który rankiem jeszcze przybywszy do Uśc-kamieniogórska, oczekiwał tu nas niecierpliwie. Niebawem wszedł pocztmistrz, zwiastując

nam wizytę jakiegoś oficera, a w ślad za nim pojawił się zapowiadany gość. Wszystko to w pierwrzej chwili nabawiło mnie kłopotem; nie mając bowiem czasu rozpytania się o stosunkach p. Grossa do władz tułejczych, przypuszczać mogłem, że ów nieznany oficer ześle się obejść z moim gościem jako z wygnańcem politycznym w sposób, przeciw któremu będę zmuszony protestować. Obawy jednak moje okazały się płonne. Oficer ów kozacki, p. Sachajtanow, człowiek dobrze wychowany, nie kierując się bynajmniej nieprzychylnem usposobieniem względem wygnańców politycznych, powitał przedstawionego mu przezemnie p. Grossa grzecznym ukłonem, a po upływie zaledwie kilku minut, obaj panowie prowadzili ze sobą żywą rozmowę o pszczelnictwie, jedwabnictwie i uprawie tytoniu. P. Sachajtanow przeświadczywszy się szeregiem prób o świetnych rezultatach, jakie przynieść może w tej okolicy uprawa tytoniu i drzew morwowych, zamierzał w przyszłym roku sprowadzić poczwarki jedwabnicze, lichy zaś tytoń tutejszy zastąpić przednimi gatunkami amerykańskiego. Pożegnani przez p. Sachajtanowa udaliśmy się z p. Grossem w odwiedzinę do osiedlonych tu wygnańców, którzy uwiadomieni o naszym przybyciu, oczekiwali nas w liczbie 15 u jednego z swych towarzyszy, mieszkającego w środku miasta. Zdaje mi się zbytecznem podawanie szczegółowego opisu tych wszystkich wygnańców politycznych, z którymi zaznajomiłem się w czasie mojej podróży po krainach sybirskich, chciałbym jednakże choć ogólne czytelnikowi dać o nich pojęcie i podzielić się z nim wyniesionem stąd wrażeniem. Grono wygnańców ulbińskich zdawało mi się być więcej jednolitem niż uśc-kamieniogórskich, w skład którego wchodziły osoby, należące do różnych warstw społecznych. W szeregu tutejszych wygnańców, krańcowymi wyrazami którego byli włóścianin-rzemieślnik i pewna księżniczka kaukazka, miescili się pośrodku lekarze, aptekarze, dziennikarze, literaci, studenci i właściciele majątków ziemskich. Przeważnie była to szlachta lub uprzywi-

lejujący; nie brak było kobiet i mężczyzn wysoko wykształconych. Między innymi poznałem tu bliżej pp. Konowałowa*), władającego językiem angielskim, Milinczuka z Tyllisu, Biełowieńskiego pisarza i dziennikarza z Połtawy. Ten ostatni wydawał mi się człowiekiem bardzo uzdolnionym, poglądy jego na rzecz były szerokie i bezstronne. Posiadał on gruntowną znajomość rosyjskiej historii i jurisprudeneyi, przestudował na wskróś całą historję literatury narodów wschodnich; dołę swą wygnańczą znosił z odwagą i rezygnacją, chociaż jako zwolennik Schopenhauera, zdawał mi się być trochę pesymistą. Rozmawialiśmy dość długo o sprawach bieżących rosyjskich, a jego bezstronne zapatrywanie się na ruchy rewolucyjne i ucisk rządowy sprawiły na mnie jak najlepsze wrażenie. Jego sposób przedstawiania rzeczy był wolny od wszelkiej przesady lub uprzedzeń, a sprawiedliwy i bezstronny jego wyrok przynosił zaszczyt sędziemu. Zaznaczyć podobnego człowieka znamieniem »nihilisty« dowodzi głupoty, zaś wydalanie go na Sybir, jako członka szkodliwego dla swojego społeczeństwa, wydaje się prawdziwie wstrętne. W każdym innym cywilizowanym kraju, człowieka takiego nie uznawanoby rewolucjonistą, lecz bardzo umiarkowanym liberałem. Kamienogórsk był ostatnią osadą, zamieszkałą przez politycznych wygnańców, z jaką spotkalismy się w krajach stepowych.

Przerwę tu na chwilę dalszy opis naszej podróży, by poznać bliżej czytelnika choć pobieżnie z wygnaniem »porządkiem administracyjnym«. Otóż pod tą nazwą należy rozumieć przymusowe przesiedlenie każdego mieszkańca Rosyi, podejrzanego o nieprzychylnosc rządowi, z jednej gubernii państwa do innej. Przesiedlenie to odbywa się doraźnie, bez śledztwa, sądu i zachowania jakichkolwiek bądź formalności praktykowanych w krajach cywilizowanych. Wygnaniec może

*) W sześć miesięcy po wyjeździe naszym z Uśc-kamienogórska, pan Konowałów dopuścił się samobójstwa.

być zupełnie niewinnym, mógł on niedopuszczyć się żadnego wykroczenia przeciw prawu, a jednym, jedynym powodem wydalenia jest uznanie obecności jego przez władze miejscowe za »szkodliwą dla porządku publicznego«. Na mocy też rozporządzenia wydanego przez władze policyjne i zaopatrzonego podpisem ministra spraw wewnętrznych, każdy bezwarunkowo mieszkaniec państwa może być doraźnie, na ciąg lat pięciu, przetrzuconym na sam kraniec Rosyi. Zdarza się często, że sam wygnaniec nie wie i nie domyśla się nawet, za co go wydalono. Czując się niewinnym, chce się wykazać przed rządem z swej »nieszkodliwości dla porządku publicznego«. jednakże uczynić tego nie może, bo powoływaniem się na świadectwa krewnych i przyjaciół, ściągająłby na nich samych podejrzenie rządu. Pozbawiony on jest prawa oddania swej sprawy na drogę sądową; prasa dla niego jest zamkniętą; jego stosunki z ludźmi i światem nagle się zrywają, tak, że najbliższym mu pokrewne osoby nic się o nim dowiedzieć nie mogą, widzi się ogołoconym naraz ze wszystkich środków obrony.

Chcąc bliżej poznać czytelnika ze sposobem postępowania rządu z osobami »szkodliwymi dla porządku publicznego«, ograniczę się na przytoczeniu, z pomiędzy wielu mi znanych, dwóch następujących wypadków:

Pan Konstanty Stanjukowicz, syn admirała floty rosyjskiej, towarzyszący przed laty wielkiemu księciu Aleksemu w podróży jego do Stanów Zjednoczonych, jako oficer marynarki miał wcale świetną przed sobą karierę. Będąc jednakże człowiekiem wolnomyslnym, wystąpił ze służby wojskowej i poświęcił się literaturze. W początku 1880 r. Stanjukowicz został właścicielem i wydawcą znanego czasopisma rosyjskiego »Dielo«. W 1884 r. wyjechał z rodziną swą za granicę i pozostawiwszy w Baden-Baden żonę z dziećmi, powrócił sam do Petersburga, atoli na granicy rosyjskiej w Wierzbolowie aresztowano go i następnie uwięziono w fortecy Piotro-pawłowskiej w Petersburgu. Zaniepo-

kojona długotrwałem milczeniem męża, pani Stanjukowicz odwołała się telegraficznie do redakcyi »Diela«, skąd odpowiedziano jej, że pana S. dotychczas jeszcze nie widziano w Petersburgu, a więc prawdopodobnie bawi jeszcze w Baden-Baden. Strwożona tą odpowiedzią kobieta, spieszy z dziećmi do Petersburga, ale i tu także o doli swego męża nie się dowiedzieć nie może. Żaden z przyjaciół nie oglądał go w ciągu ostatnich dni czternastu; zaginął jak kamień pod wodą. Idąc za radą przyjaciół, zwraca się pani Stanjukowicz do generała żandarmerji Orzewskiego i dowiaduje się od niego, że mąż jej uwięziony w fortecy Piotro-pawłowskiej. Powodem aresztowania posłużyła przejęta przez policję korespondencya p. Stanjukowicza z pewnym znanym, zamieszkującym w Szwajcaryi rosyjskim rewolucjonistą. Rzeczona korespondencya dotyczyła wyłącznie dodatku do »Diela«, tem niemniej jednak, sam fakt podtrzymywania stosunków z emigrantem rewolucjonistą wystarczał do uznania bytuosci p. Stanjukowicza w Petersburgu za »szkodliwą dla porządku publicznego« i wygnania go na lat trzy do zachodniej Syberyi, do Tomsku. Dalszem następstwem wygnania pana S. było zawieszenie czasopisma »Dielo« i ruina majątkowa. Jeżeli rząd rosyjski dopuszcza się podobnych nadużyć na osobach majątnych, zajmujących wysokie stanowisko urzędowe i społeczne, to cóż dopiero dałoby się powiedzieć o sposobie jego postępowania ze studentami, lekarzami, właścicielami małych posiadłości i wszystkimi innymi mało znaczącymi ludźmi, podejrzanyimi przez policję o »szkodliwość dla porządku publicznego«.

W 1879 r. przemieszkiwał w Iwangrodzie w gubernii połtańskiej, zdolny, dzielny, młody lekarz Dr. Biełoj. Miał on wprawdzie poglądy liberalne, ale nie zajmując się polityką, nie przyjmował tem samem żadnego udziału w ruchu rewolucyjnym. Pewnego dnia zgłaszają się do Dra Biełoja dwie studentki wygnane w trakcie kursów — za zarzut o »niebłagonadiożność« — z Petersburga do środkowej Rosyi, i pro-

szą go usilnie, by im dopomógł do ukończenia przerwanych studyów. Ponieważ obie te studentki, zmieniając samowolnie naznaczone im przez policję miejsce zamieszkania, stawały się w obec władz rządowych osobami nielegalnymi, przeto obowiązkiem Dra Biełoja jako obywatela lojalnego, było bezzwłoczne oddanie wzywających jego pomocy studentek w ręce policyi. Dr. Biełoj wszelako jako człowiek szlachetny i honorowy, zamiast spełnienia swej obywatelskiej powinności, przedstawił obie te panie swej żonie i zajął się ich kształceniem. Rok 1879. zaznaczył się w Rosyi gorączkową działalnością rewolucyjną. Wciąż powtarzające się zamachy na życie wysokich urzędników państwowych podwoiły czujność w stolicy i na prowincyi. Częste nawiedziny domu Dr. Biełoja przez dwie młode studentki nie uszły oka policyi, śledzono za nimi i wykryto, że obie one wygnane z Petersburga za »niebłagonadiożność«, przebywają tu, jedna za fałszywym paszportem, druga zaś bez żadnego. Okoliczność ta utwierdziła policję w przekonaniu, że w domu Dra Biełoja knuje się jakiś spisek, i na tej podstawie aresztowano go bezzwłocznie razem z dwoma studentkami i wysłano ich drogą administracyjną do wschodniej Syberyi.

Miejscem wygnania Dra Biełoja było miasteczko Wierchojańsk leżące w ziemi jakuckiej pod 67.20° szer. geogr.; tu go też poznali osobiście rozbitki ekspedycyi amerykańskiej »Jeanetta« w osobach inżyniera Melvilla, porucznika Danenhowera i p. W. H. Gildera. Młoda, piękna małżonka Dra Biełoja, będąc wtedy na rozwiązaniu, nie mogła towarzyszyć swemu mężowi, zaraz jednak po porodzie oddawszy dziecię opiece krewnych, gotowa była do tej długotrwałej, nużącej 10.000 km. podróży. Nie posiadając odpowiednich funduszków, zmuszoną była pani Biełoj udać się z prośbą do ministra o pozwolenie zabrania się z etapem, a uzyskawszy je, puściła się w drogę. Wygnańców politycznych transportują do samego Tomsku czy to koleją żelazną, czy na statkach parowych, wspólnie z przestępcami zwykłymi. Z Tomsku, aresztanci wędrują dalej piechotą,

politycznych zaś wysyłają kibitkami. Jazda ta, przerywana każdego trzeciego dnia półtora-dobowymi odpoczynkami na stacyach etapowych, jest tak powolną, że transportowani w ciągu jednego tygodnia robią za ledwie 96 km. Tym sposobem nie wcześniej mogła się dowlec pani Biełoj do miejsca zamieszkania swego męża jak w ciągu 16 miesięcy. Nie przeznaczono jej było jednak dojść do celu. W pierwszych tygodniach poniewierki nadzieja, wiara i miłość brały górę nad udręczeniem fizycznym; zносиła ona mężnie i bez skargi trzęsienie się na kibitkach, duszące kurzawy, upały, słoty, zimno jesienne, złą strawę, zabójcze powietrze w domach etapowych i wszystkie inne, towarzyszące tej podróży udręczenia. Wielomiesięczna jednak poniewierka, ciągły niepokój o męża i dzieci pozostawione w Rossyi pod opieką krewnych, coraz zgubniej wpływały na jej zdrowie. Na dojeździe do Irkucka zdawała się znów odżywać nadzieją rychłego ujścia ukochanego swojego męża; mówiła wciąż o nim i żyła tylko myślą złączenia się z nim. Niestety, na jednej z stacyi etapowych pomiędzy Irkuckiem a Wiercholeńskiem dowiaduje się ona, że mąż jej jest osiedlony nie w Wiercholeńsku, lecz w Wierchojańsku, miasteczku leżącym w okręgu biegunowym. Zoczyła się więc znów oddzieloną od męża 5000 km. pustynią, na przybycie której potrzeba było długie miesiące wlec się wśród siarczystych mrozów, poniewierać się po domach etapowych a następnie przebijając się kilka tygodni przez głusze leśne i wertepy psami i reniferami. Ta fatalna nowina podziała na nią tak zabójczo, że wpadła w stan obłędu i po upływie kilku tygodni zakończyła życie w szpitalu w Irkucku; nie sądzono więc jej było oglądać ukochanego męża, do którego tak spieszyła *)

*) Dra Biełoja poznałem w więzieniu irkuckiem w końcu 1879 r., gdzie przemieszkawałem z nim w jednej celi dwa miesiące. Był to człowiek nauki, przytem wysoko szlachetny i serdeczny w pożyciu; złączył też nas węzeł szczerzej sympatyi. Ówczesnie krzepiony nadzieją zobaczenia się niezadługo z swą żoną w Wierchojańsku, znosił on dołą wygnania z prawdziwym stoicyzmem.

Ograniczam się na podaniu tego tragicznego wypadku w główniejszych tylko zarysach; gdyby jednak czytelnik słyszał to opowiadanie z ust towarzyszek pani Biełoj, które pielęgnując chorą w szpitalu, były żywymi świadkami jej cierpień, katuszy i zarazem gąsnącej w niej iskry samowiedzy, to z pewnością nie dziwiliby się temu, że wygnanie zmienia spokojnych ludzi w terrorystów, ale raczej temu, że cały naród rossyjski dotąd na wskrós nie przesiąknął teroryzmem.*) Mógłbym wiele bardzo stronnice zapełnić opowiadaniem o Rossyanach zupełnie niewinnych, wydalonych w ciągu ostatniego dziesiątka lat drogą administracyjną. Znane noweliste rossyjskiego p. Korolenkę wydalono w r. 1879 do wschodniej Syberyi — jak to sam rząd później przyznał — tylko przez pomyłkę. Wpływowym przyjaciółm pana K. po wielu zabiegach udało się wreszcie przekonać rząd o niesłusznym jego wydaleniu w skutek czego też, pozwolono mu z drogi, mianowicie z Tomsku, powrócić do kraju. Oburzony do głębi niesprawiedliwością rządu i poniewierką swą po więzieniach i domach etapowych, pan Korolenko nie chciał złożyć przysięgi na wierność wstępującemu na tron carowi Aleksandrowi III, za co został ponownie wygnany aż do ziemi jakuckiej **).

Wracając z katongi jesienią 1884 r. odwiedziłem Dra Biełoję, osiedlonego ówczesnie w Olokmińsku. Szczerść, dobroć i szlachetność pozostały niezmienną duszą jego własnością, jednakowoż tragiczna śmierć żony, o której mi opowiadając tłumil kurczowo cisnące się do oczu łzy, rzuciła go w otchłań rozpacz, z której o ile zauważyć mogłem, żadna już ręka wydobyć go nie zdoła. Wiele to już podobnych ofiar ciąży na sumieniu rossyjskiego rządu, a sprawiedliwości nie staje się zadość! — (*Przyp. Hómacza*).

*) O fakcie tu przytoczonym opowiadali mi: pewien poważny, dobrze znany i powszechnie szanowany członek zgromadzenia gubernialnego, któremu osobiście znane były okoliczności, towarzyszące uwięzieniu i wygnaniu Dra Biełoję; powtóre, wygnany transportowani wspólnie z Drem Biełoję; i potrzecie, pewna dama, towarzysząca Pani Biełoj w tej podróży etapem jako wygnanka.

**) W Nrze 10 gazety »Ziemiństwo« z roku 1881 zamieszczony jest opis okoliczności, towarzyszących pierwszemu wydaleniu pana Korolenki.

P. Borodin, znany współpracownik czasopisma »atieczestwiennyye zapiski« wygnany został do ziemi jakuckiej za znaleziony w jego domu w czasie rewizyi rękopism »niebezpiecznej i gorszącej« treści, będący kopią świeżo wysłanego artykułu do redakcyi *). P. Borodin powędrował tedy w szarym chałacie z żółtymi tuzami na plecach do Jakucka, gdzie miał przyjemność spotkania się z swym »niebezpiecznym« artykułem wydrukowanym w »atieczestwiennych zapiskach«, i nadesłanym mu przez ministra spraw wewnętrznych. Cenzura petersburska przepuściła ów artykuł nie mogąc się doszukać w nim nic takiego, coby zagrażało naruszeniu »istniejącego w państwie porządku«.

W r. 1885 wydalono z Moskwy na Syberą, porządkiem administracyjnym niejakiego pana Oczkina za to, że policya podejrzewała go o zamiar zmiany swego właściwego nazwiska. Na czem oparto to straszne podejrzenie, o tem p. Oczkin nie miał nigdy przyjemności się dowiedzieć.

Dobrze mi znanego pana i najspokojniejszego w świecie człowieka, wygnano na Sybir za to, że pozostawał w stosunkach znajomości z panem Z., którego przed laty aresztowała policya jako podejrzanego o udział w jakimś spisku. Sąd dawno już uniewinnił pana Z., podczas gdy jego przyjaciela zupełnie nieświa domego tej sprawy, obecnie wtrącono do więzienia. — Pewnego razu policya nie mogąc wysledzić studenta Wiktora Sidorskiego (przemilczam tu umyślnie właściwe nazwisko), podejrzanego o »naruszenie porządku publicznego«, w miejsce jego, aresztowała Włodzimierza Sidorskiego. Daremnie ten ostatni usiłował przekonać

*) »Ziemstwo« N-ro 10 Str. 19. — Faktą, przedstawiającą rząd w tak złem świetle — rozumie się — rzadko bardzo występują na widownię. Wiadomość o przygodach pana Borodina i wygnanie p. Korolenki ukazały się pod koniec panowania Aleksandra II. za czasów hr. Lorys-Mielikowa, gdy cenzura nie była tak jeszcze sroga.

władze że nie jest Wiktorem i nie ma nic z nim wspólnego.

Policya tak dalece zajęta była tropieniem jakichś spiskowców, że nie stało jej czasu na sprawdzenie tożsamości osoby aresztowanego. Zresztą mając już w swych rękach człowieka choćby niewinnego, nie wypadało wypuścić go na wolność, a tylko podług zwyczaju wydalić drogą administracyjną na Sybir. W czasie podróży, Włodzimierz zwracał wielokrotnie uwagę komendanta etapu, odczytującego listę transportowanych, że on nie jest Wiktorem i niesłusznie wędruje za niego na Sybir.

— Jakież więc jest twoje imię — spytał oficer.

— Włodzimierz. — A więc niech będzie Włodzimierz, — odrzekł oficer obojętnie, zmieniając na liście imiona.

W r. 1874 aresztowano w jednej z południowych prowincyi rossyjskich studenta uniwersytetu Igora Lazarowa, podejrzewanego najniesłuszniej o szerzenie propagandy socjalistycznej, Lazarów, mimo że zupełnie niewinny, przesiedział w Piotro - pawłowskiej fortecy sam na sam przez lat cztery, poczem wypuszczono go jako niewinnego. Zdawało by się, że tak rażąco niesprawiedliwe postępowanie rządu, powinno było przekształcić najspokojniejszego nawet obywatela kraju, jeżeli już nie w terrorystę to przynajmniej w rewolucjonistę. Pan Lazarów jednakże jak poprzednio, tak i teraz prowadził dalej swoje studia uniwersyteckie, a ukończywszy je, przeniósł się do Saratowa, gdzie zajmując miejsce adwokata, nie był już turbowany przez policyę. Pewnego atoli dnia 1884 r. zjawia się u pana Lazarowa policyant i oznajmia mu, ażeby raczył się pofatygować na chwilę do gubernatora. Pozostając w stosunkach zażyłości z gubernatorem, Pan L. spieszy do jego bióra i dowiaduje się tutaj, że wydalają go na lat trzy do wschodniej Syberyi. Nowina ta w pierwszej chwili wprowadziła go w stan osłupienia, opamiętawszy się jednak spytał: Czy Jego Excelencya nie raczył by mi powiedzieć za co?

Gubernator nie mógł dać panu L. żadnej odpowiedzi, bo sam nie wiedział o przyczynie wydalenia; otrzymał takie rozporządzenie od ministra i nie więcej.

Wpływowi przyjaciele pana Lazarowa tyle tylko mogli wyjednać u rządu, że mu pozostawiono czternaście dni na załatwienie swoich interesów, poczem wyprawiono go etapem do Moskwy, gdzie zmuszony był oczekiwać w więzieniu wiosennej ekspedycji. Darownie odwoływał się on do policyi, by mu wykazała powody jego wygnania. Odpowiadano mu zawsze krótko i węzłowato: wysłał się pana do wschodniej Syberii pod nadzór policyjny za to, żeś się nienależycie wytlómaczył z swej dawniejszej, »przestępnej działalności«. Wygnano go zatem do ziemi zabajkalskiej za nienależyte wytlómaczenie się z »przestępnej działalności«, podczas gdy oskarżonych o tę działalność jego współtowarzyszy sąd dawno był już uniewinnił.

Pewnego razu rozmawiali z sobą wygnańcy w moskiewskim więzieniu o powodach, jakimi kierować się mógł rząd, wypędzając ich z kraju. Okazało się, że u jednego znaleziono zakazane książki, drugiego podejrzywano o szerzenie rewolucyjnej propagandy, inny znów należał do tajnego stowarzyszenia... Obecny tej rozmowie pan Lazarów, odezwał się, że on zupełnie nie wie, za co go wydalają na Sybir.

— Nie wiadomo też panu — spytał jeden z towarzyszy — czy ojciec pański nie miał przypadkowo czarnej krowy?

Być może — odparł p. Lazarów — mój ojciec miał wiele bydła.

— Więcej cóż pan chcesz więcej, zawołał tryumfująco. — Tak ważny fakt, wystarcza do wygnania dwudziestu osób, nie zaś jednej.

Dnia 10. maja 1885 r. Lazarów wyszedł etapem z Moskwy, a po dwudziestu dwu tygodniowej podróży, 10 października znalazł się w Czycie, stolicy ziemi zabajkalskiej, gdzie też miałem przyjemność go poznać.

Przyczyn tej pojęcie przechodzącej niesprawiedliwości, tradycyjnej grozy, ciągłych pomyłek i nieporozu-

mień, które historii wygnania drogą administracyjną nadają charakter jakiegoś wytworu piekielnej wyobraźni, — należy szukać w autokracji państwowym, gdzie władze wykonawcze, nieograniczone w swej samowoli, żadną kontrolą, dopuszczają się wszelkich możliwych bezprawii.

Rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych względem osób, poszlakowanych politycznie, nie opierają się na żadnej podstawie prawnej; zaś w Rosyi jest zwykle na porządku dziennym tyle przeróżnych spraw politycznych, że minister nie jest w możności wnikania w nie, ani też rozpatrywania każdej z osobna. Część tedy poruczonych mu do rozstrzygnięcia spraw zmuszony on jest oddawać do załatwienia naczelnikom policyi, oficerom żandarmeryi, gubernatorom i innym swym podwładnym wyższym urzędnikom, którzy znów zwykli się wyręczać niższymi urzędnikami, ludźmi ograniczonymi i nierozumiejącymi się na rzeczy. I w rękach takich to ludzi spoczywa wolność i życie obywateli kraju!

Podług przepisu, każda sprawa, dotycząca wygnania porządkiem administracyjnym, powinna być jak najściślej roztrząsaną na radzie, złożonej z trzech wyższych i dwóch niższych urzędników ministeryalnych. W praktyce tak się nie dzieje i dzieć i dzieć nie może, a to ze względu na brak czasu; podług rosyjskiego czasopisma »Strana«, poruczono oddziałowi cesarskiej policyi do załatwienia 1500 spraw politycznych*).

Sprawy te przeważnie załatwiano na drodze administracyjnej; gdyby bowiem ministrowi przyszło poświęcić każdej z nich choćby kwadrans czasu, to nie pozostało by mu i jednej chwilki na zajęcie się innymi; on jednak nie zastanawiając się nad żadną z nich, podpisywał kolejno wszystkie. W innym razie nie był by potwierdził wygnania p. Korolenki, wiedząc że oskarżenie opierało się na fałszywej podsta-

*) Przepisy dotyczące utrzymania »porządku i spokoju publicznego«, potwierdzone przez cara 14 sierpnia 1881. Rozdział 5. paragraf 84.

wie, jak również nie zezwoliłby na wygnanie p. Borodina, gdyby był zechciał dowiedzieć się w swoim czasie, że cenzura nie obarczając żadnym zarzutem inkryminowanego artykułu p. Borodina, zezwoliła ogłosić tę jego pracę w czasopiśmie »Dielo«. Nie zastanawiał się nad żadną sprawą, a tylko z kolei podpisywał podane mu przez podwładnych dokumenta.

Jak łatwo jest uzyskać w Rosyi podpis wysokiego urzędnika na wszelakim dokumencie, świadczy następująca, prawdziwa anegdota. Pewien naczelnik bióra rządu gubernialnego w Tobolsku chętnie się swym wpływem na gubernatora (obecnie już nieoszczyka Lisogórskiego), założył się z kims, że na każde żądanie uzyska podpis gubernatora na podaniu choćby ladajakiej treści. Otóż napisawszy na ostęplowanym arkuszu papieru »ojcze nasz« i złożąwszy go podług formy, podał do podpisu. Gubernator bez wszelkiego namysłu zaopatrzył ów arkusz papieru swym podpisem i zakład został wygrany.

Skutki owej łatwości uzyskiwania podpisów ministra, odezwały się najszkodliwiej na podejrzanych politycznie. Mając to na względzie, ustanowiono za czasów liberalnego Loris-Melikowa w r. 1880, pod przewodnictwem ministra Czerewina oddzielną komisję, której jedynym zadaniem było rozpatrywanie spraw, dotyczących osób wygnanych porządkiem administracyjnym; komisya ta miała prostować tak często powtarzające się »nieporozumienia« i »nieprawidłowości«, których ofiary porozprasane po różnych stronach carstwa, zasypywały formalnie skargami i podaniami nowego ministra spraw wewnętrznych. Niehawem też miało się znaleźć w Rosyi 2800 osób, wróconych z różnych części Syberyi, tak wygnańców administracyjnych, jako też zostających pod nadzorem policyjnym. Do 23 stycznia 1881 r. komisya owa rozpatrzyła i załatwiła sprawy 650 osób, z których 328, zatem większą część, uwolniono i wrócono do kraju*).

*) Z raportu oficjalnego rządowego w gazecie »Sybir« 31 stycznia 1881. Str. 1.

Nadużyciom tym można by jedynie zapobiedz usunięciem zupełnem policyi od przyjmowania udziału w sprawach politycznych, a ustanowieniem natomiast sądów i przyznaniem podejrzanym prawa obrony. O tem jednak rząd nie chce nic wiedzieć. Wprawdzie na zebraniu szlacheckiem poruszono tę sprawę, zgromadzenie nawet, przychylając się do wniosku jednego z swych członków, wydelegowało do cara pana U. F. Samarina z wiernopoddańczą prośbą, o przyznanie każdemu z »politycznych«, wygnanych porządkiem administracyjnym, prawa dochodzenia słuszności na drodze sądowej. Prośba ta jednakże nie została uwzględniona i o ile mi się zdaje pozostała bez odpowiedzi*).

Poczynając od r. 1882, prawa, przywileje i przepisy, obowiązujące wygnańców i przestępców politycznych, znane były tylko z tajnych cyrkularzy, rozsyłanych od czasu do czasu przez ministra spraw wewnętrznych, gubernatorom syberskim. W skutek zaś zmiany osoby ministra, ministeryjalnej polityki i przeróżnych okoliczności, rozporządzenia te stawały z sobą w coraz większej sprzeczności, aż w końcu wywołały takie nieporozumienia pomiędzy wygnańcami a władzami miejscowymi na Syberyi, iż minister spraw wewnętrznych uczuł się w konieczności wydania 12 marca 1882 r., mnóstwo nowych instrukcyi, dotyczących wygnańców, jako też innych osób, pozostających pod nadzorem policyjnym, które to rozporządzenia zostały przez cara potwierdzone. Odpis tego dokumentu przywieziony z Syberyi, leży właśnie przedemną. Tytuł jego opiewa: »przepisy dotyczące nadzoru policyjnego«. Na wstępie każdego zdumień musi ów fakt, że wygnanie i nadzór policyjny nie uważają się w Rosyi jako kary wymierzone za popełnione już przestępstwa, lecz jako prawidła, skierowane przeciw zamierzonym, politycznym przewinieniom. W pierwszym rozdziale powiedziano: »Nadzór policyjny (gdzie podciągnięto także wygnanie porządkiem administracyjnym)

*) Gazeta »Ziemstwo« 1881, Nr. 10. Str. 21.

jest środkiem zaradczym przeciw przewidzianemu przestępstwu, zmierzającemu ku naruszeniu istniejącego w państwie porządku; nadzór ten może być ustanowiony nad każdym, kto się okazuje szkodliwym dla porządku publicznego. Kto zaś okazuje się szkodliwym dla tego porządku publicznego, o tem wyrokuje generał-gubernator, gubernator i policya. A więc wypowiedzenie swojego sposobu myślenia, pociąga człowieka pod tę samą odpowiedzialność, co czyn dokonany. Wygnanie zatem na drodze administracyjnej skierowane jest ku stłumieniu tych idei i poglądów, które prowadzą do spełnienia przestępstwa. Jeżeli chodzi o zapobieżenie dokonać się mającemu przestępstwu przez stłumienie sposobu myślenia, to ów regulamin powinien nosić tytuł: »Rozporządzenia dotyczące opinii osobistych«, gdyż tak go rozumie i tłumaczy sobie rosyjska policya.

Nieuznawanie wygnania drogą administracyjną jako kary, jest tylko czcza gadaniną. Jeżeli wygnanie człowieka na lat pięć do ziemi Jakuckiej nie jest »karą«, to słowo »kara« musi mieć w rosyjskiej jurysprudencji jakies właściwe, odrębne znaczenie.

Dla kobiet i dziewcząt wygnanie do wschodniej Syberyi, ze względu na poniewierkę, brak należytej strawy, noclegi w zapowietrzonych domach, mrozy i t. d. jest niewątpliwie wyrokiem śmierci — i rząd jeszcze chce utrzymywać, że wygnanie na drodze administracyjnej nie jest żadną karą!

W r. 1884 pewna młoda piękna dziewczyna Zofia Nikitina, studentka z Kijowa, została wygnana porządkiem administracyjnym do odleglejszych gubernii wschodniej Syberyi. Zimą 1884—1885 odbywszy już 4800 km. strasznej swej drogi, pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem zapadła na tyfus. Transportom wygnanców w Syberyi nie towarzyszą lekarze, jeżeli więc który z »politycznych« zachoruje w drodze, to zmuszony jest wlec się bez względu na swoje cierpienia i stan powietrza do tego domu etapowego, przy którym znajduje się szpital. Ponieważ pomiędzy Tomskiem

a Irkuckiem, na odległości 1600 km. są tylko dwa lazarety, chorzy więc zmuszeni są wlec się na wozach lub saniach 8 do 14 dni — zanim, w razie niespotkania się z śmiercią na drodze — znajdą spoczynek i pomoc lekarską. Nie wiem wiele lodowo-zimnych nocy przepędziła ciężko chora panna Nikitina wśród tej okropnej podróży, zanim dowlokłszy się do Aczyńska, znalazła pomoc lekarską, pomimo której wyzionęła tam ducha. Istotnie, jakąż to wielką pociechą musiało być dla umierającej w brudnym szpitalu i oddalonej o tysiące wiorst od domu rodzinnego — owo przeświadczenie, że najsurowsza z kar, jaką znosi, nie była jej wymierzona za czyn już dokonany, lecz że ojcowski rząd pewnem tylko ograniczeniem praw jej osobistych, starał się zapobiedz, wyniknąć mogącym — z tytułu jej obecności w Kijowie — szkodliwym skutkom dla porządku publicznego.

Książe Aleksander Krapotkin, wysoko wykształcony światowiec, matematyk i astronom, wysłany został porządkiem administracyjnym na Sybir wyłącznie za to, że był bratem księcia Piotra Krapotkina, znane go rewolucjonisty, zamieszkującego obecnie w Londynie. Przebywszy 10 lat na wygnaniu, zakończył żywot samobójstwem w Tomsku 1886 r.

Czternastoletnia uczennica Wiktorya Gurowska, wydalona w r. 1879 z Odesy do wschodniej Syberyi, także zakończyła życie samobójstwem w Krasnojarsku 1881 r.

Pewien wygnaniec administracyjny Bochin, osiedlony w ziemi Jakuckiej w ulusie angijskim, wpadłszy tam w stan obłąkania, zabił swą żonę, dzieci, a następnie sam sobie życie odebrał.

W obec tych strasznych, przytoczonych tu tragicznych wypadków i mnóstwa innych, o których przemilczam, rząd rosyjski śmie jeszcze utrzymywać, że wygnanie porządkiem administracyjnym nie jest żadną karą, lecz tylko środkiem, zapobiegającym przeciw zamierzonemu przestępstwu.

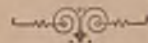
Środki te zaradcze w rękach rządu despotycznego mogły by być w części usprawiedliwionymi, ale wtedy tylko, gdyby prowadziły do jakiegoś celu. Oto co powiada, w sprawie wygnania porządkiem administracyjnym, minister spraw wewnętrznych, generał-major hr. Baranów:

Spostrzeżenia moje osobiste, jako też wyniki poprzednich doświadczeń, doprowadziły mnie do przekonania, że wygnanie porządkiem administracyjnym ze względów politycznych, chybia zupełnie swemu celowi. Ta nagle zmiana z życia wygodnego do zupełnego niedostatku, z towarzyskiego do samotnego, z życia czynnego, do przymusowo bezczynnego, tak szkodliwe pociąga za sobą skutki, że wygnańcy polityczni bardzo często, wpadają w stan obłędu, lub też kończą życie samobójstwem. Wszystko to, jest wynikiem tych anormalnych warunków, jakie człowiekowi wykształconemu gotuje wygnanie. Dotychczas nie było jeszcze przykładu, ażeby wygnanie porządkiem administracyjnym wpłynęło na sprostowanie błędnych pojęć podejrzanego politycznie, pojednało go z rządem, tudzież przekształciło go w pożytecznego członka społeczeństwa i wiernego sługę tronu. Natomiast zdarza się często, że osoby zupełnie niewinne, a wydalone z kraju li przez omyłkę, dopiero na wygnaniu stają się istotnie podejrzanymi, przyczyną czego jest zetknięcie się ich tam z rzeczywistymi wrogami rządu, albo też zwątpienie. Dalej, wygnanie ma jeszcze tę złą stronę, że wyprowadzając na widownię ludzi tających się dotychczas z wrogimi ideami dla rządu, daje im pole do praktycznego rozwijania tych idei i przekształca ich tym sposobem w ludzi niebezpiecznych. Co się tyczy istotnych winowajców, biorących czynny udział w ruchach rewolucyjnych, to i w tych także, wygnanie, siłą okoliczności, potęguje ducha rewolucyjnego, czyli powiedziawszy innymi słowy: rezultat wygnania jest wprost przeciwny założeniu. Mimo możebnego ograniczenia i unormowania systemu deportacyjnego, wygnańcy nie przestaną podejrzawać urzędników o zamiary

skierowane ku ograniczeniu osobistej ich wolności, co już samo odbiera nadzieję jakiegokolwiek poprawy *)

Nietylko jeden, ten wysoko położony urzędnik, wypowiedział słowo prawdy; w danym razie mógłbym się powołać na otwarcie wygłoszone zdanie gubernatora z Archangielska, o bezcelowości systemu deportacyjnego. Na system wygnania można się zapatrywać nietylko ze stanowiska urzędowego, ale także wskazanego uczuciem ludzkości, obyczajności i sprawiedliwości, o czym też mówić będę w następnych rozdziałach. W niniejszej pracy chciałem tylko zwrócić uwagę na lekkomyślne, niesprawiedliwe i nieogłędne postępowanie rządu z obywatelami rossyjskimi, wydalonymi z kraju porządkiem administracyjnym. W następnym sprawozdaniu będę się starał podać najdokładniejszy i najsumienniejszy opis sposobu życia politycznych wygnańców.

*) »Goniec prawniczy« towarzystwa moskiewskiego październik 1883, stron. 332.



VI.

Więzienie etapowe w Tomsku.

Pora pogodna mijała szybko; mając na uwadze zbliżające się słoty i zły stan dróg, utrudniający już i tak dość mozolną naszą podróż, pobyt nasz w Uść-kamieniogórsku ograniczyć musielibyśmy do krótkiej tylko chwili. Mimo to, udało nam się zawiązać tu stosunki, bez pomocy których, zamiar nasz dokładnego obeznania się z systemem wygnania, natrafiłby na niepokonane trudności.

Gdzie się znajdują polityczni wygnańcy? W jaki sposób zbliżyć się do nich, nie ściągając na siebie podejrzania władz? To były obecnie pytania najdonioślejszego dla nas znaczenia. Niekoniecznie można było liczyć, ażeby szczęśliwy zbieg okoliczności zbliżył nas z jakimś lepiej myślącym urzędnikiem, z którym możnaby się było porozumieć względem miejsc zamieszkania, tak skwapliwie przez nas poszukiwanych wygnańców politycznych. Gdybyśmy mogli przeczuć, gdzie są ci wygnańcy, to niezawodnie zatrzymywalibyśmy się po wsiach i miasteczkach, których całe tuziny mieliśmy przy gościńcu. Co się tyczy Uść-kamieniogórska, to wszelkie w tym względzie nasze obawy były płonne. Uzyskaliśmy tu nietylko niezbędne wskazówki, dotyczące miejsca zamieszkania wygnańców politycznych, ale nadto zaopatrzeni zostaliśmy listami polecającymi do osób prywatnych i urzędników, a w dodatku wykazem mieszcącym nazwisko, wiek, sposób zajęcia, miejsce zamieszkania około 700 politycznych wygnań-

ców. Był to dokument nader ważnego znaczenia, od użytkowania którego mogło nas powstrzymać li tylko urzędowe wydalenie za granicę carstwa. Obecnie wiedząc już dokładnie, gdzie należy szukać potrzebnych nam wygnańców, pozbywaliśmy się obawy ściągnięcia na siebie podejrzania władz, koniecznego następstwa ciągłych dopytywań o ich osoby i miejsca zamieszkania.

W poniedziałek 10. sierpnia, zjadłszy po raz ostatni obiad z wygnańcami politycznymi w Uść-kamieniogórsku, zaśpiewaliśmy im na rozstaniu »Sztandar z gwiazd« i ruszyli około godziny 6 ku Tomsku. Do Pianojarowska jechaliśmy tym samym gościńcem, co poprzednio do Altaju. Okolice przydrożne przeważnie niskie, jałowe równiny, gdziekolwiek tylko bujną porostę trawą, na której pasły się trzody owiec, strzeżonych przez konnych Kirgizów. Ludzie ci, z brunatnymi twarzami, z zawojami na głowach i oczami osłoniętymi włosianą siatką, wyglądali na istnych demonów. Pod wsiami widzieliśmy na polach kwitnące słoneczniki i dojrzałe melony; step jednak w części był tylko uprawiony, i bez sztucznego nawodnienia pozostanie on zawsze stepem. Dnie podówczas były jeszcze bardzo ciepłe, tak, że po wsiach spotykaliśmy mnóstwo hawiających się nagich dzieci.

Od stacyi pianojarowskiej, rozstaliśmy się z gościńcem głównym i doliną irtyszką, i przekroczywszy dział wodny między Irtyszem i Obem, zmierzaliśmy ku Tomsku. Obfite deszcze obniżyły stan temperatury; droga była tak błotnista, że z trudnością brnęliśmy po niej, odpoczywając na stacyach pocztowych, gdzie w niechlujnie utrzymanych lokalach, gnieździły się pluskwy. Na stacyach w Szemaniajewsku i Szuszkynie, daremnie siłem się zasnąć choć na chwilę. Obie noce przepędziłem bezsennie zajęty pisaniem, przerywanem polowaniem na pluskwy, których po kilkadziesiąt sztuk pozostawało trupem na moim stoliku. Bezszenność, brak posilnej strawy, trzęsienie tarantasu, wyczerpały tak dalece nasze siły, że przybywszy po

96-ciogodzinnej podróży, dnia 14. sierpnia do Barnaulu, chwiałem się na nogach

Miasto Barnaul, liczące 17.000 mieszkańców jest punktem środkowym całego okręgu górniczego altajskiego.

Wysilano się tu na okazałość, o czym świadczą dość nawet wykwintne kamienice z kolumnami i wspinałymi fasadami, dzisiaj jednak chylące się ku upadkowi. Budyńki te sięgają czasów pewnego urzędnika górniczego, który dzięki swej przebiegłości i złodziejskiemu wężowi, umiał tak znakomicie prowadzić rachunki, że przy swej 2 do 3.000 rs. rocznej pensyi, dwukrotną taką sumą wynagradzał guwernantkę swych dzieci i kucharza Francuza.

Kopalnie Altajskie są przeważnie własnością osobistą cara. W latach 1870—1879 dostarczały one rocznie 6.984 funtów złota, 206.962 funtów srebra, 9.639.620 funtów miedzi i 13.231.396 funtów ołowiu. — Kruszcze złote i srebrne w przeważnej części wytapiają w Barnaulu.

Pan Frost, z właściwą sobie gorliwością splądrowawszy całe miasto, odfotografował bazar, kilka wieśniaczków wyładowujących kamieniami dwukołowe kary, i jakiś osobliwy, pod hotelu stojący budynek, zakrawający strukturą na rossyjsko-dorycką świątynię, który uznano za stosowne przekształcić w więzienie. Niechlujnie utrzymany hotel barnaulski, czernił się od pluskiew, tak, że nie chcąc być żywcem zjedzonym przez robactwo, wywlokłem stojący pod oknem stół na srodek pokoju i usiałem sobie na nim łożę; manewr ten jednakże nie na wiele się przydał; stół przy ładzi jakim poruszeniu mego ciała utykał z nogi na nogę, tak, że w obawie spadnięcia na podłogę, zmuszony byłem całą tę noc przepędzić babsennie, dochodząc niejednokrotnie do szaleństwa. Jedną i jedyną naszą przyjemnością, jakiej doznaliśmy w Barnaulu, było spotkanie się z wieloma listami nadeszłymi z domu, w odpowiedzi na wysłane z Tiumenta.

W czwartek po południu 18. sierpnia wyjechalismy do Tomsku. Część ta zachodniej Syberyi jest żyzną;

wzgórkowatym swym położeniem przypominała mi okolicę nowo-angielską. Krajobrazy nie są tu dzikie, jednak małoownicze; jeszcze i w sierpniu łąki pokryte były kwieciami, a bujna, świeża roślinność wprowadza w zachwyt zmierzającego tu od stepów irtyszkich podróżnika. W pobliżu pierwszej stacji przejeżdżaliśmy około małego koływańskiego jeziora, które romantyzmem swym położeniem sprowadza na letni odpoczynek wszystkich zamożniejszych mieszkańców miasta Tomsku i Barnaulu. Prom. na którym przeprawialiśmy się przez rzekę Ob, składał się z pomostu, spoczywającego na dwóch łodziach; w jednym z końców promu stał kołowrot. przy pomocy którego dwóch długobrodych chłopów poruszało ów statek. Podróż nasza z Barnaulu do Tomsku, o ile sobie przypominam, nie nastroczała żadnych głębszych wrażeń; czułem się przytem tak wycierpanym na siłach, że dokładnie sprawy zdać z niej sobie nie mogę.

20. sierpnia, w czwartek po południu o godzinie 4-tej stanęliśmy w Tomsku. W ciągu tej całej, 51 dni trwającej, 1.500-milowej podróży, zwiedziliśmy dwa wielkie więzienia etapowe, zaznajomili się z politycznymi wygnańcami trzech przydrożnych osad, i zwiedzili najdziksze okolice Altaju. Przybywszy do Tomsku, zamieszkaliśmy w hotelu europejskim, gdzie na wstępie posililiśmy się dobrym obiadem, rozgościwszy się w dwóch wygodnie i gustownie umeblowanych pokojach.

Miasto gubernialne Tomsk, liczące 31 000 mieszkańców, leży częściowo na wzgórzu, częścią na niskim brzegu rzeki Tomy, wpadającej nieopodal stąd do Obu. Co do wielkości i znaczenia Tomsk uważanym jest za drugie miasto w Syberyi, chociaż zdaje mi się, że ze względu na inteligencję i ducha przedsiębiorczego ludźmi dobrobyt, należy mu się pierwszeństwo w całej Syberyi. Tomsk ma 8 000 domów mieszkalnych, z których 250 murowanych, 33 cerkwi, kościoł rzymskokatolicki, meczet i trzy bożnice; 25 zakładów naukowych, do których uczęszcza 2.500 uczniów; bardzo

dobrą publiczną bibliotekę i od 3-ch lat ukończony już wytworny gmach uniwersytecki, otwarciu którego stoi na przeszkodzie obawa rządu, by gmach ów nie stał się siedliskiem »zgubnych dążeń« i »swobodnych myśli«. Obawa o szerzenie »zgubnych dążeń«, skłaniała również ministra spraw wewnętrznych do wielokrotnego zawieszania na czas dłuższy, wychodzących tu czasopism. Ulice miasta choć niebrukowane, były jednak dobrze oświetlone i porządnie utrzymane.

Gubernia tomska, zajmująca przestrzeń 15.688 mil kwadr., mieści w sobie 8 miast, z których na każde wypada 14.000 mieszkańców, i 2.719 wsi z przeciętną ludnością 366 dusz. Ludność całej gubernii dochodzi do 1.100.000 mieszkańców, z której 900.000 tuziemców, zaś 300.000 osiedleńców nasyłanych z europejskiej Rosyi. Południowa zwłaszcza część gubernii jest bardzo urodzajną, dobrze nawodnioną, obfitą w lasy i wcale znośną ze względów klimatycznych. Gruntu ornego liczą w gub. tomskiej 3.000.000 morgów, a produkuje ona rocznie 30.000.000 czetweryków (10,571.400 hl) zboża, 4,500.000 czetweryków kartofli, niewiele konopi, lnu i tytoniu; pastwiska i łąki są w stanie wyżywić 2,500.000 sztuk bydła.

Cyfry statystyczne wykazują, że gubernia tomska mimo złej administracji i demoralizującego wpływu osiedlonych tu zbrodniarzy nie jest krajem nieurodzajnym, ani też zacofanym w cywilizacji. Źródła bogactwa są tu niewyczerpane; przedewszystkiem potrzebną jest dobra administracja i wolny rozwój przemysłu miejscowego. Dopóki despotyczny rząd petersburski będzie ścieśniał wolność prasy, zamykać uniwersytet, wybierać sam nauczycieli, przepisywać programy szkolne, wiązać ręce i nogi mieszkańcom utrudnianiem wydawania paszportów, obsadzać posady urzędowe przekupnymi i niedbałymi urzędnikami, zalewać corocznie gubernię nawałem wysyłanych z Rosyi zbrodniarzy, — dopóty ona będzie niczem więcej, jak tylko kolonią uciskaną przez niepotrzebnych jej opiekunów-ciemieńców. Obecnie, rząd zamierza dla zwiększenia

źródeł przemysłu krajowego przeprowadzić tędy linię kolei żelaznej. Nie lepiejby też było nadać ludziom więcej wolności, pozostawić ich własnemu uznaniu w kierowaniu sprawami publicznymi, powstrzymać napływ zbrodniarzy i ostatecznie oddać gubernię własnemu jej rozwojowi?

Pierwszem naszym zadaniem było odszukać niezbędnych nam wygnańców politycznych i oficerów, do których mieliśmy listowne polecenia.

Dowiedziawszy się, że nieobecnego podówczas gubernatora Krasowskiego zastępuje pierwszy urzędnik gubernialny, radca Pietuchów, — o ile słyszałem człowiek wykształcony i dość wolnomyślny — udałem się bezwzględnie do niego i zostałem przyjęty bardzo uprzejmie. Oznajmiwszy mi na wstępie, że broszura moja »opis wschodniej Syberyi« obudziła w nim wielkie zajęcie, okazywał mi dowody szacunku i życzliwości. Uprzedzony także jaknajlepiej o panu Pietuchowie, rozmawiałem z nim otwarcie o Syberyi, tamiecznych stosunkach; wreszcie spytał mnie pan P.: czy nie mógłby mi być w czem pożytecznym? Korzystając z dobrych jego chęci, poprosiłem o pozwolenie zwiedzenia więzienia etapowego. Prośba ta moja, o ile mogłem zauważyć, nabawiła p. Pietuchowa chwilowego kłopotu; uspokoiony jednak moim prostym i szczerym sposobem opowiadania o dwukrotnych już naszych oględzinach innych więzień sybirskich, przychylił się chętnie do mego życzenia, a nawet ofiarował się towarzyszyć nam w tej więziennej wycieczce. Zawahawszy się wszakże chwilę, rzekł z powagą: — Obawiam się bardzo, ażeby więzienie tomskie nie wydało się panu najgorszem ze wszystkich sybirskich. — Upewniałem go, że tak być nigdy nie może, lecz on wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć: Pan jeszcze nie wiesz, co to jest sybirskie więzienie. — Czego można żądać od więzienia, — mówił — jeżeli się w niem mieści podwójna liczba osób, nad przepaścią. Więzienie etapowe w Tomsku było zbudowane na 1.400 osób, a obecnie mieści w sobie 3.000; z Tiumentia przy-

sylają nam co tygodnia po 500 do 800 aresztantów, z których nie jesteśmy w stanie wysłać dalej, nad 400 tygodniowo. Zwykle też pod koniec lata więzienie jest tak przepełnione, że nie ma możliwości utrzymać je w porządku; powietrze zepsute przyczynia się do rozwoju chorób, i szpital przepełniony jest ciężko chorymi — Dlaczego panowie nie staracie się zapobiedz panującej w szpitalu ciasnocie, wysyłaniem na wschód większych transportów aresztantów, albo też nie wyprowadzacie ich dwa razy tygodniowo? — spytałem. — Podobnym kombinacyom, — mówił p. Pietuchów — sprzeciwia się zarząd etapowy wschodnio-sybirski, uzasadniając swój protest szczupłością lokalów w domach etapowych i brakiem odpowiedniej ilości żołnierzy. Robiliśmy już różne próby, lecz nie doprowadziły one do niczego — Czy rząd w Petersburgu wie o tem? — spytałem.

— Bez wątpienia — odpowiedział — corocznie składamy raporta o stanie rzeczy, tego zaś lata wysłano do Petersburga aż cztery depesze telegraficzne z prośbą o niezbędną pomoc. — I zupełnie bez skutku? — Najzupełniej; przed zamknięciem komunikacji wodnej, napływ więźniów jest największy, podczas gdy w porze zimowej więzienie stoi prawie pustką: tymczasem tyfus się wciąż wzmaga, a chorzy z braku miejsca w szpitalu muszą leżeć w celach. Radzę panu, byś udając się do więzienia, poprzednio dobrze pośniadał i stronił od szpitalu.

Podziękowałem mu za troskliwość, dodając, że się zarazy nie obawiam i umówiwszy się co do dnia zamierzonych oględzin więzienia, pożegnałem go.

Wracając do domu spotkałem się na ulicy z naczelnikiem wojennym, pułkownikiem Jagodkinem, który już od chwili naszego poznania się dawał nam dowody swej serdecznej życzliwości i przyjmował żywy udział w naszych badaniach. Obecnie powracał on właśnie z hotelu, dokąd trzymał się umyślnie, by nas zawiadomić o świeżo nadpływającym transporcie aresztantów z Tiumenia. Podziękowałem mu za grzeczność

i w kilka minut wszyscy trzej spieszyliśmy dorożką ku przystani; przybyliśmy za późno, zastając barkę już opróżnioną, zaś aresztantów na brzegu rzeki. Kupili się oni dwoma gromadami w wielkiej szopie, obitej w okół deskami i podobnej do obory. Po sprawdzeniu tożsamości osób aresztantów, przeliczono ich i oddano obecnemu tam rządcy więzienia tomskiego Szopa ta była przedzielona helką na dwie połowy, z których jedna mieściła w sobie klatkę 10 stopowej długości i takiejże szerokości, przeznaczoną dla oficera komenderującego etapem. Aresztanci już odebrani zajmowali część szopy od wschodu, podczas gdy reszta, kupując się w zachodnim końcu, oczekiwala swej kolei. Kobiety, tworzące tu osobną grupę, były przeważnie w strojach wieśniaczych, z różnobarwnymi chustkami na głowach; na twarzach ich malowała się obawa i niepokój. Ubiór mężczyzn składał się z grubych, płóciennych koszul, takichże spodni i burch, długich sukiennych chałatów; większość dźwigała okowy na nogach, przestępcy zaś i zawyrokowani osiedleńcy mieli głowy w ten sposób oporządzone, że prawie połowy niebieszczyły się golizną, lewe zaś pokrywały długie, rozczochrane włosy. Wewnątrz szopy pod ścianami stali żołnierze z najeżonymi bagnetami, zaś w przedziale siedział oficer komenderujący etapem, rządcą więzienia, lekarz więzienny, naczelnik bióra transportowego i kilku oficerów w pełnych uniformach. Przedstawieni tym panom przez pułkownika Jagodkina jako amerykańscy podróżnicy, których życzeniem jest przypatrzeć się odbiorowi transportu więźniów, wprowadzeni zostaliśmy do wnętrza izdebki.

Oficer odbierający aresztantów, rozpatrując — wyjęty z pomiędzy wielu — arkusz zapisanego papieru, zawołał donośnym głosem: — Mikołaj Kolcow! — Wysmukły, wynędzniały człowiek o mętnym ociężałym wzroku, stojący w pierwszym szeregu, wziął w rękę leżący przed nim na ziemi worek płócienny, i brzęcząc kajdanami postąpił naprzód. Oficer wpatrując się bacznie w twarz owego człowieka, to znów w trzy-

maną w rękę fotografię jego, sprawdzał z całą dokładnością tożsamość osoby, podczas gdy ordynans kozacki splądrowawszy wszystkie manatki aresztanta, przystąpił do szczegółowej rewizji jego osoby, dla przeświadczenia się, czy nie znajdzie kawałka jakiej cywilnej odzieży lub też wzbronionego ustawa przedmiotu.

— Wszystko w porządku? — spytał oficer. — Wszystko — odpowiedział kozak. Na bok — zawołał porucznik, i wysmukły, wynędzniały człowiek zabrawszy swój worek, skierował się ku więźniom, stojącym we wschodnim końcu szopy.

— Fotografie są nowością — szepnął mi na ucho półkownik Jagodkin; — zapobiegać mają one często zdarzającej się zamianie nazwisk aresztantów; nie wszyscy jednak są fotografowani. — Po cóż mają zmieniać nazwiska? — spytałem. — Jeżeli przestępca skazany do ciężkich robót — mówił półkownik Jagodkin — ma przy sobie trochę grosiwa, próbuje mieniać się na nazwisko z jakim urwiszem osiedleńcem, który spragniony kieliszka gorzałki lub też żądny popróbować szczęścia w karty, w każdej chwili gotów jest za jakiego rubla sprzedać swą osobistą wolność. Oficer nie jest w możności zapobiedz podobnego rodzaju zamianom, niepodobieństwem jest prawie, ażeby mógł on zatrzymać w swej pamięci taką mnogość nazwisk i wyrazów fizyonomii. Skoro uda się przestępcy pomieniać się na nazwisko z jakim wygnańcem, wtedy osiedla się we wsi, przeznaczonej mu na miejsce zamieszkania, podczas gdy zastępca jego idzie w katorgę.

— Hassan Abdallimow! — zawołał oficer. Nikt się nie rusza. — Hassan Abdallimow! — woła kozak. — Wychodź głuchy, wychodź! tyś to nim, — odzywa się przynajmniej jakie pół tuzina półogolonych głów, wypychając przed siebie jakiegoś krzywonożego, wspierającego się na kiju, niskiego Tatara, na którego ciemnej, ogorzałej twarzy maluje się niepewność i zakłopotanie.

— On nie rozumie po rosyjsku, proszę Waszej Miłości, a przytem niedosłyszcy — odezwał się z uni-

żeniem jeden z aresztantów. — Dawaj go tu! — zawołał oficer do ordynansa. Zrewidowany do ostatniej nitki Hassan, nie ustąpił wszakże, jak to czynili jego poprzednicy, lecz kłaniając się nisko i wymachując rękami rozpowiadał coś po tatarsku, przyczem zdawał się być wzruszonym.

— Co on mówi? — spytał oficer, — zawołaj żołnierza Tatara. — W tej chwili pojawił się tłumacz, któremu Hassan opowiedział swoją historję.

Tłumacz oznajmił, że Hassanowi odebrano w czasie aresztowania 8 rs., które obiecano mu zwrócić w Syberji. Życzyłby on sobie z tej kwoty coś otrzytać na kupno herbaty. — Ani szczypty herbaty — powtarzał wciąż skłopotany Tatar.]

— Ruszaj do dyabła! — wrzasnął rozwścieklony oficer, — czego też nie zachciewa się tej głupiej głowie; skoro przyjdiesz na miejsce, wtedy wydadzą ci twoje pieniądze. Precz z nim! — I biednego Tatara wepchnięto do wschodniego końca szopy.

— Iwan »niepomniaszczyj«, rudawy! — zawołał oficer.

— To brodiaga (włóczęga), — szepnął mi półkownik Jagodkin, wskazując na podchodzącego rudawego, barczystego chłopca, okutego w kajdany, z przytroczonym do pasa miedzianym czajnikiem. Schwytano go jako włóczęgę, wałęsającego się po zachodniej Syberji, a że uparcie ukrywa swą przeszłość i nazwisko, dano mu wtedy miano właściwe wszystkim brodiagom »Iwan niepomniaszczyj«. Członkowie tej wielkiej rodziny niebezpiecznych włóczęgów, w razie schwytania wysyłani są do robót ciężkich na lat pięć. — Oficer nie posiadał żadnej fotografii Iwana rudawego, a tożsamość jego osoby sprawdzono podług liczby wypadłych zębów i po bliźnie, znaczącej jego prawe ucho.

W powyższy sposób sprawdzono tożsamość wszystkich defilujących przed oficerem aresztantów i oddano ich następnie rządcy więzienia etapowego, który zaraz też pokwitował komendanta etapu z odbioru 551

aresztantów, włączając w tę liczbę 71 dzieci i resztę członków transportowanych rodzin.

Po ukończonym odbiorze, niektórzy oficerowie podążyli do miasta, my zaś z pułkownikiem Jagodkinem pozostaliśmy jeszcze dla przejrzenia się badaniu chorych przez lekarza więziennego, poczem zamierzaliśmy obejrzeć barkę transportową.

Dr. Orzeszko zajmąwszy teraz miejsce oficera etapowego, rozpoczął krótkie oględziny wszystkich stojących w jednym szeregu aresztantów. Zadaniem jego było oznaczyć ściśle liczbę istotnie chorych, których należało powieść do więzienia w kibitkach. Na czele tego szeregu stał blady, wynędzniały człowiek, który zanosząc się od kaszlu, zaledwie był w stanie oznajmić lekarzowi o trawiącym go wciąż bólu piersi i utrudnionym oddechu. Dr. Orzeszko wzięwszy skracającego się za puls i wysłuchawszy go przy pomocy stetoskopu orzekł stanowczo: — możesz iść piechotą. — Następny, pokazał lekarzowi nogę nabrzękłą na samej kostce w miejscu, stykającem się z okowami, co mu musiało ogromnie dolegać. Zdaje się, iż zauważył na twarzy lekarza wyraz współczucia, mileżał wszelako jakby błagając o litość, dopier gdy lekarz uwzględniając jego skargę, przeznaczył mu miejsce na wozie, wówczas przeżegnał się trzykrotnie a usta jego zda się szeptały: »Bóg zapłać«.

Oględziny następnych 40 do 50 więźniów trwały krótko, lekarz nie poświęcał więcej każdemu z nich nad minutę czasu. Jedni z nich chorzy byli na febrę, innym dolegał reumatyzm, wielu było suchotników nieuleczalnych, a nawet bliskich śmierci. Podług mego zdania wszystkich tych ludzi, jako zbyt wycieńczonych należało odstawić na wozach; doświadczonemu lekarzowi łatwo przyszło odróżnić ciężko chorych od chorowitych, lub wycieńczonych. Obejrząwszy kolejno wszystkich, polecił Dr. Orzeszko 25 osób, które uznał za niezdolnych do chodu, odwieźć do więzienia. Zaraz też podjechały kibitki, na które powsadzano chorych, tudzież kobiety z niemowlętami i na dany rozkaz: for-

mować szereg! więźniewie brzęcząc kajdanami rzędem stanęli pod szopą, otoczeni przez uzbrojonych żołnierzy. Wówczas naczelnik bióra etapowego p. Papelajew wskoczywszy na stołek odezwał się do całej gromady: — no dzieci! nie macie co powiedzieć, lub też wnieść jakie zażalenie?

— Nie, Wasza Miłość — odpowiedziało chórem wiele dziesiątek głosów. — A więc idźcie z Bogiem.

Rozwarto ciężką bramę drewnianą, podoficer zakomenderował: Naprzód, marsz! i wśród brzęku kajdan, kolumna posuwała się wolnym krokiem po błotnistym gościńcu

Skoro tylko p. Papelajew ułatwił się z ekspedycją aresztantów, pułkownik Jagodkin nie omieszkiał nas mu przedstawić. Był to słusznego wzrostu, wysmukły mężczyzna, surowego i chłodnego oblicza; powitał nas grzecznie, wszelako nie zdawał się być wcale zadowolnionym naszą tu obecnością. życzenie zaś nasze zwiedzenia barki, usposobiło go jeszcze gorzej.

— W jakim celu, ci panowie życzą sobie obejrzeć barkę? — spytał dość szorstko pułkownika Jagodkina. — Tam nie ma do widzenia; obecnie nie wypada nawet panom wchodzić na barkę, bo właśnie robią w niej porządek kobiety.

Pułkownik Jagodkin, pragnąc zadość uczynić mojemu życzeniu, nie zrażony tą odmową, przedstawił nas oficerowi etapowemu i ponowił mu naszą prośbę. Tym razem dopiął swego celu, i wszyscy w towarzystwie owego oficera poszliśmy na barkę. Była to widocznie taż sama barka, która przed dwoma tygodniami oglądaliśmy w Tiumeniu. Wtedy była ona starannie wymyta i desinfekcyonowana, obecnie, wyglądała na męzną, z której przed chwilą wypędzono dzikie zwierzęta; podłogę pokrywała skorupa błota, na którem leżały rozdeptane ogryzki jadła, na zatłuszczonych i zbrakanych narach porozrzucane były strzępy zmiętego papieru, a małe, ciasne klatki z okratowanymi okienkami, wypełnione zaraźliwym powietrzem, przy

słabem świetle pochmurnego dnia, zdawały się rozpowiadać wymownie straszną historię nędzy człowieczej.

Podług urzędowego sprawozdania inspektora traktu zachodniej Syberyi, z ogólnej liczby 10.245 aresztantów transportowanych na barkach w ciągu r. 1882, zachorowało w drodze 278, zmarło 22, a 80 ciężko chorych pozostawiono w różnych przystaniach, lub też odstawiono do Tomsku. Należy tu mieć na uwadze tę okoliczność, że podróż wodą trwa tylko dni dziesięć; w tym więc krótkim przeciągu czasu spotyka transportowanych więźniów tyle wypadków chorób i śmierci! Jeżeli z ludności składającej się z 10.245 osób, w ciągu 10 dni zapada na zdrowiu 278, a umiera 22, to w ciągu jednego roku wypadnie 99% chorych a 10% zmarłych. Zdarza się jednak, że choroby panujące na barkach pochłaniają znacznieszą liczbę ofiar, tak n. p. w r. 1879 zachorowało na barkach pomiędzy Tiumentem a Tomskiem 724 więźniów, z tych zmarło 51; w r. 1871 zachorowało 1140, zmarło 111. Przy takiej śmiertelności, osada licząca 4.000 mieszkańców, w ciągu jednego roku nie miała by jednego żywego człowieka! Dołączona tu tabliczka wykazuje przypadki chorób i śmiertelności, jakim poległy transporta aresztantów w czasie wodnej podróży, od roku 1870—1884. Cyfry te wyjąłem z raportów urzędowych i zaręczam za ich autentyczność.

Daty statystyczne wykazują, że mimo polepszającego się stopniowo stanu zdrowotności na barkach transportowych, choroby i śmiertelność wciąż się zwiększają. Ofiarami śmierci stają się przeważnie dzieci, których nierozwinięty organizm nie jest w stanie zwalczyć warunków szkodliwych życiu a nieodłączonych podróży wodnej. Z przyjemnością przyszło mi się dowiedzieć, że inspektor traktu, jako też miejscowe władze sybirskie, czynią wszystko możliwe dla polepszenia opłakanego położenia wygnaneńców w czasie podróży z Tiumentia do Tomsku.

Barki po każdorazowej podróży bywają jaknajstaranniej myyte i wykurzane, zaś utrzymanie wię-

Rok	Liczba transportowanych		Chorych		Zmarłych		Chorych odstawion.	
	Dorostych	Dzieci	Dorostych	Dzieci	Dorost.	Dzieci	Dorost.	Dzieci
1870	7.444	1.492	1140		85			
1871	8.202	1.214	486		111		301	
1872	7.246	1.098	673		30		70	
1873	7.923	1.090	574		23		190	
1874	8.068	1.269	579		21		196	
1875	7.771	1.301			16		115	
1876	8.878	1.455		121		2	119	24
1877	9.065	1.499		133		2	142	44
1878	8.749	1.688		151		2	216	38
1879	8.977	1.342		154		2	182	39
1880	8.844	1.425		138		4	85	21
1881	9.011	1.452		22		2	71	23
1882	8.832	1.413		77		4	62	18
1883	9.506	1.548		107		4	66	37
1884	9.004	1.688		113		1	67	55
	127.520	20.969	1.598	3.452	1.016	25	286	258
		148.489		7.066			569	2.182

źniów, względnie do funduszków wyznaczonych przez rząd, jest jaknajlepsze. Do oplakanego stanu transportowanych przyczynia się przede wszystkim ciasnota na barkach, której urzędnicy sybirscy nie są w możności zapobiedz. Każdego lata nawożą tu z Rosyi 10—14000 aresztantów, których władze miejscowe są zobowiązane wysłać w ciągu lata dalej na wschód. Barek jest wszystkiego trzy, z których każda, w ciągu czteromiesięcznego okresu komunikacyjnego, może odbyć co najwyżej 8 kursów. W każdej więc musi się mieścić 600—800 ludzi.

W środę 26. sierpnia w dzień oznaczony na przegląd więzienia, zawiadomił mnie pan Pietuchaw, że nie będzie mógł w tej wycieczce uczestniczyć. Towarzystwo nasze składało się z pułkownika Jagdkina, pana Papelajewa, naczelnika bióra transportowego, oficera eksportującego barki transportowe, pana Frosta i mnie. Był to, pomnę, jeden z tych zimnych, posępnych i pochmurnych dni, tak zwykłych pod koniec lata w zachodniej Syberyi, niekiedy ciężkie, nieruchome chmury, jakby łożanym baldachimem rozpinają się nad ziemią, a ostry zimny wiatr od oceanu Lodowatego hula swobodnie po tundrach Ostre, wilgotne powietrze skłoniło nas do przywdziania jesiennej odzieży. Więzienie etapowe w Tomsku, już na pierwszy rzut oka znacznie różniło się od innych, dotychczas znanych nam w Syberyi. Zamiast spodziewanego trzypiętrowego białego budynku z wazkami, sklepieniami w górze oknami, zoczyliśmy coś w rodzaju zimowego obozu żołnierskiego, lub też małego sioła obwarowanego wysokim ostrokołem, przeciw napadom Indyanów. Prócz tablic z napisami, przybitych na budynkach i uzbrojonych sztyldwachów, obchodzących palisadę, nic tam więcej nie znamionowało więzienia. Był to poprostu kilkomorgowy szmat błonia, otoczony wysokim ostrokołem, z po za którego wyglądał szczyt wieżycy cerkiewnej i kilkanaście drewnianych dachów. Dopiero odbijający się o uszy nasze brzęk

łańcuchów oznajmił nam o właściwym przeznaczeniu tej osady.

Zameldowani przez p. Papelajewa oficerowi służbowemu, wkrótce zoczyliśmy podążającego ku nam rządcę więzienia p. Iwanenkę. Powitawszy nas, poprowadził do wnętrza owej osady, składającej się z 12 do 15 parterowych mocno zbudowanych, drewnianych domów.

Pod drzwiami domów stali uzbrojeni żołnierze, po niebrukowanych zaś placach i przesmykach przechadzało się mnóstwo okutych na nogi przestępców i wygnańców. Właściwym więzieniem były tu długie drewniane baraki, pokryte deskami i zaopatrzone okratowanymi oknami, tudzież nader mocnymi i dobrze okutymi drzwiami. Każdy z tych drewnianych budynków zwanych kazarmami przedzielony był w poprzek na dwa oddziały czyli »kamery«. Więźniowie mieścili się w dziewięciu takich kazarmach, z których każda liczyła do 190 osób. Wszystkie kazarmy o ile mogłem zauważyć równe sobie, miały około 75 stóp długości, 40 szerokości i 12 wysokości. Pierwsza z »kamer« przez nas zwiedzonych, mieszcząca w sobie 150 aresztantów, wydała mi się dość widną, ale nadto duszną i gorącą; pod ścianami rozlegały się w okół szerokie, mo ne drewniane nary, na których jednakże mogła się mieścić jedna tylko połowa aresztantów, podczas gdy druga zmuszoną była szukać spoczynku pod narami, lub też na gołej podłodze. Dzięki zapowiedzianej naszej wizycie, podłoga była wymyta; podług słów jednak rządcy więzienia, jest ona zwykle bardzo brudną, a w dnie deszczowe zdeptaną błotem. I na tej to zagnojonej podłodze, pewna część więźniów zmuszoną jest przepędzać całe noce! Wielu z więźniów mając nas za wyższych urzędników przystanych z Petersburga, ośmieliło się naruszać prawo dyscyplinarne więzienne, uskarżając się w obecności rządcy na ciasnotę utrudniającą swobodę ruchów. Przyznawałem słuszność narzekaniom tych nieszczęśliwych i tłumacząc się, że jestem osobą prywatną, współczucie moje dla nich ograniczyć musiałem na słowach.

Przez całą godzinę chodziliśmy z jednego oddziału do drugiego, z jednej celi do następnej. spotykając wszędzie też samą ciasnotę, toż samo obrzydliwe zaduszone powietrze i szaro przyodzianych od stóp do głów, aresztantów Pan Papelajew, który usilnie pragnął pozbyć się nas jaknajspieszniej, oznajmił, że obecnie nie pozostało nam nic już więcej do zwiedzenia prócz kuchni i oddziału chorych, przyczem nie omieszkał dodać, że wzgląd na zaraźliwe powietrze w szpitalu przepełnionym chorymi na tyfus, powstrzyma nas z pewnością od zwiedzenia tej części więzienia. Młody jednak oficer, który dzięki wpływom pułkownika Jagódka, postanowił nas oprowadzić po całym więzieniu, spytał rządcy, czyby nie zechciał poprowadzić nas do »bałaganów«, t. j. namiotów, w których przemieszkawali więźniowie wspólnie ze swymi rodzinami.

— Dobrze — odrzekł rządca — pokażę tym panom wszystko, co sobie tylko życzą zobaczyć.

O »bałaganach«, dotąd jeszcze nie słyszałem, miarkować jednak mogłem, że p. Papelajew, który sam narzucił się nam na przewodnika, nie życzył sobie dopuścić nas do nich, podobnie jak do barek transportowych.

Owe »bałagany« były to trzy niskie, długie namioty, przyrządzone na prędcie z balów swierkowych i pokryte perkalem; miały się tu mieścić wyłącznie kobiety z dziećmi. Pierwszy z nich, do którego weszliśmy, okolony był rowem w połowie zamulonym stałymi nieczystościami, podczas gdy płynna gnojówka, przeciskając się przez wierzch, podmywała ściany. Ponieważ okien tu nie było żadnych, mieszkający przeto tego przybytku nędzy musieli się zadowalać tą maleńką ilością światła dziennego, jaką przepuścić mogła perkalowa osłona. Tak głęboko przemawiająca do serca ludzkiego nędza, jak ta, którą mieliśmy przed oczami, wiecznie pozostanie mi w pamięci. Namiot ten był już nie przepelniony, ale formalnie nabit stami zbiedzonych mężczyzn, wychudłych kobiet i dzieci, co wszystko we wszelkich może-

nych pozach mieściło się na drewnianych narach. Przez szczeliny w dachu przeglądało niebo: podłoga drewniana była na wpół zgniła, a jamy jej przekształciły się w kałuże wypełnione odchodami ludzkimi i możebnymi nieczystościami. Obrzydliwy ten fetor potęgowany był obecnością mnóstwa niemowląt, którym zbywało tu na troskliwej opiece.

W dodatku na wszystkich prawie żerdziach porozwieszano ledwo co wypraną w kociołkach bieliznę, zaś wąskie kurytarzyki zawalone były stosami worków, woreczków, saków, sienników i innych przeróżnych gratów. I w tym chaosie, nieporządku i nędzy, setki ludzkich istot, ściśnionych w ten sposób, że żadna z nich nie mogła się obrócić nie poszturknawszy lub nie nadepnawszy drugiej, czuły się w siłach do krzątania się około potrzeb codziennego życia!

Co najwięcej tu wruszało serce ludzkie, to sama myśl, że kobiety i dzieci, wystawiane na tę nędzę nie dopuściły się żadnego przestępstwa, lecz cierpią za to, że powodowane miłością dla swych mężów, ojców i braci, postanowiły dobrowolnie towarzyszyć im na wygnanie. Wielu z tych nieszczęśliwych zarzucało nas swymi skargami i prośbami.

— Wasza Miłość — odezwał się do rządcy jakiś bardzo stroskany człowiek — nie podolna jest w tej ciasnocie, zimnie, wśród ciągłego wrzasku dzieci, przez całą noc zmrużyć nawet oka: czy nie można by temu zaradzić? — Nie bracie — odpowiedział rządca przyjacielsko, — nic ci tu nie poradzę; nie zadługo wyszła cię dalej, wtedy będzie ci lepiej. — Dałby Bóg — westchnął biedny człowiek, zwracając smutny wzrok ku swej żonie i córeczce siedzącej obok na narach. — Ojczulku, mój dobrodzieju! — zawołała wybladła kobieta z niemowlęciem przy piersiach — na miłość Boga, pozwól mi z moim biednym robaczkiem przenocować w bani. — Nie mateczko, tego pozwolić ci nie mogę — odpowiedział rządca, — tutaj ci będzie lepiej spać niż w bani. — Wiele innych kobiet zwróciły się z tą samą prośbą do rządcy, i również odmowną otrzymały

od niego odpowiedź. Spytałem wreszcie owego rządcę zdającego się być dość dobrym człowiekiem, dla czego wzbrania tym kobietom z dziećmi nocować w bani; wszakże w namiotach zimno i dym nie dają im zmrzyć oka. — To jest niemożliwym, — odrzekł rządcą, — powietrze w bani jest nadto gorące i wigotne. Doświadczenie przekonało mnie, że skutkiem zbytniego gorąca i wilgoci w bani umierało każdej prawie nocy po dwoje niemowląt.

Wychodząc z »bałaganu« natknęliśmy na pana Papelajewa, rozmawiającego wcale ostro z jakimś wygnańcem, około 35 lat liczącym, dorodnym blondynem, na twarzy którego malowała się rozpacz i zuchwałość. — Przez cały już miesiąc chodzę w jednej koszuli, bo mi nie chcą wydać drugiej — mówił wygnaniec drżącym głosem, — ta zaś brudna, podarta i pełna plugastwa.

— Skoro cię będą wysyłać dalej, — odpowiedział p. Papelajew chłodno i z pogardą — wtedy dadzą ci inną koszulę. — Kiedyż to będzie? — spytał wzburzony do głębi wygnaniec. Może za jakie trzy miesiące. — Bardzo być może — ironicznie oznajmił p. Papelajew, a widząc nas podchodzących, usiłował swą złość pohamować. — Więc pan chcesz, ażebym chodził w jednej koszuli, dopóki z ciała mi nie opadnie! — zawołał w uniesieniu zrozpaczony wygnaniec. — Milcz! — wrzasnął p. Papelajew, nie mogąc dalej opanować swej złości — jak śmiesz w ten sposób odzywać się do mnie! Ja cię potrafię poskromić. Skoro będziesz stąd wychodził, wtedy dadzą ci inną koszulę. Ruszaj precz! Twarz wygnańca oblekła się rumieńcem gniewu, ale za panował nad sobą i spokojnie skierował się do »bałaganu«.

— Jak długo te kobiety z dziećmi przebywać będą jeszcze w bałaganach? Spytałem rządcę więzienia. — Do drugiego października — odpowiedział. — A gdzież stąd pójdą? — Wzruszył ramionami i zamilczał.

Skierowaliśmy się znów ku barakowi, zamieszkałemu przez kobiety. I tu panowała też sama nędza co w »bałaganach« z tą chyba tylko różnicą, że

w drewnianych ścianach cieplej było, niż pod płótnem. Mieszkańcy tego baraku, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszystko to w przeróżnych postawach kupiło się w środku izby i po jej zaułkach, a ścisk panował tu taki, że na podłodze nie było wolnej i jednej stopy kwadratowej. Przesycony widokiem strasznej nędzy, poprosiłem rządcę, by nas poprowadził do szpitalu mieszczącego się w osobnym drewnianym budynku, obok cerkwi. Na wstępie spotkaliśmy się z Dr. Orzeszko, Polakiem, człowiekiem bardzo ludzkim i dobrodusznym.

Szpital tutejszy różnił się od tiumeńskiego więziennego, chyba tem tylko, że zajmował cały budynek i schludniej był utrzymywany. — Pierwotnie przeznaczony był dla 50 chorych, obecnie mieścił 150 łóżek, a prócz tego przynajmniej 50 pacjentów leżało na tapczanach i ławkach. W czasie naszych nawiedzów znajdowało się w szpitalu tomskim 193 chorych, z których tyfusem dotkniętych było 71. Mimo natłoku wszystko utrzymane było schludnie; pościel wszędzie świeża, a powietrze nie tak złe, jak w Tiumeniu. Tabliczki zawieszane przy łóżkach, wykazywały, że najczęściej rozwiniętymi tu chorobami są: tyfus, szkorbut, krwawa biegunka, reumatyzm, anemia i zapalenie oskrzeli. Pomiędzy pacjentkami widziałem wiele osób młodych w wieku od 25 do 35 lat, należących widocznie do lepszego towarzystwa; zdaje się, że to były studentki medycyny.

Obszedłszy, w miarę możliwości całe więzienie i podziękowawszy rządcę, panu Iwanence, za grzeczne przyjęcie i jego otwartość, powróciliśmy do hotelu. Długo zasnąć nie mogłem tej nocy, mając wciąż na myśli ową osadę więzienną, a gdy nad rankiem zdrzemnąłem się trochę, przesuwali się wciąż przed moimi

*) W czasie mego powrotu dowiedziałem się, że w październiku przewieziono 200 kobiet z dziećmi do jednego z domów, wynajętego w samym mieście, zaś 1.000 do 1.500 aresztantów, pomieszczono w dwóch więzieniach miejskich. Do chwycenia się tych środków ostrożności skłonił tamtejsze władze grasujący w więzieniu deportacyjnym, tyfus.

oczami widma trupów niemowląt, przepelnione bałagany, i wymowne twarze pacjentek w szpitalu więziennym.

Dla uzupełnienia czytelnikowi obrazu okrutnej, bezprzykładnej nędzy ludzkiej, w którą pogrąża system deportacyjny tak wielką liczbę ludzi, uznaję niezbędnym dorzucić tu jeszcze słów kilka o stanie etapowego więzienia w Tomsku, w jakim je zastałem w dwa miesiące później.

Podczas mego powrotu z wschodniej Syberji, w miesiącu lutym, miałem długą rozmowę w tym przedmiocie z Dr. Orzeszko. Dowiedziałem się, że po naszym wyjeździe, liczba chorych z każdym dniem rosła, co przyczyniało się znacznie do pogorszenia dotychczasowego stanu więzienia. — Niepodobieństwem jest — mówił on — abyś pan mógł sobie wyrobić należyte pojęcie o tem, co tu się działo w listopadzie. Mieliśmy w ciągu roku 2.400 przypadków słabości, jednocześnie zachorowało 450 osób, zaś łóżek wszystkich w szpitalu było tylko 150. Trzystu śmiertelnie chorych mężczyzn i kobiet leżało pokodem na ziemi w tak ściśniętych rzędach, że niepodobna było pomiędzy nimi się przesunąć. Żaden z nich nie mógł kaszlnąć lub pluć, nie dotknąwszy swego sąsiada. Powietrze w szpitalu było tak dalece zepsute, że podczas moich rannych wizyt niejednokrotnie omdlewałem. Ażeby choć trochę oczyścić powietrze, kazałem otwierać okna w początkach nawet zimy, co pociągało za sobą takie obniżenie temperatury, że termometr w izbach zaległych chorymi, pokazywał w dole 5° do 6° R. Z ogólnej liczby więźniów odchorowało 25%, a zmarło 10% *).

*) Z raportu inspektora traktu okazuje się, że liczba chorych zwiększa się w stosunku do przepelnienia więzienia.

1885	Zachorowało przecięciowo dziennie	Ilość uwiezionych wyrażona w odsetkach
Czerwiec	108	5.8
Lipiec	170	6.9
Sierpień	189	7.1

— Od jak dawna — spytałem, — szpital tutejszy znajduje się w tym okropnym stanie? — Jestem tu już lat 15, — odpowiedział Dr. Orzeszko, — a od tego czasu, prawie nic się nie zmieniło *).

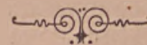
— Czy władze wyższe w Petersburgu są o tem zawiadomione? — Corocznie składamy raporta; ażeby raz już położyć koniec złemu, radziłem, cały ów szpital przesiąkły nawskróś zarazą, spalić ze szczętem. Sporządziliśmy plan nowego szpitalu więziennego, jednakowoż nie zatwierdzono go i dotychczas wszystko zostaje po dawnemu.

Szczere to oświadczenie Dra Orzeszki nie potrzebnje żadnych komentarzy. Polegając na tych słowach, można w imię cywilizacji i ludzkości wnosić zażalenia przeciw oplakanemu stanowi etapowego więzienia w Tomsku.

Wrzesień	242	9.6
Październik	356	15.4
Listopad	406	23.2

Ilość chorych wzrasta w zimie, a w miesiącu marcu dochodzi do najwyższego punktu, t. j. do 40.7% ogółu więźniów. Raport inspektora traktu za r. 1885 str. 30 rękopismu.

*) Podług raportu Oddziału lekarskiego ministerjum spraw wewnętrznych, w ciągu r. 1882 znajdowało się w więzieniu w Tomsku 1.268 ludzi, dotkniętych tyfusem, a 1.311 dyfterją.



VII.

Wygnańcy polityczni i zwykli przestępcy
w Tomsku.

W jaki sposób uzyskaliśmy wstęp do więzienia? Jak nam udało się wejść w stosunki znajomości z wygnańcami politycznymi, oraz przejrzeć mnóstwo wykazów urzędowych i innych dokumentów? Czy zamiary nasze mogły władzom miejscowym być wiadome, co ich skłoniło do patrzenia zamkniętem okiem na podjęte w tym kierunku nasze zabiegi i czynności? Te i inne podobne zadania, stały się przez czas długi po powrocie moim do kraju, przedmiotem głębszej mojej rozważki. Po dziś dzień nie jestem w stanie dać na to wszystko wyczerpującej odpowiedzi, gdyż nieznane mi są instrukcje, wydane władzom sybirskim co do naszego przejazdu przez Syberję, obcym mi również jest sposób zapatrywania się tych władz na naszą ówczesną tam działalność. Wykazując naszą taktykę i środki ostrożności, podjęte w celu odwrócenia od siebie podejrzania władz miejscowych, nie mogę zarazem przemilczeć powodów skłaniających te władze do zajęcia wobec nas stanowiska bynajmniej nie nieprzyjaznego.

Zdawało mi się najpierw, że wysokie władze w Petersburgu, których prosiłem o udzielenie mi pozwolenia do zwiedzania więzień etapowych i zapoznania się z systemem deportacyjnym, rozważając bliżej tę sprawę zdecydowały, że niewłaściwe, a nawet nierozsądnie byłoby ukrywać przed cudzoziemcem to, co

się dzieje w Syberji. — Rozumowano sobie: żaden Amerykanin ani Europejczyk z Zachodu, podejmując tak daleką podróż, nie poprzestanie na pobieżnym przeglądzie więzień i systemu deportacyjnego, lecz rozpatrywać będzie tę sprawę jak najgruntowniej. wszelkie zaś stawiane ze strony naszej przeciw tym badaniom przeszkody, wprowadzą nas w podejrzenie o ukrywanie prawdy. Pan Kennan należy do rzędu badaczy nam przychylnych, czego już dał dowody, występując publicznie w Nowym-Jorku w charakterze obrońcy rządu rosyjskiego przeciw napadom nihilistów. Przypuszczać należy, że i obecnie podjął on podróż po Syberji, wyłącznie w celu zebrania faktów utwierdzających go w dobrej opinji o rządzie rosyjskim. W obec takich okoliczności nie należy przesądzać stanu rzeczy, i mieć to jeszcze na uwadze, że z misji takiej korzystniej się wywiąże cudzoziemiec niżeli krajowiec*). Sprawozdanie pana Landsdella o zakładach karnych w Rosyji wypadło na korzyść rządu, przeszłość zaś pana Kennana każe nam mniemiac, że on w swej życzliwości dla nas, pójdzie tą samą drogą. Opisy podróży tych panów zaspokoją ciekawość cywilizowanego Zachodu, a rezultaty ich badań zamkną usta pokątnym naszym krytykom i oskarżycielom. Skoro angielski duchowny i amerykański publicysta po zbadaniu rzeczy na gruncie, nie dopatrzą w systemie de-

*) Zaufanie, jakim obdarzył mnie pan Vlangelli, sekretarz ministra spraw zagranicznych, podlegało bezwątpienia na znanym mu moim odczycie o Syberji, wygłoszonym w amerykańskim towarzystwie geograficznem, w obronie rządu rosyjskiego. W rozmowie naszej p. Vlangelli chciał się upewnić o moim sposobie zapatrywania się na tę sprawę. Nie przyrzekałem ja mu wprawdzie, że zajmę stanowisko obrońcy rosyjskiego rządu, zapewniałem go wszakże, że zamiarem moim nie jest bynajmniej opracowanie jakiegoś sensacyjnego traktatu, nadmieniając zarazem, że podług mojego zapatrywania system wygnania przedstawiają w złem nadto światło, że wreszcie opis rzetelny istotnego stanu rzeczy zwróciłby na siebie uwagę świata cywilizowanego i prawdopodobnie wypadłby na korzyść rządu rosyjskiego. Takie było ówczesne moje wewnętrzne przekonanie, dla tego też obecnie nie poczuwam się do żadnej winy.

portacyjnym nie tak gorszącego, to z pewnością wyrok ich znajdzie uznanie u szerszej publiczności. Baczając na to, pozwolimy pp. Kennanowi i Frostowi zwiedzić Syberję, opatrzymy ich nawet listami polecającymi, co się tyczy jednak oględzin więzień, to rzecz tę pozostawiamy do uznania władz miejscowych sybirskich.

Należałoby jeszcze mieć na względzie nieprzychylnie usposobienie tych panów dla rządu, jakiem natchnąć ich mogą osiedleni w Syberji przestępcy polityczni, obawy te jednak w obec już złożonych przez tych panów dowodów życzliwości, — zdają się być płonnymi; od należytego jednak zabezpieczenia się od skutków tych nieprzyjaznych wpływów, poszliśmy ich do p. Katkowa, który zdolnościami swymi i wymową z pewnością potrafi utrzymać ich na przyszłość w dobrej o rządzie opinii (Gdyby jednak panowie ci zaczęli wchodzić w nadto ścisłe stosunki z przestępcami politycznymi to postaramy się zapobiedz złemu, oddaniem ich pod nadzór policji).

Te moje domysły co do podobnego rozumowania władz w Petersburgu, uzasadnia w części zachowanie się w obec nas organów rządowych w Syberji. Niemal na każdym kroku wpadło w oczy, że władze sybirskie otrzymały tajemne upoważnienie ułatwiania lub też utrudniania nam wstępu do więzień, a to względnie do własnego ich sposobu zapatrywania się na tę sprawę.

Dla nas było też rzeczą doniosłego znaczenia zjednać sobie zaufanie u tych władz, a natomiast unikać tego wszystkiego, cokolwiek nas mogło wprowadzić w podejrzenie o współnictwo z wygnańcami politycznymi. Z liczby miast, przez które przejeżdżaliśmy, przynajmniej dziewięć dziesiątych łączyła z Petersburgiem komunikacja telegraficzna. Gdyby tylko policji udało się wysledzić, że celem naszych zabiegów jest bliższe zbadanie systemu deportacyjnego i dla dopięcia tego celu nadużywamy położonego w nas zaufania, wykazywania się w różnych miejscowościach jednymi

i temiż samymi listami polecającymi, wtedy niezawodnie telegrafowanoby do ministra spraw wewnętrznych; »Kennan i Frost wszędzie zawiązują stosunki z wygnańcami i przestępcami politycznymi. Czy życzeniem rządu jest im na to pozwolić?« Jaką by dano odpowiedź na podobny telegram? Najprawdopodobniej poleconoby mieć się na baczności, albo też wziąć nas pod ścisły nadzór, coby znów paraliżowało nasze zamiary. Listy polecające, jakimi nas obdarzono w Petersburgu, mogły służyć nam tarczą przeciw samowładnemu występowaniu miejscowych władz sybirskich, nie ulega jednak wątpliwości, że władze te z polecenia wyższego, mogły nas aresztować w każdej chwili. To też linia telegraficzna od roku już ciężyla nad naszymi głowami jakby elektryczny miecz Damoklesa, który nagle miał zniweczyć wszystkie nasze zamiary.

Do samego Uśc - kamienogórska nie doznawaliśmy żadnych przeszkód ze strony policji, a nasze znajomości z wygnańcami politycznymi nie zwracały jej uwagi. Obecnie, będąc w posiadaniu wcale poważnej liczby listów i różnych dokumentów, których konfiskata pociągnęłaby za sobą kompromitację wielu osób, wzięliśmy sobie za główne zadanie, w rozmowie naszej z osobami urzędowymi wystrzegać się tego wszystkiego, cokolwiek dotyczyło polityki, a natomiast podtrzymywać z nimi jaknajlepsze stosunki. Unikanie policji, jakby przez obawę, zdawało mi się największym błędem; owszem, śmiałe zachowanie się wobec władz było nie tylko właściwem, ale koniecznem; dla tego też po przybyciu do każdej wioski i miasteczka, na samym wstępie starałem się odszukać »isprawnika« lub którego z starszych urzędników, i zawiązując pierwszy rozmowę o tem, co leżało w obrębie naszej działalności, odrazu nie dopuszczałem go do jakichkolwiek szkodliwych nam domysłów. Obeznanii już przód przez wygnańców politycznych, z kolejami życia, usposobieniem a nawet przywyczkami każdego niemal urzędnika, bez trudności mogliśmy być od razu panami sytuacji. — Zachowanie się nasze

w obec urzędników nam obcych, nacechowane było obojętnością, podczas gdy z tymi, z których przeszłością byliśmy obeznani, wchodziliśmy w długie pogawędki, dzieląc ich sposób zapatrywania na rzeczy, ukrywając się z tem wszystkim, co nie przypadło im do smaku. Postępując w ten sposób, wyrabialiśmy sobie jaknajlepszą opinię; miano nas za ludzi wytwornych ale zarazem bystrych badaczy, jak to było w istocie. Wzięliśmy sobie za obowiązek nie odwieżdżać inaczej urzędników, jak tylko w pełnej gali, co miało być dowodem hołdu i uznania; w wielu razach należało się z nimi raczyć gorzałką; oddawaliśmy ich żonom należyte honory; pan Frost portretował dzieci jednym słowem, zjednywaliśmy sobie powszechny szacunek i uznanie, dzięki czemu mogliśmy po kilka dni przebywać po wsiach, nie budząc żadnego podejrzenia.

Dalszem naszym zadaniem było podtrzymywanie stosunków ze starszą policyjną; szło tu nie tylko o odwrócenie podejrzenia ze strony prostodusznych strażników, ale także o wyrobienie sobie opinii u mieszkańców, iż jako ludzie nauki interesujemy się przeważnie rozwojem oświaty. W tym celu nie pominęliśmy żadnej prawie szkoły ludowej, wpytując się skwapliwie nauczycieli wiejskich o różne szczegóły, dotyczące oświaty, przemysłu, ruchu handlowego, które to wszystkie relacje wpisywane były w ich oczach do naszych podróży notysek. Ta przebiegła manipulacja była moim udziałem, podczas gdy pan Frost zajęty był zwykle zdejmowaniem krajobrazów, zbieraniem ziół, łapaniem motyli, uczył pocztmistrzów i włościan geografii, kosmografii, wykladał początki astronomii pokazując na niebie główne planety i w ogóle różnymi popularnymi gawędami zaprzętał ich uwagę. Misya ta sprawiała p. Frostowi wielką przyjemność a zarazem kładła tamę przeróżnego rodzaju domysłom i podejrzeniom, które budzi w umysłach niezaspokojona ciekawość. Dzięki podobnemu kierunkowi rzeczy, wszyscy uważali nas za ludzi wiedzy, podejmujących podróż po

Syberji w celach wyłącznie naukowych, oddanych przeważnie sprawie oświaty ludowej, sztuce i naukom przyrodniczym. Uchylając się tym sposobem od podejrzenia policyi, jako też ludu wiejskiego, mogliśmy już bezpiecznie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, ruszać się swobodnie, poświęcając każdego wieczora po godzin kilka wygnańcom politycznym. A jeżeli kiedy nawet który z włościan zoczył nas przestępujących progi chaty wygnańców, to nawiedzinom tym naszym przypisywano cele wyłącznie naukowe. W miarę posuwania się ku wschodowi, gdzie polityczni pozostają pod baczniejszem okiem policyi, zmuszeni byliśmy, względnie do okoliczności, zmieniać naszą dotychczasową taktykę; wszędzie jednak zachowanie się nasze zaznaczało się stanowczością i pewnością siebie, wszędzie pierwsze nasze kroki zwrócone były ku władzom wyższym, właściwem zachowaniem się jednaliśmy ich sobie, zaś odpowiednim kierunkiem rozmowy utrzymywaliśmy ludzi w tem przekonaniu, że cel podróży naszej po Syberji jest ściśle naukowy. Rozumie się, że stosunki nasze z wygnańcami politycznymi nie mogły być dla policyi zupełną tajemnicą, jednakowoż o ile mi wiadomo, żaden z urzędników nie przeczuwał nawet, jakiego znaczenia były te stosunki i do jakich dochodziły rozmiarów. W każdym razie czuliśmy się zabezpieczonymi od ciosów owego telegraficznego miecza Damoklesowego, i dopiero w ziemi zabajkalskiej spotkała nas niespodziana nauka.

W badaniach naszych nad systemem deportacyjnym, przyjmowało czynny udział wielu wykształconych urzędników, którzy nie małą przynieśli nam tu pomoc. Niektórzy z nich z prawdziwem zadowoleniem wtykali wadliwe strony systemu deportacyjnego i metody karnej, wykazując w całej nagości szereg praktykowanych nadużyć, oszukaństw i gwałtów. Ta ich śmiałość, otwartość w zwierzaniu się cudzoziemcowi, wprowadzała mnie nieraz w zdumienie.

— Rozpatrywanie systemu wygnania, jest główną moją rozrywką — odezwał się raz do mnie pewien

wysoki urzędnik Oddziału więziennego, — nie mam powodu uskarżania się na moją pensję i stanowisko, podziękowałbym jednakże za pierwsze i drugie, gdyby raz już zniesiono ów cały system wygnania. Jest on nieszczęściem dla Syberyi, zgubą dla przestępców i przyczyną niewystowionej nędzy; ale cóż robić? Wszyscy zapatrujemy się tak samo na tę kwestję, nie możemy jednak przekonań naszych wyjawiać oficjalnie, bo by nas pociągnięto do sur wej odpowiedzialności; doświadczenie nauczyło że najlepiej milczyć.

— Napatrzyłem się do syta nadużyciom i ludzkiej nędzy — mówił inny urzędnik — a zapobiedz złemu nie jestem wcale w stanie, albo tylko bardzo mało. Może pan podając to wszystko do publicznej wiadomości, przyczynisz się choć czemkolwiek do poprawy; psa nie należałoby trzymać w naszych więzieniach a cóż dopiero człowieka; od roku proszę i dopominam się o wystawienie nowego budynku więziennego, a rezultatem tego wszystkiego, jest chyba zwój zabazgranej bibuły.

Toż samo słyszałem z ust kilku dziesiątek urzędników i oficerów służbowych, z których wielu dostarczyło mi ważnych w tej sprawie dokumentów i wykazów statystycznych. Co się tyczy wygnańców politycznych, to na tem polu mych badań wsparty zostałem dobrą wolą wielu osób sprzyjających liberalnemu ruchowi politycznemu. W pewnem mieście bywałem sam na zebraniach socyalistów, odbywających się w mieszkaniach prywatnych. Na zebraniach tych uczestniczyło wielu członków rady miejskiej, kilku oficerów i wszyscy wygnańcy polityczni; oficerów łączyły stosunki najserdeczniejszej zażyłości z wygnańcami, rozmawiano otwarcie z całą swobodą, śpiewano pieśni zakazane. W wielu innych miejscach w Syberyi spotykałem się również z podobnymi objawami »niebłagonadiożności«, a po powrocie z Rosyi azjatyckiej, w Petersburgu miałem do czynienia z urzędnikami przychylnymi dla przestępców politycznych; ci pierwsi

dostarczali mi odpisów ważnych papierów i dokumentów. Łatwo pojąć, że gruntowne nawet zapoznanie się z systemem deportacyjnym nie przedstawia wiele trudności, jeżeli usiłowania badacza wsparte są pomocą doświadczonych urzędników i obywateli, a zwłaszcza wtedy, jeżeli dążeniem tych ostatnich jest wyświecenie prawdy w obec całego świata. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, byli roztropni, dobrej woli, zajmujący się sami zbieraniem materyałów od wygnańców politycznych.

W Tomsku spotkałem się po raz pierwszy z politycznymi, zasądzonymi na wygnanie za szerzenie propagandy w latach 1872—1875, a nazywanych mylnie rewolucjonistami. W zasadach swych mało oni różnili się od wygnańców administracyjnych w Ulbińsku, Siemipałatyńsku i Uśc-kamienogórsku. Jeden z nich gorliwy publicysta Czudnowski, człowiek około 35 lat liczący, opowiadał mi, że aresztowano go po raz pierwszy 19-letnim studentem, od którego to czasu po dzień nie rozstawał się z więzieniem i wygnaniem. Trzymano go w charakterze podsądnego przez lat 4, miesięcy 3 w fortecy Piotro-pawłowskiej, gdzie za protest przeciw dokonywującym się na nim nadużyciom i gwałtom, wsadzano go do wilgotnej ciemnicy. Wtedy zaczął się morzyć głodem, i dopiero opinia lekarza o groźącym mu niebezpieczeństwie, skłoniła komendanta fortecy Bogorodzkiego do wyzwolenia go z podziemnej kaźni i zwrócenia zabranych mu materyałów piśmiennych. Wreszcie włączony w r. 1878 do partii »193« oskarżonych »o rozpowszechnienie wzbronionych książek«. p. Czudnowski został skazany na 5 lat ciężkich robót i pozbawienie wszystkich praw stanu. Sąd uwzględniając przeszło czteroletni pobyt p. Czudnowskiego w więzieniu śledczem, uchwalił wnieść prośbę do cara o zamianę rzeszonej kary, dożywotniem wydaleniem go do zachodniej Syberyi*),

*) Uchwała sądowa w procesie »193« paragraf 5. 11 i 16. Odpis urzędowy tego dokumentu znajduje się u mnie.

Z wyjątkiem Czudnowskiego, który zachował w pełni siły fizyczne i moralne, wszyscy inni wygnańcy zdawali mi się bardzo sponiewierani na zdrowiu wieloletnim więzieniem, a następnie życiem na wygnaniu. Zwyciężając wszelkie przeszkody, Czudnowski niezmordowanie pracował wciąż na polu naukowym, aż wreszcie dobił się odpowiedniego sobie zajęcia i stanowiska. On to jest autorem wybornego i starannie opracowanego dzieła »Historia rozwoju szkolnictwa w Syberji« wydanego w »urzędowym roczniku« w r. 1885 w gubernii tomskiej; odbył on, z polecenia »cesarskiego towarzystwa geograficznego sybirskiego« dwie wyprawy naukowe w góry altajskie; należy do najgorliwszych współpracowników czasopism rosyjskich, a dzieło jego o gubernii Jenissejskiej, zostało uwieńczone nagrodą przez radę miejską w Krasnojarsku.*) Czudnowski w każdym innym państwie byłby bardzo pożytecznym człowiekiem i przyniósłby zaszczyt swej ojczyźnie; niestety urodził się w Rosyi, gdzie dołą jego było więzienie i wygnanie.

Do wybitniejszych osobistości zamieszkałych czasowo w Tomsku, zaliczyć należy p. Konstantego Stanjukowicza, wydawcę i właściciela czasopisma »Dielo«. Koleje życia tego literata podałem już w krótkości w rozdziale poprzednim »Wygnanie porządkiem administracyjnym«. Pan S. jest ścisłym i bystrym badaczem życia publicznego w Rosyi, uzdolnionym nowelistą, obiecującym dramaturgiem; jednym słowem, człowiekiem wybitnych zdolności i pełnym energii. Małżonka jego, kobieta niezwykle wykształcona i utalentowana, włada wybornie językiem angielskim. Prócz dorosłej już córki, 17 letniej, urodziwej panienki, państwo Stanjukowiczowie mieli wówczas jeszcze kilkoro drobnych dzieci. Najprzyjemniejsze wieczory spędzaliśmy w ich szczupłym, ale wygodnie urządzonej mie-

*) »Gubernia Jenissejska, studjum statystyczne i narodowo-ekonomiczne« S. Czudnowski str. 195. W drukarni gazety sybirskiej. Tomsk 1885 r.

szkaniu. Częstoć śpiewaliśmy z panną Stanjukowicz do samej północy przy akompaniamencie ks. Krapotkina, rozmawialiśmy o rządzie rosyjskim i systemie deportacyjnym, lub przypominaliśmy sobie wrażenia, wyniesione z Londynu, Paryża, Berlina, Nowego-Jorku i San-Francisko. Państwo Stanjukowiczowie przejechali wzdłuż i w szerz całe prawie Stany zjednoczone, mieliśmy tedy wspólnych naszych znajomych i wspólne wspomnienia. Obecnie p. Stanjukowicz usiłował zdobyć sobie pracą literacką środki niezbędne do otrzymania swojej rodziny, a żona jego dla ulżenia mężowi troski o chleb powszedni, udzielała lekcji muzyki. Skazani oni byli na trzyletnie wygnanie, i jeżeli rząd nie przedłuży oznaczonego im terminu wygnania, to kartki niniejsze powinny ich dojsć, jako ludzi wolnych.

Najsympatyczniejszym i najbardziej pociągającym z wygnańców osiedlonych ówczesnie w Tomsku, był dla mnie rosyjski pisarz. Feliks Wołchowski, skazany w r. 1878 na dożywotnie osiedlenie w Syberji, za czynny udział w »tajnem stowarzyszeniu, mającem na celu zniwaczenie« — w bliższej lub dalszej przyszłości — »głównych podstaw istniejącego ustroju państwowego«. Ówczesnie Wołchowski mógł liczyć około 38 lat. Był to człowiek zdolny, uczuciowy a przytem bardzo czynny; władał językiem angielskim, posiadał dokładną znajomość amerykańskiej historii i literatury, miał przytem szczególniejsze uznanie dla Longfellowa, którego poematy przełożył na język rosyjski. Życie tego ze wszech miar zacnego człowieka było szeregiem wielkich nieszczęść i cierpień. Wieloletnie więzienie w fortecy Piotro-pawłowskiej zrujnowało ze szczerem jego zdrowie, wyszedł z niego z posiwiałym włosem, a w ciemnych oczach jego, w godzinach zadumy mieszkał zawsze smutek. Poznawszy go na wskroś, pokochałem tę zacną duszę; żegnając się też ze mną po raz ostatni w czasie powrotu mego z wschodniej

Syberyi ucałował mnie i powiedział: Jerzy, nie zapominaj o mnie: zabierasz z sobą część mego życia*).

Od czasu powrotu mego do Ameryki raz tylko doszła mnie wiadomość o p. Wołchowskim. Ostatniej mianowicie zimy otrzymałem niewypowiedzianie przykry i wzruszający list, zawiadomijający o samobójstwie jego żony. Wątpiła ta, sterana wieloletnim więzieniem kobieta z oczami tęsknymi, wyrażającymi ból wewnętrzny, resztkami sił pomagała mężowi utrzymywać rodzinę, zwłaszcza gdy rząd, zawieszając wydawnictwo wolnomysłnej »gazety sybirskiej« pozabawił go jako współpracownika, ostatniego kawałka chleba. Ciągłe jednak trudy i troski, tak dalece zrujnowały jej zdrowie, że czując się więcej zawadą niż pomocą tym, których tak kochała, wystrzelałem z pistoletu odebrała sobie życie. Zgon jej był strasznym ciosem dla kochającego ją serdecznie męża. — W liście swym, wspominając

*) Zimą 1884 r., powracając z wieloletniej mojej poniewierki przez Tomsk, na wstępie zostałem tam aresztowany i uwięziony. Dowiedziawszy się o tem, Wołchowski z kolegą swym Mokiejowskim udali się bezzwłocznie do gubernatora p. Krasowskiego prosząc go usilnie o wyzwolenie mnie. Miarą uznania gubernatora dla wspomnianych wygnańców politycznych, może posłużyć fakt, że p. Krasowski czyniąc zadość ich życzeniu, o północy zwołał nadzwyczajną radę gubernialną, która uchwaliła wypuścić mnie z więzienia za ich słowną poręką. Przemieszkując w Tomsku około dwóch tygodni, miałem sposobność poznać bliżej Wołchowskiego i jego rodzinę. Wysoko wykształcony ów człowiek, łączył w sobie tyle przymiotów duszy, że nawet wrogowie jego polityczni — bo osobistych mić nie mógł, — dawali mu dowody szacunku i uznania. Śmierć jego żony, owej ofiary tyranii rządu, osoby, która swem wykształceniem, słodyczą charakteru, mrówczą pracą i bezprzykładną rezygnacją głęboko się wryła w pamięć każdego, kto choć na krótką chwilę gościł w domu państwa Wołchowskich, — dotknęła mnie do głębi duszy... Przez dni wiele i nocy wiele, miałem wciąż przed oczami tego zacnego człowieka, przesytego mieczem boleści... Z prawdziwą też radością powitałem wiadomość, że Wołchowski, któremu ułatwiono w tym roku ucieczkę z Tomsku, znajduje się obecnie na wolnej ziemi amerykańskiej, gdzie wspólnie z czciogodnym autorem »Syberyi« głosił publicznie prawdę, czego mu na ojczystej ziemi wzbroniono. (Przypisek tłumacza).

o nadesłanych mu przezemnie poezjach James Russel Lowella wyraża się, że poemat »po pogrzebie«, tak żywo stawia mu przed oczami duszy tożsamość bólu i smutku we Wszechświecie, że osierocony amerykański mąż zjednał sobie u swych rossyjskich towarzyszy po muzie, niezatartą pamięć i najgłębsze współczucie. W liście tym znajdowało się pudełeczko do zapalek, upominek ks. Aleksandra Krapotkina od brata swego Piotra, które Wołchowski odziedziczywszy w spadku, nadesłał mi obecnie. Mniemał on, że owa pamiątka po czterech znanych mi złoczyncach politycznych, nie będzie dla mnie bez wartości. Ówczas, z czterech braci Krapotkinów jeden był na emigracji w Londynie, drugi na wygnaniu w Tomsku, dwóch zaś pozostałych wyzwoliło się z pod żelaznej ręki rossyjskiego rządu, — samobójstwem.

Chciałem przeczytać list Wołchowskiego mojej żonie., gdy mi jednakże stanęła w pamięci szlachetna jego postać, kiedy pomyślałem jak straszny cios dotknął znowu tego człowieka, którego życie było do dotychczas pasmem samych tylko nieszczęść, — gdy zobaczyłem go tułaczem, z skrwawionem sercem, ogołoczonego z wszelkich nadziei, — wówczas głos mój stłumił cisnące się do oczu łzy.

Car jest nadto potężny, by nie mógł takich ludzi jak Feliks Wołchowski, katować i zatracać w lochach fortecznych, lub też zgnębionych, z przedwcześnie zbiedlonym włosem, gnać przebranych w aresztanckie chałaty, jak zbrodniarzy, po stepach i puszczech sybirskich. Przyjdzie jednak czas, gdy imiona ich, inaczej niż jego, zapisane będą na kartkach dziejów, bo pamięć tych ludzi będzie źródłem z którego wszyscy kochający wolność i ojczyznę Rosyjanie, natchnienie do czynów bohaterskich, czerpać będą!

W Tomsku doświadczyliśmy po raz pierwszy owego wyteżenia nerwowego, jakie wywołuje widok ogromu nędzy i nieszczęścia człowieczego. Dotychczas podróżując po południowo-zachodniej Syberyi pobocznym tylko gościńcem, spotkaliśmy się z wygnań-

cami politycznymi, których dola, o ile zauważyć mogłym, nie była jeszcze tak dalece opłakana. W ogóle wygnańcy w Siemipałatyńsku, Uśc-kamienogórsku, i Ulbińsku prowadzili życie dość znośne. W Tomsku dopiero znaleźliśmy się u samego źródła męczeństw i tragiczności. Potęgujące się wciąż wzruszenia nasze moralne, wyniszczające nie równie więcej organizm niż zimno, głód i wszelkie niewygody podróży, nie odstępowały nas, do samego Petersburga. Któż bo mógłby patrzeć obojętnie na straszną nędzę ludzką, której widownią były »bałagany« i szpital w Tomsku, - albo też nie uczuwać się wzruszonym do głębi duszy opowiadaniem politycznych przestępców w Tomsku, Krasnojarsku i ziemi zabajkalskiej? Przypominam sobie w wschodniej Syberii, pewną wybladłą, wynędzniałą, bliską śmierci wygnankę polityczną. Nalegała ona na mnie bym zechciał przysłuchać się kolejom jej życia; uczyniłem jej życzeniu zadość, chociaż rzekłbym się chętnie wszystkim, byle tylko oszczędzić jej strasznej męki i rozpaczliwej gry uczuć, jakimi nabawiała ją wspomnienia z przeszłości. Ja składam świadectwo prawdziwie; z ust moich powinien świat się dowiedzieć o tych strasznych mękach, które przetrwali Rosyianie zanim stali się terrorystami; jam się przysłuchiwał opowiadaniom przerywanym łkaniem i gorzkimi łzami! Po każdym takim przejściu — a było ich dosyć — nie spotkałem się długo z snem i spoczynkiem. Podobnego rodzaju wstrząśnienia moralne, przy udręczeniach i niewygodach podróży, powaliły mnie w ziemi zabajkalskiej, na łożo boleści.

Jeszcze w czasie pierwszego przejazdu mojego przez Tomsk, dotychczasowe moje mniemanie o rosyjskich nihilistach, ze szczerem zostało zmienionem.

W Tomsku, a następnie w podróży do Irkucka, po raz pierwszy mieliśmy sposobność zapoznania się ze sposobem życia sybirskich wygnańców podczas marszu. Po gościńcu Tomsku-Irkuckim, na długości 1680 km. snują się co tygodnia jak rok długi, 300 do 400 głów liczące, partye aresztantów. Na całej tej linii roz-

łożone są w odległości 40 do 60 km. domy etapowe z komendą, składającą się z jednego oficera i około 40 żołnierzy. Ponieważ okuci na nogi więźniowie nie są w możności przebyć pieszo w ciągu dnia tak znacznej drogi, przeto pomiędzy stacyami etapowymi stoją tak zwane półetapy, przeznaczone na miejsca noclegu dla transportowanych. Partya przebywa w ciągu miesiąca 500 wiorst, czyli 530 km., i po dwudniowym marszu odpoczywa całą dobę w głównych etapach. Każdemu aresztantowi dają na rękę dziennie strawnego 10 kopiejek (12 $\frac{1}{2}$ centa), za który pieniądz zakupuje on żywność u chłopów ciągnących z niego zyski. Kobiety i dzieci, towarzyszące dobrowolnie swym ojcom, braciom lub mężom, zaopatrzeni miszą być w swą własną odzież w takiej tylko ilości, ażeby cały ich bagaż mógł się mieścić w worku, mającym objętości około 70 litrów. Wygnańcy polityczni są zrównani w swych prawach ze zwykłymi aresztantami, z tą tylko różnicą, że uprzywilejowani pobierają dziennie strawnego zamiast 10 kop 15, nadto nie idą pieszo, lecz wloką się za etapem w jednokonnym kibitkach*)

Do 1883 r. kobiety transportowano wspólnie z mężczyznami, następnie zaczęto oddzielać bezżennych od żonatych, dopełniając tę grupę kobietami niezamężnymi i dziećmi. Z wprowadzeniem tej zmiany zmniejszyła się trochę demoralizacja, owe konieczne następstwo wielomiesięcznego wspólnego pożycia kobiet z mężczyznami, że zaś i w transportach mieszanych nie brak ludzi zepsutych, przeto obyczajność narażona jest na szwank.

Zaproszeni przez komendanta etapu kapitana Gudema, skierowaliśmy się 24. sierpnia o 7 rano ku domowi etapowemu, ażeby przypatrzeć się wymarszowi aresztantów. Ranek był bardzo zimny, zanosilo się je-

*) Był czas, gdy wygnańców politycznych odsyłano na Sybir extra-pocztami pod konwojem żandarmów, z powodu jednak znacznych kosztów podróży, zaniechano extra poczt, tak, że wszystkich politycznych łączy w jedną partyę z aresztantami zwykłymi.

dnak na dzień słoneczny i gorący. Zmiarkowawszy, że partya gotuje się dopiero do wymarszu, a nie chcąc kłopotać kapitana Gudema, postanowiliśmy oczekiwać go na ulicy.

Okolo godziny 8 rano, zatrzymały się przed bramą kibitki zamówione dla chorych i zbyt osłabionych. Jeden z podoficerów, spoczywający z kilkoma żołnierzami przed więzieniem na ławach, zoczywszy nadjeżdżające kibitki, przeciągnął się parę razy, ziewnął, poczem z miną wielce niezadowoloną podniósłszy się z ławy, wszedł w dziedziniec; żołnierze pospinali swoje pakunki, chwycili za broń, a wzmagający się brzęk kajdan oznajmiał, że kolumna gotuje się do marszu. Wreszcie nadszedł kowal z przenośną kuzienką, młotkami i pękiem kajdan na ramionach, które wszystkie zrzucił na ziemię. Żołnierze wzięwszy broń na ramiona, sformowali półkole; pod bramą stanęli dwaj podoficerowie, z których jeden trzymał w ręku listę imienną aresztantów, drugi, — torbę pełną miedziaków. Oficer odczytywał nazwiska więźniów, kowal opatrywał kajdany, a podoficer dzwigający torbę z miedziakami, wypłacał każdemu aresztantowi na rękę po 20 kop. (25 ct. w. a.) jako dwudniowe strawne, do następnego etapu. Teraz cała partya aresztantów — dla ułatwienia kontroli — wyciągnęła się w dwa równoległe sobie szeregi, z których jeden tworzyli przestępcy, drugi, osiedleńcy. Pierwsi pozejmowali czapki, a podoficer oglądał, czy należycie mają pogolone głowy. W miarę napływu aresztantów, żołnierze rozstępowali się, tworząc zwiększające się półkole. Wreszcie cała partya, licząca 350 do 400 ludzi, przestąpiła bramę i stanęła na gościńcu. Wszyscy aresztanci mieli przy sobie worki płócienne, w których mieściły się onuczki, szmaty, chleb i różne drobiazgi; wielu niosło czajniki miedziane i żelazne kociołki, a jeden z nich, trzymał na ramieniu burego pieska. Po powtórnem przeliczeniu, więźniowie pokładli swe worki na kibitki, ja zaś korzystając z chwili, zacząłem z nimi rozmawiać. Jeden

z nich, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, przemówił do mnie po angielsku:

— Kto jesteście? — spytałem. — Brodiaga — odrzekł on spokojnie i z powagą.

— Jak się nazywacie?

— Iwan »niepomniaszczyk«, — odpowiedział, — a przekonawszy się o nieobecności oficera, szepnął mi na ucho: — Moje właściwe nazwisko jest Jan Anderson, rodzilem się w Rydze.

— Gdzie nauczyliście się po angielsku? — spytałem. — Jestem pochodzenia angielskiego; często też bywałam w przystaniach angielskich jako majtek.

Zbliżenie się kapitana Gudema położyło koniec naszej rozmowie. Partya ta wygnańców liczyła wielu brodiagów z rodziny Iwanów »niepomniaszczyk«, którzy schwytani w wschodniej Syberji, częstokroć podczas zimy oddają się sami w ręce rządu, chroniąc się przed głodową śmiercią.

Kapitan Gudem mniemał, że w tej partyi jest wielu takich, którzy już po raz szósty uciekli z katoggi.

— No zuchy! — zawołał niespodzianie — powiedzcie mi, wielu z was już po raz szósty uciekło z katoggi?

— Bardzo wielu, — zawołało naraz wiele głosów; wreszcie wystąpił z szeregu jakiś siwo-brody aresztant w kajdanach na nogach i oznajmił, że czterokroć zbiegł już z katoggi, obecnie wraca tam po raz piąty. A więc człowiek ten, przeszedł już ośm razy odległość pomiędzy Tomskiem a kopalniami w Karze, wynoszącą 3.220 km.

— Żnam włóczgów, — mówił kapitan Gudem — którzy po razy szesnaście odbywali tę drogę i do tego w kajdanach, przez stopy i lasy. Jak oni to wszystko wytrzymują, Bogu jednemu wiadomo.

Skoro weźmiemy pod uwagę, że trzydzieści dwa razy wzięta odległość dzieląca Karę od granic zachodniej Syberji, przedstawia obwód całej kuli ziemskiej, to można mieć choć pobieżne pojęcie o determinacji tych ludzi i gwałtownem ich przywiązaniu do ziemi

rodzinnej. W 1884 r. odtransportowano do ziemi zabajkalskiej 1.350 zbiegów schwytych w wschodniej Syberyi, a całe ich setki giną po lasach z zimna i głodu. Pewien rosyjski oficer, Orfanów, który przez dłuższy czas przebywał w ziemi zabajkalskiej, opowiadał mi, że w jednym tylko więzieniu w Kajdałowie — pomiędzy Czytą i Nerezyńskiem — spotkał aż 200 Iwanów «niepomniaszczych».

Między włóczęgami spotkałem wielu ludzi rozsądnych i wykształconych. Jeden z nich, widocznie obeznany dobrze z sztuką fotograficzną, obejrzawszy z szczególną uwagą nasz aparacik, spytał mnie, w jaki sposób traktowani są przestępcy w Stanach Zjednoczonych, i czy nadobowiązkowe zajęcia przynoszą tam jaki dochód więźniom? — Prawdopodobnie — odrzekłem — w amerykańskich domach karnych, to się praktykuje.

— U nas inaczej — mówił on — nas pędzą nągich do kopalń, i nadzy z nich powracamy; zaś na miejscu, każdy nadzorca podług swego widzimisię może nas karcieć i i ćwiczyc różgami.

— Ależ nie, — ozwał się dobroduszenie kapitan Gudem — teraz już takie rzeczy się nie dzieją.

— Właśnie że się dzieją. proszę Waszej Mości, — mówił włóczęga z uszanowaniem, ale stanowczo — wycieńczeni z sił, a nawet istotnie chorzy, bywają karani dwudziestoma uderzeniami knuta za niewykonanie wyznaczonej im roboty. — Niestety, rozmowę naszą przerwał kapitan Gudem zapytaniem, czy nie życzę sobie przejrzeć się słabym i chorym.

Ekwipaże, przeznaczone dla chorych, były to jednokonne kibitki, podobne do wzdłuż przeciętych beczek, osadzonych wypukłą powjerzchnią na osiach. Nędzniejszego i niewygodniejszego ekwipaża, trudno by wymyślić; nietylko brak im resorów, ale i porządnego siedzenia, które zastępuje szczupła wiążeżyna trawy lub siana. W każdej kibitce musiało się mieścić po czterech chorych.

— Wszyscy opatrzeni świadectwami lekarza, niech siadają na kibitki! — zawołał kapitan Gudem, i wnet

wystąpiło z szeregu 25 do 30 pretendentów; było tu wielu starców, tudzież ludzi średniego wieku lecz bardzo sponiewieranych, lub też zupełnie schorzałych. Jeden z podoficerów zbierał i przeglądał świadectwa lekarskie, a po sprawdzeniu tożsamości osób, pozwalał im siadać na kibitki. Jeden z tych, zdający się bardzo schorzały, lecz w istocie dość jeszcze zdrów, któremu udawało się okpiwać lekarza, sadowiac się obecnie na kibitkę, został powitany przez całą partję hucznyimi okrzykami i wyciem*) W partyach aresztantów trafia się często bardzo wielu chorych, nie mogących odhwywać drogi piechotę. W 1884 r. użyto pod chorych 658 kibitek, a że w każdej mieści się cztery osoby, przeto chorych było zwyż 2000**). Są to naturalnie następstwa ścisku, panującego w więzieniu etapowem w Tomsku.

Gdy wszystkich chorych umieszczono na kibitkach, wtedy kapitan Gudem uchyliwszy czapki, zwrócony twarzą ku cerkwi więziennej, przeżegnał się i wołał: — Naprzód zuchy! szczęśliwej drogi!

— Wszyscy w prawo! Naprzód marsz! — zakomenderował podoficer i partya aresztantów, osaczona po bokach żołnierzami, ruszyła w długotrważącą, 2575 milową podróż do kopalń karyjskich. Tuż za kolumną aresztantów postępowały kibitki z chorymi, następnie trzy obładowane workami, wreszcie na samym końcu jechał w tarantasie kapitan Gudem. Cała ta karawana, posuwająca się z szybkością 3 kilometrów na godzinę, niknęła w gęstej kurzawie, wykłębającej się z pod nóg wlokących się w kajdanach aresztantów. W pogodzie zwłaszcza dnie, kurz jest istotną plagą dla transportowanych, a szczególnie dla kobiet i dzieci. Ochronić się od niego, jest istotnem niepodobieństwem,

*) Między aresztantami są niektórzy, uposażeni szczególną zdolnością udawania chorych, niejednokrotnie udaje im się wprowadzać w błąd lekarzy.

***) Raport inspektora traktu etapowego zachodniej Syberyi z r. 1884. strona 31. rękopisu.

działa on zabójczo na suchotników, których tak znaczny procent znajduje się pomiędzy więźniami. Wleczenie się na kibitce przez ciąg 6 do 8 godzin, przy pełnym braku swobodnych ruchów, wśród kurzawy wydobywającej się z pod kilku-et par nóg, jest okrutną męczarnią. Śledząc za posuwającą się partią aresztantów, ścigałem ją okiem w odległości $1\frac{1}{2}$ kilometra; wszystko spowite było obłokiem kurzu.

Przy trakcie etapowym w odległości 8 do 9 km. stoi kapliczka a w niej ukrzyżowany Chrystus. Przechodząc około tej kapliczki, większość aresztantów pozdejmowała czapki, żegnali się, bili w piersi, szeptaając krótkie modlitwy. Chłop rosyjski, choćby nawet rozbójnik i morderca, nie przestaje być nabożnym, wciąż on się żegna i modli.

Zrobiwszy mil 10 (15 km.), transport zatrzymał się na krótki wypoczynek w jakimś siole, gdzie na błoniach oczekiwały go już przekupki z zapasami mleka i piwa. Zoczywszy to brodiagi, wlokący się na samym końcu partyi, krzyknęli ochoczo: priwał! priwał!*)

Okrzyk ten wywołał objawy radosne w całej kolumnie, nie wyłączając chorych, ciągnących się w kibitkach na samym końcu; wszystko garnęło się do przekupek. Człowiek zdrowy i wolny, z łatwością może w ciągu dnia odbyć pieszo 15 km., inaczej się ma rzecz z więźniem, odwykłym od chodu i obciążonym jeszcze funtowymi kajdanami. Zaledwie też rozkazano zatrzymać się partyi, gdy wszyscy prawie aresztanci legli na ziemię; po chwilowym odpoczynku wzięto się do zakupna przekąski, składającej się z chleba żytnego, pirogów nadziejących rybą, jaj gotowanych na twardo, mleka i kwasu. Około godziny drugiej partya ruszyła w drogę.

Popołudniowego marszu nie przerywano już żadnym odpoczynkiem. Starsi, wytrawni brodiagi, opowiadali donośnym głosem o swych przygodach i kolejach życia, podczas gdy nowicjusze z wyteżoną uwagą

*) Wypoczynek przedobiedni.

podchwytywali ich słowa, rzucając z kolei opowiadającym, swe własne zapytania. Każdy brodiaga obeznany jest dokładnie z puszcza leśną i pobocznymi drogami, zna on wybornie charakter, usposobienie, przyzwyczki i temperament wszystkich oficerów etapowych, poczynając od Tomsku do samych kopalni w Karze. Jego ciągle wędrówki po dzikich puszczech sybirskich, grożące na każdym niemal kroku niebezpieczeństwem życia, wyrobiły w nim niesłychaną siłę woli i wiarę w samego siebie. Każdy też z nich, gotów jest prowadzić całą partję wygnańców.

Brodiaga zwykł nazywać więzienie swym ojcem a puszcze matką. Mimo wielkiego doświadczenia rzadko tylko udaje mu się ucieczka z Syberyi; nie po raz jeden dociera on do doliny rzeki Ob, gdzie bywa zwykle schwytanym, lub zagrożony głodową śmiercią tudzież zamarznieniem, oddaje się dobrowolnie w ręce rządu. Znałem pewnego oficera w zachodniej Syberyi, który zwykł był często powtarzać brodiagom: „posiadłości carskie są bardzo obszerne, granic ich jednak nigdy nie przestąpisz; musisz być schwytanym“.

Pół-etap sybirski składa się z 2 do 3 mocno zbudowanych, drewnianych domów parterowych, zwykle żółto malowanych, otoczonych wspólnym ostrokołem. W jednym z tych budynków mieści się oficer, w drugim, żołnierze, w trzecim — aresztanci. Wszystkie domy pół-etapowe pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem, podług raportu inspektora traktu, są nadto szczupłe a przytem na wpół zbutwiałe i jako takie, wymagają gruntownego przebudowania. W ogóle, wszystkie więzienia sybirskie są nadto ciasne, budowa ich sięga kilku dziesiątek lat, gdy transporta liczyły nie więcej nad 150 aresztantów, obecnie zaś dochodzą one od 350 do 450 głów. Z przyczyny takiej to ciasnoty, jak twierdzi w swym raporcie inspektor traktu, w porze letniej, połowa aresztantów zmuszona jest nocować w dziedzińcu na gołej ziemi, zaś podczas słoły i zimy, wszystkie izby i przysionki są nabite ludźmi.

Przy staranniejszem utrzymaniu, też same izby byłyby nawet dość znośne, zwykle jednak czernią się od brudu, a zabite szczelnie okna, niedozwalają przy największym nawet natłoku ludzi, przewietrzać lokalu.

Po 32 km. pieszej podróży, partya aresztantów zatrzymała się na stacyi pół-etapowej w Siemiłuznej, gdzie przed palisadą wszyscy więźniowie stanęli wyciągając w szeregi. Podoficerowie sprawdzili z całą ścisłością liczbę aresztantów, poczem przez otwartą bramę całą chmarą sypnęli się w dziedziniec. Trudno wyobrazić sobie panującego tu zgielku; — poszturkiwano się, pchano, rozbijano łokciami, każdy nosił się z jedną tylko myślą zajęcia w izbie kątka na spoczynek, widząc nadto dobrze, że jeżeli go nie znajdzie, to będzie zmuszony, noc przeleżeć w sieni. Niektórzy obojętnie przypatrywali się tym zapasom, wiedząc z góry, że za kilka kopiejek nabędą od współtowarzyszy pierwszorzędne nawet miejsce *).

Wreszcie wszyscy aresztanci zajęli leża, i przystąpiono do gotowania wieczery. Żołnierze dostarczali pełne kociołki gorącej wody po cenie 2 kopiejek. Dostatniejsi aresztanci przyrzadzali sobie herbatę, inni znów warzyli zupę, rozkrawywali czarny chleb, pirogi nadziewane rybą, i mięso zakupione na drodze. Po czątkowo, zarządy etapowe zajmowały się same dostarczaniem więźniom jedła, ten sposób jednak zaopatrywania miał swe wadliwe strony, na co bacząc władze administracyjne, uznały za właściwe wypłacać aresztantom pieniądze w gotówce, za które kupują oni produkta od włościan i żołnierzy. W czasie drożyzny, gdy funt czarnego chleba płaci się po 6 kop.,ienne strawne w ilości 10 kop. nie może pod żadnym pozorem

*) Znany pisarz rossyjski Maksimow opowiadał, że do jednego z domów etapowych Syberyi wepchano raz 512 istot ludzkich (*Syberya i katorga* Tom 1 str. 81; Petersburg 1871), zaś pan M. J. Orfanow, oficer rossyjski, przebywający w Syberii na służbie przez lat 10, oznajmia, że w domu etapowym w Wierchnim-Udyńsku, zbudowanym na 140 aresztantów, mieściło się zwykle 500 a nawet 800.

wystarczyć na wyżywienie. Oficerowie etapowi gorzko uskarżają się na obojętność, z jaką rząd zwykł zachowywać się w obec cierpień i dolegliwości więźniów; ograniczenie dziennej strawy, zmęczonego długotrwałą podróżą i zziębniętego więźnia, do 1½ funtowej porcyi czarnego chleba, uważają oni nie tylko niesprawnością, ale nawet okrucieństwem *)

Po wieczery zawezwano aresztantów do powtórnej kontroli; rozstawiono sztyldwachów w węglach ostrokołu, izby oświetlono świecami łożowymi, powieszono na kurytarz wielkie kubły drewniane na odchody, i zaryglowano drzwi więzienia. Ledwie połowa aresztantów znalazła pomieszczenie na narach, podczas gdy druga zmuszoną była poniewierać się na gołej brudnej podłodze; powietrze okazało się tak zepsute, że niepodobieństwem było wytrzymać w tym zaduchu. Prawdziwie, przechodzi moje pojęcie, jak ludzie mogą wytrzymać czas dłuższy wśród tak zabójczych dla zdrowia warunków. Prosiłem pewnego oficera by mi pozwolił przenocować razem z aresztantami, zawietrzywszy jednak rano powietrza wydobywającego się z celi więziennej, zaniechałem powziętego zamiaru.

Następny marsz dzienny więźniów wyprawionych z Tomsku 24. sierpnia, mało się różnił od poprzedniego. Pośniadawszy dorywczco, więźniowie stanęli do kontroli i wyruszyli dalej. W połowie drogi zrobiono znów krótki wypoczynek, po którym, partya pomaszrowała na nocleg do głównego etapu.

*) Było to w Wierchnim-Udyńsku, w ziemi zabajkalskiej. Według słów oficera etapowego, funt czarnego chleba najgorszego gatunku kosztował 6 — 7 kopiejek, zaś strawne aresztanta wynosiło 11 kopiejek. Tak było w ciągu całej jesieni 1885 roku a z nadchodzącą zimą jeszcze gorzej. Skargi i przedstawienia oficerów nie dostępowaly żadnego uznania, mimo że okólnik Oddziału więziennego głosił o podwyższeniu aresztantom dziennego strawnego. (Okólnik Oddziału więziennego i deportacyjnego. Nr. 10-87, 15. grudnia 1880 r.)

Domy etapowe różnią się od pół-etapowych większymi rozmiarami; podwórza obszerne, ale budynki stare i w pół zbutwiałe, przytem tak szczupłe, że pomieścić mogą w swych ścianach załedwie połowę partyi. Powstrzymując się od własnych uwag, przytaczam tu charakterystykę domów etapowych wyjętą z tajnego raportu generała gubernatora Anuczina do cara, odpis którego to dokumentu, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, znajduje się u mnie *).

»W czasie mojej podróży do Irkucka zwiedziłem bardzo wiele zakładów karnych, a w szczególności więzień miejskich i etapowych, i niestety, wyznać muszę, że wszystkie te budynki, a głównie etapowe, znalazłem w bardzo opłakanym stanie. Z małym tylko wyjątkiem, są one zbutwiałe i ze wszech miar nieodpowiadające warunkom sanitarnym, w porze letniej, powietrze w nich zgniłe, w zimie nadto chłodne, a prócz tego nie będąc należycie zaopatrzone na zewnątrz, sprzyjać mogą ucieczce aresztantów.«

Nie gorzej ja odzywałem się o etapach. Skoro zaś zrobiły one takie wrażenie na generał-gubernatorze, który je zwiedzał w szacie świątecznej, to łatwo wyobrazić sobie jak mi wydały się one wtedy, gdy wszystko, jakto bywa zwykle, czerniło się od brudu. Muszę tu zauważyć, że sprawozdanie generał-gubernatora nie może dotyczyć wszystkich domów etapowych; tak np. we wsi Itatskaja zastałem więzienie etapowe w stanie zupełnie dobrym, w wielu jednak razach słusność zostaje po stronie generała Anuczina.

Przyczyną opłakanego stanu więzień etapowych w Syberyi, jest przekupstwo, nieudolna administracya i inne wady nieodłączne biurokracyzmowi rządowemu. Na zbudowanie wielu z tych domów wydano wcale znaczne sumy, które jednakże w przeważnej części uwięzły w kieszeniach nierzetelnych przedsiębiorców i przekupnych urzędników. Pewien inspektor

*) Raport ten doręczony został carowi w grudniu 1880 r. przez adjutanta Anuczina p. Koziolle.

traktu etapowego, obeznany dokładnie z stanem rzeczy zauważył, że sumy wydane różnymi czasy na przekształcenie domów etapowych, wystarczyłyby na postawienie szczeru-srebrnych budynków. W dalszym ciągu swego raportu do cara, nadmieniał generał-gubernator Anuczina, że naprawa budynków etapowych pochłonięła już ogromne sumy, niezadługo potrzeba będzie znów wyłożyć 25.000 rs. na postawienie nowych domów etapowych w ziemi zabajkalskiej. Powątpiewam jednakże, czy w obec niedających się zmienić okoliczności, osiągnąć będzie można żądane rezultaty. Obawiam się nałożyć, ażeby nowe etapy pomiędzy Jenissejskiem i Irkuckiem nie podległy temuż samemu losowi co dotychczasowe«.

Obawy generała Anuczina spełniły się.

Inspektor traktu wschodniej Syberyi, jako też naczelnik więzień w Petersburgu zmuszeni byli wyznać mi, że budynki etapowe w zabajkalskiej ziemi wcale niedopisały.

Nocleg wygnańców na stacyi etapowej w Kałdyowie, niczem się nie różnił od poprzedniego. Połowa aresztantów nie znalazłszy miejsca na narach, spędziła noc na podłodze, w przysionkach i korytarzu. Cały lokal, a w szczególności izby, wypełniała atmosfera przesycona kwasem węglowym i zgnilizną wydzielającą się z kubłów, przepelnionych odchodami. W środe wypadła dniówka; aresztanci włócząc się od ranka po podwórzu więziennem, zajęci byli żywą rozmową nad sprawami bieżącymi, których obficie dostarczają ściany i nary, będące dla więźniów rodzajem gazety. Każda partya poprzednia zwykła zostawiać następnej, mnóstwo napisów na ścianach, sufitach, słupach, narach, i wszelkich możliwych zakątkach budynku; mieszczą się tu: pozdrowienia od przyjaciół, ostatnie nowiny, przestrogi, rady wytrawnych brodiagów w sprawie ucieczek, nazwiska zmarłych, zbiegłych, lub też schwytych podczas ucieczki aresztantów, przeróżne wiadomości z życia etapowego i katorgi, prawidłą zachowania się na wygnaniu, listy otwarte, znaki umówione, i całe okólniki nader doniosłego dla wszyst-

kich znaczenia. Wytrawny aresztant wszedłszy do domu etapowego z całą skwapliwością przystępuje do odczytywania napisów, zapuszczając swe oko w każdy zaułek, gdzie często spotyka się z ważnymi dla siebie i całej partii nowinami. Pan Gaukin-Wrasskoj, dyrektor Oddziału więziennego, któremu ostatnimi czasy udało się rozwiązać niektóre z tych tajemniczych znaków, zapobiegając szkodliwym dla rządu ich skutkom, polecił komendantom etapów, ażeby znaki owe starannie zacierano. Czy rozkaz dopiął zamierzonego celu? Zdaje mi się, że żadne środki ostrożności podjęte przez władze, nie są w stanie zapobiedz porozumiewaniu się aresztantów przy pomocy wiadomych im znaków; wypisywać je będą oni po tak skrytych miejscach, że oko najbystrzejszego komendanta nie może dostrzeże, podczas gdy wprawny więzień na samym wstępie do szuka się wszystkiego.

W czwartek rano kapitan Gudem wypocząwszy dzień jeden, powrócił do Tomsku, podczas gdy partya aresztantów skierowała się ku wschodowi. Gotów byłem jej towarzyszyć i tydzień cały, by dokładnie zbadać życie etapowe, ale interesa moje wymagały bytności mojej w Tomsku, dokąd też powróciłem.

Życie aresztantów w pochodzie płynie wśród ciągłej jednostajności. Pogoda czy słońce, upał czy chłód, posuwają się oni wciąż ku wschodowi, przeprawiają się przez rzeki, lesiste góry, brodzą po trzęsawiskach, nocują w zapowietrzonych domach etapowych, zbliżając się krok za krokiem z coraz to większym strachem do katorgi zabajkalskiej.



VIII.

Życie przy głównym gościńcu sybirskim.

Dzięki rozległym naszym znajomościom z urzędnikami rządowymi i wygnańcami, rzadko tylko kiedy narażeni byliśmy na nieprzyjemności lub kłopoty. Na samym wyjeździe z Tomsku, w czasie obecności w naszym mieszkaniu w „hotelu europejskim” dwóch politycznych wygnańców, pp. Wołchowskiego i Czudnowskiego, służący zastukawszy do drzwi, oznajmił nam wizytę Jego Ekscelencyi, rzeczywistego radcy stanu, vice gubernatora p. Pietuchowa. Nie będąc wtajemniczonym w stosunki zachodzące pomiędzy wygnanymi rewolucjonistami a vice-gubernatorem p. Pietuchowem, uczułem jak to powiadają duszę na ramieniu. Odwiedzaliśmy już kilkakrotnie p. Pietuchowa, nie nadmieniając mu wszakże nigdy o naszej znajomości z wygnańcami politycznymi; zadaniem naszym było o ile możliwości okazywać w obec osób urzędowych, zupełną obojętność dla wygnańców politycznych. Zapowiedziane też obecnie zetknięcie się w naszym mieszkaniu przedstawiciela rządu z wygnańcami politycznymi, nabawiło nas niemałym kłopotem. Zaledwie zdołałem zapytać pp. Wołchowskiego i Czudnowskiego, czy mam ich przedstawić vice-gubernatorowi, gdy tenże, w pełnym uniformie wszedł już do pokoju. Zmiarkowawszy zrazu co się święci, p. Pietuchów, po którego obliczu przebiegł wyraz zdziwienia, opanował się tak szybko, że

zaledwie zdołał zrzucić z siebie płaszcz, już wyciągając obie ręce, witał mnie i p. Prosta bez śladu jakiegokolwiek zakłopotania. Uściskawszy następnie serdecznie ręce obydwum przestępcom politycznym, rozpoczął rozmowę w tym kierunku, ażeby wszyscy obecni, przyjmować mogli w niej udział. Wszystko to odbyło się z takim taktem i grzecznością, że niekrępowani niczem, zawiązaliśmy wszyscy tak żywą rozmowę, jakby dawni dobrzy znajomi, zebrani w klubie. W istocie było to niezwykle towarzystwo; amerykański literat, amerykański artysta, dwóch politycznych wygnańców karanych katogą, i przedstawiciel nieprzyjaznego im rządu. Obecnie całe to grono, wypuszczając chwilowo z pod uwagi stosunki urzędowe, obcowało wspólnie z uprzejmością właściwą ludziom złączonym z sobą stosunkami zażyłości. Nie wiem, czy p. Pietuchów nadmienić ministrowi o naszych znajomościach z wygnańcami politycznymi, tuszę jednak sobie, że tego nie uczynił. Zdawał mi się on być wiernym sługą tronu, ale jednocześnie wykształconym, zdolnym, zdrowo na rzeczy patrzącym człowiekiem, który aczkolwiek potępiał ruch rewolucyjny, to wszakż nosił się z przekonaniem, że pomiędzy wygnanymi rewolucjonistami są ludzie, którzy swem wykształceniem i prawością charakteru musieli koniecznie zwrócić na siebie uwagę cudzoziemców.

Podczas naszej bytności w Tomsku, zamieszkiwało tam około 30 wygnańców między którymi 6 do 8 kobiet. Niektórzy wygnańcy administracyjni przybyli tu wprost z Rossyi, inni znów z krańców wschodniej Syberyi, gdzie przehywszy już długie lata za wyrokami sądów uzyskali pozwolenie — ze względu na sterane zdrowie — przeniesienia się do gubernii sybirskich, bliżej Rossyi położonych. Jedni z tutejszych wygnańców, uczestniczący w sławnym procesie »193« po odsiedzeniu wieloletniej kary w fortecy Piotro-pawłowskiej, osiedleni zostali na równiach zachodniej Syberyi.

Zdumiałem prawdziwie, gdy mnie objaśniono, że w liczbie wygnańców osiedlonych obecnie w Tomsku

znajdują się i tacy, którzy przez wiele już lat przetrzymani byli porządkiem administracyjnym w podbiegunowych pustyniach jakuckich. — Czyżby to było możliwe — spytałem raz pewnego wygnańca — ażeby pana, wydalonego z kraju porządkiem administracyjnym, osiedlono w najgorszej miejscowości wschodniej Syberyi? Ja sądziłem, że do ziemi jakuckiej wydalają tylko niebezpieczniejszych przestępców politycznych i tych, którzy odbyli już swą karę w katordze.

— Ależ nie, — rzekł on, — administracyjnych wygnańców rząd zwykł wysyłać początkowo do zachodniej Syberyi, a stamtąd dopiero po pewnym czasie do ziemi jakuckiej. Tej to procedury ja sam na sobie doświadczyłem, gdyż najprzód osiedlony zostałem w zachodniej Syberyi, skąd w r. 1881, pognano mnie do Jakucka za karę, że nie chciałem złożyć przysięgi na wierność Aleksandrowi III.

— Więc rząd narzucając panu zdradę stanu, zażądał od niego wiernopoddańczej przysięgi?

Tak jest, i właśnie za uchylenie się od złożenia tej przysięgi wygnano mnie do jakuckiego ulusu*).

) Ulusem nazywają pewną ilość porozrzucanych po dzikiej głuszy jakuckiej jurty, oddzielonych częstokroć wielomilową odległością od najbliższej wsi rosyjskiej, a wzwwyż 8000 km od Petersburga. Wygnaniec, o którym wspominam, rzeczonej został do ulusu angijskiego, leżącego o pięć stopni od kręgu biegunowego ku południowi, gdzie przybył zimą w grudniu. Leży przedemną spis nazwisk 79 »politycznych« osiedlonych w Jakutce w r. 1882. W liczbie ich byli: Włodzimierz Korolenko, rosyjski nowelista, Bohdanowicz docent chemii, i Liniow. Ten ostatni przemieszkawszy wiele lat w Ameryce naturalizował się tam, i jako tamtejszy obywatel osiedlony został w Jakutce. W spisie tym znajduje się prócz innych, nazwiska dziewięciu wykształconych kobiet, także jakiegoś Niemca i Francuza, którzy niejednokrotnie odwoływali się o pomoc do swych rządów, wszelako daremnie).

*) Między innymi byli tu jeszcze: Zubriłow kandydat filozofii, Studziński Edmund, Kostecki Bolesław stud. uniw. z Kijowa, Szczepański Józef stud. uniw., Sierakow i Witaszewski obaj studenci uniw., Peterson, Tewtut, Borodin literat z Wiatki (wkrótce wrócony do kraju). Jonow stud. uniw., Kozakiewicz Konstanty porucznik rosyjski, Rewicki stud. uniw. z Odessy, Tiutczew, Czarniawski z żoną. Sarandowicz studentka uniw., Sieraszewski młody poeta z Warszawy i inni. (Przypisek tłumacza).

— Ależ, — zawołałem — podobne żądanie było by nie tylko niesprawiedliwe, ule nawet niedorzeczne. Jakżesz można wymagać, ażeby polityczny wygnaniec składał przysięgę na wierność monarsze?

— W istocie nie miało to żadnego sensu — odpowiedział — jednakże tak się dzieje. Rząd, nie tylko wymagał odemnie złożenia przysięgi na wierność carowi, ale nadto chciał mnie zmusić do wykrycia mu wszystkiego, co mi jest wiadomem o ruchu rewolucyjnym; jednym słowem. Żądano bym został zdrajcą moich towarzyszy.

W dalszym ciągu rozmowy dowiedziałem się o fakcie, dotąd mi zupełnie obcym, że z wstąpieniem na tron Aleksandra III!, minister spraw wewnętrznych zażądał od wszystkich wygnańców politycznych, złożenia przysięgi na wierność nowemu carowi. Żądać przysięgi na wierność Aleksandrowi III. od tych mianowicie ludzi, którzy ukarani zostali za zdradę Aleksandra II. było w istocie przeciw zdrowemu rozsądkowi. Minister, domagający się czegoś podobnego od wygnańców politycznych, zamierzał postawić tych ludzi w sprzeczności z ich własnym przekonaniem, albo też przewidując z ich strony odmowę, postanowił użyć jej, jako fortelu do wydalenia oponentów na krańce Syberyi.

Jeżeli człowiek raz już ukarany za przestępstwo polityczne, uczuwa się pokrzywdzonym, to zdrowy rozsądek doradza, ażeby człowieka tego poprzestać nadal prześladować, zwłaszcza jeżeli nie ma usprawiedliwionej przyczyny do powiększenia mu kary. Skoro minister uznaje tych ludzi za niewinnych, to po cóż wydalą ich z kraju? Jeżeli zaś od wydalonych już z kraju za nieprzychylność dla rządu wymaga złożenia wierноподданцей przysięgi, nie pozostawiając im nic więcej do wyboru prócz krzywoprzysięstwa, albo zatraty za życia w pustkowiach jakuckich, to dopuszcza się nie tylko niesprawiedliwości, ale i okrucieństwa.

Mnóstwo osób, bez żadnego usprawiedliwionego powodu, wygnano z zachodniej Syberyi do pustyń azjatyckich za to tylko, że pogardziły krzywoprzysię-

stwem zarówno jak i denuncyacją. W liczbie tych prześladowanych, był po raz już trzeci skazany na wygnanie, zdolny nowelista rossyjski, Włodzimierz Korolenko. Wygnany po raz pierwszy przez »omyłkę« zamiast powrotu do kraju doczekał się w Tomsku powtórnego wygnania do ułusu jakuckiego, za to, że nie chciał być zdrajcą swych towarzyszy, ani też złożyć przysięgi pomazańcowi i zarazem gnębielowi swojemu, Aleksandrowi III.

Ażeby porównanie moje, życia wygnańczego w ułusach jakuckich z konaniem za życia, nie wydało się komu przesadnym, przytoczę to, com słyszał w tym przedmiocie z ust pewnego wykształconego Rossyanina, nie kierującego się żadnymi uprzedzeniami. W początkach 1881 roku za czasów Loris-Melikowa, gdy prasa rossyjska uczuła się nieco swobodniejszą, znany powszechnie pisarz p. S. A. Prikłoniński, należący w swoim czasie do sztabu gubernatora ołonieckiej guberni, ogłosił w liberalnej, chwilowo tylko tolerowanej przez rząd rossyjski, »gazecie »Ziemstwo«, starannie opracowany artykuł o »wygnaniu porządkiem administracyjnym«. Artykuł ów, leżący obecnie na mojem biurku, mieści następujący opis życia wygnańców politycznych w ziemi jakuckiej.

»Publiczność nie przeczuwa nawet, jak okrutną i przykrą jest dola wygnańców administracyjnych w jakuckich »ułusach«. Rozprószeni są oni po samotnych jurtach jakuckich, odległych od siebie o mil kilka i więcej. W Nr. 23 »Gazety rossyjskiej« spotykamy następujący wyjątek z listu, opisującego z całą wiernością okrutne położenie pewnego wykształconego człowieka, rzuconego w lodową puszcę:

»Odprowadzony przez kozaków z miasta Jakucka do przeznaczonego mi na mieszkanie ułusu, znalazłem się po ich odjeździe sam jeden pomiędzy Jakuckami, nie mając żadnego pojęcia o ich języku. Zagrożeni przez władze rządowe surową odpowiedzialnością w razie mojej ucieczki, nie spuszcza mi z oka. Wyjdę choćby na chwileczkę po za drzwi jurty, by

odetchnąć świeżem powietrzem, a podejrzliwy Jakut tuż przy mnie. Biorę siekiere do ręki, by kij ociosać, a Jakut oznajmia mi na migi, bym pozostawił tę robotę, albowiem nie wolno mi jest wychodzić po za obręb jurty. Siedzę więc i patrzę na grzejących się około kominka i bijących wszy Jakutów. — Co za wzniosły widok! Podczas zimy mieszkają Jakuci pod jedną strzechą z bydłem rogatem. Niechlujstwo ich, przechodzi wszelkie pojęcie; w izbach całe kupy gnoju, na łożach pełno barłogu, szmat, robactwa, powietrze zepsute, duchota, słowa po rossyjsku nie można usłyszeć — co wszystko razem doprowadza człowieka do szaleństwa. Jadło jakuckie jest prawie niemożliwe do spożycia; niedbale przyrządzone, bez soli, z zepsutych materiałów, a żołądek nie przyzwyczajony do takiego jada, nie jest w stanie go strawić. Zmuszony jestem jadać wspólnie z Jakutami i niejednokrotnie brak mi własnej odzieży. Nie mam możności umyć się porządnie lub wykąpać, od ośmiu też miesięcy chodzę brudny, jak prawdziwy Jakut. Od najbliższego miasta dzieli mnie 800 wiorstowa odległość, a więc niepodobiestwem jest do niego się dostać. Co sześć tygodni przenoszą mnie z jednej jurty jakuckiej do drugiej, książek ani też gazet nie mam żadnych, i nie wiem o niczem, co się dzieje na świecie.

Pan Prikłoński robiąc swe uwagi nad tym listem, dodaje z swej strony, że sroższej kary nikt nie jest w stanie wymyślić, ta bowiem, równa się przytroczeniu człowieka do ogona stepowego konia lub też przykuciu go do trupa i oddanie na pastwę losu. Uczuwa się jakiś gniot moralny na samo wspomnienie, że człowiek bez żadnego sądu, li tylko z rozporządzenia władz, wystawiony jest na takie męki i katusze, i znosić musi tę barbarzyńską karę, przed którą chroni cywilizacja europejska najstraszniejszych nawet, za wyrokowanych zbrodniarzy. A przecież korespondent rossyjskiej gazety przekonywa nas, że żadnemu z wygnanych do ziemi jakuckiej nie ulżono w niczem okrutnej jego dolli; tymi czasy przybyło do Jakutki dziesięciu wy-

ślanych tam z Rossyi wygnańców administracyjnych, a spodziewać się należy nowych jeszcze transportów*).

Wszystko o czem wspomina p Prikłoński w wyżej podanym artykule jest szczerą prawdą, stwierdzoną listami prywatnymi wygnańców, opowiadaniem ustnymi, wreszcie mojem własnem doświadczeniem. Niejednokrotnie przychodziło mi samemu nocować w jurtach jakuckich obok bydła i znosić niewygody nieodłączne od mizernego życia tamtejszego; wiem też z przekonania, jak jest ciężko ludziom wykształconym, a w szczególności kobietom poniewierać się przez miesiące i długie lata wśród podobnie zabójczych warunków. Ażeby nie ubliżyć prawdzie, nadmienić tu muszę, że niektórzy z wygnańców administracyjnych, otrzymujący zasiłki pieniężne od swych krewnych, kupowali sobie, lub też pobudowali domy, co przyczyniło się do polepszenia ich nędznej egzystencji. Nowelista rossyjski Korolenko, mieszkał w własnym swym

*) Ponieważ wiele utalentowany autor niniejszego artykułu należy już do umarłych, nie pociągnie go tedy do odpowiedzialności przed rossyjskiem rządem niniejsze moje wyznanie, że on to sam udzielił mi wiele odpisów i oryginalnych manuskryptów, dotyczących wygnania porządkiem administracyjnym. Był to człowiek szlachetny, wielkich zdolności; jego »Szkice o samorządzie miejscowym, stosunkach włościańskich i t. d. zamieszczone w gazetach »Tydzień«, »Ziemstwo« i »Russkaja myśl«, zjadłaby mu w Rossyi stanowisko uzdolnionego pisarza. P. Prikłoński nie był weale rewolucjonistą, artykuł zaś jego podany tutaj, wyjęty jest nie z żadnej gazety rewolucyjnej, lecz z nieoficyalnego organu rossyjskiego zebrania gubernialnego, »Ziemstwo«, wychodzącego pod kierownictwem dobrze znanego pisarza i publicysty p W. U. Skalona. Przytaczam tu umyślnie te fakta, w celu wykazania niedającej niczem usprawiedliwić się obojętności rządu względem oplakanej doli wygnańców, osiedlonych w ziemi jakuckiej. Przeciwnie wszystkie jego zabiegi skierowane były ku gnębieniu tych ludzi, dla tego głównie, że trwale obstawali przy swych prawach, że zdolnościami swymi, patryotyzmem i spełnianiem obowiązków obywatelskich musieliby zjednać sobie uznanie we własnym kraju. Ta zawziętość ministra spraw wewnętrznych w wydalaniu ludzi wykształconych do pustyń jakuckich bez sądu, prowadzi świat cywilizowany do wniosku, że w swoim postępowaniu, kieruje się on wyłącznie osobistą nienawiścią.

domu, a wygnańcy ułusowi, z którymi poznałem się w Tomsku, opowiadali mi, że mieszkając w najetych domach lub też zbudowanych przy pomocy swych przyjaciół, unikali brudu i niechlujstwa właściwego jurtom jakuckim. Niektórzy z wygnańców mieli nawet trochę książek, i co pół roku otrzymywali listy z domu, odczytywane poprzednio przez policję P. Liniów, człowiek wykształcony, bywalec, władający dobrze angielskim językiem, przemieszkujący lat kilka w Stanach zjednoczonych, opowiadał mi, że w ciągu kilkuletniego swego wygnania w Jakutce, nie spotykał się nigdzie z chlebem, rybą lub mięsem. Utracił też zupełnie zdrowie tak, że w parę miesięcy po naszym poznaniu, w roku 1886 zmarł na drodze w jednym z domów etapowych.

O okropnem położeniu wygnańców w ziemi jakuckiej świadczą wymownie tak często powtarzające się samobójstwa. Z 79 osób znajdujących się tam na wygnaniu, w r. 1882, sześciu zakończyło życie samobójstwem; niewiadomo mi wielu później poszło za ich przykładem, jednakowoż nazwiska tych sześciu są u mnie zapisane.

Obojętność, z jaką opowiadali mi wygnańcy w Tomsku o przebytych katuszach i przesładowaniach doznawanych ze strony rządu, wprowadzała mnie istotnie w zdumienie; kobiety zarówno jak mężczyźni, wydaleny na lat kilka do ziemi jakuckiej za uchylenie się od złożenia przysięgi na wierność Aleksandrowi III, wspominali mimochodem tylko o doznawanych tam katuszach. Czasami tylko mężowi, opowiadającemu o zgonie żony, krew zdawała się uderzać do głowy, a ręka kurczowo zaciskała się w pięść; lub też sponiewieranej kobiecie na wspomnienie zmarłego w jej objęciach niemowlęcia, tłoczyły się do oczu łzy; w ogóle wszyscy oni zdawali mi się ludźmi żelaznej woli. Gdym raz w domu pewnego wygnańca pana X., przeglądał zbiór jego fotografii, dopytywałem go się o koleje życia wielu osób wyszczególniających się pięknnością rysów, lub też wymownym wyrazem twarzy.

— Ta — opowiadał z całym spokojem p. X. — to panna A., była nauczycielka jednej z szkół ludowych, zmarła przed laty trzema w więzieniu kijowskim na suchoty. Mężczyzna z brodą jest pan B., były sędzia pokoju w II. powieszono go w r. 1879 w Petersburgu. Dziewica o ściągłej twarzy, jest jedną z tak zwanych propagatorek; w więzieniu śledczem wpadła ona w stan obłąkania. Ta piękna dama z krzyżem na ramieniu, to pani D.; uczestniczyła w wojnie tureckiej 1879 r. jako siostra miłosierdzia, a obecnie skazana na 20 lat ciężkich robót w kopalniach w Karze. Ta druga znów, na tej samej kartce albumu jest to panna E.; uczęszczała ona na kursa medycyny w szkole bestużowskiej w Petersburgu, więziona następnie przez lat trzy w fortecy Piotro-Pawłowskiej, uwolniła się z niego, przecięciem sobie gardła, kawałkiem szkła.

W ciągu całego swego opowiadania o tych tragicznych wypadkach, pan X., nie zdradzał nawet śladu wzruszenia; zdawało się, że te okrucieństwa, tak dalece spowszedniały, że nie powinny zadziwiać nikogo. W istocie, każdy z tych ludzi zdeterminowany był na wszystko, położenie ich było tego rodzaju, że z równie zimną krwią przychodziło im spotykać się z katogą, jak kończyć życie w celi więziennej poderznięciem sobie gardła. Obojętność ta na wszystko, nie była bynajmniej wynikiem braku czucia a tylko zżycia się z podobnie tragicznymi wypadkami. Można przywyknąć do wszystkiego; rosyjscy zaś rewolucyoniści przechodzili tak już straszne koleje, doświadczyli tyle nędzy i niesprawiedliwości, że mogą mówić obojętnie o takich rzeczach, na wspomnienie których czułem się do tego stopnia oburzonym, że w żyłach krew mi kipiała.

— Dwa razy w mojem życiu — mówił mi pewien dobrze znany rosyjski liberał — uczułem i zrozumiałem, co to znaczy być wolnym obywatelem. Po raz pierwszy miało to miejsce, gdy po powrocie moim ze Stanów zjednoczonych w r. 1887, stanąwszy już na granicy rosyjskiej, porównywałem różny

sposób obejścia się jednego i tegoż samego żandarma rossyjskiego ze mną, i z siedzącym w wagonie tuż obok mnie Anglikiem. Po raz zaś wtóry, gdy był świadkiem wrażenia, jakie na panu wywarła historia pana B. Z oblicza pańskiego wyczytać można było, jak strasznie a nawet niewiarogodnie wydało mu się to opowiadanie. Myśmy tak przywykli do wszystkiego, że nie dziwi nas wcale, jeżeli kogoś przejadą na równej drodze. Zoczywszy też na pańskiej twarzy niezwykle grę uczuć, uczulem sam do głębi duszy całą przepaść, dzielącą wolnego obywatela od rossyjskiego poddańca.

Położenie wygnańców politycznych w Tomsku nie równie było lepszem niż osiedlonych w różnych innych guberniach sybirskich. Książę Krapotkin żalił się na niezdrowy klimat, aczkolwiek nie zdawał mi się gorszym od Nowo-angielskiego. Wykształceni obywatele, byli ludźmi wolnomyślnymi i przedsiębiorczymi; miasto ma dobrą bibliotekę, teatr, liberalną gazetę i wyborne szkoły. Ucisk i okrucieństwa rządu mniej się dawały we znaki, niż w gubernii tobolskiej; polityczni wygnańcy tutejsi mogli podtrzymywać stosunki ze światem, prowadzić korespondencję bez kontroli policyjnej; jednym słowem, życie ich w Tomsku, było jeszcze dość znośnem. Wypada szczerze żałować, że Tomsk przestaje być na przyszłość miejscem osiedlenia politycznych wygnańców. Projekt rządu utworzenia przy uniwersytecie tamecznym — zbudowanym ze składowych funduszy — fakultetu medycznego, skłania rząd do zaprowadzenia możebnych środków ostrożności, przeciw przejmowaniu się młodzieży uniwersyteckiej ideałami »szkodliwymi dla porządku państwowego«. Jakżeż można ową młodzież narażać na szkodliwe wpływy, jakimi zagraża jej obcowanie z wykształconszą częścią miejskich obywateli, podejrzanych o »niebłagonadźność«; wszak niebezpieczne owe żywioły należy poprzednio przerzucić do innych miejscowości. Zdolniejsi studenci, mając sposobność stykania się z podobnymi ludźmi, jak Czudnowski, lub

też książę Krapotkin, mogliby się nie tylko zachwiać w swej lojalności, ale nadto wzgardziwszy nią, stanąć w zupełnej sprzeczności z rządem w kwestyi wychowania publicznego.

Pożegnawszy naszych znajomych, politycznych wygnańców, pułkownika Jagodkina i kilku szczerze życzących nam oficerów, ruszyliśmy z Tomska 28. sierpnia w drogę do Irkucka. Spodziewaliśmy się, że p. Pietuchow dotrzymując przyrzeczenia zaopatrzy nas w listy polecające do oficerów etapowych o dozwolenie wstępu do więzień; zapomniał on może o swem przyrzeczeniu, a może też, odwołał je z przyczyni spotkania się w naszym mieszkaniu z wygnańcami politycznymi. Podróż nasza z Tomska do Aczyńska nie przedstawiała wiele interesu. Okolice wzgórkowate, często lesiste, niekiedy urodzajne, poprzerzynane pasmami, niskich gór.

Niekiedy przez całe godziny osłaniały nas gęste liściaste i iglaste lasy, tak że nie widzieliśmy nic prócz obłoków, zawieszonych nad naszymi głowami i czerniącego się przed nami grząskiego gościńca; czasami znów jechaliśmy przez szerokie błonia, zabudowane domami mieszkalnymi, albo przez równiny, okolone szmatami uprawnej ziemi. Powietrze było dość chłodne, chociaż nie zbywało nigdzie na kwiatach i owadach. Najżyźniejsza i najpoważniejsza okolica, wydała mi się pomiędzy stacyami Itatekaja i Bogotowskaja, na zachód od Aczyńska; zajmuje ona przestrzeń około 50 mil (80 kil.) Spotyka tu się bardzo malownicze krajobrazy, zwłaszcza w porze jesiennej, gdy drzewa grupujące się po wzgórzach przyjmują różnorodne barwy, a na falujących łanach złotokłosych zbóż, krzątają się żniwiarze i żniwiarki w jaskrawych swych ubiorach.

Osady wieśniacze w tej części Syberyi mniej powabne; składają się one zwykle z domów drewnianych, dwoma rzędami obejmujących gościniec na długość wiorst kilku. Nie mogłem tu nigdzie dostrzedz ni śladu roślinności, chyba tylko drzewka malowane na szynkach szynków. Szynki te, noszące przeróżne nazwy

są istotną plagą dla miast a ruiną dla włościan; tu to, należy szukać przyczyny nędznego stanu wsi, ciągnących się wzdłuż gościńca sybirskiego W zachodniej Syberji, na każde 30 szynków przypada jedna szkoła; w wschodniej zaś, jedna szkoła na 35 szynków. W kraju, gdzie okazywa do pijaństwa stoi w tym stosunku do nauczania się, trudno jest liczyć na porządek, czystość i dobrobyt.

Godniejszymi częstokroć uwagi wydały mi się cmentarze niż wsie. Przypominam sobie, że przeważna część grobów ogrodzona była sztachetami o różnobarwnie malowanych szpicach. Na niektórych grobach stały krzyże z napisem J. H. S., na innych znów biało malowane kościotrupy z niesłychanie długimi pi-szczelami Trudno sobie wyobrazić potężniejsze straszdyła nad owe długie, bielejące na czarnem tle postacie, okolone różnobarwnie malowanymi sztachetami; widocznie zamiłowanie Rossyan do jaskrawych kolorów jest tak wielkie, że mniemają nimi odstraszyć śmierć samą. W żadnej stronie świata, u żadnego narodu nie zdarzyło mi się widzieć na cmentarzach tak rażących kolorów.

Na całej przestrzeni pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem żniwa były w pełnym biegu, wszystko co tylko żyło we wsiach, z wyjątkiem urzędników pocztowych, spieszyło w pole. Obserwowaliśmy pewnego razu, z jakim przejęciem się i zadowoleniem, jakiś pięcioletni, jasnowłosy dzieciak w brudnej, grubej koszuli z krowim dzwonkiem na szyi, babrał się około porzuconego na błotnistym gościńcu buraka.

W pobliżu innej znów wsi zoczyliśmy pasącego się spokojnie na błoniach konia spętanego w ręczne kajdanki, co naprowadzało na myśl, że wieś jest siedzibą wyzwolonych aresztantów. Przypomniawszy sobie znaną historję pewnego dzwonu*) cerkiewnego

*) W Tobolsku naprzeciw więzienia wymurowana jest wystawka, w której mieszczą się dwa przestępne dzwony. Jednym z nich jest dzwon z Uglicza, drugi zaś z Moskwy, przy odgłosie

stawiającego opór przy naciąganiu sznuru, który za tę krynabność z rozkazu rządu rossyjskiego został osmagany, a następnie wysłany na Syberję, — chciałem koniecznie dopatrzeć się pewnej wspólności pomiędzy dolą owego dzwonu i spętanego konia. Mimo wszelkich moich kombinacji, wydalenie konia za zarzut o »niebłagodiożność« wydawało mi się trochę dziwnem; i w istocie, dowiedziałem się od pocztmistrza, że zarzut wspomniany nie dotyczył tego konia, nie okazał on się wcale szkodliwym dla »porządku publicznego« albowiem zachowanie się jego w czasie wstąpienia na tron Aleksandra III. było zupełnie spokojne; utraciwszy jednakże chęć do jadła, oddał się samowolnie z pastwiska, za co też, skazany został przez swego chlebo-dawcę na dźwiganie kajdanek.

Pomiędzy stacyami Krasną rieczką i Białojarskiem w odległości około 30 km. od Aczyńska przekroczyliśmy granicę pomiędzy gubernią tomską i jenißejską; zaznacza ją słup kamienny z odpowiednimi herbami. Poczynając od granicy, dotychczasowa taksa pocztowa wynosząca od każdego konia na jedną wiorstę 1½ kop. podnosi się do 3 kop. Podwajają się więc koszta podróży, a różnicy w prędkości jazdy ani też w wygodach zupełnie żadnej. Rząd usprawia dliwiając tę podwyżkę taryfy pocztowej drożyzną paszy i produktów spożywczych w wschodniej Syberji, nie chce mieć na uwadze, że drożyzna ta dotyczy także transportowanych aresztantów, których dzienne strawne, bez względu na miejscowość, ogranicza się do 10 kopiejek. A że funt chleba w wschodniej Syberji kosztuje 8 kop., zgłodzony przeto i sponiewierany marszami aresztant, zmuszony jest w ciągu całej doby zadawałniać się 1½ funtową porcją chleba.

W czwartek 1. września, zmieniwszy konie pocztowe w Aczyńsku, rozpoczęliśmy mozolną, uciążliwą

którego, strzelcy wzywali lud do buntu przeciw Piotrowi Wielkiemu. Dzwon ten zawyrokovany został przez rząd na 50 uderzeń pełni, zdjęcie konsekracyi i wygnanie na Sybir.

(Przypisek tłumacza.)

naszą podróż po wschodniej Syberii. Kraj tu wszędzie górzysty; gościeńiec wspinał się wciąż po wysokich, lesistych grzbietach, poprzedzielanych błotnistymi, grząskimi wąwozami; deszcz nie ustawał na chwilę, a droga tak dalece rozgrzęzła, że pięć koni nie mogło podolać naszemu, ciężkiemu tarantasowi. Nawet na twardszym gościńcu było mnóstwo wyboi, wgniecionych kołami tysięcy obładowanych kibitek, zaś niedorzeczne próby mostowania bagnistych wąwozów kłocami, sprzyjały tylko podrzucaniu tarantasu. W ciągu tej pierwszej nocy zsuwałem się po kilkaset razy z siedzenia na spód tarantasu, to też w środę rano, dobiwszy po ciągłej, 20 godzinnej jeździe do Ibrulsk, uczułem się tak dalece wycieńczonym na siłach że pan Frost, obawiając się o moje zdrowie, otoczył mnie szczególniejszym staraniem. Na stacyach pocztowych wszędzie panował taki ścisk i nieład, że niepodobieństwem było szukać w nich wypoczynku; posiliwszy się herbatą ruszyliśmy do Krasnojarska. Przez całe dni cztery z braku mięsa na stacyach pocztowych, ograniczyć musieliśmy się na chlebie suchym i herbacie. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się podróżować po tak szkaradnej drodze, jaką jest Aczyńsko-Krasnojarska, z prawdziwym też zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość na stacyi w Osanowsku, że przejeżdżający tędy, przed parą dniami, nowo mianowany generał-gubernator wschodniej Syberii, hrabia Ignatiew, rozgniewany do żywego złym stanem gościńca pocztowego, niedbałego przedsiębiorcę natychmiast kazał zamknąć do aresztu. Przynajmniej raz jeden moc władzy despotycznej, użyta została na dobre.

Przebywszy w ciągu pięciu dni bez żadnych odpoczynków 370 mil (595 km.), we środę 2. września po południu dojechaliśmy do Krasnojarska. Po spożyciu dobrej wieszery w jakimś hoteliku obok poczty położyliśmy się, a nazajutrz poszliśmy w odwiedziny do p. Kuźniecowa, właściciela kopalń złotych, do którego mieliśmy list polecający z Petersburga. Na samym wstępie uderzył nas przepych i zbytek, z jakim

nie spotkaliśmy się nawet w pierwszorzędnym domach stolicy Rosyi. Służący wprowadził nas do salonu tak wykwintnie umeblowanego, że w obec niego błądy najwytworniejsze petersburskie Ów obszerny salon, z wyświeconą jak szkło podłogą zastany był w części wschodnimi kobiercami; wysokie, bogatymi frankami ozdobione okna zastawione były palmami, paprociami i pysznymi kwiatami; szczególne złudzenie sprawiały stojące pośród salonu zwierciadłowe obeliski; w czarująco pięknym, marmurowym kominku płonął ogień; na ścianach wisiały obrazy olejne pędzla sławnych artystów rosyjskich, francuskich i angielskich; tuż przy fortepianie stała rzeźbiona etażerka pełna książek i różnych utworów muzycznych; szykowne meble, mebelki, stara porcelana, rozmaite rzeźby z kości słoniowej i kosztowne bagatelki, dopełniały reszty. Nie stało nam jeszcze czasu na rozpatrzenie się w tem przepysznym otoczeniu, gdy w otwierających się drzwiach ukazał się gospodarz domu, pan Inocenty Kuźniecowa. Powitawszy nas jak najgrzeczniej, rozpoczął rozmowę poprawnym angielskim językiem. Po chwili poznaliśmy całą rodzinę państwa Kuźniecowa, składającą się z trzech braci kawalerów, i trzech niezamężnych sióstr, zajmujących wspólnie to wspaniałe pomieszkanie Panny Kuźniecowa, zarówno jak pan Inocenty władały wybornie angielskim językiem; odbyli oni podróżę po całej Ameryce, zatrzymując się w Nowym-Jorku, Filadelfii, Waszyngtonie, Saratodze, Chicago i St. Francisko. Pan Inocenty obznajomiony był lepiej odemnie ze Stanami zjednoczonymi, objechał dwukrotnie cały Kontynent, odbywał polowanie na bawoly, spotykał się z generałem Scheridanem, Buffalo Billeem, kapitanem Jackem i innymi znakomitościami, i zwiedził najodleglejsze okolice Jellowstone-Park i Staked Plains.

Nie wyobrazi sobie czytelnik jaką przyjemność sprawiło nam — po wielomiesięcznej nużącej poniewierce — spotkanie się z wytwornym pomieszkaniem państwa Kuźniecowa i tak doborowym towarzystwem. W ciągu też kilkodniowego pobytu naszego w Krasno-

jarsku byliśmy nieodstępniymi gośćmi tych państwa, bawiąc się z paniami, słuchając gry na fortepianie i rozmawiając swobodnie o rzeczach nie dotyczących przykrych scen więziennych. Z ciekawością i zajęciem przyglądałem się szkicom szczątków roślinnych, napotkanych w pokładach »skał malowanych«, które to szkice, właśnie podczas mojej obecności u pana Kuźniecowa, przywiózł mu był pan Sawczukow, dyrektor szkoły normalnej w Krasnojarsku. Pan K., z całym zajęciem rozprawił o archeologii i posiadał szacowne zbiory wykopalisk kamiennych i bronzowych z różnych okolic gubernii.

W czwartek, zrobiliśmy wycieczkę do klasztoru leżącego po lewym brzegu Jenisseju, w odległości 6 km. od Krasnojarska. Droga owa, arcydzieło sztuki budowlanej mnichów, prowadzi wązowami wykutymi w stromych nadbrzeżnych skałach, to znów wspina się po mostach rzuconych wysoko po nad rzeką. Z każdego zakrętu rozciąga się uroczy widok na olbrzymią rzekę, która krocząc majestatycznie pomiędzy wysokimi skałami, półtora kilometrowej szerokości wstęgą, niesie w dalszym ciągu swe wody, do oceanu Lodowatego.

Nasi przyjaciele starali się obmyśleniem przeróżnych przyjemności zatrzymać nas jak najdłużej w Krasnojarsku, spóźniona jednak pora roku nagliła nas w drogę. Nie łatwo jednak przychodziło wziąć rozbrat z tyłoma projektowanymi zabawami i z tak przyjemnym towarzystwem, i oddać się znów na pastwę niewygód, udręczeń i bezsenności, nieodłączonych towarzyszy oczekującej nas 1930 kilometrowej podróży. Nie można było zwlekać; postanowiliśmy też jechać.

Wyładowawszy nasz zabłocony tarantas — widok którego straszyl nas podobnie, jako zbrodniarza przebyte już katusze — zapasami pieczywa, herbaty i zdawkowej monety, ruszyliśmy trójką pocztową do Irkucka. Dzień był przyjemny, słoneczny, chociaż pożółkłe, opadające z drzew liście oznajmiały późną jesień, topole i osiki przystroiły się czerwienią, a pożół-

kłe brzozy, malowniczymi grupy występowały pośród otaczających je, ciemno-zielonych jodeł i świerków. Na dolinach przyrzecznych i stokach gór, zwijali się żniwarze, inni robotnicy wiązali w snopy pszenicę i żyto, lub też składali w kopy. W sobotę, niedzielę i poniedziałek jechaliśmy dniem i nocą, zatrzymując się na stacyach tylko dla zmiany koni, w środę jednak, tarantas wypowiedział posłuszeństwo, co zmusiło nas do zatrzymania się w Kamyszecku, wsi odległej od Irkucka o 500 km. W pobliżu stacji pocztowej odszukaliśmy kowala, który przy pomocy swej córki, tegiej dziewczuchy, zabierał się do przybicia koniowi podkowy. Nie łatwa to była sprawa, zastraszone zwierzę drżąc ze strachu, wierzgało tylnymi nogami, to znów stawało dęba, podniesiono więc je na pasach i w ten sposób okuto. Zauważyłem, że konie sybirskie w ogóle bronią się przed kuciem, przyczyną czego jest zapewne częste ich zagwałdzanie przez niezręcznych kowali.

W czasie naprawy naszego tarantasu nadjechała na stację poczta przesyłkowa moskiewska. Wszystkie przesyłki pocztowe w Rosyi przewożą się w wielkich worach skórzanych, zamykanych na kłódki. wozy zaś pocztowe eskortowane są przez uzbrojonych pistoletami pocztylionów. — O ile mi wiadomo, rosyjskie poczty przyjmują pakunki bez ograniczenia wagi — sam nawet wysyłałem pocztą skrzynkę 40-funtową — stąd też pociągi konne pocztowe liczą nieraz do kilkunastu furgonów.

Do Irkucka przychodzi codziennie poczta moskiewska, odchodzi zaś trzy razy tygodniowo. Ponieważ w państwie rosyjskiem pierwszeństwo użytkownika ekwipażów pocztowych służy rządowi, zmuszeni przeto byliśmy czekać do godziny 2 z południa na konie, które wszystkie zajęte zostały pod pocztę urzędową. Stąd podążaliśmy do Irkucka bez żadnych noclegów, zatrzymując się chwilowo na drodze dla zwiedzenia domów etapowych, lub przypatrzenia się brodzącym po błotnistym gościńcu wśród ulewnych deszczów, transportom aresztantów, skazanych do ciężkich robót

Posuwały się one żółwim krokiem, zużywając dwa miesiące czasu na przebycie tej samej odległości, którą końmi odbyliśmy w ciągu niespełna ośmiu dni. O bezprzykładowym udźwignieniu tych ludzi świadczyły najwyraźniej wynędzniałe ich twarze.

Trudno jest przedstawić sobie tę straszną nędzę i poniewierkę, na jaką narażeni są wygnańcy w ciągu całej, długotrwałej swej pielgrzymki. Niejednokrotnie zdarzało mi się spotykać transport, brodzący po błotnistym gościńcu wśród deszczów i wichru; lub też po domach etapowych, gdzie ludzie leżeli na barłogu jak istotne bydłeta; zwiedzałem lazarety, w których przebywali chorzy, pozbawieni w ciągu całych tygodni pomocy lekarskiej i wszelkiej opieki. Nieraz też, rozmawiałem o sprawach więziennych z wykształconymi urzędnikami, obeznanymi dokładnie z całym systemem wygnania. Wszystko doprowadziło mnie do niezbitego wniosku, że ów system, będący źródłem tylu mąk i cierpień człowieczych, nie znalazłby uznania w całym cywilizowanym świecie, z wyjątkiem państwa rosyjskiego. Do nędzy wygnańców przyczynia się w części nieczułość, niedbalstwo i przekupność wielu urzędników, przeważnie jednak jest ona koniecznym następstwem ohydneho i okrutnego systemu, czemu zaradzićby można jedynie zamianą wygnania na Sybir jakimi innymi karami. Wszakże i powrót pieszo z wschodniej Syberyi 6 do 8 000 ludzi różnej płci i wieku, nawet przy sprzyjających warunkach, połączony jest z wielkimi trudnościami. Samo już wycieńczenie cielesne pociąga za sobą ruinę zdrowia, a cóż dopiero, gdy przyłączy się do niego zła strawa, zepsute powietrze i wiele innych warunków nieodstępnych życiu etapowemu; nie powinno też dziwić nikogo tak częste wypadki śmierci między transportowanymi: podziwiać raczej należy, że tyle ich jeszcze zostaje przy życiu.

Transporta aresztantów, wyprawiane z Tomsku w czerwcu i sierpniu, nadciągają do Irkucka w jesieni wśród śłot i przymrozków. Aresztantom zżywa na cieplejszej odzieży, a jedyną ich ochroną przeciw de-

szczom, gradom i przenikliwym wiatrom są rzadkie, sukienne chałaty. Przedstawmy sobie transport wygnańców, podążający ku Krasnojarsku podczas północno-wschodniej burzy. Deszcz leje jak z cebra; wszyscy, nie wyjmując chorych i niemowląt, przemoczeni do ostatniej nitki. W niektórych miejscach lepkie błoto tak dalece lgnie do nóg, że na przebycie jednej mili potrzeba dwóch godzin czasu. Aresztanci obciążeni kajdanami, nawet wśród zimna pocą się ze znoju, brodzą też oni — w braku obuwia — boso po zimnym błocie. Rząd powodując się oszczędnością, nawet w porze jesiennej odmawia aresztantom butów z cholewami, dając im natomiast łapcie «koty», sporządzone po fuszarsku z najłuchszego materiału.

Jeden z wyższych urzędników bióra transportowego mówił mi, że aresztanci wyprawiani z Tomsku lub z Krasnojarska w nowych trzewikach, zdzierają je w ciągu dwóch tygodni, przychodząc na miejsce częstokroć hoso. Dobrze nawet obowie wystarczyłoby wtedy tylko na czas oznaczony, gdyby dopasowane było do nogi lub też do niej przytroczone; tymczasem to, które zwykle otrzymują aresztanci, jako zbyt obszerne, utrudnia chód, przydeptuje się i spadając z nóg, pozostaje w grzązkich kałużach. W każdym transporcie można widzieć mnóstwo aresztantów, którzy gubią trzewiki na drodze, lub też dla ułatwienia sobie chodu, niosąc je w rękach, brodzą na bosaka całymi dniami po zimnem, rozmazanem błocie.

Skoro ci przemoczeni, zziębnięci i zgłodniałi ludzie zatrzymają się w jakiej przydrożnej wioszynie wówczas wysyłają swego starostę, czyli przedstawiciela do oficera etapowego z prośbą o pozwolenie śpiewania pieśni jałmużniczej. Otrzymawszy pożądaną odpowiedź wybierają z pomiędzy siebie jałmużników, którzy obnażywszy głowy, wloką się po ulicy chwiejnym krokiem, zdradzającym ostateczne wycieńczenie i odwołują się do litościwych serc z prośbą o jałmużnę.

Do końca życia mego nie zapomnę wrażenia, jakie wywarł na mnie ów śpiew. Pewnego posepnego,

ostrego poranku jesiennego, gdy w brudnej pocztowej izbie oczekiwaliśmy koni, nagle obity się o uszy nasze jakieś dźwięki, sięgające do głębi samej duszy; zdawały się one niby wychodzić z piersi ludzkich, ale zupełnie odmienne od tych, jakie kiedykolwiek bądź słyszałem. Była to szczególna jakaś mieszanina zwykłego śpiewu kościelnego, i głębokiej, bezgranicznej skargi. Wyszliśmy przed dom i zoczyli około stu wygnańców z odkrytymi głowami, otoczonych łańcuchem żołnierzy, śpiewających » jeśu jałmużniczą«. Szli oni w nieładzie, nie kusili się bynajmniej brać jednocześnie pojedyncze słowa pieśni; na końcach wierszy nie robili żadnych przystanków, tak, że nie mogłem doszukać się w tym śpiewie żadnego rytmu. Śpiewacy zdawali się nieu-tanna, lekką modulacją zwrotek przerywać tę długą, smętną melodyę. Śpiew robił wrażenie kanonu, lub też kolejnego wtóru, stu skargą i bólem odzywających się piersi człowieczych.

Słowa głosiły:

Mieście litość nad nami!
 Nie zapominajcie o ginących ze znużenia!
 Nie zapominajcie o więźniach!
 Dajcie nam chleba, wesprzyjcie nas!
 Pomóżcie opuszczonym biedakom!
 Mieście litość tatulu!
 Mieście litość mamulu!
 Na miłość Chrystusa zlitujcie się
 Nad uwięzionymi!
 Po za murem, po za kratą,
 Pod kluczami, wrzeciagdzami
 Umieramy biedni!
 Oderwani od ojców i matek,
 Od krewnych i przyjaciół,
 Nieszczęśliwi więźniowie!
 Mieście litość nad nami!

Mimo braku harmonii i pominięcia prawideł sztuki, błagalna ta odezwa do serc ludzkich o miłosierdzie, oddziaływa tak silnie na organizm człowieczy, że w ży-

ciu mojem nie słyszałem nic podobnie przygnębiającego i niewypowiedzianie smutnego; wszystek ból, troska, nędza, smutek, jakie przeżyły i przetrwały w sobie całe pokolenia istot człowieczych w etapowej poniewierce, w więzieniach i kopalniach, znalazły tu swój wyraz.

Podczas gdy więźniowie posuwali się naprzód wolnym krokiem po błotnistej wiejskiej ulicy, w rozwierających się drzwiach domów pokazywały się dzieci i wieśniaczki, z chlebem, mięsem i jajami, co wszystko składali w worki czterech wygolonych aresztantów jałmużników. Brzęczenie kajdan i żałośne głosy wygnańców słabły stopniowo, wreszcie znikwały w dali. Wróciliśmy do budynku pocztowego, ale na sercu mojem osiadła taka troska, że brzemień życia wydało mi się wielokrotnie cięższym niż dotychczas.

Na pierwszym przystanku, aresztanci pokrzepiwszy się nieco zakąską, ruszali w dalszą drogę, i dopiero późnym wieczorem spożywali wiecezrę w więzieniu etapowem. Większość z nich, przemoczona do ostatniej nitki, drząc z zimna, przesuszywszy trochę odzież skupili się na narach i podłodze. Niektórzy sięgnęli do swych worków po zapasową bieliznę, ale ta, okazała się na wskróś przemoczoną. Gdyby rządowi niezupełnie obojętne było zdrowie wygnańców, to postarałby się przynajmniej o zaopatrzenie ich derkami. Bagatelny ten wydatek zabezpieczyłby wiele set ludzi wśród całodziennych trzydziestokilko-kilometrowych marszów od przemoczenia, a każdy z nich mając po kilka sztuk zapasowej bielizny, mógłby ją zmieniać na etapach. Malenki ten wydatek pokryłyby koszta ponoszone na pogrzeby tych nieszczęśliwych, których taka mnogość umiera przedwcześnie na zapalenie płuc i suchoty, a czemu można by zapobiedz pokrywając wozy skórą lub wreszcie smolonem płótnem.

Wielu z niższych urzędników radziłyby zapobiedz złemu, lecz nie są w stanie zadość uczynić najlepszym swym chęciom; wpływowi zaś, którym z łatwością przyszyłoby polepszyć oplakaną dolę aresztantów, trzy-

mają się zupełnie na uboczu. W ciągu całego mojego pobytu w Syberii zapytanie — dla czego tak się dzieje? — nie schodziło z ust moich. — Wiele to razy przedkładałem rządowi — rzekł do mnie pewien wyższy urzędnik bióra transportowego — ażeby aresztantów nie odstawiano pieszo, lecz furmankami. Udo wodniłem cyframi, że ten sposób transportowania więźniów w porze letniej z Aczyńska do Irkucka wypadnie nawet taniej niż piechotą, w takim razie zyskuje się na czasie, odzieży i kosztach utrzymania, co wszystko razem, zmniejszy dotychczasowy wydatek o 14 rs. od głowy. — Dla czego — spytałem owego urzędnika. — rząd nie posłuchał pańskiej rady?

Zamiast odpowiedzieć, wzruszył tylko ramionami.

— Protestowałem po dwakroć — mówił znów inny urzędnik — przeciw przyjmowaniu od przedsiębiorców dostaw, jeżeli nie odpowiadają pierwowzorom, ale daremnie. Zamiast dobrego obuwia, dostarczają tak liche, że po dwóch niespełna tygodniach odpadają podeszwy tak, że transportowani są zmuszeni iść bosą. Niestety, sam nic zdziałać nie mogę, nie mając poparcia u zwierzchności.

Podczas mojego pobytu w Irkucku, zszedłem się raz w mieszkaniu radcy Piotrowa, zastępującego wtedy gubernatora, z inspektorem traktu wschodniej Syberii, pułkownikiem Zagarinem. Otóż ten ostatni prosił pana Piotrowa, ażeby dostawione przez przedsiębiorcę liche obuwie, zechciał porównać z pierwowzorem. Oszukaństwo było widoczne, a skutki jego odezwały się szkodliwie na zdrowiu tysięcy wygnańców, dla których obuwie to było przeznaczonem.

W pięć miesięcy później spotkawszy się z panem Zagarinem, spytałem go, czy protest jego w sprawie obuwia osiągnął jaki skutek?

— Żadnego zupełnie — odrzekł.

— Czy w istocie, obuwie to rozdano do użytku aresztantom? — spytałem.

— Tak jest — odpowiedział i zamilkł. Mógłbym przytoczyć tu wiele przykładów, potwierdzających

oszukaństwo urzędowe, odzywające się na zdrowiu wygnańców w sposób istotnie zabójczy. Ale co to pomoże; najwymowniejszymi świadkami tego co się dzieje, są wykazy szpitalowe i statystyka zmarłych. Setki aresztantów płci obojej i różnego wieku dotkniętych w podróży chorobą, wiozą na trzęsących kibitkach przez dni czternaście do Aczyńska lub Irkucka, gdzie w lazaretach spotykają się częściej ze śmiercią, niż odzyskują zdrowie.

Jestto prawdziwem barbarzyństwem biednego chorego na tyfus, lub zapalenie płuc wlec wśród mrozów w niektórych kibitkach; ale cóż tu pomoże nawet dobra wola oficera? Prowadząc transport z całą swoją załogą, nie może on pozostawić chorego bez żadnej pieczy w pustym domu etapowym, chcąc nie chcąc ciągnie tych nieszczęśliwych do odległego lazaretu.

Jeżeli udęczenia, jakich doznawaliśmy w podróży po sybirskim gościńcu, nam samym niejednokrotnie odbierały odwagę, to jakież okrutne cierpienia muszą być owych śmiertelnie chorych ludzi, znajdujących się w nierównie gorszych warunkach, których jedyną i ostatnią nadzieją jest spotkanie się z zarażonym lazaretem. Pan Gałkin Wrasskoj, główny naczelnik wszystkich więzień w Cesarstwie rosyjskiem, w urzędowym swym raporcie do ministra spraw wewnętrznych, w ten sposób przedstawia stan lazaretów pomiędzy Aczyńskim i Irkuckiem

»Do r. 1885 nie pomyślano nawet o lazaretach dla chorych, transportowanych etapem; nie starano się też o lekarzy i felczerów. Według § 5, rozdziału 363 »ustawy względem wydalonych«, lekarze cywilni i wojskowi obowiązani są badać chorych w kwaterach oficerów etapowych. Na cywilnych lekarzach zbywa zupełnie; zaś we wsiach etapowych w Szaragułach, Bierusińsku i Tiretsku, są wyłącznie lekarze wojskowi. W tych miejscowościach znajduje się tylko po sześć łóżek dla chorych żołnierzy. Od roku 1885, wszystkich aresztantów, dotkniętych w drodze chorobą pozosta-

wiają w jednym z trzech wzmiankowanych etapów*). Leczenie wszakże odbywa się nie w lazaretach wojskowych lecz w celach więziennych. Lokale, w których mieszczą się wszyscy chorzy aresztanci płci obojej i różnego wieku, jaknajmniej odpowiadają swojemu przeznaczeniu. Przedewszystkiem zbywa tu chorym na łózkach, pościeli i pielęgnowaniu**).

W takich warunkach chory mało może liczyć na odzyskanie zdrowia; to też pomiędzy Tomskiem a Irkuckiem wymiera aresztantów 12—15%***).

Położenie tych nieszczęśliwych ludzi jest istotnie rozpaczliwe; nie należy się też dziwić, że wielu z nich stawiając życie na kartę, ratują się ucieczką. Doświadczeni włóczędzy lub recydywiści, otwierają sobie drogę do wolności zamianą nazwisk z osiedleńcami. Zdarza się też czasem, że kilku odważniejszych, zmówiwszy się z sobą, przy okrzyku hurra! rzucają się na przebój; żołnierze zwykle strzelają do zbiegów i kilku kładą trupem. Czasami też udaje się ucieczka a zwłaszcza, jeżeli dom etapowy stoi pod lasem a żołnierze strzelają na chybił trafił. Zbiegi ukryci w lesie rozkuwają się z kajdan i skoro tylko transport, do którego należeli, ruszy ze stacyi, uchodzą spiesznie włóczęgowskimi manowcami na zachód ku Uralowi.

*) Odległości pomiędzy tymi domami etapowymi wynoszą od Aczyńska do Bierusińska 566 km.; od Szaragulu do Tyretska 223 km. Transportowani robią tygodniowo w przecięciu 128 km.

***) Raport p. Galkina - Wrasskiego dyrektora oddziału więziennego (r. 1885).

****) W 1883 r. pomiędzy Tomskiem i Aczyńskiem zmarło w 21 dniach, 70 transportowanych wygnańców. (Raport inspektora traktu zachodniej Syberyi 1884. str. 32 i 33.)

IX.

Życie wygnańców administracyjnych.

Mówiąc o »wyznaniu porządkiem administracyjnym« zestawilem szereg faktów, rzucających światło na sposób postępowania rządu rossyjskiego z osobami podejrzanymi politycznie. Obecnie mojem zadaniem, będzie naszkicowanie sposobu życia wygnańców politycznych na osiedleniu.

Doraźne wydalenie »podejrzanych« obywateli rossyjskich bez poprzedniego sądu lub też badań, datuje się od ostatnich lat panowania Aleksandra II.*) jednakże w latach 1878 i 1879, gdy gorąca walka pomiędzy policją i terorystami przybrała niezwykle rozmiary, wydalano na Syberję całymi dziesiątkami wszystkich wolnomyślących ludzi, lub też współczujących rewolucjonistom. Pochwyliła policja u jakiegoś młodzieńca zakazaną książkę lub egzemplarz »Gońca woli narodu«, a bezzwłocznie wyganiano go z kraju.

*) Podając powyższe daty wygnania, autor miał na oku ruchy polityczne w samej Rosyi. Co się tyczy Polski, to poczynając od czasów Katarzyny II., Syberja stała się Golgotą i cmentarzem dla najwierniejszych synów Ojczyzny. Zdaje się, że unosząca się z tych lodowych mogił magiczna mgła, zaciążywszy złowrogą chmurą nad grodami carów, przypomina dotykalnie, że po wymordowanych rycerzach i męczennikach wolności pozostaje jakaś moc święta, przed którą — jak mówi Lilla Weneda do króla zwycięzcy — ty drzeć musisz i próżno swe lica krwią cudzą rumienić.
(Przypisek Włomacza.)

Podobnyż los oczekiwał każdego studenta, który poważił się na wieczornych zebraniach pouczać robotników o rzeczach ich obchodzących i pożytecznych. Udało się policyi podpatrzeć w jakim mieszkaniu prywatnem zebranych kilka osób, wnet nazwiska ich wpisywano na listę »podejrzanych«, a w razie ponownej schadzki, ludzie ci, jedynie za czytanie dzieł takich, jak Herberta Spencera lub Johna Stuarta Milla, uznawani przez rząd za niebezpiecznych dla »porządku publicznego«, wydalani byli na Syberję. Przyjaciele, krewni i inne osoby podtrzymujące stosunki znajomości z rewolucjonistami, wszystko to podlegało doraźnemu wydaleniu, i na długo jeszcze przed zabójstwem Aleksandra II., aresztowano około ośmiu tysięcy młodzieży, należącej do różnych kółek towarzyskich i bez żadnego sądu, li tylko z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych wygnano z kraju. — W końcu roku 1880, w całej prawie Syberyi nie było jednej wsi nawet, gdzieby nie znajdowało się choć kilka osób, wygnanych porządkiem administracyjnym, zaś w Tarze, Tiukalińsku, Iszymie, Jałutorowsku, Siemipalatyńsku, Kokezetowie, Akmolińsku, Kurhanie, Surgucie, Uść-kamienogórsku, Omsku, Tomsku i Berezowie, zamieszkują całe rodziny podobnych złoczyńców.

Nie było jeszcze wówczas żadnych przepisów, ani też prawideł urzędowych, określających stosunek władz urzędowych do wygnańców administracyjnych. Wygnanie porządkiem administracyjnym uważane było przez rząd jedynie jako środek ostrożności, skierowany ku osobom »podejrzanim politycznie«, ten wszakże środek jako nadzwyczajny, mógł być zastosowanym z całą dowolnością. Wygnanie porządkiem administracyjnym mogło trwać rok jeden, lat kilka lub też całe życie; władzom służyło prawo osiedlania wygnańców na wypalonych żarem słonecznym stepach irtyszkich, lub też w lodowej pustyni jakuckiej, mogły go traktować jako małoletniego młodziana, jak zawyrokowanego osiedleńca, wreszcie jako istotnego przestępcę, a że nie było jeszcze wówczas dla

wygnańców politycznych żadnej ustawy sankcyonowanej przez władze prawodawcze, którą to ustawę zastępowała wola ministra spraw wewnętrznych, położenie ich tedy było gorszem, niż istotnych przestępców, którzy wiedzieli przynajmniej o przyczynie swej kary i czasie jej trwania. Powtóre, stosunek przestępcy do rządu był określony ustawą, zasłaniającą go od nadużyć władz sybirskich, wygnańca zaś administracyjnego wyzuto z wszelkiej opieki, dla niego nie istniały żadne prawa, oddano go na pastwę samowoli władz, które względnie do własnego uznania mogły go przetrzymać na wygnaniu lat dziesiątki; nie czując się wolnym obywatelem kraju, ani też przestępcą, wygnaniec nie mógł być świadomym granic, do jakich sięga względem jego osoby upoważnienie władz miejscowych. Wszystko, cokolwiek określać mogło stanowisko wygnańca do władz, mieściło się wyłącznie w »tajnych« okólnikach, wydawanych od czasu do czasu przez ministra spraw wewnętrznych; wszelkie jednakże tego rodzaju ograniczenia samowoli władz, jeżeli mogły mieć jakie znaczenie, to chyba słowne, nadto, stawały one ze sobą w zupełnej sprzeczności, władze zaś, mało zwracając uwagi na przepisy dodatkowe, czyniły wszystko podług swego własnego widzimisię. W jednych miejscach wygnańcy zmuszeni byli udawać się codziennie do bióra policyi i meldować się osobiście isprawnikowi, w innych znów, władze policyjne dręczyły ich nieustannymi upokarzającymi nawiedzunami, płańdrowano po mieszkaniach, nie szczędząc sypialni kobiecych nawet w porze nocnej. Jeden isprawnik pozwalał wygnańcom leczyć chorych, dawać lekye dzieciom mieszkańców miast lub wsi, inny znów za nauczanie dzieci, lub też dany choremu proszek chininy zamykał ich do więzienia. W Uść-kamienogórsku isprawnik pozwalał wygnańcom wydalac się po mil kilka za granice miasta i to bez żadnego opowiedzenia się, podczas gdy w Iszymie pewnego wygnańca politycznego za samowolną wycieczkę do pobliskiego lasu na jagody, wydalono aż do ziemi jakuckiej. Wszędzie

i na każdym kroku mnóstwo wątpliwości i nieporozumień, prowadzących do nieustannych starć pomiędzy władzami i wygnańcami. Taki stan rzeczy trwał do r. 1882, w którym car wydał urzędowe rozporządzenia, dotyczące wszystkich osób oddanych pod nadzór policyjny*). Zatrzymam się umyślnie nad owymi rozporządzeniami, i wykażę przykładami wpływ ich na życie wygnańców politycznych w Syberyi. Rozporządzenia te, obejmujące 40 rozdziałów, zajmują 5 stron nie duku in octavo. Rzecz szczególna, że w rozporządzeniach tych, wydanych dla osób wygnanych porządkiem administracyjnym, nie ma najmniejszej wzmianki o »wyznaniu« i »Syberyi«. Widocznie autora tych rozporządzeń nabawiła wstydem myśl, że stosują się one do osób, wygnanych z kraju bez żadnego sądu. Całe rozumowanie tego dokumentu streszczone jest w następujących słowach:

»Osoby wydalone do miejsc im przeznaczonych, podlegają w ciągu całego swego tam pobytu nadzorowi policyjnemu«. (Rozdz. 2).

W niewinnem tem orzeczeniu nie ma wzmianki, że owem »miejscem naznaczonym« dla osób wydalonych jest o 5.000 mil odległa, kręgu biegunowego sięgająca, ziemia jakucka. Czytelnik, nie umiejący się połapać na słówkach, może wielokrotnie przewertować ów dokument od deski do deski, i nie przejdzie mu przez myśl, że tu mowa o kobietach i mężczyznach deportowanych bez żadnego sądu do granicy mongolskiej lub do jurty jakuckich, porzrzucanych po bezmiernem, lodowem pustkowiu. Autor owego regulaminu kładzie szczególny nacisk na nadzór policyjny, pozostawiając na uboczu z całą naiwnością wszystko to, co dotyczy »naznaczonego miejsca pobytu«.

Sami nawet Rosyianie mieliby się więcej na baczności wobec tych przepisów, gdyby one nosiły właściwy sobie, następujący nagłówek: »rozporządzenia

*) »Rozporządzenie o policyjskim nadzorze«. (Rozporządzenie o nadzorze policyjnym). Zatwierdzone przez cara 12. marca 1882.

dotyczące sposobu postępowania władz z osobami wydalonymi na Syberję bez sądu, li tylko z rozkazu ministra spraw wewnętrznych«. Głównym jednak orzeczeniem, »wydalony na Syberję bez żadnego sądu« brzmi niekoniecznie dobrze; mogłoby ono obrazić najdelikatniejsze uczucia, dlatego też pominięto je ogólnikiem: »osoby szkodliwe dla porządku publicznego mogą być wydalone do miejsc im naznaczonych«.

Jeżeli obywatel rossyjski, który nie popełnił żadnego czynu karygodnego, może być aresztowany i wydany z kraju na długie lata aż na krańce Syberyi, to mimowoli nastrecza się tu następujące zapytanie: Do jakiego to życia zmuszają tego człowieka? W jaki sposób prawo zabezpiecza mu utrzymanie? Co mu pozwalają czynić, a czego wzbraniają? W jaki sposób będą się tam z nimi obchodzić? Na każde z tych pytań, »rozporządzenia o nadzorze policyjnym« mają gotową odpowiedź: a że wszystkie urzędowe odpowiedzi muszą być, rozumie się, wiarogodniejsze, niż stron przeciwnych, wypada mi przeto przytoczyć tu owe rozporządzenia, nazywane czasami żartobliwie przez wygnańców, ich »konstytucją«, albo też »uzupełnieniem praw«. Rozporządzenia te opiewają:

»Wydalenie pod nadzór policyjny nie może trwać nad lat pięć«. (Rozdz. 3).

»Każdemu wygnańcowi po przybyciu na naznaczone miejsce, winien być wydany paszport i dokument dodatkowy, mieszczący jego nazwisko, powołanie i miejsce poprzedniego zamieszkania; prócz tego władze winne są zawiadomić rzezoną osobę o dozwolonym jej pobycie w mieście lub na wsi. (Rozdz. 5).

»W razach koniecznych, policja stosownie do swego uznania, może udzielić wydalonej osobie pozwolenia na czasowe oddalenie się po za granice wsi lub miasta, wyjazd wszakże po za granice okręgu wymaga pozwolenia gubernatora, zaś z jednej gubernii do drugiej, ministra spraw wewnętrznych. (Rozdz. 8).

»Wyznaniec administracyjny po uzyskaniu pozwolenia na wyjazd, powinien być zaopatrzony paszportem

i marszrutą; nie wolno mu jest nigdzie zatrzymywać się; w razie choroby, obowiązany jest zawiadomić o tem najbliższe władze urzędowe; w przejeździe przez wsie i miasteczka winien się meldować osobiście władzom urzędowym; jeżeliby podróżujący wygnaniec niewłaściwem swem zachowaniem się, zwrócił na siebie uwagę władz, to są one upoważnione aresztować go w każdej chwili i odstawić do miejsca osiedlenia, bez względu na jego paszport i dokument podróży«. (Rozdz. 9 — 16).

»Wygnaniec administracyjny powinien stawić się osobiście na każde wezwanie policyi«. (Rozdz. 17).

»Władze policyjne są upoważnione wchodzić w każdej porze do mieszkania wygnańca, zarówno dniem jak i nocą odbywać rewizję, zabierać i wszystko, cokolwiek uznają za właściwe. (Rozdz. 19).

»Administracyjny wygnaniec nie może zajmować żadnej posady rządowej, nie wolno mu wstępować w służbę do żadnych towarzystw, ani też jakichkolwiek bądź insytlucyi gminnych bez szczególnego pozwolenia ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 21).

»Administracyjny wygnaniec nie może być założycielem żadnego towarzystwa prywatnego, przewodniczącym, ani też jego członkiem, bez uzyskania na to pozwolenia ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 32 i 33).

»Administracyjny wygnaniec nie może pod żadnym warunkiem rozwijać swej działalności w kierunku pedagogicznym, nie wolno mu jest utrzymywać terminatorów rzemieślniczych, ani też zajmować się nauczaniem, nie wyjmując sztuk wyzwolonych; nie wolno mu jest miewać żadnych odczytów publicznych. Nie może on być właścicielem zakładu fotograficznego, litograficznego, drukarni i wypożyczalni książek, nadto w żadnym z wyż wymienionych zakładów, nie wolno mu jest pełnić obowiązków nadzorcy, pisarza, lub też współpracownika. Nie wolno mu jest trudnić się wydawnictwem, sprzedają książek, czasopism, ogłoszeń

ani też druków; nie może utrzymywać szynków, kawiarni, piwiarni, ani też zajmować się sprzedażą trunków spirytualnych«. (Rozdz. 24.)

»Administracyjnym wygnańcom nie wolno jest bez uzyskania szczególnego pozwolenia ministra spraw wewnętrznych zajmować posady nauczycieli w szkołkach państwowych, prywatnych i wszelkich innych zakładach naukowych«. (Rozdz. 25.).

»Administracyjnym wagnańcom wzbroniony jest wstęp do sądów, nie mogą oni występować w roli obrońców, choćby nawet w sprawie własnych swoich rodziców, żon i dzieci. Wygnańcom z powołania lekarzom, chirurgom, akuszerkom, aptekarzom i chemikom dozwolona jest praktyka tylko za szczególnem pozwoleniem ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 26. i 27.).

»Wszystkie inne zajęcia pominięte niniejszem regulaminem, dozwolone są politycznym wygnańcom, gubernator wszakże jest w prawie wzbronienia każdemu wygnańcowi prowadzenia nadal rozpoczętego przez niego interesu, jeżeli ten oddziaływałby niekorzystnie na miejscowe stosunki lub też zagrażał naruszeniu porządku publicznego«. (Rozdz. 28).

»Ministrowi spraw wewnętrznych przysługuje prawo oddawania pod cenzurę policyjną telegramów i listów, adresowanych do wygnańców politycznych, albo wreszcie całkowitej korespondencji«. (Rozdz. 29).

»Przekroczenie prawideł, objętych rozdziałem I — 29, karane będzie więzieniem od dni trzech do jednego miesiąca. Administracyjni wygnańcy, wydalający się samowolnie po za granicę miejscznaczonych, będą sądzeni i karani podług rozdziału 63 zbioru praw, o czem rozstrzyga sędzia pokoju«. (Rozdz. 32).

»Administracyjni wygnańcy pozbawieni środków pieniężnych na utrzymanie siebie lub też swoich rodzin, towarzyszących im dobrowolnie do miejscznaczonych, uzyskują fundusze od rządu. Wygnańcy, nie mogący sobie znaleźć żadnego zajęcia z przyczyny złego prowadzenia się, lub też niedbałstwa, nie będą otrzymywać od rządu, żadnej zapomogi«. (Roz. 33 — 37)

»Administracyjni wygnańcy tudzież ich rodziny w razie choroby leczenia będą w szpitalach kosztem rządu«. (Rozdz. 38).

»Administracyjni wygnańcy, nie mający własnych funduszków na koszt powrotu do kraju, otrzymają je z kas rządowych, w myśl cesarskiego reskryptu z dnia 10. stycznia 1881 roku, zgodnie z uznaniem ministra spraw wewnętrznych«. (Rozdz. 40).

Tak opiewa w streszczeniu owa wygnańcza »konstytucya«. Powypuszczałem tu rozmyślnie dwuznaczne i w błąd wprowadzające wyrażenia: »osoby zostające pod nadzorem policyjnym«, »wydalenie do miejscznaczonych«, »wydalenie« »miejsca wydalenia« zastępując je właściwymi. Omówienia te nie mają żadnej racji bytu. Czyż bowiem złagodzi cierpienia nieszczęśliwej matki wiadomość, że syn jej nie został »wygnany« lecz »wydalony do naznaczonego mu miejsca«, tam, gdzie kapitan De Long z częścią załogi zginął z głodu i zimna!

Gdy wygnaniec administracyjny, po wielotygodniowej a nawet wielomiesięcznej podróży, dowlecze się wreszcie do jakiegoś miasteczka lub też wioski sybirskiej, naznaczonej mu na »miejsce zamieszkania«. wówczas prowadzą go do urzędu policyjnego, gdzie zaopatrzony zostaje kartą wolnego pobytu, dodatkowym do niej dokumentem, i jednym egzemplarzem drukowanych »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego«. Jednocześnie ostrzega go władza miejscowa, że wzbroniono mu przestępować granic wsi, że korespondencya jego znajduje się pod kontrolą policyi, i że w oznaczonych terminach ma meldować się osobiście naczelnikowi policyi, lub też stawiać się na każde wezwanie urzędnika, mającego nad nim nadzór. Pierwszem rozumie się zadaniem wygnańca, jest znalezienie sobie jakiego poddasza; szuka go też, niewypuszczając z ręki paszportu wygnańczego i »rozporządzeń«. W dokumencie wolnego pobytu nie ma wprawdzie żadnej wzmianki, że właściciel jego jest wygnańcem politycznym, — w całej wsi jednak wiadomo jest

każdemu, że go przyprowadzono pod strażą, — a jako takiemu, żaden gospodarz nie rad wynająć mieszkania. Polityczny wygnaniec, — rozumuje sobie każdy wieśniak — jest człowiekiem wcale niebezpiecznym; policya ma prawo nachodzić jego mieszkanie dniem i nocą; wszak widok policyanta w każdej niemal godzinie nie jest nikomu miłym, zresztą może on włożyć obowiązek na gospodarza, ażeby baczył na swego lokatora, donosił o jego sposobie życia i sprawowaniu się, a w danym razie każe mu za niego odpowiadać. Zważywszy to wszystko, dochodzi do wniosku, że lepiej jest nie mieć nic wspólnego z osobą, o której wie się tyle tylko, że zostaje pod nadzorem policyjnym. Błąkając się tak od domu do domu, i witany wszędzie podejrzeniem a nawet obawą, przekonywa się coraz lepiej, że osiedleńcy słusznie nazywać zwykli kartę wolnego pobytu »wilczym paszportem«.

Wreszcie, udało się wędrującemu wygnańcowi przy pomocy którego z swych towarzyszy wynająć jaką stancyjkę z niezbędnymi sprzętami; wprowadza się tedy do niej, i stara zapoznać z otoczeniem. Z czego się tu utrzymać? pyta sam siebie. Nękany troską o los pozostałych w kraju bez środków do życia, żony i dzieci, obecnie sam nie wie, co z sobą począć. Przewertowawszy od deski do deski rozporządzenia, dotyczące nadzoru policyjnego, spotyka się w rozdziale 33, z następującem orzeczeniem: »wygnańcy administracyjni, pozbawieni swych własnych funduszków, pobierają od rządu miesięczne wsparcie w ilości 6 rs.« Zastanowiwszy się bliżej, widzi, że kwota ta nie wystarcza na zaspokojenie koniecznych nawet potrzeb życia. Należy zatem szukać sobie zarobku. W odległej o mil tysiące od kraju włości sybirskiej, trudno jest znaleźć zajęcie odpowiednie jego powołaniu i wykształceniu. Zrzeka on się też z góry wszelkich korzyści, jakie by przyniosła praca w właściwym mu zawodzie, gotów wziąć się do każdej innej, byle tylko utrzymać się przy życiu. Ukończył studia uniwersyteckie, posiada znajomość kilku języków europejskich, może jest na-

wet uzdolnionym lekarzem podobnie jak Dr. Biełoj w Wierchojańsku, albo też fotografem, jak Karelin w Uśc-kamienogórsku, albo wreszcie dziennikarzem w rodzaju p. Bielkońskiego w Minusińsku. Przy swych zdolnościach i wiedzy, powinien zarobić i w Syberji, przynajmniej jaki zł, w. a. dziennie.

Odczytuje ponownie »przepisy« i niestety, dowiaduje się z nich, że wzięto mu pod karą więzienia zajmować się tem, do czego czuje się uzdolnionym. Nie wolno mu być chemikiem, fotografem, literatem, bibliotekarzem, pisarzem, przedsiębiorcą, kompozytorem, dziennikarzem, mówcą, aktorem, adwokatem, księgarzem, jednym słowem, pozbawiony jest prawa przyjmowania jakiegokolwiek bądź udziału w życiu publicznem. Coż ma czynić w tem położeniu człowiek wykształcony? Wszystko, co odpowiada jego powołaniu jest przed nim zamknięte. Nie znając rzemiosła, trudno mu jest wzięść się do szewstwa lub mularstwa, zostać kowalem, kołodziejem i w ogóle zajmować się ręczną pracą; nie może też być kupcem, bo nie posiada żadnych kapitałów; nie mając nic lepszego do wyboru, gotów zostać woźnicą, ale daremnie! przepisy nie pozwalają mu się wydalać po za granice włości. Pozostaje jedno, jedyne tylko zajęcie t. j. rolnictwo; prawodawca mając na względzie, że ziemia nie da się zakazić ideami rewolucyjnymi, pozwala wygnańcowi uprawiać na niej rzepę, buraki i zboże. Chwyta się tedy tej ostatniej deski ratunku, ale i tu kłopot! Grunta położone w pobliżu wsi są w rękach włościan, Gmina wprawdzie może mu wydzielić kawałek ziemi w odległości kilku wiorst od wsi, mając jednak na oku grożący mu areszt za przestąpienie granic wsi, żręka się tego dobrodziejstwa. Nie wypuszczając z ręki »rozporządzeń, dotyczących nadzoru policyjnego«, myśli wciąż co robić dalej? Ostatecznie widzi się zmuszonym wystosować prośbę do gubernatora lub generał-gubernatora, by ci panowie raczyli mu zezwolić na zdobycie sobie pracą kawałka powszedniego chleba.

W r. 1883. wygnańcy polityczni w Akmolińsku, wnieśli prośbę do tamiecznego gubernatora generała Kołpakowskiego o pozwolenie udzielania lekcyi muzyki; szczupła zapomoga, jaką otrzymywali od rządu, w obec ograniczonego »rozporządzeniami« pola zarobku, nie wystarczała na najskromniejsze nawet życie. Zdawało się, że prośba ta, zasługiwała na uwzględnienie. Wszak w grze na fortepianie nie można się dopatrzeć niczego takiego, coby mogło zagrażać »naruszeniu porządku publicznego«; nie przekształciła by ona dzieci sybirskich obywateli w »nihilistów«. Gubernator Kołpakowski wszakże nie uwzględnił tej prośby, dopatrując w niej zamachu skierowanego ku osłabieniu w dzieciach akmolińskich, wiernopoddanych uczuć. Odpowiedź gubernatorska opiewała: »przepisy dotyczące nadzoru policyjnego«, wzbraniają osiedleńcom udzielenia lekcyi muzyki dzieciom mieszkańców Syberji. Skoro zaś wygnańcy polityczni nie posiadają należytych środków do utrzymania, to niech szukają zarobku u Kirgizów, którzy płacą dziennie robotnikowi 20 do 30 fenigów.

Podonczas wygnańcy w Uśc-kamienogórsku zwracali się także z prośbą do generała Kołpakowskiego, o pozwolenie użytkowania kawałka gruntu należącego do rządu. Obowiązywali się oni płacić czynsz roczny i po upływie lat kilku, grunt w stanie uprawnym zwrócić rządowi bez żadnych zupełnie pretensyi. Propozycja ta podobnie jak prośba wygnańców akmolińskich, nie dostąpiła gubernatorskiego uznania*.)

Nie w całej Syberji, przestrzegają z taką ścisłością »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego«

*) Podane wyż fakta, stwierdzające złą wolę władz względem wygnańców i zupełną obojętność na ich niedostatek, doszły do mojej wiadomości w Siemipalatynsku; czerpałem je ze źródeł bardzo wiarogodnych. Nie stykając się nigdzie z generałem Kołpakowskim, nie mogę wydać o nim żadnego wyroku, z tego jednak co o nim słyszałem, uważam go za człowieka tegoż samego autoramentu, co ów gubernator akmoliński, który najsluszniejsze nawet prośby wygnańców zbywa odmowną odpowiedzią. W wschodniej Syberji zdarzyło mi się spotkać wielu gorszych jeszcze wyższych urzędników.

a zwolnienie lub też zaostrenie ich, zależy w znacznej części od dobrej lub złej woli władz miejscowych, Gubernator akmolińskiej ziemi ś. p. generał Ciekliński, obchodził się z wygnańcami prawdziwie po ludzku, a czynił to nie dla tego żeby miał podzielać ich dążenia, lecz z poczucia istotnie obywatelskiego. Na dobrą też pamięć zasługuje vice-gubernator tomski p. Pietuchów. Natomiast urzędnicy w guberni tobolskiej, wyszczególniają się brutalnem postępowaniem z wygnańcami politycznymi. W kwietniu 1888 r., 19 politycznych wygnańców z Surgutu *), zmuszeni koniecznością, wnieśli skargę do ministra, przeciw okrucieństwu gubernatora tobolskiego p. Troinickiego. W prośbie tej petenci wykazując cały szereg dokonanych na nich nadużyć, oświadczyli wręcz, że dłużej w tym ucisku nie są w stanie wytrzymać. Musiano w istocie, dojeść im już do żywego, skoro w liczbie protestantów — a było ich dziewiętnastu — znajdowali się tacy także wygnańcy, którym lada dzień kończył się termin osiedlenia; jeszcze dni kilka a byłiby wolni. Ale i cierpliwość ludzka ma swoje granice! — (Gazeta sybirska zamieściła w swoim czasie krótki opis oplakanej doli tych wygnańców, oraz treść odpowiedzi ministra. Otóż głosi ona, że dziewiętnastu »bezczelnych wygnańców politycznych« wydalono z miasta Surguta do odleglejszych części guberni, i że równocześnie gubernator, p. Troinicki, złożył »urzędowe podziękowanie«, isprawnikowi w Tiukalińsku i policmajstrowi w Tobolsku za okazaną »gorliwość« w wydaleniu rzeczonych wygnańców. Nie wiem, gdzie wyrzucono owych nieszczęśliwych dziewiętnastu ludzi, którzy w imię ludzkości odwoływali się o sprawiedliwość do ministra Tołstoja, każdemu jednak sybirakowi wiadomo, że na całej tej olbrzymiej przestrzeni, jaką zajmuje Syberya, kilka

*) Surgut, miasteczko położone na prawym brzegu rzeki Ob, w gubernii tobolskiej, wysunięte na 5° ku południowi od kręgu biegunowego. Miasteczko to liczy około 15000 mieszkańców; odległość od Tobolska 925 klm., — od Petersburga 4025 km.

tylko jest miejscowości gorszych od Surgutu, a tymi są: Berezów nad rzeką Ob, odległy od Petersburga o 4345 klm., Turhańsk miescina położona w kręgu biegunowym, licząca 42 domów i 181 mieszkańców *), wreszcie, owe odstrasające ulusy w ziemi jakuckiej.

Każdy pojmie, że tylko ostatnia konieczność skłonić może wygnańca politycznego, oddanego na pastwę gwałtu takiego gubernatora jak p. Troinicki, do szukania sobie ulgi w prośbie do ministra spraw wewnętrznych. Istotnie, rozpacz porywa człowieka rzuconego w odludne kraje, pozbawionego prawa zarobkowania, z sześciorublową miesięczną zapomogą, mającą mu starczyć na utrzymanie życia, a do tego przesładowanego i kępowanego nieustannie owymi »rozporządzeniami dotyczącymi nadzoru policyjnego«. W takich to okolicznościach, niejedyn z wygnańców, czując się nawet uzdolnionym lekarzem, nie może nieść pomocy chorym, bez poprzedniego uzyskania pozwolenia od Jego Ekscelencyi ministra spraw wewnętrznych. A wszakże okręg, w którym zamieszkuje ów wygnańca, liczy co najmniej 20000 ludności, której zbywa na pomocy lekarskiej **) Należałoby się spodziewać, że rząd mając na oku podobny stan rzeczy, przychylił się najchętniej do prośby wygnańca ofiarującego

*) Do tych miejscowości, podług przyjętej reguły, wysłani są osiedleni w Syberyi polityczni wygnańcy podnoszący bunt przeciw swej zwierzchności a właściwie ci, co ośmielają się trudzić ministra zażaleniami na bezprawia władz, co w języku urzędowym nosi nazwę »bezczelnego« lub »zuchwałego« podania.

**) Generał-gubernator wschodniej Syberyi donosi carowi w tajnym swym raporcie z r. 1881 (odpis którego to dokumentu jest w moim posiadaniu), że w kraju zbywa na koniecznych lekarzach. Tylko w miastach spotkać się można z lekarzami, wsie zaś, zupełnie są pozbawione pomocy lekarskiej, tymczasem pomiędzy ludnością rozwija się wciąż dyfterya i inne zaraźliwe choroby. Nie znane tu są także żadne przepisy dotyczące środków ostrożności przeciw zarazie bydłczej, następstwem czego jest pomór bydła, narażający mieszkańców na wielkie straty. (»Tajemny« donąd jeszcze nie ogłoszony raport generał-gubernatora Anuczima do cara w sprawach lekarskich).

swą pomoc cierpiącej ludzkości! Minister jednak spraw wewnętrznych, zwykł się inaczej zapatrywać na podobnego rodzaju prośby.

W r. 1883. towarzystwo lekarskie w Twerze wystosowało memoryał do ministra spraw wewnętrznych, w którym, powołując się na nagłą potrzebę lekarskiej pomocy w Syberyi, pozwala sobie zwrócić uwagę Jego Ekscelency na lekarzy i medyków osiedlonych w tym kraju, w charakterze wygnańców. Proszono uniżenie rządu, ażeby raczył uwolnić rzeczonych lekarzy i studentów medycyny z pod rozdz. 27 »rozporządzeń, dotyczących nadzoru policyjnego«, i dozwolił im, zajmować się leczeniem chorych. Czyż podobna propozycja nie zasługiwała na uwzględnienie? Rząd rossyjski jednakże, odpowiedział na tę petycję doraźnym rozwiązaniem towarzystwa medycznego w Twerze, i usunięciem od służby państwowej dwóch jego członków.

Jeżeli tak ostra kara spadła z ręki ministra na członków towarzystwa medycznego za samą propozycję dozwolenia wygnańcom praktyki lekarskiej, to jakaż odpowiedzialność oczekiwać mogła tych wygnańców — medyków, którzy by się sami ośmielili zwrócić na to uwagę rządu!

W r. 1880 przemieszkował w Charkowie młody medyk Nifon Dołhopolow. Ukończywszy studia medyczne, przystępował do złożenia egzaminu, gdy właśnie podówczas wybuchły, tak często zdarzające się w Rossyi, rozruchy uniwersyteckiej młodzieży. Zaburzenia przybrały tak groźny charakter, że władze uczuły się w konieczności przyzwać w pomoc żołnierzy i kozaków. P. Dołhopolow nie należał do rewolucjonistów, ani też do liczby »podejrzanych«, i nie przyjmował żadnego udziału w rozruchach. Niestety chęć chciało, że przypadając się na ulicy harcóm kozackim i znęcaniem się ich nad publicznością, zauważył obok siebie stojącemu urzędnikowi, że »hańbą jest i wstydem rozbijać ludzi nahajkami«. Urzędnik ów, zwrócił uwagę policyi na zachowanie się p. Dołhopo-

lowa, która go też bezwzględnie aresztowała i uwięziła, jako jednego z główniejszych wicherzycieli. Przetrzy-mawszy pana D. kilka miesięcy w więzieniu, wydano go podług reguły bez żadnego sądu do zachodniej Syberyi, i osiedlono w miasteczku Kurhanie. W r. 1881 wydano Dr. Dołhopolowa za uchylenie się od złożenia przysięgi Aleksandrowi III. z Kurhanu do Tiukalińska, w którym to miasteczku, posadę isprawnika zajmował człowiek, znany z swego brutalnego obchodzenia się z wygnańcami politycznymi. Isprawnik, któremu solą w oku była pomoc niesiona przez Dra Dołhopolowa chorym włościanom i mieszkańcom miasta, — której on jako zdolny lekarz i człowiek wysoko szlachetny nie był w stanie nikomu odmówić — zawezwał go do siebie, napominając w sposób obraźliwy, że w myśl rozdz. 27 »rozporządzeń dotyczących nadzoru policyjnego«, nie wolno mu jest pod karą więzienia, zajmować się leczeniem chorych, zarówno za wynagrodzeniem, jak i bezpłatnie. Dr. Dołhopolow stosując się do przestróg isprawnika, zmuszony był zaniechać praktyki lekarskiej, ale stosunek jego do tegoż, odtąd był napięty. W jesieni w roku 1883, młody Bałakin, syn burmistrza miasta Tiukalińska, człowieka bardzo zamożnego, nieszczęśliwym trafem postrzelił swą rodzoną matkę. Rana była śmiertelną i wymagała doraźnej operacji. Przyzwany na ratunek miejscy lekarz Hull, człowiek nader wrażliwy, nie czując w sobie dość odwagi do wykonania operacji, radził p. Bałakinowi, by przyzwał w pomoc dzielnego chirurga Dra Dołhopolowa. Idąc za tą radą, pan B. spieszy sam z prośbą do doktora.

— Wzbronioną mi jest praktyka lekarska. — Odpowiada młody człowiek.

— Na miłość Boską, rozchodzi się tu o śmierć lub życie. — Błagalnie mówi p. B.

— Bardzo mi przykro — rzekł z kolei Dr. Dołhopolow — ale pozostając z isprawnikiem w najgorszych stosunkach, nie mogę nieść nikomu pomocy lekarskiej, bo odpowiadać będę za nią więzieniem.

— Wszak pan, za szlachetny swój sposób myślenia, dostałeś się na Syberję, — mówił zrozpaczony p. Bałakin. — Czyż groźba więzienia mogłaby Cię powstrzymać od niesienia pomocy nieszczęśliwej kobiecie?

— Skoro pan w ten sposób stawia sprawę, to spieszę wykonać operację, bez względu na oczekującą mnie, za przestąpienie przepisów, odpowiedzialność.

Opatrzywszy chorą, Dr. Dołhopolow orzekł, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo; zatelegrafował bezwzględnie do gubernatora Lisogórskiego o pozwolenie wykonania operacji, której lekarz miejscowy nie przyjmuje na siebie. W pół godziny nadeszła odpowiedź, w której gubernator wykazując swą niekompetencją w rozstrzygnięciu podobnych kwestyi, radzi burmistrzowi, by odniósł się z swą prośbą do Oddziału medycznego ministerstwa spraw wewnętrznych.

— Widzisz pan, — odezwał się Dr. Dołhopolow — jaką wartość przywiązują pańscy zwierzchnicy do ludzkiego życia.

Zabrał się do operacji, wyciągnął kulę i przewiązawszy arterję, uchyłł grożące chorej niebezpieczeństwo. Nazajutrz, isprawnik Ilin kazał aresztować młodego lekarza, wtrącił go do więzienia i spisawszy protokół, wdrożył śledztwo w sprawie, którą w archiwum Tobolsku zaciągnięto pod rubrykę: »samowolne wydobyć kuli z nogi pani Bałakinowej, przez wygnańca politycznego Nifona Dołhopolowa«. W ciągu całego śledztwa Dr. Dołhopolow przesiadywał w brudnym więzieniu tiukalińskim, gdzie nabawił się tyfusu*).

Wszyscy mieszkańcy Tiukalińska gorący przyjęli udział w losie uwięzionego młodego lekarza; dopytywano się troskliwie o jego zdrowie, okazywano mu dowody współczucia znośnieniem kwiatów i jada. Ta

*) Stan zdrowotności więzienia w Tiukalińsku w r. 1884 był taki, że 30% uwięzionych musiano przenieść do szpitala. (Raport Oddziału więziennego za r. 1885).

ogólna sympatya dla Dra Dołhopolowa wywarła pewne wrażenie na isprawniku; ulegając zewsząd dochodzącym go prośbom i żądaniom, pozwolił więźniowi na czas śledztwa przemieszkiwać w swym domu. Równocześnie nie zaniedbał urzędownie zawiadomić gubernatora Lisogórskiego o zgubnym i niebezpiecznym wpływie wygnańca administracyjnego Dołhopolowa na mieszkańców miasta, i przytaczając dowody świadczoną sympatyi i współczucia, wyraził swe obawy względem ułatwienia mu ucieczki. Ze zaś w tym razie cała odpowiedzialność spadałaby na isprawnika, przeto uprasza Jego Excelencyę, aby raczył przesiedlić Dra Dołhopolowa z Tiukalińska do Surguta. Chytry isprawnik uznał za stosowne przemileczeć w swym raporcie urzędowym o chorobie lekarza, wyłudziwszy tym sposobem od gubernatora pozwolenie na bezwzględne przetranslokowanie chorego do Surguta. Naczelnik etapu, któremu polecił isprawnik na mocy gubernatorskiego rozporządzenia odtransportować Dra Dołhopolowa do Surguta, wymawiał się od spełnienia danego mu rozkazu, odwołując się na ustawę wzbraniającą transportowania chorych; gdyby dotknięty tyfusem Dr. Dołhopolow zmarł w drodze, to cała odpowiedzialność spadałaby na niego, jako komendanta etapu. Postanowiwszy jakimkolwiekby kosztem pozbyć się znieawidzonego człowieka, isprawnik kazał zajechać kibitec, i wybrawszy kilku zaufańszych strażników policyjnych, udał się z nimi do domu lekarza. Tu odbyła się istotnie oburzająca scena; żonie Dra Dołhopolowa, występującej w obronie obłożnie chorego męża, związano ręce i nogi, samego zaś doktora, porwano z łóżka w nocnej tylko koszuli i posadzono na kibitkę. Działo się to 24. października 1883 roku; dzień był mroźny i Dr. Dołhopolow byłby z pewnością wysłany w odległą drogę w jednej tylko koszuli, gdyby któryś z litościwych widzów nie był go przyodział swym własnym kożuchem. Chorego wygnańca wleczono 200 wiorst drogi do miasta okręgowego Iszyna, gdzie podówczas przemieszkiwało 11 politycznych wygnańców,

w liczbie których, nowelista rossyjski Michtet. Wszyscy ci wygnańcy, między którymi było kilku dobrych znajomych Dra Dolhopolowa, zoczywszy go obecnie w tym stanie, udali się bezwzględnie do isprawnika, oświadczając mu stanowczo, że użyją przemocy przeciw dalszemu transportowaniu chorego. Zawezwano jednocześnie urzędowego lekarza i po spisaniu protokołu, odwołano się telegraficznie do gubernatora Lisogórskiego z zapytaniem: czy isprawnik w Tiukalińsku otrzymał upoważnienie do transportowania na kibitce umierającego człowieka, pod zimną noc i w jednej tylko koszuli? Odpowiedź gubernatorska opiewała, ażeby isprawnik powstrzymał dalszą ekspedycję młodego lekarza i pomieścić go czasowo w szpitalu. Mówiono mi w Iszymie, że Jego Excelencya nie omieszkiał skorzystać z nastęrczającej się gradki i wydusił z isprawnika 500 rs tytułem uwolnienia go z pod odpowiedzialności grożącej mu za transportowanie ciężko chorego człowieka. Być może zarzut ten nie jest usprawiedliwionym, wiadomo wszakże było wszystkim, że gubernator ów, zwykł był nadawać urzędowe posady tym ludziom, którzy się poczuli w obowiązku najsowieci go opłacać, zaś przy kartach chciwie zagarniał pieniądze pozostawiane mu rozmyślnie na pastwę przez kandydatów do urzędów *).

Odzyskawszy w szpitalu zdrowie, Dr. Dolhopolow odesłany został do ziemi siemipałatyńskiej, gdzie znalazł się w przychylnych warunkach, a w czasie mojego tam pobytu oddawał się studjom antropologicznym nad Kirgizami. Zatrzymałem się trochę dłużej na tem typowym wydarzeniu, a nie tylko dla wykazania sposobu postępowania rządu rossyjskiego z osobami »podejrzanyimi«, ale także dla rzucenia należytego światła na istotę oskarżenia, jakim obciążył minister spraw we-

*) W czasie mojej obecności w Syberii, wytoczono śledztwo kryminalne aż dziesięciu łamecznym isprawnikom. Wszyscy jednak oni ujmowali sobie do tego stopnia swych zwierzchników sowitymi łapówkami, że śledztwo odkładano z roku na rok, i nie wątpię, że ci sami isprawnicy po dziś dzień pozostają na swych urzędach.

wewnętrznych wygnańców w Surgucie, za wniesione przez nich zażalenia. — Wygnaniec polityczny p. Leo Iwanów, padł ofiarą okrutnego postępowania rządu, dwaj zaś inni są bliźcy śmierci: przetransportowano ich do lazaretu w Berezowie, gdzie prawdopodobnie zakończyli swe męczeńskie życie.

Skoro wygnaniec pokonałszy pierwsze przeszkody, zdołał sobie znaleźć jakiś sposób do życia, wtedy spotyka się z kolei z drugą plagą, jaką go darzy nadzór policyjny. Narzuconymi jego opiekunami są urzędnicy, których przeszłość częstokroć skalana jest zbrodniami. Naczelnicy okręgów, a w szczególności komisarze policyjni, z nader małymi wyjątkami rekrutują się w Syberii z tłumu złoczyńców, nasyłanych z Rosyi za roboje, kradzieże i możebne oszustwa. Nazwiska kilku dziesiątek tych zbrodniarzy, zaznaczyła podatkowymi literatami wolnomyślna gazeta tomska. I takim to zbirom i wyrzutom, rząd powierza zdrowie, honor i życie wysoko wykształconych wygnańców i wygnańców politycznych! Znany mi osobiście naczelnik policyi w Minusińsku należy do liczby tych bandytów, z którymi nie życzyłbym sobie spotkać się w nocy, bez rewolwera w kieszeni. Nawet w stosunkowo dobrze administrowanym mieście Tomsku, przeszłość personalu policyjnego plamą gwałty i nadużycia. — I tutaj, aresztują i więżą bezprawnie całe setki niewinnych obywateli; tu także kryminaliści i krzywoprzysięzcy wzywani są do przybytku sprawiedliwości dla dawania świadectwa prawdzie, tu jak gdzieindziej, można się przyjrzeć katowaniu ludzi i sieczeniu różgami na śmierć, ciężarnych kobiet.

W czasie przeglądu więzień tomskich przez nowo mianowanego gubernatora, 300 więźniów zwróciło się do niego ze skargami; 200 z tych skarg zostało uwzględnionych, a petentów bezwzględnie wypuszczono na wolność. *)

*) »Prawo policyjne w Syberii« — przegląd zachodni (Petersburg 13. paźdz. 1893) Nr. 41 str. 1.

Potęga isprawników w miastach i miasteczkach jest niemal bezgraniczna, stąd też powstało przysławie powtarzane często przez włościan: »Bóg w niebie, w Ochocku Koch«. Wiolu takich Kochów piastuje urzędy policyjne w różnych krajach sybirskich, Bogu tylko wiadomo. Każdy z urzędników policyjnych ma swój odrębny sposób postępowania z poręczonymi mu pod nadzór wygnańcami, a o samowoli ich świadczy poniekąd wyjątek z listu pewnego wygnańca zamieszczony w »Goncu prawniczym«, organie prawników w Moskwie«.

»Nadzór policyjny, pod którym tu zostajemy nie zna żadnych granic. Policya w swej czujności idzie na wyścigi; nadchodzi nasze mieszkanie po kilkakroć dziennie, wciska się w każdy zakątek, by dotykalnie upewnić się czy którego z nas niebrak, lub czy nie przychwyci w naszych mieszkaniach kogoś obcego. Ciągłe ją mamy pod oknami i drzwiami. Z węglów ulic przy których mieszkamy nieschodzą strażnicy; policya nie przestaje trapić naszych gospodarzy i sąsiadów dopytywaniem się o każdy niemal nasz ruch, zmuszają ich do śledzenia nas, i donoszenia o wszystkich naszych czynnościach*).

Pewna młoda wygnanka polityczna w Tuncie, wsi położonej na pograniczu wschodniej Syberii i Mongolii, opowiadała mi, że wracając często ze spaceru lub też od swej sąsiadki, zastawała w swym pokoju rozwalonego na łóżku policyanta w zabloconych, butach z ostrogami. Obawa sromu i hańby skłania wiele kobiet, wygnanych na Sybir, do zamieszkiwania pod jednym dachem z mężczyznami. Pani Dicheskula w Siemipalatynsku zajmowała jedną połowę domu zamieszkałego przez p. Łobonowskiego; pani Brzeszkowska sąsiadowała w Sielengijsku z p. Samarinem, toż samo zdarza się spotykać i w innych częściach Syberii. Kobiety zagrożone w każdej dobie napadem

*) Rozprawa o przepisach dotyczących nadzoru policyjnego«. Goniec prawniczy (Moskwa, grudzień 1882). Tom 14 Nr. 12. str. 561.

pierwszego lepszego włóczęgi lub policyjnego zbirą, zmuszone są szukać opieki u ludzi honoru

Do główniejszych plag, nieodłącznych doli wygnańczej, zaliczyć należy kontrolę nad ich korespondencją. Kontrola ta, dotyczy wszystkich listów nie wyłączając od najbliższych osób. Poczta odsyła wszystkie korespondencje wygnańców wprost do isprawnika, który je otwiera, odczytuje i wykreśla — podług swego widzimisie — słowa, wiersze i całe ustępy — słoczy zupełnie, lub poobcinane szczątki listu odsyła adresatowi. Powodowany nienawiścią lub urazą do wygnańca, dręczy go rozmyślnem przetrzymywaniem tak pożądanym mu listów od pozostałej w Rossyi żony lub rodziny.

W Tarze, miasteczku położonem w guberni tobołskiej, isprawnik zwykł był wszystkie listy wygnańców przynosić do miejskiego klubu, odczytywać je w obec swych przyjaciół i znajomych, radząc się, co ma z nimi czynić. Nie jeden też z wygnanców dowiadywał się na ulicy o treści swego listu, zanim go otrzymał. Może sobie wyobrazić czytelnik co się działo w duszy biednego wygnańca na samą myśl, że słowa droższej mu nad życie żony, pełne serdecznych zwierzeń i zroszone gorącymi łzami, odczytywano w klubie w obec rozmaitych zbirów, obrzucano szyderstwem i dowcipkami właściwymi podobnym towarzystwom. Jeżeli nawet wygnaniec uwiadomiony przez kogoś o nadeszłym do niego liście, zgłosił się po odbiór do isprawnika, to i w tym razie trud jego był daremnym; isprawnik tłumacząc się, że listów niecenzurowanych przez władze oddawać wygnańcom nie wolno, przetrzymywał go długie tygodnie, albo też konfiskował. Widziałem ja niejednokrotnie w jakim stanie listy dochodziły rąk wygnańców; były to pokreślone, wymięte ćwiartki papieru, noszące ślady przeróżnych prób chemicznych i ogniowych. Zdarzało się wielokrotnie, że wygnaniec zgłaszający się po odbiór listu, dręczony był różnymi zapytaniem. Otóż to jest sposób postępowania w Syberii z listami człowieka wol-

nego od zarzutu, nie badanego ni też sązonego, lecz drogą gwałtu pozbawionego praw obywatelskich.

Niemniej udręczającym od wzmiankowanych już plag, jest owo nieokreślone położenie administracyjnego wygnańca, wydalonego bez żadnego sądu i oddanego pod nadzór policyjny. Nie figurując jako obywatel kraju pozostający pod opieką prawa, ani też jako pozbawiony praw stanu przestępca, staje się on przedmiotem samowoli władz miejscowych. Niżej podany dokument wykazuje ze stanowiska prawniczego położenie osób, wydalonych porządkiem administracyjnym. Rzeczony podanie wystosowane zostało w r. 1882 przez jednego z wygnańców do rossyjskiego Senatu. Petent, nie powodował się bynajmniej myślą polepszenia swego położenia, przeciwnie, wiedział że «bezczelne» to wystąpienie sprowadzi na niego nowe tylko prześladowania, nagabywany jednak przez władze o złożenie przysięgi Aleksandrowi III. uczuł się w konieczności wyjawienia tego, co mu ciążyło na sercu, w sposób wpół-satyryczny. Autor niniejszego memoriału znany mi jest osobiście; w jaki zaś sposób przyszedłem w posiadaniu go, o tem uważam za stosowne, — przemilczę! Za wiarygodność tego dokumentu ręczę honorem.

Kurhan, gubernia tobolska. Zachodnia Syberya
31 marca 1881 r.

Do Senatu Państwa rossyjskiego!

Dnia 28. marca 1881 r. zawezwany zostałem (jako wygnaniec administracyjny) przez władze policyjne miasta Kurhanu, które, zażądały odemnie złożenia przysięgi na wierność «cesarzowi Rossyi» Aleksandrowi Aleksandrowiczowi. Żądanie to zdaje mi się być w sprzeczności z manifestem cesarskim z dnia 1. marca 1881 r., gdzie powiedziano: że powoływanie włościan do składania wiernopoddańczej przysięgi opiera się na tej podstawie, że dzięki wielkiemu dziełu wyzwolenia, włościanie ci, oswobodzeni od pańszczyzny, przypuszczeni zostali do korzystania z wszystkich tych praw. jakie rząd przyznaje wolnym obywatelom państwa. Dla słów

tych przejęty jestem najzupełnijszem uznaniem, przyznając rację bytu, nietylko wpływającym stąd wnioskom, lecz i logicznym wynikiem. Jednym z tych jest: że ci rossyjscy włościanie i w ogóle Rossyianie, którzy nie są wolnymi obywatelami i nie mogą korzystać z praw przysługujących wszystkim, nie powinni być wzywani do składania wiernopoddańczej przysięgi. Na wstępie, następują one mi następujące zapytania: Czem ja jestem; czy jestem wolnym obywatelem? Mój ojciec jest dziedzicznym szlachcicem państwa rossyjskiego, a matka moja jest jego prawowitą małżonką. Podług praw istniejących w Rossyi, powinienem odziedziczyć przywileje mego ojca, a następnie być wolnym obywatelem. Pierwszym przywilejem, jaki gwarantuje rossyjskie prawo wolnemu obywatelowi, jest wolność osobista, (dopóki ten, nie dopuścił się czynu karygodnego), drugim zaś opieka nad jego rodziną i mieniem. Mnie pozbawiono wolności, oderwano od rodziny, mienie moje zabrane zostało przez Oddział wyższej policji*), wreszcie w imieniu prawa zabroniono mi pracować w kierunku, w jakim się kształciłem. Nie wolno mi jest wydalic się po za granicę miasta Kurhanu; oddalony jestem o 3.000 mil (4 800 km.) od mojej rodziny, a korespondencja moja z żoną podlega kontroli władz. Fakta te dowodzą, że nie jestem szlachcicem, ani też wolnym obywatelem kraju.

Czyż pozbawiono mnie praw stanu i osiedlono w Syberyi jako przestępcę? Przejrzawszy przepisy dotyczące osiedleńców zawyrokowanych, pozbawionych wszystkich praw stanu, widzę się w tem samem co oni położeniu, z tą tylko różnicą, że ci na mocy przysługujących im praw, mogą z czasem żądać pozwolenia przejazdu z jednej guberni do drugiej, podczas gdy ja pozbawiony jestem i tej nawet nadziei. Zamknięto mnie w mieście Kurhanie na czas nieograniczonego.

*) Poprzednio cała policja carska należała do trzeciego Oddziału, obecnie zostaje ona pod bezpośredniem zwierzchnictwem ministra spraw wewnętrznych.

czony. Nie będąc sądzonym, a tem samem pozbawiony praw stanu, nie mogę się uznawać za osiedleńca wydalonego do Syberyi, z wyroku sądowego.

Nie będąc człowiekiem wolnym, ani też przestępcą, a mimo tego widząc się wyjętym z pod praw obywatelskich, muszą być koniecznie nie kim innym, jak tylko cudzoziemcem. Jestemże nim istotnie? Nie, bo nie należę do wolnych. Gdybym był wolnym cudzoziemcem, bezzwłocznie opuściłbym Rosyję i bezwątpienia przyjęto by mnie w każdym innym kraju jako uczciwego i lojalnego obywatela. Odebrano mi jednakże to prawo; muszę być tedy jeńcem wojennym. Do jakiej wreszcie narodowości mam się zaliczyć? Gdzie jest moja ojczyzna? W jakiej to wojnie zabrano mnie do niewoli? Czy zawarto pokój ze stroną wojującą; a w takim razie i dla czegoż nie zwrócono mnie z innymi jeńcami? Daremnie szukam odpowiedzi na te zapytania. Położenie jeńca jest rozpaczliwe, ja zaś pozostaję w niem od lat pięciu.

Upraszam uniżenie Wysokiego Senatu objaśnić mnie, czy mam się uważać za rosyjskiego poddanego i wolnego obywatela zostającego pod opieką prawa. Skoro przyznane mi są prawa obywatelskie, to chętnie spełniać będę wszystkie, ciężące na mnie obowiązki. Jeżeli jednak Wysoki Senat nie uznaje mnie za poddanego rosyjskiego, to proszę o udzielenie mi pozwolenia na wyjazd z państwa rosyjskiego i szukania sobie innej ojczyzny.

Mnie się zdaje, że przysięga wiernopoddańcza nie tylko obarcza obowiązками, ale zarazem nadaje pewne prawa. Żądanie złożenia tej przysięgi będzie oznaką przyznania mi praw obywatelskich. Czyż nie tak? Oczekuję odpowiedzi. Jeżeli Senat, jako najwyższy trybunał sprawiedliwości w państwie rosyjskiem, przekona mnie — jakobym błędził utrzymując — że spełniać muszę obowiązki rosyjskiego poddanego nie korzystając z praw obywatela, w takim razie proszę mnie uważać za jeńca.

Wasil Sidoracki.

(Odpowiedź Senatu).

»po rozpatrzeniu niniejszego podania, Senat zdecydował 4. czerwca 1881 co następuje:

Ponieważ na podaniu nie zamieszczono najwyższego tytułu (to znaczy, że nie adresowano go do cara), i nie ma formy prawem przepisanej (Art. 205 Część 2. tom X. zbioru praw. wydanie 1876 r.), zwraca się przeto petentowi bez uwzględnienia (zgodnie z art. 225 tejże części tom X.). Ukaz dotyczący tej uchwały zostanie odesłany rządowi gubernialnemu w Tobolsku. Sekretarz N. Brud.. (dopełnienie nieczytelne w oryginale). Podsekretarz baron Bukchevden.

Nie wiadomo jakie następstwa pociągnął za sobą zwrot petycji p Sidorackiego i czy on sam należy jeszcze do żyjących; spodziewałem się wszakże, że do tychezas znaleźć musiał jakąś ojczyznę, bodaj nawet na tamtym świecie.

X.

Wygnańcy w Irkucku.

Podróż nasza z Tomsku do stolicy wschodniej Syberyi, okazała się z wielu względów uciążliwszą i żmudniejszą, niż z Tiumenta do kopalń altajskich. Długotrwałe deszcze popsuły drogę, tak, że przejazd w niektórych miejscach połączony był z ledwie dającymi pokonać się trudnościami. Nieustanny ból głowy, jakim nabawiło nas trzęsienie tarantasu, odganiał sen, a brak posilnej strawy, wycieńczył nas do ostatka; niedostawało nam także cieplejszej odzieży, najgorszą zaś plagą, były roje przesładującego nas robactwa. Z niecierpliwością znosiłem zimno, głód i bezsenność, pchły wszakże, wszy i pluskwy tak dalece mi dokuczały, że niejednokrotnie ogarniała mnie rozpacz.

Podczas przeglądu starych więzień etapowych, mimo całej przezorności obraziło nas mnóstwo robactwa; wkradało się ono w nasze kołdry, poduszki, załaziło we wszystkie zakątki tarantasu, a nie było sposobu pozbycia się tego plugastwa. W nadziei zapobieżenia złemu, wyrzuciliśmy nawet część naszej odzieży, ale i to daremnie. Przez pięć prawie miesięcy przesła-dowała nas ta plaga, a gdy w Krasnojarsku gotując się do dwudziestodniowej podróży, zmieniałem bieliznę, to ciało moje było tak pokąsane, jakbym dostał wysypki.

Czytelnik zechce mi wybaczyć te nieestetyczne słowa, których użyć zmuszony jestem, ażeby mu dać

poznać przykrości poniżające jestestwo człowiecze, a nieodłączne doli każdego wygnańca.

Przy największem nawet ochędóstwie niepodobniestwem jest ustrzedz się robactwa, zwłaszcza w starych domach etapowych, w których przebywają ty-siące zwykłych przestępców. Jednym środkiem zaradczym, byłoby urządzenie kąpeli dla transportowa-nych i częsta zmiana bielizny. O ile rząd stara się o to, nadmienię poniżej.

Pod koniec drugiego tygodnia pogoda zaczęła się ustalać a wierzchołki gór w Tuncie, wsi położonej przy granicy mongolskiej w pobliżu jeziora bajkalskiego, pokryte były śniegiem. W niedzielę, 13. września raniem, mknęliśmy chyżo po twardym gościńcu, snującym się brzegiem bystrej Angary, zatrzymując się około godziny 2 z południa na ostatniej stacyi pocztowej przed Irkuckiem. Z niewysłowioną niecierpliwo-ścią wyglądaliśmy miasta, gdzie oczekiwał nas dłuższy wygodny odpoczynek i tak upragnione listy z kraju. W sali pasażerskiej wisiała tablica z napisem: stacya pocztowa Bokowskaja; odległość od Irkucka wiorst 13; od Petersburga 5601. Doniosłość tych cyfr dystansowych, ten tylko w stanie ocenić, kto po długo-trwałej 5601 wiorstwowej podróży widzi się oddzielo-nym od mety, tylko 13 wiorstwą odległością.

Nie tracąc chwili czasu, siedliśmy do ledwie co zaprzężonego tarantasu, mając wkrótce przed oczami bielejące się mury i złocone kopuły cerkwi katedralnej. Wiedząc o klęskach pożarowych, jakie dotknęły Irkuck w czasie mojej 18-letniej tam nieobecności, obawiałem się czy nowo odbudowane miasto nie utra-ciło na dawnym swym uroku. Mijając klasztor woź-niesieński odległy o 5 wiorst od miasta, spotkaliśmy ciągnące tu tłumy, długowłosych pielgrzymów. Tuż za nimi, wlokły się znów po błotnistym gościńcu liczne zastępy bezbronnych żołnierzy, kramarzy i przeróżnych włóczęgów, podążających na nocleg do pobliskiej wsi. Większość z nich, była już dobrze podchmieloną, do czego nastroczały okazyę liczne szynki.

Przeprawiwszy się promem przez Angarę, na samym wjeździe do Irkucka doznałem wielkiego rozczarowania. Miasto, wydające się zdala wcale powabnym i malowniczym, nie różniło się niczem innym od zwykłych gubernialnych rossyjskich, jak tylko więcej ożywionym ruchem handlowym. Ponieważ w pierwszorzędnym hotelach tutejszych »sybirskim« i »moskiewskim« wszystkie pokoje były już zajęte, przeto zamieszkaliśmy w hotelu »Deko«, gdzie w r. 1882 gościli, przejeżdżający przez Irkuck nasi ziomkowie, porucznicy Herber i Scheutze. Strudzeni zwyż 1000 milową podróżą daliśmy pierwszeństwo spoczynkowi nad projektowaną wycieczką po mieście; wykąpowaliśmy się tedy i posiliwszy zgłodniałe żołądki, położyliśmy się spać. W poniedziałek odesłaliśmy do policji nasze paszporta i wyszli na miasto. P. Frost zajął się zdejmowaniem widoków, ja zaś włócząc się po ulicach poszukiwałem wygnańców, do których miałem listy rekomendacyjne.

Irkuck, stolica wschodniej Syberyi leży na prawym brzegu Angary, biorącej swój początek w odległym stąd o wiorst 40 jeziorze bajkalskim. Ówczesnie miasto liczyło 36.000 mieszkańców. Ma ono swą bibliotekę, dobry teatr, towarzystwo geograficzne, gazetę tygodniową*), przytem jest ważnym punktem handlowym. W r. 1879 Irkuck został zupełnie zniszczony przez pożar tak, że 15.000 mieszkańców znalazło się bez dachu, zaś szkody wynosiły do 20 milionów rs. W wielu częściach miasta widać było niezatarte dotąd ślady zniszczenia, a nowe budynki zdawały mi się z wielu względów gorszymi od dawniejszych. W ogóle, Irkuck nie miał wyglądu starego grodu, założonego przed dwoma wzyż wiekami, lecz raczej zdawał się jakąś doraznie zbudowaną nadgraniczną lub górniczą, wielką osadą. Z licznych budynków miastowych, zwracał na siebie uwagę, ocalony z klęski ogniowej, stary maga-

*) Wydawcą tej gazety był p. M. W. Zagoskin; borykał się on długo z cenzurą, aż wreszcie rząd zakazał dalszego wydawnictwa jej.

zyn prochowy. Cały ten budynek z dachem porośłym zielskiem, otoczony był przybudowanymi do ścian sklepami, które oblegała tłuszcza kupujących różne drobiazgi Buryatów, Mongołów, kozaków i włościan.

Przewędrowawszy wzdłuż i wszersz całe miasto, i załatwiwszy się z doręczeniem listów polecających, wróciłem do hotelu. Tu w bramie spotkał mnie służący i oznajmił z wielce zakłopotaną miną, że nawiedzający nas w czasie nieobecności naszej policmajster wydał mu ustny rozkaz, byśmy bezzwłocznie udali się do niego osobiście. Nasz Iwan, nauczony widocznie doświadczeniem, że pojawienie się policmajstra w mieszkaniu podróżnego, podobnie jak rybitwy na morzu, zwiastuje nieuniknioną burzę, patrzył wciąż na mnie jakimś dziwnym okiem, nie ośmielając się wszakże robić żadnych zapytań. W pokoju zastałem na stoliku dwa bilety wizytowe z napisem: Krzysztof Makowski, oberpolicmajster w Irkucku. Widocznie, nie zupełnie obcymi byliśmy owemu panu, którego osobistość w tak ścisłym stała związku z pełnym tragiczności protestem głodowym, podjętym przez więzionych tu przestępców politycznych. O ile sobie mogłem przypomnieć, to dotychczasowy nasz sposób zachowania się w Irkucku, nie dawał żadnego powodu policji do czepiania się naszych osób; bezzwłocznie też udaliśmy się do bióra policji, w tej nadziei, że wyjdziemy stamtąd cało. Nie zastawszy kapitana Makowskiego w miejscu jego urzędowania, skierowaliśmy się do innego, wskazanego nam bióra policyjnego, że jednak i tu okazał się nieobecnym, przeto pozostawivszy mu bilety wizytowe, powróciliśmy do hotelu. P. Frost poszedł ponownie szkicować miasto. W jakie pół godziny pojawił się znów Iwan, lecz mocno zbity z tropu, wręczył mi bilet oberpolicmajstra. Niemało zdziwiony tą powtórną wizytą p. Makowskiego kazałem go poprosić. Wnet usłyszałem kroki i brzęk ostróg, a w ślad zatem stanął przedemną p. M. w pełnym swym uniformie. W oczekiwaniu niemiłego zajścia sięgnąłem po paszport; ze zdumieniem jednak zoczyłem wchodzącego przystoj-

nego mężczyznę, przyjemnych rysów twarzy, z ciemnym zarostem i krótko ostrzyżonymi włosami; witając mnie serdecznym uściśnieniem ręki oznajmił: jestem oberpolicmajstrem Makowskim. Mam już zaszczyt znać pana z jego prac; poczuwam się w obowiązku złożyć moje uszanowanie znakomitym podróżnikom i być gotowym na ich usługi.

Niespodziane to wystąpienie p. Makowskiego tak mnie zdziwiło, że na razie zapomniałem w ustach języka. Rozmawialiśmy z jakiegoś minut 10 o drodze, pogodzie, przygodach podróży, o zmianach, jakim podległ Irkuck; poczem rzekł pan Makowski; — wiadomo mi, że panu nie są obojętne więzienia i system wygnania. Spodziewam się, że pan znajdziesz nasze więzienia w dobrym stanie, jeśli zaś jego życzeniem jest je obejrzeć, to dam mu przewodnika. nieuprzedzając władz więziennych o tej wizycie. Człowiek ten spodobał mi się; takiego naczelnika policyi, powinno³ mieć każde miasto w Syberji; — rzekłem sam do siebie.

W czasie następnej naszej rozmowy, zauważył p. Makowski, że system deportacyjny jest wielkiem złem dla kraju, na usunięcie którego nie ma żadnych widoków. Wszelkim zamiarom, dotyczącym przemiany tego systemu, stoi na przeszkodzie kwestya finansowa. Projekt urządzenia w Rosji więzień centralnych jest już na porządku dziennym, jednakowoż na wystawieniu dwudziestu nowych domów karnych potrzeba jest co najmniej 10.000.000 rs.; państwo zaś takich funduszy nie posiada.

Rozmowę naszą przerwało pojawienie się p. Frosta; wkrótce też pożegnał nas p. Makowski zapowiadając następną swą wizytę z pominięciem już prawdziwej etykiety. W pierwszej chwili nie mogłem nie sobie stanowczego powiedzieć o charakterze i przekonaniami p. Makowskiego. Zdawał mi się on człowiekiem bardzo przyjemnym, ów jego jednak śmiech serdeczny, podobnie jak też owo szczególne ugrzecznienie

zdawały mi się wymuszonymi. Wszystko to wskazywało, że dyplomacya górowała nad szczerością.*)

W środę oddaliśmy wizytę p. Makowskiemu, nazajutrz zaś, pojawił on się w naszym mieszkaniu, skąd razem udaliśmy się do więzienia. Oba więzienia w Irkucku, miejskie i etapowe blisko siebie stojące, oddziela rzeczka Uszałówka. Zgodnie z życzeniem p. Makowskiego, zaszliśmy najpierw do więzienia etapowego. Był to dom drewniany, wspót zbutwiały, różniący się od zwykłych etapowych jedynie większymi rozmiarami. Zewnętrzność świadczyła o złym utrzymaniu budynku; fundamenta były przegniłe, wysoka palisada otaczająca budynek także na wpół zbutwiała, powybijane szyby w oknach pozatykane gałganami lub też pozastłaniane zużytymi matami. P. Makowski zmiarkowawszy, że zły stan rzeczy nie uszedł mojej uwagi, oznajmił, że powstrzymuje się umyślnie z naprawą starego więzienia, gdyż wkrótce będzie się budować nowe. Oficer służbowy zoczywszy nas wchodzących, podążył spiesznie ku kapitanowi Makowskiemu i salutując mu, wygłosił jednym tchem: — mam zaszczyt zameldować Waszej Mości, że więzienie etapowe mieszczące w sobie na daju dzisiejszym 5 września 1885 r.. 271 areztantów, znajduje się w stanie zadowolniającym.

Policmajster skinąwszy głową rzekł — dobrze — i rozpoczęliśmy przegląd więzienia. Podług mego zdania znajdowało się ono w bardzo oplakanyim stanie. Cele więzienne też same co w Tomsku, mniej jednak nabite ludźmi a przytem dość widne, w każdej z nich stał piec

*) Krzysztof Makowski jest synem b. oficera polskiego, zesłanego na Sybir w r. 1832 za czynny udział w rewolucyi listopadowej. Kilku z wybitniejszych wygnańców polskich z r. 1863 zamieszkałych w Irkucku, przedstawiali mi p. Makowskiego z jak-najlepszej strony, jednakowoż postępowanie jego z przestępcami stanu, którego skutków poniekąd doświadczyłem sam na sobie w czasie pobytu mego w więzieniu irkuckiem, nie pozwala mi dzielić tej o osobie jego opinij.

i drewniane nary; nie dostrzegłem też nigdzie pościeli, gdziekolwiek tylko leżała sponiewierana, stara sukienka derka, zszyta z łachmanów. W każdej celi mieściło się 20–40 osób, zepsute zaś powietrze świadczyło o braku wszelkiej wentylacji. Podłoga w część naszego przybycia wysypana piaskiem, względnie do innych więziennych, wydała się dość czystą. Zdaje się mężczyźni odłączono od kobiet, których mieszkania odznaczały się schludnością.

Po tym przeglądzie skierowaliśmy się ku więzieniu miejskiemu, zajmującemu wielki dwupiętrowy murowany budynek. Było to największe ze znanych mi dotychczas więzień, zamykające w swych murach dość obszerny dziedziniec w rodzaju ogródka, ozdobionego kwiatowymi kłębami. Więzienie to zbudowane w r. 1861 sumą 62.000 rs. miało mieścić 773 aresztantów, podług zaś słów policmajstra, znajdowało się ich tu 1500. Podług raportu S. S. Pagowa zamieszczonego w gazecie »Sybir«, w celach tych mieściło się już niejednokrotnie po 2000 ludzi, czyli cztery razy więcej nad liczbę przepisaną.*)

O skutkach podobnego natłoku ludzi, mówiłem już poprzednio. Powietrze nie było tu tak zepsute jak w więzieniu tiumeńskim, ale zawsze bardzo niezdrowe, i wielu więźniów zwracało się ze skargą do p. Makowskiego i do mnie. Trudno jest wyrazić słowy, szkodliwego wpływu, jaki wywiera na organizm człowieka powietrze lokalu, przepelnionego ludźmi; niezadługo doświadczyłem sam na sobie trujących skutków tego powietrza, osłabłem i uczułem zawrot głowy.**)

Panowały tu też same choroby co w innych sybirskich więzieniach, mianowicie: tyfus, szkorbut, reumatyzm i bronchitis, co wszystko świadczyło o złym stanie więzienia.

*) »Więźniowie w Irkucku i sposób ich utrzymania«. S. S. Pagów. Zbiornik gazety »Sybir« Str. 210, Irkuck 1876.

***) W rocznikach lekarskich oddziału medycznego ministerstwa spraw wewnętrznych za r. 1884 mieści się następujący opis szpitali więziennych w Tomsku, Jenissejsku i Irkucku; podług

Zwiedziwszy szpital, skierowaliśmy się przez mały ogródek, okolony murami więziennymi do cel »sekretnych«, gdzie trzymano więźniów w zupełnym odosobnieniu. Policmajster uprzedzając mnie, że to są przestępcy polityczni, udzielił pozwolenia pomówienia z jednym z nich. Dotychczas słyszałem tylko o rosyjskich rewolucjonistach, nie mając nigdy sposobności spotykania się z nimi w więzieniu. Z podwórza weszliśmy do jakiejś sieni, skąd zostaliśmy wprowadzeni przez klucznika na długi kurytarz opatrzony szeregiem drzwi prowadzących do cel i strzeżonych przez uzbrojonego szyldwachę. W każdych drzwiach był okrętowany otwór, służący do obserwowania więźniów i podawania im jadła. W pierwszej z tych cel siedział p. Ferdynand Lustig b. oficer rosyjski, aresztowany w Petersburgu w r. 1881, wkrótce po zabójstwie Ale-

raportu zarządu lekarskiego stan zdrowotności wielu więzień gubernialnych i okręgowych, pozostawia wiele do życzenia. Są one przedewszystkiem nadto szczuple względnie do liczby mieszczących się w nich aresztantów. Znacznej ich liczbie brak wentylacji i wychodków, przytem zbudowane są one w miejscach zbyt nisko położonych i wilgotnych. Najmniej odpowiadają warunkom zdrowotnym więzienia w guberniach Jenissejskiej, Irkuckiej, Tomskiej i w ziemi zabajkalskiej. Wielu więźniom zbywa na rzeczach koniecznych, przytem są one nadto szczuple, ażeby mogły pomieścić chorych. Uczuwać się także daje brak lekarzy, lekaratów, środków leczniczych i opieki nad chorymi.«

Dalej podaje raport zestawienie dat statystycznych stanu szpitali czterech gubernii sybirskich łącznie z miastem Irkuckiem.

Gubernie	Szpitałe więzienia	Łóżka	Chorzy	Zmarli	Śmiertelność w odsetkach
Jenissejska	8	145	5176	168	3,2
Irkucka	2	115	1620	99	6,1
Tobolska	10	242	4648	303	6,5
Tomaska	3	230	1514	259	16,4

ksandra II. Obecnie po odsiedzeniu kary swej w kator-dze transportowano go na osiedlenie.

Klucznik otworzył drzwi Nr. 6, gdzie w długiej, wąskiej, ponurej celi zoczyłem młodego przystojnego człowieka z ciemnym zarostem i krótko ostrzyżonymi włosami. Pograżony w głębokiej zadumie, powstał szybko z drewnianego tapczanu, zdając się upatrywać w nas zwiastunów zmiany swej doli. — Dzień dobry panie Lustig! Przyszliśmy pana trochę rozweselić. — Zawołał z życzliwością kapitan Makowski. — Panowie ci, są Amerykańscy podróżni zwiedzający tutejsze więzienie, spodziewam się, że pan mile widzisz u siebie tak dostojnych gości. — Wyraz nadziei, rozjaśniający pierwotnie chmurne oblicze wygnańca, ustępował stopniowo; podał on nam rękę, ale tak rozdrażniony i skłopotany, jakby długotrwałe odosobnienie i brak towarzystwa przekształciły go w odludka, niewiedzącego co ma powiedzieć. I moje też położenie okazało się wcale kłopotliwem zwłaszcza w obec kapitana, klucznika i żołnierzy. Bez świadków łatwo mogliśmy się porozumieć, lecz w takich okolicznościach, musiałem tłumić moje współczucie i życzliwość, i jako turysta wiedziony tu ciekawością patrzyć na więzionego nihilistę, jak na nowy rodzaj zwierzęcia trzymanego w ogrodzie zoologicznym. Cela, w której przesiadywał pan Lustig, mogła mieć około 20 stóp długości, 6 szerokości i tyleż wysokości; światło dzienne dostawało się przez małe, wgłębione w ścianę i tak wysoko umieszczone okienko, że chcąc spojrzeć przez szybę należało wspinać się po ścianie. Przed okienkiem tem, wznosiła się wysoka palisada, zakrywająca widok nie tylko na zewnątrz ale i na niebiosa, tak, że więzień przy wyteżonym nawet wzroku nie mógł wiedzieć, czy na dworze pogoda lub burza, zima czy lato. Mimo tynkowanych i białych ścian, cela wydała mi się ponurą a przytem zimną. Umieblowanie składało się z drewnianego łóżka z szarym płóciennym siennikiem i skrzynki mieszczącej w sobie naczynie na odchody. Więźniowi nie wolno było mieć żad-

nego stołka, stolika, książki, materiałów piśmiennych; nie dochodził go nigdy promień światła słonecznego i oddany był na pastwę swych własnych, ponurych myśli. Spytałem p. Lustiga, jak długo tu siedzi, i dowiedziałem się, że cztery miesiące. P. Makowski objaśnił mnie, że p. L. powinien być zdawna na osiedleniu, ale władze nie naznaczyły mu jeszcze miejsca zamieszkania; kiedy zaś ta kwestya będzie rozstrzygnięta, o tem nic nie wiadomo. Tymczasem położenie biednego więźnia okazało się tu rozpaczliwszem niż w katordze, z której go niby uwolniono. Z prawdziwą przyjemnością byłbym rozmawiał z p. Lustigiem o jego sposobie życia w kopalniach karyjskich, widząc jednak tuż stojącego kapitana Makowskiego, uściśnałem rękę biednemu więźniowi i życząc mu śpiesznego wyzwolenia, wyszedłem. — Nie mogłem już podzielać zdania poliemajstra o »dobrym stanie więzienia«: nie pytany wszakże o moje własne, — zatrzymałem je dla siebie.

Przez wiele dni nie schodziłem się nigdzie z p. Makowskim. W czasie tym, wizytował więzienia irkuckie, nowo mianowany generał-gubernator wschodniej Syberyi, hr. Ignatiew. Następnego tygodnia w czwartek, nawiedził nas znów p. Makowski i wymieniwszy kilka zwykłych frazesów odezwał się z pewnem wzburzeniem: -- panie Kennan, proszę mi powiedzieć otwarcie, jakie wrażenie sprawiło na panu nasze więzienie? — Odpowiedziałem mu, że sybirskie więzienia w ogóle robią złe wrażenie; co się tyczy tutejszego, to znalazłem je w nieco lepszym stanie, a raczej w mniej złym niż w Tomsku i Tiumentiu.

— Pytam pana dla tego, że hr. Ignatiew zwiedzający więzienie ze swą małżonką, oboje okazali swe wielkie niezadowolenie. Hrabia zauważył, że w więzieniu nieporządek, ścisk, zepsute powietrze; bielizna aresztantów wydała mu się brudną i nadto grubą i w ogóle wszystko znalazł w jaknajgorszym stanie. Wiem aż nadto dobrze, że powietrze w więzieniu jest niezdrowe, ale czyż może być inaczej, jeżeli w celi

rozmiarów tego pokoju mieścić się musi 30 ludzi. Przyznaję także, że bielizna aresztantów jest nadto gruba i licha, ale cóż robić, jeśli rząd nie daje pieniędzy na sprawienie lepszej. Kto płaci w hotelu dwa rs. za obiad, ten może oczekiwać dobrego jadła; cóż można żądać za 8 kopijek? Powiadają, że bielizna brudna; koniecznie musi być taką, jeżeli rząd przeznacza dla aresztanta jedną koszulę na sześć miesięcy a chałat na rok cały. W tej jednej koszuli chodzi on całe długie miesiące, nie zdejmując jej nigdy, zarówno dniem jak nocą, chyba tylko w łaźni!

— W jakiż sposób odbywa się pranie bielizny więźniów, skoro nie mają żadnej zapasowej? — spytałem. — Czy wcale jej nie piorą, czy też przez pewien przeciąg czasu chodzą nago?

— Każdy z aresztantów zwykł sobie sam prać bieliznę w łaźni, suszy ją tam i znów obleka — odpowiedział kap. Makowski.

Nadmieniłem z kolei o przykrem położeniu aresztantów w marszu, którzy przemoczeni nieraz do ostatniej nitki, zmuszeni są w tem samym odzieniu nocować, co koniecznie przyczyniać się musi do zwiększenia liczby chorych.

Zgodził się na to w zupełności kapitan Makowski mówiąc, że życie więźniów — zwłaszcza w pochodzie — jest nader opłakane, w więzieniu jednak, staramy się, o ile warunki na to pozwalają, położenie ich polepszyć. Nikt też w więzieniu nie spotka się z niechlujstwem, a budynek utrzymany jest w lepszych warunkach sanitarnych niżeli nie jeden lokal prywatny, w środku miasta.

Zdziwiły mnie istotnie słowa p. Makowskiego, zdradzające zupełną nieświadomość stanu rzeczy. Zżył się on widocznie z nim tak dalece, że uznając go za prawidłowy, nie mógł tem samem zrozumieć objawów niezadowolenia gubernatora w czasie przeglądu więzienia. Niezadowolenie to, przypisywał p. Makowski częściowo małżonce hr. Ignatiewa, którą uznawał za kobietę dobrą, wrażliwą, ale przytem nie-

pojmującą ogromu trudności, jakie na każdym kroku napotkałoby przeinaczenie systemu wygnania podług jej sposobu widzenia. — Hrabina — odezwałem się — zdaje mi się być osobą bystrą i niezmiernie rozsądną. Jeden z urzędników opowiadał mi wczoraj przy wieczery, że podczas wizytacji więzienia zażądała skosztować aresztanckiego jadła. Inspektor podał jej zupełną na czystym talerzu; podejrzliwie, że ta, umyślnie dla niej przyrządzona, spytała, czy w kolle nie pozostało trochę jadła aresztanckiego. Przyniesiono jej te resztki które skosztowawszy, oznajmiła: »cieszy mnie bardzo że pan wypróżniłeś kocioł; należało to dawniej uczynić«. — Taka kobieta musi się znać na rzeczy i być bystrą obserwatorką.

— Bystrą obserwatorką! — zawołał kapitan Makowski, — może być; jest ona osobą dobroduszną, najlepszych chęci, ale niepraktyczną. Zdaje się jej, że więzienie dla przestępców powinno być w ten sposób urządzone, jak paniński pensjonat. Pan dobrze rozumiesz, że tak być nie może.

Zauważyłem, że więzienie irkuckie bardzo znacznych wymaga przekształceń i ulepszeń, ażeby mogło dorównać pensjonatowi damskiemu.

Rozmowę naszą przerwał ktoś z wchodzących, wnet też pożegnał nas p. Makowski, wciąż rozżalony na nowego generał-gubernatora.

W kilka dni potem, udaliśmy się do mieszkania hr. Ignatiewa w celu złożenia mu urzędownie naszego hołdu i uszanowania, jakoteż dla pomówienia z nim przy stosownej okazji o systemie deportacyjnym i domach karnych. Był to mężczyzna około 45-letni, dobrej tuszy, prawie zupełnie łysy i ospałej twarzy. Przyjął nas bardzo grzecznie, ale etykietalnie, rozmawiał poprawnym językiem angielskim, wszelako ociągał się w wymowie. Korzystając z stosownej chwili, zwróciłem rozmowę na system wygnania, robiąc moje uwagi nad więzieniem w Tomsku i Tiumentiu. Hrabia oznajmił bez wszelkiej ogródki, że uważa system deportacyjny jako bardzo szkodliwy dla inte-

resów Syberyi i że należałoby go znacznie ulepszyć. Podług jego zdania, przestępcy kryminalni byłiby nierównie pożyteczniejszymi krajowi, gdyby używano ich do pracy, zwłaszcza, że w Syberyi zbywa na robotniku ręcznym, dziwił się, że dotąd tego nie uczyniono. Roboty przymusowe, okazałyby się korzystniejszymi dla samych nawet aresztantów, aniżeli prześiadywanie bezczynne w więzieniach. Sam on nawet zamierzał na próbę użyć 100 aresztantów do robienia porządku na ulicach Irkucka, i zgadzał się ze mną, że więzienia etapowe są nadto ciasne i źle utrzymane. Przy sposobności nie omieszkał oznajmić, że zamiarem jego jest, ażeby wygnańców transportowano z Tomska do Irkucka tylko w porze letniej i nie pieszo, lecz wozami. Oszczędziłoby to rządowi wydatków na odzież zimową, a zarazem przyniosłoby pewną ulgę dla nieszczęśliwych *).

Podczas tej rozmowy weszła hrabina Ignatiew i wręczyła swemu małżonkowi jakiś list. Była to około 30 lat licząca kobieta, średniego wzrostu, z ciemnymi włosami, szarymi oczyma; wyraz twarzy zdradzał chłód wewnętrzny. Pojawienie się hrabiny, której zostaliśmy przedstawieni, zwróciło rozmowę naszą na inny przedmiot; niezadługo też pożegnaliśmy państwa Ignatiewów, nie poruszając więcej sprawy więziennej.

W ciągu 14-dniowej naszej bytności w Irkucku zawiązaliśmy stosunki znajomości z wieloma zacnymi i przyjemnymi osobami, w liczbie których byli: p. Adam Bukowski, znany właściciel kopalni złota

*) O wprowadzenie tej reformy dopominał się gorliwie inspektor traktu pułkownik Zagarin, jeszcze w r. 1882 i 3. Od czasu tej naszej rozmowy z hr. Ignatiewem upłynęło już lat trzy, a sprawa nie postąpiła ni kroku naprzód. Partye wygnańców z Tomska do Irkucka maszerują wciąż piechotą, nie bacząc na słoty, deszcze, mrozy i upały. Zapewne projektowana droga żelazna sybirską służy za powód usprawiedliwiający tę zwłokę. Minie z pewnością cały lat dziesiętek, zanim linia kolei żelaznej będzie gotową, gdy tymczasem tysiące ludzi, a między nimi niewinne kobiety i dzieci narażone są na srogie udręczenia nieodłączne 1.500 klm. podróży etapem.

w wschodniej Syberyi, człowiek nader gościnnie i władający dobrze językiem angielskim; Dr. Pisarow i p. Buteń dawniejszy mieszkaniec miasta Nerczyńska. Ten ostatni, odbywszy podróż po Stanach zjednoczonych, duszą i sercem był prawdziwym Amerykaninem. Do grona naszych znajomych należał także p. Zagoskin, czcigodny wydawca gazety »Sibir«.

W Irkucku, spotkaliśmy się z naszym ziomkiem porucznikiem Scheutzem, który z polecenia rządu amerykańskiego odwoził różne podarki dla włościan, niosących pomoc rozbitkom naszej podbiegunowej ekspedycji »Jeanetta«. Spotkanie się z Scheutzem, w tej zaświatowej kramie, sprawiło nam niewysłowioną radość; wyjechawszy nie dawno z Ameryki, udzielił on nam ciekawych nowin, przyczem opowiadaliśmy sobie wzajemnie o przygodach z podróży po Syberyi.

W kilka dni po rozmowie naszej z p. Makowskim o więzieniach irkuckich, odwiedziłem go w własnym jego domu. Tą razą chciałem wysondować jego opinię o wygnańcach politycznych. Wyróżniał on się nader cierpko o wszystkich rewolucjonistach i »nihilistach« upatrując w nich dzikich fanatyków, stojących w wiecznej opozycji nie tylko z rządem rossyjskim, ale z wszystkimi, całego świata. Podług zdania p. Makowskiego, ludzie ci, powinni być trzymani w żelaznej ręce.

— Między politycznymi wygnańcami — mówił on — są także tacy, dla których żywie szacunek i serdeczne współczucie; młodzi ci ludzie nie dopuściwszy się żadnego przestępstwa, ściągęli na siebie podejrzenie rządu za to, że pozostawali w stosunkach znajomości z rewolucjonistami lub też prowadzili z nimi korespondencją; całą winą ich jest chyba to, że wpadli w złe towarzystwo. Między wygnańcami są znów tacy, których wydłono z kraju wyłącznie za przechowywanie pism i druków zakazanych, co czynili oni nie w złej myśli a tylko z życzliwości dla swych dobrych znajomych i przyjaciół. Policja, znalazłszy u kogoś, jakąś rzecz wzbronioną, nie zwykła

brać pod rozwagę okoliczności, pod jakimi rzecz ta do niego się dostała, lecz jako podejrzanego, wydała go z kraju. Ten sam los jest udziałem tych wszystkich, którzy bezwiednie pożyczają pieniądze rosyjskim rewolucjonistom. Wreszcie jest pewna klasa młodych ludzi 19—21 letnich, noszących się z najlepszymi chęciami dla kraju. Ludzie ci, widząc pewne wady w obecnym systemie rządowym, wierzą w możliwość poprawy bieżącego stanu rzeczy, ale nie na drodze rewolucyjnej, lecz pokojowej. Są to ludzie jaknajlepszych chęci, gotowi zawsze do czynu, dostawszy się jednak do kółek rewolucyjnych padają ofiarą złej woli innych. Serdecznie ich też żałuję.

Przytoczone tu słowa kap. Makowskiego świadczą wymownie, że rząd rosyjski wydała na Syberję nie tylko kwiat rosyjskiej młodzieży, ale mnóstwo innych ludzi, którzy nie tylko nie popełnili nigdy żadnego przestępstwa, ale nadto nie byli nigdy w zamiarze spełnienia go. Fakt ten, zdawna był mi już dobrze znanym, żaden jednak z urzędników nie wypowiedział go tak dobitnie, jak naczelnik policji w Irkucku.

W czasie naszej bytności w Irkucku zamieszkiwało tam wcale niewielu wygnańców politycznych, a i tych, nie łatwo było odszukać. Dotarłem do nich bez pomocy kapitana Makowskiego, który — aczkolwiek wszystko wiedzący szef policji, — nie przeczuwał pewnie, że częstokroć wprost z jego domu udawałem się na schadzki wygnańców politycznych, spędzając tam połowę nocy.

Z wszystkich tutejszych wygnańców najgłębiej utkwili mi w pamięci państwo Czerniawscy wydalenii na Sybir w r. 1878, porządkiem administracyjnym. Żywią prawdziwy szacunek i współczucie dla tych obojga ludzi a w szczególności dla pani Czerniawskiej, owej prawdziwej męczennicy, mało bowiem jest kobiet, które doszedłszy do 38 r. życia miałyby po za sobą tyle strasznych i nieszczęśliwych kolei a przytem zachowały w sobie tyle jeszcze odwagi i swobody myśli. Uwieczona w 25 roku życia w Odessie

w 1878 r. następnie wygnana na Syberję p. Czerniawka w przejeździe przez Kijów była w tamecznym więzieniu świadkiem morderstwa dokonanego na najlepszym swym przyjacielu i towarzyszu lat dziecinnych. Młody ów człowiek, pochodzący z rodziny angielskiej, nazwiskiem Berbeley, przetrzymywany ówczasie w więzieniu kijowskim w charakterze przestępcy politycznego, postanowił razem z swym towarzyszem Władysławem Izbickim ratować się ucieczką. Władze uwiadomione o wszystkim podwoiły swą czujność, w okoł więzienia porozstawiano gęsto szyldwachów, którzy zoczywszy uciekających, dali ognia. Berbeley padł na miejscu przeszyty kulą, zaś towarzysz jego Izbicki pochwycony przez żołnierzy, odprowadzony został powrotnie do więzienia. Katastrofa ta zaszła w sam raz w czasie pobytu pani Czerniawskiej w więzieniu kijowskim, tak, że nazajutrz wyprawiona z transportem aresztantów, patrzeć ona musiała na ledwie co zastygłe zwłoki swego przyjaciela poprzesywane kulą i bagnetami*).

*) Władysław Izbicki, o którym mowa, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie. Zdolny, pracowity, czystych obyczajów, nieskazitelny charakteru i ogromnej siły woli, dusza i ciałem oddany był sprawie wyzwolenia ludu. Uwieszenie Izbickiego okazało się niepowetowaną klęską dla organizacji kijowskiej, o czem wiedząc, postanowił ratować się z więzienia ucieczką. Ucieczka ta, w swoim rodzaju arcydzieło, stała się podziwem dla architektów i urzędników, prowadzących później śledztwo. Cela Izbickiego, z której nastąpiło wyjście, znajdowała się na pierwszym piętrze skrzydła więziennego, obok cel Beberleya, Nirskiego, mojej i dwóch innych. Po ukończeniu robót przygotowawczych, prowadzących przez wielu więźniów i w różnych miejscach budynku więziennego, 29. lipca (starst.), około północy, Berbeley, najbliższy sąsiad Izbickiego, przelazł przez otwór wyrobiony w murowanym piecu do jego celi, skąd obadwa dziurą wypilowaną w otynkowanym suficie dostali się do celi dwupiętrowej, z tej na korytarz, a następnie po schodach na poddasze. Weisnąwszy się oba w komin, spuścili się — przy pomocy linek pokreślonych z prześcieradeł — z czteropiętrowej wysokości do suferen, skąd przez otwór wyrąbany w dwumetrowej grubości fundamencie, dostali się do podziemnego kanału odprowadzającego nieczystości. Przepelnawszy rakiem ów zabójczymi wyziewami wypełniony kanał, znaleźli się za murem obwodowym i linią

— Własne męczarnie mogę znosić — rzekła z westchnieniem p. Czerniawska, opowiadając nam o owym tragicznym wypadku — podobne jednak rzeczy, rozdzierają mi serce.

Nie będę tu wspominał o cierpieniach moralnych i udęczeniach cielesnych, na jakie narażona była ta delikatna i starannie wychowania osoba w czasie długotrwałej swej poniewierki po domach etapowych i więzieniach. Złamana na zdrowiu, doszła wreszcie z swym mężem do jednego miasteczka w gub. tobolskiej, przeznaczonego im na miejsce pobytu. Tu powiła dziecko i oboje małżonkowie żyli dość znośnie po dzień fatalny 1881 r. wstąpienia na tron Aleksandra III. Zażądano od p. Czerniawskiego złożenia wiernopoddańczej przysięgi, a skoro żądaniu temu nie chciał zadość uczynić, wydalono obojga małżonków z 13-miesięcznym dzieckiem wśród trzaskających mrozów do Irkucka P. Czerniawska tuliła dziecko do łona, okrywała je czem mogła, ale niestety, mróz zwyciężył troskliwość czulej matki; na ostatniej stacyi przed Irkuckiem, dziecię skostniało na wieki. Przyszła straszny ciosem pani C. wpadła w stan obłądu; wzięwszy martwe dziecię na ręce, kołysała je, nucąc piosnki łkała, modliła się, lub w szale najstraszniejszej rozpacz czy bluźniła Bogu. Dojechawszy do Irkucka p. Czerniawski zmuszony był przez całe pół godziny wśród 30° mrozu z obłąkaną swą żoną i trupem zmarłego dziecięcia stać pod gołem niebem na dziedzińcu domu eta-

szylwachów. Wyrzebawszy następnie rękami jamę, wydobyli się na powierzchnię ziemi i odetchnęli pełną piersią, gdy atoli rozstawione tej nocy w różnych punktach nadzwyczajne stráže, zoczywszy wychodzących, puścili się za nimi w pogoń. Żołnierze dali ognia, kładąc na miejscu trupem Beberleja w odległości pół km. od więzienia, schwytyany zaś żywcem Władysław Izbicki, stał się ponownie jeńcem. Osadzony na 14 lat katorgi, Izbicki zbiegł z drogi ze stacyi etapowej Rybno (pomiędzy Krasnojarskiem i Kańskiem); ukrywał się przez kilka miesięcy w różnych miejscach Syberyi, skąd puścił się pieszo do Rosyji przez puszcze leśne, gdzie w drodze został zamordowanym przez brodiagów.

(Przyp. *Ułomacza*).

powego, zanim go wpuszczono do wnętrza. Nazajutrz żonę jego umieszczono w szpitalu, a gdy odzyskała zdrowie, wysłano z mężem pod strażą żandarmów do odległego od Irkucka o 3.000 km. ulusu baturuskiego. Tam to żyli oboje wśród niewysłowionych dolegliwości niedoli i niedostatku do r. 1884, w którym, za przyzwoleniem ministra przeniesieni zostali do więcej zaludnionej części Syberyi.

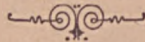
Gdym poznał panią Czerniawską, była ona wtedy nikłą, wynędzniałą, steraną na zdrowiu kobietą, zgnębioną moralnie więzieniem i wygnaniem. Straciła ona w tej poniewierce dwoje dzieci wśród okoliczności, które tę stratę uwieczniły w jej sercu i pamięci. Odalonej od lat siedmiu o tysiące mil od krewnych i przyjaciół, całą pociechą życia był mąż, który jednakże mimo najszczerzych chęci, mało mógł zapobiedz jej cierpieniom. Od dwóch już miesięcy nie przestępowała progę swego domu, a przy pożegnaniu, uściskawszy mi rękę, oznajmiła o bliskim końcu męczeńskiego swego żywota. Smutna historia życia tej nieszczęśliwej kobiety, tak dalece mnie wzruszyła, że po raz pierwszy od dzieciństwa, stanęły mi w oczach łzy. W znak prawdziwego szacunku i współczucia ofiarowałem jej moją fotografię. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu uchylita się od przyjęcia tego upominku i to stanowczo, mówiąc: — przez lat wiele chowałam fotografię mojego zmarłego dziecięcia; była to jedyna pamiątka po moim ulubieńcu. Pewnego razu wchodzi do naszego domu policya na rewizyę i z listami zabiera mi tę fotografię. Powiedziałam, że to jedyny wizerunek mojego zmarłego dziecięcia. Przewodniczący tej rewizyi oficer żandarmeryi, przyrzekł mi zwrócić fotografię, jednakże nie widziałam jej już nigdy. Postanowiłam sobie uroczyście nie nastęrczać więcej powodu rządowi do obrażania mnie w ten sposób i od tego czasu wyrzekłam się posiadania wszelkich fotografii.

*) W połowie grudnia 1884 r. odwiedzałem kilkakrotnie państwa Czarniawskich przeniesionych ówczśnie z ulusu jakuc-

Nie wiem, czy pani Czerniawska należy jeszcze do żyjących; jeżeli jednak jest żywą, to życzyłbym sobie, ażeby te kartki doszedłszy jej rąk, upewniły ją, że i po drugiej stronie Oceanu pozostają dla niej z szczerem uznaniem i przychylnością.

kiego do Tomsku. Pani C. mimo dotkliwych śladów wieloletniej poniewierki i przebytych wielkich cierpień moralnych, była jeszcze osobą dość żywą i pełną entuzjazmu. Ta jej siła ducha, stanęła solą w oku władzom rządowym, które dla ostatecznego zniszczenia jej zdrowia, cisnęły ją wraz z mężem powtórnie na wygnanie do Irkucka oddalonego o 1.650 wiorst od Tomsku, wśród której to podróży na każdym kroku musiała się przejmować zabójczymi dla niej wspomnieniami, zmarzniętego przy jej piersi dziecięcia.

(Przyp. tłumacza).



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Kilka słów tłumacza	I
Przedmowa autora	III
I. Granice rosyjskie	7
II. Równiny i więzienia w zachodniej Syberii	29
III. Stepy Irtyjskie	54
IV. Pierwsze spotkanie się z wygnańcami politycznymi	77
V. Wygnanie porządkiem administracyjnym	102
VI. Więzienie etapowe w Tomsku	126
VII. Wygnańcy polityczni i zwykli przestępcy w Tomsku	148
VIII. Życie przy głównym gościńcu sybirskim	173
IX. Życie wygnańców administracyjnych	197
X. Wygnańcy w Irkucku	222



JERZY KENNAN.

SYBERYA

przełożył

autor » *Wspomnień więźnia* «.

Serya druga.

(*Wydanie trzecie.*)

LWÓW.

NAKŁADEM TEUMACZA

1896.

Z drukarni W. A. Szyrkowskiego ul. Kopernika 1. 5.

Kilka słów tłumacza.

W drugiej części niniejszego dzieła autor wykazując na wstępie bezprzykładne wszechwładztwo rossyjskiej policyi, jej bezprawia, samowolę i wyzyski, prowadzi za sobą czytelnika do mety swej uciążliwej podróży, którą są kopalnie nerczyńskie. Jak dotąd, tak i dalej widzimy w autorze tegoż samego sumiennego, ścisłego badacza, niepowodującego się w swych spostrzeżeniach żadnemi uprzedzeniami, a aczkolwiek okropne obrazy, spotykane na każdym kroku, chmurzą jego czoło i falą wzburzonego uczucia targają mu serce, to wszakże i w chwilach owego napięcia psychicznego nieprzestaje być on sumiennym sędzią, dającym wyraz uznania słabym nawet dowodom dbałości rządu o nieszczęśliwych więźniów i wygnańców.

W kopalniach w Karze sytuacja autora staje się coraz trudniejszą. Budzi on na siebie podejrzenie komendanta katorgi; wstęp do więzienia stanu jest mu wzbroniony tak, że dla dopięcia swego celu, zmuszony jest rzucić na kartę wolność osobistą. Zaopatrzone zdawna

planem więzienia i domów zamieszkałych przez przestępców politycznych, zostających pod »wolną komendą«, wchodzi ukradkiem o zmroku do kwatery jednej ze skazanek politycznych, gdzie wkrótce pojawia się kilkunastu przestępców. Bezwątpienia, wyobraźnia nawet Danta nie wytworzyłaby bardziej ponurej i przygnębiającej sceny jak ta, której widownią jest owa mała izdebka, skąpo oświetlona mdłym płomieniem gorejącego kaganka. — Minęła północ, cienie samobójców, obłąkanych i całego poczetu ofiar rządowej tyranji, wywołane opowiadaniem obecnym, zdają się jeszcze błądzić po dusznej przestrzeni, gdy jeden z towarzystwa, jakiś wyblady, wynędzniały blondyn wlepiwszy w autora błędne, szeroko roztwarte oczy, oznajmia niespodziewanie grobowym głosem: — my — mamy — nasz — cmentarz — własny. — Chcesz go — pan zobaczyć?

Zwiedzając owe ongi najstraszniejsze, dziś chylące się ku upadkowi więzienie katorżne w Akatuji, autor z rozwartą w pamięci księgą męczeństwa Narodu Polskiego, poszukuje »grobow polskich patriotów, którzy w posepnych tych ścianach oddali swe ostatnie tchnienie«. — »Rząd rossyjski — mówi autor — nie troszczy się o przechowanie pamiątek po zamęczonych na śmierć więźniach politycznych; na żadnym grobie ni śladu mogiły, wszystko zrównane z ziemią...«

Wzruszony do głębi duszy widokiem zranionych odłamkami skał i broczących w krwi własnej katorżników,

leżących na twardych, brudnych tapczanach w szpitalu więziennym, autor odkładając pióro na bok mówi: — »takiej okrutnej nędzy człowieczej urąga wszelka pisanina«.

Fatalizm dziejowy, któremu muszą ulegać kolejno wszystkie narody, zabiera Polskiej ziemi — od wzyź stulecia — najwierniejszych jej synów, zasiewając ich kośćmi bezmierne przestrzenie skute wiecznymi mrozami i żelaznymi pęty północnego despoty. Pamięci tych patriotów, chciałbym poświęcić kilka kartek dodanych z swej strony do szacownego dzieła amerykańskiego autora.

I.

Policeja Rossyjska.

Nie ma z pewnością na świecie kraju, gdzieby policya była tak wszechwładną, tak ważną odgrywała rolę i wdzierala się w sprawy osobiste każdego obywatela kraju, jak w Rossyi. W Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie naród sam sobą rządzi, zakres działania władz policyjnych jest ściśle ograniczony i określony; zadaniem tamecznej policji jest wykrywanie i zamykanie zbrodniarzy, tudzież utrzymanie porządku publicznego. W Rossyi natomiast, gdzie naród nie przyjmuje żadnego udziału w rządzie, a stosunek jego do tej potęgi jest ten, co małoletniego dziecka do swego opiekuna, stanowisko policji jest zupełnie odmienne i nierównie donioślejszego znaczenia. Rząd rossyjski uznaje swych poddanych nie tylko za niezdolnych do kierowania sprawami kraju, gubernii lub powiatu ale nawet odmawia im zmysłu prowadzenia domowych swych interesów tak, że poddany rossyjski, od chwili ujrzenia po raz pierwszy światła dziennego po grobową deskę, bywa wciąż prowadzony na pasku, gnębiony, uciskany, dozorowany i zmuszany do czynienia tego, co mu z góry jest narzuconem. Naturalnem następstwem tej ojcowskiej metody rządzenia jest ześrodkowanie wszystkich spraw administracyjnych w ręce pewnej liczby wyższych urzędników i bezprzykładne rozwielenienie władzy policyjnej. Sprawy publiczne, o których w innych krajach wyrokują jednostki lub grono obywateli kraju, w Rossyi

podlegają wyłącznie decyzji ministra spraw wewnętrznych i podwładnej mu policji. Rossyanin, zamierzający wydawać jakąkolwiek gazetę, zmuszony jest prosić o pozwolenie ministra spraw wewnętrznych*). Podobnie każdy, zamierzający założyć szkołę niedzielną lub jakąkolwiek inną choćby najbliższą instytucję naukową, bodajby nawet na końcu przedmieścia petersburskiego lub wioski kamiczackiej, zmuszony jest koniecznie udać się z prośbą o pozwolenie do ministra.**)

Życzy kto sobie w imieniu dobra publicznego założyć ochronkę dla sierót, wydać koncert na cele dobroczynne lub przedstawić żywe obrazy, powinien przede wszystkim uzyskać na to pozwolenie vice-ministra lub też najbliższego mu urzędnika, program przedstawić do zatwierdzenia cenzurze, dochód wykazać policji, która go może całkowicie sobie przywłaszczyć, lub też przeznaczyć na ochronkę.***)

*) P. Inocenty Kuźniecowa, bogaty właściciel kopalni złota, z którym poznaliśmy się w Krasnojarsku, stara się już od roku o pozwolenie wydawania czasopisma tygodniowego, i zawsze otrzymuje z Petersburga odmowną odpowiedź, mimo że w Syberji wychodzą tylko cztery gazety, z których jedna została obecnie zawieszona na przeciąg ośmiu miesięcy. Daremnymi także okazały się starania i zabiegi obywateli miasta Nerczyńska, względem wydawnictwa gazety. Mieli oni odpowiednie ku temu środki, rozchodziło się tylko o pozwolenie. Wydawca wychodzącej dwa razy w tygodniu w Tomsku »Gazety Sybirskiej«, zmuszony był wielokrotnie odwoływać się z prośbami do ministra spraw wewnętrznych o pozwolenie wydawania mu tejsze gazety trzy razy tygodniowo. Ciągłe zarzucano go pytaniami po co? do czego?

**) Wiele ze znanych mi wygnanek politycznych w Syberji, kobiet poważnych i wykształconych, narażone zostały na wiele nieprzyjemności ze strony władz za to mianowicie, że się zajmowały kształceniem dzieci włościańskich lub też udzielały lekcji w innych domach prywatnych.

***) Cyrkularz ministra spraw wewnętrznych z miesiąca sierpnia 1883 r. do wszystkich gubernatorów, wzywa policję do rozciągnięcia kontroli nad wszystkimi wystąpieniami wydawanymi na cele dobroczynne. Rozporządzenie to zawiadamia publiczność, że koncerta jako też wszelkie produkcje na cele dobroczynne

Kto chce sprzedawać gazety na ulicy, ten zmuszony jest prosić o pozwolenie, następnie zapisać się w biurze policji, skąd otrzymany sztyl mosiężny, wielkości tacy, winien nosić na szyi. Podobnie na otwarcie magazynu materiałów, sklepu, drukarni, zakładu fotograficznego, litograficznego, księgarni, należy uzyskać pozwolenie. Fotograf, bez zezwolenia władz rządowych, nie może przenieść swego zakładu z jednej ulicy na drugą. Student, zabierający się do czytania w bibliotece publicznej, tak niebezpiecznych dzieł jak: Lyella »Zasady geologii« albo Spencera »Socjalna równowaga«, przedewszystkiem musi starać się o uzyskanie pozwolenia policji. Lekarzowi nie wolno jest leczyć chorych bez upoważnienia policji, również wzywany do chorego nie może się on wyświadczyć znużeniem i brakiem czasu. Jeżeli nie jest zaopatrzone odpowiednim pozwoleniem policji; przepisując choremu jakieś lekarstwo »niebezpieczne«, musi receptę odesłać do poświadczenia policji, albo też aptekarz leków nie wyda.*)

Włościanin, zamierzający postawić łaźnię na swoim własnym podwórku, zmuszony prosić o pozwolenie

dozwolone zostaną pod tym tylko warunkiem, jeżeli bilety wstępu sprzedawane będą przez urzędnika policyjnego lub też pod jego kontrolą. dochód zaś doręczonym zostanie beneficjentom tylko przez policję. Rozporządzenie to opiera się na tej podstawie, że źle myślący ludzie pod pokrywką dobroczynności wydają koncerty i zabawy na korzyść więźniów politycznych, wygnańców i rewolucjonistów. Wyciąg z rozporządzenia Ministerstwa spraw wewnętrznych ogłoszony został w »Przeglądzie wschodnim« w Petersburgu 26. sierpnia 1882 r. str. 14. Nawet stowarzyszenia naukowe, jak towarzystwa geograficzne w Irkucku i Omsku, pozostają pod kontrolą policji. Są one wprawdzie upoważnione do wybierania swego prezesa, tenże jednak nie może dopóty zająć swego stanowiska, dopóki wybór jego nie zostanie przyjęty i potwierdzony przez ministra spraw wewnętrznych.,

*) Aptekarze i droguerzyści w miastach i na prowincji otrzymują z policji spis imienny wszystkich lekarzy upoważnionych do zapisywania lekarstw narkotycznych lub trucizn. Jeżeli recepta nie jest zaopatrzona podpisem którego z tych lekarzy, aptekarz leku nie wyda

policyi. Kto chciałby wieczorem przy świetle zajmować się tokarstwem, ten musi uzyskać na to pozwolenie policyi. Wypadnie komu wyjechać w drogę do jakiejś wsi lub miasta, położonego od jego siedziby w odległości wzwyż pięćdziesięciu wiorst, musi brać pozwolenie na wyjazd z policyi. Obcokrajowcowi nie wolno jest bez pozwolenia policyi podróżować po kraju, wyjechać z niego, przemieszkawać w nim dłużej nad sześć miesięcy, ani też przenosić się z jednej ulicy na drugą. Jednem słowem, w państwie rosyjskiem nie wolno ruszyć ręką ni nogą, bez uzyskania na to pozwolenia policyi.

Władze policyjne z najwyższym swym zwierzchnikiem, ministrem spraw wewnętrznych, sprawdzają, przy pomocy paszportów, każdy ruch mieszkańców państwa; zajęte są one wiecznie śledzeniem tysięcy osób »podejrzanych«, uwiadamiają sądy o zobowiązaniach osób za legających spłaty, przewodniczą wyprzedaży niewykupionych zastawów, potwierdzają tożsamość osób pensjonowanych i różnych innych, czuwają nad utrzymaniem w porządku dróg i mostów; do nich należy nadzór nad przedstawieniami teatralnymi, koncertami, afiszami teatralnymi i ogłoszeniami ulicznymi; układają tabele statystyczne, przestrzegają zachowywanie przepisów zdrowotności, przeprowadzają rewizye domowe, odczytują listy podejrzane, usuwają z ulic kaleków i nędzarzy, napominają wiernych kościołowi, zaniedbujących się w przyjmowaniu komunii świętej i zmuszają grzeecznie do wykonywania tysięcy przeróżnych przepisów i rozporządzeń, niezbędnych dla dobra publicznego i bezpieczeństwa państwa. Prawo policyjne zajmuje więcej niż pięćdziesiąt rozdziałów w »Swodzie russkich zakonów«, i bez przesady można powiedzieć, że we wsiach zdala miast główniejszych położonych, wszechmocna i wszechznająca policya każdemu udziela przestróg względem jego zachowania się i uznaje się w obec każdego i na każdym miejscu zastępczynią boskiej Opatrzności.

Ażeby dać czytelnikom pojęcie o najróżnorodniejszych sprawach, poruczanych przez rząd policyi, przy-

toczę tu wypis z cyrkularzy, wysyłanych przez ministra spraw wewnętrznych do gubernatorów różnych guberni w latach 1880 do 1884.

1. Układ nauki religii dla szkół nie kierowanych przez osoby duchowne.
2. Środki ostrożności przeciw koniokrądom.
3. Środki, dotyczące przedstawień dozwolonych dramatów.
4. Zakaz sprzedawania pigulek Szymańskiego.
5. Zakaz dla włościan ścinania młodych brzoź i przystrajania niemi kościołów i domów w dni świąteczne.
6. Przepisy dla cenzorów, dotyczące sposobu prowadzenia kontroli nad sprawozdaniami i rachunkami składanymi przez towarzystwa prywatne i spółki.
7. Przepisy dotyczące ograniczenia przewozu łoju.
8. Przepisy dotyczące wpisywania w paszporta dla żydów, znaków szczególnych w celu sprawdzenia tożsamości osób.
9. O sposobie używania wód mineralnych przez chorych i rannych oficerów.
10. Rozporządzenia dotyczące sprzedaży zboża na wagę zamiast na miarę.
11. Określenie czasu i okoliczności, w jakich urzędnicy policyjni i ministerstwa sprawiedliwości, mogą nakładać na czapki pokrowce płócienne.
12. Przepisy dotyczące przyznawania pewnym osobom prawa zbierania składek pieniężnych dla świętych miejsc w Palestynie.
13. Przepisy dotyczące zniesienia długich łańcuchów, służących do skuwania po sześciu więźniów w czasie transportu.
14. O etykietach na papierkach cygaretowych.
15. Zakaz dla radców gubernialnych i gminnych wydawania opinji i wyroków w sprawach przechodzących zakres ich działania.

16. Przepisy względem zbiegłych na Kaukaz dezertarów.

17. Rozporządzenia co do stawiania po wsiach domów mieszkalnych.

18. Kontrola nad dowozem i wywozem kości.

19. Utrzymywanie kontroli nad ogłoszeniami lekarskimi.

20. Zakaz używania książek i podręczników naukowych, nie poleconych przez ministra spraw wewnętrznych i władze duchowne.

21. O właściwych metodach mierzenia nóg rekrutom.

22. Przepisy dotyczące zgromadzeń naukowych.

23. Przepisy dotyczące podań o pozwolenie wydania koncertów, przedstawień teatralnych i innych zabaw publicznych.

24. Drukarze obowiązani są odsyłać policji wszystkie przez nich drukowane gazety, czasopisma i kalendarze.

25. Odnosi się do sprzedaży chininy.

26. Utrzymywanie kontroli nad cennikami, drukowanymi biletami zapraszającymi i wizytowymi.

27. Urządzanie wychodków.

28. Kontrola pieczęci, odcisków i biletów osób prywatnych i stowarzyszeń.

29. Przepisy dotyczące zbierania jałmużny na budowę lub odnowienie kościołów i dla Palestyny.

30. Przepisy dotyczące sprzedaży w aptekach niektórych »środków piękności«, jako to: mydełek, krochmalu, pudru, szczoteczki do zębów i proszków przeciw owadom.

To są niektóre tylko dodatkowe przepisy, rozporządzenia i prawa, z liczby całych tysięcy, należących do jurysdykcji cesarskiej policji. Rozumie się, że przestrzeganie takiej mnogości przeróżnych zakazów i ograniczeń przechodzi moc jednej tylko klasy urzędniczej, tem niemniej jednak stają one na przeszkodzie wolnemu

rozwojowi wszelkiego osobistego przedsiębiorstwa, są hamulcem, powstrzymującym w zarodku wszelką działalność człowieka.

Amerikanin, nie jest bezwarunkowo w stanie przedstawić sobie stosunków istniejących w Rosyji. Wyobraźmy sobie np. gubernatora w Nowym Jorku, wydającego rozkaz rewidowania u wszystkich obywateli miasta pieczętek, stempli, biletów wizytowych, albo generalnego dyrektora policji, wysyłającego okólnik do wszystkich naczelników, zawierający przepisy sprzedaży mydła, krochmalu, pudru, szczoteczki do zębów i proszku przeciw owadom. Taki gniot rządowy wydaje się Amerikaninowi tyrańskim, wstrętnym, opacznym, nie pojętym. Rossyan to nie razi.

Policja rossyjska trudni się innemi jeszcze rzeczami, niż wzmiankowanemi co do sprzedaży szczoteczki do zębów i proszku przeciw owadom. Mam u siebie formularz z rubrykami wypełnionemi przez urzędnika policyjnego, którym zawiadamia on swego zwierzchnika, że stosownie do otrzymanego polecenia, odszukał wymienione tam z nazwisk osoby i »napomniał« je, pod »groźbą surowej kary« ze strony władz administracyjnych, uczestniczenia przy stole pańskim (pod opasieniem w przeciwnym słuczaje kazionnowo wziskania). Na pierwszej stronie tego dokumentu wydrukowany jest wielkimi literami następny napis: »Ukaz Jego Cesarskiego Majestatu Samodzierzawcy Wszech Rosyji«. Gazeta »Sybir« z dnia 10. czerwca 1883 r. podaje do publicznej wiadomości, że policja w Irkucku, świeżo otrzymała rozkaz napominania wszystkich osób zaniedbujących się w spełnianiu, obowiązków religijnych, do przyjmowania najświętszego Sakramentu. Prawdziwie tylko w jednej Rosyji można się spotkać ze zjawiskiem, zmuszenia kogoś przez policję do przyjmowania komunii świętej i wleczenia go do ołtarza.

W rozdziale niniejszym zamierzyłem podać w krótkich zarysach organizację instytucji, spełniającej tak

niezwykłe obowiązki, oraz przytoczyć kilka przykładów charakteryzujących metodę rządową. Policję rosyjską można podzielić na cztery klasy, lub też kategorie: do pierwszej należy policja gminna, czyli »straż ziemską«, składająca się z urzędników naznaczonych przez rząd, tudzież sotskich i dziesiątników wybieranych przez gromadę; do drugiej klasy zaliczają się urzędnicy policyjni i policyanci, których służba jest prawie też sama co zwykłej straży bezpieczeństwa we wszystkich innych krajach; trzecią klasę stanowi policja tajna z należącymi do niej konstablami, wreszcie czwartą, żandarmarya. Podział ten nie jest dokładnym, ponieważ są trzy różne rodzaje żandarmów, nadto należy tu wyróżnić konstablów wchodzących w skład tajnej policji. Ograniczę się wszakże na czterech tylko klasach.

Policja tajna i żandarmarya pozostawała do niedawna jeszcze pod kontrolą tak zwanego »Oddziału trzeciego« kancelaryi cesarskiej i tworzyła oddzielną gałąź policji państwowej, zajmującej się wyłącznie przestępstwami i przestępcami stanu. Po zniesieniu tej trzeciej sekcji cała policja rosyjska została oddaną pod rozkazy jednego, najwyższego zwierzchnika, którym jest minister spraw wewnętrznych. Z dat statystycznych nie można się nic pewnego dowiedzieć o liczebnej sile rosyjskiej policji, a biorąc ilość jej w przybliżeniu, można się bardzo pomylić. Podług dobrze informowanej gazety rosyjskiej »Głos«, koszt utrzymania policji w całym carstwie rosyjskim wynosiły w r. 1882 do 12,000,000 rs. Licząc płacę roczną każdego policyanta 300 rs. wypadnie 40 000 ludzi; niewątpliwie jednak jest ich więcej. Taż sama niepewność co do siły liczebnej dotyczy wybieranych przez włościan »sotskich« i »dziesiątników«. Gazeta »Prawitielstwiennyj Wiestnik« (goniec rządowy), z dnia 1. maja 1886 r. ogłasza całkowity spis wszystkich miast, wsi i siół w Rosyi europejskiej, w których znajduje się razem 268,928 szynków i różnych składów spirytualnych. W każdej wioszczynie, w której się znajduje lada jaki szynk, można liczyć przecięciowo dwóch policyantów, a zatem we wszystkich wsiach znajdzie się

ich do pół miliona. Liczba »urzędników« to jest policyantów gminnych, naznaczonych przez rząd, wynosi 5 do 6000; podzieleni oni są na »stany« czyli stacye, które wcielone są do okręgów czyli powiatów i pozostają pod władzą stanowych przistawców albo cząstkowych naczelników policyjnych. Zwierzchnikiem dwóch lub trzech takich stacyi jest »isprawnik« czyli naczelnik powiatu zostający pod władzą gubernatora. Taż sama organizacja jest w Syberyi z tą różnicą, że okręgi tamtejsze zajmują większe przestrzeni niż w Rosyi europejskiej, zaś urzędnik cząstkowy ma nazwę nie przistawa lecz »zasidatiela«. Urzędnicy są umundurowani i uzbrojeni szabłami tudzież rewolwerami; pensya zwykłego policyanta wynosi rocznie piędziesiąt dolarów, stanowej przistaw czyli naczelnik policji pobiera dwieście do trzystu dolarów (od 500 do 750 zł. w. a.) Za tak małe wynagrodzenie trudno jest znaleźć uczciwego i zdolnego człowieka, stąd też Policja gminna czyli »straż ziemską« jest stekiem najlichszych elementów. Przeważnie są to nieucy, głupcy, wyszukujący w najbezcześniejszy sposób wszystkie przepisy i rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, skierowane ku ulepszeniu stanu włościan. — Tak n. p. minister w najlepszej wierze wydaje rozporządzenie względem oblewania dachów słomianych w porze letniej glinianką, dla zabezpieczenia ich od pożaru. Urzędnik policyjny otrzymawszy takie rozporządzenie, przetrzymuje je u siebie, podając do wiadomości gminy wtedy dopiero, gdy nadchodzi pora największej roboty w polu, to jest w czasie posiewów lub sprzętu zbóż. Wtedy zjeżdża sam na miejsce i odczytawszy zawezwanym włościanom rozporządzenie gubernatorskie, każe bezwzględnie je wykonać z całą ścisłością. Przyparci w ten sposób włościanie proszą o zwłokę, objawiając chęć okupienia jej pieniędzmi. Urzędnik początkowo waha się wchodzić w jakiegokolwiek układy z gminą, tłumaczy się, że za niewykonanie rzeczzonego rozkazu może być sam pociągnięty do surowej odpowiedzialności, nie chce więc słyszeć o zwłoce, wreszcie wchodząc w przykre położenie gminy, staje się sam kozłem ofiarnym, byle nie

narażać jej na straty. Przyjmuje na się całą odpowiedzialność za zwłokę w wykonaniu gubernatorskiego rozporządzenia pod warunkiem, że każdy z gospodarzy złoży mu po dwadzieścia kopiejek, ażeby w razie wydalenia go ze służby, na razie nie znalazł się ogołoconym ze środków do utrzymania życia. Tak się dzieje w istocie. Włościanie powracając do swej roboty, urzędnik zaś spieszy ze swą zdobyczą do szynku, gdzie przy gorzałce podziwiał swój spryt, dzięki któremu udało mu się jakieś zadawnione rozporządzenie gubernatorskie o oblewaniu strzech słomianych glinianką, zużyć na swoją korzyść.

Nie tylko w ten sposób policya umie wyzyskiwać włościan. Są urzędnicy, którzy stojąc nihy w obronie dobrobytu krajowego, przesładają pojedynczych przedsiębiorców, dopóki nie uzyskają od nich odpowiedniej łapówki. Gdyśmy z panem Frostem przejeżdżali przez gubernię jennissejską, zgłosiło się kilku włościan z życzeniem wynajęcia galaru na przewóz zboża do północnych okolic guberni. Chcąc coś zarobić, nie szukali żadnych faktorów, lecz postanowili sami żądane zboże dostarczyć konsumentom. Trafny ten zamiar obiecywał korzyści obydwóm stronom, ale niestety, ubezwładniony został przez policyę. W każdej prawie wsi rosyjskiej przemieszkują dorobkiewicze, spekulanci, zazwyczaj żydzi, którzy w porozumieniu z przekupnymi urzędnikami policyjnymi obdzierają włościan, zmuszonych koniecznością do zaciągania małych pożyczek pieniężnych. Obdzierusów tych, włościanie sybirscy i rosyjscy zwykli nazywać »kułakami«. Otóż we wsi w mowie będącej, przemieszkiwał jeden z takich spekulantów. Zwiertrzywszy, że interes pachnie zyskiem, udał się do zasadiatela czyli asesora okręgowego opowiedziawszy mu całą rzecz oznajmił: — gdybyśmy też drogi Iwanie Nikołajewiczu wzięli się wspólnie do tego interesu?

— Jakto? — spytał urzędnik policyjny z rozbudzonem zajęciem.

— Otóż tak, — odrzekł kułak — chłopom tym nie wolno się oddalić za granicę wsi nad wiorst

trzydzieści bez poświadczenia paszportów w biurze policyi. Człowiekowi tak bystremu jak pan nim jesteś, nie trudno będzie znaleźć jakiś powód prawny do odmówienia im pozwolenia jazdy w tak odległą stronę. Można im powiedzieć, że w tym czasie wyszło nowe rozporządzenie, podług którego, pozwolenia podobnego rodzaju powinny być wydawane na właściwych blankietach drukowanych, których dotychczas nieotrzymał tutejszy urząd policyjny; wreszcie możesz im pan powiedzieć, że paszporty ich odesłałeś do odnowienia do miasta gubernialnego i że te dotychczas jeszcze nie nadeszły. W tym razie, chłopci nie pojedą ze zbożem, bo lękać się będą, ażeby ich nie zatrzymano na następnej stacyi. My tedy sami nabędziemy to zboże za bezcen, zajmiemy się jego wysyłką i zrobiwszy dobry interes, podzielimy się zyskiem.

Plan kułaka był na rękę zasadiatelowi, rozparzył go szczegółowo i potwierdził na niekorzyść producentów. Podobne manipulacje mają drugą jeszcze niekorzyść, że zniechęcają włościan. Na co się zda cała praca — rozumują sobie — jeżeli policya przeszkadza im w zbywaniu produktów i zmusza ich za pół darmo sprzedawać lada jakiemu »kułakowi«, obdzierusowi albo pijawce! Takie spółki z policyą, w rozmaitych odmianach, są na porządku dziennym w całej Rosyi, a w szczególności w Syberyi, gdzie policya mniej podlega kontroli władz wyższych, a urzędnicy pod względem moralnym niżej stoją od rosyjskich. Pan Krassin czeigodny isprawnik, przyjmujący nas tak serdecznie w Tiuneniu, dzięki któremu zwiedziliśmy tameczne więzienie etapowe, został uwieziony i wydalony w odleglejsze strony Syberyi za to mianowicie, że wykrył w swoim okręgu dokonywane się na włościanach zdzierstwa i oszustwa. Zawiezani do sądu na świadków włościanie odezwali się w ten sposób:

— Każdy ściąga z nas pieniądze, pisarz gminny, zasadiatel, isprawnik czy też inny jaki urzędnik, — w każdym czasie i przy każdej sposobności. Przywykliśmy

już do tego i nie uskarzilibyśmy się na to wszystko, gdyby sprawa nie była wyszła na jaw, bez naszego współdziałania*). To odezwanie się charakteryzuje rosyjskiego włościanina i dowodzi jego bezsilności w obec korporacji urzędniczej. Ucisk i wyzyskiwanie stały się dla tamecznego włościanina chlebem powszednim; tak zawsze było; widzi on w tem karę boską, której nie jest w możności się oprzeć. Nikt nie wie i wiedzieć nigdy nie będzie, jak wielkie sumy pieniężne wydusili z włościan owi rozbójnicy uliczni w mundurach policyjnych; w każdym razie te sumy muszą być olbrzymie. Isprawnik K-berg w Jenissejsku chwalił się, że ma z chłopów rocznego dochodu 20.000 rs.**).

W czasie podróży naszej po Syberji poznaliśmy się w jakiejś wsi pod Irkuckiem z pisarzem gminnym, niejakim Iwanowem. Ponieważ stosunek nasz był poufalszy, rozpoczęliśmy przeto raz dość otwartą rozmowę o korupcyi panującej pomiędzy urzędnikami. P. Iwanow zwracając się do mnie, oznajmił bez ogródki: — Panie Kennan, ja także biorę pieniądze od włościan. Wiem o tem, że postępuję sobie nieuczciwie, ale cóż mam robić? Z mojej pensyi nie w stanie byłbym wyżyć; mój zwierzchnik, pierwszy urzędnik okręgowy, bierze wziętki, podobnież jego zwierzchnik, isprawnik, każe sobie także dawać łapówki; toż samo czyni zwierzchnik isprawnika, a wreszcie i sam gubernator; jeślibym nie chciał brać łapówek uznano by mnie za zamaskowanego rewolucjonistę, zostałbym***) aresztowany albo

*) Gazeta sybirska Nr. 49 str. 1477; Tomsk, 7. grudnia 1886.

**) »Atieczestwiennyje zapiski« str. 160 Petersburg, maj 1882.

***) Po poronionem »powstaniu ludowem«, wielu wykształconych młodych Rosyan, liberalów i rewolucjonistów, przybrawszy obce nazwiska pozajmywało posady pisarzy, sekretarzy okręgowych w tej nadzieji, że poznanieniem włościan z ustawami prawnymi, oswobodzą ich od nadużyć owych pijawek i wyzyskiwaczy kapitalistów wiejskich zwanych »kulakami«. Wszyscy ci wszakże ludzie poświęcający się dla dobra ludu, zostali wykryci przez policyę, a zdradzili się tem głównie, że nie upijali się po szynkach i nie przyjmowali łapówek. Pan Iwanow właśnie miał na myśli owe wydarzenia.

też wydalony ze służby za to tylko, że starałem się być człowiekiem więcej honorowym niżeli sam gubernator.

Niektóre sposoby wyzyskiwania pieniędzy, praktykowane przez policyę prowincjonalną, odznaczają się bystrością i oryginalnością. Nienadługo przed naszym przyjazdem do Tiumentia, zasidatiel tamecznego okręgu został zawiadomiony, że w pobliżu wsi, w lesie, znaleziono trupa jakiegoś człowieka, na którym niewątpliwie dokonane zostało morderstwo. Obowiązkiem zasidatiela jest w takich razach, bezwzględnie spieszyć samemu na miejsce dokonanej zbrodni, przeprowadzić śledztwo, trupa zamordowanego człowieka kazać przywieść do wsi i czekać przybycia chirurga, który ma robić obdukcję. Zasidatiel udał się też natychmiast do owej wsi, pozostawiając rozkaz nieobecnemu lekarzowi, ażeby zaraz po swoim powrocie do miasta spieszył w ślad za nim. Przybywszy do wsi, zasidatiel udał się na miejsce, gdzie leżał trup i nie czekając przyjazdu lekarza, kazał martwe zwłoki powieść do wsi. Wiedząc dobrze, że we wsi tej nie ma trupiarni, przebiegły zasidatiel już w Tiumentiu obmyślił sobie plan zużytkowania tego wypadku na wydurzenie od włościan pieniędzy. — Trupa przeniesiono do wsi na noszach, sporządzonych doraźnie z gałęzi sosnowych, i umieszczono go przed oknami domu najzamożniejszego gospodarza, któremu oznajmił urzędnik policyjny, że do przyjazdu lekarza, zwłoki te muszą leżeć w jego mieszkaniu.

— Na miłość Boga, zawołał włościanin, — jakim sposobem mogę przechowywać u siebie trupa dni kilka, skoro pojutrze wesele mojej córki.

Zasidatiel zapewniał uroczyście gospodarza, że jemu samemu sprawa to wielką przykrość, ale cóż robić, kiedy tak każe obowiązek. Wypadek ten może mieć bardzo ważno następstwa, trup człowieka nieznanego powinien być przechowany w bezpiecznem miejscu zanim przybędzie lekarz, zrobi obdukcję i z nim nastąpi sprawdzenie tożsamości osoby. Sprawa

mogłaby wypaść na niekorzyść całej gminy i włościanie powinni być wdzięczni, że tak tanim kosztem okupiła sobie spokój.

Gospodarza ogarnęła rozpacz. wiedział on, że urzędnik policyjny jest w prawie pozostawienia w domu jego trupa zabitego człowieka; wiedział również, że za sprzeciwienie się władzom policyjnym oczekuje go wielomiesięczne więzienie, a w danym razie katorga. Nie pozostawało nic innego, jak tylko zwrócić się do prośby. Błagał zasidatiela, ażeby zechciał mieć wzgląd na jego przykre położenie, że wreszcie woli zapłacić 50 rs. niż odraczać weselę swej córki i narażać dzieci na nieprzyjemności, jakich ich nabawia widok w stancyi leżącego trupa. Rozumie się, że rozchodziło się tu tylko o pieniądze. Zasadatiel przychylił się też do życzenia włościanina i ubolewając, że wypadek tak niepomyślnie zdarzył, ażeby przed samem weselem trup leżał w jego domu, oznajmił, że jeżeli swoją uległością dla władz zasłuży sobie na to, to trupa każe przenieść do innego domu. Bezzwłocznie też nastąpiło porozumienie się: włościanin okupił się trzydziestoma rublami, a zasidatiel odegrawszy taką samą komedię z drugim bogatym włościaninem, w którego domu kazał umieścić tego samego trupa, wykpił trzydzieści lub pięćdziesiąt rubli i obdarłszy kolejno wszystkich zamożniejszych włościan, kazał wreszcie pomieścić zwłoki zamordowanego człowieka w jakiejś starej, pustej stodole.

Rozmawiając o tym przedmiocie z włościanami w innych częściach Syberii, dowiedziałem się od nich, że wypadek w mowie będący nie należy do osobliwych. Opowiadano mi, że częstokroć jeden i ten sam trup, następczą isprawnikowi okazji do obdzierania kilku nawet gmin. W pobliżu wsi sybirskich często napotkać można zwłoki ludzi zupełnie obcych, przeważnie zbiegłych katorżników, których mnóstwo ginie z głodu, mrozu i nędzy. W jednej wsi włościanie, chroniąc się przed zdzierstwem, nie meldowali nigdy władzom o znalezionym trupie, lecz zagrzebywali go cichaczem lub też zawłoczyli pod wieś sąsiednią.

Czasopismo »Przegląd wschodni« ogłasza, że pewnego razu ukryto trupa ludzkiego w celi więziennej, zamieszkałej przez aresztantów; trup ten leżał tak długo, dopóki mieszkańcy doprowadzeni do rozpaczyny zabójczym odorem gnijącego ciała ludzkiego, zrobiwszy między sobą składkę, nie postarali się o uprzątnienie go*).

Nie wszędzie władze policyjne chwytają się tak haniebnych sposobów wyzyskiwania pieniędzy, jednakowoż w wielu miejscach jest on na porządku dziennym. Mówiono mi, że naczelnik policyjny pewnego okręgu, w czasie żniw zawezwał około czterdziestu włościan, by nazajutrz po południu bezzwłocznie stawili się w policyi. Posłuszni włościanie przybyli w komplecie do urzędu, gdzie zastali zasidatiela (asesora) w pełnym uniformie, siedzącego za stołem, na którym leżały dwie wielkie księgi »swoda russkich zakonów« (zbioru praw rossyjskich). Urzędnik ów, oznajmił przybyłym włościanom, że względnie do rozkazu władz wyższych zawezwano ich tu umyślnie w celu zapoznania z rozporządzeniami, które każdy dobry Rossyjanin znać powinien. Rozwartłszy księgi, odczytywał zdumionym słuchaczom kurs prawa, zupełnie dla nich nie zrozumiały; w końcu rozpuścił ich, oznajmiając, by nazajutrz stawili się ponownie. Skłopotani włościanie, przesiadziawszy godzin kilka jak na niemieckim kazaniu, tegoż jeszcze wieczora wystali deputację do urzędnika - nauczyciela z zapytaniem, jaką należy złożyć takse zwalniająca od nużącej prelekcji.

— Dwadzieścia kopiejek od głowy zapłacić ma każdy, kto się chce uwolnić od słuchania odczytu. — brzmiała odpowiedź doktora praw.

Z pomiędzy wielu tak zwanych »powinności naturalnych«, najuciążliwszą dla włościanina sybirskiego jest szarwark drogowy, zużywający znaczną liczbę dni roboczych. Powinność ta w całej Syberii, służy władzom policyjnym za pretekst do wyzyskiwania pieniędzy.

*) Fakta te nie były publikowane drukiem: czerpałem je ze źródeł bardzo wiarygodnych.

Isprawnik n. p. nie pozwala mieszkańcom jakiegś wsi naprawiać drogi przez nią przechodzącej, lecz goni ich do innej o dziesiątki wiorst odległej, a naodwrot, robotnika ze wsi drugiej. przegania na drogę przechodzącą w pobliżu pierwszej. Skłopotani włościanie spieszą z pieniędzmi do isprawnika i okupują sobie prawo naprawiania drogi przez ich grunta przechodzącej. Jeżeli gmina nie złoży isprawnikowi odpowiedniego haraczu, to włościanie otrzymują rozkaz, ażeby nie ważyli się, pod surową odpowiedzialnością, ruszyć się z miejsca po skończonej nawet robocie, dopóki isprawnik nie zjedzie na miejsce i nie przekona się sam, czy droga należycie została naprawioną. Czasami setki ludzi, mimo ukończonej roboty, obozować musi przy drodze przez dwa nawet tygodnie w oczekiwaniu isprawnika, jeżeli nie okupili się należytą łapówką. Wszystko to dziać się zwykło pod płaszczykiem prawa, a biedni chłopci muszą składać haracz lub też ulegać nadużyciom.

Polityczni przestępcy opowiadali mi nieraz pocieszne historyjki o bezprzykładnych niedorzecznościach i pomyłkach, jakich dopuszcza się policya gminna przy chwytniu »podejrzanych politycznie«. Przed czterema czy pięcioma laty, zaraz po zabójstwie dokonanem na osobie oficera żandarmeryi Sudiejkina przez kapitana Degajewa, fotografie tegoż, porozsyłano po wszystkich urzędach policyjnych carstwa. Na odwrotnej stronie karty mieszczącej sześć różnych fotografij winowajcy — w czapce, z gołą głową, z brodą, pełnym zarostem, ogolonego zupełnie, wreszcie z wąsami, — zamieszczoną była nagroda w ilości 10.000 rs. dla dostawcy.

Otóż pewien pijanica i ograniczony urzędnik policyjny w jakiegś wsi w »wschodniej Syberii«, któremu w ręce wpadła taka karta, uwięził czterech niewinnych podróżnych, zdających mu się podobnymi z twarzy do fotografii Degajewa, a następnie chwalił się w szynkach, że przechowuje w bezpiecznym miejscu aż czterech Degajewów, skoro zaś uda mu się pochwycić dwóch brakujących, których skwapliwie poszukuje,

wtedy cały komplet doręczy władzom wyższym. Nie wątpi więc otrzyma 10.000 rs nagrody, a oprócz tego znak honorowy za »odznaczenie się gorliwą służbą«.

Inny znów, równie ograniczony urzędnik policyjny, przyaresztował jednego człowieka nauki, członka cesarskiego towarzystwa geograficznego, który jako zapalony ornitolog, odbywał wycieczki w celu naukowym. Nieszczęśliwy ów uczony zapisywał starannie códzien w swojej notatce nazwę upolowanego ptaka, zaś przenikliwe oko policyjanta dopatrywało na każdej stronie uwag podejrzanego znaczenia: tak np. 13. lipca: »dzisiaj po południu zastrzeliłem słomkę królewską«; 17. lipca: »dzisiaj, silvia hortensis«; nie było to widocznie sprawozdania z morderczych zamachów nihilistów? Schwytny ornitolog, odstawiony był pod najsurowszym dozorem do naczelnika okręgu, któremu przedłożona notyska, miała namacalnie udowodnić, że ma się tu do czynienia z krwiożerczym terorystą; nie podlegało najmniejszej wątpliwości, że pod nazwą »słomki królewskiej« rozumieć należało, któregoś z członków cesarskiej rodziny.

Każdy prawie z obcokrajowców, podróżujący po Rossyi w celu gruntownego zbadania tamecznych stosunków i sposobu życia, okupuje swą missyę przynajmniej jednorazowym aresztem. Angielski żeglarz Wiggins więziony był w Syberyi przez dni trzy, zanim udało mu się przekonać policyę o tożsamości swej osoby*). Mackenzie Wallace uwięziony został jako szpieg, Lansdell jako rozpuszczający pamflety rewolucyjne, ja zaś z panem Frostem byliśmy aresztowani w Permie za trzykrotną przechadzkę około więzienia miejskiego.

Policya tajna i żandarmerya liczebnie dorównywa policyi »ziemskiej«, przewyższa ją wszakże znaczeniem swem i inteligencyą. Spotkać ją można w carstwie wszędzie i na każdym miejscu; przeważnie jednak

*) Nie wspominałbym tu nigdy o tych faktach, gdybym ich nie czerpał ze źródeł wiarogodnych.

w miastach. Publiczność bardzo mało obeznaną jest z organizacją, liczbą i procedurą policyi tajnej i żandarmerji, wiadomo jej jest tylko, że cała ta straż bezpieczeństwa pozostaje pod zwierzchnictwem ministra spraw wewnętrznych i że jej czynność skierowaną jest ku śledzeniu i wykrywaniu podstępstw politycznych. Głównem zadaniem tej policyi jest nadzór nad osobami podejrzanymi o odrzysywanie stosunków, znajomości z rewolucjonistami rossyjskimi, osoby te, w języku urzędowym nazywają się „niebłagonadiożnymi”. W czasie wstąpienia na tron obecnego cara rossyjskiego, Aleksandra III. znajdowało się w Rossji europejskiej pod nadzorem policyjnym 3000 osób, zaś liczba wygnanych na Syberyę dochodziła do 2000.

Wypada tu jeszcze zauważyć, że osoby te zostawały pod jawnym nadzorem policyjnym, jest jednak mnóstwo takich kobiet i mężczyzn, którzy nie wiedzą i nie przeczuwają nawet, że wszystkie ich kroki śledzone są tajemnie przez policyę.

W czasie pobytu mego w Petersburgu udało mi się skrycie uzyskać wzór formularzy, które tajni agenci, mający nadzór nad poruczonemi im osobami, są zobowiązani wypełniać każdego miesiąca. Pytania dotyczą sposobu życia i zwyczajów osoby zostającej pod nadzorem policyjnym i zamieszczone są w następującym porządku.

Oddział cesarskiej policyi, Formularz N-ro 2; powinien być wypełniony każdego miesiąca.

1. Imię i nazwisko osoby zostającej pod nadzorem. Imię jej ojca?

2. Gdzie mieszka? Wskazać należy: dzielnicę miasta, okręg, ulicę i numer domu.

3. Jak dawno tu zamieszkuje i skąd przybyła?

4. Jak wielki zajmuje lokal? Czy przemieszkuje w własnym domu czyli też podnajmuje pokój lub pokoje. Kto jest właścicielem domu lub wynajmującym? Wskazać nazwisko poprzedniego lokatora.

5. Czy osoba ta mieszka sama, czy też z kim drugim? Z kim mianowicie?

6. Czy trzyma jaką służbę? Nazwisko służącej lub służącego? Czy nie ma żadnej slugi, a w takim razie kto sprząta jej pokój? Co się znajduje w pokoju? Kto pierze jej bieliznę? Podać imię i nazwisko praczki*?)

7. Kiedy i od kogo otrzymuje listy zwykłe i pieniądze?

8. Czy obiaduje u siebie czyli też gdzieindziej?

9. Czy uczęszcza do biblioteki publicznej? Do której? Jakie książki wypożyczała w ciągu ostatniego miesiąca?

10. Czem się zajmuje podczas swej bytności w domu?

11. Z czego się utrzymuje? Czy udziela lekcji i komu? Czy zajmuje jakie stanowisko i gdzie?

12. Gdzie i w jakich okolicznościach poznał ją po raz pierwszy nadzorujący ją urzędnik policyjny?

13. O której godzinie wychodzi ze swego mieszkania i kiedy powraca?

14. Czy zostająca pod nadzorem osoba, jeśli jest mężczyzną, ma jakie schadzki z kobietą, lub też będąc kobietą, czy ma swego kochanka? Kto jest on lub ona, gdzie zamieszkują? Gdzie się spotykają?

15. Kto w ciągu ostatniego miesiąca nawiedzał tę osobę i od jakiego czasu? (Jeżeli można, wskazać nazwisko i miejsce zamieszkania gości).

16. Czy nie nocował kto w mieszkaniu osoby zostającej pod nadzorem? Kto taki?

17. Kto może poświadczyć, że on istotnie spotykał się z osobami wzmiankowanymi w powyższych paragrafach?

18. Czy gra w karty?

19. Czy nie widziano go w stanie pijanym?

*) Rzeczy wzbронione przez rząd wynoszono i przynoszono do mieszkań w bieliznie, praniem której zajmowały się tylko kobiety wtajemniczane w sprawę.

Arkusz ten musi być zaopatrzony podpisem urzędnika policyjnego, mającego nadzór nad osobami mu poruczonemi i poświadczony przez naczelnika tajnej policyi, skąd odsyłają go do oddziału cesarskiej policyi bezpieczeństwa.

Zdawaćby się mogło, że władze wyższe policyjne, mając takie sprawozdanie miesięczne, obeznane są szczegółowo z historią życia osoby nadzorowanej; w rzeczywistości tak jednak nie jest. Wszakże pod nadzorem policyjnym znajdowali się owi dwaj teroryści, którzy jako handlarze sera zakładali w małym ogródku osmdziesięciofuntową dynamitową minę, zaopatrzoną bateriami, przewodnikami z knotem Rumkorfa. Na dwa dni przed zabójstwem Aleksandra II. policya odbywała rewizję w ich sklepiku, nie doszukawszy się tam niczego. Podług mego zdania, działalność tajnej rosyjskiej policyi jest znacznie mniejsza niż to powszechnie utrzymują. Z własnego doświadczenia wiadomo mi, że policyę rosyjską nie jest wcale trudno zbić z tropu, znam zaś osobiście około czterystu takich rewolucjonistów, którzy przez długie lata ją wyprowadzili w pole. W każdej części cesarstwa ukrywają się pod okiem policyi całe setki rewolucjonistów: po kraju kursuje mnóstwo hektografowanych i litografowanych pism wzbronionych — a nawet kompletnych dzieł, — i z wyjątkiem Szlisselburga, nie ma i jednego więzienia w Rosyi europejskiej i Syberyi, gdzie przetrzymywani rewolucyoniści nie pozostawaliby w tajemnych stosunkach z swymi krewnymi i przyjaciółmi.

Dobrze poinformowany korespondent „Nowo-Jorskiej Trybuny” tak się wyraża o rosyjskiej policyi: Nie ma, zdaje mi się, w całym cesarstwie rosyjskiem ni jednej takiej instytucyi, której działalność tak dalece przesadzono za granicą, jak rosyjskiej tajnej policyi. W całej Europie nie ma ni jednego Oddziału policyjnego tak źle zorganizowanego, a zarazem nieudolnego i lichy kierowanego, jak owa carska straż bezpieczeństwa.

Orzeczenie to może trochę za śmiałe, w istocie jednak jest prawdziwe. Tajna policya rosyjska chyba stanowczo swemu powołaniu.

Jakiż więc pożytek przynosi ten dotychczasowy system policyjny w Rosyi? Amerykaninowi, patrzącemu na to wszystko z swego praktycznego punktu widzenia, mimowolnie nasuwa się myśl, że car jako człowiek zdrowo patrzący na rzeczy uczułby się niewątpliwie swobodniejszym i szczęśliwszym, gdyby zniósł ów system ucisku despotycznego, ześrodkowany w rękach ministra spraw wewnętrznych (Tołstoja*), rozpuścił pięć szóstych swej policyi i żandarmeryi i powołał naród do udziału w rządach państwa (Gorszego stanu rzeczy, jaki jesi obecnie, trudno się spodziewać, zaś konsekwentnie prowadzony liberalny system rządzenia przyniosłby Rosyi prawdziwą pomyślność i dobrobyt.

* Zmarł 1889 r.

II.

Podróż po ziemi zabajkalskiej.

W czwartek o godzinie dziewiątej wieczór powróciliśmy z wycieczki odbytej do klasztoru buddajskiego, a w dwie godziny później zamówiliśmy konie pocztowe do Sielingijska, miasteczka położonego przy granicy mongolskiej w odległości 900 kilometrów od Kiachty. Obiecywaliśmy sobie nazajutrz rano być już na miejscu, lecz w Syberyi, a w szczególności w ziemi zabajkalskiej, podróżny spotyka się na każdym kroku z nieprzewidzianymi przeszkodami i przygodami. Zaraz po północy, w odległości sześciu wiorst od Sielengijska, przyszło nam przeprować się przez rzekę. Prom, — zwany tak karbazem — stał na drugiej stronie rzeki; musieliśmy tedy z kolei wrzeszczeć na całe gardło »kar-ba-a a-az«! Niestety, mimo całego wyteżenia, głos nasz słabł w dali odbijając się o skały. Ziębnięci, senni i znużeni, już zabieraliśmy się do powrotu, gdy pod cieniem skał zarysował się na wodzie jakiś statek w rodzaju promu. To był właśnie ów oczekiwany przez nas karbaz. Przeprawiwszy się przez rzekę, spieszyliśmy po drugim jej brzegu, zatrzymując się o godzinie trzeciej z rana na stacyi pocztowej w Poworotnej. Nowe przeszkody! W izbach pocztowych ciżba taka, że pewna część podróżnych, nie znalazłszy miejsca na ławach, rozłożyła się pokotem na podłodze; nam też nie pozostawało nic innego, jak

szukać sobie przytułku na przypiecku, gdzie położyliśmy się pomiędzy dwoma Chińczykami i stosem skór jelenich wyprawnych na zamś.

Przez całą środę jechaliśmy w kierunku południowym przez odludne okolice, poprzęzynane gdzie niedziedzie pagórkami, brzozą i świerkiem.

Na gościńcu spotykaliśmy od czasu do czasu całe szeregi jednokonnych kibitek, wyładowanych chińską herbata, lub też konnych Buryatów w płaskich kapeluszach i długich brunatnych kapotach, w rodzaju księżych sutann. Droga zdawała mi się tu mało przez kogo uczęszczaną, wsie także w znacznej od siebie odległości. Wśród tej jednostajności widoków, zwracali na siebie naszą uwagę stopy kamieni sterczące na pagórkach, które pan Frost nazwał »skrzynkami świętych buryackich«. W całej Syberyi Buryaci usiłują, składaniem ofiar na wierzchołkach gór, ująć sobie swych groźnych duchów. Na krańcach północno-wschodniej Syberyi przynoszą tym duchom szczątki tytoniu zbranego po skałach. W ziemi zabajkalskiej Buryaci i Mongoli gromadzą na pagórkach kamienie, składają je na kupy i wtykają w nie żerdzie, do których przyczepiają mnóstwo gałganków. Każdy z przejezdnych zsiada z konia, wydziera kawałek szmatki z swej odzieży i odmówiwszy modlitwę, przywiesza go do żerdzi. Obcokrajowcowi, dopatrującemu się w tem zjawisku jakiegoś praktycznego celu, zdawałoby się mogło, że dla podróżujących Buryatów, szmatki te są pewnymi wskazówkami ku odszukaniu w tej odludnej okolicy swych krewnych lub przyjaciół. W istocie tak nie jest. Rozpatrwszy jak najstaranniej owe łachmanki, przekonałem się, że one nie pochodzą z odzieży, a tylko umyślnie są przywożone przez podróżujących Buryatów, którzy zwykli zaopatrzać się niemi na wyjeździe z domów.

Na dworze było zimno, dniem zrywały się wciąż śniegowe burze. Na stacyach pocztowych nie można było dostać żadnego jada, tak że już o zinierechu dokuczał nam głód i chłód. Radośnie też powitaliśmy migocące się w dali światelko w oknach

małego jakiegoś domku w Troickosawsku, mieście położonej o 2¹/₂ kilometry od granicy mongolskiej.

Wszystkie przyległe trzem miasteczkom Troickosawskowi, Kiachcie i Majmaczynowi, poczynając od jeziora Bajkalskiego, ciągną się ponad granicą mongolską ku południowemu-zachodowi, jedną nieprzerwaną smugą, sam zaś Majmaczyn położony jest w Mongolji tuż przy pasie neutralnym, odgraniczającym obydwu państw. Z trzech tych miast, najdonioślejsze znaczenie we względzie administracyjnym ma Troickosawsk. Znana powszechnie Kiachta leży bliżej granicy.

Idąc za radą pewnego młodego kupca, z którym poznaliśmy się na parostatku, jechaliśmy przez Troickosawsk do Kiachty w nadziei znalezienia tu wypoczynku w »hotelu Sokołowa«. Dom ten, którego z trudnością doszukaliśmy się, ku naszemu zdziwieniu nie wyglądał wcale na hotel. Otaczał go wysoki parkan murywany; brama, mimo dość wczesnej pory nocnej okazała się zamkniętą. Kończąc z jaką dobrą godzinę doczekaliśmy się służącej, która biorąc nas za ludzi niebezpiecznych, początkowo wahała się z nami rozmawiać. Przekonawszy się wszakże, że ma do czynienia z spokojnymi podróżnikami, szukającymi noclegu, oświadczyła, że pan Sokołów zwykł czasami tylko przyjmować gości i to takich, którzy zaopatrzeni są w listy polecające od osób mu znanych, a nie zaś pierwszych lepszych ludzi z ulicy. Wiedząc nadto dobrze, że tu nie nie wskóramy, wleźliśmy do tarantasa i zawrócili do Troickosawska, gdzie udało nam się odszukać jednego z wygnańców polskich, piekarza Głębockiego, utrzymującego kilka pokoików gościnnych, które odstępował przejezdnym, nie zaopatrzonym w żadne rekomendacje. Właśnie wybiła dziesiąta. Nie pozostawało nam tedy nic innego jak szukać noclegu u pana Głębockiego. Pokoiki gościnne, do których nas wprowadzono, wyglądały wcale nieponętnie; podłoga nierówna, spaczona, ściany drewniane, nietynkowane z szparami pozatykanymi pakułami. Prosty sosnowy stół, trzy także stołki, wązki drewniany tapczan, składały całe

umeblowanie; pościeli nie było żadnej. — Po skromniutkiej kolacyjce, składającej się z herbaty i bułek, wyciągnęliśmy nasze strudzone członki na podłogę, chcąc zaznać spoczynku, jednakowoż podług zwyczaju należało większą część nocy poświęcić nieprzyjemnemu polowaniu na dręczące nas robactwo. W czwartek rano, wynajawszy szczególnego rodzaju rosyjski ekwipaż zwany w Syberyi »dołguszką«, udaliśmy się do Kiachty w zamiarze odwiedzenia jednego z tamecznych kupców, do którego mieliśmy rekomendacje od przyjaciół naszych z Irkucka.

Troickosawsk, Kiachta i Majmaczyn rozłożone są na płaskiej, dość nagiej dolinie nad brzegiem jednej z odnóg rzeki Sielengi, wpadającej do Bajkału. Wązka ta dolina zamknięta jest w okół wysokimi wałami, tylko od południa rozciąga się widok na drewniane domy i szare parkany Majmaczyna, ponad którymi puszczono oko. Gubi się w błękitniejącym w dali pasmie gór mongolskich. Kiachta robi wrażenie wielkiej, zamężnej wsi. Nie brak tu wprawdzie piętrowych drewnianych domów, na oko dość wygodnych; w środku miasta piętrzą się dwie grecko-katolickie cerkwie z wyzłocanymi kopułami, mimo tego, osada ta nie wygląda wcale na miasto jednoczące w sobie cały prawie handel wschodnio-sybirski. Wszak przez Kiachtę transportują corocznie z Chin do Rosyi towaru za dwadzieścia do trzydziestu milionów. Owa sławna, ulubiona w Rosyi herbata karawanowa, dowozi się z Chin przez Kiachtę, skąd w opakowanych skrzynkach, obszytych skórą, podąża do Petersburga, Moskwy i innych miast cesarstwa. Przez Kiachtę przewożą także do Rosyi towary jedwabne i ogromną ilość herbaty cegiełkowej, używanej przez Buryatów, Kirgizów i uboższych tamecznych mieszkańców. Rossya dostarcza Chinom mnóstwo swoich wyrobów i produktów surowych, jako to skór jelenich wyprawnych na zamsz, futer, metali szlachetnych, a nawet brzęczącej monety. W państwie niebieskiem mają kurs nawet amerykańskie dolary. Kupcy rosyjscy w Kiachcie posiadają znaczne kapitały.

niektórzy z nich targują rocznie za samą herbatę 75.000 do 100.000 dolarów.

Pan Łuźników, zamieszkujący w wygodnym, piętrowym domu wśród miasta, przyjął nas, jako podróżnych Amerykańskich z tą samą serdecznością, jakiej doświadczyliśmy od Rosssyan na całej tej olbrzymiej przestrzeni, poczynając od cieśniny Berynga. Zdaje się, że gościnność leży w charakterze Rosssyan. Zaraz też wystąpiło na stół śniadanie, przy którym wszczęliśmy rozinowę o Kiachcie i Majmaczynie. Oba dwa te miasta, podług słów pana Łuźnikowa, nie przedstawiały dla cudzoziemca żadnego zajęcia. Być może Majmaczyn — mówił pan Łuźników — zainteresować mógłby tego, kto nie widział nigdy miast chińskich, Kiachta wszakże, nie różni się niczem od większej wsi sybirskiej.

Po chwili spytał mnie niespodzianie, jak gdyby tknięty jaką dobrą myślą: — Jedłeś też pan kiedy chiński obiad?

— Nie — odpowiedziałem.

— No, — rzekł — to przynajmniej poznam pana z czemś mu obcem. Pojutrze każę umyślnie panu przyrządzić chiński obiad. Znam tu pewnego chińskiego kupca, mającego dobrego kucharza, a jeżeli nie starczy już czasu na przygotowanie obiadu, składającego się z czterestu potraw, to przynajmniej będziesz pan miał o nim pojęcie. — Podziękowaliśmy mu i oznajmili, że chociaż w ciągu naszego przejazdu przez ziemię zabajkalską poprzestawać musieliśmy na suchym chlebie i herbacie, to wszakże obiad składający się z czterdziestu dań, zaspokoi naszą ciekawość i apetyt.

Od pana Łuźnikowa udaliśmy się do mieszkanego w pobliżu komisarza granicznego pana Sułkowskiego, doznając tu także jaknajgościnniejszego przyjęcia. Nie spodziewaliśmy się nigdy w tej odległej stronie mieć do czynienia z ludźmi cywilizowanymi, wykształconymi, a w dodatku spotkać się z naszymi ziomkami. Prawdziwą też było dla nas niespodzianką poznanie się u pana Łuźnikowa z panią Hamilton, rodowitą Szkotką,

z którą rozmawialiśmy po angielsku, zaś w domu pana Sułkowskiego zetknęliśmy się z pewnym panem, zostającym w stosunkach znajomości z wieloma oficerami, uczestniczącymi w ekspedycji podbiegunowej »Jeanetta«, a w szczególności z p. Danenkowerem i Melvillem; poznał on ich w pobliżu cieśniny Berynga, gdzie na statku »Rodgers« zimowali wraz z kapitanem Berreyem i p. Hilderem, korespondentem »Heralda«.

Pośniadawszy po raz wtóry i nagawędziwszy się do syta, powróciłem z panem Frostem do Troickosawska, gdzie przyglądał się wystawionym na bazarze osobliwościom chińskim i mongolskim. Z niemałym zdziwieniem spotkaliśmy w jednym z tamecznych sklepów, sponiewierany egzemplarz czasopisma Dickens'a »All the year round«. Jakim sposobem ta książka oparła się aż o tę miejscowość? Jeżeli angielska peryodyczna literatura, — myślałem sobie — ma swojego przedstawiciela w sklepie w Troickosawsku, to dla czegoż by nie mógł się tu zabłąkać choć jeden egzemplarz, którego z czasopism, wydanych w Stanach Zjednoczonych. Wszak Amerykanie nie rzadko podróżują po tym kraju. Moja duma narodowa została dotknięta, że »the year round« więcej jest rozpowszechniony po wschodniej Mongolji niż »Century Magazine«. Po długim szperaniu udało mi się w jakimś straganie mongolskim spotkać się z utworem amerykańskiego geniuszu, który zaspakajając częściowo moje patryotyczne uczucia, służył zarazem dotykalnym dowodem, że nowa-Anglia daje »tempo«, zgodnie z którym, kroczy całe człowieczeństwo. Był to stary, zużyty zegarek z Providence z Rhode-Island. — Zawód, jakiego doznałem z powodu nie-spotkania się w bazarze z utworem literackim, wynagrodzony został odkryciem w tej zaświatowej krainie utworu Marka Twaina »Życie przy Missisipi«, i Bret Hart'a »Glück im Roaring Camp« w przekładzie rosyjskim.

W piątek 2. października przejechaliśmy ponownie Kiachtę i udaliśmy się z komisarzem Sułkowskim w odwiedziny do gubernatora chińskiego w Majmaczynie.

Linia graniczna, dzieląca obadwa wielkie państwa, ciągnie się samym środkiem pasa neutralnego pomiędzy Kiachtą i Majmaczynem. Miasteczko to zastonięte jest przed okiem barbarzyńców wysoką, drewnianą ścianą i budynkami z pagodami. Trudno sobie wyobrazić zdziwienia, jakiemu podlega cudzoziemiec, znalazłszy się po raz pierwszy na drugiej stronie pasa granicznego, zajmującego ledwo 200 metrów szerokości. Przed chwilą widział się on w rosyjskim mieście z sklepami, cerkwiami, żołnierzami, dorożkami i wszędzie spotykał się z typami rosyjskimi, obecnie, przekroczywszy ścianę graniczną, znajduje się naraz w środku państwa chińskiego. Zdaje się człowiekowi, że jakaś czarodziejska siła przeniosła go nagle o całe tysiące mil po za granice państwa rosyjskiego. Wązkie, niebrukowane ulice obejmują po obu stronach parterowe domy z gliny i sieczki bez okien, z obficie rzeźbionymi narożnikami wysokich dachów; niezdarne dwukołowe kary wyładowane herbatą, uprężone wołami, kierowanymi przez brunatnych Mongołów, zastępują rosyjskie konne powózki i kibitki; zamiast kupców rosyjskich w właściwych im strojach, występują wszędzie chińscy handlarze w czapczkach, rozpuszczonych długich sutanach i trzewikach z białymi podeszwami; rażą też oko dzikie postacie ogorzałych jeźdźców w ciemnopomarańczowych ubiorach i płaskich kapeluszach, którym to orszakom przodują wynajęci na przewodników ubodzy Mongołowie, mieszkańcy pustyni Gobi. Gdziekolwiek spojrzeć, tam wszędy Rosyję zastępują Chiny, i wszystko wydaje się zupełnie obcem.

W towarzystwie rosyjsko-chińskiego tłumacza udaliśmy się do rezydencji chińskiego gubernatora, wyszczególniającej się z pośród wszystkich innych domów, podwójnemi żelaznemi sztachetami, ozdobionemi na szpicach złożonemi kulami. Przedstawieni Jego Ekscelencyi przez p. Sułkowskiego, ugoszczeni zostaliśmy na wstępie herbatą, cukrami i »Maigalo« czyli chińską wódką ryżową. Wynieniwszy z gubernatorem kilka obojętnych zapytań i odpowiedzi, dotyczących zdrowia i spraw

publicznych, wypiliśmy po kilka filiżanek »Maigalo«, spróbowali kandyzowanych owoców i odprowadzili Jego Ekscelencyę do świątyni, gdzie przed hałwanem rozpoczął swe modlitwy przy odgłosie potężnego dzwonu. Zdaje się, że dzwonenie to miało na celu oznajmić mieszkańcom miasta o przystąpieniu Jego Ekscelencyi do spełnienia obowiązków religijnych. Powróciwszy z dygnitarzami ze świątyni do rezydencji, rozsiadł się on z oznakami wewnętrzznego zadowolenia na urzędowym fotelu, zasłanym tygrysią skórą i w tej postawie został odszkiecowany przez p. Frosta. Tłómacząc się brakiem czasu, pożegnaliśmy Jego Ekscelencyę, zabierając z sobą podarowane nam przez niego, wykwinicie owinięte cukry i owoce, których nie byliśmy w stanie pochłonąć w jego rezydencji.

Całe popołudnie przeszło nam na daremnych próbach odfotografowania włóczącej się po ulicach Majmaczynu, miejscowej publiczności. Przy ustawieniu aparatu, mieliśmy w okół siebie przynajmniej pięćdziesięciu Mongołów, Buriatów i innych zbiegających się, dotychczas nam obcych mieszkańców stepu południowego. Początkowo widzowie zachowywali się spokojnie, skoro jednak pan Frost, zabierając się do zdjęcia fotografii, skrył swą głowę pod czarną zasłonę aparatu, wszystko rozpierzeło się w różne strony. Bacząc na tę lekliwość Mongołów, gotów byłem poddać myśl gubernatorowi chińskiemu, ażeby w danym razie do stłumienia ludowego powstania, zamiast górskich haubic i pukawek, używał aparatu fotograficznego. O ile sobie przypominam w ciągu całego tego dnia, udało się zaledwie panu Frostowi odfotografować jedną podwodę wołową i dwóch ślepych żebraków, którzy nie byli w stanie ratować się ucieczką.

Brak soczewki detektywnej, mogącej nam tu oddać wielką przysługę, dał się nam mocno we znaki.

W sobotę po południu udaliśmy się na ów, tak niecierpliwie przez nas oczekiwany, obiad chiński. Odbił on się w mieszkaniu pewnego bogatego kupca

chińskiego, gdzie zastaliśmy między gośćmi znanego nam już p. Łuźnikowa, ośm pań i wiele innych osób. Stół nakryty czystym, białym obrusem, mieścił na sobie talerze, filiżanki, spodki, noże, widelce i t. p. Pałeczki z kości słoniowej, które dla gości rosyjskich i amerykańskich były nowością, podawano tylko na żądanie. Skoro goście zajęli przy stole miejsca, puszczone w obieg flaszkę brunatnego octu, którego każdy gość kolejno nalewał sobie po trochu na spodeczek.

— Do czego ten ocet? — spytałem p. Łuźnikowa. — Do zwilżenia potraw — odpowiedział. — Chińczycy w Majmaczynie wszystko zwykli jadać z octem. Nie źle to smakuje. Nie przeczuwając nawet, czym nas tu uracza, oczekiwalem w mileczeniu spodziewanych potraw. W kilka minut pojawiło się pierwsze danie. Co to jednak było? tego odgadnąć nie mogłem: w mojej notysce zapisano »koleczata trawa morska lub też inna jaka roślina wodna, podobna do stwardniałego mchu«. Prawdopodobnie roślina ta była gotowana; co do mnie zapewnić mogę, że podano ją na zimno, i że wyglądała wcale niepojętnie. Rosyjanie nabierali jej po trochu na talerze i zmaczawszy w occie, bez oznak niezadowolenia, połykali z prawdziwym heroizmem. Nie pozostawało nam nic innego, jak iść za ich przykładem. Następnymi potrawami, jak świadczy moja notatka, były:

1. Kawaleczki zimnego mięsa w galarecie koloru bursztynowego.
2. Grzyby czarne, niewiadomego mi gatunku.
3. Sałata z drobnej, szadkowanej cebuli i kapusty.
4. Porosty brzożowe.
5. Cieniutkie plasterki, jakby jakiejś wymokłej kiełbasy; skład niewiadomy.
6. Jaja na twardo, pokrajane w kostki, kółeczka, kwadraciki i zabarwione w ten sposób, że wyglądały jakby szafran.
7. Szyjki rakowe mocno przypieczone.

8. Długoliściata trawa morska, koloru mocno zielonego.

9. Kiedzierzawa, mięsista trawa morska, szadkowana w rodzaju kapusty.

Robię tu krótką wzmiankę o tych potrawach, powstrzymując się od wyrokowania o ich pożywności. Skład przeważnej liczby tych potraw był nam nieznan, nie będąc w stanie zaciągnięcia bliższych w tym względzie wiadomości, poprzestaję na podaniu wrażenia, jakie na nas sprawiły, dając im nazwę rzeczy najwięcej do nich zbliżonych swą powierzchownością. Wszystkie te potrawy konsumowane na zimno, po poprzednim zwilżeniu ich octem. Obok stołu na fajerce stała metalowa miedniczka z gorącą wodą, mieszcząca w sobie kilka srebrnych dzbanków napełnionych czystą wodką ryżową, zwaną »maigalo«. Po każdym daniu, służący obchodził z dzbankiem stół, napełniając gościom stojące przed nim kubki, gorącym trunkiem.

Słyszałem anekdotkę o jakimś włościaninie w wschodniej Syberyi, który miał odkopać w ziemi szczątki mamuta. Spodziewając się uzyskać nagrodę i zjeść sobie sławę, włościanin ów zawiadomił inspektora, że sam próbował mięsa, wykopanego z ziemi mamuta. Inspektor zawiadomił o tym wypadku zwierzchniej władze, bezwzględnie pojawił się jeden z członków towarzystwa geograficznego, przystąpiono do sprawdzenia rzeczy i niestety okazało się, że ów mniemany, dobrze zakonserwowany mamut, był wielką bryłą minerału, zwanego »kamienną skórą«. Inspektor widząc całą śmieszność swego położenia, zawezwał do siebie owego włościanina i powstrzymując swe oburzenie rzekł do niego poufnie: — Głupcze jakiś, nie mów przynajmniej, żeś kosztował tego mięsa: to twoje wykopalisko nie jest mamutem, lecz skałą. — Kiedy ja panie istotnie go kosztowałem, — oświadczył włościanin. — bo czegoż — dodał z zakłopotaniem — nie możnaby zjeść z masłem.

Otóż, przy owym obiedzie w czasie obnoszenia szyjek rakowych, grzybów czarnych, porostów

drzewnych i trawy morskiej, myśląc o owej anekdotce zadawałem sobie wciąż pytanie: Czegoż bo nie można jeść z octem, popłukawszy potem chińską wódką.

Po podaniu ostatniej potrawy na zimno, zmieniano talerze, dolewano na spodki octu i przystąpiono do roznoszenia gorącego jadła, w następującym porządku:

1. Kluski z drobniutko siekanej cielęciny w cieście. — Pan Frost, wiedziony przeczuciem, utrzymywał, że główną częścią składową tych klusek jest mięso szczenięce i dla tego wystrzegał się uparcie od wchodzenia z tą potrawą w bliższe stosunki, nawet przy pomocy octu. Zarzucałem mu lekliwość i zapewniałem, że kieruje się uprzedzeniami, co jest niegodnem badacza, puszczającego się w tak daleką podróż i przebywającego od lat trzech w Rossyi.

Gdybym był przeczuwał, co nas tu jeszcze oczekuje, to niewątpliwie powstrzymałbym się od powyższych uwag.

2. Kluseczki pieczone z drobno siekanego mięsa.

3. Pirożki nadziewane rybą.

4. Potrawka z ptastwa z gęstym, białym sosem, garniowana wielkimi ślimakami. Tutaj, schowałem broń do pochwy. Ślimaki były czarne jak węgiel i wyglądały zupełnie na gotowane robaki. Aczkolwiek nie wątpiłem, że przy pomocy dwóch kieliszków »maigalo« uda mi się skłonić moją wolę do spróbowania owego delikatesu. to wszakże racluby moje zawiiodły mnie.

5. Jakiś tłuszcz mięki w białych, półprzezroczystych kawałkach.

6. Pieczone prosię (sysak).

To była najulubieńsza potrawa, wyrokująca o dobroci obiadu. Spożywając ją, przypomniałem sobie opis Karola Lamba, w którym podziwia sztukę pieczenia prosięcia w Chinach; co do mnie, to gotów byłem w danym razie podpalić dom, dla wyrządzenia sobie tej przyjemności.

7. Cienkie plasterki baraniny, pieczonej na ogniu, na rożenkach żelaznych.

8. Długie włókna kurzego mięsa z sosem bulionowym.

9. Ryż gotowany.

10. Osobliwe, twarde, gąbczaste porosty drzewne z brunatnym sosem.

11. Cienko krajany, półprzezroczysty, bardzo gładki makaron, gotowany w samowarze chińskim.

12. Kogucie głowy z częściami szyjek i wreszcie,

13. do 19 przeróżnego rodzaju zupy, podane jednocześnie. To był koniec obiadu. Sprzątnięto ze stołu, pozbierano naczynia z octem i wódką, a natomiast służba roznosiła orzechy, przeróżne cukry, najprzedniejszą herbatę kwiatową i francuskiego szampa. Uczta trwała całe godzin trzy, w ciągu którego to czasu, każdy z gości spożywał mniej więcej od trzydziestu do czterdziestu potraw, kilka spodeczków octu i wychylał piętnaście do dwudziestu pięciu kieliszków wódki ryżowej, zaprawianej wodą różaną, splukując ostatnie kąski puharem szampańskiego wina, za zdrowie gospodarza.

Istotnie stał się cud, że po tym obiedzie zdołaliśmy o własnych siłach wsiąść do dorożki i nazajutrz nie dostali śmiertelnych kurczów żołądka.

Moja ciekawość spotkania się z obiadem chińskim była teraz zupełnie zaspokojona. Podziwiać tylko należy, że Chińczycy, którzy spożywają codziennie takie obiady, wszyscy nie wyginęli. Podług mego zdania człowiek przyjmujący takie jadło w porze jesiennej, jeśli nie umrze na zapalenie kiszek, powinien, podobnie jak niedźwiedź, na swem legowisku doczekać wiosny.

Powróciwszy do domu z owego chińskiego obiadu, nie przeczuwałem nawet, że ta rozrywka będzie dla mnie ostatnią w ciągu całego miesiąca, i że na długo wypadnie mi się rozstać z starem, chińskim miastem. W niedzielę doznałem dreszczów, a w ślad za tem nawiedziła mnie silna febra, połączona z gwałtownym bólem głowy, kaszlem, osłabieniem i wycieńczeniem. Był to początek poważnej, czternaście dni trwającej choroby, z której wyszedłem dopiero po upływie trzech

miesiący. Z tą chorobą, rozpoczyna się uciążliwa i w najwyższym stopniu dolegliwa moja podróż. Dotychczas. zasobem sił fizycznych. zwyciężałem nierozłączne podróży po tym kraju niewygody i niedostatki; odtąd powstrzymała mnie jedynie siła woli, china i wzruszenie moralne. Zbytecznym by tu było przedstawiać życie chorego człowieka, zmuszonego męczyć się w podobnie nędznej stancyjce, jaką ja obecnie zajmowałem w Troickosawsku w piekarni Głębockiego. O tym nieszczęśliwym peryodzie mego życia nie znajduję żadnej wzmianki w mojej notatce, list mój wszakże ówczesnie pisany do domu, świadczy o oplakanem mojem położeniu; przytaczam tu z niego wyjątek: »dobrze jest choremu leżeć w swym domu w wygodnym łóżku, mieć czystą bieliznę i czuć na sobie opiekuńczą rękę; niech kto jednak spróbuje leżeć jak pies jaki, na twardej podłodze, w ubraniu i w parokszymie febrze być kasanym przez jadowite pluskwy; istotnie, to prowadzi do szaleństwa. Prócz kożucha baraniego i brudnej wełnianej koldry nie mam żadnej innej pościeli, i darcinnie szukam schronienia na stole lub podłodze, przed złośliwymi pluskwami. Początkowo szukałem środków zaradczych w mojej małej podróźnej apteczce, dowiedziawszy się, że w mieście jest doktor, posłałem do niego. Kazał mi zażyć potężną dozę chinu, która też uśmierzyła febrę, tak, że po dwunastu dniach, chociaż osłabiony, jednak trzymałem się na nogach«.

Podczas mojej choroby w domu piekarza Głębockiego po raz pierwszy uczułem dotykalnie owe straszne cierpienia, jakich doświadczyć musi dotknięty chorobą wygnaniec, w podróży etapem; wszak oprócz dolegliwości, nieodstępnych swojemu ówczesnemu położeniu, zmuszony on jest zadowalniać się jaknajlepszą strawą, oddychać zepsutem powietrzem, nosić okowy na nogach i poniewierać się na twardych narach. Wszakże pan Czaruszyn, wygnaniec polityczny, którego poznałem w Nereczyńsku, leżał przez ciąg całej swej choroby w kajdanach na nogach.

15. października wyjechaliśmy z panem Frostem z Troickosawska do Sielengińska. Rano czułem się tak osłabionym i oszołomionym, że obawiałem się recydywy. świeże powietrze wszakże, nawet przy trzęsieniu kibitki, zdawało mi się więcej sprzyjać zdrowiu niżeli spoczynek w dusznej, niechlujnej izbie. Zebrawszy siły, wsiadłem do kibitki. Ujechaliśmy dnia tego 90 km. i przenocowawszy na stacyi Poworotnaja, stanęliśmy nazajutrz rano w Sielengińsku. W tej to lichej wsi buryackiej przemieszkowało wtedy trzech, wybitniejszych wygnańców politycznych; przesiadaliśmy też z nimi dzień cały. Wygnańcami tymi byli: Konstanty Samarin, młody student z Jekaterinenburga; p. Kardaszow, gruzyńczyk z Kaukazu i pani Breszkowska z Kijowa, kobieta zameżna, młoda i bardzo wykształcona; pan Kardaszow i pani Breszkowska, oboje odbyli już swą karę w kopalniach w Karze; że zaś właśnie kopalnie te były celem naszej podróży, przeto z prawdziwym zajęciem słuchaliśmy opowiadań o tem wszystkim, co nas obchodzić mogło.

Pan Samarin, do którego najpierw zaszedłem, był dwudziesto-czteroletnim, pięknym mężczyzną. średniego wzrostu, z nader sympatycznymi oczyma; jego całe zachowanie się nacechowane było godnością i szczerością. Historya tego młodego człowieka, daje pouczający przykład bezprawi, jakich rząd rosyjski zwykł się dopuszczać na obywatelach kraju, zarówno »podejrzanych politycznie«, jako też zupełnie niewinnych.

Więziono go, jako studenta, bez najmniejszego powodu przez lat trzy w kazamatach bastyonu trubeckiego, w fortecy Piotro-Pawłowskiej, a następnie osadzono za jakiś bagatelny zarzut, na dwa miesiące więzienia. Jestto jakaś szczególna, niepojęta procedura. ażeby człowieka, którego sąd skazuje na dwa miesiące aresztu, więzić pod śledztwem lat trzy, w wilgotnych fortecznych kazamatach. Pomijam jednakże i to nadużycie. P. Samarin, zgodnie z wyrokiem sądu, po upływie dwóch miesięcy powinien cieszyć się być wol-

nością. Rząd jednak, zamiast wypuszczenia niewinnego na wolność, wydał go porządkiem administracyjnym do wsi Barguzina, położonej w ziemi zabajkalskiej, w odległości 6000 wiorst od Petersburga. Latem 1881 p. Samarin razem z panią Breszkowską postanowili ratować się ucieczką ku oceanowi Łodowatemu, gdzie spodziewali się spotkać okręt amerykański. Schwytany w tej nieszczęśliwej ucieczce pan S. osiedlony został w jednym z ulusów w Jakutce, gdzie go też poznały osobiście ocalone rozbitki amerykańskiej, podbiegunowej ekspedycji »Jeanetta«. W r. 1881 czy też 1883, przeniesiono go z »ulusu« do Sielengińska, zaś w r. 1884, po ukończonym terminie wygnania zastałem go w wschodnio-sybirskiej wsi, odległej o 4500 km. od rodziny, bez środków niezbędnych do powrotu. Rząd nie zwykł się bynajmniej troszczyć o powrót politycznych wygnańców, wcielając ich do powracającej partii zwykłych aresztantów, która to podróż rozkładała się na całe lata. Pułkownik Zagarin, inspektor traktu, opowiadał mi, że powracające partie potrzebują trzystu dni czasu na odbyte podróży z Irkucka do Tomsku. Pomiędzy politycznymi wygnańcami mało jest takich, którzy by się decydowali powrót do kraju okupywać dwuletnią częstokroć poniewierką po pluskwiarniach etapowych. Każdy z nich, nie mający własnych funduszków na opędzenie kosztów podróży, stara się zdobyć je pracą, w przeciwnym razie zmuszony jest pozostać w Syberii. Jednemu z wygnańców ułatwiłem powrót do kraju zakupując u niego zielnik, zawierający około 1000 roślin sybirskich, za kwotę 100 rs. Z prawdziwą chęcią gotów byłm przysłużyć się panu Samarinowi, w tym czasie jednak, spodziewał się on otrzymać odpowiedni fundusz od gubernatora, jako wynagrodzenie za uporządkowanie archiwum gubernialnego i zestawienie mnóstwa aktów urzędowych, nieruszanych od lat trzydziestu. Korespondencya wygnańców politycznych w Sielengińsku zostaje pod kontrolą policyjną, na tej więc podstawie listy p. Samarina, aczkolwiek obecnie

człowieka wolnego, odczytywane były przez isprawnika. Niech się czytelnik zechce postawić w położenie tych ludzi, narażonych na każdym kroku na gwałty i bezprawia rządu, a pojmie łatwo, że podobnego rodzaju postępowanie musi koniecznie człowieka z charakterem, czującego swą godność, popchnąć do rozpacz.

W czasie mojej rozmowy z p. Samarinem przedstawiony zostałem, wchodzącej właśnie do jego mieszkania, pani Breszkowskiej. Była to osoba jeszcze młoda; twarz jej choć nieurodliwa, nosiła wyraz energii, stanowczości; zachowanie się jej było swobodne, szczere, przytem zdawała mi się żywić prawdziwe uznanie i współczucie dla wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne. Cierpienie zaznaczyło na jej obliczu głębokie ślady, a krótko obcięte w więzieniu, kędzierzawe, czarne włosy, spruszone były siwizną; należała ona jednak do rzędu tych hartownych dusz, których nie są w stanie złamać wygnanie, katorga i żadne nieszczęścia, ani też zachwiać głęboko w nich leżącego poczucia honoru i obowiązku. Pani B. jak to wkrótce przekonałem się, odebrała bardzo staranne wychowanie w własnym swym kraju, a następnie kształciła się w Zurichu, władała dobrze językiem francuskim, niemieckim i angielskim i była muzykalną; wywarła ona na mnie jaknajlepsze ze wszech względów wrażenie. Odbywszy pierwotną swą karę w kopalniach karyjskich, osądzoną została powtórnie do ciężkich robót za ucieczkę podjętą wspólnie ze swymi towarzyszami z miasteczka Arbuzina. Obecnie przywieziono ją z katorgi karyjskiej i osiedlono w nędznym, buryackim miasteczku Sielengińsku, gdzie pozostawała pod szczególniejszym nadzorem policyjnym. O ile mi wiadomo, w całej tej okolicy na 100 milowej przestrzeni nie było równie jej, wykształconej kobiety; obecnie otrzymywała ona od rządu na utrzymanie niespełna 5 zł. miesięcznie. listy jej zostawały pod kontrolą policyi; odłączono ją na całe życie tyśiącem mil od krewnych i rodziny, a wszystko, czego

mogła się spodziewać od przyszłości, były to lata pełne zgrzytot, niedostatku i samotna mogiła, na której spocznie chyba tylko oko współczującej duszy. Niezachwiana odwaga, z jaką ta nieszczęśliwa kobieta zносиła swą beznadziejną dolę i silna wiara w zwycięstwo wolności nad gwałtem i przemocą, stawiały ją w moich oczach na wyżynie istotnej bohaterki i budziły zarazem najgłębsze dla niej współczucie. Przy rozstaniu rzekła do mnie: — pomrzemy na wygnaniu, prawdopodobnie i wnuków naszych oczekuje też sama dola, ale wszystko to, nie będzie straconem! — Od chwili tej nie widziałem już p. Breszkowskiej, ani też o niej nic nie słyszałem. Dla mnie znikła ona bez śladu, jakby umarła; skoro mi jednak przyjdą na pamięć jej ostatnie słowa, zawsze widzę przed sobą tę kobietę, która mnie nauczyła, co jest właściwie odwaga, siła ducha i bohaterskie poświęcenie. Obcowanie z takimi politycznymi wygnańcami — a poznałem ich wielu w ziemi zabajkalskiej, — oddziaływało na mnie nierównie skuteczniej, niż wszystkie lekarstwa. Jakże mało znaczną wydawała mi się moja choroba, niewygody i dolegliwości ówczesnie doznawane, w obec tych wielkich cierpień, które w imię zasady, z takim bohaterstwem uciemiężony naród znosić musi.

W piątek o godzinie 4. po południu, 16. października opuściliśmy Sielengińsk i odbywszy w ciągu 24 godzin 108 milową podróż, zatrzymaliśmy się w Wierchnim-Udyńsku. Na dworze, zwłaszcza nocą było zimno, a trzęsienie tarantasa oddziaływało na moje zdrowie, po ledwie co przybytej febrze, wcale niedobrze; świerze jednak powietrze pokrzepiało mnie, tak, że nie czułem się obecnie gorzej niż na wyjeździe z Troicko-sawska, mimo odbytej w ciągu dwóch dni i nocy 250 km. podróży. W Wierchnim-Udyńsku znajdowały się dwa więzienia. W niedzielę rano udałem się do inspektora i przedstawiwszy mu moje rekomendacje, prosiłem o pozwolenie zwiedzenia więzienia.

Więźniowie miejscowi, jakoteż etapowi mieścili się w jednym drewnianym, przegniłym budynku, stoją-

cym nad brzegiem rzeki Sielengi. Budynek ów mało różniący się od dawnych domów etapowych, wydawał mi się nieco od nich wyższym. Wewnątrz cel znajdowały się na górze galerye, zastępujące piętka, dobudowane umyślnie dla zwiększenia przestrzeni na spoczynek więźniom. Ku uczczeniu nas, więzienie wyprzątano; wchodząc, zastaliśmy więźniów spacerujących po podwórzu, wszystkie drzwi i okna stały otworem dla przewietrzenia budynku, zaś podłoga, zarówno na korytarzach jakoteż w celach, nie raziała brudem. Więzienie to zbudowane na 170 osób, mieściło ich obecnie 250, a inspektor mówił mi, że w porze jesiennej kupi się w tym lokalu do siedmiuset więźniów. Jakże to okropnem musi być położenie tych nieszczęśliwych ludzi, gdy ich wepchną aż 700 do izb, przeznaczonych na 170 osób. Okrótnem jest ono wśród lata, ale jeszcze straszniejsze podczas zimy, gdy wszystkie okna szczególnie są pozamykane dla ochronienia od zamarznięcia, śpiących przy nich więźniów. Dobrze znany rosyjski oficer pan M. J. Orfanów, obeznany dokładnie z więzieniem w Wierchnim-Udyńsku, tak pisze o niem w swem dziele wydanem w Moskwie, i przepuszczonem przez rosyjską cenzurę.

»Najdawniejszy z wszystkich ostrogów w całej Syberji jest w Wierchnim Udyńsku. Zbudowany on pośród miasta, na wysokim brzegu rzeki Sielengi. Z brzegu tego, w odległości sześciu sążni od ścian więzienia, wyrzucają na jedną kupę wszystkie śmieci, brudy i nieczystości, tak, że na wszystkie strony rozechodzi się zabójczy fetor. Budynek więzienny jest nadto stary i zbudowany na 140 tylko ludzi*). — W czasie pełnienia mojej służby w Syberji, niejednokrotnie zwiedzałem ten budynek i nigdy prawie nie zastałem w nim mniej nad 500, a często nawet po 800 aresztantów**).

*) Podług inspektora więzienie to miało być zbudowane na 170 osób, ta mniejsza cyfra zdaje mi się prawdziwszą.

***) Cyfry te w książce uwydatnione są grubym drukiem.

Przypominam sobie, że raz towarzyszyłem zwiedzającemu to więzienie gubernatorowi. Było to zimą. Udał się on tam rankiem, gdy właśnie po raz pierwszy w tym dniu w obecności jego, otworzono drzwi prowadzące na podwórze. Feter, wywiązujący się z wnętrza więzienia, odrzucił formalnie gubernatora, chociaż życzeniem jego było zajście skrycie, by naocznie się przekonać, że więźniowie są traktowani gorzej bydła. Rozkazał otworzyć drugie drzwi na przestrzał, wszedł ponownie do więzienia, gdy się to już trochę przewietrzyło. Pierwszym przedmiotem, na którym zatrzymał swą uwagę gubernator, była, w końcu korytarza stojąca, przepelniona »parasza«^{*}), z której wierzchem przeciekały odchody; w tym samym stanie znajdowały się »parasza«^{*} stojąca na górze. Gubernator osłupiał z oburzenia. — Jak mogą leżeć ludzie — zawołał — na tej mokrej, zagnojonej podłodze i w tak okropnych warunkach?! — Był on istotnie rozgniewany na rządcę więzienia i dozorców, jednakowoż nie mógł zaradzić złemu.

Niektórzy z krytyków zarzucają mi przesadę w przedstawieniu więzień i domów etapowych w Syberyi, jednakowoż opis mój nie różni się niczem od powyż przytoczonego, którego autorem jest rossyjski oficer Orfanow. Wszakże książka jego wydana w Moskwie 1883 roku, i dozwolona cenzurą, zasługuje na wiarę**).

W tem to więzieniu przebywało czasowo wiele wykształconych kobiet i mężczyzn, wydalonych w charakterze podejrzanych politycznie, do ziemi zabajkalskiej. Pani Breszkowska po razy cztery spotykała się z tem więzieniem. Z prawdziwą pociechą dowiedziałem się, że stary ostróg w Niżnym-Udyńsku wkrótce będzie zniesiony. Już w czasie naszej tam obecności ukończono właśnie nowe, obszerne, porządnie zbudowane więzienie

^{*}) Jest to nazwa naczyń odchodowych, używanych w więzieniach rossyjskich.

^{**}) »Афор«^{*} przez M. J. Orfanowa, str. 220—222; Moskwa: Kusznirow et comp. 1883.

etapowe, które podług słowa isprawnika, zaraz po skompletowaniu straży miało być otwartem.

Korzystając z dobrej chęci isprawnika, poszliśmy obejrzeć nowe więzienie. Był to wielki, trójpiętrowy, murowany budynek z obszernymi skrzydłami; w pobliżu niego znajdował się drugi małych rozmiarów, przeznaczony dla więźniów politycznych. Wszystkie cele były obszerne, widne, opatrzone dużemi oknami i dobrą wentylacją. Korytarze miały 12 do 15 stóp szerokości: schody kamienne z żelaznemi poręczami; nawet celki dla więźniów odosobnionych, były wcale obszerne. Piece tudzież system wentylacyjny nic nie pozostawiał do życzenia. Budowa i urządzenie tego budynku kosztowały 200 000 rs. Obejrawszy też wszystko odezwałem się do isprawnika, że tak dobrego więzienia nie ma w całym państwie rossyjskiem.

— Tak jest — odrzekł on — jest ono wygodnem to prawda, ale przestanie niem być, skoro zapanieje ścisk.

Skoro w starem więzieniu mieścić musimy po 800 ludzi, to z pewnością w tem nowem, liczba ta zwiększy się do 3000 i znów powtórzy się stara historia. — Nie wiem czy obawy isprawnika okazały się słuszne: ale więzienie nowe w Wierchnim-Udyńsku zaliczyć mogę do najlepszych ze wszystkich znanych mi w Ryssyi z wyjątkiem petersburskiego; z prawdziwym zadowoleniem przyszło mi się spotkać z tym dotykalmym dowodem dbałości rossyjskiego rządu o los nieszczęśliwych wygnańców.

W poniedziałek dnia 19. października pożegnaliśmy Wierchnij-Udyńsk, kierując się do Czyty, stolicy ziemi zabajkalskiej, odległej stąd o 4500 km. Powietrze było mroźne, śnieg jednak nie padał, dnie okazały się dość znośne, tylko nocami dokuczalo nam zimno. Gościeńiec ciągnął się początkowo po nad brzegiem rzeki Udy, równolegle do pasma wysokich wzgórz. Drzewa wszędzie ogołoczone z liści, kwiatów nie było już wcale, z wyjątkiem gdzieniegdzie wpółzwiedłego brodownika;

zima zbliżała się szybkim krokiem. Jechaliśmy nocą i dniami, robiąc chwilowe tylko przestanki dla zwiedzenia klasztorów buddaiskich, lub domów etapowych. Rząd znów wyasygnował 300 do 400.000 rs. na urządzenie nowych domów etapowych, te jednak są nadto szczupłe i podług zdania urzędników nie odpowiadają swemu przeznaczeniu; nam zdawały się one nie równie lepsze od tych, pomiędzy Tomskiem i Irkuckiem.

We czwartek 22. października przejeżdżaliśmy przez wysoki grzbiet góry pod stacją Domnokluczowską, odległą od Czyty o 75 kilometrów. Wschodnie pochyłości tych gór opływa jedna z rzek wpadających do Amuru. Przekroczywszy dział wodny systemu rzek wpadających do oceanu Lodowatego i Spokojnego, znaleźliśmy się obecnie bliżej Ameryki, niż poprzednio gdyśmy zmierzali ku zachodowi. W sklepach po wsiach, widzieć można było amerykańskie towary i wyroby; latarnie kociołki i t. p., a gdym zoczył na puszkach z brzoskwiniami i innymi owocami po angielsku wydrukowane etykiety, zdawało mi się, że wszedłszy na pagórek, zoczył San-Francisko i złotą bramę.

Stradzeni, zziębnięci i głodni zajechaliśmy w Czycie do »hotelu petersburskiego«, gospodarzem którego był Polak-wygnaniec. Czyta, stolica ziemi zabajkalskiej i rezydencja gubernatorska ma 400 mieszkańców i stosunkowo dość wiele porozrzucanych domów. Znajduje się tu publiczna biblioteka, jakiś wielki budynek, w którym okolicznościowo dają przedstawienia teatralne, i dość dobre szkoły; ze względów politycznych i społecznych Czyta, jest najważniejszym miastem w całej ziemi zabajkalskiej. — Nas przedewszystkiem obchodziła doniosła rola, jaką odgrywało to miasto w historii wygnańców politycznych. W latach 1825 do 1828, Czyta była miejscem wygnania wielu młodych ludzi, przeważnie szlachty, wydalonej z kraju za podniesienie rokосу grudniowego 1825 roku przeciw carowi Mikołajowi I. — Po dziś dzień jeszcze, stoją tu dwa domy drewniane, w których przemieszkivali dekabryści; w jednym z nich mieszczącym ówczesnie warsztaty sto-

larskie odbywają się obecnie zgromadzenia dzisiejszych wygnańców, spadkobierców ich dążeń i przeznaczeń.

W czasie naszej bytności w Czycie, przemieszkivali tam najwybitniejsi wygnańcy polityczni z całej ziemi zabajkalskiej. Z wyrazem prawdziwej wdzięczności przyjęli oni doręczone im przez nas listy polecające od swych towarzyszy, porozprasanych po różnych stronach Syberii. W towarzystwie tych wygnańców, spędziliśmy kilka wieczorów zimowych. Posiedzenia nasze odbywały się w piętrowych izbach starego budynku, zamieszkiwanego przez dekabrystów; prowadziliśmy tu rozmowy o ruchu rewolucyjnym w Rosyi, o fortecy Piotro-Pawłowskiej, więzieniach centralnych w Charkowie i kopalniach w Karze. W opisie mojego powrotu z katorgi karyjskiej, poznamołem czytelnika ze sposobem życia i z osobami tych politycznych wygnańców, z którymi przesiadywaliśmy do późnej nocy w stolarni dekabrystów.

Nieobecność gubernatora w Czycie stanęła nam na przeszkodzie w uzyskaniu pozwolenia na zwiedzenie więzień w Karze; adjutant jego, któremu złożyłem wizytę, nie był od tego, ażeby spróbował szczęścia na miejscu. Przyniósł nam, że odniesie się w tym względzie drogą telegraficzną do komendanta więzień karyjskich i dał mi do niego bilet wizytowy. Powątpiewałem bardzo, czy ów bilet utoruje nam drogę do tak srogo strzeżonych więzień; ale więcej nie można było żądać. 23. października wyruszyliśmy do Kary.

III.

Katorga w Karze.

W dziękę, zabajkalskiej głuszy, w odległości wżwyż 7.000 km. od Petersburga, a 1.500 km. od oceanu Spokojnego, pomiędzy odnóżami gór Jabłonowych, rozciąga się nieponętna dolina, na której rozrzuconych jest kilka wężien, rozkopów złotonosnej ziemi i osad zamieszkałych przez przestępców, co wszystko razem nosi nazwę Katorgi w Karze. Jeżeli więc który z czytelników, wyczyta czasem w gazecie, że car ułaskwił tego lub owego »nihilistę«, zamianą kary śmierci na zesłanie do ciężkich robót, to niech idzie za nim myślą do katorgi karyjskiej.

Chciałbym tu skreślić jak najwierniej i z całą ścisłością przygody nasze z czasów pobytu w Karze, w końcu jesieni 1885 r., oraz wszystko to, co dotyczy doli osiedlonych tam przestępców politycznych. Ponięważ rozmiary niniejszej pracy nie pozwalają mi się długo zatrzymywać na najgłówniejszym przedmiocie, zmuszony tedy jestem poprzestać na podaniu krótkiego opisu kopalni, czyli katorgi w Karze.

Gościniec prowadzący z Czyty, stolicy ziemi zabajkalskiej do odległych od tego miasta o 450 kilometrów kopalni karyjskich, ciągnie się brzegiem rzeki Ingody, a następnie Szyłki, wpadającej do Amuru. W miasteczku Strietińsku, gdzie Szyłka jest rzeką splawną, gościniec dotychczas dobrze wyjeżdżony, nagle się

przerywa, tak, że dalsza podróż pomiędzy tem miasteczkiem, a kopalniami karyjskimi, na odległości prawie 100 km., odbywa się letnią porą parostatkiem, zimą zaś sałmi po zamarznętej rzece. Pod koniec jesieni, w czasie ścinania się rzeki, aż do zupełnego jej zamarznęcia i na wiosnę, w czasie puszczenia lodów, kopalnie karyjskie są zupełnie od reszty świata odcięte; wtedy podróż jest niezmiernie uciążliwą, albowiem brak drogi na przestrzeni 100 km. zmusza podróżnego przedzierać się konno po niebezpiecznych, stromych, lesistych grzbietach gór, nad brzegiem Szyłki. Jeszcze w Czycie 24. października, mosiliśmy się z nadzieją dojechania w swoim czasie do Strietińska i odbycia dalszej podróży parostatkiem; nagle jednak zmiana powietrza zniweczyła nasze nadzieje, spadł śnieg, a w środę rano zaskoczył nas, na brzegu Szyłki wprost Strietińska taki mróz, że termometr pokazywał 0° Fahrenheita, czyli — 12 Celsjusza; konie i odzież nasza zupełnie obmarzły, a dość gruba powłoka lodu, pokrywająca Szyłkę, nie pozwoliła myśleć nawet o przeprawie. Od brzegu strietińskiego miał odbić właśnie prom. Próba ta była wcale niebezpieczną. Włóścianie, oczekujący na przeciwnym brzegu Szyłki nadejścia promu, drząc od zimna, zapalali ognie, krzepiąc się nadzieją, że prom zwyciężywszy przeszkody, przeprowi się przez rzekę i zabierze ich do Strietińska. Przypatrując się z p. Frostem przynajmniej przez jakie pół godziny daremny zabiegom ludzi, usiłujących odbić prom od przeciwnego brzegu, uważaliśmy przeprowę przez rzekę pół milowej szerokości za grożącą niebezpieczeństwem życia zarówno przewoźnikom, jak i podróżnym. Nie pozostawało nic innego, jak szukać przytułku w chacie wieśniaczej, u młodego włóścianina, niejakiego Zablikowa, który nas przyjął otwartemi rękoma, proponując w braku miejsca, nocleg na podłodze razem z członkami tej licznej rodziny. Strudzonym i źniębnętnym, nie pozostawało nic innego do wyboru; zresztą zdawna już przywykliśmy sypiać na ziemi, tak, że spotkanie się z wygodnym łóżem wprowadziłoby nas w zdumieniu. Wniesiono nasze

rzeczy do domu Zablikowa, a w pół godziny później siedzieliśmy przy stole w porządnym pokoju, jakiegoś od samego Nerczyńska dotąd nie spotkali. Obecnie najżywotniejszą dla nas sprawą była podróż do kopalni karyjskich. Puścić się po rzece ściętej lodem, groziło niebezpieczeństwem, oczekiwać zaś przez dwa lub trzy tygodnie zamarznięcia rzeki, było dla nas niemożliwym. Zablikow oznajmił nam, że konie odpowiednio do podróży są po tej stronie rzeki, ale gospodarz ich, przemieszkując w Strietyńsku. Należało tedy przepłynąć się przez rzekę, ugodzić się z tym człowiekiem, zabrać siodła i inne przybory niezbędne do podróży. Przepłyniecie przez rzekę groziło niebezpieczeństwem, ale nie pozostawało nic innego do wyboru. Mając do pomocy prócz Zablikowa, kilku innych ludzi, w czwartek rano skierowaliśmy się z czółnem ku rzece. Niebo się wyjaśniło trochę, choć mróz nie folgował. Środkiem rzeki płynął obficie szur, a brzegi na jakie 50 metrów pokrywała dość gruba powłoka lodu. Szliśmy po tej powłoce z całą ostrożnością, przygotowani w razie załamania się jej, wskoczyć spieszenie do czółna. Nieopodal brzegu, lód już zaczął się uginać pod naszymi nogami, a następnie załamywać z trzaskiem. Przerażony Zablików krzyknął: do czółna! do czółna! Wskoczyliśmy szybko, i mimo gwałtownego przechylenia się czółna z boku na bok, wypłynęliśmy na odkrytą wodę, stykając się wciąż z nadpływającymi lodami które usuwaliśmy przy pomocy wiosel i siekier. Obadwa towarzysze Zablikowa wzięli się do wiosel, on zaś nieodstępował steru, ale mimo zrzeczności i wysilenia przewoźników, bystry prąd uniósł nas z jakie pół mili z biegiem rzeki, zanim zdołaliśmy dotrzeć do brzegu. Tutaj, przepłyniecie przez cienką skorupę lodową okazała się jeszcze niebezpieczniejszą niż czółnem po wodzie. Gdy wszystkie wysilenia nasze skierowane były ku oparciu czółna o nadbrzeżne lody, oczekiwałem lada chwili wywrotu lub zdruzgotania naszego statku; na szczęście jednak udało nam się bez wypadku przecisnąć pomiędzy lodami. Zablikow, któremu udało się

wyskoczyć na brzeg, przywiązał spieszenie czółno; teraz ja poszedłem za jego przykładem, ale tak niefortunnie, że po pas wpadłem w wodę. Wiedząc, że zimna ta kąpiel mogła bardzo niekorzystnie oddziaływać na moje zdrowie, pozostawiłem Zablikowa z jego towarzyszami na brzegu przy czółnie, sam zaś przyspieszwszy kroku wpadłem do jakiejś chałupy, gdzie ogrzewszy się i wysuszywszy przemokłą odzież, udałem się do biura telegraficznego, by zawiadomić p. Wurta, sekretarza ambasady Stanów Zjednoczonych, o miejscu naszego pobytu. Ugodziwszy się następnie z właścicielem koni za odstąpienie nas do następnej stacji, wziąłem przewoźnika Nikifora, wystarałem się o siodła i inne przybory i nad samym wieczorem przepłynęliśmy się powrotnie, bez żadnego wypadku, do chaty Zablikowa.

W piątek raniutko, siedliśmy na koń i ruszyli ku kopalniom karyjskim. Cały nasz pakunek składał się z kołder podróżnych, zapisek, torby wielkiej, napełnionej żywnością, aparatu fotograficznego i kilkunastu płyt. Na dworze tak pocieplało, że termometr podniósł się na + 18° Fahrenheita, dzień był pochmurny, nad ziemią zawisły gęste mgły; czułem się tak znużonym, że zoczywszy z wysokiego grzbietu góry rozciągającą się w okół dziką, leśną głuszę, przez którą należało się nam przedzierać, brakło mi odwagi do dalszej podróży. Choroba, której nabawiłem się w Troickosawsku, dawała mi się znów we znaki, surowa zaś zima, z jaką tu spotkaliśmy się, odbierała mi zupełnie nadzieję odbycia niestęchanie uciążliwej jazdy po górskich, stromych ścieżynach. Prócz tego, nie byliśmy zaopatrzeni właściwą do tej podróży odzieżą, nie mieliśmy z sobą futer, ani też pościeli. a niezdarne zimowe nasze buty, okazały się tak niepraktyczne do konnej podróży, że nie mogąc pomieścić nóg w strzemionach musieliśmy je zupełnie wypuszczać lub też odczepiać od siodel. Na szczęście na dworze trochę pocieplało, ścieżka okazała się także nie najgorszą, tak, że ujechaliśmy około 30 kilometrów, nie czując zbytecznego znużenia. Przenocowawszy w małej wiosce Łomach, położonej nad

samą rzeką Szyłką i spożywszy tu nazajutrz śniadanie, składające się z herbaty, chleba razowego i pirogów nadziewanych rybą, ruszyliśmy w dalszą drogę. W nocy zaczęło się przecierać, termometr pokazywał rano — 8° Fahrenheita; konie nasze dobrze pobiały od mrozu, a przy nozdrzach wisiały im sople lodu. Dalsza nasza jazda, poczynając od Łomów, była bardzo uciążliwą. Ścieżka wspiniała się ślimakiem po pochyłościach gór porośniętych lasem, czasami, wymijając wąwozy i przepaście, zwracała się zupełnie ku północy, to znów załamywała się zygzakiem po nad strasznymi przepaściami, albo wreszcie po skalistych urwiskach tuż po nad brzegiem, lodem pokrytej Szyłki; lada podknięcie się lub pośliznięcie konia, zapowiadało koniec badawczej naszej podróży po Syberii. Cudowi też przypisać należy, że z tej karkołomnej podróży wyszliśmy cało; prawdziwie trzeba było podziwiać zręczność naszych niekutyh na ostro koni, zwłaszcza w czasie przeprawy przez kamieniste łożyska górskich potoków lub też wspinania się po stromych, oślizłych głazach, na których niepodobieństwem było koniom postawić kopyta. Przez całą sobotę i niedzielę szliśmy piechotą, już to dla zagrzania się, już z obawy, by nie runąć w przepaść razem z końmi. Trzydniowa ta uciążliwa jazda konna, przeplatana pieszą wędrówką, to znów drapaniem się po skałach, przy temperaturze — 10° Fahrenheita, tak dalece wycieńczyła mnie, że gdy w sobotę, późnym już wieczorem dobiliśmy do osady włościańskiej Szyłki, puls mój wskazywał ostateczny upadek sił fizycznych. Na szczęście, przebyliśmy wszystko najgorsze, mając obecnie przed sobą, w odległości 15 — 18 kilometrów, osadę katorżną Uść-Karę. Ścieżyna łącząca obie te osady, okazała się, stosunkowo do już przebytej, dość równą; nie narażając się też na zbyt ciężkie trudy, zatrzymaliśmy się w jakiejś wielkiej osadzie, graniczącej z Uść-Karą, gdzie w domu jednego z przyjaciół naszego przewodnika, znaleźliśmy chwilowy odpoczynek.

Kopalnie karyjskie są własnością osobistą cara rosyjskiego, a wydobywane z nich złoto, idzie do jego skarbcza.

Kara wypływa z gór Jabłonowych, bieży sześćdziesiąt do siedmdziesięciu kilometrów w kierunku południowym i wpada do Szyłki, przy złączeniu się jej z Argunem. Nazwa »Kara« wywodzi się z tatarskiego i znaczy »czarna«; dawniej, nazwę tę nosiła sama tylko rzeka, później zaś przeniesiono ją na wszystkie nadbrzeżne osady i więzienia. Osad tych jest kilka, mianowicie: Uść-Kara, Niżnia-Kara, w pobliżu której znajduje się więzienie dla przestępców politycznych. Średnia-Kara i Amur. Głównym siedliskiem zarządu administracyjnego wszystkich osad katorżnych jest Niżnia-Kara, licząca około 300 mieszkańców i dwie kompanie pieszych kozaków. Osada ta wydała mi się najwłaściwszą na czasową siedzibę, raz dlatego, że tu znajdowała się rezydencyja komendanta więzień, bez pozwolenia którego nie wypuszczono by nas do kopalni, powtóre, że nieopodal jej, leżało więzienie stanu, na które przedewszystkiem należało nam zwrócić pilną uwagę. Posiliwszy się dobrem śniadaniem i wypocząwszy godzin kilka, pozostawiliśmy konie i przewodnika w Uść-Karze i udali się furmanką do Niżniej-Kary. Gościniec pocztowy prowadził lewym brzegiem rzeki Kary po szerokiej równinie, odgraniczonej od Niżniej-Kary pagórkami, porośniętymi sosnowym i świerkowym gajem.

Do Niżniej-Kary przybyliśmy na samym zmierzchu. Rozległą tę dość osadę składają drewniane chaty, długie koszary żołnierskie, nietynkowane domy mieszkalne dla urzędników i oficerów, pokryte cynkiem, tudzież ogrodzone ostrokołem, stare, czerniące się, w półzbutwiałe więzienie. Budynki rządowe dość symetrycznie ugrupowane, zajmowały szeroki plac, lub też dwoma rzędami obejmowały szeroką ulicę, stanowiąc rażące przeciwieństwo z przegnitymi barakami, nędznymi chatami katorżników, rozrzuconymi w nieładzie wzdłuż głównego gościńca. Na szerokim placu, gdzie stało

więzienie i koszary żołnierskie, pracowało przy budowie jakiegoś nowego domu czy koszar, około czterdziestu arestantów w długich, szarych chałatach z żółtymi kwadratami na plecach. Otaczał ich łańcuch kozaków w korzuchach, wojłokowych butach, baraniach czapkach; stali oni nieruchomo, wsparci na karabinach. Nieopodal płonęły ognie obozowe, obstawione wiszącymi na drążkach czajnikami, a przy nich zagrzewano się zziębniętych kilkunastu luźnych kozaków. Ow plac nagi, katorżnicy z siekierami, tudzież straż kozacka z najeżonymi bagnietami, wszystko to, na schyłku mrocznego dnia jesiennego, posepny i przygnębiający przedstawiało obraz.

Pierwsze nasze kroki skierowaliśmy do mieszkania komendanta, w zamiarze proszenia go, o wskazanie nam odpowiedniego przytuliska. Major Potulów, około pięćdziesięcioletni, tęgi, barczysty mężczyzna, przyjąwszy nas gościnnie, oznajmił, że o naszym przyjeździe został telegraficznie zawiadomiony przez gubernatora z Czyty, mając jednak na widoku przerwę komunikacji wodnej po Szyłce, nie miał żadnej nadziei by nas tu zobaczyć. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, ażeby obcy podróżni w tak spóźnionej porze roku, narażali się na uciążliwą i niebezpieczną jazdę po górach i wertepach. Przyjmował nas bardzo serdecznie, prosząc, byśmy bez wszelkiej ceremonji rozgościli się w jego mieszkaniu. Dziękując mu za objawy życzliwości, oznajmiłem, że nie myślimy wcale mu być ciężarem i że przyszliśmy go tylko prosić o wskazanie domu, gdzie moglibyśmy znaleźć nocleg. Uśmiechnął się dobrodusznie, zapewniając, że w Karze nie ma żadnych hoteli, prócz tych, które rząd utrzymuje dla rozbójników, podpalaczy, oszustów i morderców. Oświadczenie to wcale nie było nam na rękę. Spodziewaliśmy się znaleźć pomieszkanie, które by nam zapewniało zupełną swobodę, zdala od oka policyi, pobyt zaś w domu komendanta więzień krępował nasze zamiary, a w szczególności przeszkadzał nam wchodzić w stosunki znajomości z przestępcami

politycznymi. Radzi nie radzi, zmuszeni byliśmy przyjąć zaproszenie majora Potułowa i w ciągu jakich dziesięciu minut, rozgościliśmy się w jego wygodnym mieszkaniu, wodząc wzrokiem po dawno niewidzianych, wielkich zwierciadłach, miękkich dywanach, wygodnych fotelach i fortepianie.

Podczas naszej obecności, liczba przestępców w więzieniach i osadach katorżnych w Karze dochodziła do 1800*), z których jedna połowa znajdowała się w więzieniach pod surowym nadzorem, reszta zaś przemieszkowała w drewnianych chatach, lub też w barakach, na wolnej stopie.

Przestępcom, osadzonym w ciężkie roboty, czyli katorżnikom, okres naznaczonej kary rozkłada się na trzy peryody. Początkowo każdy z nich przesiaduje w więzieniu tak zwany »czas próbny«. Skoro więzień, w ciągu całego tego pierwszego peryodu, sprawuje się dobrze i nie ściąga na siebie niezadowolnienia zwierzchności, wtedy wyzwolony zostaje z więzienia i zaliczony bywa do drugiej kategorii, zwanej »wolną komendą«. Tu pozostaje on nadal tym samym katorżnikiem co dotąd z tą różnicą, że mu wolno jest przemieszkować po za ścianami więzienia, w koszarach rządowych, lub też w prywatnych domach, otrzymuje dzienną rację więzienną, zmuszony jest uczęszczać na roboty, nie wolno mu jest przekraczać granicy osady katorżniej, przytem w godzinach wolnych, pozwolono mu jest, szukać sobie zarobku. Z końcem drugiego peryodu »poprawczego«, przestępca zaliczony zostaje do trzeciej kategorii. »katorżników-osiedleńców« i jako taki wysłany jest na osiedlenie do wschodniej Syberii.

*) Według roczników naczelnego zarządu więziennego w początku roku 1887, liczba przestępców we wszystkich więzieniach karyjskich dochodziła do 2507. W tę cyfrę włączono sześćset do ośmiuset kobiet z dziećmi, towarzyszących dobrowolnie do kopalni swym mężom, ojcom i braciom (patrz sprawozdanie roczne naczelnego zarządu więziennego za r. 1886. Str. 47 i 47 Petersburg: w drukarni ministerstwa spraw wewnętrznych).

Owceźnie katorga karyjska składała się z siedmiu więzień, rozrzuconych wzdłuż brzegu rzeki na długości 30 kilometrów. Dobywalnie złotego piasku, oraz płukarnie oddalone są tak znacznie od więzień niżnio i ujęć karyjskich, że okuci na nogi aresztanci nie są w możności uczęszczania dwa razy dziennie na roboty i z tej przyczyny pozostawali w więzieniach w zupełnej bezczynności. Nadzór nad wszystkimi więźniami poruczony był przez majora Potułowa, jako naczelnego komendanta, właściwym urzędnikom czyli rządcom: nad przestępcami, pozostającymi w więzieniach, jako też pod »wolną komendą«, utrzymywał straż jeden batalion pieszych kozaków, liczący około 1000 ludzi: komendantem obydwóch więzień stanu, z których męzkie znajdowało się w Niżniej-Karze, żeńskie zaś w Uść-Karze, był kapitan żandarmeryi, Nikolin, przysłany tu umyślnie z Petersburga dla dozorowania przestępców politycznych, z komendą, składającą się z stu czterdziestu doborowych żandarmów. Polityczni więźniowie mieli swoję odrębną »wolną komendę«, liczącą w czasie naszego pobytu w Karze do piętnastu osób, obojej płci. Przesiedziawszy »czas próbny« w więzieniu, mieszkali oni obecnie w chałupach drewnianych, w pobliżu Niżniej-Kary. O tem wszystkiem, wiadomo nam było jeszcze przed przyjazdem do Kary, z których to wskazówek nie omieszkaliśmy obecnie skorzystać.

Na wstępie postanowiliśmy zwiedzić więzienia kryminalne i przypatrzeć się robotom katorżników w kopalniach, następnie zapoznać się z przestępcami politycznymi, należącymi do »wolnej komendy«, a naostatek dopiero, odbyć przegląd więzienia stanu, albo przynajmniej powziąć dokładne wiadomości o sposobie życia więźniów politycznych; względem urzeczywistnienia pierwszego naszego zamiaru, nie miałem żadnej wątpliwości, na spełnienie drugiego, mało tylko mogłem liczyć, a co się tyczy trzeciego, to ten z góry uważałem za niewykonalny. Nie przesądzając stanu rzeczy, ani też zrażając się przeszkodami, postanowiłem kołatać do różnych drzwi, byle dojść do zamie-

zonego celu. Czy major Potułow uzyskał jakie instrukcje od władz wyższych względem pobytu naszego w Karze, tego wiedzieć nie mogę, sposób jednak obchodzenia się jego z nami nacechowany był serdecznością, nie brał on nas nigdy na słówka, a gdym go nazajutrz prosił o pozwolenie zwiedzenia więzień i kopalni, zgodził się na to bez najmniejszego wahania, kazał bezwzględnie założyć konie do swego ekwipażu i zaręczając, że mu to sprawi największą przyjemność, pojechał z nami na przegląd więzień.

Nie mając zamiaru wdawania się w szczegółowe opisy zwiedzanych przez nas więzień w Karze, ograniczę się na naszkicowaniu dwóch, z których jedno zaliczyć można do najgorszych, drugie zaś do najlepszych.

Więzienie w Uść-Karze, położone na bagnistej nizinie w pobliżu ujścia rzeczki Kary do Szyłki, należy bez zaprzeczenia, ze względu na warunki sanitarne i ciasnotę, do najgorszych z wszystkich innych, położonych w dolinie karyjskiej. Zbudowane ono było przed pięćdziesięcioma laty, w czasach, gdy rząd po raz pierwszy zaczął używać więźniów do kopalni złota w Karze. Zdała, od strony północnej, wydaje się ona jakąś długą, niską wozownią, zbudowaną z drewnianych belek, obecnie już zbutwiałych. Łącznie z oparłanionem podwórzem tworzy ono prawie zupełny kwadrat, zamknięty z dwóch stron ścianami budynku więziennego, z dwóch zaś pozostałych ostrokołem piętnaście stóp wysokim. Zoczywszy nas podchodzących, kozak, stojący na straży przed bramą więzienną, zaprezentował broń i zawołał »Starszyj!« Natychmiast nadbiegł podoficer z pękiem ogromnych kluczy i odemknąwszy furtkę w ciężkiej, więziennnej bramie, wpuścił nas w podwórze. Tutaj zoczyłem włóczących się kilkunastu więźniów, z wpół ogolonemi głowami, którzy spłoszeni naszym przybyciem, spiesznie zbiegli do swych cel. Przystąpiwszy kilka schodów, pokrytych skorupą zmarzniętego błota, znaleźliśmy się na długim, niskim, wązkim korytarzu, potykając się na wybojach mokrej, oślizłej podłogi. Dość ciepłe lecz wilgotne powietrze,

przesycone było przykrym odorem, właściwym wszystkim więzieniom sybirskim. — Niech czytelnik sobie wyobrazi stęchłe powietrze piwniczne, którego każdy atom po wielekroć razy przeszedł już przez ludzkie płuca i przesycił się kwasem węglowym, niech zmiesza to zepsute powietrze z gazami amoniakalnemi, właściwemi wypocinom ciała ludzkiego i stęchlizną butwiejącego drzewa, a będzie miał coś podobnego do owego więziennego cioru. Odór ten jest tak charakterystycznym, że kto raz go zawietrzył, ten nigdy go nie może zapomnieć; nie da on się porównać z żadnym innym najwstrętniejszym i dla tego niepodobieństwem jest ściśle go określić. Zaledwie weszliśmy na korytarz, gdy major Potulów, porażony owym zabójczym powietrzem, rzekł z wyrazem wstrętu i obrzydzenia: »otwra-titielnaja tiurma«, (obrzydliwe więzienie).

Oprowadzający nas podoficer, rozwarłszy ciężkie, zabrudzone drzwi pierwszej »kamery«, zawołał »smirno«, ostrzegając więźniów by się zachowali cicho, bo wchodzi zwierzchnik.

Cela, do której weszliśmy, miała około 24 stóp długości, 22 szerokości, 8 wysokości i mieściła w sobie 29 aresztantów. Dwa kwadratowe, mocno okrątowane okna były zupełnie zabite, a powietrze z braku wszelkiej wentylacji tak dalece okazało się zepsutem, że uczułem się bliskim omdlenia. Oprócz nar i wielkiego murowanego pieca, mieścił się tu jeszcze kubeł drewniany na odchody. W nocy, gdy drzwi cel zaryglowano w ciągu 8 do 10 godzin przypada na każdego aresztanta zaledwie 5 stóp sześciennych powietrza!

Oględziny trwały krótko, a choć pobyt nasz w tej pierwszej »kamerze« ograniczył się do dwóch ledwie minut, to wszakże zaduch tak dalece mnie osłabił, że wydostawszy się na korytarz z prawdziwą przyjemnością oddychałem tem samem powietrzem, które, wydając mi się przed chwilą wstrętnem, okazało się stosunkowo znośnem do tego, z którym spotkałem się w celi więziennej. Zwiedziliśmy siedm cel nabi-

tych aresztantami. Powietrze wszędzie przesycone zgnilizną, tak szkodliwie oddziaływało na zdrowie więźniów, że cały szpital przepelniony był chorymi na szkorbut, tyfus, anemię, gruźlicę i t. d. Zarówno lekarz jako też urzędnicy nie starali się bynajmniej dochodzić głównej przyczyny panujących w więzieniu chorób, którą było właśnie zepsute powietrze w skutek zbytniego natłoku ludzi. Lekarz więzienny oznajmił mi, że szkorbut panuje tu w ciągu całego roku, bez żadnej przerwy. »Oglądałeś pan więzienie, więc możesz sam wydać wyrok o stanie jego zdrowotności«. Podobny ścisk i niechlujstwo muszą koniecznie sprzyjać rozwojowi chorób. Obecnie chorych jest 140, w jesieni jednak, bywa ich zwykle 250*), mimo tego w całym więzieniu nie znajduje się nigdy więcej nad tysiąc aresztantów. Zauważyć tu należy, że wielu z chorych więźniów, należących do »wolnej« komendy, leczy się w swych własnych kwaterach lub też w celach więziennych, nie oglądając nigdy szpitala. Zdarza się niejednokrotnie, że nawet chorzy na szkorbut przemieszkują po kilka tygodni w celach więziennych.

*) W r. 1857 gdy komendantem więzień karyjskich był ów sławny Rozglądiewów, który zobowiązał się dostarczać carowi z kopalni tamecznych 100 pudów (około 3600 funtów) złota, więcej niż tysiąc więźniów chorowało na tyfus, szkorbut i konsumpcję. Działo się to za czasów cara Aleksandra II »wyswobodziciela«. Zdawało by się, że ta bezprzykładna śmiertelność w kopalniach, będących osobistą własnością cara, powinna była zwrócić jego uwagę i skłonić go, by poprawą warunków bytu, przyczynił się do zmniejszenia okrutnych cierpień i bezprzykładnej śmiertelności pracujących tak ciężko dla niego więźniów. Spodziewano się zmiany owego morderczego systemu więziennego, ale daremnie. Minęło lat dziesięć, a tenże sam »porządek« panował w kopalniach karyjskich; szkorbut i tyfus niszczył całe setki ludzi. (Zob.: »Syberya i katorga«. Maksimow, tom I. str. 102, Petersburg: A. Trentschel 1886). Zwiedzając kopalnie karyjskie w r. 1885, a zatem po upływie lat dwudziestu, spotkaliśmy znów wszystko po dawnemu, raporta wciąż opiewały. szkorbut panuje w więzieniach przez rok cały.

W ciągu roku 1886 w szpitalu więziennym znajdowało się różnymi czasy 4208 chorych; a zatem dziennie, 117, (Zob. Sprawozdanie głównego zarządu więziennego za r. 1886, str. 46, 47).

wspólnie ze zdrowymi, przenosząc zarazę na tych ostatnich.

Po zwiedzeniu więzienia męskiego, odetchnęliśmy na podwórzu tak pożądanem, świeżem powietrzem i skierowali się ku kobiecemu, odgrodzonemu od pierwszego drewnianymi sztachetami. Izby w tem więzieniu wydały mi się dość obszerne, przytem schludniej utrzymane, ale warunki zdrowotności wszędzie jak najgorsze. Powietrze, z przyczyny złego urządzenia wychodków, było tak zabójcze, że tłumiło zupełnie oddech. — Podłoga w stanie jaknajgorszym, w przegniłych dylach potworzyły się jamy, wypełnione pomyjami i gnojówką, skąd wywiązująca się zgnilizna zatrzuwała powietrze, jedynym zaś sprzętem w celach zamieszkałych przez mężczyzn jako też kobiety, były szerokie drewniane nary. W dwóch tych celach mieściło się czterdzieści ośm dziewcząt i kobiet zameżnych, z których kilka zbiedzonych ze szczeniem, tuliło do piersi swe niemowlęta.

Na każdym kroku nieszczęśliwi aresztanci zarzucali majora Potułowa prośbami i zażaleniami. Jeden z nich uskarżał się, że należąc z dawna do osiedleńców, bezprawnie przetrzymany jest w więzieniu za to, że w drodze pomieniał się po pijanemu na nazwiska ze swoim towarzyszem, prosił też majora o uwzględnienie tej okoliczności. Inny znów utrzymywał, że więżą go bez żadnej przyczyny, chociaż względnie do wyroku, termin kary zdawna mu się ukończył. Z podobnemi skargami zgłaszało się kilku innych. Wielu z przestępców, mając mnie za inspektora wizytującego więzienie z polecenia władz wyższych, zwracało się do mnie z różnemi prośbami i skargami. Chcąc oszczędzić majorowi Potułowskiemu nieprzyjemności i zarazem ochronić petentów od mogącej spaść na nich kary, oświadczyłem im wręcz, że nie będąc osobą urzędową, nie mogę tem samem być im w niczem pomocnym. Nieustanne skargi i oplakany stan więzienia zdawały się wpływać coraz gorzej na usposobienie majora Potułowa, stawał się on coraz to inalmowniejszym, nie

usprawiedliwiał się, ani też odmawiał prośbom uskarżających się więźniów, wreszcie zamilkł, nie pytając mnie nawet o wrażenia wyniesione z oględzin więzienia.

Tuż przy więzieniu katorżnem znajdowało się polityczne, w którym zamieszkiwało kilka kobiet osadzonych w ciężkie roboty. Nie zwiedzaliśmy tego więzienia, albowiem komendantem tutaj był kapitan żandarmeryi Nikolin. Dowiedziałem się później, że mimo stosunkowo lepszego utrzymania, pozostawało w tych samych złych warunkach sanitarnych co pierwsze.

Więzienie w Średniej-Karze, które zwiedziliśmy w piątek po południu, należy zaliczyć do najlepszych i najschłodniej utrzymanych. Droga do tego więzienia, odległego o 5 kilometrów od Niżniej-Kary, prowadzi prawym brzegiem rzeki Kary po dość pępnej, śniegiem pokrytej dolinie, na której rozrzucone są drewniane, w pół przegniłe chaty, zamieszkałe przez wyzwolonych z więzienia katorżników. Trudno sobie wyobrazić nędzniejszej siedziby, niż owe domostwa; niektóre z nich są to po prostu psie budy złożone z jaski i okraglaków; przechodzi też wszelkie pojęcie, jakim sposobem jestestwa człowiecze mogą przemieszkwać w podobnych norach, zwłaszcza, podczas srogiej zimy sybirskiej.

Ustanawiając wolną komendę przy więzieniach w Karze, rząd kierował się przede wszystkim myślą, że obdarzeniem przestępców wolnością i pewnymi przywilejami, zachęci ich do poprawy. — O ile mi się zdaje, to reforma ta nie doprowadziła do żadnych rezultatów. Wolna komenda przyczyniła się raczej do demoralizacyi, niżeli do poprawy przestępców; nie tłumi ona w nich złych skłonności lecz przeciwnie popycha w odmet zdrożności, nie dając tem samem żadnej rękjmi umoralnienia tych nawet złoczyńców, którzy stali już na drodze do poprawy. Jej to zawdzięczyć należy, że w każdym lat dziesiątku, rozsypuje się po całej Syberji trzy do czterech tysięcy zbrodniarzy. Praktykowany dotychczas zwyczaj, pozwalania żonom i dzieciom przestępców towarzyszenia im do Syberji i prze-

mieszkiwania tam na wolnej stopie bez żadnej opieki, ma bardzo złe następstwa ze względu na obyczajność. Rząd wspiera i utrzymuje rodziny przestępców w tej myśli, że późniejsze pożycie wyzwolonego więźnia w kółku rodzinnem, wpłynie nań zbawiennie i będzie zachętą do moralności; oczekiwania te wszakże najczęściej zawodzą. Kobiety zamężne i dziewczęta, które wyszły zwycięzko z tej otchłani zepsucia, jaką im gotowała podróż etapem, zamieszkawszy w osadach katorżnych, oddają się rozpuście i występkom. — Nie ulega wątpliwości, że przestępcy, zostającemu pod wolną komendą, mało zależy na polepszeniu sposobu życia, nie troszczy się on też o urządzenie sobie ogniska domowego gdyż wie dobrze o tem, że podług reguły, przesiadł go niezadługo jako katorżnika-osiedleńca do wschodniej Syberyi, w którym to razie, owoc jego najuciążliwszej nawet pracy, pójdzie w niewiecz. W ciągu też całego pobytu pod wolną komendą, przestępca nie tylko, że nie stara się o pracę, ale przeciwnie, bierze sobie za obowiązek oddawać się występkom. Całe setki, a nawet tysiące więźniów wzdychają do »wolnej komendy« tylko dla tego, że ta następuje im okazyę do zaspokojenia niczem niestłumionej żądzy ucieczki. Każdego też lata, skoro tylko zaczyna ustalać się pogoda, bezwzględnie pewna część wolnej komendy pierzcha do lasów i ciągnę, nieprzerwany prąd zbiegów wylewa się w kierunku jeziora bajkałskiego. Pierwszy znak do tej masowej wędrówki daje kukulka. Zbiegać z katorgi nazywa się w żargonie katorżników: »wyruszać pod rozkazy generała Kukulki«. Rok rocznie pod komendę tego dowódcy spieszy do kilkuset przestępców, cała zaś Syberya dostarcza panu »Kukulce« wzwyz trzydziestu tysięcy wygnańców i katorżników. Wielu z katorżników karyjskich, spieszących latem pod komendę »generała Kukulki«, powracają zimą do więzień pod obcemi nazwiskami w kajdanach; cieszyli się jednak wolnością i oddychali orzeźwiającem górskiem i leśnem powietrzem. Dla wielu przestępców, błąkanie się po lasach

i wertepach wschodnio-sybirskich, jest koniecznym warunkiem istnienia. Małą oni pokładają nadzieję na dobre powodzenie ucieczki, wiedzą z góry, że przez całe miesiące będą zmuszeni prowadzić życie gonionego zwierza, karmić się korzonkami, natykać na niedźwiedzi, narażać się na ostatnią nędzę, na każdym niemal kroku walczyć ze śmiercią, a mimo to, z nadejściem lata żadna siła nie jest w stanie stłumić w nich żądzy spieszenia pod rozkazy »generała kukulki« i doświadczenia wrażeń, właściwych życiu brodiagi.

— Miałem raz służącego katorżnika — mówił mi w Karze pewien urzędnik więzienny — należącego do rzędu niepoprawnych włóczęgów; puszczał się on od czasu do czasu w drogę nie z potrzeby, lecz dla przyjemości; żądza wrażeń stała się składową częścią jego natury. Walczył wciąż ze straszny niedostatkami, przekonany był aż nadto dobrze, że mu się nie uda uciec za granicę Syberyi, że prędzej czy później zostanie schwytyany i przyprowadzony w łańcuchach do katorgi, jednakowoż wszystko to nie było w stanie stłumić wrodzonej w nim chętki włóczęgotwa. Pozostając przez długie lata pod wolną komendą, stawiał się pewnego razu do mnie jako starzec, z dobrze zbieglonym już włosiem i wprost mi oświadczył: — Panie! proszę kazać mnie uwieźć. — Uwieźć, — rzekłem, — a za co? — Za nic, zupełnie za nic, ale panu wiadomo, że jestem brodiagą — brzmiała odpowiedź. — Niejednokrotnie włoczyłem się i znowu pójdę, jeśli mnie nie zamkną do więzienia. Proszę pana, kazać mnie uwieźć. — Uczyniłem zadość jego życzeniu — rzekł urzędnik — i przetrzymałem go do połowy lata w więzieniu; gorączka włóczęgotwa minęła i po wypuszczeniu zdawał się być spokojnym, a nawet zadowolonym.

Nic nie ma dla mnie więcej wzruszającego nad opowieści o kolejach życia i przygodach starych brodiagów. Jak Odysseusz, który kazał przywiązać się do masztu okrętowego, by nie uleść wabiącemu głosowi syreny, tak też stary brodiaga nie czując w sobie dość

woli do oparcia się nawoływaniu kukułki, budzącemu w jego pamięci najszcześniejsze chwile w życiu, każe się dobrowolnie zamykać do więzienia.

Zdziwi może czytelnika, że osiedleni katorżnicy mogą uchodzić samowolnie mimo tak licznej, pilnującej ich straży. Biorąc pod bliższą rozwagę tameczne stounki i różne okoliczności, nie dostrzeżemy w tem nic niezwykłego. Chaty katorżników, podobnie jak i całe osady, nie są obsadzone kozacką strażą. W takich więc warunkach, nietrudno jest przestępcy nagromadzić sobie z dziennie otrzymywanej racji trochę zapasów na drogę, i pod osłoną nocy uciekać do bezdrożnej puszczy. Należy mieć na uwadze tę ważną okoliczność sprzyjającą ucieczce, że urzędnicy więzienni, dla własnej swojej korzyści, patrzą przemknętem okiem na zbiegającego z pod wolnej komendy katorżnika. Przemilczają oni rozmyślnie o jego ucieczce, pobierając sami przez długie tygodnie przypadające na niego wiktuały i odzież, czem wszystkim spekulują w spółce z żydami. Taż sama mąka i odzież, zabrana przez urzędnika w czasie nieobecności aresztanta, sprzedaje się powtórnie rządowi, po wcale znacznych nawet cenach. Dla niesumiennego rządcy więzienia każdy zmarły lub zbiegły aresztant, dopóki śmierć lub ucieczka jego daje się urzędowi zataić, przedstawia źródło wcale znacznych dochodów. Pod takimi to okolicznościami, wszelkie środki ostrożności, skierowane ku zapobieżeniu ucieczce aresztantów, chybają swemu celowi.

Więzienie w Średniej-Karze zajmuje drewniany, parterowy budynek, zwrócony frontem ku drodze i otoczony z trzech stron ostrokołem. Z powierzchowności nie różni się ono od usć-karyjskiego, pod względem jednak zdrowotności zasługuje na pierwszeństwo. Zwiedzając to więzienie w czasie nieobecności aresztantów, którzy z wyjątkiem chorych i zajmujących się prowadzeniem gospodarstwa domowego, pracowali w kopalniach złota, — nie miałem sposobności sprawdzenia liczebnego stosunku więźniów do zajmowanego przez nich lokalu. Powietrze w celach było jeszcze nie-

najgorsze, do czego przyczyniły się pozatykane za belkami świeże gałązki sosnowe, używane powszechnie w Syberji dla odświeżania mieszkań. Pomędzy temi gałązkami były poprzybijane do ścian długie, tekturowe tablice, na których wielkimi literami powypisywano wyjątki z ewangelji np: »chodźcie do mnie wszyscy znużeni i przygnębieni, ja was pocieszę«. Skąd się tu wzięły owe tablice, tego wiedzieć nie mogę, jednakowoż owe zieleniejące się gałązki z wystawionemi pomiędzy niemi tablicami, zwiastującami posiłek strudzonym i przygnębnym, dziwne stanowiły przeciwieństwo z czerniącemi się od brudu i robactwa ścianami i narami. Człowiekowi ciężko pracującemu niezbędny jest wygodny spoczynek i pożywna strawa; tymczasem zarząd więzienny nie zwracając na to uwagi, każe sypiać spracowanym więźniom na gołych, twardych, drewnianych narach. Biedni ci ludzi zszycują sobie sami cienkie podściółki z różnych łachmanów, onuczy i obrzynków od chałatów. Jest to istotnem okrucieństwem, ażeby rząd skąpił garstki słomy dla ludzi, strudzonych całodzienną ciężką robotą. W krajach cywilizowanych postarano by się dla psa nawet o jakieś wygodniejsze legowisko i nie dopuszczono by nigdy, ażeby człowiek, pracujący ciężko przez godzin dwanaście, poniewierał się na twardych deskach. Rząd rossyjski jednak, nie zwracając żadnej uwagi na najkonieczniejszą potrzeby więźniów, zbywa ich sensacyjnymi wyjątkami z pisma świętego: »chodźcie tu znużeni i przygnębieni, ja was pokrzepię«. Zwiedziliśmy z panem Frostem do dziesięciu więzień w ziemi zabajkalskiej, a w żadnym z nich, wyjąwszy w nowo zbudowanym w Wierzchnim-Udyńsku, nie widzieliśmy łóżka, poduszki lub kołdry. Wszędy aresztanci spią na gołych deskach, nie zrzucając z siebie nigdy chałatów, które zastępywać im muszą materace, kołdry i poduszki, wszędy zmuszeni są oni oddychać przesyconem zgnilizną powietrzem i poniewierać się gorzej psów w brudnych izbach, czerniących się rojami robactwa. Ktokolwiek by mnie posądzał o przesadę, tego odsyłam do opisu

więzień karyjskich: Maksymowa »Syberya i katorga« Tom I. str. 100—103, »Afiór« szkic więzienia starego w Wierchnim Udyńsku. Orfanów, strona 220—222, i najnowszych traktatów literackich o więzieniach w Syberyi.*)

Sprawę złego stanu więzień w państwie rossyjskiem, nie ja pierwszy wyprowadziłem na widownię, w tym względzie wyprzedzili mnie sami Rosssyanie. Poruszając ten przedmiot, nie szukam bynajmniej osobistego zadowolenia, ale czynię to dla tego, że podobnie żywotna sprawa powinna i musi być dopotąd powtarzana, dopóki rząd wreszcie nie zwróci na nią uwagi i nie poczuje się w obowiązku zapobieżenia złemu stanowi rzeczy.

Obejrzawszy lokal więzienny w Średniej Karze, poszliśmy zwiedzić kuchnię. Porcyą dzienna katorżnika składa się z czterech uncyi mięsa, łącznie z kośćmi, trzech funtów chleba, garstki kaszy jęczmiennej lub owsiannej, zgotowanej razem z mięsem na zupeł. Porcyą ta, co do ilości może byłaby wystarczająca, należałoby jednak zmieniać jarzyny, nie zaś ograniczać się wciąż na jednej i tej samej. Niektórzy więźniowie urozmaicają sobie niekiedy to jednostajne jado, uzyskaną pobocznie porcyą kartolli albo kapusty, za które wszakże specyały, zmuszeni są płacić własnym swym groszem.

Chleb, który kosztowałem, był zwykły razowy, używany przez włościan, lecz nadto wodnisty i klejstrowaty. Mięso, wyjęte z rosółu i rozdzielane porcyami pomiędzy aresztantów, wyglądało wcale niepojętnie, i robiło wrażenie obrzynków tłuszczowych, używanych powszechnie do gotowania mydła. Rano, po odbytej kontroli, więźniowie spożywszy w celach śniadanie,

*) »Syberya i Katorga«. S. Maksymow, Petersburg: A. Trenczel 1871. »Afiór« Orfanowa, Moskwa: Kusznarow et Comp. 1883. — Pan Orfanow pisze np. i to zwiększonymi literami, że w ciągu swej dziewięcioletniej służby w Syberyi, w każdym sybirskiem więzieniu spotykał się co najmniej z podwójną liczbą aresztantów, niż przepisana.

składające się z herbaty cegiełkowej i razowego chleba, udają się na roboty ziemne, gdzie zwykle bez względu na możliwe zmiany pogody, pracując pod gołym niebem, posilają się w południe zgotowaną przy ogniach obozowych herbatą i chlebem. Wróciwszy z robót nad samym wieczorem, spożywają więźniowie w celach (na narach zastępujących stoły) właściwy swój obiad, składający się z gorącego rosółu lub krupniku, mięsa, chleba; niekiedy popijają tę ucztę dzienną, cegiełkową herbatą. Wieczorem odbywa się powtórna kontrola więźniów, poczem wnoszą do cel »parasze« czyli kublę na odchody i drzwi wszystkie zamykają na kłódki. Większość aresztantów zmuszona jest spać na gołych narach, niektórzy jednak radzą sobie jak mogą, zaścielając twarde leża płachtami, zszytymi z przeróżnych kawałków sukna i okrawków chałatów; poduszki zaś, zastępują sobie złożonym w kilkoro łachmanem, lub zwiniętą w trąbkę podartą koszulą. Ubiór katorżnika w Karze podług reguły składa się: z grubej koszuli płóciennej, takichże szarawarów (na czas sześciu miesięcy), grubych sukiennych spodni i chałata (na jeden rok): kozucha baraniego, niepokrytego (na lat dwa), jednej pary brodni czyli nader luźnych, skórzanych butów bez obcasów, na trzy i pół miesięcy; w porze letniej dostają zamiast brodni tak zwane »koty« czyli »czyrki«, to jest łapcie skórzane, które podług przepisu starczyć muszą na dni dwadzieścia-dwa. Ponieważ utrzymanie każdego więźnia razem z odzieżą wynosi rocznie około 50 dolarów (130 złr. w. a.), przeto za tak lichy pieniądz nie można się spodziewać dobrego wikt i odzieży.

Obejrzawszy w miarę czasu i okoliczności więzienie w Średniej-Karze, skierowaliśmy się ku Niżniej-Karze, gdzie pozostawiwszy konie przy gościńcu, poszliśmy pieszo do kopalni i płukarni złota.

Złotonośna ziemia w dolinie karyjskiej znajduje się w głębokości 10 do 20 stóp, pod zbitą warstwą gliny, żwiru lub kamieni. Roboty katorżników zasadzają się na wydobyciu tej zbitej warstwy, a następnie

ziemi złotonośnej, którą przemycają w właściwych płukarniach. Bystry prąd wody, przebiegając przez długie, spadziste koryta, napelnione w części złotodajną ziemią, unosi ze sobą gatunkowo lżejsze cząsteczki ziemne, podczas gdy ciężki, czarny piasek z drobnymi blaszkami złotymi, osiada na dnie koryta, w poprzek którego są poprzybijane drewniane listwy.

Widok katorżników, wydobywających złotonośną ziemię wśród ponurego dnia zimowego, wywarł na nas przykre wrażenie. Trzydziestu do czterdziestu katorżników, otoczonych łańcuchem kozaków, pracowało w pobliżu rzeki. Jedni z nich, opatrzeni zaostrzonymi, żelaznymi łomami, wyrąbывali zbitą warstwę gliny, inni znów, nakładali łopatami złotonośną ziemię na taczki lub nosze i zsypywali ją na jedną kupę w odległości 150 do 200 metrów. Ponieważ maszyny nie puszczone w ruch, cała więc robota ograniczała się na wydobywaniu i przenoszeniu złotonośnej ziemi.

Na twarzach katorżników, okutych w ciężkie kajdany, nie mogłem dostrzedz żadnej gry uczuć, pracowali oni równomiernie, z całą obojętnością, przytem znać na nich było znużenie, udręczenie i niewywczasowanie. Milczenie przerywane było od czasu do czasu zgrzytem uderzającego w kamień żelaznego łomu, krótkim rozkazem dozorczy, lub brzękiem kajdan więźniów, noszących ziemię. Rozmowy nie było słyhać żadnej, tylko z ubocza dochodził szelest zacierających zziębnięte ręce i usiłujących rozdmuchać ogień kilku kozaków. Przypatrując się z jakieś ćwierć godziny pracującym katorżnikom, zziębnięci i przygnębieni ponurym widokiem, skierowaliśmy się ku domowi.

W kopalniach karyjskich, katorżnicy wychodzą zimą na roboty o godzinie siódmej rano, a powracają z nich o piątej z południa, latem zaś zajęci są od piątej rano do siódmej wieczorem. Wiele czasu używa ranny i wieczorny pochód aresztantów, gdyż płukarnie złota dzieli od więzień znaczną odległość. Kopalnie dostarczają rocznie carowi około 400 funtów złota, które wszystkie wpływa do jego własnego banku. Mimo ści-

stej kontroli, wielu z katorżników, należących do wolnej komendy, przemycają sobie pokątnie złoto i sprzedają handlarzom, przemycającym je do Chin. Przyswajanie sobie piasku złotego, zwanego przez katorżników »złotą pszenicą«, jest surowo wzbronionem, towar ten jednak daje tak wielkie korzyści, że wielu spekulantów, nie bacząc na grożącą im surową odpowiedzialność, kupują pokryjomu złoto od aresztantów, którzy nosząc się z przekonaniem, że »złoto jest własnością Boga«, czują się w prawie dobywania go z ziemi na własną swą korzyść, jeżeli tylko uda się im ująć oka straży.

Koszta utrzymania całej osady katorżnej w Karze wynoszą podług obliczeń majora Potułowa 50.000 rs. rocznie. Jak wielki jest czysty dochód cara z tych kopalni, po odciążeniu kosztów utrzymania robotnika, tego wiedzieć nie mogę. Wszystkie kopalnie złota w wschodniej Syberji, stanowiące osobistą własność cara, przynoszą mu rocznie 3600 funtów czystego metalu.

IV.

Wolna komenda katorżna w Karze.

Zwiedzając kopalnie karyjskie, mieliśmy przede wszystkim na celu ścisłe i dokładne zbadanie sposobu obchodzenia się władz z przestępcami politycznymi, skazanymi do ciężkich robót. Zbrodniarzy, oszustów i w ogóle różnych innych, zwykłych przestępców, mieliśmy sposobność spotykać gdzieindziej, w karyjskiem zaś więzieniu stanu i okolicznych osadach znajdowali się nasyłani tu z całej Rosyi przestępcy polityczni.

Dla dopięcia zamierzonego celu należało nam zwiedzić więzienie stanu, tudzież wolne kwatery, t. j. domy zamieszkałe przez tych przestępców, którzy odbywszy już w więzieniu »czas próbny«, pozostawali na wolnej stopie pod nadzorem żandarmów. Przygotowani byliśmy z góry na zwalczenie wielkich trudności; obecnie jednak, przeszedłszy sześć-miesięczną szkołę doświadczalną, przestaliśmy być owymi łatwowiernymi turystami, dającymi się wyprowadzić w pole lada jakiemu urzędnikowi rządowemu. Ciasne pole widzenia, odslaniane nam przez władze urzędowe przy pomocy listów polecających, którymi zaopatrzono nas w Petersburgu, nie mogło nas zadowolić. Rozumieliśmy się dobrze na wybiegach rossyjskiej żandarmeryi i policyi, a wzbogaceni przez politycznych wygnańców w różnych stronach Syberyi zasobem bardzo poży-

tecznych wiadomości, nie mieliśmy przyczyny wątpić o dobrym skutku naszych usiłowań.

Zdawało mi się, że najwłaściwiej będzie starać się o zawiązanie na najszerszą skalę stosunków przyjacielskich z mieszkańcami i urzędnikami i poznawszy dokładnie otoczenie, przystąpić do działania.

Zwiedziwszy naprzód więzienia kryminalne i kopalnie, podtrzymywaliśmy stosunki z odwiedzającymi nas urzędnikami, staraliśmy się zjednać sobie przychylność majora Potułowa i jego pięknej małżonki i badać grunt, na którym stoimy. Wkrótce, wkradła mi się myśl do głowy, że bez pozwolenia władz, uda nam się tajemnie wejść w stosunki z przestępcami politycznymi, należącymi do »wolnej komendy«. Nazwiska i powołanie większej części tych osób były mi wiadome: miałem nawet przy sobie list polecający do jednej ze skazanek, panny Armfeld, i zaopatrzony byłem przez jednego z jej przyjaciół, planem Niżniej-Kary, w pobliżu której stał domek, zamieszkały przez pannę Armfeld. Szło głównie o to, aby unikając oka władz, zająć do tego domu, lub też w jaki inny sposób z nią się zapoznać. Zadanie to było bardzo trudne do spełnienia zwłaszcza, że mała ta wioska roiła się żandarmeryą i kozactwem, śledzącymi bacznie za każdym krokiem nieznanego im przybysza. To jeszcze nie wszystko. Zauważyłem wkrótce, że major Potułow powziął ku nam pewną nieufność. Z chwilą przyjazdu naszego do Kary, nie spuszczał nas z oka. My w domu, i on nie przekracza jego progów; wybieramy się na przechadzkę, a on tuż na naszych śladach. Rzucę okiem na mój kapelusz lub też nałożę na ramiona palto, a major Potułow wnet oznajmia: — poczekaj pan chwilę, pójdziemy razem. — Cóż było robić? Widocznie, podejrzewając nas o jakieś zamiary, leżące po za obrębem jego życzenia, usiłował niedopuszczyć nas do ich spełnienia. Pojmowałem jego kłopotliwe położenie jako wyższego urzędnika i przykro mi było prawdziwie, że sam jestem przyczyną jego kłopotów i niepokoju: niezrażony jednak tem wszystkim, posta-

nowiłem iść na przebój do zamierzonego celu, nierozstając się wszakże z honorem. Oszukiwać człowieka, przyjmującego nas w swym domu gościnnie i życzliwie, albo też ukrywać się przed nim z tajemnymi zamiarami, było niewdzięcznością i niesprawiedliwością, jednakowoż okoliczności tak się zeszyły, że tylko milczkiem dojść można było do zamierzonego celu. Gdybyśmy oświadczyli byli wręcz majorowi Potułowowi nasze życzenie poznania się z przestępcami politycznymi, to niezawodnie zganiał by on nam ten krok, my zaś, jako goście jego, zmuszeni byliśmy zastosować się do jego woli. W takim stanie rzeczy nie pozostawało mi nic innego, jak wyczekiwać stosownego momentu i działać na własną rękę, tem więcej, że zmuszeni koniecznością do korzystania z gościnności majora Potułowa, nie czuliśmy się w obowiązku zwierzać się przed nim z zamiarów naszych, wcale doniosłego znaczenia. Zrobiwszy raz już postanowienie, oczekiwałem niecierpliwie chwili odpowiedniej do spełnienia go. — Nazajutrz po naszym przybyciu do Kary, odwiedził nas komendant więzienia stanu, kapitan żandarmeryi, Nikolin. Uwiadomiony o naszym przybyciu, przyszedł dowiedzieć się, kto jesteśmy i co nas sprowadza do osady, zamieszkałej przez katorżników. Kapitan Nikolin już w pierwszej chwili zrobił na mnie bardzo niemile wrażenie, mimo że podziwiał musiałem jego cierpliwość w obec obojętności i pogardy, z jaką go traktował gospodarz domu, major Potułow. Widocznie obaj byli ze sobą na stopie nieprzyjacielskiej, dziwiło mnie też, że p. Nikolin naraża się na tak niegrzeczne przyjęcie, które dla drugiego równało by się policzkowaniu, — ale oficerowie żandarmeryi są w stanie połknąć wiele obelg i nieprzyjemności, zwłaszcza, gdy się rozchodzi o dopięcie celu. Kapitan Nikolin życzył sobie poznać amerykańskich podróżników i mimo cierpkiego przyjęcia ze strony gospodarza, był tak przyjemnym i łagodnym, jak majowy poranek. Co do mnie, to chcąc sobie z potrzeby zaskarbić względy kapitana Nikolina, traktowałem go grzecznie, zachowu-

jąc jednak granice, których przestąpienie mogłoby znów ściągnąć na mnie niezadowolone gospodarza domu. Szło mi nietylko o osunięcie się z pod możliwego podejrzenia kapitana Nikolina, ale nadto o zjednanie sobie jego przychylności. Rozumowałem sobie, że grzeczne moje zachowanie się w obec kapitana — mimo pogardliwego obejścia się z nim gospodarza — będzie schlebiał próżności oficera żandarmeryi. Jako ludziom obcym, nie wypadło nam źle uprzedzać się o kapitanie Nikolinie, ani też wtrącać się w osobiste spory i niesnaski obu tych panów. Zdaje się, że kapitan uczuł się w obowiązku ocenienia okazanych mu przez nas dowodów uznania, gdyż przy pożegnaniu uściśnął mi serdecznie rękę i objawił życzenie ponownego z nami widzenia się. Nie osmielił się on jednakże w obecności majora Potułowa prosić nas do siebie, a nam, aczkolwiek noszącym się z myślą odwiedzenia kapitana, nie wypadło w obecności gospodarza domu zapowiadać mu wizyty. Major Potułow, jako człowiek doświadczony i roztropny, po wyjściu kapitana Nikolina nie wspominał o nim ni słowa, dopiero dowiedzieliśmy się od innych oficerów, że stosunki między obydwoma tymi panami są bardzo napięte i że kapitan Nikolin, jako szpieg i denuncyant, ściągnął na siebie powszechną nienawiść i pogardę.

— Raportuje do Petersburga o wszystkim co tylko wiedzieć może — mówił mi pewien oficer — ale nic mi na tem nie zależy i bynajmniej się go nie ohawiam. W ciągu ostatnich trzech lat mieliśmy tu już czterech, czy też pięciu komendantów więzienia stanu, ten zaś najgorszy z nich wszystkich.

To wszystko, co słyszałem o stosunku kapitana Nikolina do majora Potułowa, nabawiło mnie jeszcze większym kłopotem. Jeżeli mi się uda mówiłem sobie — zabrać znajomość z politycznymi przestępcami, należącymi do »wolnej komendy«, to niezawodnie dowie się o tem major Potułow, a w takim razie nie będzie mnie spuszczał z swego oka. Kapitan zaś Nikolin, korzystając ze sposobności, w raporcie swym do

Petersburga nie omieszka przystawić stolka majorowi Potułowowi; przykro mi było niezmiernie narażać na nieprzyjemności człowieka, przyjmującego nas w swym domu z życzliwą gościnnością. Dodać tu należy, że dla kapitana Nikolina, zagorzałego przeciwnika »wolnej komendy«, dopominającego się już niejednokrotnie o jej zniesienie, okoliczność mego zetknięcia się z przestępcami politycznymi posłuży dowodem usprawiedliwiającym jego żądanie. Mógł on bezzwłocznie zaraportować telegraficznie ministrowi spraw wewnętrznych. »O ile mi wiadomo, zadaniem rządu jest, najniebezpieczniejszą klasę przestępców politycznych trzymać w zupełnym odosobnieniu i nie pozwalać im znosić się z najbliższymi nawet krewnymi, chyba przez żandar-mów. Po Syberii podróżuje wiele osób, a Kara nie jest dla wielu obcą i nieprzystępną. Jeżeli wyżsi urzędnicy, jak major Potułow, ułatwiają obcym schadzki z przestępcami politycznymi, to rząd powinien znieść zupełnie wolną komendę, a należących do niej przestępców zamknąć powtórnie do więzienia, albo też zwiększeniem środków ostrożności uchylić możność stykania się ich z obcymi«.

Nie trudno było przewidzieć następstwa podobnego raportu. Jedna moja schadzka z przestępcami politycznymi, mogła spowodować nieszczęście na całą »wolną komendę« i wtrącić ich wszystkich do więzienia. Myśl, że ja sam mogę się stać przyczyną pogorszenia już i tak opłakanej doli tych nieszczęśliwych ludzi i zamiast niesienia im ulgi, wtrącić ich ponownie do więzienia, była dla mnie zabójczą; całą też noc tę nie zmrużyłem oka, przemyślując, jak tu sobie postąpić. Ostatecznie postanowiłem pozostać przy pierw-szej powziętym planie i bez względu na możliwe jego następstwa, poznać się z przestępcami politycznymi skoro tylko zdarzy się chwila, w której będę mógł się uwolnić z pod nieustającej, czujnej opieki majora Potułowa.

W ciągu pierwszych pięciu dni pobytu naszego w Karze, niepodobniństwem było na krok jeden wymknąć

się za drzwi. Dopiero dnia następnego wypadła majorowi Potułowowi podróż do Uśé-Kary, w celu przeprowadzenia tam śledztwa w sprawie zniszczonego przez pożar magazynu mąki, będącego własnością rządową*).

Przed wyjazdem nie wspomniał on ani słówka o drażliwej kwestyi, dotyczącej przestępców politycznych, nie okazywał najmniejszego nawet niepokoju, i poleciwszy nas z dobrodusznym uśmiechem pamięci swej małżonki, siadł w karyolkę, kierując się ku Uśé-Karze. W niespełną godzinę po wyjeździe majora Potułowa, rozdarłem kieszeń w moim futrzanym paltocie, wydobylem z niej kilka małych podarków, które mi poruczono wręczyć przestępcom politycznym, ukryłem je pomiędzy wierzchem i podszewką, i wyjąwszy starannie przechowywane do nich listy jako też plan sytuacyjny wsi, puściłem się pieszo ku więzieniu stanu. Było około godziny drugiej. Major Potułow zapowiedział swój przyjazd nazajutrz wieczór, miałem więc wszystkiego jedną dobę wolnego czasu.

Na wstępie postanowiłem udać się do kapitana Nikolina, wejść z nim w stosunki przyjacielskie, usunąć resztki ciążyącego na mnie podejrzenia tytułem przyjazdu naszego do Kary, stamtąd zaś skierować się o zmroku wprost do mieszkania panny Armfeld i wrę-

*) Historia spalenia tego magazynu, może być bardzo zajmującym dowodem korupcyi i demoralizacyi, właściwych cech systemu biurokratycznego rossyjskiego, w szczególności w Syberyi. W magazynie tym miało się znajdować 20.000 pudów mąki dla katorżników w Karze. Z płomieni ocalono 20 do 30 pudów mąki, złożonej na skład przez jakąś osobę prywatną; mąka ta była częściowo tylko uszkodzoną. Z 20.000 pudów mąki, stanowiącej własność rządową, nie pozostało ni śladu, a śledztwo dokonane na miejscu wykazało, że cały ten zapas został przez kogoś skradzionym. W kilka miesięcy po naszym wyjeździe z Kary, w trakcie śledztwa, dom majora Potułowa, w którym znajdowały się papiery dotyczące tej sprawy, padł ofiarą płomieni; podpaliła go jakaś niewidzialna ręka. Gazetom sybirskim wzbronionem było ogłaszać przebieg i rezultaty śledztwa. Złoczyńcy owi pozostawali w tak ścisłych stosunkach z władzami wyższemi, że uznano za stosowne całej tej sprawie kark ukreślić.

czyć jej list od jednego z dobrych jej przyjaciół. Bytność moja u majora Nikolina miała cel podwójny. Po pierwsze, nie wątpiąc na chwilę, że wyjazd majora Potułowa do Kary nie może być dla niego tajemnicą, chciałem mu dać do poznania, że nie bacząc na zachodzące niesnaski pomiędzy nim, a moim gospodarzem, swobodną chwilę czasu zużyłem na złożenie mu dowodów pamięci i życzliwości. Powtóre miarkowałem sobie, że kierując się z domu komendanta do kwatry zamieszkałych przez przestępców politycznych, uniknę podejrzania włączających się po wsi żandarmów i kozaków, którym każdy nieznany przybysz nastrecza pole do tyśiącznych, przeróżnych domysłów. Ciż sami ludzie innem na mnie patrzyliby okiem, widząc mnie poprzednio wychodzącego od komendanta i jakoby za jego przyzwoleniem wstępującego do mieszkań przestępców politycznych. Szedłem więc śmiało, wolny od myśli zwracania na siebie uwagi straży.

Kapitan Nikolin był to typ wytrawnego, nader przebiegłego, chytrego i najnikczemniejszego oficera żandarmeryi. Pozostawał on w służbie od lat trzydziestu, odbywszy pierwotnie praktykę u sławnego gnębi-cielu i tyrańca Polaków, Murawiewa »wieszateła«. Obecnie był to przysadkowaty, około pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna, z łysiną, siwym zarostem, ściągłej, odstraszaającego wyrazu twarzy, z tajemniczymi, szaremi oczyma. Gładki w obejściu, ugrzeczniomy, mimo swej udanej serdeczności, na wstępie zrobił na mnie bardzo nieprzychylnie wrażenie, potęgujące się w miarę bliższego naszego poznania się. Zostałem go w codziennym mundurze; siłą się widocznie nadać swym surowym rysom twarzy wyraz jaknajłagodniejszy, co jednak źle się udawało; z tych zimnych, przebiegłych oczów nie wyblęsnęło ni razu żadne serdeczne wejrzenie; czułem, że mimo wszelkich objawów życzliwości, w człowieku tym ukrywa się obłuda.

Sondowałem grunt jego duszy, ale nie mogłem się w nim niczego więcej doszukać prócz pychy, w jaką go wprowadzała ważność zajmowanego tu stanowiska,

chęłpił się wciąż, że jemu, zwykłemu kapitanowi żandarmeryi, powierzono tak ważny posterunek w Syberyi, że nie pozostaje pod żadną kontrolą, a przytem obdarzono go szczególniejszym przywilejem odwoływania się wprost do ministra spraw wewnętrznych, zostającego w bezpośrednich stosunkach z samym carem. Licząc się z tą jego dumą, usprawiedliwiałem się, że dotychczas nie złożyłem mu wizyty, dając do zrozumienia, że zmuszony byłem uleść okolicznościom leżącym po za obrębem mojej woli. Zdawał się oceniać moją delikatność, uczuwał się mocno zobowiązanym, zapewniał, że okoliczności te, wiadomego mu charakteru, zasługują na zupełne uwzględnienie i prosił, abym raczył wypić z nim filiżankę herbaty. Żołnierz wniósł kipiący samowar i niebawem siedliśmy w wygodnych fotelach przy herbacie, paląc papierosy i prowadząc gawędę. Opowiadałem mu żywo i z całą dosadą o przygodach naszych w podróży po Syberyi; napomknąłem, że jestem członkiem towarzystwa geograficznego amerykańskiego, nadmienilem z pewnym naciskiem o stanowisku, jakie poprzednio zajmowałem w towarzystwie telegraficznym rosyjskim, opisywałem jazdę psami na nartach, życie w namiotach i liczne wędrówki z kozakami i aby mu pokazać, że podróżuję po Syberyi nie milczkiem, lecz z upoważnienia wyższych władz petersburskich, pozwoliłem sobie udzielić mu sprawozdanie z przyjemnego posiedzenia jakie miałem w Petersburgu z panem Vlangellim, sekretarzem ministra spraw zagranicznych. Zdawał się słuchać mego opowiadania z wielkim zadowoleniem, ja zaś dając wodzę mojej wymowie, opowiadałem mu całą historję mego życia po r. 1885. Dopytywał się, czy nie mam zamiaru ogłoszenia publicznie podróży mojej po Syberyi, na co odpowiedziawszy twierdząco, dodałem, że jestem współpracownikiem czasopisma »Century Magazine«, i że już poprzednio wydałem wiele prac o Syberyi. Ponieważ to wszystko zdawało się go zaciekawiać, poznałem go tedy z amerykańskimi czasopismami, a w szczególności z »Century Magazine«.

prosząc zarazem, ażeby nas odwiedził i obejrzał nasze szkice, na ilustrację których w »Century Magazine«, wydawcy tego czasopisma przeznaczyci tak ogromne sumy pieniężne; wreszcie ubolewałem, że nieznamość angielskiego języka stoi mi na przeszkodzie do poznajomienia się z tem zajmującym czasopismem. Mnie-mał on, że prace moje zostaną przełożone na język rosyjski. Być może, odrzekłem, wszakże i poprzednie moje broszurki o Syberji dwukrotnie wydane były w przekładzie rosyjskim, jednakowoż same już ilustracye przedstawiają wiele interesu. Nie przypominam sobie o czem jeszcze mu opowiadałem, zdaje mi się jednak, że w ciągu całego mego życia przed żadnym z śmiertelnych nie nagadałem się tyle o sobie, moich przygodach i interesach, co przed owym oficerem żandarmeryi.

Moja szczerłość i dziecięca naiwność zdawały się osiągnąć zamierzony skutek. Stawał się coraz serdeczniejszym, nalał mi trzecią, czwartą filiżankę herbaty, częstował arakiem, wreszcie mając mnie za serdecznego gadułę i zarazem chętnego słuchacza, zaczął mi opowiadać o swych własnych przygodach i kolejach życia. Opisał mi organizacyę żandarmeryi, sposób wychowywania oficerów, opowiedział historycę własnego życia, nadmieniał o okolicznościach towarzyszących jego awansowi, o swem utrzymaniu, wymienił swoje krzyże i ordery, lata służby, dodając z dumą, że w całej Syberji on jest jedynym i jedynym oficerem żandarmeryi, znoszącym się wprost z ministrem spraw wewnętrznych. Z kolei przyszła mowa na system deportacyjny i więzienia; ganił on surowo, ku najwyższemu memu zdziwieniu, wszystkie więzienia etapowe, dodając że dola transportowych aresztantów jest istotnie godną politowania, wydalenie zaś przestępców na osiedlenie do Syberji, nie tylko dla nich samych jest zgubą, ale nadto oddziaływa szkodliwie na sprawy i interesa krajowe. Ten niespodziewany zwrot rozmowy wprowadził mnie w takie zdumienie, iż na razie nie wiedziałem sam co mam powiedzieć. Odgrywa on rolę

rodzaj Howarda w mundurze żandarma — chce mnie wzięść na wędkę. by wybaść mój sposób myślenia? Bez względu na te wątpliwości, postanowiłem prowadzić rozmowę nie zdradzając wszelako o ile jestem wtajemniczonym w te stosunki, chwaliłem znane mi lepsze więzienia w Syberji. Z ubolewaniem wspominałem o ucisku panującym w więzieniach i złych warunkach dla zdrowia, a stawiając za wzór więzienie w Wierchnim Udyńsku, dawałem wyraz uznania dobrym chęciom rządu w ulżeniu oplakanej doli wygnańców. Niespodziewanie zwrócił kapitan Nikolin rozmowę na przestępców politycznych w Karze, zapewniając uroczyście, że pozostają w nierównie lepszych warunkach życia, niż zwykli katorżnicy. Mają mieszkania widne, obszerne, nie używamy ich do robót ziemnych, chodzą w czystej bieleźnie, mogą korzystać z dobrej biblioteki, rozporządzają znacznymi środkami pieniężnymi, przysyłanymi im przez krewnych i przyjaciół, a po ukończonym terminie »próbny« dozwala się im mieszkać w prywatnych domach i zajmować się na małą skalę ogrodnictwem. Przyjąwszy ze zdziwieniem tę wiadomość spytałem: czy w istocie polityczni przestępcy w Karze nie są używani do robót przymusowych w kopalniach?

— Do robót! — zawołał — zapewniam pana, że nie są używani. Cała ich robota ogranicza się na przesiadywaniu w dobrze opalonych, widnych, obszernych izbach, gdzie mając książki, mogą się kształcić naukowo.

— Czy wolno im podtrzymywać stosunki z krewnymi i przyjaciółmi pozostałymi w Rosyji europejskiej? — spytałem.

— Tak jest — odpowiedział. — Obejmując posadę komendanta, położyłem szczególny nacisk, ażeby przestępcom dozwolono znosić się z przyjaciółmi i rodziną. Rozumie się, że listy ich, a raczej karty korespondencyjne zostają pod moją osobistą kontrolą; mogą wszakże pisać, co im się tylko podoba.

— U nas w Ameryce — odezwałem się — wszyscy są przekonani, że politycznych przestępców

w Syberyi przykuwają częstokroć do taczek i zmuszają do robót w kopalniach podziemnych i że życie ich jest ciągłą walką z nędzą i niedostatkiem.

Popatrzył na mnie z całym spokojem i z wymuszonym uśmiechem oznajmił, że poprzednio on sam dzielił to przekonanie, zadziwił się jednak, sprawdziwszy na miejscu stan rzeczy. — Gdybyś pan w tej chwili — mówił — zajrzał do której z cel więziennych, zoczył byś pan tam więźniów siedzących przy wielkim stole, zajętych czytaniem książek lub pisaniem. Istotna biblioteka.

Zauważywszy, że widok taki nie tylko byłby mi przyjemnym, ale nadto pożądanym tematem dla moich studyów, spytałem, czyby mi nie zechciał pozwolić przypatrzeć się owym celom.

Dobrze — odrzekł zawaławszy się — ale ja nie jestem upoważnionym do prowadzenia obcych osób do więzienia stanu; mogę jednakże panu przedstawić książki z biblioteki więziennej, nawet angielskie

Zawołał żołnierza i kazał mu przynieść z więzienia pierwszą lepszą książkę, lub też rękopism. Po chwili wrócił ów posłaniec, przynosząc jeden tom poezyi Shelley'a i numer »Punchu«, co wszystko z tryumfem wręczył mi kapitan Nikolin, w dowód, że polityczni przestępcy mają w bibliotece nie tylko dzieła rossyjskie, ale nawet angielskie.

— Przed niedawnym czasem — mówił — dawali oni, w jednej z cel więziennych, przedstawienia teatralne, a dla rozrywki wychodziła tam nawet przez czas jakiś pisana gazeta.

Przyniósł mi następnie swą książkę rachunkową, podług której przestępcy polityczni w Karze mieli w ciągu 10 miesięcy b. r. otrzymać od swych krewnych i przyjaciół kwotę 6044 rs. *)

*) W przejeździe przez Irkuck poznałem się z pewnym urzędnikiem »izby obrachunkowej«, który prowadził kontrolę nad wszystkimi funduszami, posyłanymi więźniom politycznym w Ka-

— Czy więźniowie mogą sami rozporządzać rzeczonym funduszem? spytałem.

— Tak jest, — odpowiedział kapitan Nikolin — nie daje im się wprawdzie pieniędzy tych do rąk, ale mogą kazać kupować sobie za nie wszystko, co tylko objęte jest instrukcją więzienną.

Wszystkie te zwierzenia się kapitana Nikolina przyjmowałem niby w jaknajlepszej wierze i z podziwem, czując się nawet zachwyconym obrazem przyjemnego i szczęśliwego życia przestępców politycznych w Karze, naszkicowanego w tak żywych barwach przez szczerego przyjaciela ludzkości, kapitana Nikolina. Wszakże podług jego słów, ludziom tym na niczem nie zbywało, mieszkali w wygodnych, obszernych, widnych izbach, mieli podostatkiem różnych książek, z których mogli czerpać wszelkie studia, nie wyjmując literatury angielskiej, uprzyjemniać sobie czas przeglądaniem »Punchu«, wydawaniem własnej gazety, a nawet występami teatralnymi, za które to wszystkie dobrodziejstwa wypłacali się dobrotliwemu ojcowskiemu rządowi czarną niewdzięcznością i zdradą.

— Nie wyobrazisz sobie, panie Kennan — odezwał się kapitan Nikolin, — jak dalece ci ludzie są niesumienni, jaki oni posiadają spryt złodziejski w ukrywaniu rzeczy zakazanych i w przemycaniu listów z więzienia. Radbym wiedzieć, jakbyś sobie pan postąpił, gdyby ci wypadło przeprowadzić szczegółową rewizję na osobie przestępcy politycznego?

— Kazałbym mu się rozebrać i przeszukał starranie jego odzież — odpowiedziałem.

rze. Ołóż urzędnik ten, przychylając się do mojej prośby, zestawił cały bilans z przysyłanych funduszy dla więźniów w Karze, z którego przekonałem się, że w ciągu całych dziesięciu ostatnich miesięcy, otrzymali wszystkiego 375 dolarów, czyli przecięciowo po 37½ centa na głowę. Kapitan Nikolin rozmyślnie zwiększając tę cyfrę do 4000 dolarów chciał mnie utrzymać w przekonaniu, że więźniowie opływają w dostatki. Jestem bowiem przekonany, że cyfra, podana przez urzędnika »izby obrachunkowej« w Irkucku, jest prawdziwą.

— I to już wszystko? — spytał ze zdziwieniem kapitan Nikolin.

— W tej chwili nie zdobyłem się na inny sposób rewidowania człowieka, — odpowiedziałem.

— A nie zaglądałbyś pan w uszy?

— Nie — odrzekłem — to mi nawet nie przeszło przez myśl.

— Nie szukał byś mu pan w ustach?

Znowu odpowiedziałem przecząco.

— Nie opatrywałbyś mu pan dziurawego zęba?

Zapewniłem go uroczyście, że przecież w próżnym zębie nikt się nie doszuka korespondencji.

— No — mówił tryumfująco — ja wydobywałem już z uszów i ust przestępcom kawałki jedwabnego papieru, na których spisane były całe listy, zaś w spruchniałym zębie doszukałem się dozy zabójczej trucizny, oblepionej woskiem. Ah-h-h! — zawołał zwycięsko, zacierając ręce. Pan jesteś przebiegły, ale ja znam się na wszystkich pańskich sztuczkach.

Mrowie mnie przeszło na samą myśl, że w palcie moim, pozostawionym w sieniach, znajdują się ukryte dwie chińskie filiżanki, lusterko, czerwona strzepywaczka do kurzu, co wszystko powierzone mi zostało przez pewną panią, wygnankę polityczną, do doręczenia panie Armfeld, z zapewnieniem serdecznej za tę przystągę wdzięczności.

Obawiałem się, czy ów podejrzliwy oficer, który doszukał się w spruchniałym zębie trucizny, a w uchu listu, nie rozkazał już żandarmom zrewidować mego paltu, pozostawione w przedpokoju. Czemu mógłbym usprawiedliwić obecność, po za potrzebą ukrytych, budzących podejrzenie przedmiotów. Położenie moje okazało się bardzo kłopotliwe; co chwila też spodziewałem się zoczyć w otwierających się drzwiach kozaka z czerwoną strzepywaczką w ręku. Na szczęście nie przyszło do katastrofy i kapitan Nikolin opowiadał mi bez przerwy o sposobie życia i sprawowaniu się więźniów politycznych w kopalniach karyjskich. W opowiadaniu tem było też wiele prawdy, ale spo-

sób przedstawiania samych faktów był tak nakręcony, że łatwowiernego turystę mógłby łatwo wyprowadzić w pole. Dla świadka tej naszej rozmowy, znającego nas obudwóch i zarazem świadomego stanu rzeczy, odgrywana ta przez nas komedia byłaby istotnie zajmująca. Co do mnie, obeznany byłem z więzieniem stanu równie dokładnie jak kapitan Nikolin, miałem przy sobie starannie odrysowany plan więzienia, spis nazwisk wszystkich przestępców politycznych, znany mi był najdokładniej sposób ich życia, jadło, ubiór, wiedziałem, jakie są w celach przedmioty — jak są ustawione i w ogóle o wszystkim, cokolwiek znajdować się tam mogło. Wiadomo mi także było, że niektórzy z więźniów przykuci są do tacek i że wielu wpadło w stan obłąda; — jednym słowem, wtajemniczony będąc najdokładniej w historią ostatniego pięciolecia więzienia stanu w Karze, mogłem na każdym kroku zadawać fałsz opowiadaniu kapitana Nikolina. Mimo tego wszystkiego musiałem siedzieć cicho, tłumić słuszne oburzenie, odgrywać rolę gadatliwego, łatwowiernego turysty, który zajęty sam tylko sobą i swemi rozrywkami, z podziwem i zachwytem witał wiadomość, że polityczni przestępcy zamiast pracować w podziemnych kopalniach i być przykutymi do tacek, mieszkają wygodnie, ciesząc się względami ludzkiego i wspaniałomyślnego kapitana Nikolina.

Nie wiem, jakie wrażenie wywarłem na kapitanie w czasie tej dość długotrwałej naszej rozmowy, niemam jednak, nie bez uzasadnionej przyczyny, że mnie to właśnie udało się wyprowadzić w pole wyzutego z wszelkiej czci i najprzebieglejszego oficera żandarmeryi w całej wschodniej Syberyi. Może tak nie jest w zupełności; ale jeśli on mniemał, że mnie udało otumanić, to się bardzo myli. Zapatrując się ze stanowiska moralnego na mój sposób postępowania z tym człowiekiem, utracam prawo obrony; ale zmuszonemu rzucić wszystko na kartę, nie pozostawało nic innego, jak zwrócić się do wybiegów dyplomatycznych. W moich rzeczach i przy mnie, znajdowały się pisma

treści rewolucyjnej, plany więzień, wypisy z archiwów państwowych, listy do politycznych przestępców, a prócz tego, półtora dziesiątka zapisanych notatek, które, stając się łupem policji, pociągnęłyby za sobą jak najgorsze skutki. Nie ulega wątpliwości, że w tym razie wiele dziesiątek wygnańców politycznych znalazłoby się na ostatnich krańcach Syberji, a co więcej, że wykrycie to groziło surową odpowiedzialnością wielu odważnym, sumiennym i dzielnym urzędnikom, którzy w jaknajlepszej myśli powierzyli mojemu honorowi i rozsądkowi dokumenta, kompromitujące rząd rossyjski. Gdybym był moją nieprzezornością zwrócił na siebie podejrzenie władz, to niezawodnie kazanoby zrewidować moje rzeczy, a wtedy postradałbym nie tylko wszystkie, z takim trudem zebrane materiały, ale nadto, sam dostałbym się do więzienia. Bacząc na samego siebie i spoczywające obecnie w mych rękach losy wielu ludzi, sędzę, że sposób mój postępowania z przebiegłym i podstępny oficerem żandarmeryi zasługuje na uwzględnienie.

Przed wieczorem pożegnawszy kapitana Nikolina z uroczystym zapewnieniem wzajemnej czci, szacunku i życzliwości, skierowałem moje kroki ku domowi panny Armfeld, stojącemu w połowie drogi, łączącej więzienie stanu z mieszkaniem majora Potułowa. Wszystkie moje władze umysłowe były w stanie najwyższego napięcia. Przejęty na wskróś raz powziętym zamiarem, niewątpliwem na chwilę w możność spełnienia go

Panna Natalja Armfeld, o której kolejach życia słyszałem już poprzednio, była córką wybitnego rossyjskiego dygnitarza, a siostrą pani Fedczenko, żony powszechnie znanego, uczonego badacza. Należała ona do rodziny arystokratycznej i zamożnej. Pannę Natalię i matkę jej, łączyły stosunki ścisłej zażyłości z słynnym rossyjskim powieściopisarzem, hrabią Leonem Tołstojem: władała ono dobrze językiem francuskim, nie-

mieckim i angielskim, zajmowała się malarstwem, i posiadała wyższe wykształcenie. *)

Pannę Armfeld aresztowano w Kijowie dnia 11. lutego 1879 r. na tajnym zebraniu. Policya wytropiwszy kwaterę, w której odbywały się schadzki konspiratorów, wkroczyła tam późnym wieczorem; uczestniczący na tej schadzce mężczyźni powitali żandarmów rewolwerowymi wystrzałami, na które ci również odpowiadali ogniem: powstał zgielek, wśród którego jeden z żandarmów i dwóch rewolucjonistów przeszyci kulami, padli trupem na miejscu. **) Wszyscy obecni na tej schadzce konspiratorowie zostali aresztowani i oddani pod sąd wojenny, wyrokiem którego panna Armfeld, jako biorąca czynny udział w zbrojnym oporze prze-

*) Przykro mi, że nie mogę tu podać żadnych szczegółów co do przeszłości panny Armfeld. Pewien rossyjski rewolucjonista, do którego się odwoływałem listownie o jej życiorys, pisze co następuje: »Znając osobiście pannę Armfeld mogłem sobie wyrobić pewien sąd o tej osobie: życiorysu jej nie posiłam panu — dzisiaj, w czasie rozbudzonej działalności, rzeczy takie dla większości przedstawają mało zajęcia. Wiem, że ojciec panny Armfeld był rossyjskim dygnitarzem, a siostra jej znana z swych prac naukowych, wyszła za mąż za rossyjskiego uczonego Fedczenkę, który wkrótce zginął w czasie wycieczki po alpach szwajcarskich. Natalji Armfeld nie można zaliczyć do wybitniejszych osobistości jakimi były Perowska, Bardina i inne. Należała ona do rzędu skromnych pracownic, w których uosabiają się cnoty i piękne obyczaje rewolucjonistów, ich poświęcenie i zupełne zaparcie się siebie samych. Te to cnoty, wypływające z czystszych pobudek, tak doniosłego są znaczenia, że równoważyć mogą czyny bohaterskie. Bezwątpienia znajdziesz pan między wygnańcami w Syberji, wiele należących do tego samego typu. Serdeczne współczucie, jakie pan objawiasz na każdej stronnicy swej pracy, może posłużyć tu najlepszym i najwymowniejszym dowodem.

**) W starciu tem. poległ na miejscu jeden tylko żandarm rossyjski Kozłów. Rewolucjonistów rannych było czterech, z których dwaj bracia Iwiczewie, studenci uniwersytetu w dni kilka zmarli w szpitalu; Brantner, student instytutu weterynaryjnego w Charkowie, któremu kula strzaskała obojczyk, po dokonanej bolesnej operacji, został powieszony w Kijowie, z wyroku sądu wojennego, dnia 15. maja 1879 r. Czwartym wreszcie ciężko rannym był Roman * * *, figurujący w liście urzędowej »raniony w głowę niewiadomego nazwiska«.

(Przypisek tłumacza).

ciwko władzom policyjnym, skazaną została na lat czternaście i miesięcy sześć ciężkich robót w kopalniach sybirskich z pozbawieniem wszystkich praw stanu, i na dożywotne wygnanie do Syberji. Podczas naszego pobytu w Karze, panna Armfeld odsiedziawszy już czas »próbny« w więzieniu, wcieloną została do »wolnej komendy« i przemieszkiwała w prywatnym domu, razem ze swoją sześćdziesięcio-letnią matką, dzielącą dobrowolnie dolę wygnanej swej córki.

Słońce już prawie zaszło, gdy kierując się planem sytuacyjnym, udzielonym mi poprzednio przez znajomych mi wygnańców, podszedłem pod drzwi białej chaty, w której mieszkała panna Armfeld. Zastukałem i wkrótce zoczyłem przed sobą jakąś młodą kobietę.

— Tutaj mieszka panna Armfeld? — spytałem.

— Jestem nią — odrzekła.

— Nazwisko moje Jerzy Kennan. Jestem Amerykaninem podróżującym po Syberji, w celu zapoznania się z systemem deportacyjnym. Zabrałem znajomość z wieloma pani przyjaciółmi, i przywożę pani list polecający od N.

Wzruszona do głębi, milcząc, wpatrywała się we mnie, poczem opanowawszy się, prosiła mnie bliżej. Postępując w jej ślady, wszedłem z ciemnej, małej sionki do nędznej, skąpo otynkowanej izdebki, mającej około dziesięciu stóp długości, a ośm szerokości, opatrzonej małemi, kwadratowemi oknami. Umieblowanie tej izby składało się: z sosnowego, drewnianego stołu, kilku takich stołków i wąskiego tapczana pokrytego grubą, wełnianą derką. Po obu stronach drzwi na pulkach przyściennych mieściły się niektóre sprzęty kuchenne, jako to talerze, filiżanki, noże, widelce i czajnik. Oprócz rzeczonych sprzętów w izbie stał także kosz, a pod tapczanem zwykły, rosyjski kufer. Wszystko to, utrzymane w wzorowej czystości, zdradzało krańcowy niedostatek. Zdjąwszy z siebie moje ciężkie paleto, zabrałem się do wydobywania ukrytego w nim listu, gdy panna Armfeld chwyciwszy mnie nagle za ramię, za-

wołała: powstrzymaj się pan, niech wprzódzy zarygluję drzwi i pozamykam okiennice. Drżącą ręką zapaliła świecę, wyszła za drzwi chaty, zamknęła okiennice i zaryglowawszy drzwi, rzekła do mnie: — nie jesteś pan jeszcze obeznany z otaczającą nas atmosferą pełną lęku i obawy. Mógłby pana łatwo kto podejrzeć w chwili, gdyś doręczył mi list wydobyty z kieszeni. Odebrała następnie odemnie list, przypatrywała się mu długo z wyrazem podziwu i wzruszenia, które ją nie opuszczało do chwili naszego rozstania się. — Wreszcie spytała: — W jaki sposób mogłeś się pan tu dostać?

Odpowiedziałem, że poczynając od Strietyńska, przebiegałem się przez góry konno. — Ale jakim sposobem uzyskałeś pan pozwolenie odwiedzenia mnie tutaj?

— Nie otrzymałem na to żadnego pozwolenia; nikt nie wie, że tu jestem. Od tygodnia przybyłem już do Kary, a dziś po raz pierwszy zdarzyła mi się sposobność podejścia niespostrzeżenie pod drzwi domu pani.

Zacząłem jej opowiadać że podjąłem umyślnie podróż do Syberji w celu przejrzenia się sposobowi postępowania rządu z wygnańcami politycznymi, podając krótkie sprawozdanie z mojej podróży. Długo patrzyła na mnie z wyrazem zdumienia i kłopotu, jakim nabawia człowieka nadzwyczajny jakiś wypadek, przechodzący wszelkie jego oczekiwania. Wreszcie, po raz pierwszy posilkując się językiem angielskim, spytała mnie: Chciej pan uwzględnić moje natręctwo i wybacz, że go nie mogę przyjąć z całą serdecznością, ale zostając pod wpływem głębokich wrażeń, widzę się jak gdyby wśród snu. Czuję się zupełnie udurzoną i odurzoną tak, że sama nie wiem co mówię i czynię.

Pan jesteś pierwszy tym obcym człowiekiem, którego widzę przed sobą od czasu mego wygnania. a pańskie pojawienie się tu w moim mieszkaniu jest tak nadzwyczajnym wypadkiem w moim życiu, że czuję się zupełnie oszołomiona. Podobnego wstrząśnienia duchowego musiał doświadczyć Livingstone w chwili

spotkania się w środkowej Afryce ze Stanleyem. Skąd panu przysłała do głowy niepojęta myśl, podróżowania po Syberii w celu zbadania systemu deportacyjnego?

Zacząłem opowiadać jej po angielsku, gdy nie spodzianie z poza pieca dobył się jakiś słaby rozbity głos: — Kto tu jest Natalio? Z kim rozmawiasz?

— To matko, pewien amerykański podróżnik, który sam odszukał nas tu w katordze.

Pani Armfeld, którą rozmowa nasza zbudziła ze snu, zbliżyła się obecnie, oddając mi pozdrowienie. Była to osoba licząca około lat sześćdziesięciu, z białym już włosom, wychudła, złamana; łagodne, wymowne jej oblicze, zaznaczyły troski i cierpienia, jak gdyby wiele nocy spędziła bezsennych. Na wstępie, serce moje zabiło dla niej tętnem szczerego współuczucia; nie zdarzyło mi się dotąd jeszcze spotkać ludzkiej twarzy z wyrazem tak głębokiego smutku, bólu i beznadziejnej troski.

Po upływie jakiej pół godziny pożegnałem obie panie, przyrzekając odwiedzić je ponownie późnym wieczorem; panna Armfeld oznajmiła mi, że znajduje tu wszystkich politycznych przestępców z pod »wolnej komendy«. Wzruszony do głębi duszy spieszyłem do domu, gdzie mnie oczekiwano z obiadem. Pani Potułow patrzyła na mnie od czasu do czasu ciekawym wzrokiem, jakby chciała wy badać, gdzie przepędziłem całe popołudnie; nie mogła jednak zdobyć się na żadne zapytanie, czem też oszczędziła mi kłopotu, nie przyznawania się do winy.

O godzinie siódmej wieczorem, zaszedłem ponownie do mieszkania panny Armfeld, gdzie przedstawiony zostałem obecnemu tam przestępcy panu Kurtajewowi i pewnej młodej, wątłej osobie, pani Kolenkinowej. Z nazwiska znana mi ona już była, jako rewolucjonistka, zesłana niesłusznie do ciężkich robót za mniemany udział w zabójstwie szefa żandarmeryi rosyjskiej, generała Mezencowa. Zdziwiłem się nie mało, zoczywszy ją tak jeszcze młodą. Rzecz szczególna, że

wszystkie kobiety uczestniczące od lat piętnastu w najtragiczniejszych wypadkach w Petersburgu, w Moskwie, Kijowie, Odessie, mimo młodocianego wieku odznaczały się niezwykłą siłą charakteru. Wszystkie one, z nader małymi wyjątkami, odbierały wykształcenie w skromnych szkołkach niedzielnych, albo były wychowankami wcale zwykłych zakładów naukowych.

Pomału zaczęli się schodzić do mieszkania panny Armfeld inni przestępcy polityczni z pod »wolnej komendy«. Każdy z przybywających dawał znać o sobie lekkim stuknięciem w okiennice, wtedy panna Armfeld podchodziła ostrożnie ku drzwiom i po poprzednim porozumieniu się z gościem wpuszczała go do wnętrza domu. Małeńka, smętnie oświetlona izdebka, milczenie, tłumione obawą i niepokojem, tajemnicze stukanie do okiennic, wreszcie cicha, z wyczerpaną ciekawością i zajęciem prowadzona rozmowa przez grono wynędzniałych kobiet i mężczyzn, wpatrujących się we mnie z napiętą uwagą, jak gdybym był gościem z drugiego świata, wszystko to razem wywierało wrażenie czegoś tak osobliwego, nie mającego żadnej styczności z życiem światowem, że w istocie nie czułem się na jawie, lecz w objęciach jakiegoś fantastycznego snu.

Gdy zaś zaczęto mi rozpowiadać straszne historie o okrucieństwach, znęcaniu się, obłędach, samobójstwach, powtarzających się tak często w kopalniach karyjskich, wtedy zdawało mi się że przestąpiłem ponure bramy piekła Danta, nad którymi tkwi groźny napis: »Wy, którzy tu wchodzicie, zostawcie za sobą wasze nadzieje«.

Około godziny dziewiątej, w chwili, gdy m wpiasywał coś w moją notatkę, dało się słyszeć jakieś głośne stukanie w okiennice. Pani Kolenkina, zwracając się ku pannie Armfeld, szepnęła znacząco: — To żandarmi! Nie wpuszczaj ich. Powiedz kto tu jest z naszych, może zostawią nas w spokoju. — Wszyscy zamilkli, ja zaś wśród tej ciszy, zdawałem się słyszeć

tętno własnego serca. Niebawem panna Armfeld podszedłszy pod drzwi, oznajmiła obojętnie żandarmom: — Jesteśmy tu wszyscy, moja matka, ja, Kurtajew, pani Kolenkina i... — resztę wymówionych nazwisk, nie mogłem zrozumieć. Żandarmi pomówiwszy coś z sobą, zdawało się, że odeszli; panna Armfeld zarygłowała drzwi i powróciwszy do pokoju rzekła z uśmiechem: — dali się uspokoić i postanowili odejść. — Zwracając się zaś do mnie rzekła, po angielsku: — Żandarmi odwiedzają nas po trzykroć dziennie, dla przekonania się naocznie co porabiamy, i sprawdzenia, czy który z nas nie uciekł. Odwiedziny te obecnie są głównie dopełnieniem formalności; nie zawsze wchodzą do mieszkania.

Przerwana rozmowa znowu ożywiła się; w ciągu wżwyż dwóch godzin słuchałem opowiadań o życiu więziennem przestępców politycznych w katordze karyjskiej, zaspakajając, o ile tylko świadomość moja pozwalała, zadawane mi natarczywie liczne zapytania o postępie ruchów rewolucyjnych w Rossyi. W czasie tej rozmowy zwrócił na siebie moją uwagę pewien młody człowiek, nieznan mi dotychczas z nazwiska. Był to wynędzniały blondyn, lat trzydziestu, o bezwzrostej twarzy, z wielkimi, wytrzeszczonemi oczyma. W ciągu całej rozmowy siedział on milczący na drewnianym stołku tuż przeciw mnie, podtrzymując podbródek w dłoniach, wspartych łokciami o kolana. W chwili gdy wszyscy ucichli, człowiek ów, nie zmieniając pierwotnej postawy, oznajmił mi najniespodzianie równomiernym, grobowym głosem: — My mamy — nasz — własny — cmentarz — tutaj. — Chcesz — go — pan — zobaczyć?

Samo to jego zapytanie i sposób wypowiedzenia go, tak mnie przeraziły, że w pierwszej chwili nie mogłem się zdobyć na żadną odpowiedź. Później dopiero zmiarkowałem, że mam do czynienia z obłąkanym. Jeżeli jak mniema De Quiquey, nagłe stuknięcie w bramę po zamordowaniu Makbeta jest w dramacie owym momentem krytycznym, potęgującym przy-

szłe wrażenia i szerzącym grozę na wszystko już minionie, tak dziwne to, niespodziewane zapytanie, było dla mnie jakby zaklęciem. stawiającem mi zaraz przed oczyma w całej okropności wszystko to, czegom się nasłuchał o samobójstwach, obłędach, nędzy i różnych tragicznościach, których widownią była katorga w Karze.

Po północy, rozstałem się z przestępcami politycznymi, ale tak dalece wzburzony, że nawet ostry chłód jesiennej nocy nie był w stanie uśmierzyć trawiącej mnie gorączki. Wszyscy już spali z wyjątkiem p. Frosta, oczekującego niecierpliwie mego powrotu. Rzuciłem się na kanapę chcąc zasnąć, ale daremnie, wszystko com widział i o czem słyszałem, zalegało moje wyobrażenie, i dopiero rankiem zmorzył mnie sen.

V.

Przestępcy polityczni w katordze karyjskiej.

Nazajutrz, poszliśmy z p. Frostem odwiedzić pannę Armfeld. Zapowiedziany dnia tego wieczorem powrót majora Potułowca z Uśc-Kary, niweczył wszystkie nasze zamiary. Należało się rachować z czasem, którego tak mało pozostawało nam do rozporządzenia. Nie mogliśmy przypuszczać nawet, aby schadzki nasze z przestępcami politycznymi, pozostały dla władz tajemnicą. Prędzej czy później, musiały one dojść do ich wiadomości, zadaniem naszym obecnem było, dołożyć wszelkich starań ku osiągnięciu zamierzonego celu. Wehodzić dniem do domów, zamieszkałych przez przestępców politycznych, było istotnym hazardem, a że godziny były policzone, przyrzekłem przeto panie Armfeld odwiedzić ją popołudniu, jeżeli tylko nie zaskoczą nas jakie nieprzewidziane przeszkody.

Przyspieszywszy kroku, w ciągu jakiego kwadransu stanęliśmy u drzwi domu panny Armfeld, które nam też bezwzględnie otworzono. Mała jej stancyjka, z okienkami bez firanek i opadającymi z tynku ścianami, wydała mi się wśród pogodnego, zimowego dnia jeszcze nędzniejszą, niż podczas pierwszej mojej tu bytności. Nędza ta wystąpiła w całej pełni w obec stojącego pośrodku izby, na drewnianych sztalugach,

nieoprawionego w ramy olejnego obrazu. Dzieło sztuki i katorżne roboty, rzecz zbytku w obec ostatecznego ubóstwa, tak rażące stanowiły przeciwieństwo, że powitawszy pannę Armfeld, wodziłem naprzemian wzrokiem po niej, to znów po obrazie. Wzrok mój badawczy nie uszedł jej uwagi, zwracając też sztalugi w ten sposób, bym mógł się przypatrzeć całemu obrazowi, odezwała się: — chciałam zdjąć portret mojej matki. Obowiązki względem pozostałych dzieci zmuszają ją w tym roku powrócić do Rosyi. Prawdopodobnie, nie zobaczę jej już nigdy; jest ona osobą już wiekową i nadto osłabioną, ażeby mogła odbyć ponowną podróż do wschodniej Syberii; rozstając się z nią, pragnęłam mieć na pamiętkę choć jej podobiznę. Wiem dobrze, że to portret zły, wstyd też mi było panu pokazywać, ale tu idzie o radę pańską. Zapas moich farb jest bardzo szczupły, a że nie mam nadziei uzyskania świeżych, chciałem przeto prosić pana Frosta o radę względem zaoszczędzenia materiałów na czas jaknajdłuższy.

Milcząc, przypatrywałem się z serdecznem współczuciem lichemu, a nawet szpetnemu obrazowi. Nie można mu wprawdzie było odmówić podobieństwa do oryginału, zdradzał on nawet ślady talentu i znanstwa; grube jednak płótno nie nadawało się wcale do tego celu, przytem farby twarde i ordynarne; z pierwszego rzutu oka można było zmiarkować, że portrecistka miała do zwalczenia niepokonane przeszkody, wynikające z braku materiałów. Z prawdziwem współczuciem i boleścią w sercu, patrzyłem na niezamordowane starania panny Armfeld, podjęte w celu odportretowania swej matki, z którą wkrótce miała się rozstać na zawsze, ale boleśniej mi jeszcze było pomyśleć, że ta córka, niezadługo opuszczona przez swą matkę, będzie zmuszoną pozostawać samą na sam z jej martwym portretem. Wady tego obrazu na wstępie raziły oko, ale wytykać je przechodziło siły moje, zwłaszcza, że niechęć popisywania się, ale gorąca miłość córki dla matki, skłoniła ją do wykonania jej portretu, wśród tak ze

wszek miar, nieprzyjaznych warunków. Poprosiwszy pana Frosta, by opatrzył pędzle i farby panny Armfeld, spytałem jej matkę, jak mogła na swoje stare lata i przy nadwreżonym stanie zdrowia zdobyć się na tyle odwagi, by samej puszczać się z Petersburga w tak odległą podróż do katorgi karyjskiej.

— Nie mogłam uczynić inaczej — odpowiedziała mi wprost. — Bóg wie, co oni tu nie robią z tymi nieszczęśliwymi ludźmi. Natalia była zbitą przez żołnierzy przykładami karabinów, inni znów, postanowili zamorzyć się głodem. Do Petersburga dochodziły mnie wciąż niepokojące wieści, tak, że zmuszona byłam sama przyjechać i przekonać się naocznie, co tu się dzieje. Niepodobnieństwem mi było zostawić Natalię na pastwę losu.

— Od kiedy właściwie datuje się ten stan rzeczy? — spytałem.

— Od roku 1882 i 1883 — odpowiedziała. — Jeszcze w maju 1882 r. zbiegło z więzienia ośmiu przestępców politycznych, co posłużyło władzom za powód do tak okrutnych prześladowań wszystkich pozostałych, że ci postanowili zginąć śmiercią głodową, nie biorąc przez dni trzynaście nic do ust.

W czasie naszej rozmowy nadszedł pan Wiktor Kostiuurin, pani Kolenkina i trzech innych przestępców politycznych: panna Armfeld przyniosła samowar i wkrótce popijając herbatę, prowadziliśmy rozmowę. Pragnąłbym narysować czytelnikowi obraz życia więźniów politycznych w Karze, w ten sam sposób w jaki mi ówczesnie opowiadano o nim, strzegąc się bacznie od wypuszczenia najdrobniejszych nawet szczegółów. Opis ten wszakże pozwolę sobie poprzedzić krótką wzmianką o przygodach naszych w Karze, i o życiu niektórych przestępców politycznych.

Dnia 7. listopada popołudniu odwiedziłem pannę Armfeld po raz wtóry i ostatni. Wiedziałem, że tych nieszczęśliwych ludzi już nigdy nie zobaczę, a i im też wiadomo było, że żegnają na zawsze człowieka z po za oceanu, który w powrocie swym przez Rosyję będzie

miał sposobność spotkania się i pomówienia z ich krewnymi i przyjaciółmi: garnęli się też do mnie gorąco.

Przyrzekłem pani Armfeld i jej córce, że będę osobiście u hr. Tołstoja i opowiem mu o ich położeniu i sposobie życia*), pozostawiłem im adres, pod którym mogą pisać do mnie przy danej okazji i zabrałem od nich listy do ich krewnych w Rosyi europejskiej.

Wielu z czytelników zganią mi, że zabierając z sobą listy od przestępców politycznych w Syberyi, narażałem się na areszt, konfiskatę moich papierów i dokumentów, która to niebezpieczna historia, w szczęśliwym tylko razie, zakończyć się mogła wydaleniem mnie za granice państwa rosyjskiego. Przyjmowałem na siebie nadto może ryzykowną missyę, ale postaw się jednak dobry czytelniku w położenie więźnia politycznego, mającego matkę lub żonę w Rosyi europejskiej, którym od lat wielu nie miałeś sposobności dać znaku życia, pomyśl, że ja amerykański podróżnik przychodzę do ciebie, ty zaś czyniąc zadość mojej prośbie, opowiadasz mi z pełnem zaufaniem o tem wszystkim, co grozi ci ponownem uwięzieniem, zobowiązując mnie w zamian o doręczenie listu twojej matce lub żonie. Przyznaj, że odmówić podobnej prośbie może tylko człowiek kamiennego serca, lub też ostatni teherz.

*) Dotrzymując słowa, opowiedziałem hr. Tołstojowi o nieszczęśliwym położeniu pani Armfeld i jej córki; nie chciał on jednakże nic słyseć o cierpieniach politycznych przestępców w wschodniej Syberyi, nie spojrzal nawet na rękopism mu wręczony, oznajmiając stanowczo, że mimo współczucia jakie nosi w sobie dla niektórych przestępców politycznych, nie może w niczem im być pomocnym i że nie ma żadnego uznania dla ich przeszłości. Zamierzali — mówił — działać drogą gwałtu, niechże sami go znoszą. Opowiadano mi w Moskwie, że pani Uspieńska, żona politycznego przestępcy więziennego w Karze, udawała się z prośbą do hr. Tołstoja o wyznaczenie pewnego funduszu na polepszenie nędznej egzystencji więźniów politycznych w katordze karyjskiej, lecz otrzymała od niego odmowną odpowiedź. Ilrabia okazywał się nieugięty w swej srogości dla ludzi, których czyny potępiał.

Na zmierzchu dnia pożegnałem panią Armfeld, jej córkę i obecnych tam jej towarzyszy, przyrzekając, że odwiedzę ich ponownie, skoro tylko dobre moje chęci nie rozbiją się o jakąś, nieprzewidzianą przeszkodę. Ponieważ major Potułow powrócił późnym wieczorem, przeto zobaczyliśmy się dopiero nazajutrz przy śniadaniu. Powitał mnie uprzejmie, ale chłodno; podług zwyczaju uściskał mi rękę, jednakże w pierwszej już chwili dostrzegłem pewną zmianę w sposobie jego obejścia się. Oddawszy mi dzień dobry, nie przemówił ni słowa, lecz pogrążony w myślach patrzył przed siebie, lub też zatapiał wzrok w filizance z herbatą. Aczkolwiek przygotowany na coś podobnego, to wszakże uczułem się tak zakłopotanym, że niewiedziałem sam, od czego zacząć rozmowę. Dla majora Potułowa miałem prawdziwy szacunek; przyjmował on nas z całą szczerością i gościnnością; ja zaś za doznane dobro, narażałem go na przykrości; chciałem też koniecznie pomówić z nim otwarcie. Przerywając milczenie, oznajmiłem, że podczas jego nieobecności wszedłem w znajomość z przestępcami politycznymi z pod »wolnej komendy«.

— Tak — odrzekł, nie patrząc na mnie — o tem słyszałem, — po chwili zaś dodał: — uważam sobie za obowiązek ostrzedz pana, że postąpiłeś sobie bardzo nierozważnie.

— Dla czego? — spytałem.

— Dla tego — mówił dalej — że obcy ludzie zawiązujący stosunki z przestępcami politycznymi, ściągają na siebie podejrzenie rządu. Niewolno jest; i pan możesz narazić się na wielkie nieprzyjemności.

— Wszakże — odezwałem się — nikt mnie o tem nie uprzedził; mógłbym wiedzieć jako obcy, że nie wolno jest mi rozmawiać z ludźmi, chodzącymi sobie swobodnie po wsi, podobnie jak wszyscy inni jej mieszkańcy? Wszak przestępcy zaliczeni do wolnej komendy nie siedzą w więzieniu, rozmawiają z wszystkimi, dla czegoż nie mogłem z nimi pomówić?

— Otrzymałem telegram — oznajmił z powagą — od pana Barabasza, gubernatora ziemi zabajkalskiej, że odmawia się panu pozwolenia na zwiedzenie więzienia stanu i rozumie się, że życzeniem jest gubernatora, byś pan nie miał żadnej styczności z przestępcami politycznymi.

— O tem pan mi zupełnie nie wspomniałeś, gdybym był świadom stanu rzeczy, to niezawodnie starałbym się do niego zastosować; nie przypominam sobie jednak, ażebym coś podobnego słyszał kiedy z ust pańskich. Po raz pierwszy dowiaduję się w tej chwili, że mi niewolno jest stykać się z przestępcami politycznymi z pod »wolnej komendy«.

— Nie przeczuwałem nawet, że pan zamysłasz coś podobnego. Zresztą nie mówmy o tem więcej, to już rzecz kapitana Nikolina, on odpowiada za przestępców politycznych. Co do mnie, to mogę pana zapewnić, że postąpiłeś sobie bardzo nierozważnie i że narażasz się na wielką odpowiedzialność.

Podąłem majorowi Potułowowi powody skłaniające mnie do zamilczenia przed nim o moim zamiarze i spełnienia go, w czasie jego nieobecności, oznajmiając zarazem, że przedewszystkiem kierowałem się tu myślą usunięcia go z pod wszelkiego, mogącego mnie spotkać zarzutu. Nikt pana nie może jeszcze dotychczas obwiniać o przyjmowanie jakiegokolwiek udziału w tej sprawie; byłeś pan nieobecnym, z której to okoliczności ja skozystałem.

Te moje wyjaśnienia zdawały się go uspokajać i niezadługo mówił ze mną jak poprzednio; ostrzegł mnie jednak ponownie, że dalsze podtrzymywanie stosunków z przestępcami politycznymi, może mi bardzo zaszkodzić.

W godzinę po śniadaniu pojawił się komendant więzienia stanu, kapitan Nikolin i oznajmił życzenie pomówienia z majorem Potułowem w cztery oczy. Rozmowa ta trwała zwyż pół godziny. Zajęty byłłem ówczesnie w moim pokoju porządkowaniem notatek; pan Frost wszakże, rysujący coś kredą dzieciom w kancelaryi, przyległej do sali jadalnej, podłuchawszy

w części rozmowę prowadzoną przez obydwóch panów, szepnął mi po wyjściu kapitana Nikolina, że tenże uważał koniecznym zrewidowanie moich rzeczy i papierów, podczas gdy major Potułow, stojąc w naszej obronie, przekonywał oficera żandarmeryi, że przetrząsanie naszych rzeczy jest nie na miejscu i wywołać może bardzo nieprzyjemne zajście. Spór ten zakończył się wnioskiem kapitana Nikolina, że rewizję należy odbyć, jeżeli już nie w Karze, to koniecznie gdzie indziej. Pan Frost był bardzo zaniepokojony i wzburzony tą całą sprawą. Co do mnie, to nieprzepuszczałem nawet, ażeby ośmielono się niepokoić nas rewizją w mieszkaniu majora Potułowa, mogłem się jednak spodziewać, że ten lada chwilę poprosiwszy mnie na stronę, powie: — Panie Kennan, kapitan Nikolin wie już o pańskich stosunkach z przestępcami politycznymi, wiadomo mu także, że obcowałeś z nimi do późnej nocy i mniema, że zabrałeś z sobą od nich listy; nosił się on z zamiarem zrewidowania pańskich rzeczy, ja wszakże ująłem się za panem jako moim gościem i odprawiłem go z niezem; w zamian za to żądam od pana, byś mnie zapewnił słowem honoru, że listów podobnych nie posiadasz.

W tym razie musiałbym okłamać człowieka którego gościnności doświadczałem, albo też zdradzić ludzi pokładających we mnie zaufanie i złączonych ze mną węzłem szczerzej sympaty. Jedno i drugie było dla mnie wstrętne, tymczasem rzecz nie cierpiała zwłoki. Należało zażegnać burzę wiszącą nad naszymi głowami. Przekonany byłem, aż nadto dobrze, że odebranie mi listów będzie dotkliwym ciosem zarówno dla panny Armfeld, jak i dla biednej, schorzałej jej matki, wreszcie, że z listami tymi wpadną w ręce rządu i inne moje papiery i dokumenta, kompromitujące wielu urzędników i wygnańców. Mając to wszystko na uwadze, nie wiedziałem sam co robić, głowa pękała mi z kłopotu. Oznajmiwszy majorowi Potułowowi, że z powodu nagłego bólu głowy zmuszony jestem wcześniej udać się na spoczynek, położyłem się na łóżko, bijąc się całą

noc z myślami, co począć dalej. Wreszcie na rozświecie postanowiłem listy zniszczyć. Rozumie się, że nie pora była prosić o pozwolenie, oddawców; wiedziałem z góry, że ten mój postępek zostanie przez nich usprawiedliwiony. Nie łatwo wszakże przyszło mi poświęcić zniszczeniu owe listy, do których ci nieszczeniwi ludzie przywiązywali tak wielką wartość, — listy, tak drogocenne dla ich matek, ojców, sióstr i braci, ale nie było innego wyboru.

Obecnie rozchodziło się o to, w jaki sposób podać zniszczeniu owe papiery? Z chwilą wyśledzenia moich schadzek z przestępcami politycznymi, wzięto mnie pod ściślejszą niż dotąd obserwację. Do pokoju mego, przyległego innym i nie mającego drzwi, wstęp był zupełnie otwarty, a przez wielkie okna, wychodzące na dziedziniec, strażnik, stojący przy bramie, mógł łatwo śledzić wszystkie moje ruchy. Podarcie listów nie usuwało niebezpieczeństwa, albowiem z zebranych kawałków, można było doczytać się ich treści; spalenie zdawało mi się także ryzykownem, gdyż wywiązujący swąd nie uszedłby z pewnością uwagi majora Potułowa, który zwykł był w każdej porze dnia wchodzić do mnie, bez poprzedniego meldowania. Na szczęście, w czasie tych moich rozmyślań, rano pojawia się żołnierz z naręczkiem drzew i podpała w piecu. Bezwzględnie postanowiłem z tej okazji skorzystać i przeświadczywszy się, że major Potułow zajęty jest rozmową z panem Frostem i że nie jestem śledzony przez sztyd-wacha, otworzyłem cichutko drzwiczki od pieca i przygotowane już listy oddałem na pastwę płomieni. W kilka chwil nie było już i śladu. Teraz wziąłem się do wyskrobania niektórych nazwisk, wpisanych w moją notatkę, z których ważniejsze poszyfrowałem na brzegach kartek, i przejrawszy starannie wszystkie moje rzeczy, gotów byłem do rewizyi.

Obecnie, odnawiając sobie w pamięci moje przygody ówczesne, obarczam się dwoma zarzutami, których mógłbym uniknąć bez narażania się na żadne nieprzyjemności. Jednym z tych jest spalenie listów.

Nie stykając się od tej chwili z przestępcami politycznymi, którzy powierzyli mi owe listy, pozbawiony zostałem możności wyjaśnienia im powodów, skłaniających mnie do podobnego postępku; — dzisiaj, wszelkie moje objaśnienia dla wielu z nich nie są już na czasie. Panna Natalia Armfeld, zmarła niespełna przed rokiem z wycieńczenia sił, a listy jej, które ówczesnie zniszczyłem, były to może ostatnie za życia. A przecież nikt mnie nie wiązał słowem honoru, nigdzie nie rewidowano moich rzeczy; bez narażania się tedy na jakies nieprzyjemności, mógłbym być doręczyć listy mi poruczone do rąk właściwych.

Drugim zarzutem, ciężącym na mnie, jest pominięcie zdarzającej mi się ówczesnie sposobności odwiedzenia, pozostającego pod »wolną komendą« i złożonego śmiertelną chorobą, przestępcy politycznego, Dra Edwarda Wejmara. Był to słynny lekarz, mający przed sobą świetną przyszłość, wieku lat trzydziestu pięciu; do czasu uwięzienia mieszkał on w Petersburgu na Newskim-Prospekcie, nieopodal placu admiralicyjnego. Dr. Wejmar należał do wybitniejszych osobistości i pozostawał w zażyłych stosunkach z terazniejszą carycą, Dągnarą. Jako lekarz dewizyjny odbył kampanię turecką r. 1877, gdzie za gorliwe spełnianie obowiązków i swą waleczność na polu bitwy, otrzymał order św. Anny i kilka medali; miał on wysokie uznanie generała Górki, z którym przechodził Bałkany. Oskarżony bez żadnych usprawiedliwionych powodów o uczestnictwo w partyi rewolucyjnej, został aresztowany w Petersburgu, więziony przez rok cały w kazamatach fortecy Piotro-Pawłowskiej, a następnie osądzony na dziesięć lat do ciężkich robót w Karze*).

*) Dr. Wejmar, z którym wzywyż roku przebyłem w więzieniu katorżnym w Karze, wyszczególniał się z pomiędzy wszystkich mi znanych przestępców politycznych, swą okazałą rycerską postawą, której odpowiadały we wszystkim przymioty umysłu i serca. Przy gruntownej swej wiedzy, rozwadze, męstwie, łagodności i wrodzonej szlachetności, łączył on szczególną moc charakteru i siłę woli, która w danych okolicznościach, zdawało się nadawać

Angielski »Times« zamieścił w swoim czasie następujący artykuł w sprawie Wejmara.

»Korespondent nasz z Petersburga, zawiadamia

cielesnemu jego ustrojowi własności spiżu. Dwukrotnie byłem naoczny świadkiem tejże stanowczości dra Wejmara, że musiałem uwierzyć, że »Książę niezłomny« Kalderona, nie jest wytworem wyobraźni poety, że takie postacie są w rzeczywistości i że jedna z nich stoi właśnie przedemną. Nie było takiej siły, któraby mogła złamać jego postanowienie, lub łamiać je, nie zniweczyła jego organizmu. Cierpliwy, pracowity, posuwający dłałość swą o chorych do troskliwości matki, przytem towarzyski, czasami żartobliwy, z bezwzględna surowością zwykły był przyjmować wszystko to, cokolwiek uwłaczać mogło godności człowieka, obywatela, którego on sam mógł posłużyć wzorem. Zachowanie się jego w obec władz, jako więźnia, nacechowane było właściwą mu godnością, niekiedy wzgardą lub politowaniem. Był on człowiekiem wolnomyslnym, samodzielnym, nie należał wszakże do żądłego stronnictwa, a tem mniej, mógł być terorystą. Wojna 1877 r. otworzyła mu oczy na nędzę rossyjskiego żołnierza, a ucisk, bezprawia i gwałty rządowe, z jakimi się spotkał po powrocie do kraju, oburzyły do głębi tę szlachetną duszę. Będąc bliskim domu panującego, nie mógł się spodziewać od przyszłości dla swej ojczyzny niczego więcej, prócz klęsk; wzgardził też rządem, okazując swą przychylność dla stronnictwa mu nieprzyjaznego. Wyrok sądowy, skazujący Dra Wejmara jako spiskowca na ciężkie roboty z pozbawieniem praw stanu, nie opierał się na żadnej prawnej podstawie. Nie udowodniono mu żadnego z zarzutów, którymi obarczało go oskarżenie. Policja petersburska, mimo wszelkich zabiegów, nie mogła dostarczyć w tej sprawie innych wskazówek prócz tych, że rewolwer, z którego strzelał Sołowiew do cara Aleksandra II., został mu wydany z upoważnienia doktora Wejmara, i że znany w Petersburgu sławny jego klusek »Warwar«, użyty był przy zabójstwie szefa żandarmeryi, generała Meze cowa. Tożsamość jednak rzezonego konia nie została świadkami udowodnioną. Doktor Wejmar zeznał sądownie, że czyniąc zadość życzeniu swego pacjenta Sołowiewa, zaopatrył go istotnie biletem, na mocy którego wydano mu rewolwer; nie wiedział wszakże, ani nawet przeczuwał o jego zamiarach. Gdyby on był współnikiem Sołowiewa w zamachu na życie Aleksandra II., to nie omieszkałby go zaopatryć taką trucizną. po zażyciu której, byłby niezawodnie ducha na miejscu wyzionął. Tymczasem, jak się okazało w rzeczywistości, trucizna zażyta przez Sołowiewa zaraz po chybnym zamachu, została zneutralizowaną antidotami, zadanymi mu przez lekarzy. (Był to cyanek potażu, który przechowywany przez Sołowiewa w lupinie włoskiego orzecha, skutkiem rozkładu, utracił swe zabójcze własności). (Przyp. tłumacza).

nas telegraficznie, że dzisiaj ogłoszony został gazetami wyrok sądu, zapadły wczoraj w procesie Dra Weimara, oskarżonego o udział w spisku nihilistów. Dla obco-krajowca z Zachodu, będącego naocznyim świadkiem rozpraw sądowych, procesa, zwane tu państwowymi, wydają się największem nadużyciem sprawiedliwości. Cały przebieg sprawy posłużyć może dowodem, że pierwszy lepszy, może rządzić przy pomocy stanu obłączenia. Sąd wojenny ma wszędzie to pierwszeństwo nad cywilnym, że rozstrzyga sprawy szybko i ostro, w Rosyi jednak procedura wojenna jest odstrasająca rozwlekaniem spraw, na wskróś nielogiczną i niestęchanie surową w swych wyrokach...

W liczbie oskarżonych, wczoraj zawyrokowanych, znajdował się Dr. Wejmar, człowiek który pod każdym względem przynosił chlubę i zaszczyt swojej ojczyźnie. Sama już jego postać dowodzi, że to obywatel kraju, w pełnem słowa tego znaczeniu. W swoim czasie, jako biegły lekarz, oddał on wielkie przysługi krajowi, kojąc cierpienia swych współziomków. Wczoraj jeszcze piersi jego zdobiły orderzy rossyjskie i rumuńskie, tudzież liczne medale, dziś, jest on tylko niewolnikiem, skazanym do zabójczych kopalni. Uczestniczył on w armji, która pod dowództwem generała Górki zaznaczyła swój pochód przez Bałkany świetnem zwycięstwem. Oskarżenia wnoszone przeciw temu panu, przeinaczenie faktów oskarżających i natarczywe obrzucanie go nimi, nie praktykują się nawet w najszańszych farsach. Jeżeli sprawozdanie naszego korespondenta o przebiegu rozprawy sądowej, zasługuje na wiarę, to istotnie z podobnymi wybrykami niesprawiedliwości, nie spotykamy się nawet w Bunyana »Mr. Justice Hategood« i Rabelais'a »Grippeminaud«...

Wszyscy świadkowie zawezwani przez sąd dla dania świadectwa o charakterze Dra Weimara, wyrazili się o nim jaknajpochlebniej. Jeżeli więc zarzuty, jakimi oskarżenie obarcza Dra Weimara, oparte były na prawdzie, to dowodziłoby tylko, że obywatel ów, stojący wyżej po nad wszelkie oddawane mu pochwały,

musiał tak dalece zwątpić w dobrą przyszłość swe ojczyzny, że nie pozostawało mu nic innego do wyboru. jak spiskować ze złoczyncą Sołowiewem i popierać czynnie innych skrytobójców. Należało się spodziewać, że oskarżyciel postara się o zawezwanie świadków, których zeznania rzucą złe światło na osobę i charakter oskarżonego. Nic podobnego jednak w ciągu całej rozprawy sądowej nie miało miejsca. Oskarżyciel oznajmił: »moi panowie mógłbym postawić cały szereg świadków, zabijających zeznania udzielone przez obecnych tutaj; niestety jednak, ci wszyscy są nieobecni«. Dla sądu wojennego, słowa przewodniczącego generała były wskazówką — sposobu postępowania.. Żaden fakt nie byłby w stanie świadczyć wymowniej o upodleniu rossyjskiego społeczeństwa i sądownictwa! Jedno z dwojga, albo despotyzm pchnął na drogę zdrady jednego z najwybitniejszych i najdostojniejszych obywateli kraju, albo też, został on niesprawiedliwie ośmieszonym i ukaranym. Tak lub owak, jeżeli proces ów zgodny jest z sprawozdaniem, to należy zaliczyć go do skandalów, nawet dla rossyjskiego sądownictwa.

Wielka księżna Dagmara, obecnie carowa rossyjska, której szefem szpitalu w czasie wojny tureckiej był doktor Wejmar, niezmiernie zajmowała się jego sprawą i wierzyła w jego niewinność. Zostawszy carryca, wysłała umyślnie pułkownika Norda do kopalni w Karze, by oznajmił wolność doktorowi Wejmarowi pod warunkiem, jeżeli zobowiąże się słowem honoru, nie występować nieprzyjaźnie przeciw rządowi. Doktor Wejmar odpowiedział, że nie będąc świadomym stanu rzeczy w kraju pod panowaniem Aleksandra III, nie może się wiązać żadnem słowem. Jeżeli rząd, zawierając jego honorowi, dozwoli mu samemu, lub też pod strażą pojechać do Petersburga, w celu naocznego przeświadczenia się o stanie rzeczy, wtedy mógłby dać żadaną odpowiedź, jednakowoż nie wiedząc nic o rządach obecnych, nie może przyjmować na siebie żadnych zobowiązań.

Podczas naszej bytności w kopalniach karyjskich, doktor Wejmar, będąc zaliczony do »wolnej komendy«, przemieszkował na wsi, ale choroba, jakiej nabawił się w więzieniach, tak dalece strawiła jego organizm, że nie podnosił się z łóżka. Wygnańcy polityczni, z którymi poznałem się w mieszkaniu panny Armfeld, chcieli mnie zaprowadzić nocą do doktora Wejmara, uprzedzając mnie jednak, że chory, skutkiem zbytniego osłabienia nie może już mówić i że lada godzinę należy się spodziewać jego skonu. Sądząc po wrażeniu, jakie wywarło na wygnańcach politycznych moje niespodziane pojawienie się u panny Armfeld, ludziach stosunkowo dość zdrowych, wahałem się niepokoić o północy umierającego człowieka. Później żałowałem tego gorzko. Doktor Wejmar, którego nawet nie widział, zakończył wkrótce swe życie, a w sześć miesięcy później, w czasie przejazdu naszego przez Petersburg, odwiedziła mnie tam jego narzeczona, osoba młoda, nader powabna i wysoko wykształcona. Zawiadomiona, że w czasie pobytu mego w kopalniach karyjskich, byłem przy śmierci jej oblubieńca, doktora Wejmara, przyszła dowiedzieć się, czy nie mam dla niej od zmarłego, jakiego listu lub ustnego polecenia. W listopadzie, bieżącego roku była ona na wyjeździe do Kary, gdzie miała wejść w związek małżeński z doktorem Wejmarem, gdy właśnie nadszedł telegram od kapitana Nikolina, że doktor żyć przestał. Od tego czasu po dzień dzisiejszy nic o nim nie słyszała. Doktorowi, jak i jego towarzyszom, wzbroniono wszelkiej korespondencji, ostatnia przeto nadzieja leżała we mnie. Możesz sobie wyobrazić czytelniku, z jaką przykrością przyszło mi wyznać jej, że nie skorzystałem nawet z następczącej mi się sposobności znalezienia się przy łożu umierającego i odniesienia jej ostatniej jego woli. Wiele przeżyłem już smutnych chwil, lecz tę zaliczyć muszę do najsmutniejszych w życiu.

Później spędziłem jeszcze jeden wieczór w towarzystwie tej pani. Opowiadała mi historią życia doktora Wejmara, pełną poświęceń i czynów bohaterskich,

czytała mi jego listy, wreszcie zalewając się łzami, wydo była najdroższą i najświętszą po nim pamiątkę; była to własnoręczna jego robota, wykonana w celi więziennej w Karze, którą w dowód pamięci i przywiązania, udało mu się nadebrać jej tajemnie.

Pamiątką tą był długi, około trzech cali szeroki pas grubego płótna, używanego na koszule aresztanckie, wysyty różnobarwną włóczką w różne figury geometryczne*).

— Jaka myśl ukrywać się może w tej robocie — spytała z wysileniem, starając się daremnie stłumić łkanie.

Po ostatniem naszym widzeniu się z panną Armfeld, przebyliśmy jeszcze pięć dni w Karze, śledzeni jednak bacznie na każdym kroku, musieliśmy rozstać się z nadzieją ponownego jej odwiedzenia. Zadaniem mojem obecnem jest odnowić sobie w pamięci to wszystko, co doszło mojej wiadomości w czasie pobytu mego w kopalniach karyjskich, i opowiedzieć czytelnikowi z możliwą dokładnością**).

Wydalenie przestępców politycznych do katorgi karyjskiej rozpoczyna się z rokiem 1879. Większość wię-

*) Zimą 1882 r. widziałem doktora Wejmara gorliwie zajętego wyszywaniem rzeczzonego pasa grubego płótna; wzorem, służył mu szlak wielko-ruskiej koszuli.

(Przypisek Łómacza).

**) Wszystko, co zamieszczam na niniejszych kartkach, jest rzetelną prawdą, pochodzącą przeważnie ze źródeł oficjalnych. Może wkradła się tu przypadkowo jaka mała pomyłka, ale wszystko co przytaczam, mogą potwierdzić akta urzędowe. Fakta, dotyczące osoby pułkownika Kononowicza, czerpałem już to od przestępców politycznych, już od urzędników w Czyście, Karze, Irkucku i Petersburgu. List, którym pułkownik Kononowicz rzeka się posady komendanta więzień w Karze, znajduje się obecnie w aktach ministerstwa spraw wewnętrznych; o powrocie zaś jego na tę posadę, poświadczyć mogą zarówno przestępcy polityczni, jako też osoby urzędowe, z którymi miałem sposobność mówienia w tej sprawie. Żałuję mocno, że względy przezorności nie pozwalają mi wskazać nazwisk osób, w którym to razie, opowiadanie moje zyskałoby na powadze.

źniów zsyłanych do tych kopalni, przesiedziała już po lat kilka w fortecy Piotro-Pawłowskiej i w więzieniach centralnych. Skoro ruch rewolucyjny w Rosyi przybrał znaczniejsze rozmiary i więzienia przepełnione były ofiarami ucisku, wówczas minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie wysyłania zasądzonych przestępców politycznych do Kary i przetrzymywania ich w tamtejszych więzieniach, przeznaczonych dla kryminalistów*). W grudniu 1880 r. przytransportowano do Kary około pięćdziesięciu przestępców politycznych, dzieięciu zaś dawniejszych, którzy już przesiedzieli w więzieniu »czas próbny«, zamieszkiwało na wolnej stopie osadę katorżną. Więźniowie polityczni zmuszeni byli uczęszczać na roboty ziemne na równi z kryminalistami, że jednak nie wyznaczono im roboty, lecz zostawiono ją ich własnej woli. przeto ośmiogodzinny, codzienny pobyt na świeżem powietrzu sprzyjał ich zdrowiu i wyświadczał im pewną przyjemność.

Komendantem więzień katorżnych w Karze był ówczesnie pułkownik Kononowicz, człowiek bardzo wykształcony, wyrozumiały, ludzki i szlachetny. Przestępcy polityczni w całej wschodniej Syberyi, są dla niego z uznaniem i wdzięcznością. Nie był on rewolucjonistą, nie dzielił dążeń partyi ruchu przeciwrządowego, bacząc jednak, że w liczbie przestępców politycznych, osądzonych do katorgi, jest wielu ludzi wykształconych, szlachetnych, których do walki z rządem pełnęła miłość wolności i ojczyzny, nie zaś osobiste jakieś pobudki, obchodził się z nimi delikatnie, po ludzku, starając się, o ile pozwalało stanowisko jego urzędowe, ulżyć ciężkiej ich doli. Między więźniami

*) Wtedy nie było jeszcze w Karze więzienia stanu; przestępców, zsyłanych w katorgę, rozdzielono po więzieniach kryminalnych, gdzie przemieszkiwali w oddzielnych celach. Później dopiero przeniesiono ich wszystkich do starego drewnianego budynku więziennego w Średniej Karze, gdzie wszyscy mieścili się w jednej, obszernej izbie. Zmuszeni byli codziennie uczęszczać do kopalni i względnie do ustawy dla zesłanych w ciężkie roboty, po ukończeniu terminu próbnego, zaliczani byli do »wolnej komendy«.

zesłanymi do Kary było czterech przykutych do tacek, i to nie z wyroku sądów, lecz z rozkazu władz administracyjnych.*)

Obchodzenie się brutalne z ludźmi wykształconymi, poświęcającymi się za swoje przekonania, wydało się pułkownikowi Kononowiczowi niewłaściwym i wstępnym. Nie był on w prawie oswobodzenia rzeczonych czterech więźniów od łańcuchów, bez upoważnienia władz petersburskich, nie mogąc wszakże znieść widoku obrażającego jego delikatne uczucia, dał do poznania wspomnianym więźniom, że pęta swoje mogą sobie sami rozluźnić. Zachowanie się pułkownika Kononowicza względem wszystkich więźniów, a zwłaszcza politycznych, odznaczało się wyrozumiałością, delikatnością, troskliwością o zaspokojenie ich potrzeb i zarazem współczuciem. Nie zaniedbał on dokładać możliwych starań dla polepszenia ich twardej doli. W roku 1880, minister spraw wewnętrznych wydał szereg rozporządzeń, skierowanych ku ograniczeniu tych nawet szczupłych przywilejów, z jakich dotychczas korzystali przestępcy polityczni. Przedewszystkiem wzbroniono im było podtrzymywać korespondencyę z najbliższymi nawet krewnymi. Nieusprawiedliwione niczem to rozporządzenie było strasznym ciosem dla więźniów, mających rodziców, żony i dzieci w Rosyi europejskiej. Następnie wzbroniono im uczęszczać na roboty ziemne, stanowiące dla nich nie tylko jedyną rozrywkę, ale nadto konieczny warunek istnienia ze względu na oddychanie świeżem powietrzem. Wreszcie, w połowie 1882 r. przysłano komendantowi rozkaz zniesienia wolnej komendy, ponownego uwięzienia przestępców prze-

*) Podobnego rodzaju kara jest dzisiaj jeszcze dozwoloną i zastosowaną względem przestępców skazanych do katorgi na całe życie. Więźnia przykuwają na długim łańcuchu do taczki, zostawiając mu pewną swobodę ruchów; nie rozłącza się on jednak z nią nigdy, nawet w czasie nocnego odpoczynku. W Karze było czterech więźniów, przykutych do tacek: Popko, Fomiczow, Bereźniuk i Szczedrin. Ostatniego uwolniono od tej dodatkowej kary w r. 1884, o pozostałych trzech nic mi nie wiadomo.

bywających już od lat kilku na wolnej stopie, pogolenia im głów i okucia w kajdany.*)

Pułkownik Kononowicz, uznawszy to rozporządzenie w wysokim stopniu niesprawiedliwym i nieludzkim, poczynił możliwe kroki do pozostawienia więźniów na dawnej stopie, widząc jednak, że zabiegi jego nie osiągną żadnego skutku, zmuszony był postąpić w myśl danej mu instrukcyi. Dnia 28. grudnia, zawezwawszy do siebie wszystkich członków wolnej komendy, odczytał im nowe rozporządzenie i tłumacząc się z daremnych swych starań, podjętych w celu pozostawienia ich na wolności, oznajmił, że na własną odpowiedzialność pozostawi im trzy dni czasu na załatwienie domowych interesów. Pierwszego stycznia mieli wszyscy stawić się do więzienia. Wiadomość ta była strasznym ciosem dla wszystkich członków wolnej komendy. Dwa lata przebywali już na wolnej stopie w własnych mieszkaniach, niektórzy razem z żonami i dziećmi, obecnie oczekiwał ich rozbrat z rodziną, więzienie i kajdany. Zapowiedziana zmiana losu oddziaływała przygnębiająco na wszystkich przestępców, znajdujących się dotąd na wolnej stopie, skłaniając niektórych z pośród nich, do poprzedzenia fatalnego dnia aresztu, krokiem stanowczym.

W liczbie dziewięciu przestępców politycznych,

*) Wszystkie te rozporządzenia pochodziły od liberalnego Loris-Mielikowa. Nie jestem w stanie pojąć przyczyn, skłaniających owego wolnomyślnego człowieka do tak srogiego postępowania z przestępcami politycznymi. Niektórzy urzędnicy w Syberyi oznajmili mi wprost, że minister spraw wewnętrznych wziął sobie za zadanie, gnębić o ile możności więźniów politycznych; inni tłumaczą to zachowanie się ministra, że źle będąc uprzedzony o przestępcach politycznych, stawiał ich niżej Dekabrystów 1825 r. Jeżeli tych ostatnich — mówił minister — mimo szlacheckiego ich pochodzenia, traktowano srogo, to dla czegoż robić jakiegolwiek ustępstwa nowoczesnym nihilistom. Wielu przestępców politycznych, z którymi spotykałem się w Syberyi, objaśniali mnie, że partya liberalna jednała sobie względy Loris-Mielikowa obłudnym pochlebstwem. Podług mego zdania, kierował się on czyjąś radą, nie zastanawiając się nad swymi postępami.

przebywających w Karze na wolnej stopie, był trzydziesto-trzy letni jurysta, Eugeniusz Siemianowski, syn dobrze znanego lekarza z Kijowa. Mieszkał on poprzednio w Petersburgu jako adwokat, gdzie został aresztowany, uwięziony i osądzony do ciężkich robót za podtrzymywanie stosunków z redaktorem rewolucyjnego czasopisma »Naprzód!«. Pięcioletni pobyt w więzieniu katorżnem nabawił go ciężką, nieuleczalną chorobą. 31. grudnia na ostatniem zebraniu wszystkich członków »wolnej komendy« i ich rodzin, Siemianowski niezwykle przygnębiony i wzruszony, pożegnawszy swych towarzyszy, udał się do domu. Około godziny drugiej po północy, towarzysz i sąsiad najbliższy Siemianowskiego, Czaruszina, zbudzony nagle wystrzałem, pośpieszył do jego pokoju i zoczył go z roztrzaskaną głową. Oddychał on jeszcze bezprzytomny, lecz po upływie godziny zakończył swe męczeńskie życie. Na stole leżał list, napisany przez nieboszczyka do swego ojca i bilet do pana Czaruszina z prośbą o wysłanie tego listu:

Noc Sylwestra 1880—81 r.

Mój drogi ojcze!

Przed chwilą powróciłem od moich towarzyszy, w których gronie spędziłem rok stary. Nowy rozpoczyna się dla nas wśród okoliczności bardzo smutnych i przygnębiających. Otrzymałeś zapewne, od żony jednego z mych towarzyszy, przedostatni mój list, którym zawiadomiłem Cię, że obecnie wzbraniają nam korespondować nawet z rodzicami. Nedorzeczne i nieludzkie to rozporządzenie było zapewnią innych, nierównie gorszych, o których ówczasie jeszcze nie wiedziałem. W dziesięć dni później otrzymaliśmy wszyscy zawiadomienie, że zmuszeni będziemy powrócić do więzienia i nałożyć kajdany. Jest nas dziewięciu: Szpizsko, Czaruszina, Kwiatkowski, Uspienski, Sojuzow, Bogdanów, Terentiew i ja; wszyscy, od lat dwóch żyliśmy dość swobodnie. Rozporządzenie Loris-Mielikowa, wzbraniające nam pisanie listów, nie wróżyło nic dobrego; ów paragraf był dotykającą wskazówką, że

nie myślą pozostawić nas w spokoju. Jutro mamy powrócić do więzienia. Gdyby nie zaufanie, jakie położył w nas pułkownik Kononowicz, to bezwzględnie po otrzymaniu rzeczonyego rozporządzenia. zostalibyśmy uwięzieni. On wszakże pozostawił nam kilka dni czasu na załatwienie naszych domowych interesów. Korzystając z ostatnich chwil wolności, spędziliśmy razem rok stary i rozpoczęli nowy. Ja chwilę tę, chciałbym zużytkować na coś jeszcze innego! Będzie to zdradą zaufania położonego w nas przez pułkownika Kononowicza?... Gdyby i tak nawet było, to zamiar mój musi być spełnionym.

Wielu z czytających te słowa »powracają do więzienia« uważać nas będzie za baranów, oddających gardła pod nóż rzeźnika; jednakże porównanie takie nie byłoby wcale na miejscu. Dla nas, jedyną deską ratunku mogłaby być tylko ucieczka, — ale jak tu uciekać i w którą stronę? zwłaszcza nieprzygotowanym do niej, i wśród trzydziesto-pięć stopniowych mrozów.

Gdyby ten powrót do więzienia odroczony był do wiosny to, co do mnie, niezawodnie spróbowałbym ratować się ucieczką, wtedy mógłbym mieć przynajmniej jakie takie na nią widoki i należycie się do niej przygotować. Stało się inaczej. Czuję zwiększający się z dniem każdym upadek sił fizycznych, a w ślad i moralnych. Jeżeli przezywając na wolnej stopie, widzę się zagrożonym zupełnem niedołęstwem, to cóż dopiero może mnie spotkać w więzieniu! Dotychczas chęć moją do dalszego życia, potrzyzymała nadzieją powrotu kiedyś do Rosyi i służenia dobrej i uczciwej sprawie, której oddany jestem duszą i ciałem; jakąż korzyść może przynieść tej sprawie rozbitek, zrujnowany fizycznie i moralnie?

Jeżeli bym się obecnie jeszcze nie zdobył na jakiś krok stanowczy, to oddałbym się dobrowolnie na oczekujące mnie w więzieniu śmiertelne katusze. Bacząc na to, przyszedłem do przekonania, że życie moje nie ma żadnego celu i że wreszcie przysługuje mi prawo

położenia już raz końca daremnym i bezowocnym moim cierpieniom. Od dawna jestem nękanym i dręczonym śmiertelnie; jedynie myśl powrotu do kraju chroniła mnie dotąd od unicestwienia samego siebie. Wiem do brze kochany Olesiu*), że tobie, jako też wszystkim Wam, kochającym mnie, wyrządzam wielkie zmartwienie. jednakowoż miłość wasza ku mnie wystarczy, ażeby wybaczyć temu, którego ostateczne udęczenie i poniewierka zmuszają do zakończenia życia samobójstwem. Wyobraź sobie, że w ostatnim tym roku zamęczono mnie na śmierć. W imię tego, co Wam najdroższem, błagam Was i zaklinam, przebaczcie mi! Bądźcie przekonani, że czując w sobie siły do życia, żyłbym wyłącznie dla tego, by oszczędzić Wam zmartwienia, ale siły te są dziś wyczerpane. Szaleństwo lub śmierć jest dla mnie ostatnim punktem wyjścia; z tych dwojga daję pierwszeństwo śmierci.

Zegnam Cię na zawsze mój najdroższy i najlepszy ojcze! Bądź zdrow Olesiu! ty mój najdroższy bracie, ledwie mi znany. Pomyśl, że lepiej jest życie zakończyć samobójstwem, niż być pozbawionym czci i przekonani.

Zegnam cię raz jeszcze! Nie zlorzeczcie synowi i bratu, szukającemu pociechy w własnym swoim nieszczęściu.

Eugeniusz.

Zwłoki Eugeniusza Siemianowskiego spoczywają na cmentarzu politycznych przestępców w wschodniej Syberyi na wzgórzu, zwanem »głową skazańca«. Oglądany krzyż drewniany, zaznaczający jego grób, strawiła wkrótce zgnilizna, dziś zaś, nikomu nie wiadomo gdzie spoczywają szczątki człowieka, który zaszczytnością swą, czystością obyczajów i głęboko w nim zaszczerpionem poczuciem obowiązków, mógł być nieoszacowanym pracownikiem dla sprawy wolności i ludzkości.

Pułkownik Kononowicz bardzo dotkliwie uczuł śmierć Siemianowskiego; nieszczęśliwy ten jednakże wypadek był tylko początkiem całego szeregu innych,

*) Imię brata Eugeniusza.

równie tragicznych. wprowadzonych na porządek dzienny ową srogą ustawą, wydaną dla przestępców politycznych przez ministra spraw wewnętrznych hr. Loris-Mielikowa.

Wkrótce po Siemianowskim, otrul się w więzieniu w Karze masą zapalkową przestępca polityczny Rodin, następnie zakończył życie samobójstwem Uspieński i w tymże czasie wielu wpadło w stan obłądu, a między innymi Kowalewska, którą w napadzie szaleństwa krępowano powrozami *)

Pułkownik Kononowicz czuł się niejednokrotnie wzruszonym do głębi duszy nieszcześliwymi wypadkami, a nie mogąc im zapobiedz, postanowił zrzec się pełnienia nadal obowiązków komendanta więzień. W śmiałych swych listach, wysyłanych podówczas do generał-gubernatora wschodniej Syberyi i ministra spraw wewnętrznych, nazywa on bez wszelkiej ogródki, instrukcyę dodatkową ku gnębieniu więźniów, nie tylko

*) Nikt nie jest w stanie przedstawić sobie owych przerażających scen, jakich widownią było ówczesne więzienie stanu w Karze. Pod wpływem tych okropności, ludzie najtrzeźwiejszego nawet umysłu podlegali rozstrojowi psychicznemu, wrażliwi zaś, zdradzali oznaki pomieszania. W szczególnie przygnębiający sposób podzialała nagła śmierć Uspieńskiego, jurysty, uczestniczącego w spisku Nieczajewa. Na kilka godzin przed tym tragicznym wypadkiem wróciłem do więzienia z lazaretu w Niżnej Karze, gdzie całą noc tę spędziłem bezsennie przy jednym z towarzyszy naszych B. Pozenie. Młody ten człowiek, po minionych silnych paroksyzmach szaleństwa, deklamował mi w ponurej celi do samego rana, grobowym basem, długie monologi z Makbeta. Około południa opuściłem go, zmierzając pod strażą kozaków do więzienia. Był to dzień styczniowy, mroźny lecz słoneczny. Nerwy moje, pod wpływem całonocnych wrażeń, drgały jak metaliczne struny. Przy wejściu do celi, w której mieściło się nas 25, zaszedł mi drogę Uspieński i oznajmił chęć zajęcia sąsiedniego mojemu, opróżnionego łóżka; na twarzy jego osiadła niezwykła troska, niepokój, z odcieniem rozpacz. Propozycyę jego przyjąłem z całą życzliwością, on zaś udał się po swą pościel i rzeczy. Oczekiwałem go, wreszcie znużony i niewywczasowany ległem na łóżku. Niezadługo niezwykły ruch na korytarzu wprowadził nas wszystkich ku drzwiom. Kozacy nieśli Uspieńskiego, lecz już nieżywego. Znalaziono go, powieszzonego w budynku, stojącym obok więzienia. Był on jeszcze ciepły; wydobytą się z ust gęsta krew, krzepła na odzieży-

niepolityczną, ale okrutną, oznajmiając, że jeżeli przestępcy stanu mają być traktowani w myśl owej instrukcyi, to najwłaściwiej byłoby komendantem więzienia назначić oprawcę. On, nie będąc nim, nie podejmuje się wykonywania podobnych rozporządzeń, gdyż te gwałcą jeno uczucia i dla tego prosi o uwolnienie. Otrzymałszy żądane uwolnienie, w jesieni 1881 roku opuścił kopalnię karyjskie i pojechał czasowo do Petersburga. W przejeździe przez Irkuck miał audyencyę u generał-gubernatora Anuczina, który rzekł do niego z przekąsem.

— Człowiek pańskich przekonań, panie Kononowicz, nie nadaje się bynajmniej na komendanta więzień katorżnych w Karze; powątpiewam nawet, czy kwalifikuje się do pełnienia jakiegokolwiek bądź służby rządowej. — Dobrze, odpowiedział pułkownik Kononowicz — podam się do dymissyj.

Przybywszy do Petersburga pułkownik Konono-

Położono go na łóżko, nacierano, ale wszelki ratunek okazał się daremny. Wypadek ten głęboko oddział na umysł więźniów, wszyscy byli jak struci. Dręczony wielkimi cierpieniami i niestanną bezsennością szukałem sobie ulgi w zupełnym osamotnieniu, a że ówczesnie uwzględniano podobne życzenia, przeto w braku oddzielnych cel, zamknięto mnie na noc w budynku, w którym wyzionął ducha Uspieński. Nie przeczuwałem, że zamiast spodziewanej ulgi spotkałem się tu z nowym kłopotem. W godzinę jaką, po zaryglowaniu drzwi i oddaleniu się straży, zaniepokojony zostałem wznagającym się wciąż szmerem, który ostatecznie zmusił mnie, aczkolwiek żadnego spoczynku, do opuszczenia legowiska. Po izbie rozchodziło się głośnie sapanie, przerywane rzęzczeniem, chrapaniem, krztuszeniem i jakby szmataniem duszącego się człowieka. Wiedząc, że w całym tym domu prócz mnie, nie ma żadnej innej, żywej istoty, początkowo ogarnął mnie lek; opanowałem się wszakże i z wyleżoną uwagą zacząłem śledzić przyczyn. zagadkowego zjawiska. Nie było to, rozumie się, nic nadprzyrodzonego; para wodna z niewygaszonego kotła, przeciskając się tłumnie do komina przez wąską rurę drewnianą, natrafiła w niej na kłak, spierający się na długim gwoździu, co razem tworzyło układ podobny do krtaniowego. Wykrycie podobne, w innych warunkach i okolicznościach, niezawodnie przyniosłoby sen, ja jednakże tę noc jak i wiele następnych, przepędziłem bezsennie.

(Przypisek tłumacza).

wicz udał się na audyencję do p. Durnowa i oznajmił: — Nie uchybiłem prawu ani też przekroczyłem je; skłaniałem do posłuszeństwa i utrzymywałem karność. Jeżeli pan chcesz zaprowadzić porządek w więzieniu i obudzić w przestępcach politycznych uznanie dla rządu, to musisz wybierać na komendantów ludzi, dzielących moje przekonania. W mojem postępowaniu nie kierowałem się żadnymi osobistymi widokami, w przeciwnym razie nie byłbym ściągwał na siebie niezadowolona rządu. Niewątpliwie dojsz musiato pana wiele przeciw mnie zarzutów i oskarżeń ze strony różnych urzędników. jednakowoż ja się nie lękam żadnych oskarżeń ani też nieprzyjaciół, tylko wyrzutów własnego sumienia, z którym też nigdy nie stanę w sprzeczności. Nowe rozporządzenia, poruczone mi do wykonania, nie pozwalają, bym z czystym sumieniem mógł nadal spełniać obowiązki komendanta, dla tego też proszę o dymisyę. Gdybym się ponownie znalazł w podobnem położeniu, nie inaczej bym postąpił jak w chwili obecnej.

Dalsza historia więzienia karyjskiego, którą zamierzam podać na następnych kartach tej książki, musiato niejednokrotnie przypominać p. Durnowo, że śmiało słowa pułkownika Kononowicza zasługiwały na uznanie.

Jeżeli przykro mi jest, że kierując się sprawiedliwością mało mógłbym tylko powiedzieć na korzyść więzień sybirskich, a jeszcze mniej znaleźć pochwalnych słów dla tamecznych urzędników, to z prawdziwym zadowoleniem wyznać muszę, że o pułkowniku Kononowiczu wszędzie słyzałem z jaknajlepszej strony. Przestępcy polityczni, uczciwi urzędnicy i prawi obywatele, wyrażali się jednogłośnie o nim, jako o człowieku ludzkim, szlachetnym, uczuciowym, przytem wysoko wykształconym i nieustraszonym. Wszystkie ulepszenia w Karze w ciągu ostatnich dwudziestupięciu lat, poczynają się z przybyciem pułkownika Kononowicza, jako komendanta więzień katorżnych. Szczegółowo też uholewać należy, że tego zacnego człowieka wygryzła najnikczemniejsza szajka urzędników-zbirów.

Nazywawali go słabym, sentymentalnym, a niektórzy nawet socyalistą, idącym ręką w rękę z przestępcami politycznymi. Isprawnik z Nerczyńska chwalił się publicznie, że nie omieszka dołożyć starań, by pułkownika Kononowicza wyprawić do ziemi jakuckiej w szarym chałacie z żółtymi kwadratami na plecach.

O niechęci wyższych urzędników sybirskich względem osoby pułkownika Kononowicza i ich gotowości przypinania mu łatek przy lada okazji, świadczy poniekąd następująca anegdota. W ostatnich latach przybył do Kary krewki młodzieniec, student uniwersytetu petersburskiego, niejaki Bobochow. Szorstkie obejście, jakiego ów młodzieniec doznał ze strony władz podczas swej podróży etapowej, obudziło w nim taki wstręt do osób urzędowych, że na ich widok zrzymiał się i rzucał jak dziki zwierz. zamknięty w żelaznej klatce. Pułkownik Kononowicz, jako człowiek wyrozumiały, traktował młodego więźnia w sposób delikatny i chcąc mu dać dowody pewnej życzliwości, posyłał mu od siebie czystą bieliznę, jadło, starając się o ile możności zaspakajać jego życzenia. Więzień, którego delikatne obejście się z nim pułkownika Kononowicza wprowadziło w istotne zdumienie, w liście swym, pisany tajemnie do jednego z swych przyjaciół, tak się wyraża: znajomość moja z pułkownikiem Kononowiczem, przekonała mnie ku wielkiej pocieszce, że nie każdy wyższy urzędnik jest dzikiem zwierzęciem. List ten przechwycony został przez policję w Petersburgu, skąd znów odesłany gubernatorowi ziemi zabajkalskiej, generałowi Iliaszewiczowi, który bezwzględnie zażądał od pułkownika Kononowicza bliższych wyjaśnień. Nieprzyjaciele pułkownika nie omieszkali skorzystać z tego listu, obarczając go zarzutami o podtrzymywanie stosunków przyjacielskich z przestępcami politycznymi. Pułkownik Kononowicz nie poczuwał się w obowiązku udzielenia gubernatorowi żadnych objaśnień, dotyczących zakwestyonowanego listu młodego więźnia. W kilka miesięcy potem, zetknąwszy się przypadkowo w Czy-

cie z gubernatorem, zapytany został przez niego, czy otrzymał ów list?

— Tak jest — odrzekł pułkownik Kononowicz — ale jakiejże odpowiedzi mogłeś się pan odemnie spodziewać? Miałem się usprawiedliwiać z tego, że ktoś uznaje mnie za człowieka, nie zaś za zwierzę.

Generał Iliasiewicz zbity z tonu tą śmiałą odpowiedzią, chcąc się wycofać z kłopotliwego położenia, oznajmił, że to widocznie jakieś nieporozumienie, wynikłe z niewłaściwego wystowienia się jego sekretarza i sprawę listu puścił w niepamięć.

Ustąpiwszy z Kary pułkownik Kononowicz objął w mieście okręgowem Nerczyńsku, posadę komendanta, zabajkalskich kozaków. Na wstępie swego tu urzędowania wykrył, że niektórzy oficerowie, w spółce z tamiecznym isprawnikiem, sporządzając listę konskrypcyjną, nie zaciągali w nią tych popisowych kozaków, którzy im składali naznaczony okup w ilości trzystu rubli od głowy. Oburzony tą frymarką, postanowił bezwzględnie pociągnąć do odpowiedzialności przeniewierców, ci jednak, dzięki stosunkom swym z wyższymi urzędnikami gubernialnymi w Irkucku, zdołali się nietylko uniewinnić z pod ciężących na nich zarzutów, ale nadto ustanowili komisję z urzędników, należących do ich szajki i gdyby nie wdanie się w tę sprawę wpływowych przyjaciół pułkownika Kononowicza w Petersburgu, to o mały włos, że nie powędrował on do ziemi Jakuckiej w szarym hałacie z żółtymi kwadratami na plecach. W skutek depeszy telegraficznej, nadeszłej ze stolicy, ustanowioną została nowa komisya, która rozpatrzywszy rzecz sumiennie, poleciła isprawnika z szajką oszustów aresztować i osadzić w więzieniu. Niegodziwcy ci wszakże, przy pomocy swych licznych współników, pewnej zimowej nocy podpalili dom pułkownika Kononowicza, ofiarami której to zbrodni omal nie padł on, wraz z całą swą rodziną. Ocaliwszy się cudem z żoną i dziećmi, pułkownik Kononowicz z narażeniem się na grożące mu niebezpieczeństwo, w nocnej tylko koszuli rzucił się w płomie-

nie, by ratować akta i papiery dotyczące tej sprawy. Niestety, najważniejsze dokumenta stały się już pastwą płomieni. Wtedy strząnąwszy proch z swych nóg, udał się do Petersburga, porzucając na zawsze kraj, gdzie człowieka honorowego i uczciwego oczekuje spalenie żywcem. W Petersburgu uzyskał posadę przedstawiciela kozaków zabajkalskich w sztabie generalnym, zaś w r. 1882 podniesiony został do stopnia generała i mianowany komendantem więzień katorżnych na wyspie Sachalinie. Postępek ten, zarówno jak urządzenie nowego więzienia w Wierchnim-Udyńsku, przynosi zaszczyt rządowi rosyjskiemu i dowodzi zarazem, że car nie jest zupełnie obojętnym na cierpienia przestępców i wygnańców. Nie ulega wątpliwości, że pułkownik Kononowicz spełniać będzie obowiązki komendanta z właściwą mu gorliwością, sumiennością i wyrozumiałością.

Do mnóstwa ulepszeń, zaprowadzonych w Karze przez pułkownika Kononowicza, zaliczyć należy wystawienie nowego więzienia stanu w pobliżu Niżnej Kary. Miałem szczerą chęć zwiedzenia tego więzienia, lecz mi wzbronił wstępu kapitan Nikolin. Z powierchowości mało różni się ono od zwykłych więzień sybirskich, ma być jednakże większe, widniejsze i wygodniej urządzone. Składa się ono z pięciu obszernych izb, mieszczących po 25 więźniów, jedna zaś z nich przeznaczona jest na szpital. Więźniom dozwala się mieć pościel, sprawianą im z ich własnych pieniędzy; łóżka, z wyjątkiem szpitalu, zastąpione są tapczanami. Początkowo więźniowie mieli otwarty widok na całą okolicę, wszakże gubernator Anuczyn, którego oka nie uszła ta swoboda, oznajmiwszy z przekąsem, że więzienie nie jest pałacem, rozkazał obwarować je w okół wysoką palisadą. Rozporządzenie to nie dowodzi niczego więcej, jak tylko osobistej nienawiści generał-gubernatora ku więźniom politycznym i żądzy zatruwania im życia. Z okien każdego więzienia roztacza się widok na zewnątrz, każdy morderca i zbrodniarz w całej osadzie karyjskiej, może patrzeć na świat swo-

bodnie, tylko jednym przestępcom politycznym nie wolno jest dotykać okiem szarego szmatu ziemi, zieleniących się krzewów i borów, tudzież błyszczącego całunu śniegowego, pokrywającego okolice. Są oni zupełnie oddzieleni od wszystkiego co istnieje i żyje, prócz stróżujących ich żandarmerów; nie pozwolono im jest odechnąć świeżem powietrzem, gdyż podług słów generał-gubernatora »więzienie, nie powinno być pałacem«. Życzyłbym generałowi Anucziniowi posiedzieć choćby jeden roczek w więzieniu stanu w Karze, niechby próbował przebyć 365 dni pod kluczem, odgraniczony od świata wysoką palisadą, zaś 365 nocy raczył spać na twardych, drewnianych narach, czerniących się rojami robactwa i w ciągu całych pięćdziesięciu tygodni, dzień w dzień oddychał powietrzem zatrutem, zabójczymi wyziewami kublów odchołowych, a wtedy zrozumiałby i uczył dobrze znaczenie swoich własnych słów: »więzienie nie powinno być pałacem«.

VI.

Historia więzienia stanu w Karze.

Po wyjeździe pułkownika Kononowicza z Kary w r. 1881, posadę komendanta katorgi karyjskiej objął major Potułow, pozostający już poprzednio w służbie rządowej przy kopalniach srebra w Nerczyńsku. Wkrótce z pojawieniem się nowego komendanta, wszyscy więźniowie w liczbie około stu, przeniesieni zostali do nowego budynku więziennego, wystawionego przez pułkownika Kononowicza w pobliżu Niżniej-Kary. Więzienie to składało się z pięciu obszernych izb, z których każda przeznaczona była dla dwudziestu pięciu więźniów. Życie przestępców, jak to świadczą listy*) tajemnie przez nich wysyłane do krewnych i przyjaciół, było ciężkie, udęczające, wszakże nie tak jeszcze rozpaczliwe. Dozwoloną im była wtedy codzienna przechadzka po dziedzińcu więziennym, korzystali ze szczupłych środków pieniężnych, przysyłanych im z kraju,

*) Jestem w posiadaniu wielu listów tajemnie wysyłanych przez więźniów politycznych w Karze, z których to dokumentów czerpałem wiele faktów, zamieszczonych na następnych stronicach niniejszej mojej pracy. Listy te nie zasługują na zarzut stroniczości z tego mianowicie względu, że pisane były w pełnem zaufaniu do osób najbliższych, nie zaś w celu ujmowania sobie publiczności lub też zdobywaniu jej współczucia. Autorowie tych listów nie przeczuwali nawet, że kiedykolwiek dojdą one do wiadomości ogółu.

mieli trochę książek, nabytych za własne swe pieniądze, tudzież otrzymywanych z Rosyi europejskiej, a prócz tego szukali sobie pewnej rozrywki w warsztatach ślusarskich i stolarskich, urządzonych na małą skalę w obrębie palisady więziennej. Co się tyczy warunków zdrowotnych, to te niekoniecznie okazywały się przychylnymi: wielu z więźniów dniem i nocą nosiło okowy na rękach i nogach, niektórzy byli przykuci łańcuchami do tacek, wzbraniano im uczęszczać na roboty ziemne, co wszystko razem wpływało niekorzystnie na zdrowie i usposobienie nawet tych, którzy dotąd dochowali swe siły fizyczne i moralne. Pozbawiono także więźniów przysługującego im przywileju zamieszkiwania »pod wolną komendą« i prowadzenia korespondencji z rodziną. Odgradzeni od całego świata wysoką palisadą, żyli oni — jak to opowiadali sami urzędnicy — wśród udręczeń i dolegliwości.

General-gubernator Anuczyn, w tajemnym raporcie swym do cara, z marca 1882 r., przedstawiając stan rzeczy w wschodniej Syberji, wyraża się o przestępcach politycznych w sposób następujący: kończąc niniejsze sprawozdanie o stanie więzień i systemie deportacyjnym, pozwolę sobie zwrócić uwagę Jego Cesarskiego Majestatu na przestępców politycznych, zesłanych do wschodniej Syberji. W dniu 1. stycznia 1882 r. było ich ogółem 430, mianowicie:

a) Zesłanych z wyroków sądów:

1) do robót ciężkich	123
2) na osiedlenie	49
3) do miejsc naznaczonych	41
b) wydalonych porządkiem administracyjnym:	
1) do miejsc naznaczonych	217
Razem	430*)

*) General-gubernator oświadcza w swym urzędowym raporcie bez wszelkiej ogródki, że z 430 wygnańców politycznych, dwieście siedemnaście, a zatem większa połowa, wydalona została z kraju bez żadnego sądu lub śledztwa. Czyż rażący ów fakt, nie

Wszyscy przestępcy, należący do kategorii katorżników, znajdują się w kopalniach złota pod strażą 200 kozaków zabajkalskich. Przestępców tych nie można używać do robót ziemnych wspólnie ze zwykłymi; nie można ich także posyłać w oddzielnej grupie, raz ze względu na brak właściwej miejscowości, powtóre, że reguła przeciążania przestępców, skazanych do kopalni, fizyczną pracą, przyjęta powszechnie za granicą, nie znajduje u nas zastosowania. Z tego wszystkiego wynika, że dla tej klasy przestępców nie mamy w kopalniach karyjskich odpowiedniego zajęcia, zaś władze miejscowe, zagrożone surową odpowiedzialnością w razie ich ucieczki, zmuszone są trzymać wszystkich przestępców pod kluczem i ścisłą strażą, pozwalając im okolicznościowo tylko wychodzić na dziedziniec więzienny lub pracować w miejscach blisko więzienia położonych. Tego rodzaju jednak dorywcze roboty nie mogą być uważane za przymusowe, ale raczej za rozrywkę sprzyjającą zdrowiu. Zresztą, zwolnienie przestępcy politycznego od uczęszczania do robót ciężkich, nie wpłynie bynajmniej na ulżenie jego doli. Przeciwnie zupełne odosobnienie i ciągle, nieustanne ograniczenie pola jakiegokolwiek bądź działania, czynią życie więźnia ostatecznie nieznośnem.

. kilku z nich zakończyło życie samobójstwem, a przed paru dniami jeden zwaryował. Inni są bliscy pomieszenia zmysłów. Odnosiłem się do ministra spraw wewnętrznych względem przeniesienia wszystkich chorych umysłowo do Czyży*) i umieszcze-

jest jeszcze dostatecznym powodem do otworzenia oczu tym wszystkim, którzy noszą się z myślą zawiazania traktatu rosyjsko-amerykańskiego względem wydawania Rosyi emigrantów politycznych.

*) W trzy czy też w cztery lata później, w czasie pobytu naszego w kopalniach karyjskich, nie jeszcze w tym względzie nie postanowiono. Obląkami przestępcy przemieszkiwali w celach więziennych razem ze zdrowymi swymi towarzyszami, przysparzając im tylko udręczenia. W więzieniach wschodnio-sybirskich, dotąd jeszcze nie pomyślano o jakimś przytułku i opiece dla chorych umysłowo. Zwiedzając więzienia, niejednokrotnie byliśmy przestraszani dzikimi wrzaskami i konwulsyjnymi śmiechami obląkanych.

nia ich w najętych mieszkaniach, ponieważ w Syberyi nie ma zakładów dla obłąkanych, a w Rossyi wszystkie są już przepelnione*).

Należy mieć tu na uwadze, że generał-gubernator Anuczyn. motywując w tak dosadny sposób rozpaczliwe położenie politycznych przestępców, nie omieszkiał ze swej strony możliwymi środkami przyczynić się do zatrucia im życia. Między innymi ograniczeniami, kazał on otoczyć więzienie niebotyczną palisadą, zamykając więźniów w istotnych skrzynkach, pozbawionych wszelkiego widoku na zewnątrz, zaś minister spraw wewnętrznych zniesieniem »wolnej komendy«, postarał się o zupełne wyosobnienie więźniów z pośród reszty świata żyjącego, czego następstwem był cały szereg nieszczęśliwych wypadków, samobójstw i obłąkań nad którymi generał-gubernator zdaje się wywodzić swoje żale.

Można się było z góry spodziewać, że młodzi ludzie, pełni sił, nie poddadzą się w pokorze zgotowanej im przez generał-gubernatora doli, którą on sam nazwał »więcej niż nieznośną«; zaś słabsi z więźniów wpadną w stan obłądu lub pokończą życie samobójstwem. W kwietniu 1882 r. w rok niespełna po wyjeździe z Kary pułkownika Kononowicza, a w miesiąc po wysłaniu raportu generał-gubernatorskiego do Petersburga, kilku odważniejszych i śmielszych przestęp-

Przyczyny tego są po części wyluszczone w raporcie generał-gubernatora. W całym kraju nie ma ani jednego zakładu dla chorych umysłowo, właściwiej bowiem i wygodniej narażać zdrowych na przykrości, jakie im sprawia widok obłąkanych towarzyszy, aniżeli pomyśleć o odpowiednim dla nich schronieniu i opiece. Wielu z wykształconych przestępców politycznych obawia się obłąkanego jak ognia, a przebywanie z nim w jednej celi więziennej, naraża ich na straszne i niewypowiedziane męki.

*) Raport generał-gubernatora Anuczyna do cara Aleksandra III., rozdział V. część trzecia pod nagłówkiem »wyznanie, katorga oddział więzienny«. Odpis tego raportu jest u mnie i zamierzam go ogłosić publicznie. Na marginesie oryginału car zrobił własnoręcznie następującą uwagę: »grustnaja kartina no nie nowaja«. (Ponury to obraz, lecz nie nowy).

ców politycznych powzięło myśl ratowania się z więzienia ucieczką, w którym to celu wykopali tunel podziemny*). Władze więzienne nie doszukały się wprawdzie wykopanego pod podłogą kanału, ten jednakże z przyczyny bagnistej natury terenu, na którym stało więzienie, został zamulony i zalany wodą. Ta też okoliczność przeszkodziła zamierzonej ucieczce i skłoniła więźniów do chwycenia się innego planu. Za główny punkt operacyjny obrano budynek, leżący po za palisadą więzienną, gdzie ochotnicy, pod okiem kozaków, zajmowali się w oznaczonych godzinach robotami stolarskimi i ślusarskimi. Otóż w pułapie tego domu wybito otwór, przez który można było wyleść na strych, skąd spuścić się na ziemię. Najkłopotliwszą dla pozostałych, okazała się codzienna kontrola więźniów. Chcąc ukryć nieobecnych zbiegów, należało przygotować odpowiednią liczbę automatów, które rozłożone na tapczanach w postawie spiącej, uchodziły wobec urzędnika prowadzącego kontrolę, — za żyjących więźniów. Trudności rosły ze zwiększającą się ilością zbiegów, mimo to, owe substytuty dobrze odgrywały swą rolę, zwłaszcza przy słabym oświetleniu cel więziennych. Zamiarem więźniów, ratujących się ucieczką było dopłynąć na łodziach po rzekach Szyłce i Amurze do oceanu Spokojnego, skąd okrętem puścić się do Ameryki. Pewnego kwietniowego popołudnia,

*) Bagnisty teren, na którym wznosił się budynek więzienny, zasypany był do głębokości 2½ łokci betonowanym kamieniem. Więźniowie pod okiem straży wyważyli długie, ciężkie dyle, stanowiące podłogę narożnej izby, wyrabali w tej żywej opoce jamę głębokości przynajmniej pięciu łokci, a następnie wykuli podziemny tunel długości około dwudziestu pięciu łokci, przerynąjący palisadę więzienną i wyprowadzający po za linię sztyldwachów. Roboty te trwały przez miesiąc dwa, pracowano codziennie od północks do ranka; wykopaną ziemię z kamieniami przechowywano w odzieży, dniem zaś składano ją pod podłogę magazynu, stojącego obok więzienia. Z wiosną, gdy nastały odwilże, próbowano początkowo wyczerpywać cisnącą się do tunelu wodę, zbyt ni wszakże jej napływ, któremu przy braku odpowiednich przyrządów nie można było zapobiedz, stanął więźniom na przeszkodzie do użytkowania tej mozolnej pracy. (Przypisek Włomacza).

po należytych przygotowaniach do podróży, dwaj polityczni przestępcy, Myszkini i Chruszczow, ukryli się w stolarni pomiędzy wiórami, skąd późną nocą wydostali się przez pułap i zbiegli szczęśliwie, nie zwróciwszy uwagi strzegącego palisady szyldwacha*). W kilka dni potem, wydostała się w ten sam sposób druga para, za nią trzecia, tak, że w ciągu czterech dni funkcjonowało na tapeczanach cel więziennych sześć automatów, pograżonych w głębokim śnie i zwróconych twarzami do ścian. Z początkiem trzeciego tygodnia od dnia ucieczki pierwszej pary więźniów, liczba automatów doszła do ósemki. Niestety jednak, ci dwaj ostatni, niezręcznym zeskoczeniem ze strychu stolarni zwrócili na siebie uwagę szyldwacha, który wystrzałem z karabina zaalarmował całą załogę. W jakie dziesięć minut, rzadca więzienia wkroczywszy do cel z kozakami, przekonał się naocznie o nieobecności ośmiu więźniów. Wiadomość o zaszłej ucieczce więźniów politycznych została zakomunikowana telegraficznie głównemu naczelnikowi więzień w cesarstwie, senatorowi Gałkin-Wrasskiemu i generałowi Iliaszewiczowi, którzy zwiedziwszy przed dwoma tygodniami więzienia w Karze, przebywali obecnie w mieście gubernialnym Czycie. Wiadomość o ucieczce więźniów sprawdziła ich ponownie do Uść-Kary, gdzie wspólnie z majorem Potułowem i innymi urzędnikami przystąpiono do obmyślenia możliwych środków w celu pochwycenia zbiegów. Wnet zabrzęczały druty telegraficzne po brzegi oceanu Spokojnego; wyżsi urzędnicy z fotografiami zbiegów, puścili się za nimi w pogoń; wydano rozkaz zatrzymywania na drogach wszystkich

*) Zbiegłszy ze stolarni, Myszkini i Chruszczow skierowali się nocą ku Uść-Karze w zamiarze kupienia łodzi i popłynięcia z biegiem rzeki Szyłki. Tu jednakże zostali przytrzymani przez uradnika kozackiego i mimo przedłożonych mu (fałszywych) swych legitymacyi, uwiezieni na odwacu. Rublowa łapówka, dana przez Myszkina uradnikowi, odegrała i w tym razie swą tradycyjną rolę. W nocy jeszcze, obadwa wypuszczeni z aresztu, bezwzględnie kupili łódź i popłynęli po Szyłce. (*Przypisek tłumacza*).

przejezdnych obcych, lub też wzbudzających podejrzanie; zegnano włościan z wszystkich wsi i podjęto masową obławę po leśnych puszcach, nakładając znaczne wynagrodzenie za każdego schwytanego przestępcę. Rezultatem owych zabiegów było pochwytywanie wszystkich zbiegłych więźniów, którzy trapieni głodem, chłodem i udręczeni długotrwałym błakaniem się po leśnych puszcach, w obec tej masowej pogoni uczyli się bezsilnymi. Myszkini i Chruszczow dobili już byli do przystani w Władiwostoku, odległej od Kary o 1500 kilometrów, tam jednakże zostali przytrzymani i w okowach na nogach i rękach odstawieni do Kary*).

Obecnie, władze rządowe skierowały wszystkie swe zabiegi ku udzieleniu przestępcom politycznym »właściwej lekcy«**) i »przywróceniu porządku w więzieniu«. Pozbawiono ich wszystkich dotychczasowych przywilejów, odebrano im książki, ogołociono z pieniędzy, bielizny, pościeli i innych przedmiotów dozwolonych nawet przestępcom kryminalnym; wreszcie podzielono więźniów na grupy i porozganiano po okolicznych więzieniach w Uść-Karze, Wierchniej-Karze i Amurze, gdzie pozostawali w tak zwanem »położeniu karcernem«***).

*) Nazwiska ośmiu schwytych są: Myszkini, Chruszczow, Bałamecz, Lewczenko, Jurkowski, Diakowski, Krzyżakowski i Minaków.

**) Tak się wyraził major Potułow odpowiadając mi o tej ucieczce. Wielu z przestępców politycznych w Karze utrzymuje, że władze więzienne rozmyślnem prześladowaniem zmuszały więźniów do oporu, w celu nastęrczenia sobie powodu do obrażania ich cielesnie, powtóre, ażeby zaprowadzeniem w więzieniu stanu wyjątkowego, zwrócić uwagę ministra na opieszalność urzędników, pod których okiem dokonano ucieczki.

***) Więzień zostający na stopie »karcernej« pozbawiony jest pieniędzy, książek, materiałów piśmiennych, bielizny, tytoniu i wszystkiego w ogóle; nie wolno mu wejść po za próg drzwi celi, podtrzymywać jakichkolwiek bądź stosunków ze światem; dzienna jego strawa składa się z chleba razowego i wody, czasami tylko dają mu miskę wodnistego krupniku, zwanego przez więźniów »balandą«.

Iliaszewicz i Gałkin-Wrasskoj, wiedząc nadto dobrze, że więźniowie nie poddadzą się zgotowanemu im przez nich losowi^{*)}, pościgali z pobliskich koszar sześć sotni kozaków i nocą cichaczem napadli na śpiących więźniów. Nieusprawiedliwiony ten żadnymi słusznymi powodami napad na bezbronych, znany jest w kronice więzienia karyjskiego pod nazwą »pogromu«. Dwie czy trzy sotnie kozaków pod dowództwem majora Rudenki, wkroczyło cichaczem do cel więziennych z najeżonymi bagnetami, gdzie na rozkaz dany przez swego komendanta, rzucili się na śpiących więźniów, rozbięli ich do naga z całą brutalnością i bili przykładami karabinów. Wszystkie protesta ze strony krzywdzonych więźniów, przyjmowane były szyderstwem i odpierane obelgami, a gdy niektórzy z nich pochwycili w ręce deski, zasłaniając się nimi od groźących im ciosów ze strony napastników, wówczas ci, rzucili się na nich i zmaltretowanych, zbitych, broczących krwią wyprowadzali na dziedziniec. Najwięcej ucierpeli w tym napadzie: Wołoszenko, Radionow, Kobylański, Bobochow i Orłow. Nie będę tu podawał szczegółowego opisu tego barbarzyńskiego napadu na bezbronych, nie mógłbym nawet przedstawiać go gorzej, niż miał miejsce w rzeczywistości. Zadaniem mojem jest skonstatować fakt, że dnia 11. maja przedpołudniem (1882 r.) zbitych, skrwawionych i ogołoconych z wszelkiej własności więźniów, podzielono na grupy i bosych porozganiano po okolicznych więzieniach. Każdą grupę więźniów, składającą się z dziesięciu do kilkunastu osób, eskortowało po stu kozaków, których zachęcał słowy, gubernator Iliaszewicz ażeby nie szczedząc

*) Barbarzyński ten napad, uprzedzono wysłaniem następującego ultimatum: 1) Więźniowie mają natychmiast oddać władzy swoją bieliznę, odzież, książki i wszelkie przedmioty nie objęte instrukcją więzienną; 2) przywdziać kajdany; 3) pogolić głowy. Odpowiedź więźniów brzmiała: jesteśmy gotowi w każdej chwili zadośćuczynić pierwszym dwom punktom żądania gubernatorskiego, co się tyczy jednak golenia głów, że tej poniżającej ceremonii gubernator dopełni na naszych trupach. (*Przypisek tłumacza*).

przykładów karabinowych dawali się dobrze we znaki konwojowanym więźniom^{*)}. Więźniowie transportowani do Uść-Kary, między którymi był jeden przykuty do taczki, prosili, ażeby im pozwolono zrobić na drodze chwilowy wypoczynek. Żołnierze odmówili ich żądaniu, nagłąc znużonych do dalszego pochodu bagnetami, w zamian za co zostali obrzuceni przez więźniów kamieniami. Wywiązała się nierówna walka; więźniowie, zbici przykładami strzelb i pokrępowani, dowlekli się do Uść-Kary nad wieczorem, gdzie zrewidowanych w najbrutalniejszy sposób zamknięto w dwóch brudnych, ciemnych celach »sekretnych«^{**)}

*) Puczkow, dowódca sotni, odprowadzając do więzienia amurskiego grupę, do której mnie zaliczono, odezwał się w ten sposób do swych żołnierzy: »Oto huntownicy! carobójcy! odprowadzić ich żywcem do więzienia amurskiego i baczyć pilnie, by który z nich nie uciekł z drogi, bo ci czarownicy wszystkich nas potrafią wyprowadzić w pole. Jeżeli który z nich opóźni się będzie w pochodzie, to przykładami strzelb bić po żebrach. Zresztą, ja sam za wami podążę. Czy słyszycie hałwany? Naprzód! marsz!«
W dalszym ciągu tego pochodu, gdy zbici, znużeni i bosi zatrzymaliśmy się przy potoku, by ugasić wodą trawiące nas pragnienie, sotnik Puczkow ryknął jak niedźwiedź raniony oszczepem: Paszól! odgrzając się, że głowy pościna kozakom, jeśli nie znalą nas bagnetami do spieszego marszu. (*Przyp. tłumacza*).

**) Cele te przeznaczone są dla morderców i różnych ciężkich zbrodniarzy, w których przesiadują oni samotnie. W czasie przeglądu więźniów, nie pokazywano mi nigdzie tych cel. W Irkucku, kapitan Makowski poprowadził mnie do jednej z nich. Była to ciemna nora z podłogą kamienną, pozbawiona wszelkich sprzętów. W celach takich przetrzymywano ludzi, którzy nigdy jeszcze nie stawali przed sądem. Gdybym był w możności powołać na świadków niższych urzędników więzienia śledczego w Petersburgu, to udowodniłbym sądownie, że w najparadniejszych nawet więzieniach stolicy Rosyi, w celach sekretnych, podłogę zalegają kupy kału ludzkiego. Rozumie się samo przez się, że o tem wszystkim nie mogli wiedzieć najwyżsi urzędnicy więzienni pp. Gałkin-Wrasskoj i Kokowcow. Mimo to, fakt pozostanie faktem. Przesłupca polityczny Dicheskulo, po buncie spowodowanym w więzieniu śledczym w Petersburgu, ukaraniem cielesnym studenta Bogoliubowa, przesiadywał w jednej z takich cel. Odmówiono w Karze mej prośbie zwiedzenia cel »sekretnych«, nie wątpię jednak, że lepiej one były utrzymane od znajdujących się w więzieniu petersburskiem. Nie chciałbym wprowadzić w błąd czyteln

Nielepszy los spotkał innych więźniów, pognanych do więzień w Amurze i Wierchniej-Karze. W ten to sposób gubernator Iliaszewicz wspólnie z senatorem (Gałkinem-Wrasskim, uśmierzyli bunt w więzieniu stanu. Pouczającą do istotnie lekceya, napaś na spiących więźniów, obedrzeć ich ze wszystkiego i zbitych, skrwa-wionych rozgonić po różnych odwachach! Panowie ci złożyli ministrowi spraw wewnętrznych dotykalne do-wody swej waleczności, taktu i odwagi. W więzieniu stanu w Karze »przywrócony został porządek« ten sam, który ongi zapanował w Warszawie.

W ciągu dwóch całych miesięcy gnębiono więźniów w ciasnych celach, nie pozwalając im przekroczyć progu drzwi. Zepsute powietrze, jaknajgorsza strawa i zupełny brak ruchu wpływały jaknajzłubniej na zdrowie więzionych. Zaczął się rozwijać między nimi szkorbut, tak że niezadługo wielu z nich stało nad grobem, między innymi Tichonow i Żukow; większość zaś nie mogła o własnych siłach powstać z podłogi. W ciągu całego tego czasu władze, będąc w posiadaniu pieniędzy, nadsyłanych więźniom przez ich rodziny, odmawiały im dostarczenia za nie bielizny, pościeli i po-silniejszej strawy, tak niezbędnej dla podtrzymania sił, wycieńczonych ostateczną poniewierką. Major żan-darmeryi Hołturin, nowo mianowany komendant wię-zienia stanu, zezwolił nieprędzej na kupno więźniom pościeli, póki szkorbut nie rozwinął się między nimi w całej pełni.

Nie w lepszym położeniu od mężczyzn znalazły się skazanki polityczne w więzieniu Uść-karyjskiem. Nie myśląc o ucieczce, ani też o żadnym buncie i nie zawiniwszy niczem w obec władz, stały się pastwą tych samych gwałtów i nadużyć co mężczyźni. Ko-

nika mylnem przedstawieniem stanu rzeczy, dla tego też nie mogę twierdzić, ażeby »cele sekretne« we wszystkich więzieniach rossyjskich znajdowały się w tak haniebnym stanie. Zadaniem mojem jest przedewszystkiem wykazać warunki, w jakich pozostają w więzieniach wykształceni przestępcy polityczni.

mendant Hołturin, nie chciał mieć żadnych względów dla najspokojniej nawet zachowujących się kobiet, traktował je z właściwą mu srogością i brutalstwem, a nie poprzestając na dotychczasowym już ucisku, zwrócił się przeciw nim z nowemi prześladowaniami, w licz-bie których była zamiana dotychczasowej, własnej ich odzieży na aresztancką. Niektórym ze skazanek, złożo-nym chorobą, nie stało sił do przyodziania się w tę urzędową odzież, inne zaś wzdrygały się ją nakładać, nie przypuszczając nawet, by do czegoś podobnego zmuszano siłą. Tymczasem władze wystąpiły tu z tak-im gwałtem i brutalstwem, że dzięki ich zachowaniu się, pani Leschern posunęła się do samobójstwa.

W Niżnej-Karze przemieszkiwało ówczesnie na wolnej stopie kilka kobiet, dobrowolnie towarzyszących do kategorii swoim mężom. Do czasu uciezki i napadu na więzienie, pozwolono tym kobietom dwa razy ty-godniowo nawiedzać swych więzionych mężów i zasilano je małemi kwotami pieniężnymi z funduszów, przysyła-nych więźniom. Z chwilą »przywrócenia porządku«, pociągającego za sobą protest głodowy, nawiedziny te zostały wzbronione, a że urzędnicy, w rękach któ-rych znajdowały się pieniądze więźniów, odmawiali ich żonom wszelkiej pomocy, te przeto, razem z dzieć-mi, znalazły się w największej nędzy. Owe to przeró-żne prześladowania władz, skłoniły ówczesnie Wiarę Rogaczow, żonę młodego oficera artyleryi skazanego w katorgę, do popełnienia samobójstwa.

Dnia 6. czerwca 1882 r. ośmiu politycznych prze-stępców, uznanych bez żadnej słusznej przyczyny za niebezpiecznych, okutych na ręce i nogi, wysłano do Petersburga, skąd na zawsze do fortecy w Szliselburgu.*)

) Do tych niebezpiecznych przestępców zaliczeni zostali: Wołoszenko, Buciuński, Paweł Orlów, Szczedryń, Popow, Helis, Iwanów i Kobylański. O dalszym ich losie nie wiadomo mi. Pani Helis, z którą poznałem się w ziemi zabajkalskiej, mówiła mi, że wzbroniono jej towarzyszyć swemu mężowi i że od chwili rozstania się, żadnej o nim nie miała wiadomości.)

*) Ze wspomnianych ośmiu więźniów, Wołoszko i Paweł

W kilka dni po tej ekspedycji, mniej więcej w połowie czerwca, sprowadzono wszystkich więźniów z okolicznych odwachów i więzień do głównego w Niżniej-Karze, gdzie ściśniętych jak śledzi, pozamykano w małych, dusznych kłitkach, czyli celach. Całą prawie przestrzeń w tych celach zaprzętały drewniane nary, tak, że pomiędzy nimi a ścianą nie było swobodnego przechodu; nieszczęśliwi więźniowie, pozbawieni ruchu i wszelkiego zajęcia, zmuszeni byli wśród szalonych upałów, dnie i noce dusić się w owych komórkach, oddychać trującymi gazami, wywiązującymi się z naczyń odchodowych. Położenie więźniów było tego rodzaju, że jak się wyraża z nich jeden w liście swym, wysłanym tajemnie z więzienia. »wszyscy zostawali w stanie, blizkim szaleństwa«. Na wszystkie zażalenia i prośby, więźniowie otrzymywali od majora Holturina jedną odpowiedź, że wszystkich ich każe odcwiczyć różgani. Nosząc się istotnie z tym zamiarem, polecił lekarzowi opatrzyć więźniów i udzielić sobie sprawozdania, którzy z nich posiadają dość sił fizycznych do wytrzymania kary cielesnej. Jakież środki obrony pozostawały do wyboru ciemieżonym? Jednym i jedynym protestem przeciw tym okrucieństwom było morzenie się głodem, niejednokrotnie podejmowane już przez przestępców politycznych w więzieniach rosyjskich. Wybrani z łona więźniów ich przedstawiciele Myszkin i Kowalik udali się do majora Holturina i oświadczyli mu, że jeżeli rząd nie zechce ulżyć okrutnemu położeniu więźniów, to wszyscy postanowili sobie zginąć śmiercią głodową. Z początku, władze nie zwracały na

Orłów odesłani zostali powrotnie z Petersburga do Kary. Orłów, po odsiedzeniu naznaczonej mu kary w więzieniu katorżnym, wysłany został do ziemi jakuckiej. Osiedlony tu w dzikiej, leśnej puszczy, zmuszony był — w obronie własnego życia — zaopatrzyć się strzelbą. W tym to czasie satrapa Ostaszkin wydał surowy rozkaz Jakutom, niedozwalania przestępcom politycznym posiadania broni. W myśl tego rozkazu, barbarzyńcy ci napadli na Orłowa, zamordowali go i okrwawionego trupa powiesili na gałęzi drzewa.

(Przypisek tłumacza).

to stanowcze oznajmienie żadnej zupełnie uwagi, jednakowoż więźniowie, wierni raz powziętemu postanowieniu, nie tykali jada, przynieszonego im do cel z rozkazu komendanta Mijał dzień za dniem, głodujący opadali stopniowo ze sił, aż wreszcie osłabli do tego stopnia, że leżeli bezwładnie na gołych narach. Ciszę więzienną przerywały tylko ciężkie kroki straży, brzęk kajdan lub tłumione jęki, szalonymi cierpieniami dręczonych więźniów*). Piątego dnia trwania protestu głodowego pojawił się w więzieniu major Holturin i sprawdzwszy dotykalnie, że sprawa wzięła poważny obrót spytał więźniów, pod jakimi warunkami zgodziliby się na zaniechanie protestu głodowego. Zażądano wyniesienia z cel kublów odchodowych, zwrotu książek, godzinnej przechadzki po podwórzu więziennem, polepszenia jada z własnych swych funduszów, oraz uroczystego zapewnienia ze strony komendanta, że na żadnym z więźniów nie będzie wykonana kara cielesna. Komendant oznajmił, że nigdy nawet nie myślał o karaniu cielesnie więźniów, zaliczając podobne wersje do czczych gadanin, na które nie powinno się zwracać żadnej uwagi; co się tyczy następnych, żądań, to w razie zaniechania protestu głodowego, podda je bliższej swej rozwadze i postara się o polepszenie złej

*) Dla psychologa, artysty i w ogóle badacza, przerażający ten żywy obraz, posłużyłby źródłem niezwykłych studyów nad naturą ludzką. Śmiertelny akt protestu głodowego, podjęty równocześnie przez wiele dziesiątek ludzi, w imię dokonywających się nad nimi najhambniejszych gwałtów, należy do wydarzeń szczególnych, i ze względu na objawy psychiczne, jest różny od samobójstwa. Czyn samobójstwa jest dziełem jednej tylko chwili. Spotęgowana tu gniotem konieczności wola, przecina doraźnie nic żywota. W długotrwałym, zabójczym proteście głodowym, wola musi pozostawać w tym stopniu napięcia, ażeby mogła w każdej chwili przewyciężyć siłę instyktu zachowawczego, wywoływanego postępową destrukcją organizmu. Jeżeli w człowieku, złożonym śmiertelną chorobą, nic życia drży żądza jego po ostatnią chwilę skonu, to w tym, który z postanowienia przekracza progi posepnego królestwa cieniów, nic ta podlegać musi ciągłym impulsom woli, które jak węzły akustyczne na napiętej strunie, ubezładniają jej drgania.

(Przypisek tłumacza).

doli więźniów. Ponieważ obietnice majora Hołturina nie miały żadnego określonego charakteru i nie przedstawiały żadnej gwarancji, przeto więźniowie postanowili trwać dalej w swoim zamiarze. Dziesiątego dnia, stan zdrowia głodujących nastroczał poważne obawy, wszyscy oni opadli ostatecznie na siłach, a kilku było bliskich śmierci.

Minister spraw wewnętrznych, hr. Dymitr Tolstoj, zawiadomiony telegraficznie o stanie rzeczy, polecił komendantowi Hołturinowi zbadać dokładnie zmiany, wywoływane w organizmie więźniów wielodniowym mrożeniem się głodem i zdawać sobie o nich raporta.*)

Zgodnie z rzezonem rozporządzeniem, głodujących więźniów opatrywał codziennie felczer, badał ich puls i mierzył temperaturę ciała. Trzynastego dnia trwania głodowego protestu, major Hołturin zawezwawszy do siebie żony mrozących się więźniów — pozwolił im nawiedzić swych mężów — po raz pierwszy od

*) Istotnie pojąć nie mogę, dla czego rząd, mając tak dobrą sposobność pozbycia się zawziętych swych wrogów, nie pozostawił ich głodowej śmierci, lecz zaczął wtedy właśnie rozmyślać na środkami ich ocalenia. I nie po raz to pierwszy, władze zachowują się w ten sposób w obec mrozących się głodem przestępców politycznych. Jest to jedna z pomiędzy wielu sprzeczności, praktykujących się w systemie rządzenia w Rosyji. Rząd w wielu razach okazuje zbytnią czułość i troskliwość, w innych zaś, składa dowody bezprzykładnego barbarzyństwa. Poczucie ludzkości skłoniło go niby do zniesienia kary śmierci w sądownictwie cywilnem, podczas gdy występujące dość często na porządek dzienny sądy wojenne, wyrokują na śmierć osoby cywilne. Zniósł knuty, zastępując je plectniami, chociaż według słów pewnego oficera, sto uderzeń plectni wystarcza do uśmiercenia człowieka. W nieskończonoj swej troskliwości o życie przestępców politycznych, rząd nie dozwala im umierać śmiercią głodową, swoją zaś drogą zamęcza ich w więzieniu w Schliselburgu. Z praktycznego stanowiska biorąc rzecz, właściwiej byłoby wkroczyć z wojskiem do więzienia, wyrzucić wszystkich przestępców politycznych co do jednego, niż wystawić ich na tak straszne katusze. Zbiorowe takie łepienie mniej by drażniło uczucia ludzkie i prędzej mogło być byc puszczone w niepamięć, niż owe samobójstwa, protesta głodowe, obłądy i ogrom bezprzykładnej nędzy, na jaką narażeni są przestępcy polityczni w kopalniach i więzieniach.

dnia poczęcia protestu — zobowiązując je, by starały się ich nakłonić do posilenia się jadłem. Kobiety przyjęły tę propozycję i wpuszczone zostały do więzienia. Jednocześnie major Hołturin udał się sam do więzienia, zapewniając uroczyście konających więźniów, że dołoży wszelkich starań ku polepszeniu ich przykrego położenia, prosząc natomiast o zaniechanie protestu głodowego. Zobowiązania i prośby komendanta, błagania cierpieniem złamanych żon, skłoniły więźniów do przerwania upartego, trzynastodniowego protestu głodowego.

W początkach opisanych wyż wydarzeń w Karze, uwolnioną została z tamecznego więzienia katorżnego pani Kutitońska, kobieta dwudziesto-czteroletnia, skazana w Odesi do ciężkich robót za szerzenie propagandy rewolucyjnej. Osiedlono ją obecnie w Akszy, wsi położonej nad granicą mongolską. Młoda ta osoba, będąca naocznyim świadkiem okrutnego postępowania majora Potułowa i Rudenki z więźniami politycznymi, tudzież innych nadużyć, które popchnęły panią Leschern i Rogaczową do samobójstwa, oburzona do głębi wiadomością o nowo dokonywających się nad niimi gwałtach, sprawcą których częściowo był generał Iliaszewicz, postanowiła zadać ciemężycielowi cios śmiertelny. Czując się brzmienną, wiedziała z góry, że spełniając powzięty zamiar, naraża na niechybną zatrąę nie tylko siebie lecz i nienarodzone jeszcze dziecię; nienawiść wszakże ku ciemężcy i współczucie dla pokrzywdzonych swych współtowarzyszy, biorąc górę nad wszelkimi innymi względami, pchnęło ją do wykonania powziętego zamiaru. Szła na niechybną śmierć z tem wewnętrznem przeświadczeniem, że zwracając oczy krajów i narodów na bezprzykładne okrucieństwo rządu, przyczyni się tem samem do polepszenia oplakanej doli, gnębionych w katordze współtowarzyszy. Wkrótce po przybyciu do Akszy, nabyła od jakiegoś osiedleńca rewolwer za zaoszczędzone sobie od ust pieniądze i najętą furmanką włóściańską podążyła do Czyty, stolicy ziemi zabajkalskiej. Wyjazd w dość odległą drogę,

młodej, wykształconej kobiety, nie uszedł uwagi włóścian, wynikiem czego było aresztowanie jej w czasie przejazdu przez jedną z podmiastowych włości. Władze gminne, stosownie do jej własnego życzenia, odstawiły ją do Czyty, do tamecznego isprawnika, który dowiedziawszy się z jej ust, że przybyła w zamiarze uzyskania audyencji u gubernatora Iliaszewicza, poprowadził ją do niego.

— Zrewidowałaś ją pan? — spytał podejrzliwie gubernator.

— Nie — odrzekł isprawnik — nie pomyślałem nawet o tem.

— Mniejsza z tem — oznajmił gubernator Iliaszewicz. — Cóż mi może zrobić kobieta? — Z temi słowami na ustach wszedł do sali audyencyonalnej, gdzie pani Kutitońska wydobywszy szybko, w chustce ukryty rewolwer, strzeliła mu w piersi, oznajmiając jednocześnie »masz za jedenasty maj«.

Gubernator Iliaszewicz trafiony kulą, padł na podłogę, jednakże nie zabity, lecz tylko ciężko ranny. Wbiegła natychmiast służba i poniosła rannego do głębi mieszkania, podczas gdy skępowaną powrozami panią Kutitońską odprowadzono do więzienia i zamknięto w brudnej, ciasnej ciemnicy, zwanej w Rossyi »kutuzką«. Komórka ta, podług słów architekta czytyjskiego, była tak szczupłych rozmiarów, że średniego wzrostu człowiek nie był w stanie pomieścić się w niej, zarówno w postawie stojącej jak i leżącej. W tej to celce kurczyła się pani Kutitońska przez miesiące trzy, w jednej tylko brudnej, zapługawionej, aresztanckiej koszuli, w którą ją rozmyślnie obleczone, ogałając poprzednio z własnej odzieży. Pewnego razu, gdy nieszczęśliwa, złożona ostateczną niemocą, poprosiła poliemaistra Mielikowa o garść słomy, otrzymała odpowiedź, że dla niej nie ma żadnej. Niewątpliwie pani Kutitońska byłaby zakończyła życie w tej nędznej komórze, gdyby litościwsi z więźniów kryminalnych nie byli jej zasilali strawą, dostarczaną ukradkiem. Po trzymiesięcznych takich katuszach, stawiono panią Kuti-

tońską przed sądem wojennym, gdzie odczytano jej wyrok śmierci. Przez cały następny miesiąc oczekiwała w tej samej celce potwierdzenia wyroku przez władze najwyższe, bijąc się wciąż z myślami, czy należy jej zawiadomić władze o stanie swej brzemienności. Wiedziała ona, że w danym razie okoliczność ta spowoduje zamianę kary śmierci na inną jaką; swoją drogą, nie spodziewając się nic od życia, mniemała, że w razie spełnienia na niej zapadłego już wyroku, fakt brzemienności, doszedłszy po jej śmierci do wiadomości publicznej, zwróci uwagę na ohydne gwałty i pastwienie się rządu nad więźniami w Karze, obudzi ku niemu wstręt i nienawiść każdego po ludzku czującego człowieka. Myśl, stania się morderczynią nienarodzonego jeszcze dziecięcia i niepewność chwili skonu jego po śmierci matki, dręczyła ją śmiertelnie. Mimo niesłychanych katuszy rozdzierających jej pierś, postanowiła zachować wszystko w tajemnicy i zdać się na wolę wyroku. W pierwszych dniach stycznia 1883 r. rząd, nie zawiadomiony potąd o stanie jej brzemienności, ulaskawił ją, zamieniając wyrok śmierci na dożywotnie więzienie*), poczem bezwzględnie wysłano ją tak zwanym etapem powrotnym z przestępcami kryminalnymi do Irkucka. Wśród trzaskających mrozów wlokła się ona z tym etapem bez kożucha i ciepłego obuwia, którego jej odmówiono i niezawodnie byłaby zmarzła w drodze, gdyby więźniowie kryminalni nie byli ją zapomogli własną swoją odzieżą. Do Irkucka przywieziono ją na saniach, ale w tym stanie, że podnieść się z nich nie mogła; niezadługo powiła w tamecznem więzieniu dziecię, ale martwe. W czasie naszego przejazdu przez Irkuck w roku 1886, pani Kutitońska była jeszcze przy życiu, od tego zaś czasu tyle tylko mogłem się

*) Wiadomo mi ze źródeł wiarygodnych, że generał Iliaszewicz, do którego strzeliła Kutitońska, sam pośredniczył w jej ulaskawieniu. Skłoniła go do tego czynu litość, czy też wyrzuty sumienia, czy wreszcie kierowany udaną wspaniałomyślnością, chciał zatrzeć haniebne swe postęпки w Karze, tego wiedzieć nie mogę?

o niej dowiedzieć, że zakończyła tam swe męczeńskie życie.

Jeden z moich sprawozdawców, który znał osobście panią Kutitońską, ongi szczęśliwą, swobodną pensyonarką w Odessie, nie przeczuwał nawet, że w dziesięć lat później wyrobi się z niej kobieta, tak niezwykłej siły charakteru*). Takie to owoce wydaje ucisk rządowy i więzienie!

Wiadomości, dotyczące przyczyn zamachu na życie generała Iliaszewicza, czerpałem od przestępców politycznych, tudzież z różnych rękopisów, niezależnych od siebie, dotyczących ucieczki przestępców politycznych, napadu na więzienie katorżne w Karze i protestu głodowego. Co się tyczy samego zamachu pani Kutitońskiej na życie gubernatora Iliaszewicza i biegu jej życia, posłużyły mi tu jej własnoręczne listy, pisane ukradkiem w więzieniu w Irkucku Szczegółów, dotyczących zachowania się jej w obec oczekującej ją kary śmierci, w ciągu całomiesięcznego pobytu w więzieniu w Czycie, dostarczyła mi pewna pani, dawna znajoma pani Kutitońskiej, która miała sposobność rozmawiania z nią niejednokrotnie o tym przedmiocie, w więzieniu irkuckim. Historia ta, w głównych swych zarysach, znana jest w całej Syberji; opowiedano mi o niej przynajmniej w sześciu różnych miejscowościach. Urzędnicy, do których odwoływałem się z prośbą o udzielenie mi objaśnień co do wspomnianego wyż faktu, okazywali taką niechęć w zadośćuczynieniu moim życzeniom, że prób dalszych musiałem zaniechać, i rozmowie nadać inny kierunek. Pewien młody lekarz więzienny w Irkucku, pytany przezemnie o panią Kutitońską, do tego stopnia uczuł się przerażonym, że zmuszony byłem spiesznie go pożegnać, nie doczekawszy się później jego rewizyty Ispraw-

*) Kutitońską poznałem w końcu 1879 r. w więzieniu w Krasnojarsku. Była wyniosłą blondyną o zachowaniu się skromnem: w łagodnej jej twarzy uwydatniała się stanowczość. (Przyp. tłómacza).

nik w Nerczyńsku, który w czasie owych zajęć w Karze dostawiał tam kilku schwytych więźniów politycznych, wyrażał się o przestępcach stanu jako o »łowkich maszennikach«, (sprytnych oszustach) nie zasługujących na uznanie, ni też współuczucie. Większość z nich — mówił on — są to synowie popów lub też wypędzeni ze szkół studenci. Pułkownik Nowików, komendant kozackiego batalionu w Karze, przebywający tam na służbie przez lat trzy, zapewnił mnie, że to są patentowani łotrzy, bez żadnych żądań i przekonau; ze stu pięćdziesięciu przestępców, których poznał w więzieniu katorżnem, kilku zaledwie otrzymało starannejsze wychowanie, zaś pani Kutitońska, morderczyni gubernatora Iliaszewicza, targnęła się na jego życie w przestępie obłądu. Każdy człowiek z zastanowieniem, czytając niniejsze kartki, łatwo może zrozumieć, że stojąc na gruncie prawdy, zmuszony byłem dać pierwszeństwo sprawozdaniom wygnańców politycznych, określającym przedmiot jasno i popierającym swe opowiadania dowodami, nad ohydny, wstrętny, okolicznościowymi gadaniami urzędników. W pracy mojej niniejszej kierowałem się przedewszystkiem prawdą i jeżeli w ciągu tego opowiadania, ktoś zarzuci mi stronność, to nie moja w tem wina, lecz strony przeciwniej, która odmówiła mi udzielenia żądanych objaśnień lub też uznawała się niekompetentną do dawania świadectwa prawdzie.

W dowód niesprawiedliwego sądu urzędników o charakterze przestępców politycznych, postanowiłem podać poniżej streszczone życiorysy kilku kobiet i mężczyzn, przyjmujących udział w opisanych przezemnie wypadkach i pozostających w ścisłym związku z historją więzienia politycznego w Karze. Jedną z wybitniejszych i zdolniejszych kobiet jest Anna Pawłowna Korba, córka rosyjskiego szlachcica, urodzona w gubernii Twerskiej w pobliżu Moskwy. — Odebrawszy staranne wychowanie pod okiem swej matki, kobiety wykształconej i bogobojnej, w osmnaście czy też dziewiętnastym roku życia wyszła za

mąż za Szwajcara, Wiktora Korba, przemieszkującego czasowo w Rossyi. Uroda i przymioty duszy postawiły ją wkrótce na świeczniku społeczeństwa, mąż jej szczylił się swą żoną, jako damą wyższego towarzystwa. Życie tego rodzaju wydało się nadto czczem kobiecie wykształconej i obdarzonej niezwykłą siłą charakteru, której myśli skierowane były ku innym celom. Wkrótce też, postanowiwszy zostać kierowniczką ówczesnie założonego w Petersburgu instytutu wychowawczego dla córek rodzin szlacheckich, dla uzupełnienia swych własnych studyów udała się do Paryża i Zurychu. W 1870 r. nagła śmierć męża zmusiła ją do rozstania się z nadzieją prowadzenia dalszych studyów na uniwersytetach zagranicznych; powróciła do kraju, znalazłszy tu jakieś małe zatrudnienie w mieście gubernialnem Mińsku. Tutaj nastąpiła się jej sposobność do rozwinięcia swej działalności na polu publicznem. Wkrótce też widzimy ją jako organizatorkę towarzystwa, mającego na celu szerzenie oświaty ludowej i zapomagania kształcącej się młodzieży. Wojna rossyjsko-turecka otworzyła przed nią nowe pole działania.

Z niesłychaną gorliwością zajęła się ona pielęgowaniem rannych żołnierzy w szpitalu w Mińsku, następnie jako siostra czerwonego krzyża, podążyła na pole walki za Dunaj. Ktokolwiek oglądał obrazy rossyjskiego artysty Wereszczagina, ten może mieć pojęcie o trudach, jakie przeżyła ta kobieta w ciągu tej kampanji. Przygody doznane w tej wojnie, wywarły stanowczy wpływ na jej charakter. Dusza jej zapłonęła gorącą miłością dla rossyjskiego ludu, dźwigającego na swych spracowanych barkach cały ciężar gmachu państwowego, przelewającego swą krew na polu bitwy i obdzieranego niemiłościwie przez władzę rządową. Odczuwszy głęboko ciężkie położenie tego ludu, zaofiarowała całą pracę swego życia ku jego wykształceniu i uspołecznieniu. Po powrocie swoim do Rossyi, już po kampanji zapadła na tyfus, którego nabawiła się przy pielęgowaniu chorych w szpitalu. Odzyskawszy zdrowie, pracowała z całą gorliwością w zar

powziętym kierunku, walcząc na każdym kroku z przeszkodami, jakich doznawała ze strony policyi; wkrótce też doszła do przekonania, że rdzenne polepszenie oplakanego położenia ludu, musi być poprzedzone obaleniem obecnego systemu rządowego. Ta okoliczność skłoniła ją do przyłączenia się do stronnictwa »woli ludu« i uczestniczenia we wszystkich czynach, skierowanych ku obaleniu rządu autokratycznego i zastąpienia go konstytucyjnym. Piątego lipca 1882 r. aresztowano ją, uwięziono w fortecy Petro-Pawłowskiej, a następnie stawiono przed sądem, w charakterze oskarżonej o udział w tajnem stowarzyszeniu, mającem na celu zniszczenie drogą gwałtu, istniejącego w Rossyi ustroju państwowego. Zapytana przez przewodniczącego, po ukończonem śledztwie, czy nie ma co do powiedzenia na swoją obronę, pani Korba oznajmiła:

Nie uznaję się być winną, aczkolwiek dodać muszę, że należę do partyi rewolucyjnej, — do partyi »woli ludu«. że podzielam jej przekonania i trzymam się jej zasad. Co się tyczy organizacyi, która tylko przelewem krwi zamierza osiągnąć swych celów, takiej organizacyi nie znam i powątpiewam o jej istnieniu. Stronnictwo takie mogłoby wtedy tylko wystąpić na widownię gdyby ruch rewolucyjny przyjął szersze rozmiary; co do mnie jednak, to nigdy nie przyłączyłabym się do takiego stronnictwa, choćbym się go nawet doczekała. Jeśli stronnictwo »woli ludowej« zwraca się do środków gwałtownych, to nie czyni tego bynajmniej z zamiłowania do teroryzmu, lecz dla dopięcia zamierzonego celu, będącego objawem historycznego rozwoju życia narodowego. Są to smutne słowa, wróżące nieszczęście dla przyszłości. — Panowie Senatorowie! Wam znane są najlepiej kardynalne prawa państwa rossyjskiego. Wiadomo Wam, że w Rossyi nie wolno jest nikomu nietylko zmieniać form cesarskiego rządu, ale nawet myśleć o ich zmianie. Wszakże wzbronione jest nawet wnosić do tronu prośby zbiorowe — a przecież, mimo tego, kraj się rozwija; warunki społeczne życia stają się coraz znośniejsze i zbliża się chwila,

w której naród złamać musi zapory, ścieśniające krąg jego działania.

Naszej partji nie brak patryotyzmu i poświęcenia; czuje się ona nadto silną, by nie mogła pomścić zadawanych jej świeżą krwią broczących ran; nie może ona złożyć broni bez sprzeniewierzenia się rosyjskiemu ludowi, póki nie wywalczy dla niego wolności i dobrobytu. W dowód, że partja nasza ma zamiary pokojowe, proszę panów o odczytanie listu wystosowanego przez nią do Aleksandra III., w pierwszych dniach marca *).

Słowa pani Korby, przechodzące wszelkie oczekiwania sędziów, nie zmiękczyły ich serc. Uznano ją winną i skazano na dwadzieścia lat ciężkich robót z pozbawieniem praw stanu i na dożywotnie osiedlenie w Syberji. Podług ostatnich wiadomości doszłych mnie z Kary, pani Korba żyje jeszcze, lecz czuje się tak dalece sponiewieraną i złamaną, że prawdopodobnie niezadługo padnie ofiarą więziennego życia.

Z pomiędzy przestępców w Karze, najwięcej obudza we mnie zajęcia Hipolit Myszkin. Przechodził on niezwykle koleje życia. W r. 1864 w Petersburgu, skazany został na wygnanie do Syberji, znany pisarz rosyjski Czernyszewski, za udział w ruchach rewolucyjnych. Słynny romans tego pisarza »Co czynić?« został w skróceniu przełożony i wydany w języku angielskim. Początkowo trzymano Czernyszewskiego w centralnem więzieniu w Aleksandrowsku pod Irkuckiem, skąd wysłano go na osiedlenie do Wilujka, miasteczka okręgowego w ziemi jakuckiej, gdzie pozostawał pod ścisłym nadzorem policyjnym. Podczas wyłaniających się w Rossji ruchów politycznych w r. 1870, młodzi rewolucyoniści powzięli zamiar wyzwolenia koniecznie Czernyszewskiego z miejsca wygnania i przeniesienia go za granicę Rossji, ażeby w spokoju mógł się oddawać swej pracy. Próby niejednokrotnie podejmowane w tym celu

*) List ten pojawił się wkrótce po zabójstwie cara Aleksandra II.

nie doprowadziły do żadnego skutku i po licznych, daremnych usiłowaniach, zamiar oswobodzenia Czernyszewskiego uznano za niemożliwy do wykonania. Wtedy to w r. 1875. jeden ze studentów instytutu technicznego, Hipolit Myszkin, powziął śmiałą myśl pojechać do Syberji w mundurze oficera żandarmeryi z właściwem upoważnieniem rządowem, na mocy którego obiecywał on sobie wydobyć Czernyszewskiego z pod nadzoru isprawnika, pod pozorem dostawienia go do Petersburga, a stamtąd do więzienia w Schli-selburgu. Oweześnie podobne przewózki niebezpieczniejszych przestępców z Syberji do fortec, nie należały do osobliwości. Myszkin, przejęty silną wiarą w szczęśliwe przeprowadzenie swego planu, udał się do Irkucka w charakterze zwykłego podróżnego, wszedł w stosunki znajomości z tameczną żandarmeryą i zjednawszy sobie jej zaufanie, przyjęty został do służby w stopniu podoficera. Będąc w posiadaniu powierzonych mu przez oficera formularzy i blankietów urzędowych, napisał sobie na jednym z nich właściwe pełnomocnictwo na odbiór Czernyszewskiego i zaopatrzył je urzędową pieczęcią i podpisem komendanta. Mając już ów dokument w ręku, podał się o uwolnienie od służby pod pozorem, że interesa osobiste zmuszają go do powrotu do Rossji europejskiej; otrzymawszy żądane uwolnienie, zaopatrzone już poprzednio uniformem oficera żandarmeryi, udał się wprost do Wilujka. Myszkin był istotnie stworzonym na spiskowca; pewny siebie, śmiały, stanowczy, wymowny, wywarł zrazu na isprawniku, jako oficer żandarmeryi, jak najlepsze wrażenie. Doświadczył też na wstępie dowodów głębokiego szacunku i uznania. Wszystko szło jak z płatka, ale niestety, pominięcie pewnej formalności przez Myszkina, przyczyniło się do zwichnięcia jego zamiarów. Otóż, podług powszechnie praktykowanego w Rossji zwyczaju, oficerowi żandarmeryi wysłanemu po służbie, zwłaszcza w celu przewożenia przestępców politycznych, dodani są do pomocy żandarmi, których właśnie Myszkiniowi nie dostawało. Ta

okoliczność obudziła ku niemu podejrzenie isprawnika, wzmagające się w miarę natarczywości, z jaką ponawiał swe żądanie względem wydania Czernyszewskiego. Nazajutrz przy śniadaniu isprawnik oznajmił Myszkiniowi, że nie może mu wydać żądanego przestępcy bez upoważnienia gubernatora jakuckiego; postanowił tedy wysłać umyślnego gońca z papierami Myszkina do Jakucka i oczekiwać stamtąd odpowiedzi.

— Dobrze — odrzekł Myszkin obojętnie.

— Nie spodziewałem się wcale, ażeby wyraźny rozkaz cesarskiej policji wymagał potwierdzenia gubernatora, ale skoro tak rzeczy stoją, to sam po nie pojedę.

Isprawnik zaproponował Myszkiniowi w sposób delikatny dwóch kozaków do eskorty, na ucho zaś szepnął strażnikom, by z oka go nie spuszczały w ciągu całej podróży, a w ślad za wyjeżdżającym wysłał trzeci go kozaka z listem do gubernatora. — Poślaniec ów dognawszy kozaków eskortujących Myszkina, wszczął z nimi rozmowę, z której dowiedział się tenże, że ów goniec wiezie list do Jakucka. Widząc dotykalnie, że sprawa źle stoi, Myszkin, w czasie zmiany koni na jednej stacyi pocztowej, drapnął do lasu. Kozacy puścili się w pogoni za uciekającym, tenże jednak, wystrzałem rewolwerowym zranił jednego kozaka, kładąc koniec dalszej pogoni.

Oswobodzony od przesładowców, błędził Myszkin przez parę tygodni po nieprzystępnej, bezgranicznej puszczy nadleńskiej, aż wreszcie trawiony głodem, zimnem, ledwie żywy, został schwyty i odstawiony do Irkucka, skąd po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu powieziono go żandarmami do Petersburga. Tu jako więzień, przytrzymywany był przez lat dwa w fortecy Piotro-Pawłowskiej w bastyonie Trubeckiego i wreszcie stawiony przed sądem. Wszystko co tu podaje słyszałem z ust pewnego wygnańca, którego podówczas jako więźnia fortecy Piotro-Pawłowskiej, dzieliła tylko ściana od celi Myszkina.

Podług słów rzeczzonego wygnańca, więzienie tak zabójczo oddziaływało na Myszkina, iż drżał wciąż

jakby miotany paroksyzmami febry, zaś w celi jego rozlegały się przeraźliwe krzyki i jęki, jakie wydawał, gdy związanego w waryacką koszulę, przykrępowywano postronkami do łóżka.

W październiku 1878 r. stawiono wreszcie Myszkina przed sądem. Wszyscy przestępcy polityczni dopominali się obrony publicznej i stenografów, gdy zaś odmówiono słusznym ich żądaniom, wtedy postanowili zaniechać wszelkiej obrony. Gdy przy ukończeniu procesu spytano Myszkina, czy nie ma co do powiedzenia na swoją obronę, wystąpił on z ognistą mową, w której ganiąc wywody obrony, zapewnił, że on zarówno jak wszyscy oskarżeni, nie życzyli sobie, ani też spodziewali się zabierać głosu, wiedząc z góry, że im będzie odebrany; nie wątpili wszakże, że cały przebieg rozprawy sądowej zostanie ogłoszony w pismach publicznych. Gdy w ciągu swej mowy Myszkin zaczął dotykać rządu, przewodniczący wezwał go do porządku, kiedy zaś, wbrew tym ostrzeżeniom, prowadził rzecz dalej, wtedy rozkazano żandarmom wyprowadzić go z sali sądowej. Ostatnie jego słowa brzmiały: »Ten przybytek sprawiedliwości wstrętniejszym jest od domu publicznego; tam kramarzą ciałem, podczas gdy tu hańbiona jest uczciwość, sprawiedliwość i prawda«. Za to śmiałe wystąpienie przeciw trybunałowi, osądzono Myszkina na dziesięć lat do ciężkich robót w kopalniach sybirskich, z pozbawieniem wszystkich praw stanu; wkrótce też wysłano go czasowo do więzienia centralnego pod Charkowem. Szczupłe rozmiary niniejszej mojej pracy, nie pozwalają mi podać choć streszczonego opisu tych mąk i katuszy, na jakie narażeni byli przestępcy polityczni w więzieniach centralnych. Czytelnika, chcącego się zapoznać z owymi okrucieństwami, odsyłamy do broszury skreślonej przez Myszkina: »Ostatnie słowa nad grobem Aleksandra II.« *) Zamierzając dokument ów

*) Niemniej zasługuje na uwagę broszurka napisana przez Myszkina w więzieniu centralnem charkowskiem »Ziwo pogrebionyje«. (Pogrzebanie za życia). (Przypisek tłumacza).

ogłosić przy okazji w przekładzie na język angielski, poprzestaną tu na wzmiance, że sześciu przestępców, po krótkim pobycie w tem więzieniu, dostało pomieśszania zynisłów. Myszkiną przetrzymywano w małej, dolnej celce, w której siedział poprzednio książę Ticyanów*) jeden z wybitniejszych przestępców politycznych. Niezmordowany w swej działalności i pełen energii Myszkin, powziął myśl ratowania się ucieczką. Jakoż doszukawszy się w celi małej deszczułki, wygrzebał nią jamę pod podłogą swego tapczanu, torującą mu drogę do wyjścia. Rozchodziło się tylko o odzież, gdyż aresztancka, którą nosili więźniowie, łatwo go mogła zdradzić. Przeglądając starannie wszystkie zakątki swej celi, doszukał się na piecu, w zamurowanej skrytce, zwoju map geograficznych, będących własnością jego poprzednika, księcia Ticyanowa. Okazało się, że mapy te były podklejone kitajką. Myszkin odłączywszy przy pomocy wody, papier od kitajki, uszył sobie z niej bluzę i spodnie i gotując się do ucieczki, opatrywał jamę, gdy do celi jego, w niezwyklej godzinie wszedł urzędnik więzienny. Zauważywszy, że na tapczanie w miejscu więźnia spoczywa wypechany automat, urzędnik ów zaalarmował strażników, którzy doszukali się podkopu, a w nim ukrytego więźnia. Przeniesiony do bezpieczniejszej celi, Myszkin, czując się bliskim obłąkania, postanowił zrobić jakiś krok stanowczy, grożący mu niechybnie karą śmierci. W tej myśli, poprosił rządcy więzienia o pozwolenie uczęszczania każdej niedzieli do cerkwi więziennej na nabożeństwo, a otrzymawszy je, pewnego razu wymierzył rządcy policzek w chwili, gdy ten kłonił się do ucałowania krzyża, po-

*) Książę Ticyanów, gruzyńczyk, człowiek wielce wykształcony, przytem niezmiernie delikatny i ujmujący, opuścił jednocześnie ze mną więzienie katorżne w Karze, wiosną 1888 r. Kilkoletnie zamknięcie zrujnowało jego siły fizyczne i moralne. W roku 1884, jesienią, widziałem się z ks. Ticyanowem w Kieryńsku. (1000 wiorst za Irkuckiem w kierunku ku Jakuckowi). Zdradzał on już wtedy oznaki cierpień psychicznych, a niedługo potem dostał pomieszania zmysłów. (Przypisek tłumacza).

danego mu przez popa. W zwykłych okolicznościach, przestępstwo takie niewątpliwie pociągnęłoby za sobą karę śmierci, ale właśnie był to czas wyjątkowy, gdy zbyt często powtarzające się w więzieniach wypadki obłąkania, zwróciwszy na siebie uwagę ministra spraw wewnętrznych, spowodowały go do wydelegowania profesora Dobrosławina jako rzeczoznawcę, w celu zbadania stanu zdrowotności więzień charkowskich. Z raportu okazało się, że więzienia te znajdują się w najhłaniebniejszych warunkach zdrowotności i na tej podstawie Myszkin uznany został za cierpiącego psychicznie i jako taki uwolniony w zupełności od grożącej mu kary. — Wkrótce przewieziono Myszkiną wspólnie z resztą więźniów politycznych z więzienia charkowskiego do katorgi w Karze. W przejeździe przez Irkuck, jeden z transportowanych więźniów, wysoce uzdolniony technolog, Leon Dmochowski, zakończył życie w tamecznym więzieniu. Władze, uwzględniając życzenie więźniów, pozwoliły im uczestniczyć na żałobnym nabożeństwie za duszę zmarłego, odbywajacem się w więziennej cerkwi. Myszkin, jako towarzyszy i osobisty przyjaciel nieboszczyka, wystąpił z uroczystą mową, w której podnosząc niezłomny charakter zmarłego, jego czyste obyczaje i poświęcenie, przytoczył kilka wierszy rosyjskiego ludowego poety Nekrasowa: z popiołów tego człowieka-bohatera i innych, pokrewnych mu duchem, wyrosnie w Rosyi drzewo wolności. W trakcie tej mowy Myszkin został wyprowadzony przemocą z cerkwi, następnie stawiony przed sądem, który za tę rewolucyjną mowę, wypowiedzianą w poświęconej cerkwi w obec »obrazów świętych«, skazał go na piętnaście lat ciężkich robót. Towarzysze Myszkiną wyrażali się o nim jako o wysoko utalentowanym mówcy, przemawiał on wszystkiego razy dwa; za pierwszą mowę skazano go na dziesięć lat ciężkich robót, za drugą zaś, na piętnaście. W czasie pobytu swego w więzieniu karyjskim, Myszkin niejednokrotnie żałował, że idąc za popędem uczucia, wystąpił z mową pogrzebową w cerkwi więziennej w Irkucku.

Mowa ta niesłyszana przez publiczność, nie przyniosła żadnej korzyści, ściągnęła zaś na niego karę piętnastu lat ciężkich robót, która dodana do poprzedniej dziesięcioletniej, składała tak długi okres czasu, że nawet w razie doczekania się wyzwolenia z katongi, czułby się nadto sponiewieranym by mógł służyć sprawie.

Myszkim, jak już wyżej nadmienilem, zbiegł z Kary w r. 1882., dotarł aż do przystani w Władiwostoku, gdzie został schwytyany. W r. 1883 przewieziono go wspólnie z innymi »niebezpiecznymi« więźniami do fortecy w Schlisselburgu, gdzie w r. 1885 został rozstrzelany za policzek wymierzony lekarzowi więziennemu.

W styczniu 1882 r., na jakie trzy miesiące przed ucieczką ośmiu więźniów politycznych z Kary, zbiegły z więzienia irkuckiego, transportowane do katongi karyjskiej dwie skazanki polityczne, pani Kowalska i Bohomolec. Obie schwyte w obrębie miasta, odstawiłone zostały ponownie do więzienia, gdzie kazano je jaknajściślej zrewidować. Dotychczas rewizye kobiet odbywały się przez dozorców, ale w sposób niewłaściwy przyzwyczajony. Obecnie, asystujący przy rewizyi rzeczonych dwóch kobiet, adjutant generał-gubernatora Anuczina, pułkownik Sołowiew, kazał je rozebrać do naga, poczem, wszedłszy do cel zamieszkałych przez więźniów politycznych, niegodziwiec ów, chępiąc się swem pastwieniem nad skazankami, rzekł z naigraniem: wasze kobiety mie grzeszą wcale pięknymi kształtami ciała. Jeden z tych więźniów, Szczedrin, oburzony do żywego niecnymi przechwałkami Sołowiewa, zelżył go słowy i wymierzył mu tak silny policzek, że ten padł na podłogę. Za tę cielesną obelgę, Szczedrin *) skazany został na przykucie do ta-

*) Szczedrin został skazany przez sąd wojenny na karę śmierci; car wszakże, mając na względzie doraźne wymierzenie sobie satysfakcyi przez Sołowiewa na więźniu, którego on, przywiązany do słupa, bił pięściami a następnie pałaszem, — zamienił Szczedrinowi karę śmierci na przykucie do tacek. Sołowiewa, za ten heroiczny czyn, car obdarzył orderem i wysłał na

czki, z którą — jak mi mówił inspektor traktu zachodniej Syberyi — wieziono Szczedrina wiosną 1882 do Petersburga. Dopiero za Tiumenem, gdy wśród ciągłych podskoków kibitki po nierównym gościńcu, taczka nadto dotkliwie dała się żandarmom we znaki, wtedy odłączono ją od więźnia i przywiązano z tyłu bryki.

Po proteście głodowym, położenie więźniów polepszyło się o tyle, że zwrócono im książki i pozwolono codziennie przechadzać się po podwórzu. Warunki zdrowotne były wciąż złe, na chorych nie zwracano żadnej uwagi, wskutek czego zwiększyła się śmiertelność. *)

Od czasu wyjazdu z Kary pułkownika Kononowicza r. 1881, było różnymi czasy siedmiu komendantów więzienia politycznego, a każdy z nich nie kierował się żadną instrukcją, lecz postępował podług swego widzimisię. Raz, pozwalano więźniom mieć książki, korzystać z swych pieniędzy, wypuszczano ich na przechadzkę, to znów odbierano im te wszystkie przywileje. W r. 1882 dość obszerne izby więzienne porzerabiano na małe cele, zaś w r. 1884 porozbierano ściany przedziałowe, zwiększając izby mieszkalne do dawnych rozmiarów. Podobnież, zniesiona w r. 1881 »wolna komenda« została znowu przywróconą. Każdy z nowo przybyłych komendantów gospodarował po swojemu, wydawał nowe instrukcye, praw nie było żadnych i wszystko zależało od kaprysu nowo przyby-

komendanta wyspy Sachaliny, gdzie dał się tak we znaki zsyłanym tam kryminalistom, że ci, pewnego razu dostawszy go żywcem, zoperowali w najhanielniejszy sposób. tak, że w bólach życie swe zakończył.

(Przypisek tłómacza).

*) Nie jestem w posiadaniu kompletnej listy zmarłych w Karze przestępców politycznych. Ofiarą chorób więziennych padli następnii więźniowie: Szutin, Krywoszejn, Żuków, Popko, Tichonow, Rogaczow, Dr. Weimar, Panna Antonina Lisowska, Armfeld i pani Kutitowska. Odebrali sobie życie: Siemianowski, Rodin, Kopeiński. Wpadli w stan obłąkania: Matwijewicz, Jakubowski, Pozen i przejściowo Kowalewska. (Oprócz tych pokończyli życie w Karze: Krasowski, Zofia Leschern, Opryszko i Mahmud-Ilan.)

łego komendanta więzienia. Najlepszym z owych wszystkich komendantów, podług zdania więźniów, był Burley. Hołturin, odznaczał się srogością, a przytem grubiaństwem. Szubin, był człowiekiem bez żadnego charakteru; Maniajew, nie tylko pijanica, lecz łotr zarazem, wykradał pieniądze z listów, te zaś niszczył, tak, że w ciągu krótkotrwałej swej komendantury zrabował więźniom stanu zwyż dziewięćset rubli sr. Wszyscy ci komendanci, poczynając od Hołturina, byli oficerami żandarmeryi z Irkucka. 16. stycznia 1884 r. więzienie stanu w Karze oddane zostało pod bezpośredni nadzór cesarskiej policji, z rozporządzenia której, posadę komendanta objął tam przysłany z Petersburga kapitan żandarmeryi Nikolin.

Tragiczna historia więzienia stanu, zamieszczona na poprzednich kartkach, posłużyć może wybitnym dowodem, stwierdzającym słusność słów pułkownika Kononowicza, wyrzeczonych w r. 1881 do wice-ministra Durnowo. Rząd rossyjski nietaktownem i surowem swem postępowaniem zmusił ucziwego i ludzkiego człowieka do ustąpienia z posterunku komendanta więzień karyjskich, powierzając ten urząd oficerom niekwalifikującym się do pełnienia tych obowiązków, wynikiem czego były wciąż powtarzające się tragiczności i okropności nad okropnościami. Wszystko tam idzie — jak to wykażę w następnych rozdziałach — wciąż po dawnemu; porozumienia nie ma żadnego i być go nie może. Wichler rzuca ziarno, a burza zbierać będzie plony.*)

*) Zeszłego roku t. j. 1889 jesienią, odegrała się w więzieniu politycznym w Karze jedna z najstraszniejszych tragedji. Ołóż komendant więzienia stanu, ów potwór Nikolin, bezprzykładnem swem znęcaniem się nad więźniami, doprowadził ze skazanek. Nadzieję Konstantynówną Sigidową do wymierzenia mu policzka. Nieszczęśliwą skazano na sto uderzeń różgami i wyrok wbrew zaświadczeniu lekarza, odłożenia egzekucji ze względu na stan drowia delikwentki, spełniony został z bezwzględnem barbarzyństwem; Sigidowa zmarła w dwa dni po wykonaniu wyroku.

Dwunastego listopada z prawdziwą radością byliśmy gotowi do wyjazdu. Przejeżdżając z odprowadzającym nas majorem Potułowem przez Niżnią Karę, zoczyliśmy zdala przed sobą idących gościnnie dwóch przestępców politycznych z pod „wolnej komendy”. Wyrównawszy się z nami, stanęli, usiłując niskim ukłonem dać wyraz swym tłumionym ku nam uczuciom, za doznaną życzliwość i uznanie.

Przenocowawszy w Uśé-Karze, w domu rządcy więzienia, nazajutrz rano gotowaliśmy się do konnej podróży przez góry, ku Strietyńskowi. Gdyśmy już dosiedli koni, major Potułow, odkorkowawszy przywiezioną z sobą butelkę krymskiego, białego wina, nappełnił trzy szklanice i wypróżnił jedną, ze słowami: „szczęśliwego powrotu do Ameryki”. Spełniliśmy dwie pozostałe, w nadziei szczęśliwego powrotu do domu, wyrażając podziękowania majorowi Potułowowi za gościnne przyjęcie i zapewniając go, że nie omieszkamy go zawiadomić telegraficznie o przyjeździe naszym do Strietyńska.

Okolice nadszytkińskie w pobliżu Kary są bezludne; w pewnej odległości od brzegów rzeki, koczują w namiotach dzikie plemie, zwane przez Rossyan Oroczanami. Zostają oni pod zwierzchnictwem rossyjskiego rządu, płacą podatki, noszą imiona chrześcijańskie, nie obciążają wszakże z Rossyanami, chyba tylko w celu wymiany futer, noży i kociołków na tytoń i herbatę

Podróż konna po grzbietach gór, warujących koryto Szyłki, zwłaszcza wśród ostrych mrozów, dała się nam dotkliwie we znaki. Trapił nas chłód i znoj. Trzeciego dnia dojechaliśmy do wsi Boty, gdzie poprzednio wynajmowaliśmy konie wierzchowe. Obecnie, cała ludność zajęta była wylotem zboża na zamarznętej rzece. Włóścianie, powątpiewając wtedy o szczęśliwej

Siedmnastu więźniów płci obojej, pod wpływem okrucieństwa dokonanego na Sigidowej, zażyło trucizny, z tych padli trupem: Bobochow, J. W. Kałużny, Nadzieja Smirnicka, Marya Kowalewska i Marya Wasilewna Kałużna. (Przypisek tłumacza).

naszej przeprawie do Kary, witali nas radośnie. Wzruszenie moralne, wyniesione z pobytu w kopalniach karyjskich i trudy ostatniej podróży tak dalece wycieńczyły moje siły, że ledwie mogłem utrzymać się na siodle. Na szczęście Szyłka, poczynając od Botów, tak grubo pokryła się lodem, że dalszą podróż odbywaliśmy sańmi. Dnia 16. listopada, późno już nocą, głodni, znużeni i zmarznięci, dotarliśmy do chaty młodego Zablikowa, u którego złożyliśmy w przejeździe do Kary, nasze rzeczy i zapasy jadła.

VII.

Kopalnie srebra w Wschodniej Syberii.

Przyjechaliśmy do Strietyńska tak dalece znużeni i udęczeni, że niepodobieństwem było puszczać się w dalszą drogę bez poprzedniego wypoczynku. Osłabienie nasze doszło do tego stopnia, że ledwie mogłem chodzić, okupując każdy ruch dotkliwym bólem, przy czem puls mój bił niezwykle szybko. Puszczać się w daleką, szescioset milową drogę do kopalń nerczyńskich, trzęsącą telegą bez resorów, było przeciw rozsądkowi. Mając to wszystko na uwadze, postanowiliśmy sobie zrobić trzydniowy wypoczynek u młodego Zablikowa, gdzie odżywialiśmy się o ile można posilnymi pokarmami, spaliliśmy do syta, wzmacniając organizm chiną i ekstraktem mięsnym Liebiga.

Odzyskawszy trochę sił, spacerowałem sobie po nad brzegiem rzeki i odwiedziłem zasidiatiela czyli inspektora policji okręgowej, prosząc go o pośrednictwo w uzyskaniu koni. W wielu miejscowościach okręgu nerczyńskiego daje się czuć brak ustalonej komunikacji pocztowej. Mając to na względzie, gubernator, dla ułatwienia nam podróży, wydał telegraficzne rozporządzenie dostarczenia nam podwód, a prócz tego byliśmy zaopatrzeni przez majora Potułowa listami polecającymi do urzędników policyjnych. Zasiadiatiel, przyjąwszy mnie jaknajgrzeczniej, wydał bezwzględnie rozkaz co

do żądanej przez nas furmanki; ostrzegając wszakże o panującej po wsiach ospie, nie radził zatrzymywać się po domach włościańskich. Niepomysłna ta wiadomość pozbawiła nas nadziei spotkania się w ciągu długotrwałej podróży ze schronieniem i odpoczynkiem, zwłaszcza wśród mrozów, dochodzących do 0° Fahrenheita (—15° R.) Zamiarem moim było udać się wprost do Nerczyńska i stąd dopiero rozpocząć objazdy zakładów górniczych, w okręgu tym położonych, że zaś pan Frost nie obawiał się bynajmniej grasującej po wsiach ospy, tedy dla skrócenia sobie drogi, postanowiliśmy pominąć Nerczyńsk i jechać wprost do najbliższej kopalni. W sobotę po południu pojawiła się wreszcie oczekiwana przez nas furmanka z jakimś obdartusem woźnicą; zebraliśmy spieszenie manatki i przywiązawszy z tyłu telegi wór, napełniony sucharami, ruszyliśmy do Aleksandrowskiego-Zawodu i kopalni algaczyjskich.

Kopalnie srebra nerczyńskie nie leżą, jakby to się zdawać mogło, w pobliżu miasta Nerczyńska, lecz porzrucane są po pochyłościach dzikich gór, na przestrzeni wznwyż tysiąca mil kwadratowych. Dotykają one na południu granicy mongolskiej i zajmują większą część trójkąta, którego ramionami są rzeki Szyłka i Argun, zaś wierzchołkiem, złączenie się tych rzek w olbrzymi Amur.

Już pierwotni mieszkańcy Syberii wykryli w tych okolicach srebro i ołów, dobywali nawet kruszec z ziemi, o czem świadczą odszukane przez pierwszych podróżników rossyjskich, ślady dawnych kopalń nieopodal rzeki Argunu. W r. 1700. pewien inżynier grecki, pozostający w służbie rossyjskiej, założył pierwszą hutę srebra przy granicy mongolskiej, zaś na schyłku ośmnastego stulecia założono w różnych miejscowościach okręgu nerczyńskiego ośm hut czyli wielkich pieców do wytapiania kruszców. Do robót używano początkowo wyłącznie tylko włościan, przesiedlanych tu przymusowo z różnych stron Syberii, tychże jednak w r. 1722, zastąpiono przestępcami, przypędza-

nymi z Rossyi europejskiej. Przestępców politycznych nie brano do robót w kopalniach nerczyńskich, z wyjątkiem Polaków i niektórych dekabrystów z r. 1825. Dopiero po nieszczęśliwym powstaniu 1863 r.*) sprowadzono tu całe tysiące polskich powstańców; obecnie jednak podług przyjętej reguły, przestępców politycznych posyłają do kopalń w Karze.

Co do dalszej naszej podróży, to najwłaściwiej było nam podążyć stąd wprost do huty w Aleksandrowsku, zwanej Aleksandrowskim-Zawodem, leżącej w odległości 180 kilometrów do Strietyńska. Wielkie piece, którym miejscowość ta zawdzięcza częściowo swą nazwę, dzisiaj leżą już w gruzach, obecnie pozostała górnicza osada i więzienie. Więzienia tego, nie należało nam pominąć, ponieważ około Aleksandrowskiego-Zawodu znajdują się owe pamiętne, dziś już zarzucone kopalnie w Akatuji. Powietrze było mroźne, niebo wciąż zachmurzone, przytem dął ostry wiatr północny; wzgórze, snujące się po okolicy, pobielił już dobrze śnieg, droga jednak była zupełnie suchą, tak, że wydobywająca się z pod kół i kopyt końskich kurzawa, dość grubą powłoką pokryła naszą odzież. Ujechawszy niespełna trzydzieści kilometrów, uczuliśmy się tak zziębnięci, zgłodzeni i strudzeni, że upatrzyliśmy żądnie miejsca na spoczynek. Wieś, w której należało nam zmienić konie, wydawała się zupełnie pustą, jakby wymarłą; my zaś w obawie zarażenia się ospą, cierpieliśmy wytrwale głód i chłód, nie ruszając się z kibitki. Troskliwy o nas woźnica, starał się różnemi perswazyjami rozgonić nasze obawy, twierdząc, że ospa nie jest chorobą zaraźliwą; pan Frost wszakże, obstając uparcie przy swoim zdaniu, oznaj-

*) Podług Maksimowa, który czerpał daty statystyczne z raportów oficjalnych, pomiędzy rokiem 1863 i 1866, wydano do Syberii 18.623 Polaków, z tych 8199 łącznie z 4252 szlachty wysłano do wschodniej Syberii, zaś 7109 do robót ciężkich, i to przeważnie do kopalń nerczyńskich. (Maksimow, »Syberya i Katorga«, tom III., str. 80 i 81. Petersburg; A. Trenczel 1871).

mił. że choroba ta, aczkolwiek nieszkodliwa dla mieszkańców sybirskich, podobnie jak roje trapiącego ich robactwa, cudzoziemcowi zagrażać może śmiercią. Na zmierzchu dnia dojechaliśmy do następnej stacji Kopen. Termometr pokazywał wciąż 0 Fahrenheita (-14° Reaumura); ja tak skostniałem, że ledwie mogłem się poruszać.

— Nie mogę już wytrzymać dłużej — odezwałem się do pana Frosta. — Nie ma wyboru pomiędzy ospą i mrozem! Zapukam do drzwi tej chaty i dowiem się, czy tu są chorzy na ospę; jeżeli nie, to zajmę ogrzać się i każe cokolwiek sobie ugotować.

Zapukałem i w otwierających się drzwiach ujrzałem jakąś bladą, wynędzniałą kobietę.

— Bądźcie łaskawi powiedzieć mi, czy w tym domu panuje ospa, — spytałem.

— Tak jest — odpowiedziała.

Nie czekając końca odpowiedzi, zemknąłem do tarantasu, dzieląc się tą nowiną z panem Frostem. Postawieni istotnie pomiędzy Scyllą a Charybdą, nie pozostawało nam nic innego, jak zwrócić się do worka z sucharami. Nowy zawód! Chleb okazał się nie tylko zmarzniętym jak kość, lecz w dodatku pokryty kurzem, przeciskającym się z drogi przez rzadką tkaninę. Podałem panu Frostowi jedną kromkę, sam wzięłem drugą i w oczekiwaniu świeżych koni, przesiadaliśmy wszyscy trzej aż do zmroku, drżąc z zimna i gryząc zmarznięte suchary.

Ażebym resztę chleba uchronić od kurzu i mrozu, zaproponowałem cały worek wsadzić w siedzenie. Włożyliśmy go, opłacając tę troskliwość o jadło, niewygodnym siedzeniem.

Wreszcie wyruszyliśmy świeżymi końmi i po mozolnej podróży wśród silnego mrozu dotarliśmy wieczorem o godzinie dziewiątej do stacji pocztowej w Czelaługinie, położonej przy gościńcu prowadzącym z Nerczyńska do Nerczyńskiego-Zawodu. Nie czułem się na siłach do dalszej podróży, zwłaszcza pod noc, a ponieważ pocztmistrz zapewnił nas uroczyście,

że w tym domu nie było wcale ospy, zawlekliśmy nasze rzeczy do izby pocztowej, gdzie zagrzawszy się kilkoma szklankami herbaty, legliśmy podług zwyczaju na podłodze w podróżnych kożuchach. Pokrzepieni snem, a następnie dobrem śniadaniem, składającym się z herbaty, świeżego chleba i dobrej zupy, ruszyliśmy do Aleksandrowskiego-Zawodu. Cały ten dzień jechaliśmy przez nagą, górzystą pustynię, tu i tam poprzedzianą równinami. Niebo rozjaśniło się, zaświeciło słońce, chociaż termometr wciąż pokazywał piętnaście stopni zimna, podług Fahrenheita (-21° Reaumura); konie dobrze obmarzły; my zaś przeziębieni na wskrós, daremnie usiłowaliśmy, przy ciągłym podrzucaniu kibitki na drogowej grudzie, otulić kożuchami skostniałe nogi. Około godziny wpół do siódmej zatrzymaliśmy się we wsi Kajwikuczudze, liczącej więcej głosek niż mieszkańców. Na stacji pocztowej spotkaliśmy się z pewnym młodym technikiem, wysłanym z Petersburga do kopalni, w celu poznamienia więźniów ze sposobem rozsadzania skał dynamitem. Narysował on nam bardzo ponury obraz katorżników w kopalniach srebra w okręgu nerczyńskim. Więźnie tameczne — mówił on — należy do najgorszych w całym cesarstwie rosyjskim, urzędnicy są niezdolni i okrutni, obejście się z aresztantami jaknajhaniebniejsze; każdy z dozorców chłosta ich bez usprawiedliwionej przyczyny, nie wyjmując chorych, których zmuszają pracować na równi ze zdrowymi. Kierownicy robót nie mają pojęcia o obchodzeniu się z materyalami wybuchowymi, nie przestrzegają należytych środków ostrożności, stąd też, przy wysadzaniu skał, dość często zdarzają się wypadki śmiertelnego zranienia. O władzach górniczych wyrażał się bardzo cierpko, jak gdyby pozostawał z nimi w złych stosunkach. Wysłuchałem cierpliwie opowiadań tego młodego człowieka i zanotowałem sobie słowa jego w pamięci, w tej myśli, że znalazłszy się na gruncie, będę mógł naocześnie się przekonać, do kogo słuszność należy.

W czwartek około północy stanęliśmy w Maka-

rowie, wiosce odległej od Strietyńska o 165 kilometrów, rozgościwszy się na noc w domu gminnym, przeznaczonym dla przejezdnych urzędników, zwanym »ziemską kwaterą«. Zaraz po herbacie położyliśmy się spać, pan Frost na podłodze, ja zaś na ławie stojącej pod oknem. W stancyi było ogromnie duszno, rozpalone ściany, złożone z sosnowych okraglaków, wydawały silną woń żywiczną, okna i drzwi były szczerlnie pozamykane. Długo przewracałem się z boku na bok nie mogąc zasnąć, wreszcie znużenie wzięło górę, zdrzemnąłem się trochę, gdy nagle zbudził mnie jakiś niezwykły krzyk. Śledząc to zjawisko, przekonałem się, że w narożnej części izby, odgrodzonej łątami, zamknięty był wielki kogut, który wyciągnawszy szyję, piał mi wciąż nad samem uchem. Gorliwy ów i czujny strażnik nie myślał się wcale uspokoić, dając w ciągu całej nocy dowody swej dbałości i troskliwości. Przeniósłem się do drugiego kąta izby, gdzie ległem na podłodze, ale wędrówka ta moja nie na wiele się zdała. Sypiałem w sybirskich chatach z psami, byłem rogiem, owcami i przeróżnego rodzaju czworonogami, te wszakże, nigdy mi się tak nie dały we znaki, jak ów hałaśliwy kogut.

W czwartek rano około godziny dziesiątej, przyjechaliśmy do Aleksandrowskiego-Zawodu. Zanimiedbana ta wieś sybirska, licząca około trzystu mieszkańców, leży pośród dzikiego stepu, zamkniętego w dali pasmem nagich, śniegiem pokrytych gór. Budynek więzienny, do którego poprowadził nas rządca, pan Fomin, przeznaczony był obecnie na przytułek dla spracowanych, tudzież zbyt wiekowych przestępców, ściąganych tu umyślnie z różnych więzień okręgu nerczyńskiego. Właściwem więzieniem, był tu mocny dom drewniany, zbudowany dopiero przed pięcioma laty, w którym mieściło się obecnie 137 przestępców. Pod względem sanitarnym, budynek ten zostawiał wiele do życzenia. Podłoga, jak zwykle była zagnojona, powietrze duszne, po korytarzu rozchodził się odrażający odór z wychodków i obrzydliwych »paraszy«. W celach wię-

ziennych wspólnie ze zdrowymi przestępcami, znajdowali się także obłąkani. Szpital, znajdujący się w budynku więziennym, mimo dość schludnego utrzymania, wydał mi się nadto szczupłym względnie do liczby chorych. Bielizna na łóżach razila brudem, dozorca wszakże zapewniał mnie, że to nie z jego winy; starał on się usilnie o utrzymanie chorych w czystości, zarząd wszakże więzienny, kierując się oszczędnością, sprzeciwia się przeciw częstej zmianie bielizny.

Zdawał się on być mocno ucieszony, gdy mu oznajmił, że szpital jego, mimo że tak szczupły, to wszakże liczyć się może do najstaranniej utrzymanych z wszystkich, znanych mi, w ziemi zabajkalskiej.

Po zwiedzeniu więzienia, udałem się z panem Frostem do wygodnie urządzonego domu pana Fomina, gdzie zastaliśmy isprawnika Nerczyńskiego-Zawodu, mężczyznę około czterdziesto-letniego, przystojnego i dobrze zbudowanego. Rozmawiał on chętnie i otwarcie o kopalniach nerczyńskich, ganił dotychczasowy system górniczy, wytykając wady i przeniewierstwa urzędników. — Podług jego zdania, byłoby nierównie korzystniej dla kraju, ażeby rząd zupełnie usunął się od kopalni i wydzierżawił je prywatnym przedsiębiorcom. Między urzędnikami jest wielu niezdolnych, przedajnych, a dochód nie pokrywa rozchodu. Jako przykład panującego tam nieładu, przytoczył on, że dwaj inżynierowie cerarscy, wysłani umyślnie z Petersburga w celu zbadania stanu kopalń nerczyńskich, uznali je za nierentujące się rządowi, tak, że na mocy złożonej przez nich opinji, kopalnie te zostały oddane przedsiębiorcom prywatnym. Otóż okazało się, że przedsiębiorcy, wydobyli z tych kopalń 600 pudów, czyli 27.000 funtów czystego złota. Isprawnikowi nie wypadało mówić otwarcie, jednakowoż dał mi do zrozumienia, że inżynierowie ci, pozostawali w porozumieniu z przedsiębiorcami, prowadzili interes wspólnie i podzielili się zyskiem.

Po dobrym obiedzie, składającym się z zupy, pieczonych cietrzewi, legominy, konfitur, wódki i kilku

gatunków win, wystawionych przez pana Fomina w cześć przybyłych gości, udaliśmy się z gospodarzem domu i isprawnikiem do kopalni*), odległych stąd o osmnaście kilometrów. — Kopalnie te, choć już zdawna zarzucone i zalane wodą, nie były dla mnie obojętne, raz dla tego, że katorga w Akatui zaliczała się w swoim czasie do najśrodszych, powtóre, że rząd zamierzał obecnie przenieść tu wszystkich przestępców politycznych, więzionych dotychczas w Karze.

Początkowo jechaliśmy z jakie dziesięć kilometrów jednostajnym stepem, okolonym pasmem dzikich, niskich gór, poczem przetrzneliśmy głęboką kotlinę, obwarowaną urwistymi wzgórzami, około 1000 stopowej wysokości, zasłaniającami cały widnokrąg. Zwążająca się wciąż kotlina wprowadzała w wąwóz, mający około trzech kilometrów długości, po za którym, rozległa się osada górnicza, Akatuja. Fizjonomia okolicy razi swą martwością; jedyną oznakę życia dawały porozrzucane tu i owdzie po wzgórzach pokrytych śniegiem, zwarzone mrozem głogi. Żadna jeszcze miejscowość nie wydawała mi się tak pępną, samotną i opuszczoną, żadna nie nawodziła na mnie tyle smutku, jak ów bezmierny, złodowaciały szmat ziemi. Zdawało mi się koniecznie, że nagle zostaliśmy przeniesieni na wybrzeża podbiegunowe Grenlandyi.

— To stare więzienie stanu, — oznajmił isprawnik — w chwili, gdyśmy się zatrzymali przed jakimś starym, niegdyś otynkowanym budynkiem. Po obu stronach tego budynku stały dwa więzienia murowane, z których jedno bez dachu, drugie zaś w ruinach. — Widocznie, więzienie to, otaczała dawniej wysoka palisada, zaś w budynku z wielką bramą znaj-

*) Prawie wszystkie kopalnie nerczyńskie stanowią własność osobistą cara i jako takie zwane są »gabinetowemi«. Pewien wykształcony Rosssyanin rozpoczął pisać dzieło, mające wychodzić za granicą pod tytułem: »Początek państwa Romanowych«. Zanim jednak uczoney ów, zdołał zgromadzić potrzebne do tej pracy materiały, wydano go do Syberyi.

dował się odwach. Obecnie nie było i szczątków ostrokołu, pozabierano z okien kraty żelazne, tak, że z pozostałych szczątek trudno było wnosić o dawniejszem przeznaczeniu całej tej osady. Wsiadłszy z powozu, skierowałem się ku budynkowi więziennemu, szukając na murowanych ścianach spodziewanych napisów po nieszczęśliwych więźniach, albo też obryczy żelaznych, na których przykuwano do ścian krnąbrniejszych przestępców. Wszelkie atoli poszukiwania moje okazały się daremne, albowiem nigdzie nie spotkałem się z kawałkiem żelaziwa; podłoga zgniła ze szczętem: tynk pooblatywał ze ścian, tak, że nie pozostawało nic innego, jak tylko siłą wyobraźni odtworzyć sobie owe ponure cele więzienne w Akatui, niemych świadków tylu strasznych i okrutnych obrazów! Drugi budynek więzienny, stojący po prawej stronie odwachu, znajdował się w dość dobrym stanie, okna wszakże były zabite deskami; na ciężkich drzwiach drewnianych wisały klucze, rządca jednak nie wiedział czy nadają się do cel. Chciałem zwiedzić kopalnie akatujskie, leżące w głębokości 500 do 600 stóp po nad poziomem, ale ciemności, ogarniające coraz bardziej dolinę i zimne, przenikliwe powietrze, stanęły mi przeszkodą. Rządca naglił nas do powrotu, należało więc ograniczyć się na powierzchniowych oględzinach otoczenia więziennego. W katordze tej zmarł Łunin*), a następnie wielu

*) Michał Łunin, oficer gwardyi carskiej był jednym z najdzielniejszych i najświatlejszych członków tajernnego związku rosyjskiego z r. 1826. Władał on wybornie wszystkimi europejskimi językami, a prócz tego znał gruntownie łaciński, grecki i hebrajski. Był człowiekiem wyrobionym politycznie, trwałych przekonań i osobliwej siły charakteru. Odbywając podróże po całej Europie, za młodu jeszcze porzucił prawosławie, przyjmując religię rzymskokatolicką, której po ostatnią chwilę życia był wiernym wyznawcą. W r. 1814 Łunin, za śmiałą odpowiedź daną ks. Konstantemu Mikołajewiczowi, został przeniesiony z gwardyi carskiej do pułków liniowych, skąd wziął wkrótce dymissyę; unikając wszakże prześladowań policyi, za usilną namową ks. Konstantego, wstąpił do pułku ułanów w stopniu podpułkownika. Stojąc podówczas z swym szwadronem pod Warszawą, w majątku polskiej, bogatej rodziny, któ-

patryotów polskich z r. 1863. Szukałem ich grobów, ale daremnie. Rząd rosyjski nie troszczy się bynajmniej o przechowywanie pamiątek po przestępcach politycznych, zamęczonych w więzieniach sybirskich; na grobach ich nie widać żadnej mogiły... Po moim powrocie z Syberyi zbudowano w ponurej dolinie akatujskiej nowe więzienie, do którego zamierzono przenieść wszystkich przestępców politycznych z katoggi karyjskiej. Rząd zamysła odprowadzić przy pomocy pomp wodę, zalewającą kopalnie, w których mają pracować przestępcy polityczni. Twórcy tego projektu kierują się przedewszystkiem myślą pogorszenia położenia przestępców politycznych; posępniejszej bowiem, więcej osamotnionej i bardziej przygnębiającej okolicy, nikt nie doszuka się w całej Syberyi.

Późnym już wieczorem powróciliśmy do Aleksandrowskiego-Zawodu, a nazajutrz, to jest we środę około południa, po wygodnym noclegu i dobrym śnia-

rej jeden z członków służył jako zdrajca ojczyzny, Łunin podług zwyczaju, spacerował z dwoma oswojonymi niedźwiedziami, co tak drażniło nerwy pani domu, iż pewnego razu napisała list do niego z prośbą o zamknięcie niedźwiedzi. — Gdyby ojciec pani — odpowiedział Łunin — nie był zdradził Polski, nie byłabyś narażoną na nieprzyjemność oglądania zarówno czworonożnych jak też dwonożnych niedźwiedzi. — Gdy po wykryciu spisku 1825 r. uwięzionemu Łuninowi, kilku słabszego charakteru współtowarzyszy, starano się przy nauce stawce udowodnić uczestnictwo w tajnym związku, odezwał się on do komisji śledczej, temi słowy: «Nadto szanuję tych panów, bym im miał zadawać kłamu, co się tyczy szczegółów załączonych przez tych panów komisji śledczej, to nie mogę o nich nic powiedzieć; nie pomnę ich, być może że rzeczywiście miały miejsce.» Więziony w fortecy w Szliselburgu w podziemnej, wilgotnej celi, gdzie woda kroplami ściekała mu na głowę i odzież, spytany został pewnego razu przez wizytującego więzienie komendanta, czy mu nie zbywa na jakich potrzebach? — Niczego mi nie brakuje prócz parasola, panie generale — brzmiała odpowiedź Łunina. Po kilku latach ciężkiego więzienia, w którym skorbut zniszczył mu wszystkie zęby, wysłano Łunina na Sybir, gdzie przesiadawszy następnych lat kilka w więzieniu w Czycie, osiedlony został w Uryku, w guberni Irkuckiej. Tu miał on obfitą swą bibliotekę i przystawioną do domu mieszkalnego kaplicę, w której sprowadzony przez Łunina ksiądz Pawłowski

daniu, udaliśmy się do kopalń aleksandrowskich, odległych stąd o trzydzieści trzy kilometry. Okolica razi wszędzie jednostajnością; zalegają ją jałowe, niskie, tępe pagórki, grupujące się rzędami, jakgdyby fale wzburzonego oceanu; nigdzie ni drzewa, ni śladów roślinności, tylko na płaskich dolinach, pokrytych śniegiem, wystają gęsto porozrzucane stożki siana. Z wierzchołka ostatniego pagórka na gościńcu algaczyjskim, roztoczył się przed oczyma naszemi krajobraz, zajmujący przestrzeń przynajmniej pięćdziesięcio-milową. Szczególny ten układ wydętych, śniegiem zaległych pagórków, wydał mi się bezgranicznem morzem, rozbukanem walcą dzikich żywiołów. W odległej dali, w głębokiej kotlinie, pomiędzy dwoma potężnymi wzgórzami, zarysowały się skupione domy drewniane, składające osadę, która podług słów naszego woźnicy, nosiła nazwę Algaczi. Na całym tym olbrzymim szmacie ziemi nie można było zobaczyć żadnego drzewa lub też przedmiotu odbijającego się od lśniącego całunu, owe zaś w dali rysujące się drewniane domki, wyglądały zdala, jak powodzią uniesione tratwy, ściśnięte nagle mrozem wśród zastygłych, rozhukanych bałwanów. Zjechawszy ze stromej pochyłości kamienistą drożyną, załamana w zygzak, wjechaliśmy do wsi, złożonej z dwóch rzędów drewnianych chat o słomianych strzechach, spotyka-

odprowadził mszę świętą za duszę Szymona Konarskiego. Oburzony prześladowaniami religijnymi i politycznymi Mikołaja I., Łunin napisał traktat w języku angielskim: Rzecz o panowaniu M., z różnymi przyczynkami. Książka ta, wydrukowana w Londynie czy też w Nowym Jorku, doszła ręk Mikołaja, w skutek czego despotą ten w pierwszej chwili wydał rozkaz rozstrzelania Łunina, zrelektowawszy się wszakże, cofnął swój rozkaz, zmieniając karę śmierci na ponowną katogę w Akatui. Tu też Łunin życie swe zakończył. Dzielny ten rewolucjonista, był szczerym przyjacielem Polaków i pozostawał w stosunkach serdecznej zażyłości z bohaterem powstania listopadowego, Piotrem Wysockim. Szczegóły, dotyczące życia Michała Łunina, zamieszczone są w pismach Agalona Gilera, w życiorysie jego, kursującym tajemnie po Rossyi w języku rosyjskim; w Syberyi przechodzą one tradycyjne z ust do ust.

(Przypisek tłumacza).

jąc w ulicy stada bydła, pędzonego przez pastucha, przyodzianego baraním kozuchem. Wreszcie woźnica zatrzymał konie przed »ziemską kwaterą«, gdzie zoczyliśmy całą chmarę ściągających się zewsząd ciekawych widzów. Ponieważ było już zbyt późno, przeto odkładając zamiar zwiedzenia więzienia do dnia jutrzejszego, rozgościliśmy się w owej ziemskiej kwatery i zaspokoiwszy ciekawość przybyszów, dopytujących się o nasze osoby, wzięliśmy się do przyrządzenia wieczerzy. Zapasy naszego jada były nadto skromne, ażeby w nich wybierać, niebawem jednak pojawiła się gospodyni domu, niosąc samowar kipiący, mleko i masło. Pan Frost wydobyl z tryumfującą miną puszkę smażonych, kalifornijskich brzoskwiń, które »szczególnym trafem« udało mu się nabyć w Strieżyńsku i rozsiadłszy się przy żywo płonącym ogniu, rozgrzewaliśmy na kijach kawałki zmarzniętego chleba. Wieczerzę tę zjedliśmy z takim smakiem, że pan Frost zapomniał nawet o przyrządzeniu zapowiedzianych grzaniczek na mleku. Poprzestając na tem co było, rozłożyliśmy się wygodnie na podłodze i zasnęli.

W środę, po śniadaniu, złożyliśmy wizyte inżynierowi górniczemu panu Nestorowowi i pułkownikowi Saltszteinowi, naczelnikowi więzienia katorżnego. Pan Nestorow, przyjąwszy nas nader gościnnie, nastawał uparcie byśmy zasilili się przekąską, nalewając nam kieliszki wódka, winem, to znów bostońską lemoniadą. Dom mieszkalny pułkownika Saltszteina urządzony był bardzo wygodnie; w pokojach mnóstwo kwitnących oleandrów, geranji i abutyłji. Na usilne zaprosiny gospodarza, musieliśmy wypróżnić z nim wspólnie parę butelek wina i dopiero o godzinie pierwszej z południa skierowaliśmy się ku kopalniom. Pułkownik Saltsztein, Finlandczyk, mówił po rossyjsku, zachowując akcent niemiecki: zdawał się być człowiekiem uczciwym, dbałym, a przedewszystkiem dobruśnym dowcipniem.

— Obawiam się — rzekł do mnie, gdyśmy jechali przez wieś — ażeby więzienie nasze nie wydało się panu najgorszem ze wszystkich dotychczas mu

znanych. Jest ono bardzo stare i źle utrzymane, ja zaś niczem przyczynić się nie mogę do jego poprawy, zwłaszcza, że nadto wielka odległość dzieli nas od Petersburga.

Zauważyłem, że więzienie to z pewnością nie wyda mi się gorszem od katorżnego w Uść-Karze. Pominąwszy uwagę moją milczeniem, wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że po zwiedzeniu więzienia w Algaczi nabędę większego jeszcze doświadczenia. Niebawem zatrzymaliśmy się przed wysoką palisadą: sztyldwach sprezentował broń, zaś oficer służbowy wprowadził nas w obszerne podwórze, pośród którego stało więzienie. Był to długi, niski, prostokątny budynek drewniany z dachem pokrytym dranicami, opatrzoney wchodowemi drzwiami i długim rzędem mocno okratowanych okien. Całość robiła wrażenie zdawna zaniedbanego, wałącego się budynku. Jedna z ścian podłużnych tak dalece się pochylała ku ziemi, że przynajmniej na jakie stóp dwie, zbaczała od kierunku pionowego: niezawodnie dom ten zdawna już byłby się zawalił, gdyby go nie był podtrzymywał cały szereg zasadzistych, drewnianych podpór. Zdaje się, że budynek ów był niegdyś tynkowany, powłoka jednak ze szczerem obleciała, tak, że obecnie wydawał się zupełną rudera. Pułkownik Saltsztein nie był w stanie oznaczyć daty postawienia tego budynku, zdawało mu się, że sięga on r. 1817. w którym odkryte zostały te kopalnie. Wązki, długi korytarz, do którego weszliśmy, przepelniony był odorem stęchlizny. Tuż na prawo od wchodu znajdowała się apteka, a w przyległej izbie lazaret, mieszczący w sobie ośm do dziesięciu chorych więźniów, leżących na skrwawionej pościeli. Ludzie ci byli tak wybledli, wyniszczeni, sponiewierani i przygnębieni, że dotychczas nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać podobnie przerażającej nędzy. Nadzorca mówił mi, że większość tych nieszczęśliwych, okaleczoną została odłamkami skał, wysadzanych dynamitem. W lazarecie był taki zabójczy fetor, że w obec niego, powietrze korytarzowe, przepelnione także stęchlizną,

zdawało mi się nietylko znośnym, ale nawet dość orzeźwiającem. Pierwsza cela, zajmująca przestrzeń około 22 stóp □ zaś 8 do 10 stóp wysoka, opatrzona była dwoma oknami, piecem murowanym i drewnianymi, szerokimi narami. Wentylacji nie było nigdzie ni śladu; powietrze również złe jak w najgorszych celach więziennych w Uś-Karże; wdychałem je o tyle o ile zmuszała konieczność. Na wstępie zwróciły moją szczególniejszą uwagę brudno czerwone piętna, ciągnące się długą, szeroką smugą wzdłuż opadłej z tynku ściany. Zmiarkowawszy to, pułkownik Saltsztein w właściwy sobie, żartobliwy sposób, z przymieszką ironji oznajmił:

— To są próby więźniów, malowania ścian na czerwono.

Przyglądając się pilnie owym czerwonym smugom, dostrzegłem w nich mnóstwo małych, krwawych plamek z zasklepieniami pluskwami, które, dręczeni przez nie więźniowie, w czasie snu po omacku rozgniatali na ścianach. Od jak wielu lat i przez wiele tysięcy więźniów prowadzą się te próby malowania ścian na czerwono, wiedzieć nie mogę, mając wszakże już pewien zapas doświadczenia w polowaniach na sybirskie robactwo, której to strasznej plagi niejednokrotnie sam stawałem się pastwą — odczułem dotykalnie znaczenie owych czerwonych znamion.

Zbytecznym byłoby tu podawać opis reszty cel tego nędznego więzienia; niczem się one nie różniły od pierwszych, chyba tylko rozmiarami. W czasie naszej obecności, w więzieniu tem znajdowało się ogółem sto sześćdziesiąt dziewięć przestępców, t. j. dwa razy więcej nad ilość przepisana.

Przy pierwszej sposobności rzekłem do pułkownika Saltszteina: — prawdziwie nie pojmuję jak pan możesz ścierpieć podobne więzienie. Z liczby stu sześćdziesięciu dziewięciu przestępców, przetrzymywanych w tem więzieniu, najwyżej pięćdziesięciu uczęszcza do robót ziemnych, reszta zaś dusi się bezczynnie w zapowietrzonych izbach. Dla czego pan tych ludzi, sie-

dzących z założeniami rękoma, nie posyłasz do lasu w celu przygotowania materiału budowlanego na wystawienie nowego więzienia. Wszak oni z chęcią wzięliby się do roboty i przy stosunkowo małych wydatkach stanąłby nowy budynek więzienny, w którym jakoś po ludzku mieszkać by mogli przestępcy.

— Mój panie łaskawy — odrzekł on — ja nie jestem w prawie posyłania przestępców do lasu, bez uzyskania na to pozwolenia od władz wyższych. Gdyby który z nich drapnął, o co wcale nie trudno, w takim razie pociągnięto by mnie do odpowiedzialności i pozbawiono posady. Nie mogę sam nic rozporządzać, nie mając rozkazu od zwierzchności. Władze petersburskie wiedzą dokładnie o stanie tutejszego więzienia; składam im szczegółowe raporta i od pięciu już lat nie przestaję ich niepokoić ustawicznymi prośbami o wystawienie nowego budynku więziennego; w odpowiedzi na to, otrzymałem rozkaz porozumienia się w tej sprawie z budowniczym okręgowym i sporządzenia kosztorysu. Wszystko to się zrobiło, ale panu dobrze wiadomo jakimi drogami idą podobne sprawy. Sama korespondencya z Petersburgiem wymaga dwóch miesięcy czasu. Gdyby nawet szczęśliwym zbiegiem okoliczności plany nasze zostały przyjęte, to w dalszym ciągu muszą one nieodwołalnie oprzeć się o Oddział więzienny. Tam znów, całe bióra zavalone są setkami rozmaitych dokumentów z różnych więzień cesarstwa; dużo też wody upłynąć musi zanim sprawa ta wejdzie na porządek dzienny. Dodać tu należy, że projekta budowy, wymagające znacznie większych nakładów, winny być przedkładane do rozpatrzenia ministrowi finansów, lub też czekać terminu załatwienia przyszłorocznego budżetu. W każdym razie, sprawa wymagała by co najmniej jednego roku. To jeszcze nie koniec. Zdarza się, że wszystko już w porządku, a tu niespodzianie pojawia się ktoś, niemający pojęcia o miejscowych stosunkach i kwestyonuje plany z jakichś tam względów; wprowadza swoje poprawki, w skutek czego projekta już przyjęte, zwracane są

nam i znów powrotnie wędrują do Petersburga. Tymczasem w samym zarządzie więziennym może zajść zmiana personalu. Nowi urzędnicy mogą mieć odmienne poglądy na rozkład budynków więziennych, skąd wypływa, że plany uznane w roku 1881 za właściwe i dobre, w dwa lata później nie wytrzymują krytyki i jako takie zostają odrzucone. To samo powtarza się z roku na rok. Poczynając od r. 1880, plany i projekta więzienia podróżują wciąż pomiędzy Algaczą i Petersburgiem. Obecnie, już po raz trzeci pojechały do stolicy. Przy takim składzie rzeczy, cóż ja mogę zrobić? Przypuśćmy nawet, że plany zostały przyjęte, to mimo tego roboty pójdą żółtym krokiem i wiele lat jeszcze minie, zanim budynek zostanie wystawiony. Rząd od lat już dziesięć rozpoczął budowę więzienia katorżnego w Caratui, a dotychczas nie ma tam jeszcze dachu; przemilczę już o podłodze i reszcie. — Ależ — rzekłem, przerywając mu — podobny system jest nierozsądnym i zupełnie nieracjonalnym. Owa trzyletnia korespondencja z Petersburgiem — o której pan wspominasz — jest zupełnie zbyteczną, bo całą sprawę może załatwić isprawnik w ciągu jednej doby. W całej wschodniej Syberii spotykamy na każdym miejscu pruchniejące więzienia, w którym przesiaduje mnóstwo dość zdrowych przestępców z założonymi rękami. Okolica wszędzie leśna, obfita w budulec, robota przysłaby daremnie, majstrów w Syberii nie brak; dla czego więc pan nie zabierzesz do roboty swoich więźniów?

— Nie dostaje nam należytej straży do pilnowania w lesie aresztantów; pozbiegają — odpowiedział pułkownik Saltsztejn.

— To mnie bynajmniej nie przekonywa — odpowiedziałem. Wszak podczas wyrębu drzew możnaby zwiększyć strażę. Nie było by wreszcie nieszczęścia, gdyby nawet i uciekło jakich kilku aresztantów. Ja bym wołał rozpuścić na cztery wiatry przynajmniej jaką połowę więźniów, niż trzymać ich bezczynnie w takich ohydnych budynkach! — Pułkownik, wzru-

szył tylko ramionami i przerwał rozmowę. Co do mnie, obstawałem uparcie przy mojem zdaniu, gdyż nie miałem usprawiedliwionej przyczyny zmieniać je. Jestto prawdziwą hańbą, ażeby w państwie ucywilizowanym, przetrzymywano choćby najgorszych nawet przestępców w takim zaniedbaniu i nędzy. Podobna opieślność i obojętność na cierpienia ludzkie nie jest do wybaczenia.

Pożegnawszy pułkownika Saltszteina z wyrazem dziękczynienia za doznaną w domu jego gościnność, udaliśmy się z panem Nestorowem do kopalń położonych w dolinie, odgraniczonej od północy pasmem gór. Dzień był pogodny i przyjemny, ale zimny; ziemia pokryta była wszędzie obficie śniegiem. Zdała, zoczyliśmy przed sobą poruszające się na lśniącej powłoce śnieżnej jakieś ciemne, nieokreślonych kształtów przedmioty, wprowadzające nas w coraz większą ciekawość.

— Z pewnością są to wielbłądy — oznajmił pan Frost.

— Wielbłądy! — zawołałem z niedowierzaniem — wielbłądy w kopalniach nerczyńskich! to coś niesłychanego. Mogłyby one wytrzymać tak surowy klimat.

W miarę zbliżenia się ku owym ruchomym przedmiotom, przekonywaliśmy się coraz dotykałniej, że to są wielbłądy. Czyje one były? Dokąd podążały? tego objaśnić sobie nie mogłem, jednakże widok dwugarbnego wielbłąda w lodowej pustyni, sprawił na mnie dziwne wrażenie.

Uczuliśmy się niemało rozczarowani, spotkawszy w kopalniach algaczyjskich zamiast spodziewanych górniczych budynków i machin parowych, piwnicę ze słomianą strzechą, służącą za skład dynamitu, kilka baraków i drewniany dom, w którym, oprócz starych narzędzi, mieściła się tłuczakarnia i sortownia kruszców. Całą tę osadę dopełniały koszary strażnicze, w których zastaliśmy szesnastu aresztantów i dwie czy trzy aresztantki, zajętych tłuczeniem kruszców krótkimi młotkami i zarazem rozgatunkowaniem rozdrobnionej rudy.

Nadzorca ostrzył świder na jakimś zużytem już toczydle, kilku zaś żołnierzy spoczywało na niskiej drewnianej ławie, nad którą pozawieszali swe karabiny. Wszystko to z czem się spotkałem w tych kopalniach, świadczyło o najsłabszym rozwoju działalności górniczej.

Pan Nestorow, nie mając chęci oprowadzania nas po kopalniach, dał nam za przewodnika jednego z więźniów, polecając mu, by nam pokazał wszystko, co go-dniejszym jest widzenia, sam zaś, mając coś do załatwienia, oczekiwał naszego powrotu. Przewodnik dał każdemu świecę łojową owiniętą w dole kawałkiem papieru, sam wziął także do rąk świecę, włożył niedbale do kieszeni napiersnej kożucha kilka nabo-
dynamitowych, nie zwracając żadnej uwagi na włóczące się białe sznury zapałowe i oznajmił gotowość do wyjścia. Postępując w jego ślady, zeszliliśmy w dół do głę-
bokości jakich tysiąca metrów i precyzyjnie się przez wążki drzwi, znaleźliśmy się w niskiej, podziemnej sztolni, w której na drewnianych pokładach leżały niedbale założone, żelazne szyny kolejowe. Zapaliwszy tu świece, postępowaliśmy wciąż naprzód. Nasz prze-
wodnik z rozpuszczonymi sznurami zapałowymi potykał się wciąż na drewnianych progach, ja zaś pocier-
piałem na samą myśl, że przy spodziewanem lada chwili zetknięciu się sznurów z płomieniem, wylecimy w powietrze. W odległości jakich stu pięćdziesięciu stóp od wchodu, czernił się otwór wprowadzający do głównej kopalni. Nasz przewodnik zrećnie zsunął się na drabinę i krocząc wciąż w dół, nieprzestawał ostrzegać nas byśmy zstępowali po drabinach z całą uwagą, gdyż w niektórych miejscach niedostaje szcze-
bli. Drabiny postawione były nader stromo i powią-
zane z sobą w ten sposób, że przy złączeniach, trze-
ba było wyciągać dobrze nogę, by zeprzeć stopę na szczeblu. Przy największej wszakże baczości nie tru-
dno było się potknąć, czego się też najwięcej oba-
wiałem, albowiem przewidziane w takim razie zattle-
nie się knota patronowego, groziło nam rozerwaniem na sztuki. Stawali mi wciąż przed oczyma owi nie-

szczęśliwi, broczący w swej krwi więźniowie na łóżach szpitalnych; przy każdym też potknięciu się kroczą-
cego przedemną przewodnika z rozpuszczonymi sznu-
rami zapałowymi, widziałem siebie samego na łożu szpitalnem, operowanego przez chirurga lub też zupeł-
nie nieżywego.

W miarę zapuszczania się w głąb kopalni po stromych drabinach, to znów osłizłych balach, docho-
dził nas coraz bardziej nieprzyjemny odór, wywią-
zujący się podług mego zdania, z rozkładającego się
cząstkowo dynamitu w galeryach pobocznych. Świece
nasze gorzały płomieniem błękitnym, wreszcie zupełnie
pogasty; zapałki także nie chciały się palić, tak, że
po omacku wśród głębokiej ciemności natknęliśmy na
jakąś zepsutą drabinę, stojącą nad bezdenną przepa-
ścią. Wyczekując z napiętą uwagą, rychło powietrze,
gaszące płomień świece, nie słumi oslatniego naszego
oddechu. Powietrze, aczkolwiek nader ubogie w tlen,
nie groziło wszakże uduszeniem. Niebezpieczeństwo
wkrótce przeminęło, zwłaszcza, gdy przy świetelku
wciąż pocieranych zapałek zszedłszy po dwóch czy
też trzech drabinach, znaleźliśmy się przy otworze
wprowadzającym do galeryi, gdzie już świece nasze
zajaśniały zwykłym płomieniem. Zapuściliśmy się w głąb
tej galeryi na jakie sto metrów, napotykając od czasu
do czasu stosy błyszczącego kruszcu, nagromadzonego
tu przez aresztantów z przedniej szachty. Temperatura
w kopalniach nie obniżyła się po nad 0°. Ściany i wierzch
galeryi pokrywały kryształy lodowe, błyszczące gdyby
dyamenty. Przeszedłszy mnóstwo korytarzyków, roz-
gałęziających się w różnych kierunkach, doszliśmy do
drugiej kopalni, skąd po długim szeregu powiązanych
z sobą, zepsutych drabin, spuściliśmy się do najgłę-
bszej. W kopalni tej pracowało sześciu do ośmiu wię-
źniów; narzędzia i przyrządy górnicze, z jakimi tu
spotkaliśmy się, były tak niezdarne i niehywałe, że
na ustach górnika nawadyjskiego wywołać mogły
tylko uśmiech pogardy. Powietrze w tej najgłę-
bszej kondygnacyi okazało się bardzo ubogie w tlen

i do tego stopnia zanieczyszczone gazami wybuchowymi, że świece gasły nam nieustannie; nigdzie nie można tu było dostrzedz przyrządów wentylacyjnych prócz jednego bębna wiatrakowego, obracającego się na osi za pomocą drewnianej korby. Maszynerya ta, robiąca wiele hałasu, przy braku kanałów, odprowadzających powietrze, chybiała zupełnie swojemu celowi. Cała działalność owego instrumentu skierowaną była ku wymięszeniu zepsutego powietrza, ale taki sam skutek dał by się osiągnąć wprowadzeniem w ruch obrotowy zwykłego tarczy.

Przypatrzywszy się pracującym tu więźniom, zabraliśmy z sobą próbki kruszców i drapiąc się w górę po długim szeregu związanych z sobą drabin, ujrzeliśmy znów światło dzienne.

Powietrze było mroźne, ostry przenikliwy wiatr, hulając po nagim pagórku, smagał twarz stojącym pod drzwiami warsztatów, skostniałym, kilkunastu aresztantów. Ludzie ci, ukończywszy już swe roboty, zwrócili się do pana Nestorowa z prośbą, by im pozwolił wejść do wnętrza izby; zgromił on ich surowo za tę śmiałość i oznajmił szorstko, że po ukończeniu zbiorowych robót będą mieli dość czasu do zagrzania się. Niebawem nadeszli inni więźniowie, jeszcze więcej wymęczeni od poprzednich, ci bowiem od ranka nie mieli nic jeszcze w ustach. Tym to biedakom nie dozwolono również przestąpić progu sieni więziennej i trzymano ich na mrozie i wietrze do ukończenia rozgatunkowania kruszców w kopalniach. To srogie i nielitościwe zachowanie się urzędnika górniczego w obec biednych więźniów, posłużyło mi wymownym dowodem, że niekorzystna opinia o zarządzie kopalni, udzielona mi przez młodego technika z Petersburga, była sprawiedliwą. Prośba o pozwolenie zagrzania swych skostniałych członków, wniesiona do pana Nestorowa przez zziębniętych aresztantów, została przyjęta przez niego z takim oburzeniem i gniewem, jakby nosiła charakter jakiejś napaści lub buntu przeciw władzy.

Przyjrawszy się tłuczeniu i rozgatunkowaniu kruszców, pojechaliśmy do kopalń pokrowskich, leżących u stóp nagiej góry, w odległości sześciu kilometrów w kierunku północno-wschodnim. Smętniejszej nad tę okolice, nie wytworzy sobie żadną wyobraźnia. Nigdzie ani jednego drzewa lub krzewu, a gęsto rozrzucone wysokie wzgórza, nadawały tej okolicy fizyonomię zbałwanionego burza oceanu. Osada górnicza składała się z jednego domu drewnianego, podobnej konstrukcji jak w Algaczi, z magazynu, w którym składano sprzęty i narzędzia górnicze, kilku chat drewnianych, zamieszkałych przez katorżników z pod »wolnej komendy« i dwóch małych budynków więzennych. Na szczycie skalistej góry, dominującej po nad wszystkimi zabudowaniami, stały dwie budki strażnicze, przed którymi stali żołnierze, uzbrojeni karabinami. Pan Frost, któremu po nużącej pielgrzymce brakło ochoty do dalszych oględzin kopalni, siadł sobie na śniegu, zdejmując zziębniętą ręką okolice, podczas gdy ja, w towarzystwie pana Nestorowa, udałem się z przewodnikiem do głównej szachty. Kopalnie pokrowskie mniej są rozgałęzione i zarazem płytsze od algaczyjskich. Powietrze było wilgotne, ale dość ciepłe; sącząca się ze ścian galeryi woda tworzyła kałuże, a drabiny po których schodziliśmy, owalane były błotem. Daremnie usiłowalem wyjaśnić sobie przyczynę znacznych różnic temperatury pomiędzy kopalnią tu tejszą, a tak blisko niej położoną, algaczyjską; a i pan Nestorow, jako miejscowy górnik, nie był w stanie wytłumaczyć mi należyście rzeczonożego zjawiska. Wszak w Algaczi, korytarze podziemne na długości 75 do 100 stóp iskrzyły się kryształami lodu, podczas gdy tutaj sztolnie i przechody podziemne przesiąknięte były wilgocią, a powietrze na tyle czyste, że świece nasze gorzały dość jasnym płomieniem. Zastaliśmy tu kilku tylko więźniów napełniających wiadra tłuczonym kruszczem, które wyciągano w górę przy pomocy niezdarnej windy. Spuszczałem się w dół, to znów wdramyłem się pod górę po oślizłych drabinach, wresz-

cie, zablocony po uszy, naginając grzbietu, wygramoliłem się do niższej galeryi, skąd obłany potemi z bólem w krzyżach wróciłem do warsztatów. Przewodnik nasz, nie zagasiwszy należycie świecy łojowej, cisnął ją nie dbale z swędzącym się jeszcze knotem do skrzynki, w której obok sprzętów górniczych, leżały naboje dynamitowe. Nie należałem ja nigdy do ludzi nerwowych ani też lękliwych, jednakże widząc co się dzieje, wyskoczyłem z izby do przedsionka, oczekując tu, póki tlejący się knot nie zgaśnie zupełnie. Wróciwszy wtedy do izby, obmyłem zablocone ręce w korytku toczydła, przejrzałem szkice pana Frosta, zawiązując długą rozmowę z panem Nestorowem.

Żyły srebrne w kopalniach algaczyjskich dochodzą do sześciu stóp długości i dwunastu cali szerokości*). Błyszczący kruszec, składający się z ołowiu i srebra w stosunku 100 : 1, zawiera pewną przymieszkę łuszczyka cynkowego (cinkowej obmanki). Ponieważ punkt topliwości cynku, leży poniżej ołowiu, przeto dla ułatwienia topliwości rudy w właściwych piecach, rozbijają ją poprzednio na małe kawałki, a następnie sortują czyli przerabiają. Przebieranie tłuczonej rudy ma na celu odtączenie kawałków obfitujących w srebro od uboższych. Robotę tę, zaliczającą się do lżejszych, wykonywują kobiety i słabsi mężczyźni przy pomocy młotków żelaznych, opatrzonych krótkimi, drewnianymi trzonkami. Kopalnie algaczyjskie i pokrowskie, zaliczające się do najwydatniejszych z pomiędzy wszystkich innych okręgu nerczyńskiego, dostarczają rocznie 400 ton kruszcu ilość zaś wytopionego z nich srebra wynosi 1440 funtów, wartości 20.000 dolarów (50.000 złr.), i 144.000 funtów ołowiu.

*) W odnóżach głównych pasm gór zabajkalskich, pokłady wapienne, wyparte przez granity, poprzeżnane są równoległe żyłami srebrnymi. Żyły te wdzierają się także w pokłady łupku i szarej waki. Rudy, zarówno ołowiane jak i żelazne, zawierają pewien procent srebra metalicznego, te pierwsze wszakże, ze względu na swą łatwą topliwość, mają pierwszeństwo nad drugimi.

(Przypisek *tlómacza*).

Ołów nie ma na miejscu żadnej ceny, a koszta przewozu są tak znaczne, że produkcya tego metalu zupełnie się nie opłaca; w czasie naszego pobytu w Kutumarskim Zawodzie, gdzie się znajduje piec do stapiania kruszców, leżało na składzie 2000 ton ołowiu. W obydwóch wspomnianych kopalniach pracuje około 320 robotników, z których każdy wydobywa rocznie 3600 funtów kruszcu, czyli 10 funtów dziennie. Cyfry te wskazują wymownie o bezpożyteczności kopalń. Do r. 1885 więźniowie zmuszeni byli pracować w szachtach zarówno dniem jak i nocą, z wyjątkiem tylko świąt pierwszorzędných, obecnie wszakże dozwolono im jest wypoczywać dwa dni w ciągu każdego miesiąca, mianowicie pierwszego i piętnastego. Robota, którą wyznaczają więźniom do wykonania w ciągu dnia, nie jest zbyt uciążliwą; człowiek średnich sił może ją wykonać w ciągu ośmiu do dziesięciu godzin. Dzienna strawa więźniów jest taż sama co w katordze karyjskiej i to zarówno pod względem ilości, jako też jakości; podobnież ma się rzecz z odzieżą aresztantów. Koszta roczne utrzymania więźnia wynoszą 40 dolarów (100 złr. w. a.) czyli 21 centów dziennie.

Kopalnie nerczyńskie w ogóle jako zakłady karne, nie wydały mi się tak straszne jak je zwykle opisują. Rozumie się, że ośmio do dziesięcio-godzinna codzienna praca w wilgotnych, podziemnych galeryach, 300 stóp pod powierzchnią ziemi, nie jest wcale rzeczą przyjemną; podług mnie i ta nawet uciążliwa praca jest znośniejszą i mniej szkodzi zdrowiu, niż ciągle, długotrwałe przebywanie pod kluczem w brudnych, ciasnych izbach, przepelnionych zabójczymi wyziewami. Kopalnie nerczyńskie w ogóle są najgorzej przewietrzane, gazy wydobywające się z rozkładu materiałów wybuchowych źle oddziałują na zdrowie, pracujący wszakże w tych kopalniach więźniowie, nie są narażeni na wdychanie zabójczych par rtęciowych, jak to się dzieje w minach cynobrowych; cyfry zaś statystyczne wykazują, że śmiertelność nie w większym stopniu dotyka przestępców pracujących w kopalniach niż

przetrzymany bezczynnie w więzieniach. Mając do wyboru pomiędzy ciągle zamknięciem pod kluczem, a robotą w kopalniach karyjskich lub algaczyjskich, niezawodnie dałbym pierwszeństwo tej ostatniej. O ile slyszalem z ust samych nawet przestępców, to nie zmuszano ich nigdy do pracowania dniem i nocą w kopalniach, sądzę więc, że przeróżne tego rodzaju opisy są zmyślone, nie zaś prawdziwe. Roboty w kopalniach nerczyńskich prowadziły się dawniej dniem i nocą, wszelako żaden z więźniów nie pracował jednym ciągiem przez całą dobę, lecz zmieniano robotników podług porządku. Obecnie roboty nocne są zupełnie zniesione tak, że na schyłku dnia wszyscy przestępcy powracają z robót do więzień. Życie rossyjskiego katorżnika w kopalniach nerczyńskich nie jest wcale znośnem. Nie mogę sobie przedstawić straszniejszego i okrutniejszego położenia nad to, w jakim się znajduje katorżnik w kopalniach nerczyńskich, a w szczególności w Algaczi. Wszakże przez dzień cały zmuszony on jest pracować w wilgotnych błotnistych sztolniach, nocą zaś poniewierać się jak pies w brudnych celach więziennych, rojących się robactwem. Podobne życie jest gorsze i nędzniejsze niż wygnanego psa, jednakowoż nie tak przerażająco okrutne, jak owego więźnia, wytworzonego wyobraźnią Murraya, który dniem i nocą zmuszony jest pracować w podziemiach pod biczem nielitośnego nadzorcy, odpoczywać w szczelinach skał i oddychać trującymi parami rtęciowemi. Podobne rzeczy mogą figurować w jakimś sensacyjnym dramacie, ale nie dzieją się w rzeczywistości.

Na samym zmierzchu wróciliśmy z pp. Nestorowem i Frostem z kopalń pokrowskich do Algaczi. Przy źródle obok ziemskiej kwatery, dziewczęta wiejskie poiły krowy i niosły do domów wiadra napełnione kawałami lodu. Zajechaliśmy wprost do mieszkania pana Nestorowa, gdzie poobiadowawszy i pogawędziwszy godzin parę, resztę wieczora poświęciliśmy spisaniu notatek podróży i szkicom.

W piątek rano 20. listopada pożegnaliśmy pana

Nestorowa tudzież pułkownika Saltszteina i wyruszyli niewygodną, parokonną telegą do osady górniczej w Kadai, odległej od Algaczi o dwadzieścia siedm kilometrów. Powietrze było mroźne, gościniec snuł się wciąż po pęsepnych, jednostajnych, śniegiem pokrytych wzgórzach, tak, że w ciągu tej dwudniowej podróży nie spotkaliśmy się z niczem, zasługującym na uwagę. W piątek około północy stanęliśmy w siwono, zgodniali i strudzeni siedmdziesięciu kilometrową podróżą; w sobotę rano przybyliśmy do Kutomarskiego-Zawodu, zatrzymując się tu godzin kilka dla zwiedzenia tamecznej odlewni, zaś w niedzielę rano, udęczeniu niewygodnym noclegiem, zziębnięci i zgodniali jak psy, szukaliśmy przytułku w »ziemskiej kwaterze«, w nędznej wioszczynie górniczej Kadaja. Zagrzawszy się nieco herbatą, legliśmy do snu, pan Frost na przypieku, ja zaś podług zwyczaju na podłodze.

Pokrzepieni kilkogodzinnym snem, następnie skąpem śniadankiem, składającym się z herbaty i chleba, wyszliśmy z chaty na szeroką, śniegiem pokrytą, wiejską ulicę. Pan Frost wziął się do odszkiecowania wsi, ja zaś wstępowałem do różnych domów, dopytując się o nadzorcę robót górniczych, czyli »ustawczika«.

Kopalnie srebra w Kadai, zaliczające się do najdawniejszych i najwydatniejszych w całym okręgu górniczym nerczyńskim, leżą tuż pod wsią u stóp stromej, wyniosłej góry z zaokrąglonym wierzchołkiem. Kopalnie te dostarczały rządowi przez lat sto znaczną ilość rudy srebrnej, dziś wszakże są one już wyczerpane i uboższe w metal od pokrowskich i algaczyjskich.

»Ustawczika« zastałem przy robocie w własnym jego domu w pobliżu kopalni; był to roztrpny, zmyślny i wcale wykształcony włościanin. Przyjął on mnie bardzo serdecznie i odczytawszy z niemałym zdumieniem moje listy polecające, oświadczył się każdej chwili gotowym na moje usługi. Udaliśmy się wkrótce do kopalń, wstępując najpierw do warsztatów, w których znajdował się przyrząd do windowania kruszców, wydobywanych z głównej szachty.

Tu wdziałem na siebie jakiś stary, wszawy chałat, podany mi przez jednego z aresztantów; ustawczik okrył się innym, podobnież brudnym chałatem, wziął na głowę jakąś sponiewieraną, urzędową czapkę i nałożywszy na ręce, grube, skórzane rękawice, skierowaliśmy się oba z zapalonemi świecami do kopalni. Zszedłszy w dół po kilku powiązanych z sobą drabinach do głębokości 120 stóp, zoczyliśmy się w obszernej izbie, z której rozchodziły się w różnych kierunkach obszerne, podziemne galerye. Korytarze, do wysokości czterech cali, zalane były wodą; wilgoć sączyła się kroplami z ścian i wierzchów. W głębokości około 200 stóp natknęliśmy na drugą kondygnację, skąd poczynająca się szeroka i wysoka galerya prowadziła do samego łona góry. Przed chwilą rozsadzano tu skały, w skutek czego dymy, wywiązujące się z rozkładu materij wybuchowych, tak tłumnie zaległy wewnątrz galeryi, że nie mogłem tam niczego się dopatrzeć, prócz nikłego płomyka świecy, niesionej przez »ustawczika«. Płomyk ten był dla mnie gwiazdą przewodnią po ciemnej, nierównej, przepaścistej galeryi, gdzie utykając co chwila, omałom raz nie runął w głębie zarzuconego już szachtu. W ciągu tej podziemnej pielgrzymki natknąłem na inną znów jamę, prowadzącą do starej kopalni, która podług słów »ustawczika«, w połowie zeszłego stulecia dostarczała ogromnej ilości kruszców. Słupy, podtrzymujące tę galeryę, oraz wierzchnie bale, były zupełnie zbutwiałe i tak miękkie, że odlatywały pod palcami. »Ustawczik« uznawał tę część kopalni za bardzo niebezpieczną i odradzał od zapuszczania się w głąb. Idąc za jego radą, nie ruszałem się z dotychczasowego stanowiska, obserwując stąd rozgałęziające się w różnych kierunkach, nieforemne jaskinie. Widocznie poszukiwano tu wszędzie kruszczu, wyczerpano go wszakże doraźnie, w sposób jaknajtańszy, nie kwapiąc się wcale o zabezpieczenie kopalni należytem podstemplowaniem jakoteż podmurówką. Nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy zwiedzać podobnie niebezpiecznych kopalń.

Opuściwszy owe obszerne jaskinie, pamiętające jeszcze czasy carycy Katarzyny II., skierowaliśmy się ku najgłębszej szachcie, wyrabanej w skale pod kątem 45°. Ponieważ drabin nie było tu żadnych, ani też poręczy, przeto spuszczaaliśmy się w głąb z całą ostrożnością, przytrzymując się rękoma starych, zardzewiałych łańcuchów, przymocowanych do skalistych ścian, brodząc po kostki w spływającej wodzie. — W najgłębszej części tej kopalni spotkaliśmy więźniów wysadzających dynamitem nową galeryę. Drapiąc się w górę do wysokości 400 stóp po szeregu związanych z sobą, prostopadle stojących drabin, wygramoliliśmy się na wierzch. Wreszcie, przemoczony i zablocony po uszy, resztkami sił wszedłem do warsztatów, nie mogąc się utrzymać na własnych nogach.

VII.

Przygody nasze w Wschodniej Syberyi.

Zwiedziwszy z p. Frostem ponure kopalnie i nędzne, chylące się ku upadkowi więzienie w Kadai, podążyliśmy przez rozdoły i bezleśne, śniegiem pokryte wzgórza, do osady górniczej w górnej Carantui, położonej wśród szerokiej, nagiej doliny, ciągnącej się około wiorst czterdziestu wzdłuż granicy mongolskiej. Późną już nocą nadciągnęliśmy do stojącej pośród wsi »ziemskiej kwatery«, gdzie wprowadzeni przez zaspanego stróża, posiliwszy się herbatą, legliśmy do spoczynku na podłodze, czerniącej się brudem i rojami robactwa. W poniedziałek rano odwiedziliśmy komendanta osady katorżniej kapitana Demidowa, z którym udaliśmy się bezwzględnie do więzienia. Składało się ono z dwóch starych, drewnianych budynków, nie różniących się kształtem od wszystkich innych więzień sybirskich. W obydwóch tych budynkach mieściło się osmdziesięciu więźniów, reszta zaś, odsiedziawszy »czas próbny« w więzieniu, przemieszkowała obecnie pod »wolną komendą«. Nieopodal od wspomnianych więzień wznosił się niewykończony jeszcze, trójpiętrowy, murywany budynek. Wiedząc już poprzednio, że roboty około tego budynku, rozpoczęte przed dziesięcioma jeszcze laty, niejednokrotnie były przerywane skutkiem niedołęstwa i oszustwa kierowników, nie liczyłem na

spieszniejsze jego ukończenie jak w ciągu jakich lat pięciu lub sześciu. W czasie naszych nawiedziny, budynek ów nie był jeszcze pokryty dachem, tymczasem dzięki tej opieszałości, stu osmdziesięciu więźniów musiało się gnieździć w starym, zbutwiałym budynku, wśród warunków, grożących im zagładą *).

Dla amerykańskiego istotnie niepojętą jest opieszałość i brak energii ze strony zwierzchności, z jaką na każdym kroku spotyka się musi w kopalniach nerczyńskich. Cała działalność tutejszych władz polega na ciągłym zwlekaniu; całe setki przestępców, skazanych do ciężkich robót wylegają bezczynnie w brudnych, przepelnionych celach; plany i projekta no-

*) Po powrocie naszym do Petersburga, w początkach następnego roku, rozmawiając z panem Galkin-Wrasskinem, naczelnikiem głównego zarządu więziennego w cesarstwie, ośmieliłem się zwrócić jego uwagę na stan więzień katorżnych w okręgu nerczyńskim, a w szczególności, na niewykończone dotąd więzienie w Górnej Carantui. Odpowiedział mi, że jeszcze w r. 1872 uznał potrzebę wybudowania nowych więzień, zaś w r. 1874 wybrany został wyłączny komitet budowlany w celu zbadania stanu rzeczy i złożenia rządowi sprawozdania z połączeniem właściwych planów. W siedm lat później, po powrocie do Petersburga pana Galkina-Wrasskoja z inspekcji więzień sybirskich, odbytej w roku 1881, udało mu się wysledzić, że ów komitet wydał na postawienie dwóch budynków drewnianych i reperację starych, kwotę 74.318 rs. zaś 61.090 rs. schował do własnej kieszeni, nie przedstawiając Zarządowi więziennemu żadnych planów ani kosztorysów. Fakta te zamieszczone są w rocznikach Zarządu więziennego za rok 1882, str. 72 i 73.

— A więc — spytałem się — jakiż rezultat był tego wszystkiego.

— Rozkazałem rozwiązać ów komitet — odpowiedział.

— I rozwiązano go?

— Tak jest.

Zwiedzając więzienia nerczyńskie, nie mogłem dopatrzeć się nigdzie owych ulepszeń, na które komitet miał wyekspensować kwotę 74.000 rs. — oznajmiłem że z wyjątkiem jednego małego domku drewnianego w Pokrowsku i niewykończonego więzienia w Górnej-Carantui nic tam więcej nie widziałem. Dla jakich powodów więzienie to, którego budowę rozpoczęto przed dziesięcioma jeszcze laty, po dziś dzień nie zostało ukończone?

wych budynków przez długie lata podróżują pomiędzy kopalniami i Petersburgiem, a gdy wreszcie który z tych planów zostanie potwierdzonym przez władze wyższe, jak n. p. więzienie w Górnej-Carantui, wtedy budowa ciągnie się przez dziesiątki lat, bez żadnej przyczyny usprawiedliwiającej zwłokę. Spytałem pewnego razu inżyniera górniczego w Kutomarskim-Zawodzie, dla czego się nie postara o zaprowadzenie odpowiedniej, żelaznej maszynery; nie zaopatrzy robotników nowymi, ulepszonymi narzędziami; nie urządzi pompy parowej i przyrządów wentylacyjnych; wreszcie, dla czego nie prowadzi robót w sposób należyty?

— Mój drogi panie, — odrzekł on — a wiesz pan wiele to żelazo kosztuje? Zmuszeni jesteśmy dostawiać je na osiach z Zawodu Piotrowskiego, odle-

— Zwłokę budowy tłumaczy częściowo ta okoliczność — mówił pan Gałkin-Wrasskoj — że plan więzienia podlegał wielokrotnym zmianom. Dokładne obliczenia wykazały, że wybudowanie więzienia murowanego na stu osmdziesięciu więźniów kosztowałoby w okręgu górniczym 160.000 rs., podczas gdy budynek drewniany na tę samą liczbę więźniów, można wystawić za kwotę 52.000 rs. Dodać tu muszę, że budynki murowane nie mają pierwszeństwa nad drewnianymi, z tej mianowicie przyczyny, że przewidziane wkrótce wyczerpanie się kruszców w pobliżu więzień katorżnych, skłania rząd do zupełnego ich zniesienia. Co się tyczy budującego się więzienia w Górnej Carantui, to roboty podjęte około niego, zanadto już są posunięte, ażeby można ich zaniechać.

Zarówno pan Gałkin-Wrasskoj, jako też jego sekretarz Kowców, nie mogli mi należyście wyjaśnić przyczyn niedołężnego i nieracjonalnego prowadzenia robót górniczych w kopalniach nercyfińskich. Zapewniali mnie, że czynią wszystko co w ich tylko mocy, dla podniesienia przemysłu górniczego, wszelako wadliwy stan rzeczy sięga odległej przeszłości i jest tak dalece zakorzeniony, że na razie nie są w stanie zaprowadzić w zarządach górniczych zamierzonych ulepszeń. Być może w istocie, że w przeprowadzeniu swych reform natrafiają ci panowie na wielkie przeszkody, mnie się wszakże zdaje, że wadliwy stan systemu deportacyjnego w ogóle, a w szczególności zarządu więziennego, jest przeważnie wynikiem obojętności i opieszałości, a przede wszystkim nadto zawilej metody biurokratycznej traktowania spraw publicznych.

głego stąd o wiorst sześćset, tak, że kosztą sprowadzenia jednego puda (40 funtów) wynoszą $5\frac{1}{2}$ r. ($7\frac{1}{2}$ zł. w. a). Nie możemy więc zaprowadzić żelaznych maszynery.

Czy nie ma tu w pobliżu żadnych rud żelaznych? — spytałem.

— Są — odpowiedział, — ale nie dobywają ich.

— Dla czego pan nie zabierzesz się do przetwarzania tych rud na żelazo i nie urządzisz wielkich pieców, wszak materiał surowy jest na miejscu? Większość więźniów siedzi z założonymi rękami, dla czego nie bierzesz ich do roboty?

— Nie możemy zakładać żadnych hut żelaznych, bez uzyskania na to pozwolenia z Petersburga.

— Czemu się pan nie postarasz o pozwolenie u władz wyższych. Nie widzę żadnej usprawiedliwionej przyczyny, która by mogła skłonić rząd do odmówienia pozwolenia na prowadzenie tak pożytecznych robót? Przy takim stanie rzeczy jak jest obecnie, nie można myśleć nigdy o korzyściach.

W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, dając do zrozumienia, że nie wie lub nie chce wiedzieć o co tu idzie.

Z więzienia w Górnej-Carantui pojechaliśmy z kapitanem Demidowem do kopalń w Saweńsku, położonych na stromym stoku nagiej góry, w odległości trzech kilometrów od osady. Budynki górnicze nie różniły się niczem od poprzednio przez nas zwiedzanych, tu wszakże spotkaliśmy się z machiną parową, jedną i jedyną w wszystkich zakładach górniczych całej Syberyi. Pan Frost, wydobywszy papier i ołówkę, wziął się do odszkicowania pustej, lodowej okolicy, podczas gdy ja zapuściłem się do wnętrza kopalni; ta wszakże wydała się tak nędzną, że odeszła mi chęć schodzenia w dół po całym szeregu związanych z sobą drabin. W kopalniach tutejszych pracowało tylko trzydziestu pięciu więźniów, których cała robota zasadzała

się na wynoszeniu i zsypywaniu kruszcu do wielkiej czworokątnej skrzyni, objętości około czterewyka, a następnie windowaniu jej w górę przy pomocy jakiegoś starego, zużytego kołowrotu. Przystąpiły górnicze, z jakimi tu się spotkałem, nie różniły się z pewnością od używanych przed kilkoma jeszcze wiekami. Podobnie zacofanych urządzeń nie zdarzyło mi się widzieć jeszcze w żadnej kopalni. Spytałem oprowadzającego mnie nadzorca, dla czego nie zabiera do robót więcej ludzi? Wszak w więzieniu, z którego wracam, znajduje się stu pięćdziesięciu więźniów, zupełnie bezczynnych?

— W galeryach nie pomieści się więcej nad trzydziestu pięciu ludzi — odpowiedział.

— Wszakże można rozszerzyć galerye, pokopać rowy, powysadzać skały i zrobić miejsce dla stu, a nawet więcej robotników. Jeżeli kopalnie oblitują w kruszce, to dla czegoż nie pomnażać dobytku, należytem zwiększeniem przestrzeni. Powinieneś pan rozszerzyć i podnieść korytarz, założyć szyny kolejowe, ulepszyć narzędzia i przyrządy górnicze, użyć siły pociągowej konnej i w ogóle prowadzić rzecz na większą skalę.

»Ustawczik« nie rzekłszy ni słowa, patrzył na mnie tak dziwnem okiem, jakby mnie uważał za człowieka zacofanych pojęć, lub też występującego z planami niemożliwymi do wykonania.

Podczas naszej bytności w kopalniach nerczyńskich, było tam ogółem 952 katorżników; z tych w Aleksandrowskim-Zawodzie 188; w Algaczi 150; w Pokrowsku 70; w Kadaińsku i Smirnowie 184; w Seweńsku i Górnej Akatui 360. Ze zbiorowej tej liczby pracuje w kopalniach, jeżeli już nie jedna trzecia część, to z pewnością mniejsza połowa. Reszta więźniów pozostaje w stanie przymusowej bezczynności, mimo, że na każdym kroku daje się uczuwać brak robotnika.

Przyczyną podobnego stanu rzeczy, jak mi objaśniano jest: po pierwsze, brak miejsca dla pracujących w kopalniach; powtórę, niedostateczna liczba straży do pilnowania większej ilości więźniów, po trzecie,

wydatki niezbędne na urządzenie więzień, w których by przestępcy mogli oddawać się pracy pod okiem najmowanych dozorców;*) wreszcie po czwarte, zakaz używania więźniów do projektowanych przezemnie robót bez poprzedniego uzyskania na to pozwolenia z Petersburga.

Podług mego poglądu, żadna z tych przyczyn nie wytrzymuje krytyki. Amerykanin zaopatrzony upoważnieniem do robót, przy kapitale 10.000 do 15.000 r., mając na każde zawołanie dziewięćset pięćdziesięciu przestępców, przetrzymywanych w więzieniach katorżnych okręgu nerczyńskiego, mógłby z pewnością w ciągu lat dwóch wybudować przy każdej kopalni nowe więzienie, a w pięciu lub sześciu latach podwoiłby lub potroił kapitał, nie naraziwszy cesarskiego skarbu na wydatek jednorubłowy. Podobnego przekonania nabrałem na miejscu, gdym zbadał metodę postępowania tamtejszych urzędników.

Kopalnie w Saweńsku należą do ostatnich, przez nas zwiedzonych. W poniedziałek popołudniu udaliśmy się do Nerczyńskiego-Zawodu, obszernej osady, leżącej w odległości wiorst piętnastu od Górnej-Carantui, we wtorek zaś rano podjęliśmy znów żmudną, trzysto kilometrową podróż do miasta okręgowego, Nerczyńska. Nie będę tu opisywał tej udreżającej podróży.

*) Przyczynę tę usprawiedliwia w zupełności lenistwo i niezreltelność urzędników miejscowych, którym powierzony jest nadzór nad robotami. Zdarzało się niejednokrotnie, że władze sybirskie sprzeniewierzały sumy pieniężne, wyasygnowane im na wystawienie budynków rządowych; w raportach budynki te figurowały jako wykończone i oddane do właściwego użytku, podczas gdy w rzeczywistości nie założono pod nie fundamentów. — Tak się rzecz miała z domem etapowym w Ukirsku, o którym to fakcie nadmieniam korespondencyą z Wierchno-Udyńską, zamieszczoną w »Przeglądzie wschodnim«, czasopiśmie wydawanem w Petersburgu. Patrz Nr. 2 i 12 styczeń 1884, str. 8. Dobrze znany w Petersburgu fotograf pokazywał mi fotografię nowego budynku rządowego zdjętą z planu, który figurował w zastępstwie rzeczywistego budynku.

Jechaliśmy wciąż przez wzgórkowatą, śniegiem pokrytą pustynię; termometr pokazywał na przemian od 0 do — 27° Fahrenheita.

Podróż ta dała nam się dotkliwie we znaki; zziębnięci i zgłodniali, trzęśliśmy się niemłosiernie niewygodnymi powózkami po zimowej grudzie. Podobne życie zdawało nam się niegodnym życia człowieka; nad wszystkie też dobra ziemskie oddalibyśmy pierwszeństwo wygodnej stancyi, ciepłej kąpieli, dobremu objadowi i dwunastogodzinnemu, niczem niezakłóconemu snowi.

We czwartek o godzinie czwartej rano, po zwykłej czterdziesto-godzinnej, uciążliwej podróży, dobiliśmy do Biakińska, położonego nad brzegiem Szyłki, skąd już nie na osiach, lecz saniami puściliśmy się po zamrzniętej rzece do miasta Nerczyńska. Termometr pokazywał wciąż — 20° Fahrenheita. Zmuszeni poprzestawać od dni kilku na bardzo lichej strawie, uczuwaliliśmy wciąż tak wielki chłód wewnętrzny, że dla zagrzania się nieco, otuliłem się aż trzema długimi kożuchami, przekształcając się w istny pakunek, z którego wystawała posiniała od mrozu, nieogolona, niemyta twarz, okolona futrzaną czapką. Mimo tych licznych futer, przeziębłem do szpiku kości, a pan Frost, którego cała wierzchna odzież składała się z dwóch paltotów, znalazł się w gorszym jeszcze odemnie położeniu. Wieczorem przyjechaliśmy do Nerczyńska; tu jednak na ulicach nie widać było wcale śniegu, sanie docierały do ziemi, tak że chcąc ulżyć ciężarowi znużniałym i znużonym naszym koniom, wysiedliśmy ze san, wlokąc się za nimi pieszo jak za wozem pogrzebowym.

W Nerczyńsku spotkaliśmy się znowu z niewdziannym przez nas od miesiąca hotelem; ten jednak wydał się tak nędznym, a przytem niedbale utrzymanym, że zapowiadał gorszy wypoczynek niż w »kwaterach ziemskich«, jedynych naszych dotychczasowych lokalach. Hotel ów okazał się najgorszym z wszystkich, znanych nam w całej Syberyi. Sala główna, zaj-

mująca środek budynku mieszkalnego, była ciemną i niezwykle brudną. W pokoju gościnnym, w którym nas pomieszczono, niedostawało najniezbędniejszych sprzętów, przytem dawało się tu czuć przenikliwe zimno i swąd, rozchodzący się z niewygaszonych węgli; obicie papierowe odpadało od ścian, zwieszając się strzępami ku dołowi; od futryn i ram okiennych, pokrytych warstwą kurzu, odpadała żółta mazista farba; pozapadana podłoga nie tylko raz była brudem, ale nadto była pełna dziur, wygryzionych, przez szczury i myszy; na stole, pokrytym oplamioną bawełnianą serwetą, porzucane były ogryzki i okruchy chleba, konsumowane obecnie przez roje wędrującego robactwa. W całym pokoju nie było śladu łóżka, na którym podróżny wyciągnąć by mógł swe strudzone członki, a brak zupełny zwierciadła, pozbawiał go zadowolenia oglądania swej zsiniałej od mrozu, melancholijnej fizynomji. Jedynym przedstawicielem hotelowej służby był jakiś niedorostek w butach z długimi cholewami i czerwonej, flanelowej koszuli; mosiężna miednica, w której nam podano wodę, była tak zaśniedziała, że niezawodnie służyć musiała do mniej szlachetnych celów, niż do umywania rąk i twarzy i z pewnością zaszczyt płukania spotykał ją w chwilach wyjątkowych. Strudżonym, zziębniętym i zgłodniałym nie pozostawało nic innego, jak szukać schronienia w tej obrzydliwej kwaterze, tem bardziej, że w całym mieście nie było lepszej. Właścicielem tego ohydneho hotelu był wygnaniec Polak, niejaki Klimentowicz. Jeżeli ów pan Klimentowicz utrzymywał swój hotel w Polsce w równie plugawym stanie jak w Nerczyńsku, to sama już okoliczność tyranizowania w ten sposób przejezdnych, bez względu na jakieś powody polityczne, usprawiedliwiłaby jego wydalenie z kraju do najodleglejszych części Syberyi. Po śniadaniu, składającym się z herbaty, kwaśnego, suchego chleba i jakiegoś ciasta wypiekanego na łożu, skompletowawszy naszą toaletę przy pomocy maluczkiego zwierciadła, dostarczonego nam skądś przez gospodarza hotelu, udaliśmy się zwie-

dzieć miasto i doręczyć adresatom nasze listy polecające.

Miasto okręgowe Nerczyńsk, liczące około 4000 mieszkańców, leży na lewym brzegu rzeki Nerczy, w odległości kilku kilometrów od ujścia jej do Szytki, a zwyż 7000 kilometrów od Petersburga. — Ze względu na przemysł i dobrobyt, Nerczyńsk zdaje mi się zajmuje pierwsze miejsce w rządzie innych, okręgowych miast wschodniej Syberyi. Znajduje się tu bank, dwie czy też trzy szkoły, szpital na dwudziestu chorych, biblioteka, muzeum, ogród publiczny z basenem wodnym, pięćdziesiąt do sześćdziesiąt sklepów; miasto to pozostaje w handlowych stosunkach z Rosyją europejską, z której sprowadza towary bławatne, dostarczając jej natomiast futer. Kapitał obrotowy przedstawia rocznie milion dolarów. Uwagę obco krajowca zwraca tu przedewszystkiem wspaniały i kosztowny pałac bogatego właściciela kopalń, kupca Butina, której to rezydenci nie ustępują nietylko inne w całej Syberyi, ale nawet w stolicy cesarstwa. Podczas naszego pobytu w Nerczyńsku, majątkiem braci Butinów, których finanse znajdowały się w kłopotliwym stanie, zarządzał administrator. List polecający, jakim zaopatrzeni byliśmy przez jednego z członków tej firmy, otworzył nam wstęp do owego wspaniałego pałacu. Przeniesiony tu nagle z baraku Klimentowicza, uczułem się istotnie oczarowanym, a gdy w sali balowej przejrzałem się w najwspanialszych w całym świecie, olbrzymich zwierciadłach *), zmuszony byłem aż przetrzeć sobie oczy, by się przekonać, że nie podlegam złudzeniu; któżby mógł się spodziewać, że w odległości o 5000 mil od Petersburga, znajduje się dom prywatny z tak elegancką posadzką, kosztownymi obi-

*) Te wielkie słupowe zwierciadła, zakupione przez pana Butina na wystawie paryskiej 1878 r. uchodziły ówczesnie za największe na całym świecie. Sprowadzono je morzem do przystani w Nikolajewsku, skąd na olbrzymiej barce po rzekach Amurze i Szyłce do Nerczyńska. Zwierciadłom tym, odpowiada w zupełności urządzenie wewnętrzne sali balowej pana Butina.

ciami, różnobarwnymi szybami, przepyszными kandelabrami, miękkimi, wschodnimi dywanami, biało lakierowanymi, wyłaczanymi meblami, pokrytymi aksamitem; ozdobiony arcydzielami szkoły flamandzkiej, marmurowymi posągami, portretami członków rodziny pędzla znakomitego artysty Makowskiego i ogromną oranżeryą, pełną drzew cytrynowych, palm i osobliwych roślin storczykowych, sprowadzonych ze sfery podzwrotnikowej. W bogatych miastach europejskich człowiek przyzwyczaja się do podobnego zbytku, lecz w lodowej pustyni zabajkalskiej, odległej o mil 300 od granic Europy, spotkanie się z czemś podobnem wprowadza podróżnego w stan zdumienia. Wspaniałe to mieszkanie, mimo kilkumiesięcznej nieobecności gospodarzy, nie utraciło nic na swym uroku i wyznać muszę bez wszelkiej przesady, że w całym państwie rosyjskiem nie zdarzyło mi się spotkać z podobnie wytwornie urządzonym domem. Najobszerniejszą z wszystkich pokoi, była sala balowa, mająca około 65 stóp długości, a 45 stóp szerokości. Szerokie schody, zaślane dywanami, prowadziły do łukowatej galeryi, mieszczącej orkiestrion wielkości organów kościelnych, wygrywający sześćdziesiąt różnych utworów muzycznych. W bibliotece znajdowały się wyborowe dzieła, czasopisma i dzienniki w czterech różnych językach europejskich, a prócz tego cenne zbiory sybirskich kruszców i minerałów. Obok pałacu stały oficyny, mieszczące biura rachunkowe licznej rodziny Butinów, zawodzących swój znaczny majątek licznym przedsiębiorstwom. Członkowie tej rodziny byli właścicielami wielu kopalń złota, fabryk żelaznych, olbrzymich gorzelń i parostatków, w których to zakładach znajdowały zajęcie i utrzymanie całe setki ludzi.

Popołudniu odwiedziliśmy dwóch politycznych wygnańców pp. Czaruszina i Kuźniecowa, którzy odbywszy swą karę w kopalniach, obecnie przemieszkując tu jako osiedleńcy ze swemi rodzinami, prowadzili życie dość wygodne. Obaj ci ludzie byli wykształceni i przyjemni w pożyciu; przepędziliśmy z nimi

w czasie trzydniowego pobytu w Nerczyńsku, wiele godzin wcale przyjemnie. Wynieśli oni bardzo przykre wrażenie z katorgi karyjskiej, tu jednakże obchodzono się z nimi grzecznie, a co więcej, że wbrew przepisom dotyczących wygnańców politycznych, dozwolono jednemu z nich, utrzymywać swój własny zakład fotograficzny. Korespondencya ich wprawdzie zostawała pod kontrolą władz urzędowych, jednakowoż nie byli strzeżeni ani też prześladowani przez policję, jak to jest na porządku dziennym w innych częściach Syberyi; życie też ich, aczkolwiek nieponętne, to wszakże wydało mi się dość znośnem. Pan Czaruszkin przesiedział w więzieniu śledczem w odosobnieniu lat cztery i pół, a półtora roku w kazamatach fortecy Piotro Pawłowskiej. Oskarżono go o szerzenie propagandy rewolucyjnej pomiędzy robotnikami w jednej z fabryk na przedmieściu w Petersburgu. Wydalonemu w r. 1878 do Syberyi, towarzyszyła do kopalni jego żona, gdzie do wypuszczenia męża z więzienia, przemieszkiwała w Niżniej-Karze, w mizernej jakiejś lepiance. Pan Czaruszkin należał do liczby tych dziewięciu przestępców politycznych, którzy pozostając już na wolnej stopie, uwięzieni zostali ponownie z rozkazu Loris-Mielikowa. W końcu przypomnieć muszę, że w domu p. Czaruszina zastrzelili się Eugeniusz Siemianowski.

W niedzielę rano 29. listopada opuściliśmy Nerczyńsk. Z prawdziwą przykrością przyszło nam rozstać się z panem Czaruszkinem i jego małżonką, która swą szczerością, dobrocią i przymiotami duszy, zapisała się głęboko w naszych sercach i pamięci. Siadłszy na sianie, podążyliśmy z Nerczyńska do miasta Czyty, stolicy ziemi zabajkalskiej.

Sople lodowe, wiszące u nozdrzy naszych koni, ostre, metaliczne skrzywienie śniegu pod saniami, błękitna, opalizująca barwa ciągnących się w dali gór i wysokie, rozrzedzone słupy dymu, unoszącego się z kominów, wszystko to świadczyło o znacznem obniżeniu temperatury; nie dziw też, że termometr pokazywał — 27 (Fahrenheita). Nocami mrozy były tak

silne, że pomiędzy stacyami z trudnością przychodziło nam wytrzymać na saniach. W czasie przepręgu koni wychylaliśmy zwykle po kilka filiżanek gorącej herbaty, jednakowoż najdotkliwiej dały nam się we znaki godziny pomiędzy północą i rankiem; w tym to czasie nie można było nigdzie dostać gorącej wody, a senność owładła ciałem. Względem zmiany koni nigdy nie natrafialiśmy na przeszkody, z wyjątkiem stacyi pocztowej w Turinopowrotnej, w odległości siedemdziesięciu kilometrów od Czyty. Było to w poniedziałek na samym rozświcie; we wsi obchodzono jakąś uroczystość, tak że wszyscy mieszkańcy byli pod dobrą datą. Po całej ulicy parobczaki, przy dzikich okrzykach uganiaли sańmi: dziewczęta wiejskie w jaskrawych ubiorach nucąc pieśni, nieśmiałym krokiem przechadzały się około domów; na stacyi pocztowej zgiełk i chaos nie do opisania, mnóstwo ludzi z okolicznych wsi, po odbytej zabawie gotowało się do wyjścia, to znów cisnąc się do izby, szukają chwilowego wypoczynku; niepodobieństwem było doszukać się pocztmistrza zarówno jak pocztylionów, starosta*) zaś, jakiś tęgł, barczysty starzec, tak dalece był pijanym, że nie mógł utrzymać się na swych nogach. Daremnie staraliśmy się dowiedzieć o przyczynie owej, jak się zdawało, epidemji pijacej. Nie było ani jednego człowieka na tyle trzeźwego, by mógł nam to zjawisko wyjaśnić. Z dochodzących mnie z wśród tego zamętu pojedynczych słów, zdołałem dowiedzieć się, że nawet pop miejscowy, biorący udział w tej hulance, okazał się do tego stopnia podchmielonym, że musiano go odstawić do domu. Skoro pocztmistrz, starosta, pop, pocztylioni rozprawiali się w ten sposób z kieliszkami, to rozumie się że trudno było mieć nadzieję uzyskania koni; nie zauważyłem też w całym tym tłumie ni jednego człowieka na tyle trzeźwego, by mógł odróżnić siodło od konia. Wszyscy byli pijani, z wyjątkiem nas dwóch i jakiegoś niemowlęcia noszonego

*) Starosta czyli wójt gminy.

na rękach. Ojciec tego niemowlęcia przystojny, młody oficer w pełnym uniformie, gotując się do podróży, zataczał się, upatrując po izbie swych bagaży, które brał do rąk, to znów wypuszczał na podłogę; w dalszym ciągu zachwiał się tak na nogach, że dziecięciu niesionemu na rękach, groził rychły upadek. Wreszcie błysła mu jakaś szczęśliwa myśl do głowy, zawadził o kąć izby, wziął w rękę leżącą tam swą szablę i wręczył ją uroczyście do rąk swej rozmarzonej małżonki z prośbą o umieszczenie jej na sankach. Uczuła się ona jeszcze dość trzeźwą, by odpowiedzieć swemu mężowi, że trzymając w rękach niemowlę nie może odnosić szabli. Wtedy oficer przycisnąwszy tragicznie szablę do piersi, zapewnił czułym wzrokiem swą połówicę, że szabla była pierwszą jego narzeczoną i że mając na względzie tę okoliczność, sam postanowił ponieść ją do sank. W kilka jednakże minut szabla wysliznęła mu się z rąk i z pewnością byłby zostawił na ziemi pierwszą swą małżonkę, gdyby ta druga nie była jej wzięta pod swą opiekę.

Okolo godziny ósmej udało mi się wreszcie ostrą uwagą otrzeźwić na tyle starostę, że widząc, że to nie przelewki, ruszył się po konie. W chwili, gdym przerwał moję gorącą i przekonującą mowę, starosta wziął pióro do ręki i wpisał nas do książki pocztowej: »Pan Kennan z swym towarzyszem z sąsiednich Stanów;« poczem stanąwszy w progu bramy wrzeszczał na całe gardło: Andrzej! Mikołaj! Konie! Natychmiast! Jedyną na to odpowiedzią, były dzikie wrzaski i nawoływania odjeżdżających uczestników hulanki. Z komicznym giestem niemocy i rozpaczki podniósł rękę ku niebiosom, wołając płaczącym głosem: — Wy wszystkie pijaki! To prawdziwa kara boska!

Okolo godziny dziewiątej rano hałasy i krzyki po wsi zaczęły pomału ustawać: odurzony wódką pocztmistrz przybrawszy minę surowo urzędową, ukazując się w podwórzu w całym swym majestacie, spytał groźnie: gdzie znajdowali się pocztylioni i co ma znaczyć ów nieporządek? Młody rossyjski oficer

otrzeźwiwszy się trochę, począł obecnie ścisnąć i całować wszystkie kobiety i przeżegnawszy się ze skrućką, zmierzał ku saniom z swoją żoną niosącą na rękach niemowlę i szablę. Dwaj pijani popi w długich sutannach i wysokich kołpakach opuścili także izbę i podając ręce do ucałowania oficerowi, jego żonie i pozostałej publiczności, powłazili do sanek pocztowych, powożonych przez jakiegoś pijanego chłopca, który ledwie mógł się utrzymać na swem siedzeniu. Nie zapomniano też i o nas. Niebawem wśród nocnych ciemności pojawił się jakiś istotnie trzeźwy człowiek w obdartym kożuchu i oznajmił pocztmistrzowi, że konie dla nas są gotowe. Napuszony i przejęty swą urzędową powagą pocztmistrz, chcąc złożyć dowody swej urzędowej potęgi, zaczął lżyć ostatnimi słowy biednego woźnicę, a następnie skazał go na zapłacenie kary w ilości 50 kopiejek. Czy kara taznaczona została owemu biednemu człowiekowi za jego trzeźwość, czy też za zaprzęgnięcie koni, tego wiedzieć nie mogę. Zawlekliśmy nasze rzeczy na sanie, wsiedliśmy, opuszczając z największym zadowoleniem ową szaloną osadę. Skoro przebrzmiały już ostatnie echa pijanego gwaru, spytałem naszego woźnicę: — Co to się działo we wsi? Cała ludność zdawała mi się być pijaną.

— Poświęcano nową cerkiew, — odpowiedział poważnie.

— Poświęcano cerkiew? — zawołałem zdumiony. — Czyż w ten sposób zwykli w tym kraju poświęcać cerkwie?

— Nie wiem — odpowiedział. — Czasami piją. Po wysłuchaniu mszy świętej, ludzie udali się na przechadzkę (gulanie), niektórzy z nich zajrzeli do kieliszka i podochocili się.

— Niektórzy — powtórzyłem — powiedźcie raczej wszyscy. Zauważyłem, że wy tylko jedni jesteście trzeźwi. Jak mam sobie tłómaczyć tę waszą trzeźwość?

— Wszakże ja nie jestem chrześcjaninem lecz buryatem, — odpowiedział *).

— Właśnie, że chrześcjaninem, chociaż nie członkiem »świętego kościoła ortodoksyjnego«, chciałem powiedzieć, jednakże wolałem zamilczeć.

W całej tej wsi, liczącej do czterystu mieszkańców, jeden tylko znajdował się człowiek trzeźwy i właśnie tego człowieka, urzędnik chrześcjanin skazał na grzywnę pięćdziesięciu kopiejek za to, że nie idąc za przykładem wszystkich dobrych obywateli, wstrzemięźliwośćią swą uczcił uroczystość poświęcenia »świętego kościoła ortodoksyjnego«.

Pierwszego grudnia, we czwartek po południu, około godziny dziesiątej, stanęliśmy w mieście gubernialnym Czycie, zakwaterowawszy się w małym jakimś drewnianym hoteliku, właścicielem którego był polak Baczyński. Jak już wspomniałem poprzednio, w Czycie przemieszkiwało ówczasem dość wielu wybitniejszych wygnańców politycznych. Poznaliśmy ich w czasie pierwszego naszego przejazdu przez Czytę, zajęci jednak ówczasem jedną i jedyną myślą dostania się przed zimą do Kopalni w Karze, za mało mieliśmy czasu do zawiązania z nimi bliższej znajomości. Większość z tych osiedleńców, zaliczona przez rząd do kategorii niebezpiecznych przestępców, odbyła już swą karę w ciężkich robotach, obecnie zaś pozostawała pod ścisłym nadzorem policyjnym. Bacząc na to, jako też na przestrogi udzielone mi w Karze, starałem się o ile możliwości utrzymać stosunki przyjacielskie z władzami rządowymi, by nie ściągnąć na siebie podejrzania. Nie ulegało wątpliwości, że kapitan Nikolin zawiadomić musiał zastępcę gubernatora w Czycie o tajemnych naszych schadzkacli z przestępcami politycznymi, co mogło posłużyć powodem do pilnego śledzenia nas. Na wstępie wypadało mi odwiedzić pułkownika Szwecina, zastępcę nieobecnego gubernatora Barabasza.

*) Wszyscy prawie Buryaci są wyznawcami Buddy.

Przedstawiwszy mu się, opowiedziałem dość szczegółowo o pobycie naszym w Karze; nie robiąc żadnej wzmianki o znajomościach naszych z przestępcami politycznymi, przedstawiłem mu szczegółowo przysze nasze zamiary. Przyjął on nas bardzo mile i uprzejmie, nie stawiając żadnych kruczków, tak, że rozstawszy się z nim, czułem się zupełnie spokojnym. Musiał on zupełnie nie wiedzieć o naszych stosunkach z przestępcami politycznymi, albo też nie przepisywał im żadnego znaczenia.

W kilka dni po wyjeździe do Czyty, zostaliśmy zaproszeni do teatru amatorskiego przez pewnego bogatego kupca Nestora, z którym zrobiliśmy przygodkowo znajomość. Przyjęliśmy owe zaproszenie w tej myśli, że nastarczy nam ono sposobność zawiązania znajomości z ludźmi, od których zaczerpnemy potrzebnych nam wiadomości, przytem tuszyliśmy sobie, że pozostając w pewnej zażyłości z ludźmi »blagonadziejnymi« uwolnimy się od możliwych podejrzeń ze strony władz rządowych. Przedstawienie to, dane na cele dobroczynne, wypadło wcale świetnie. W czasie antraktu zaszliśmy do sali bufetowej, gdzie zostaliśmy przedstawieni wielu osobom cywilnym i wojskowym i powitani najserdeczniej przez obecnego tam zastępcę gubernatora. Całe towarzystwo okazywało nam dowody głębokiego szacunku, jako uczonym, amerykańskim podróżnikom, pozostającym w stosunkach z wyższemi sferami rządowymi. Zdaje mi się, że w całym tem liczmem gronie nie było ni jednego człowieka, któremuby przeszło przez myśl, że ci amerykanie, pozostający w stosunkach z wyższemi sferami rządowymi, zatrzymali się w Czycie wyłącznie dla bliższego poznajomienia się z politycznymi przestępcami, nihilistami i terorystami.

W liczbie oficerów, którym mnie przedstawiono, znajdował się pułkownik Nowikow z gronem swych towarzyszy. Usłyszawszy moje nazwisko, przyglądał mi się bacznie i spytał bez żadnej ogródki: — Słyszałem, że pan zwiedzałeś kopalnie w Karze?

— Tak jest — odrzekłem zdziwiony z pewnem niezadowoleniem — przyjeżdżam wprost z Kary.

— Coś pan tam zauważył dobrego? — spytał patrząc mi śmiało w oczy.

Zapytanie to wprowadziło mnie w pewien kłopot; wciągnięty jednak do rozmowy z osobą urzędową, postanowiłem wyrażać się korzystnie o stanie rzeczy, o ile na to pozwalało moje sumienie. Bez wszelkiego też wahania oznajmiłem, że poznałem w Karze bardzo zacnego człowieka, majora Potułowa.

— Hm, hm, mruknął pułkownik pogardliwie — on zapewne przedstawił panu wszystko w różowych barwach.

— Były tam rzeczy, które niekoniecznie przedstawiać można było w tak różowych barwach — odpowiedziałem, postanawiając, mimo całej niechęci, wystawić nieco rogów.

— Zwiedzałeś pan więzienie?

— Tak jest — odrzekłem — zwiedzaliśmy ich kilka.

— Czy nie pokazywano też panom nagiej komendy?

— Nie; nie wiem nawet co mam rozumieć pod nagą komendą?

— Jest to jedna z cel, w której przebywają więźniowie zupełnie nadzy. W czasie mojej pierwszej wizytacji więźni w Karze, znalazłem się w takiej celi, która mieściła w sobie stu pięćdziesięciu golutkich aresztantów. Otóż towarzystwo w mowie będące, nazywa się właśnie naga komenda.

— Co to ma znaczyć? — spytałem.

— Nie wiem, odrzekł oficer wzruszając ramionami. Widocznie ludzie ci, pozbawieni są wszelkiego przyodziewku.*) Czy też panu, twój zacny człowiek

*) Dowiedziałem się później, że owa »naga komenda« składa się z aresztantów, sprzedających swoje odzienie na wódkę i grę w karty. Za karę ogalającą ich z reszty odzieży i nągich zamykają razem do jednej celi. Rozumie się, że sprzedaż odzieży odbywa się w porozumieniu z urzędnikami więziennymi. »Naga

(z pogardliwą przymówką do majora Potułowa) nie pokazywał przypadkowo samotnych cel więziennych w Średniej-Karze?

— Nie, nie pokazywał ich. Jakże urządzone są owe cele?

— Wcale nieosobliwie — mówił pułkownik z udaną obojętnością — są one nadto niskie, by człowiek mógł w nich stać na nogach, zaś nadto krótkie, by się mógł położyć. Widocznie, pan oglądałeś tylko to, co mu pokazywano. Żałuję mocno, że mnie tam wtedy nie było, gdyż przestawiłbym był panu stan rzeczy, jakim jest w istocie, nie zaś tak, jak to uczynił pański zacny gospodarz

Uczułem się zupełnie odurzonym i zdumionym. Czy pułkownik Nowikow rozmawia ze mną otwarcie, czy też udaje szczerość, ażeby podstępem dowiedzieć się odemnie o tem, o czem sam dotąd nie wiedział. Milczałem uparcie, by z obawy z czem się nie wydać. On wszakże nie oczekując mojej odpowiedzi mówił: Przez lat dwa i pół byłem w Karze komendantem batalionu kozackiego. gđym jednakże przed kilkoma miesiącami został stamtąd odkomenderowany, uczułem

komenda« może posłużyć wymownym dowodem oszustwa i srogości władz więziennych. Pułkownik Nowikow nie był wcale usposobiony przedstawiać mi rzeczy w dobrem świetle. *)

*) Między rosyjskimi wyższymi urzędnikami zdarzają się czasem tacy tragicy, którzy w danych razach są w stanie ronić łzy nad wszystkim, prócz nad ofiarami swych okrucieństw. Wszak Suwarowa rozczuł do łez widok zabijanego ptactwa, co nie przeszkadzało mu bynajmniej do wyróżnienia w Pradze 800 dzieci i starców. Pułkownik Nowikow należy poniekąd do tegoż samego typu ludzi. Złożył on niejednokrotnie dowody nietylko zupełnego braku uczucia człowieczego ale nawet srogości i brutalności; swoją drogą nie wahał się w obec pana Kennana odgrywać roli przyjaciela ludzkości. Co się tyczy łysiny pułkownika Nowikowa, którą podług słów jego miało wywołać oburzenie i współczucie dla krzywdzonych, to z łysyną tą przybył on już do Kary, gdy obejmował komendę nad kozakami i niezawodnie przyczyn jej należy szukać w czem innem niż w zgrzyzotach i szlachetnem oburzeniu.

(Przypisek tłumacza).

się tak szczęśliwym i swobodnym, że na tę intencję kazałem odprawić mszę świętą.

— Widzisz kochany panie, — odezwał się niespodzianie — jestem prawie zupełnie siwy, taki jest skutek ogromu nędzy ludzkiej, której w Karze byłem naocznym świadkiem. Gdym przyjechał tam, nie miałem ni jednego siwego włosa. Wiele też lat mi pan liczy?

— Około pięćdziesięciu pięciu — odpowiedziałem.

— Mam dopiero czterdzieście pięć, — odpowiedział z goryczą — gdym jechał do Kary, nie wyglądałem starszej od pana.

Zamilkł, jakby zatopiony w ponurej zadumie, ja zaś spytałem, jaką to nędzę miał na myśli.

— Wszelką możliwą nędzę — odezwał się — obchodzenie się z nieszczęśliwymi więźniami jest istotnie okrutne; smagają ich różgami i pletniami z łaski każdego dozorca. Chcę panu przytoczyć choć jeden dowód niesprawiedliwego z nimi postępowania i ich cierpień. Podczas mojej obecności w Karze, żona pewnego rządcy więzienia dowiedziała się przypadkowo, że kochanek jej, jeden z przestępców należących do wolnej komendy, zawiązał stosunki miłosne z jakąś piękną, młodą dziewczyną, skazaną w ciężkie roboty. Powodowana szaloną zazdrością, przedstawiła w ten sposób rzecz swemu mężowi, że ten kazał dziewczynę ukarać cielesnie. Rozebranej do naga wyliczono sto pięćdziesiąt różęg; komendant zaś, do którego wniósła skargę pokrzywdzona dziewczyna, skazał ją za tę śmiałość na dziewięćdziesiąt uderzeń pletni. Polecono mi wykonać tę egzekucję i w mojej to przytomności, owa nieszczęśliwa dziewczyna otrzymała dwieście czterdzieści plag. Sądziś pan, że mi to było przyjemnie? Mało mi już pozostało włosów, rzekł wodząc ręką po głowie, ale i te które mam, stawały mi dębem przy okrutnych scenach, których musiałem być świadkiem

w tych przeklętych kopalniach. Ażeby tam wytrzymać należało mieć zamiast nerwów, druty żelazne.*)

Nie wyobrazisz sobie czytelniku, jakie wrażenie wywarły na mnie owe okrucieństwa, opowiadane mi w dobrej wierze przez oficera rossyjskiego w sali bufetowej pośród mnóstwa obecnych tam gości. Pułkownik Nowikow, nie zwracając żadnej uwagi na otoczenie, nieprzestawał mówić dalej i to tak donośnym głosem, że słyszany był nie tylko przez nas, znajdujących się tuż obok niego, ale i przez wszystkich innych tam obecnych. Zadziwi zapewne czytelnika owa śmiałość oficera wyższego, który nie wahał się rozgłaszać publicznie rzeczy, stawiających rząd we wcale niekorzystnym świetle; nie po raz to pierwszy doświadczyłem podobnej otwartości ze strony oficerów i urzędników rossyjskich, co też istotnie wprowadzało mnie w zdumienie. Tegoż samego wieczora poznałem się z innym znów oficerem, który z niemalem zajęciem słuchał naszych opowiadań i uwag o systemie więziennym i położeniu przestępców w kopalniach karyjskich. Oficer ów, udzielając nam z swej strony różnych, nieznanych nam dotąd szczegółów, położył szczególny nacisk na samotne cele w więzieniu w Średniej-Karze. Opisywał on nam te cele w ten sam sposób, co pułkownik Nowikow, oznajmiając, że w tych to ciasnych, nędznych komórkach przytrzymywano niejednokrotnie wykształconych przestępców politycznych

*) Przytaczam tu w zupełności słowa pułkownika Nowikowa. Niewątpliwie wywarły one na mnie głębokie wrażenie; spisałem je, zaraz po powrocie z teatru do domu. Widocznie, stosunek pułkownika Nowikowa do innych oficerów w Karze, a w szczególności do majora Potułowa, musiał być wcale nieprzyjazny, a nawet wrogi; powodowany goryczą, mógł on uczynki swych przeciwników przedstawić w gorszym świetle niż były w rzeczywistości. Przytoczone tu uwagi obudzają tem większe zajęcie, że pochodzą od wysoko położonego oficera, który ze względu na swoje stanowisko, miał większą sposobność od wielu innych, przyjrzenia się stanowi rzeczy. Dodać tu muszę, że pułkownik Nowikow jest owym oficerem, który głosił, że politycznych przestępców przeganiał by przez różgi.

płci obojej. Pani Rosinowa zmuszoną była długo przesiadywać w jednej z tych cel, skąd śmiertelnie chorą, na żądanie lekarza, przeniesiono do innego lokalu. Oficer ów prosił mnie do siebie, oznajmiając gotowość bliższego poznamienia mnie z systemem więziennym i deportacyjnym. Niektóre względy skłaniają mnie do przemilczenia nazwiska i stopnia służby owego oficera; nie zdradzając wszakże położonego we mnie zaufania, czuję się w obowiązku wyrazić mu wdzięczność za udzielone mi przez niego fakta, które zamieściłem na poprzednich kartkach niniejszej mojej pracy. Ten to oficer stwierdził wiarogodność wielu szczegółów, udzielonych mi przez przestępców politycznych w Karze, rozpowiedział dokładnie o zamachu Kutitofskiej na życie generała Iliaszewicza w sposób zgodny z opowiadaniem wygnańców, wreszcie jemu to wyłącznie mam zawdzięczyć odpisy wielu ważnych aktów i dokumentów rządowych. Wszystko to czynił z pobudek szlachetnych, kierując się jedynie myślą dania świadectwa prawdzie.

Unikając podejrzenia ze strony władz rządowych, całe dnie, w ciągu naszego dwutygodniowego pobytu w Czycie, spędzaliśmy w towarzystwie urzędników i obywateli dobrze widzianych u rządu, nocą zaś, urządzaliśmy schadzki z wygnańcami politycznymi. Posiedzenia nasze odbywały się w piętrowym drewnianym budynku, służącym za stolarnię przebywającym na wygnaniu w Czycie dekabryzom z r. 1825. W obszernej izbie schodziło się każdego wieczora około godziny dziesiątej dziesięciu do piętnastu wygnańców politycznych, wkrótce pojawiał się pan Frost i ja.

Rola gospodyni domu dostawała się zwykle panie Moreni, dwudziestoletniej, pięknej i szykownej dziewczycy; pani Hellis zarządzała samowarem, zaś o godzinie w pół do dziesiątej całe towarzystwo zasiadało przy wielkim drewnianym stole, gdzie popijając herbatę, rozmawiano o przeróżnych kwestjach politycznych. Pomiędzy wygnańcami politycznymi, osiedlonymi ówczesnie w Czycie, znajdowało się kilka kobiet

i mężczyzn, których zaliczyć muszę do najzdolniejszych, najwykształceńszych i najsympatyczniejszych z pomiędzy niemal wszystkich, znanych nam w wschodniej Syberii; dzisiaj jeszcze stoją mi żywo w pamięci tak miłe, aczkolwiek smutne godziny spędzane w tem towarzystwie. Nie zawsze jednak uczuwalismy się przygnębieni i złamani; nie zawsze występowała na porządek dzienny ponura strona życia rosyjskiego. Niejednokrotnie pan Lazarów lub Wałujew brali chętnie do rąk zużytą gitarę, nucąc przy akompaniamencie melodyjne narodowe pieśni; czasami też ja z panem Frostem, w zapale artystycznym rozweselałismy wygnańców śpiewami z »Binga« »The Bulldog«, »Salomon Lavi«, albo też jakąś wesołą piosnką studencką. Niekiedy śpiewaliśmy chórem małą, rosyjską Marsylianę, ową rewolucyjną, wzbronioną pieśń »w Woldze jest skała podwodna«, lub też pieśń bojową »Johna Browna«.

Po odbytych śpiewach wracaliśmy znów do rozmowy, której głównym tematem był ogólny stan Rosyi, ruch polityczny, tudzież życie politycznych wygnańców i więźniów. Na tych posiedzeniach zaczerpnąłem wiele faktów dotyczących politycznych przestępców, które to fakta zamieszczone są w poprzednich rozdziałach niniejszej mojej pracy; tu także dowiedziałem się po raz pierwszy o owej strasznej historii więzienia centralnego w Charkowie i o proteście głodowym czterech skazanek politycznych w więzieniu w Irkucku.*) Okrutniejszej i więcej wzruszającej historii nigdy nie czytałem i chyba najbujniejsza wyobraźnia nie byłaby w stanie jej wytworzyć. Noc w noc doświadczałem w hotelu strasznych wstrząśnień moralnych, odbierających mi sen; historia ta stała mi wciąż przed oczami, tak, że niepodobieństwem było mi zwrócić myślę w jakimkolwiek innym kierunku: godzinami całemi leżałem na podłodze, odświeżając

*) Skazankami tymi były panie: Kowalewska, Rossikowa, Bohomolec i Kutitofska.

w pamięci owe sceny i wydarzenia, które mi opowiadano tak dosadnie i prawdziwie.

Mimo najszczerzych chęci nie jestem w stanie przedstawić w właściwych barwach owych katuszy, udręczeń, nadużyć i gwałtów o jakich mi tam rozpowiadano; czytelnik też, przebiegając oczyma te martwe kartki, nie może i w części nawet doświadczać owych wstrząśnień moralnych, udzielających mi się wtedy, gdy w słuchiwał się w te przykre opowiadania, wygłaszane drżącymi ustami kobiet i mężczyzn, którzy sami przestępowali progi posępnego królestwa śmierci. Jeżeli w czasie tych opowiadań oczy moje zachodziły łzami i targanemu wściekłością i oburzeniem, dłoń zaciskała się konwulsyjnie w pięść, to bynajmniej nie wstyd mi tego powiedzieć — lzy w tych razach, sprawiały mi poniekąd ulgę. Te nieustanne wstrząśnienia moralne okazywały się wielokroć dolegliwszymi niż wszelkie cierpienia fizyczne, doświadczane w czasie podróży naszej po wschodniej Syberii. Chłód, głód, udręczenia i znużenia, przy pomocy rozumowania, można znieść z pewnym stoicyzmem, ciągłe jednakże i nieustanne przejmowanie się okrutnymi cierpieniami drugich, dezorganizuje człowieka i pozbawia go wszelkiego zadowolenia życia. Dodać należy, że w ciągu tego czasu pozostawaliśmy pod groźbą rewizji i aresztu, a chociaż nie mieliśmy dowodów, że policja śledzi nasze kroki, to wszakże z podsłuchanych przez pana Frosta rozmów, jakie prowadzili między sobą mieszkańcy sąsiedniego pokoju, oficerowie żandarmeryi, wnosić można było, że podróż nasza po Syberii zwracała na siebie szczególniejszą uwagę tych panów. Uznawali oni koniecznym przejrzanie naszych papierów, albo wreszcie oddania nas pod nadzór policyjny. W ciągu drugiego tygodnia pobytu naszego w Czycie, wróciłem pewnego razu ze schadzki z politycznymi wygnańcami, późną nocą. Dochodziła godzina druga: na ulicach miasta panowała głęboka cisza; służący hotelowy, wyciągnąwszy się na drewnianej ławie w naszym pokoju, spał jak zabity,

żaden szmer ani szelest nie przerywał ciszy. W cieniu, drewnianem przepierzeniu, oddzielającym nasz pokój od zamieszkałego przez oficerów, znajdowały się drzwi tak źle dopasowane, że przez dolną, kilkocalową szczelinę można było słyszeć najłżejsze nawet szmery. Zostając pod wpływem głębokich wrażeń, jakie wywarły na mnie opowiadania wygnańców o okrutnym morderstwie rządowym, dokonaniem na osobie młodego akademika Sommowa, nie mogłem zmrzyć oczu; zapaliwszy tedy świecę, położyłem się na podłodze i dla rozpróśnienia ciężkich myśli, zacząłem czytać książkę. Wśród nocnej ciszy dochodziło mnie tylko lekkie, równomierne oddychanie pana Frosta. Nagle z sąsiedniego pokoju rozległ się głośny huk wystrzału rewolwerowego. Przerażony, sparłem głowę na łokciach i wyciężywszy słuch, pilnie śledziłem co się tam stać mogło. Nie zauważyłem nic więcej prócz opadłego tynku z naruszonej kuli, nad moją głową, ściany. Pan Frost, zbudzony hukiem wystrzału, powstał z łóżka pytając mnie: co się stało?

— Ktoś strzelił w ścianę — odrzekłem cichutętko.

— Która godzina?

— Dochodzi trzecia; bądź pan cicho i słuchaj dalej co z tego będzie

Przez dwie minuty wsłuchiwałem się z natężoną uwagą, ale daremnie; z pokoju sąsiedniego nie dochodził najłżejszy nawet szmer. Głęboka cisza panowała w całym domu, mimo tego, że w pokoju z którego nastąpił strzał, znajdowało się czterech oficerów. Może który z sąsiadów naszych popełnił samobójstwo? Jeśli tak się stało w istocie, to dlaczego nie podnoszą się z łóżek towarzysze samobójcy i nie zapalają świecy? Wystrzał był tak głośny, że rozległ się po całym domu. Ta martwa cisza zaintrygowała mnie więcej niż sam wystrzał.

— Może by należało kogo zawołać by dowiedział się o tym dziwnym wypadku? — szepnął pan Frost.

— Nie — odrzekłem cichuteńko — zostawmy to innym. Wszak jesteście cali.

Obawiałem się, ażeby nie być przypadkowo wmieszonym w jaką tajemnicę lub też tragedję, coby mogło dać powód policji do aresztowania nas, zrewidowania naszych rzeczy, albo też powołania na świadków. Zdawało mi się, że najwłaściwiej będzie przycupnąć do ziemi, pary z ust nie wypuszczać i całą tę sprawę zostawić czasowi. Cóż nas mógł obchodzić ów wystrzał; zostaliśmy cali i kwita; zresztą nie do nas strzelano.

Po upływie jakich trzech minut, w pokoju oficerskim powstał lekki szmer; zdawało się, jakby ktoś naciągał, a następnie spuszczał kurek rewolwerowy, przytem jeden z oficerów spytał szeptem drugiego o ilość pozostałych naboży. Odpowiedź była niezrozumiała; nastąpiły ponowne szepty poczem znów głucha cisza. Do samego ranka nie doszedł już uszu naszych najłżejszy szelest. Jaka myśl ukrywać się mogła w tym wystrzale, skierowanym późną nocą w naszą ścianę, tego wiedzieć nie mogę. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa strzelano na żart, zapytany też nazajutrz o owym wypadku, odpowiedziałem, że w Ameryce wystrzały rewolwerowe w nocy są rzeczą tak zwykłą, że nikt na nic nie zwraca żadnej uwagi; uczułem się też zdziwionym, że rankiem nie wyniesiono z pokoju nieboszczyka.

Nie wiem, czy podczas naszego pobytu w Czyście udało się wysledzić policji codzienne nasze schadzki z wygnańcami politycznymi; że jednak później poznano się na rzeczy, dowodem tego posłużyć może ta okoliczność, że jedyny list, najniewinniejszej treści, wysłany do mnie z Czyty przez kupca Nemerowa, był odkopertowany przez tameczną policję.

W ciągu całej naszej podróży po Syberji, aż do przyjazdu do Czyty, wszystkie ważniejsze papiery i dokumenta przechowywałem przy sobie w skórzanym pasie. Pas ów wszakże okazał się tak ciężkim i wypchanym, że objętością swą mógł zwrócić uwagę po-

licy podczas przewidzianej rewizji naszych osób. Mając na względzie tę okoliczność, pas ów zdjąłem z siebie, wydobyte z niego ważniejsze papiery włożyłem do skrytki, wyłobionej umyślnie w jednej z ścian podróżnej naszej skrzynki, mieszczącej w sobie sprzęty i inne przybory herbaciane. Skrzynkę rzeczoną mogłem bez żadnej obawy wnosić na popasach do każdej stacyi pocztowej, gdzie mogła stać spokojnie, nie zwracając na siebie uwagi nawet podejrzliwego policyanta; każdy bowiem podróżny wozi się po Syberji z podobnymi przyborami. Resztę papierów i listów, powierzonych mi przez politycznych wygnańców do oddania ich krewnym i przyjaciółom, ukryłem w okładkach książek, któremi obdarzyli mnie w Czyście wygnańcy. Cały ów księgozbiór składał się z jednego egzemplarza »Dawida Copperfielda« w języku angielskim, jednego czasopisma rosyjskiego, zawierającego artykuł o systemie wygnania; trzecią wreszcie księgą były stare logarytmy, który to szpargał, zarówno jak dwa pierwsze, nie mogły zwrócić na siebie podejrzania policji, nawet w razie rewizji. Najważniejszy z moich dokumentów ukryty był w szparze wyłubanej w cienkiej deseczce drewnianej, na której wymalowany był olejnemi farbami portret jednego z dekabrystów rosyjskich z r. 1825. Portret ów, znaleziony w Czyście w domu zamieszkałym dawniej przez jednego z rewolucjonistów, nie mógł mnie również wprowadzić w podejrzenie, zwłaszcza jako skrzętnego zbieracza szacownych osobliwości i pamiątek. Zdawało mi się, że papiery nasze są nadto dobrze przechowane, ażeby mogły być odszukane przez policję; należało jej chyba wszystkie nasze skrzynki i kuferki rozbić w kawałki i rozdzierać bagatelki podróżne.

W środę, dziewiątego grudnia odśpiewaliśmy po raz ostatni z wygnańcami politycznymi w Czyście, smutną, piękną rosyjską pieśń rewolucyjną »w Woldze jest skała«, rozdaliśmy im na pamiątkę wszystkie najcenniejsze drobnostki i z głębokim, szczerym żalem pożegnaliśmy ich na zawsze. W dwanaście godzin po

rozstaniu, pędziliśmy cwałem w kierunku Irkucka, stolicy wschodniej Syberii. Przez całe pięć dni i nocy podążaliśmy wciąż na zachód, z prędkością dwunastu kilometrów na godzinę, zatrzymując się chwilowo na stacyach li dla zmiany koni, dręczenia zimnem, głodem i bezsennością, dopóki moje siły nie wypowiedziały posłuszeństwa. Jezioro Bajkałskie podówczas nie zamrzęło jeszcze, ale parostatki poprzestały już kursować, zmuszeni więc byliśmy jechać końmi po malowniczym gościńcu, prowadzącym brzegiem jeziora. W poniedziałek wieczór, 14. grudnia w odległości sześćdziesięciu wiorst od mety naszej podróży, zatrzymaliśmy się dłużej na stacji pocztowej z powodu braku koni. Odcięci od trzech prawie miesięcy od świata cywilizowanego, nie otrzymując od dziesięciu tygodni żadnych listów z kraju i nie przeglądając ni jednej gazety, z niewysłowioną żądzą oczekiwaliśmy wjazdu do stolicy. Najęliśmy tu jakiegoś włościanina, który podjął się odstawić nas obydwóch wraz z rzeczami do najbliższej stacji pocztowej, nie myśląc nawet o trudach i mękach, jakie nas oczekują w ciągu tej podróży. Mroz był trzaskający; gościniec wspinał się wciąż po wysokich wzgórzach, pokrytych gęstym bohem; zamorzone głodem konie włościańskie wciąż ustawały, my zaś większą część drogi musieliśmy iść piechotą, wśród mrozów dochodzących do — 30° (Fahrenheit) i dopiero o godzinie drugiej po północy, w pół żywi dowlekliśmy się do stacji pocztowej. Gdy przyszło wdrapywać się na ostatni, oślizły pagórek, osłabłem do tego stopnia, że padałem za każdym krokiem, bijąc czołem o ziemię. We wtorek 15. grudnia dobiliśmy wreszcie do Irkucka, gdzie odebrawszy na poczcie listy, podążyliśmy wprost do hotelu moskiewskiego. Tu nie kusząc się nawet o umycie twarzy, nie biorąc nic do ust, ani też rozbierając się, wzięliśmy się do odczytania listów z kraju. Było ich około pięćdziesiąt, z których większość datowana przed sześciu miesiącami

Mimo mrozów, dochodzących ówczesnie do 40° F.,

Angara nie była jeszcze należycie zamrzniętą, że zaś na całej tej rzece nie ma nigdzie mostu, przeto zmuszeni byliśmy przez całe trzy tygodnie oczekiwać na brzegu ustalenia się przeprawy po lodzie. Trapieni niecierpliwością puściliśmy się końmi z jakie 150 wiorst przeciw biegowi rzeki, ku oceanowi Lodowatemu, gdzie podług mniemania włościan, lód miał się już ustalić.

W czasie tej podróży zwiedzaliśmy centralne więzienie w Aleksandrowsku, zaliczające się do największych i najlepiej urządzonych w całej Syberii. Budynek przeznaczony pierwotnie na gorzelnię, w 1874 r. przekształcono w więzienie, w którym zatrzymywały się czasowo liczne partye aresztantów, podążających do katorgi. Korzystając z okazji, postanowiłem zwiedzić owo więzienie, zachwalane mi tak w Irkucku przez wice-gubernatora Piotrowa.

Przyjechawszy w piątek do osady więziennej, odwiedziliśmy nazajutrz rządzącą więzienia p. Sipiagina, zawiadomionego już o naszym przybyciu przez władze irkuckie. Pan Sipiagin około 35 letni, przyjemny, wykształcony oficer, przyjął nas bardzo mile, ugościł śniadaniem, po spożyciu którego udaliśmy się do więzienia.

Jestto ogromny, murowany budynek, pokryty cynkiem i otoczony sztachetami. Długość budynku dochodzi do 300 stóp, zaś szerokość do 100. Lokal więzienny zawiera w sobie 75 cel, w których względnie do rozmiarów mieściło się po 15 do 75 ludzi; prócz tych, jest tu jeszcze 10 cel pojedynczych dla główniejszych zbrodniarzy. W czasie naszej bytności, w więzieniu tem przemieszkowało 992 przestępców, zaś 900 pod wolną komendą. W celach nie było ścisłu, powietrze wszędzie czyste, roboty, zadawane więzniom, wcale nieuciążliwe i nieszkodliwe zdrowiu, ograniczały się na młeniu zboża w młynach urządzonych w tymże budynku.

Korytarze wchodowe były wysokie, przestronne i dość widne, a powietrze w nich tak czyste jak na dworze. Zwiedziwszy cele, udaliśmy się do kuchni,

w której codziennie gotowano obiad dla wżwyż tysiąca ludzi. Pod względem porządku i czystości nieustępowała ona innym lokalom więziennym. Kosztowałem chleba aresztanckiego i zupy, znajdując jedno i drugie wcale smaczne. Pan Sipiagin oznajmił mi, że dzienna racya każdego aresztanta składa się z trzech funtów razowego chleba, około siedmiu uncyi mięsa i trzech uncyi kaszy; jarzynę i kartofle dostają tylko przy okazji. Rząd nie daje więźniom herbaty i cukru, ale wolno im to kupować za własne pieniądze. Po wyjściu z kuchni spytał mnie rządca, czybym nie życzył sobie zwiedzić szkoły. Przyjąłem jego propozycję tem chętniej, że dotychczas jeszcze nie widziałem szkoły w żadnem ze znanych mi więzień rossyjskich i nie marzyłem nawet, że kiedy się z nią spotkam. Pan Sipiagin roześmiał się, wprowadził nas do czyściutko utrzymanego widnego pokoju, w którym obok stołów i ławek, sporządzonych przez więźniów, znajdowała się tablica i wielki glob ziemski; na ścianach porozwieszane były mapy Syberyi i Palestyny i dozwolone przez władze, litografowane wizerunki. W szkole nie było uczniów, lecz pan Sipiagin zapewniał mnie, że często zbierający się tu więźniowie czytają książki, śpiewają lub przysłuchują się pouczającym opowiadaniom kapłana. Brak tylko książek; cały bowiem zbiór składał się z kilku traktatów nowego testamentu, ofiarowanych szkole przez przejezdnego tędy przed kilku laty księdza Lansdella; dawał się tu szczególnie czuć brak podręczników naukowych i powieściowej biblioteczki. Stąd udaliśmy się do warsztatów, gdzie kilkudziesięciu więźniów zajętych było szyciem obuwia, odzieży i robotami stolarskiemi. Przyjemny zapach wiórów i skór rossyjskich odżywiał powietrze. Podług słów rządcy, pracujący w warsztatach więźniowie otrzymywali dwie trzecie części zapracowanych pieniędzy, mianowicie jedna trzecia wypłacaną im bywa zaraz po uiszczeniu należitości przez przedsiębiorców za wykonaną robotę, jedną trzecią otrzymują po osiedzeniu naznaczonej kary, zaś pozostała część

wpływa do kasy rządowej. Zwiedziwszy wreszcie szpital więzienny, utrzymywany we wzorowym porządku, w którym znajdowało się tylko czterdziestu dwóch pacjentów, powróciliśmy z panem Sipiaginem do jego mieszkania. Zdawał się on być bardzo uszczęśliwionym i zadowolonym mojem otwartem i szczerem oświadczeniem, że z liczby piętnastu więzień, które zwiedziłem w różnych stronach Syberyi, to zaliczyć mogę do najlepszych i że nie zaniedbano tu wszystkiego cokolwiek dobra wola i osobiste zabiegi zarządzającego więzieniem dokonać są wstanie. Więzienia tego nie mogłem wprawdzie uważać za wzorowe w ścisłem słowa tego znaczeniu, jednakowoż dla więzień sybirskich śmiało mogło ono służyć wzorem.

W niedzielę późnym wieczorem udałem się z pp. Frostem, Sipiaginem, kapitanem Makowskim i lekarzem ponownie do więzienia. To wejście nasze tak przstraszyło leżących już na narach więźniów, że porzywali się na równe nogi. W celach stały parasze, w skutek czego powietrze okazało się o wiele gorsze niż w porze dziennej, w każdym jednak razie było znacznie czystsze, niż w innych więzieniach. Ta pieczołowitość o zdrowie więźniów przynosiła zaszczyt panu Sipiaginowi, zaś wstyd i hańbę głównemu zarządowni więziennemu.

W poniedziałek rano pożegnaliśmy pana Sipiagina i jego powabną małżonkę i podziękowawszy jej najserdeczniej za doznaną gościnność, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gościniec pocztowy, wspinający się po nadrzecznych, wysokich, stromych pagórkach, poprzerzynany był bystrymi potokami lub też zawalony lodami, tak, że z niesłychanym trudem przyszło nam drapać się w górę to znów spuszczać się po stromych pochyłościach. Wjechaliśmy wreszcie na tak wążiutką drożynę, wiodącą po nad samą rzeką i obwarowaną z drugiej strony skałami, że zmuszeni byliśmy zdażyć na cienki lód, gdzie załamawszy się, wśród straszego trasku, wpadliśmy z saniami i końmi w nurty Angary.

Na szczęście, szerokie sanie zrazu sparły się na lód i dzięki naszej przytomności umysłu i zręczności, zdolaliśmy się wyratować od niechybnej śmierci.

Ponieważ wypadek ten spotkał nas na dojeździe do wsi Ołonu, przeto przyprowadzono nam świeże konie, którymi dojechaliśmy do stacyi, gdzie idąc za radą doświadczonych wieśniaków postanowiliśmy zanocować. Późnym już wieczorem pojawia się jakiś młody, dorodny gospodarz i obowiązuje się za wynagrodzeniem 15 sr. przeprowadzić nas przez góry do wsi sąsiedniej. Zachęcenego jego przyrzeczeniem, około godziny wpół do jedenastej wyruszyliśmy w drogę. Straszniejszych przygód nie doświadczaliśmy w ciągu całej dotychczasowej naszej podróży po Syberyi. Około północy przy siarczystym mrozie, zerwała się śniegowa burza; straciliśmy drogę, błądząc wciąż i wywracając się co krok w głębokim, kopnym śniegu. Nieustannie dźwiganie wydobywanych z śniegu, gruchoczących się san i ciągnięcie ich, wycieńczyło mnie do tego stopnia, że zupełnie omdlałem, zaś rankiem około godziny czwartej, uczułem tak dotkliwy ból w kręgosłupie, że nie mogłem się wyprostować. Pozostawiając p. Frosta z woźnicą i ustałymi ze zmęczenia końmi, własnemu przemysłowi, zachołgałem się na wyprężone sanie i okrywszy się kożuchem, leżałem w nich zupełnie bezwładny. Dopiero na rozświcie, przerażony ujadaniem i naszczekiwaniem psów, przetarłem oczy, zoczywszy z radością dymy wyklebiające się z chat włościańskich. Była to wiejska osada Paszka. Ogrzawszy się tu i pokrzepiwszy kilkoma szklankami herbaty, wyruszyliśmy do wsi Kamionki, skąd znów dalej po lodach zamarznętej Angary. Noc tę przespaliśmy wygodnie w domu pocztowym przy głównym gościńcu sybirskim.

Wygnanie i męczeństwo polskich patriotów w Syberyi.

(Przyczynek tłumacza).

Są zdarzenia w przyrodzie, że rozhukana bezden powietrzna uderzając gwałtownymi prądami w bieżące wody, głuszy ich gwary, powstrzymuje ich biegi, porywa i rozbryzguje ich fale zdala od właściwych im łożysk. Są to zjawiska osobliwe i krótkotrwałe. Polska już wzmógł od wieku jest wciąż widownią tych zjawisk. Zrywający się nieustannie od grodu carów huragan, pędząc ku zachodowi, w wściekłym swym zawrocie na płaszczyznach nadwiślańskich szarpie i krwawi tętnice narodu, tłumi ojczyście dźwięki, burzy świątynie narodowe, a kapłanów ich i stróżów w krwi spienionej fali niesie o mil tysiące po pod kurhan proroka swego i prawodawcy, nieśmiertelnego Dżingishana*)!

Wrogie zamiary carów moskiewskich względem polskiej narodowości zaznaczają się jeszcze za panowania Stanisława Leszczyńskiego**). Wtedy to już wy-

*) Kurhan Dżingishana, gdzie mają leżeć jego prochy, znajduje się w wschodniej Syberyi, w ziemi zabajkalskiej pod wsią Akszą.

***) Konfederaci barscy w czasie swego pochodu do Syberyi spotkali w Tarze, Kazaniu i Tobolsku wielu z swych żołnierzy, zapędzonych tu przez Moskale za panowania Leszczyńskiego. Wszyscy oni byli już podeszłymi starcami. (Pamięć dzieł polskich, podróży niepomyślny sukces Polaków przez urodzonego Karola Lubiec Chojeckiego, Warszawa 1789 r.).

ganiono do Syberii polskich jeńców wojennych i porwanych przemocą księży i obywateli*).

Rok 1768 rozpoczyna sobą nowy peryod zbiorewego wydalania do Syberii polskich patryotów. Rozbite przez wojska carycy liczne oddziały konfederatów barskich, dostarczają najezdniczemu rządowi około 10.000 jeńców, których w partyach, liczących po kilkaset głów, rozgania po stepach i puszczech sybirskich. Dola tych walecznych obrońców Ojczyzny była nie tylko gorzką, lecz okrutną. Zmuszeni knutem i pałkami do złożenia przysięgi na wierność carycy Jekateriny II., powcielani zostali do pułków moskiewskich, rozłożonych w Syberii; pewną część konfederatów uwięziono w domu karnym w Omsku; innych znów, użyto do robót przymusowych. Rękami tych nieszczęśliwych wojowników zbudowany jest po dziś dzień jeszcze stojący mur warowny w Orenburgu. Konfederaci, rozlokowani w okolicach Omska, zmuszeni byli wspólnie z rosyjskiem żołďactwem ścigać Kałmuków, którzy wypowiedziawszy posłuszeństwo rosyjskiemu rządowi, powędrowali w liczbie 40.000 pod dowództwem swego księcia Bamburego, przez stopy kirgizkie do Mongolji. W tym czasie zaczęła się rozwijać w wojsku zgnila febra, oliarą której padło wielu konfederatów, kilkudziesięciu z nich zbiegło, lecz pochwyteni na stepach kirgizkich przez koczowników, sprzedani zostali w niewolę do Taszcentów, lub też użyci do pasczenia bydła; czterech z nich spotkała szubienica.

W 1783 r. część niewolników polskich, wcielonych do korpusu orenburskiego, użyto wspólnie z żołnierstwem rosyjskiem, pod dowództwem Dekolona i Bibikowa, do stłumienia buntu Pugaczowa, gdzie pa-

*) Arcybiskup lwowski i prymas Konstanty Zieliński, który w r. 1707 w Gnieźnie koronował Stanisława Leszczyńskiego, został porwany przez moskali pod Toruniem i uwięziony w Moskwie, gdzie życie swe zakończył. Za panowania Poniatowskiego, Józef Jędrzej Załuski, biskup kijowski porwany podczas sejmu 1769 r.; Soltys Kajetan, biskup krakowski porwany 1776 r.

dło na polu walki 400 konfederatów. Podczas tych zamieszek wewnętrznych w carstwie, 600 konfederatów, stojących załogą w Tobolsku, nie mogąc się doczekać żadnej odpowiedzi na wielokrotnie wnoszone podania do rządu rosyjskiego, względem dozwoleń im powrotu do ojczyzny, udali się zbiorowo do miejscowego gubernatora i złożywszy broń na podwórzu, domagali się uwolnienia. Strwożony tem śmiałem wystąpieniem gubernator, nie mając pod ręką żadnego wojska, na wstępie żądanie konfederatów uznał słusznem, nazajutrz wszakże, pościągawszy żołďactwo i popółstwo, kazał otoczyć bezbronych i uwięzić. Teraz zaczęło się bicie i katowanie nieszczęśliwych. Siedmiu rozebranych do naga rozpięto na ruchomych rusztowaniach, wyliczono każdemu z nich po 800 knutów, powirywano im nozdrza, powypalano na czołach szubienice i okuty na ręce i nogi wygnano na krańce Syberii. Pozostałych bito różgami, katowano, przykuwano wreszcie do grubych, drewnianych kłoców i staczano z wierzchołków gór, znajdujących się w pobliżu Tobolska.

Taką była dola pierwszych wygnańców polskich w Syberii. Krew ich zrumieniła dziką, lodową krainę, którą na 300 lat przed zdobyciem jej przez łupieżcę Jermaka, a zatem w 1246 r. zwiedzili jako zwiastuny zgody i miłości chrześcijańskiej, a następnie opisali dwaj Polacy, Franciszkanie: Jan de Plano Caprino i Benedykt

Rok 1791 wypłynął na niebiosach Polski jutrznią wolności. Konstytucya trzeciego maja, ów najszczytniejszy akt dziejowy, równouprawniając wszystkie stany, zapala serca ludu świętą miłością Ojczyzny i uzbraja jego ręce przeciw północnemu zaborecy. Pod ożywcze mi jednak promieniami słońca wolności, kiełkują w sercach samolubów najhaniebniejsze żądze, które podniecone blaskiem złotników występnej carycy Jekateriny II., gotują grób, występującej w całej potędze do walki o niepodlegość, konstytucyjnej Polsce. Cnoty

prawowitych synów ojczyzny i występki wyrodných dościgły swego zenitu.

W targowiczanych uosobniły się nieznanne w Polsce zbrodnie, a jad, jaki pozostawili po sobie w spadku, nie przestaje po dziś dzień trawić jej organizmu! Rozpuszny, zniewieściał, politowania i pogardy godny król Stanisław Poniatowski, łączy się ze zdrajcami ojczyzny, podpisuje na sejmie grodzieńskim akt ponownego rozbioru Polski i zarazem wyrok wygnania dla tysięcy patryotów, którzy podnosząc zbrojny protest pod dowództwem nieśmiertelnego Kościuszki, po nieszcześnie bitwie pod Maciejowicami 1794 r. stają się jeńcami carycy. W liczbie tysięcy wygnańców z tej epoki, rozegnaných po całej Syberyi, znajdował się wysłany do niższej Kamczatki, dzielny generał Kopeć, autor jednego z drogocenných pamiętników, jakimi tak szczerze obfituje literatura polskiego wygnania.

Vive-sekcyja, dokonana na Polsce przy pomocy targowiczjan, nie zdołała rozczłonkować jej organizmu. Nóż operatorów, kwawiąc ciało, nie sięgał dość głęboko. By rozcięciem sercowych żył zdołał powstrzymać krążenie krwi w żyjącym organizmie. Wkrótce też po upadku powstania kościuszkowski-go zawiązują się w ziemiach zabranych tajemne stowarzyszenia patryotyczne, mające na celu podtrzymanie ducha w narodzie i przygotowujące go do zrzucenia jarzma najeźdźcy. Wykrycie jednego z takich związków w Wilnie 1797 r. dostarcza Syberyi nowego poczetu wygnańców, w liczbie których znajdują się przeor Dominikanów wileńskich, ksiądz Ciecierski z swym bratem Stanisławem, ksiądz Aureliusz Dąbrowski, Judycki, Ziołkowski, Kondratowicz, Czarniawski i Siostrzewiłowski. Obadwaj księża skazani zostali w Petersburgu na zdjęcie Sakry, po przeprowadzeniu której to ceremonji przez metropolitę Siostrzewińcewiczja, wysłani do katorgi. Reszta stowarzyszonych zawyrokována została na knuty i do katorgi. Ksiądz Ciecierski w pamiętniku swym napisanym po powrocie z Syberyi, kreśli żywymi barwy obraz katorgi w Nercyńskim Zawodzie:

„Nakoniec 28. Stycznia, według nowego kalendarza, prędkością poczt do wymówienia niepodobną, stanęliśmy w Wielkim Zawodzie... Tu na ogromnym mrozie przesiedzieliśmy aż do godziny szóstej. Głos przybyłych feldjegrów zwabił oddalonych furmanów. Przerażliwe u powózek dzwonki, gwar ludzi, przerwał nasze milczenie i zjehawszy z małego wzgóрка, ujrzeliliśmy się na zmarzłych wodach małej rzeki Algaczy. Stały kibitki, nagle podniesiono zasłony i kazano nam wysiadać. I oto naszym oczom przedstawił się następujący widok.

Dom ogromny, za którym ciągnie się pasmo wysokich gór, stojący na spadzistości góry. Po kilku stopniach wstąpiliśmy do wnętrza. Samo jego położenie straszło nas, równie i zewnętrzny kształt jego nie mógł pozostawać wątpliwości, że to nie jest przybytek uciech i wygod. W samej rzeczy był to hauptwach, oraz koszary i więzienia katorżników.

Kilkunastu żołnierzy w czerwonych mundurach wybiegło na nasze spotkanie, otoczyli nas i po jednym, po wspomnianych schodach, wprowadzili do izby. O! jakże okropne oświadczyły nas uczucia, gdyśmy wstąpili do tego grobowca nieszczęścia i nędzy. Po prawej stronie dyle horyzontalnie położone, służyły za łoża żołnierzom; po lewej siedzieli lub leżeli mężczyźni i niewiasty — albo raczej żywe trupy płci obojga. Tu siedział z półbrodą i ogoloną zupełnie głową, ze straszonym spojrzeniem rozbójnik; tam w żelazach leżał inny; ówdzie skrępowany łańcuchem żelaznym, rozpięty na ścianie za przykute ręce, dzwigając nadto ciężkie okowy, jęczał może niewinny człowiek; tam znówu jakiś nędzarz z brodą, ale bez włosów na głowie, tu przeciwnie z włosami lecz bez brody; ten bez łańcuchów, ów ich ciężarem aż nadto obarczony. Za jednym chodził żołnierz z gołym pałaszem, za innym z bagnetem; ów miał tylko żołnierza bez broni, a drugi z karabinem. Słowem różnorodność nieskończona w osobach, w strzeżeniu ich, w sposobie karania.

Co zaś było najdziwniejszem, to to, że ani jeden nie

był zupełnie odzianym. Żołnierz miał formę tylko, ale nie mundur; na czerwonym kaftanie i zielonych spodniach trzeba by było wielkiej oka pilności, toby chciał dopatrzeć, że te suknie były niegdyś tego koloru. — Wszystko w łąkach, wszystko w kawałkach, wszystko w pstrociznie. Sukno, płótno, skóra, różnie z sobą pomieszane, pozszywane, połączone i w kolorach i krojach odmiennych, tworzyły mundury zawodzkich żołnierzy. Co do więźniów, nie można było bez przykrego wrażenia spojrzeć na nagość tych nędzników; koszule czarniejsze od kominiarskiego odzienia, były jedynym ich ubraniem. Inni gałgankiem tylko jakim zakrywali części wstydlive; wszyscy siedzieli w połowie nadzy; nagość, bladeść, głód, rozpacz, płacz, jęki, wzdychania, swary, grubiaństwa, przekleństwa miotane z wściekłością zwierzęcą — tworzyły piekielną wrzawę, która prawie ogłuszyła nas na wstępie.*

Dalszy ciąg streszczonej historii wygnania polskich patryotów, poprzedzę krótką wzmianką o stojącym w tak ścisłym z nią związku ucisku Polski przez carat rosyjski i powstających w niej tajemnych stowarzyszeniach, w których uwydatnia się siła patryotyzmu, nieustraszona odwaga i poświęcenie gnębiętego narodu.

Car Aleksander I., trapiiony obawą wkroczenia Napoleona I. do Polski i utratą ziem, dzięki posiadaniu których Rosya stała się państwem europejskiem, zwrócił wszelkie zabiegi ku zjednaniu sobie przychylności i zaufania Polaków. Ubolewając nad rozbiorem Polski i uznając go za błąd polityczny, przyrzekał złączyć Litwę z Polską; polecił wypracować projekt konstytucyi i nowej organizacyi wojsk narodowych; w rzeczywistości zaś czekał tylko stosownej chwili do zagarnięcia Polski i obrócenia jej w gubernię rosyjską. Już układy tylżyckie odsłaniają częściowo zamary obłudnego monarchy. Na konferencyach wiedeńskich wyciąga on chciwie rękę po koronę polską, którą początkowo odmawiają mu inne, uczestni-

czące tam mocarstwa, zani-pokojone myślą rozwielmożnienia się Rossyi; niestety postrach, jakim nabawia Europę wyładowanie Napoleona I. z wyspy Elby, przechyla szalę Aleksandra i czyni go królem konstytucyjnym Polski. Obecnie wszystkie przyrzeczenia, wszystkie obieczanki, czynione Polakom przez tego miękkiego tyрана, ustępują miejsca jednemu i jednemu zamiarowi wytępienia polskiej narodowości i zlania nabytych ziem w jedną całość z caratem. Prowadzenie jego jako króla konstytucyjnego w Polsce, zaczyna się od samego początku dążeniem do stopniowego zwijania konstytucyi, zubożenia kraju i tłumieniem wszelkiej opozycyi. Już w r. 1830 poseł sejmowy Wincenty Niemojowski*) w jednej ze swych mów, któremi zniweczył projekta ministeryalne, wyrzekł godne ryleca i granitu następujące słowa: »I ja wiem, że od kapitolu jeden tylko krok do tarpejskiej skały! Lecz nie mnie nie powstrzyma od wypowiedzenia prawdy. Konstytucya jest własnością narodu; król (Aleksander I.) nie ma prawa ani mu jej odebrać, ani nawet zmieniać. Straciliśmy już wolność druku, nie mamy wolności osobistej; prawo własności zostało zgwaltowane; dzisiaj nakoniec chcą nam odebrać odpowiedzialność ministrów. Cóż więc nam pozostaje z całej konstytucyi? Zrzeczmy się raczej tych zwodniczych rękoma: niechaj nie wciągają w sieć patryotów, którzy im zafali z dobrą wiarą«. — To śmiałe wystąpienie Wincentego Niemojowskiego, jako też jego brata Bonawentury, zwróciły przeciw nim zemstę Aleksandra I. Oba zostali wykluczeni z Sejmu, a gdy województwo kaliskie, zgodnie z ustawą konstytucyjną, powołało ich jako zastępców, wówczas Aleksander I. reskryptem swym z dnia 30. grudnia 1823 r. zwijając radę wojewódzką, zawiesił poniekąd konstytucyę królestwa; następnym reskryptem z dnia 13. lutego 1825 r. kasując wolność obrad, uchyla całą reprezentancyę krajową, zaś z dnia 13. maja 1825, na zgromadzeniu zwo-

*) Wincenty Niemojowski zmarł na wygnaniu w Syberii.

łaniem w celu ukrócenia żarliwości opozycyjnej, Wincenty Niemojewski zostaje aresztowany w Warszawie i odstawiony do domu żandarmami.

Podobne gwałcenie wolności osobistej i zamachy na konstytucję musiały oburzyć do głębi uczucia patriotyczne obywateli kraju i łączyć ich w stowarzyszenia, mające na celu przeciwdziałanie tyranii i podtrzymanie w narodzie ducha niepodległości. Pierwsze z tych stowarzyszeń zawiązane w Polsce kongresowej w r. 1819 przez Łukasińskiego i Machnickiego, pod nazwą wolnego mularstwa, początkowo było przez rząd tolerowanem. Wkrótce rozgałęziło się ono żywo po wszystkich częściach Polski jako towarzystwo patriotyczne, licząc w 1822 r. wzywż 500 członków. Niezależnie od wspomnianego, kapitan Majewski założył związek Templaryuszów, rozgałęziony na Wołyniu i Ukrainie przez Łagowskiego. Związek ten, maskując się celami dobroczynnymi, wziął sobie za zadanie nie żałować krwi ni mienia dla ojczyzny, a dalej jeszcze stawić czoło wrogom Polski. W r. 1819, Zan założył na Litwie towarzystwo promienistych, które aczkolwiek za główny cel miało braterstwo i wzajemną pomoc uczącej się młodzieży, to mimo tego pozostawało w łączności ze związkiem Filaretów, składającym tajemny wydział promienistych: władzę zwierzchnią sprawowali tu Filomaci. Towarzystwo patriotyczne zwróciło na siebie uwagę szpiegów Konstantego już w r. 1822, w skutek czego uwięziono pierwszorzędnych członków Łukasińskiego, Dobrogojskiego, Dobrzyckiego, Koszyckiego, Dzwonkowskiego i Zycy.*) Wszyscy oni nie nie zeznali przed komisją śledczą o czynnościach towarzystwa, które rosło w liczbę, mając na czele ludzi wielkiego poświęcenia, wysoko wykształconych i wpływowych: Krzyżanowskiego, Grzymałę, Plichtę i Sołtyka, naczelnika komitetu. Wykrycie w Wilnie 1823 roku związku Filaretów, pociągające za sobą uwięzienie całej prawie uniwersyteckiej młodzieży, w liczbie których

*) Dzwonkowski i Zyc odebrali sobie życie w więzieniu.

był Adam Mickiewicz, Zan, Czeczot, Jeżowski i t. d., a następnie wygnanie na Sybir jedenastu Filomatów i dziewięciu Filaretów za zamiar (jak opiewa ukaz carski) rozszerzania w ziemiach zabranych bezrozumnej, polskiej narodości, utrwaliło podejrzenie W. K. Konstantego, że pod jego okiem w Warszawie istnieć muszą związki tajemne, pozostające w pewnej łączności z wileńskim. Chcąc podchwycić nici, wyznacza komisję śledczą i posyła ją do Zamościa w celu wyduszenia zeznania z więzionego tam Łukasińskiego, któremu karę śmierci, za śmiałą próbę rozbrojenia załogi fortecznej zamieniono na dożywotnie więzienie. Katowany z rządu przez kilka tygodni Łukasiński, wypowiada wśród jęków urywane słowa, które prowadzą przenikliwego tyra na do przekonania o istnieniu silnie rozkrzewionego w Polsce towarzystwa patriotycznego. Występujące na porządek dzienny nowe aresztowania nie wiele pomogły, dopiero wykrycie spisku dekabrystów w Petersburgu, spowodowało uwięzienie w Warszawie komitetu Sołtyka i wyświeciło stan rzeczy. Przez cały rok trwała inkwizycja pod wpływem masu administracyjnego z pogwałceniem wszelkich form zastrzeżonych prawem. Łukasiński wezwany w Zamościu przed komisją badawczą, obnażając niezagojone jeszcze rany zawołał: »Uważcie panowie, czy to prawdą być może, co w takich bólach wyznawałem«. Członkowie komitetu Grzymała, Plichta i Krzyżanowski zaprzeczali wszystkiemu, jednakże mimo tego materiał, nagromadzony przez komisję śledczą, wystarczał do wystawienia w Polsce kilku szubienic. Organizacja, rozgałęzienie stowarzyszenia, przysięga, a przedewszystkiem pewna łączność ze spiskiem petersburskim, nadawały cechę zbrodni stanu, schwytanej niemal na gorącym uczynku. Car Mikołaj I, żądny krwi polskiej, nosił się początkowo z zamiarem, podanym mu przez Nowosilcowa, stawienia oskarżonych pod sąd doraźny; nie chcąc wszakże rozpoczynać swego panowania gwałceniem ustawy kontytucyjnej, uległ radzie ministra Lubbeckiego i polecił sądowi sejmowemu zawyrokowanie

oskarzonych o zbrodnię stanu: Krzyżanowskiego, Sołtyka, Majewskiego, Grzymałę, Plichtę, Zablockiego, Załuskiego i ks. Dembka; dodając z swej strony dwa artykuły uzupełniające prawo konstytucyjne którymi polecił się kierować sądowi sejmowemu przy rozsządzeniu tej sprawy. Sąd, gruntując swe przekonanie na dowodach prawnych, uwolnił podsądnych z pod zarzutu zbrodni stanu uczestniczenia w spisku petersburskim, natomiast uznając ich winnymi w niewykrzyciu tej zbrodni, skazał Krzyżanowskiego na lat sześć więzienia, pozostałych zaś na dwa do trzech, wliczając w to czas, który odsiedzieli już pod śledztwem. Należenie do związków patryotycznych i rozgałęzienia ich, sąd sejmowy nie uznał za zbrodnię. Wyrok rzeczony został odesłany carowi do Petersburga z odręcznym pismem prezesa sądu Bielińskiego, w którym tenże zaznacza, że sąd sejmowy w głównym zarzucie prokuratora królewskiego, którym jest dążenie stowarzyszonych do zjednoczenia Polski z ziemią polskimi, stanowiącemi integralną część Rosyi, nie może się dopatrzyć nic takiego, coby mogło posłużyć do obarczenia Polaka zarzutem zbrodni. Oskarzeni — dodaje Bieliński — przyznając jednomyślnie, że narodowość była jedynym celem ich związku, odwołują się dla usprawiedliwienia swego celu, do traktatu wiedeńskiego.

Mikołaj I. niespodziewając się nigdy podobnie śmiałego postępcu ze strony sądu sejmowego, doprowadzony do wściekłości, w liście swym do Konstantego, obarczając Bielińskiego zarzutem zbrodni stanu, żąda podania sobie nazwisk autorów owego zuchwałego memoriału. Oburzenie cara doszło do ostatnich granic, gdy się dowiedział, że głównym redaktorem jest ks. Adam Czartoryski, minister oświaty i przyjaciel Aleksandra I. Ten obywatelski czyn ks. Adama, sam przez się mógłby posłużyć tarczą przeciw zarzutom o niepatryotyzm, jakimi obsypywali go tak szczerze jego przeciwnicy. Wyrok sądu sejmowego, obarczony przez Mikołaja zarzutem zbrodni stanu, oddano do rozpatrzenia radzie administracyjnej, która

dzięki niesłuchaniu gibkiemu i subtelnemu umysłowi ministra Lubeckiego i jego darowi wymowy, po dwumiesięcznych, żarliwych sporach, przyznała go prawomocnym. Mimo to, uniewinnionych porwano do Petersburga, gdzie ich przetrzymano długi czas w kazamatkach Piotro-Pawłowskiej fortecy, mnóstwo zaś członków towarzystwa patryotycznego z ziem zabranych, bez żadnego sądu, wygnano na Syberyę. W samym końcu 1828 r. Piotr Wysocki, porucznik pułku grenadierów, przydzielony jako instruktor dla szkoły podchorążych, utworzył związek, składający się z samych wojskowych, którego celem było wywołanie powstania zbrojnego wyłącznie w Warszawie, skąd miało rozciągnąć się na całą Polskę. Związkowi, w liczbie których było trzech członków izby poselskiej: Zwierkowski, Trzeciński i Małachowski, mając na względzie ówczesną wojnę Rosyi z Turcyą, postanowili wywołać wybuch w końcu marca 1829 r., nowe jednak projekta, powstałe z tytułu odbyć się mającej w Warszawie koronacji Mikołaja I, pociągnęły za sobą zwłokę i dopiero 29. listopada 1831 r. stał się owym dniem pamiętnym, w którym po ulicach Warszawy rozległ się okrzyk: do broni! do broni!

Powstanie listopadowe, które przy sile zbrojnej jaką rozporządzało, waleczności żołnierza i zapale patryotycznym ogarniającym naród, przenosząc teatr wojny do Litwy i Ziem zabranych, groziło, rzucającemu wszystko na kartę, najeźdźcy wyrzuceniem na stepy azyatyckie, — pętane wciąż przez żadne oczekujących jego końca pseudo-patryotów, padło po dziewięć miesięcy swym trwaniu jak nieustraszony olbrzym, własnym swym mieczem przebity, — przekazując testamentalnie przyszłym pokoleniom, że kunktatorstwo, dyplomacya i wszelka myśl zawierania układów z wrogiem, po rzuceniu mu już raz krwawej rękawicy, są najcięższym występkiem, dla którego nie ma i być nie może nigdy przebaczenia!

»Warszawa u nóg twoich« — oznajmia Mikołajowi depesza Paszkiewicza, po wzięciu szturmem stolicy. I pijany zemstą tyran, zwolniony obecnie z więzów, jakimi go kępowała konstytucya, rozpoczął wtóry okres krwawych swych nad Polską rządów. Cała armia polska, kwiat polskiej młodzieży, wszystko co było najszlachetniejszego w narodzie, co czuło żywiej, co ukochało swobodę i dążyło do wyzwolenia Ojczyzny, wszystko to rzucone zostało w stepy i puszcze sybirskie lub też zmuszone było szukać schronienia na obczyźnie przed przesładowczą ręką mściwego despoty. Tyrania i ucisk dosięgały swego zenitu; każdy objaw patryotycznego uczucia, każde słowo nieostrożnie wypowiedziane, każde spojrzenie ku przeszłości pociągało za sobą więzienie, chłostę i wygnanie. Nietylko dojrzałych wiekiem, lecz i niedorostków odrywano od ognisk domowych, wywożono w głąb carstwa do szkół sałdackich, gdzie za słowo wypowiedziane po polsku lub szept pacierza bito różgami i pędzono w sałdaty, na Kaukaz i Syberję. Każdy inny naród, zostający pod takim gniosem najezdcy, prędzej czy później przekształciłby się był w kolonię moskiewską, a jeżeli patryoci polscy znajdowali i znajdują w sobie dość siły do stawiania oporu sprzysiężonemu na zatrącenie jego wrogowi, to siłę tę czerpią w wrodzonej miłości ojczyzny, w poczuciu swej godności, w hartowaniu woli, w odtrącaniu tego wszystkiego co kazi obyczaje, co technie służalstwem i obłudą!

W rok zaledwie po wzięciu Warszawy przez moskali, garstka tych walecznych, którzy pod ogniem wielokroć liczniejszego wroga, zsypując proch z panewek, wywracali moskiewskie kolumny bagnetem, — przenosząc obecnie śmierć nad niewolę i tułactwo, powzięli szalenie śmiały zamiar wkroczenia do Polski kongresowej z małymi zbrojnymi oddziałami i rozpoczęcia we wszystkich ziemiach polskich wojny podjazdowej przeciw zalewającej je armii rossyjskiej. Główny organizator tej wyprawy, Józef Zaliwski pierwszy wkroczył do Królestwa polskiego dnia 19. marca

1833, a w ślad za nim inni. Partyzanci trzymali się w lasach, napadając i rozbrajając posterunki kozackie; zanim jednak zdołali wzmocnić swoje oddziały miejscowymi ochotnikami i przeprowadzić zamierzoną organizacyę, trapieni wciąż przez wielokroć silniejszego nieprzyjaciela, zostali pobici i podstępem wzięci do niewoli. Kurzalski, Olkowski, Przeorski, Jakubowski, Zawisza, Szpek, Gecold i Palmart straceni w Warszawie (pierwsi trzej rozstrzelani, następni powieszni) Karczewski, Dawidowicz powieszni w Lublinie; Jakubowski i Plenkiewicz na miejscu, w którym przekroczyli granicę austryacką; Wojtkiewicz, Zajac i Morozow rozstrzelani w Lipie; Winnicki i Dąbkowski w Kaliszu; Wołowicz w Grodnie; Lachowski, Gawrylenko, Zagrzebialny, Lewicki, Berini, trzej włościanie Kurek, Panasiuk, Sadowski i 15-letni Raczynski otrzymali każdy po 200 kijów i zesłani do katorgi. Przytem wiele osób podejrzanych o współudział w tej sprawie wygnano doraźnie na Syberję.

Krwiożerczość tyranów nie powstrzymuje działalności polskich patryotów. W samej Polsce jako też w ziemiach zabranych zawiązują się liczne stowarzyszenia przeciwdziałające dążeniom zaborcy wyniszczenia polskiej narodowości. Główniejszymi organizatorami tych związków są: ks. Kroczewski, Gzowski i Szymon Konarski. Ten ostatni, człowiek nader wykształcony, niezwykłej siły woli i natchniony patryota, będąc na emigracyi, należał początkowo do związku »młodej Europy« noszącego potem miano »młodych Włoch«, którego głową był Mazzini. Po rozerwaniu rzeczonożego związku, skutkiem zdrady Romariego, Konarski puścił się z obcym paszportem do Polski, objechał Litwę i Wołyń, następnie powrócił do Paryża, gdzie porozumiewszy się z Centralizacyą, wyruszył przez Kraków do Litwy i założył tam w r. 1836 związek pod nazwą »stowarzyszenia ludu polskiego«. Związek ten trzymał się zasad republikańskich, celem jego było uobywatelenie i uwłaszczenie ludu wiejskiego. Związkowi, ludzie wykształceni i zamożni, ożywili słabnący duch

w narodzie, wyrwali go z uśpienia i pobudzili nowe, silne i wielkie dążenia do wolności, równości i niepodległości. Konarski, człowiek energiczny, śmiały i przeznorny, mógł być, po wysłedzeniu związku przez policję, długo jeszcze ukrywać się na Litwie, gdyby nie ustne polecenie dane przez Mikołaja gubernatorowi wileńskiemu Dołgorukiemu, względem pojmania go. Porozpuszczano całą zgraję szpiegów w różne strony, i na jednej z stacji pocztowych, wiosną 1838 r. Konarski został aresztowany i odstawiony do Wilna, gdzie po całorocznych męczeńskich badaniach, rozstrzelano go dnia 15. lutego 1839 r. Wykrycie związku Konarskiego spowodowało na Litwie ogromne aresztowania, wwszy 150 główniejszych uczestników tej sprawy wygnano na Sybir, w liczbie których byli obydwa bracia Balińscy Karol i Michał, Dr. Baupré, Cichoccy, Czapski, Orzeszko, Felińska, autorka pamiętników, Godebska, Michalscy, Komorowska Eleonora, Maszyńska, Pinińska, Rodziewiczówna Teresa, Rzęsiewska, Serebnicka, Wilczopolska Paulina, Wolańska Eleonora i t. d.

Równocześnie wygnano na Syberję wielu patryotów polskich z Królestwa, skutkiem wykrycia w Warszawie związku »stowarzyszenia ludu polskiego«, którego założycielami byli dwaj wysoko wykształceni ludzie Franciszek Wężyk i Ehrenberg. Stowarzyszonych nazywano także świętokrzyscami, od folwarku świętokrzyskiego, gdzie miały miejsca zgromadzenia.

Rok 1837 zaznacza się na kartach martyrologii polskiej krwawym dramatem, odegranym w Omsku, jakiego po on czas nie pamiętano jeszcze w Syberji. W liczbie zapędzonych w stępy kirgizkie patryotów polskich był ks. Sierociński, przeor Bazylianów w Owrużu, przyjmujący czynny udział w powstaniu listopadowem. Zarekrutowany do pułków kozackich, ks. Sierociński, człowiek wysoko wykształcony i władający kilkoma językami europejskimi, zwrócił na siebie uwagę urzędników carskich i po pewnym czasie został naznaczony profesorem szkoły wojskowej w Omsku. Chcąc wyzwolić siebie i swych rodaków, których liczba

w okolicach Omska dochodziła wtedy do 2500. Ks. Sierociński zorganizował związek, którego celem było przedrzeć się z bronią w rękę do Persyi lub Indostanu, a z tamąd do Europy. Liczba związkowych dochodziła do kilku tysięcy: prócz Polaków wtajemniczeni byli Rosyianie, Kirgizi i Tatarzy. Wszystko już było gotowe, gdy w wilię dnia naznaczonego do wybuchu, trzech Polaków zdrajców, Gajewski, Knak i jakiś trzeci zawiadomili o wszystkim pułkownika Degravé, komendanta fortecy w Omsku. Aresztowano do 1000 ludzi; śledztwo trwało przez lat trzy, prowadzone przez komisją przyslaną z Petersburga, wreszcie zapadł wyrok, skazujący Sierocińskiego, Dżurdżyłowskiego, Jabłonowskiego, Zagórskiego, sześćdziesięcioletniego starca, oficera wojsk polskich, Szokalskiego i Mieliłdina, Rosyanina na 7000 kijów bez litości, (na siedm tysiąc pałok, biez poszczady) Do spełnienia tego wyroku wysłany został przez Mikołaja z Petersburga generał Gałafiejew. Egzekucya odbywała się wśród mroźnego dnia marcowego, na placu pod miastem. Nad rankiem wykomenderowano dwa bataliony żołnierzy po 1000 ludzi, których jeden przeznaczony do katorwania delikwentów skazanych na 7000 kijów, drugi zaś na mniejszą ilość. Każdy batalion wyciągnięto w dwa szeregi, pomiędzy którymi prowadzono obnażone ofiary. Żołnierze uzbrojeni w kije ustawieni byli w takich odstępach, ażeby mogli bić z całym zamachem. Gałafiejew, pozostawiając rozmyślnie ks. Sierocińskiego widzem tej okropnej sceny, przystąpił do spełnienia krwawej egzekucyi nad jego towarzyszymi. Żaden z nich, wyjąwszy Szokalskiego za którym usilnie wstawił się lekarz wojskowy, nie wytrzymał 7000 kijów, wszyscy też pod nimi wyzionęli ducha. Ks. Sierociński, wątłej budowy ciała, przytem wycieńczony trzechletnim więzieniem, gotował się jak Chrystus w Ogroju do oczekującej go męki, a gdy zbliżył się do niego lekarz z kroplami wzmacniającemi, ks. Sierociński, odwróciwszy głowę, wyrzekł z właściwą mu godnością »Pijcie krew moją, krew naszą, ja waszych

kropki nie chce, nie potrzebuje, i z modlitwą na ustach poszedł na śmierć męczeńską Okrutny Gałafiejew, nie dość syty krwią zamordowanych towarzyszy ks. Sierocińskiego, nie odstępował na krok swej ofiary, krzycząc wciąż na żołnierzy »nakazywał' pakriepsze, pakriepsze« (bić mocniej, mocniej), a gdy który z żołnierzy, zdjęty litością, folgował ofiarze, znaczył mu kredą plecy, by go potem ukarać kijami. Po otrzymaniu 1000 kijów ks. Sierociński padł na śnieg cały krwią zalany i omdlały. Wtedy włożono go na sanie, przykrepowano w postawie kłęczącej do przytwardzonego na nich rusztowania, wożono pomiędzy szeregami żołnierzy i katowano ponownie. Ofiara wydawała bolesne jęki, które słabnąc stopniowo, wkrótce zupełnie ucichły: pod ciosami 3000 kijów życie zakończył. Pozostałą połowę wyliczono już na trupie ks. Sierocińskiego, a raczej na szkielecie, gdyż zsiekanie do kości ciało odpadło już poprzednio. Szokalski, który jeden, za usilnem wstawieniem się lekarza, otrzymując słabe ciosy, pozostał przy życiu, przeleżał długie czasy w szpitalu w Omsku. Po wyleczeniu zesłany został do katorgi, gdzie pod wpływem cierpień moralnych i fizycznych życie sobie odebrał. Między zaliczonymi do drugiej kategorii, ukaranymi od 3000 do 1000 kijów, byli Budeskuł, Gawroński, Knoll, Orzechowski i Sawicki. Wszyscy po wyleczeniu zostali odesłani do ciężkich robót. Lekarz batalionowy, który ujmował się za nieszcześliwymi otrzymał dymisję.

Inna podobnie krwawa scena odbyła się w Aleksandrowsku, miejscu wygnania twórcy powstania listopadowego, pułkownika Piotra Wysockiego. Wzięty rannym pod Wołą przy szturmie Warszawy, po trzechletnim więzieniu, Wysocki został skazany na śmierć. Sąd jednak upewnił go, że zostanie ulaskawionym, jeżeli napisze prośbę do Mikołaja. Gdy na żądanie Wysockiego podano mu pióro i arkusz papieru, napisał na nim następujące słowa: »nie dla tego podjąłem broń, ażebym prosił cara o łaskę, ale dla tego aby jej mój naród nigdy nie potrzebował«. Mimo tego śmia-

łego oznajmienia, car ulaskawił Wysockiego, zamieniając mu karę śmierci na dożywotnią katorgę, w Aleksandrowsku. Nie chcąc być carskim niewolnikiem postanowił wspólnie z towarzyszami ratować się ucieczką; ta jednakże nie udała się. Wysłani w pogoń za zbiegami żołnierze, opadli ich w czasie przeprawy przez bystrą Angarę. Wysocki ranny kulą, dostał się wraz z innymi do niewoli. Nastąpiło śledztwo, sąd, a następnie egzekucya. Wysocki skazany na 1000 kijów, zbity nielitościwie, ledwie żywy odniesiony do szpitala, skąd po wyleczeniu wysłany do katorgi w Akatui i przykuty do tacek. Chłopi i Bronowski knutowani i napiętnowani literami K. A. T. Weber w chwili gdy go prowadzono na szafot, przebił się nożem. Nie jednego też lub dwóch dziesiątek podobnych dramatów widownią była Syberya! Nikt ich się nie doliczy i nie dosłucha! W Orenburgu, zaliczającym się jeszcze do miast europejskich, zamordowano pod uderzeniami 3000 kijów Lewandowskiego, syna obywatela ziemskiego, oddanego w sądaty, a zamordowano go za to, że doprowadzony do rozpacz przez jednego z oficerów, prześladowcę narodowości polskiej, dał mu policzek. Działo się to za czasów liberalnego Perowskiego, który sam ten wyrok na Lewandowskiego podpisał

Rok 1848, w którym nastąpiło wykrzyście związku ks. Ściegiennego, zasilą kopalnie sybirskie świeżymi zastępami polskich więźniów. Ks. Piotr Ściegienny b. Pijar, później proboszcz w Chodlu, rozpoczął w 1843 r. gorliwą propagandę między włościanami, mającą na celu zbrojne powstanie. Działal on na gruncie społeczno-religijnym. Należąc sam do stanu włościańskiego, znalazł u ludu wiejskiego szczere uznanie; chłopci garnęli się do niego i zrozumiawszy o co rzecz idzie, nagromadzili pewien zapas broni siecznej, palnej i amunicyi. W trakcie tych przygotowań nastąpiły aresztowania wielu osób wtajemniczonych w sprawę, co skłoniło księdza Ściegiennego do przyspieszenia wybuchu. Naznaczono dzień; lecz niestety, rząd zawiadomiony o wszystkim przez zdrajcę Perkowskiego, kazał oto-

czyć zebranej z okolic piechocie i kozactwu kilkanaście wsi i aresztować podług spisu wszystkich włościan i wielu ze szlachty. Ks. Ściegienny uszedł i ukrywał się u Bernardynów na Korczówce pod Kielcami; nie dając wszakże sprawy za wygrane, każdego wieczora pod różnemi postaciami pojawiał się Kielcach, gdzie też został aresztowanym. Badany początkowo w więzieniu w Kielcach, przewieziony został do cytadeli warszawskiej, gdzie po długotrwałem męczeniu osądzony na śmierć przez powieszenie. W Kielcach postawiono ks. Ściegiennego pod szubienicą, gdzie po zdjęciu sakry i założeniu stryczka na szyję odczytano mu ułaskawienie t. j. zamiarę kary śmierci na dożywotnią katorgę. Pięciu włościan, uczestniczących w tej sprawie: dwaj bracia ks. Ściegiennego Karol i Dominik, tudzież Suseł, Stojkowski i Lisowski otrzymali po 1000 kijów, i wraz z innymi, wysłani zostali do katorgi, resztę zaś na osiedlenie w Syberyi. Należący do tej sprawy, znany powszechnie z szacownych swych dzieł J. Gordon, został aresztowany dopiero w trzy lata później i więziony w cytadeli warszawskiej, skąd wysłany w sądaty do Orenburga.

Powstanie 1846 aczkolwiek słabą falą odbiło się na lewym brzegu Wisły, to mimo tego, za znaczyło tam swą bytność, krwią trzech polskich męczenników i dostarczyło Syberyi wiele dziesiątek wygnańców. Pantaleon Potocki, który z małą garstką nieustraszonych równie jak on współtowarzyszy napadł na załogę moskiewską w Siedlcach, wydany siepaczom w dobrach swej matki przez młynarza Jaworskiego, został powieszony w Siedlcach; dwaj jego towarzysze Żarski i Kociszewski przed cytadelą warszawską; Ruprecht Karol, student uniwersytetu w Berlinie i Dobrycz, po przeczytaniu im ułaskawienia pod szubienicami, zesłani na całe życie do katorgi. Lityński, uczestnik tejże wyprawy otrzymał 2000 kijów i na całe życie do katorgi; Grzegorzewski, Jabłonowski, Jordanowie Julian i Feliks, Kamiński i inni, wygnani do Syberyi. Z wysledzonego w tymże roku »towarzystwa demokratycznego«

emisaryusz Jan Reer otrzymał 1500 kijów i zesłany do Piotrowskiego-Zawodu do Syberyi wraz z wieloma innymi członkami tego związku, między którymi był Apolinary Hofmeister, dr Reiner i Józef Bogusławski. Tych trzech ostatnich, kat na placu w Wilnie pozbawił praw stanu.

Jak zaś torturowano ówczesnie więźniów stanu w cytadeli warszawskiej, by wymusić od nich zeznania, za dowód tego posłużyć może śmierć męczeńska studenta Levitou, który żywcem spalił się w swej celi. Namiestnik ówczesny generał Paszkiewicz, prawa ręką Mikołaja, nieustępujący mu w niczem pod względem okrucieństw, krwiożerczości, ciągłym i nieustannym przesładowaniem oburzył tak dalece przeciw sobie młodzież szkolną, że postanowili go zgładzić. Gimnazjaliści warszawscy zgromadziwszy się, uradzili losowanie. Los padł na dziesięcioletniego ucznia klasy I. Starszy kolega malca, Antoni Rudzki, nie ufając jego strzałowi postanowił go zastąpić, lecz nazajutrz został aresztowany wraz z wieloma innymi i uwięziony w cytadeli.

W latach 1848 do 1851 wysledzono kilka związków szeroko rozgałęzionych w Królestwie i na Litwie. Jednym z tych był związek braci Dalewskich Aleksandra i Franciszka, na czele którego stał Domaszewski, zamęczony przedtem w cytadeli warszawskiej. Program działania tego związku był oparty na gruncie narodowym; popierano gorąco sprawę ludu lecz nie wzniesano nienawiści ku szlachcie. Wypadki 1848 r. a zwłaszcza rewolucya węgierska skłoniły związkowych do rozpoczęcia organizacji zbrojnej, co też przysporzyło ich upadek. Policya, wpadłszy na trop spisku poczyniła liczne aresztowania.

Wielu z młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej wygnano do Syberyi; w arsenale wileńskim na podwórzu bito kijami Danowskiego, Uklejewskiego, Dobkiewicza, Stackiewicza, Bokija, Majewskiego, Jarmołowicza, Skrzetuskiego, Wołensewicza, Pasternaka, Lin-

kiewiczza, Siemaszkę i wielu innych*). Studentów gimnazjalnych chłostano różgami na dziedzińcach gmachów szkolnych w Wilnie i Mińsku, poczem pobrano w żołdacy i wygnano na krańce carstwa. W rok później t. j. 1850 r. odkryty został związek warszawski skutkiem zdrady Świerzbickiego, który dostarczył policji listę mieszczącą 200 nazwisk spiskowców. Założyciel tego związku Henryk Krajewski, więziony już poprzednio w cytadeli, dowiedziawszy się o zdradzie w czasie gdy go żandarmi prowadzili do śledztwa, wyskoczył oknem z drugiego piętra na bruk lecz nie zabił się tylko złamał nogę.

Do licznego poczetu patryotów polskich, wygnanych do Syberji w latach w mowie będących, należy jeden z najzdolniejszych literatów i najzasłużonych patryotów polskich ś. p. Agaton Giller, wydany siepaczom carskim przez ówczesnego namiestnika Galicyi hr. Góluchońskiego. Duch patryotyczny wiejący z każdej kartki licznych dzieł tego niezmordowanego pracownika i skrzętnego zbieracza materiałów historii Narodu polskiego, jego czysta, rwąca i nieskazitelna miłość ku Ojczyźnie, jego czyny, uwieczną jego imię w pamięci i sercach pokoleń.

Z śmiercią cara Mikołaja I. 1855 r. i 56 r. Paszkiewiczza owych najsroźszych prześladowców narodowości polskiej, przerywają się na lat kilka męczeńskie pochody patryotów polskich na Syberję, a przerywają się po to, by spadkobierca okrutnych dążeń swego ojca Aleksander II, zalawszy polską ziemię krwią ofiarą, zappełnił dziesiątkami tysięcy najwierniejszych jej synów, katorgi i puszcze sybirskie.

Słynny historyk Jan Scheer, profesor uniwersytetu w Zurychu, na jednym z zimowych swych odczytów 1872 r. przystępując z kolei do rozbioru ostatnich wydarzeń w Polsce, oznajmił uroczyście: »krwa-

*) Zygmunt Sierakowski, jeden z najdzielniejszych dowódców w czasie powstania 63 r. za udział w sprawie Dalewskich wysłany został wtedy w żołdacy do Orenburga.

we zajęcia warszawskie w latach 1861 i 1862, jako też powstanie polskie 1863 r. są wypadkami historycznymi w obec których błędą wszystkie inne dotąd znane. Podobne poświęcenie i bohaterstwo, jakich dał dowody ostatnimi laty naród polski, nie podlegają krytyce i podlegać jej nie mogą.

Scheer nie był Polakiem; potężny wszakże i jasny jego umysł, sparty na gruncie etycznym, smagając niechęciwie pychę i brutalstwo, musiał dać wyraz wysokiego uznania dla czynów, których pobudką były najszlachetniejsze uczucia. Wsłuchując się w tętno życia narodów, czuł on nadto dobrze, że z każdej kartki dziejów porozbiorowej Polski tryska żywa krew, promienieje wolności duch!

Rzućmy okiem na zawiązek tych wypadków, które ogarniając całą Polskę, zalały ją strumieniami krwi. Aleksander II. w czasie pierwszego swego wjazdu do Warszawy witany był hucznymi wiewatami przez tę część ludności, która dzięki silnej, po nad wszystkie uczucia, rozwiniętemu w niej instynktowi samozachowawczemu w rzadkich tylko razach dotknięta bywa gniosem jarzma niewolniczego. Patryoci polscy, nie spodziewając się nic pomysłnego dla swej ojczyzny z ręki syna najsroźszego jej gnębiiciela, patrzyli z oburzeniem na te objawy radośne, uwłaczające czci narodu. Mowa cara wypowiedziana 22. maja do witającej go deputacyi, rozwiła pokładane w nim nadzieje. »Porządek zaprowadzony przez mego ojca wyraża się nowy car Aleksander II. -- nie może być w niczem naruszonym. A więc panowie żadnych marzeń, żadnych marzeń. Ja potrafię powstrzymać marzycieli i stłumić ich zapędy w samym zarodzie. Szczęście i pomysłność Polski, polega w zupełnym zjednoczeniu się jej z narodami mojego carstwa.

Tego rodzaju oznajmienie musiało wywołać protest ze strony polskich patryotów. Wkrótce też młodzież polska z wyższych zakładów naukowych zawiązała kółko patryotyczne, którego celem było budzić ducha w narodzie i przygotowywać go do protestu.

Jednocześnie Jarosław Dąbrowski zakłada w Petersburgu także kółko, do którego oprócz oficerów i młodzieży uniwersyteckiej, należał piastujący ówczesnie wysokie stanowisko w ministerstwie petersburskiem, literat Józef Ohryzko. W r. 1859 zawiera się w Warszawie kółko Jankowskiego, złożone przeważnie z kupców i zamożniejszych obywateli miejskich; kółko Jurgensa i inne, wcielające w siebie klasę rzemieślniczą i różne instytucje przemysłowe. Występują na porządek dzienny liczne manifestacje narodowe, z których najokazalsza odbyła się 25. lutego 1861 r. w rocznicę pamiętnej bitwy pod Grochowem. Do stłumienia tej demonstracji użyto siły zbrojnej; wiele osób zostało potrąconych kołami i pokaleczonych pałaszami, przyczem miały miejsce aresztowania. W owym to czasie rozpoczęły się obrady towarzystwa kredytowego ziemskiego, na których uczestniczyła cała szlachta polska z prowincyi pod przewodnictwem hr. Andrzeja Zamojskiego. Szlachta ta, jako korporacja, uchyliła się od wszelkiego współnictwa z ruchem warszawskim, uważając go za uliczny. Pertraktacje wysłanników kółek z towarzystwem kredytowym nie osiągały zamierzonego celu, zabiegi nawet umiarkowanego Jurgensa, podejmowane wielokrotnie w celu zjednoczenia szlachty z partią ruchu, ograniczyły się tylko na przyrzeczeniach »wzięcia rzeczy pod bliższą rozagę«. Czego jednak nie byli w stanie wyjednać u szlachty delegaci kółek, tego dopięła 7. rota pułku nizowskiego, która na komendę generała Zabłockiego, przyjąwszy 27. lutego lud bezbronny ogniem, położyła trupem pięć ofiar. — Byli nimi: Karczewski i Rutkowski obadwaj obywatele ziemscy, Arcimowicz, uczeń gimnazjum, Brendel i Adamkiewicz robotnicy. Jednocześnie sotnia kozaków essauły Zawarowa, rozpuszczona po ulicach Warszawy, porąbała krzyże, niesione przy wyruszającym od kościoła bernardyńskiego kondukcje pogrzebowym. Barbarzyństwa te, wywołały nieprzewidziany zwrot we wszystkich umysłach. Nigdy może siła moralna nie zaznaczyła uroczyściej i potężniej

swego zwycięstwa nad brutalstwem i przemocą jak w owej chwili. Krew niewinna, zebrana co do ostatniej kropli przez cisnące się tłumy, stała się owem zakłębieniem. wywołującym przed oczy każdego Polaka wszystkie mordy, cały ogrom krzywd zażądanych narodowi od ośmiu lat dziesiątek przez najeźdźców północnych, budząc w narodzie poczucie praw mu przynależnych. jego siły, obowiązków względem ojczyzny i wścieklej nienawiści ku swemu ciemiężcy. Rząd zdrzął sam przed swymi postępkami i tracąc grunt pod nogami. okazał się skłonny do ustępstw. deskredytujących go w obec samego siebie. Ówczesny namiestnik hr. Gorczakow. godził się na wszystkie propozycje, czynione ze strony przedstawicieli pokrzywdzonego narodu; wybrana przez ludność delegacja*) rządziła miastem, uwolniono wszystkich więźniów stanu z warszawskiej cytadeli, pozwolono pochować pięć ofiar z należną im cześcią, usunięto wojsko i policję, zastępowaną odtąd przez straż obywatelską

Wiadomość o krwawych zajściach w Warszawie zatrwożyła zarówno cara Aleksandra II., jak i jego doradców. Potęga moralna, jaką wyłonił z siebie ocknięty ze snu naród polski, zachwiała rządem, opierającym się na bagnietach. Słowo »moralna rewolucya«, nie schodzące z ust rossyjskich urzędników, oficerów i żołnierzy, stało się widmem, wytrącającem im oręż z ręki. Zamęt i niepewność siebie owładnęła wojskiem. Naród natomiast, zdobywał sobie niebываłe dotąd ustępstwa: wszystko zapowiadało jaknajlepszy rezultat. Niestety jednak, fatalizm, prześladowający Polskę, wyprowadził na widownię w charakterze pośrednika pomiędzy caratem a narodem, margrabiego Wielopolskiego. Magnat ów, który przy swym potężnym umyśle i niezrównanych zdolnościach organizacyjnych. robiąc ofiarę choć

*) Do delegacji tej należeli: ks. Wyszyński i Stecki, Piotrowscy Teofil i Jakób, obyw. ziemscy; Kraszewski i Kenig, literaci; Józef Lewicki, pułkownik b. wojsk polskich 1830 r. Kronenberg i Rozen, bankierzy; Dr. Chałubiński, Szlenker, Bajer, Trzetrzewicki adwokat, Hiszpański i rabin Mejsels.

z cząstki swej pychy, mógłby był stać się oswobodzicielem ojczyzny, odegrał rolę najśrodszego z jej katów, pozostawiając po sobie przekleństwo całego narodu. On to, rozwiązując towarzysztwo kredytowe ziemskie, stał się sprawcą krwawej rzezi na placu przedzamkowym w dniu 8. kwietnia 1861 r.; on wreszcie, składając cara do przyspieszenia o lat trzy poboru wojkowego w Polsce kongresowej, wywołał przedwcześnie powstanie 22. stycznia 1863 r.; oddał mu na łup całą Polskę i Litwę i utraciwszy sam jego zaufanie i łaskę, którą zawsze pogardzał, zakończył swe życie na obczyźnie na równi z ofiarami swej pychy i uporu!

Powstanie 63. i 64. r. okupiła Polska utratą 150.000 najdzielniejszych ludzi, z której to liczby wzyż 18.000 pochłonęła Syberya. Jeńców prowadzono pieszymi etapami. Zabójcze warunki więzienne i trudy podróży oddziaływały zgubnie na zdrowie wygnańców. Obchodzenie się władz rządowych z więźniami było surowe, w wielu razach tyrańskie. Tak na p. w Korożu, w Rossyi europejskiej, powstańców, proszących o rozluźnienie im kajdan, bito kijami, a podburzane przez rząd pospólstwo, spotykało ich wszędzie obelgami, przekleństwami i obrzucało kamieniami. W więzieniach miast gubernialnych, gdzie zatrzymywano przez czas dłuższy partye wygnańców, rozwijały się choroby zaraźliwe. W Permie w ciągu jednego tygodnia zmarło na tyfus stu powstańców; w Jekaterinburgu zimą 1864/5 stu pięćdziesięciu. W 1866 r. w więzieniach w Irkucku mieściło się do 2000 powstańców wśród najgorszych warunków dla zdrowia:ienne strawne każdego więźnia wynosiło 8 kopiejek, co przy ówczesnej drożyznie wystarczyło ledwie na kupno jednego funta czarnego chleba. Głód i nędra przyczyniły się do rozwoju w więzieniach tyfusu i szkorbutu, ofiarą których chorób padło ówczesnie do trzechset powstańców. Znośniejszą nieco była dola 800 jeńców, rozrzuconych grupami po więzieniach katorżnych, w okręgu górniczym nerczyńskim; ci jednak, których wysłano w r. 1865 za Bajkał w celu budowy drogi krugomorskiej, nara-

żeni byli na tyle przykrości i cierpień, że dając pierwszeństwo śmierci na moskiewskich bagnietach nad życie niewolnicze, nosili się z zamiarem ucieczki. Starostą tej partyi był Gustaw Szaramowicz.

Między jeńcami polskimi w Irkucku znajdował się Celiński, porucznik saperów rossyjskich, skazany do katorgi za udział w ostatniem powstaniu. Celiński powziął zamiar sformowania oddziału z 1000 powstańców, przedarcia się przez stępy kirgizkie do Buhary i połączenia się tam z walczącymi. W początku maja 1866 roku zaczęto wyprawiać powstańców z Irkucka za Bajkał, jednocześnie jednak pojawił się carski manifest, według którego powstańcom, skazanym do robót ciężkich na czas zwyż lat dziesięciu, zmniejszono karę do połowy, wszystkim zaś pozostałym zamieniono katorgę osiedleniem w Syberyi. Manifest ten paraliżował w zarodku zabajkalskie powstanie, wielu bowiem więźniów, obiecujących sobie żyć na wolnej stopie, uchyliło się od przyjmowania w niem udziału. Celiński nie tracąc otuchy, na wyjeźdnie z Irkucka wysłał tajemnie rozkaz do Szaramowicza i Kwiatkowskiego, starostów dwóch nieopodał od siebie, nad Bajkałem rozłożonych partyi powstańczych, ażeby bezzwłocznie rozpoczęli działać, on zaś połączywszy się z nimi, obejmuje komendę nad wszystkimi oddziałami. Kierując się tym rozkazem obadwaj oni zawezwali swych towarzyszy, a że większość z nich, mimo wszelkich przedstawień, uchyliła się od przyjmowania udziału w powstaniu, z małą przeto garstką uderzyli na kozaków, rozbili ich, poczem Szaramowicz, objawszy dowództwo, wysłał dwudziestu uzbrojonych kawalerzystów do Miszyczychi gdzie się już znajdował Celiński, sam zaś w ślad za nim podąża z swą piechotą. Eliaszewicz, dowódzca tego małego oddziałku, aresztuje na drodze dwóch pułkowników rossyjskich Czerniajewa i Szaca i przybywszy do Miszyczychy oddaje się pod rozkazy Celińskiego, formującego tam swój oddział. — Sto kilkunasto wiorstwowa odległość, dzieląca Szaramowicza od Celińskiego, opóźniła jego przybycie,

ten zaś przewidując, że Moskale wszystkie swoje siły zwrócą na Posolsk, zwiększwszy oddziałek Eliaszewicza do liczby pięćdziesięciu kawalerji, pchnął go tam wraz z Raynerem w celu przecięcia komunikacji Moskalom. — Ci jednak, zajmwszy już Posolsk, zrobili w lesie zasadzkę na polską konnicę, lecz bezskutecznie, gdyż zdołała się ona wywinąć bez żadnej straty i porąbawszy kilku Moskali, podażyła powrotnie do Miszyczycy, gdzie nazajutrz 24. czerwea nadszedł z oddziałem swym Szaramowicz

Tymczasem nadsięgnęła na statkach parowych cała siła zbrojna moskiewska w liczbie 400 piechoty i 300 kozaków buryackich, przeznaczona dla rozbicia powstańców. Zrobiono radę wojenną Cieliński, główny dowódzca sił powstańczych, wynoszących ogółem 260 ludzi, obawiając się przyjmować bitwy z trzykroć silniejszym i dobrze uzbrojonym nieprzyjacielem, postanowił cofać się do Kultuka, natrafiwszy jednak na opór ze strony Pankowskiego, Szaramowicza, Kwiatkowskiego i Eliaszewicza, zabiera z sobą dwa najlepiej uzbrojone plutony konne i prowadzi ku granicy chińskiej, pozostawiając resztę towarzyszy własnemu ich losowi. Nastąpiła chwila stanowcza. Stu pięćdziesięciu, nędznie uzbrojonych powstańców miało stawić czoło pięćkroć silniejszemu, we wszystko zaopatrzonemu wrogowi. Synowie walecznych żołnierzy z pod Stoczka, Boremla i Grochowa, okazali się godnymi sławy swych ojców!

Szaramowicz z 120 powstańcami osacza most na rzece Miszyczysze, jako najważniejszy punkt obronny przeciw tłoczącym się Moskalom, zaś Pankowski, rozrzućwszy pozostałych 25 po nad samym brzegiem rzeczki, wita najeźdców rzadko odzywającymi się, lecz celnymi strzałami. Strzelcy moskiewscy obsypują gradem kul powstańców, podczas gdy ci, wyczerpując pomalą swój szczipułki zapas naboji, zmuszeni są milczeć. Pankowski, Popławski i Zmijowski, wysunawszy się naprzód na pagórek, sparci na swych karabinach, oczekują obojętnie śmierci. Znajdują się jeszcze trzy naboje i wszystkie one więzną w piersiach mo-

skiewskich. Wtedy Zmijowski podchodzi ku strzelającym Moskalom, ciska nienabity karabin na ziemię i rozdarszy koszulę, ukazując ręką na obnażoną swą pierś, woła: »Tu strzelaj podła zgrajo!« I trzy kule uwięzły w bohaterskiej piersi *).

Moskale zatrąbili na »zbór«, zwracając swe siły ku oczekującym ich w zasadzce garstkowi Szaramowicza, lecz strzelcy Pankowskiego przy okrzyku: »Jeszcze Polska nie zginęła« rzucili się na nich z bagnietami w rękę, ponawiając atak pod ogniem nieprzyjaciela, w którym między innymi, zginął od kosy oficer moskiewski Porochow. Trzeci atak, z którego mało kto już ocalał, został przez Moskali odparty.

Poranione i pokrwawione niedobitki, rozprószone po gęstej puszczy, szukały ocalenia od śmierci, każdy na swą rękę, dając znak o sobie okrzykami »Jeszcze Polska nie zginęła«. Śpiew ten, nabawił takim strachem oficera moskiewskiego Riczka, że biorąc go za hasło ponownego napadu powstańców, zaczął cofać swe siły ku Miszyczysze. Gdyby nie było nieporozumienia między powstańcami, to powstanie zabajkalskie przy braku wojska moskiewskiego, które co do jednego żołnierza wysłano w pogoń za Polakami, mogło być wzięte nieprzewidziany obrót.

Z pomiędzy wszystkich gromadek rozproszonych po lasach, piętnastka Pankowskiego narażona została na wyjątkowe cierpienia. Zgnębieni moralnie i fizycznie nadmiarowym upływem krwi, szukali schronienia przed okiem dzikiego żołdactwa. Przedzierając się dni kilka przez gąszcze, popadli w zupełną niemoc. Zamierająca ta drużyna, wśród oświetlenia tlejących się gałęzi, podobną była więcej do cieniów śmierci, niż do ludzi żyjących. — Zasnęli. — Blask jutrenki, przedzierający się przez splecione gałęzie odwiecznych ce-

*) Streszczam tu opis »powstania zabajkalskiego« z pamiętników naocznego świadka Z. O. przytaczając niektóre ustępy tak jak one są w oryginale. Jest to istotnie arcydzieło, godne przekładu na wszystkie języki europejskie.

drow, słaby jak ich nadzieje, przebudził zgłodniałych wędrowców; powstali, puscili się dalej. *Trzeciego dnia* głód przerażająco dokuczał, organizm sam w sobie trawić się zaczął. Cedry nie były jeszcze pokryte orzechem; żyjącego stworzenia nie było jeszcze ni śladu, jedyna czeremcha jaką napotkali stała się uczłą zgłodniałych. *Czwartego dnia* głód się odezwał z większą jeszcze wściekłością, konwulsyjne kurcze żołądka waliły z nóg co kilkanaście kroków bezprzytomnie po stępujących rozbitków. Nie pomogły ostatnie wyteżnienia, trzeba było powstać z miejsca w zupełnej niemocy, karmicielka czeremcha zniknęła, szukano jej daremnie, a w miejscu jej, ukazały się po ziemi rozpostarte jagody zwane, »smorodina«; rzucili się na nią, nie opuszczając miejsca dopóki nie objedli wszystkich jagód. Po *dziewięciu dniami* błędzenia wśród takich męczarni zrobili się nieszczęśliwi istotnymi potworami. Liczne rany, pokrywające ich ciała, gnoiły się, sącząc z siebie krew, włosy jeżyły się jak u dzikich, oczy gorączką wysadzone na wierzch błędnym ogniem świeciły, a twarze zapuchłe, żółte, nawet w nich samych, patrzących na siebie, przestkach wzbudzały. Nogi ugięły się pod ciężarem własnego ciała, w rękach nie mogli nawet utrzymać kija dla podparcia się. A tymczasem dalsza podróż okazywała się konieczną. *Dziesiątego dnia*, wlokąc się jeden za drugim, żadnie upatrywali pokarmu. I czeremchy i smorodiny zabrakło. Znalezione jednakże jakiś gatunek berberysu, znany z opowiadań Moskali za truciznę. Rzucili się na niego i pozostawali tu dni sześć dopóki nie wyjedli ze szczeniem ostatniej gałązki. Podążając w kierunku południowym spostrzegli listki podobne do szczawiu; te zatrzymały ich znowu, tak, że razem upłynęło w drodze *dni dwadzieścia*. Iść dalej nie było sposobu, więc czołgając się na rękach i piersiach natrafili na roślinę ponętnej zewnętrzności z mięsistym korzeniem i lancetowatymi listkami. To była cykata. Rzucili się do niej jak zwierzęta obumierające z głodu, trzymające się przy życiu jakąś nadprzyrodzoną siłą, jedli dopóki wstrętu nie uczuli.

Po chwili każdy doznawał objawów otrucia. Boleści gwałtowne z wymiotami wystąpiły w całej sile, kurcze straszliwe wykręcały każdego jak węże, muszkuły drgały jak napięte struny, w oczach stępionych przelatywały błędne ogniki, wyprzedzające niezadługo nadejście skonu! Mimo okrutnych boleści żadna pierś nie wydawała z siebie jęku i wydać go nie mogła, nie byli to już ludzie lecz masy bez czucia, ulegające obojętnie walce życia organicznego z jego ostatecznym ohezwałdzeniem. Lecz teraz jak pierwiej zła gwiazda nie chciała przed nimi zagasnąć. Widocznie wycieńczenie czyniło organizm mniej wrażliwym na jady trucizny; po kilku godzinach, każdy choć osłabiony powstawał z ziemi i oprócz przytępionych zmysłów i odurzenia nic więcej nie pozostało po przebytych symptomatach utrucia. *Dwudziestego czwartego dnia* błędzący wędrowcy zoczyli z po za rzędniejszej puszczy rozciągające się błonia, na których pod jurkami buraackimi pasło się bydło; porwano jednego wołu i pochłonęto go.

Tymczasem Moskale, chcąc zagrozić błędzącym rozbitkom wstęp do Chin, rozciągnęli nad granicą mongolską kordon, liczący trzy brygady kozaków, kilka armat, pozostawiając w rezerwie parę tysięcy konnych Buryatów. Przednie straże, natrafiwszy na ślad, nieprzewidujących grożącego im niebezpieczeństwa powstańców, osaczywszy ich, rzucili się gwałtownie wśród strzałów i przeraźliwych dzikich wrzasków. Kilku zabito na miejscu, resztę ciężko poranionych, pokrepowanych sznurami, pokutych żelazami, rzucono na jedną kupę jak bydłęta na rzeź przeznaczone. Gotując się do wymarszu, wepchnęli w środek oddziału skatowanych więźniów i nie szczędząc pik kozackich i pletni, pędzili nie cały już dziesiątek męczeński do Sielenginska. — Cała ta droga, po której przechodzili już pierwiej pochwytnane gromadki powstańcze, była jedną strugą krwi. — W Sielenginsku, gdzie przynano tę garstkę męczenników, znajdowało się już 50 schwytanych powstańców z oddziału Celińskiego, który odłączywszy się od reszty przed samą bitwą

w Miszyczysze, śledzony wciąż przez wypuszczonego z niewoli pułkownika Szaca, zagrożony został pod Kultukiem, ściągniętym tu przez tegoż Szaca oddziałem majora Lisowskiego, złożonym z dwóch sotni kozaków i tyluż opołczenia. Celiński, przepuszczając przewyżkę sił moskiewskich, cofnął się i rozdzieliwszy swój oddział na kilka mniejszych, skierował się z 30 powstańcami ku granicy chuińskiej, gdzie wszyscy stali się pastwą czyhających na nich Moskali. Z całej tej partii Celińskiego pozostało zaledwie kilkunastu, którzy błądząc po lasach, dostali się wszyscy do niewoli.

Ofiarą barbarzyństwa rozwścieklonej dzicy stali się nie tylko powstańcy lecz i ci więźniowie polscy, którzy nie chcąc przyjmować w nim udziału, rozłożeni byli w osadach nad Bajkałem. Major Lisowski w powrocie swym z bandą kozacką przez Murum, napada na baraki, w których przemieszkiwali więźniowie, kładzie trupem żołnierza zbliżającego się ku niemu dla zdania raportu, resztę straży moskiewskiej każe kozakom swym przywiązywać do drzew w celu ich rozstrzelania, poczem trzymając w jednej ręce pałasz w drugiej rewolwer, rzuca się jak rozżarta hyena z swem kozactwem na więźniów, powala ich, maltretuje, poczem wdarszy się do szpitalu wśród wrzasku »hij!« »kłój!« zabija własną ręką jednego z chorych, a dwóch innych rani śmiertelnie. Rozprawiwszy się w ten sposób z pozostałymi barakami, wyruszył zabierając z sobą wszystkie rzeczy więźniów.

Posolsk stał się głównym punktem zbornym dla sprowadzanych przez oddziały moskiewskie zewsząd powstańców. Przeróżający widok okaleczonych, spoiniewieranych, obdartych rozbitków, zdolny poruszyć najzakamienialsze nawet serca, wywoływał w popółstwie tamednem wprost przeciwne uczucia. Zjadłość mieszkańców osad, przez które przewożono powstańców dochodziła do tego stopnia, że kozacy zmuszeni byli niejednokrotnie zasłaniać transportowanych jeńców, przed godzącymi w nich ciosami; każdy usiłował choć kijem uderzyć ledwie trzymającego się na swych

nogach powstańca; kamienie, ciskane wśród klątw i złorzeczeń, dolatywały ich co chwile. Nie lepiej przyjmowano więźniów w Irkucku. Strach, ogarniający dotychczas mieszkańców tego miasta, przemienił się obecnie w zwierzęcą żądzę zemsty. Pobyt 300 Polaków w Irkucku na wolnej stopie zwiększał trwogę. Zaprowadzono stan oblężenia, zamknięto miasto, podbierano mieszkańcom broń; zamęt, jęk, płacz, przerażenie panujące tu, zapowiadało koniec świata. Burmistrz Irkucka, milioner Kołaszewcow, zażądał od gubernatora Szałaśnikowa aresztowania i uwięzienia wszystkich zamieszkujących tam Polaków. W generalnym sztabie panował ruch niezwykły, rozsyłano manifesty wzywające do pospolitego ruszenia, ściągano wojsko z wszystkich punktów. Wreszcie zwycięstwo odniesione nad Polakami zamieniło strach paniczny mieszkańców w szaloną radość. Kozaków wracających przyjmowano jak bohaterów, tłumy ludu ciągnęły od ranka do nocy oddawać cześć, wystawionym na widok publiczny, zwłokom poległego pod Miszyczyczą, oficera Porochowa.

Na szczęście zaślepienie to nie było długotrwałe. Lud prosty, podburzany wciąż przeciw Polakom jako mordercom, grabicielom, podpalaczom, coraz dotyklniej przekonywał się, że to są oszczerstwa rozmyślnie przez rząd rozsiewane, mając zaś więźniów przed własnymi oczyma, zachwiał się do tego stopnia w narzucenych mu przekonaniach, że rozwiawszy zbrodnicze szaty, jakimi wyobraźnia ich przyodziewała każdego Polaka, dotychczasowe uczucie wstępu i nienawiści zamienili współczuciem dla nieszczęśliwych więźniów, których uznali za ofiary ucisku i prześladowań rządu. W dalszym ciągu, popłoch zupełnie ustał. Lud, idący ręką w rękę z rządem, usunął się na stronę, przegłędając się bacznie jego postępowaniu z Polakami, ku którym nabierał stopniowo zwiększającego się zaufania. Jednem słowem, Polacy, wśród najnieprzychylniejszych dla siebie warunków, zdobyli sobie coraz więcej uznania, a zdobywali je swą prawością charakteru, pracą, rozszerzaniem oświaty między ludem i zaszcze-

pianiem w niego poczucia obowiązków obywatelskich, miłości swobody i nienawiści dla poniżającego godność człowieczą despotyzmu.

Po dwumiesięcznem śledztwie nastąpił sąd przy drzwiach otwartych. Budynek sądowy oblegały tłumy ciekawej publiczności. Oskarżycielem był sławny polakożerca Milutin. Pierwszego zawezwano Szaramowicza. Błady, wynędzniały z niewygojonemi jeszcze ranami, z trudnością trzymając się na nogach, na dane mu zapytanie co do celów ucieczki tak odpowiedział:

»Ażebym powody naszego ruchu poznać, dość wam panowie popatrzeć na własne wasze czyny i postępowanie z tysiącami Polaków, wysłanych tu w niewolę. Gdy samowola wasza w doborze męczarni przeszła granice wszelkiego ucisku, gdy sił zabrakło do ich zniesienia, trzeba było ostatnią rozpaczą odeprzeć te nieludzkie gwałty. Środek został użyty taki, jaki pod ręką mieć mogliśmy; odebraliśmy broń waszym żołnierzom, ażebym nią utorować sobie drogę, jeżeli nie do wolności, to przynajmniej do przedśmierci. Lepiej zginąć, niż pędzić takie życie bez jutra, bez przyszłości pod waszą wyuzdaną samowolą i gwałtami!«

Gdy prokurator zauważył mówiącemu, że zbacza od przedmiotu i napomknął, że w obec dowodów potępiających go, jedynym ratunkiem mogłoby być dla niego odwołanie się do łaski cara; — Szaramowicz oświadczył: »Panie prokuratorze, pan chcesz mówić o ułaskawieniu carskiem — ja go nie żądam — kara śmierci, którą już naznaczyliście, będzie dla mnie zasłużoną karą za to, że nie udało mi się lepiej pokierować wybuchem!«

Pankowski śmiało i z godnością rozbiwszy w proch zarzuty czynione mu przez prokuratora względem zbierania podatków na powstanie, oznajmił: »wszystko co czyniłem, czyniłem z przekonania, jako człowiek zdający sobie sprawozdanie ze swych czynów!«

Popławski po kilku odpowiedziach na zapytania prokuratora, korzystając z danego mu pozwolenia, wręczył sądowi swą obronę na piśmie. Wykazując

w tej obronie piskącemi słowy ogrom nienawiści swej ku carowi i jego siepaczom i zaznaczając, że najszczerliwszą chwilą w jego życiu była ta, gdy w 1863 r. stanął w szeregach z bronią przeciw najohydniejszemu i najwstrętniejszemu wrogowi, wylicza — w dalszym ciągu — wszystkie podłości, mordy i zbrodnie moskiewskie, pastwienie się nad jego współbraćmi w więzieniach, których to okrucieństw sam, jako jeniec naoczny, musiał być świadkiem, temi słowy kończy swą obronę: — »Nie potrzebuję mówić jak serce we mnie zadrgało radością w dniu, w którym mogłem chwycić w rękę karabin wydarty waszemu kozakowi! Może jeszcze będziecie mnie pytać, dla czego wziąłem udział w powstaniu? Moje życie powyżej streściłem, moje myśli jasno wypowiedziałem, niechaj to wam służy za żadaną odemnie obronę!«

Ciężko ranny i obłożnie chory Eliaszewicz, nie mogąc osobiście stanąć przed sądem, nadesłał również swą obronę na piśmie. Malując barwnymi słowy śmierć dwóch Kamczadali, dobrowolnie towarzyszących do Polski wróconemu z wygnania jego dziadowi, których mimo wszelkich wygod i troskliwej opieki strawiła na obczyźnie tęsknota, mówi dalej. — »Widzicie jaki to ból być musi, w skutek którego dziki, niencywilizowany człowiek ginie, a chcielibyście, ażebym Polak, zakuty w wasze kajdany, któremu zamordowaliście brata i ojca, którego siostry porwaliście na praczki batalionowe, którego tysiącem mil rozdzieliliście od grona wymordowanej rodziny, któremu powietrze zatruliście jadem niewoli, i wy chcecie, aby ten Polak, obrócony przez was w zwierze, znosił ucisk bez szemrania, żył w waszem służalstwie i zemstą ku wam nie oddychał! Żanadto cierpień i męczarni! Wolałem raczej umrzeć i to pragnienie było jedynem, które mnie do ruchu przyłączyło; szedłem za tym głosem, któryście wy w moich piersiach rozbudzili przedtem, a jeżeli chcecie być sprawiedliwymi sędziami, sądzcie przyczyny, które nie w nas ale w was istnieją!«

Oprócz wspomnianych, było jeszcze wielu innych

obronę tego rodzaju. Publiczność z wyteżoną uwagą przysłuchiwała się mówcom, jedni w milczeniu, drudzy dawali oznaki współczucia i uznania dla pod sądnych, zaś jeden z pułkowników moskiewskich przechodząc około nich, zbitych w jedną gromadkę, poklepawszy któregoś po ramieniu zawołał: »Maładcy! wsia publika uznała« (dzielni chłopcy! cała publiczność to przyznała).

Po zamknięciu rozpraw sądowych przeczytano wyroki. Utworzono sześć kategorii. Zaliczeni do pierwszej: Szaramowicz, Celiński, Reynert, Kotkowski, Panikowski, Eliaszewicz, Kwiatkowski i Wroński skazani wszyscy na rozstrzelanie; druga kategoria, do której oprócz wielu innych włączeni zostali: Popławski, Myszkowski i Letner, co dziesiąty na rozstrzelanie, reszta na całe życie do katorgi i po 50 pletni; trzecia kategoria liczyła bardzo niewiele, tym podwyższono lata katorgi stosownie do stopnia winy, przyczem mieli być okuci na ręce i nogi; należących do piątej kategorii oddano pod surowy nadzór; wreszcie do szóstej mieli być zaliczeni zupełnie niewinni, których wcale nie było.

Ponieważ sądy odbywały się w nieobecności generała gubernatora Dondukowa-Korsakowa, hawiaącego podówczas w Petersburgu, przeto wyroki posłano mu do komfirmacyi. W okolicy carstwa odbywały się wtedy zaślubiny tańszejszego cara Aleksandra III. z księżniczką duńską, Dagmarą, który to zbieg okoliczności natchnął publiczność wiarą, że car ułaskawi zawyrokowanych. Car jednak, poruczając tę całą sprawę do załatwienia Dondukowowi-Korsakowowi, oznajmił mu ustnie »pastupit' pa zakonom«. Feldjeger wysłany z Petersburga po odbytej uroczystości zaślubin carewicza przywiózł z sobą cztery wyroki śmierci, które bezzwłocznie wykonane zostały. Ósmego listopada powieszono na plac stracenia niewyleczonego jeszcze z ran Szaramowicza, Kotkowskiego, Celińskiego i Rajnerta. Pochód trwał blisko godzinę; skazańcy z całym spokojem i godnością patrzyli na swój kondukt pogrzebowy.

Tłumy publiczności z wyteżoną uwagą śledziły każdy ruch twarzy bohaterów, którzy na okazywane im objawy współczucia odpowiadając uśmiechem, nabawiali widzów tym większym podziwem. Na placu stracenia oczekujący skazańców ks. Szvernicki chciał podstąpić ku wysiadającym z wozów więźniom, aby im udzielić błogosławieństwa na wieczną wędrówkę. Szaramowicz, podbiegając pierwszy ku drżącemu ze wzruszenia starcowi, ze zwykłą sobie pogodą i uśmiechem odezwał się: »Ojczy, zamiast nam dodać otuchy, ażeby śmiało przyjąć śmierć z rąk tych niewolników caryzmu, aby im pokazać, że za wolność Polak umie umierać, ty sam upadasz i potrzebujesz pociechy, bo ręka ci drży, którą masz błogosławić! Bądź dobrej myśli polski kapłanie, módl się nie za nas, ale za przyszłość Polski! Dla nas obojętnem jest czy zginieemy na własnej ziemi za jej swobodę, lub czy nas zamordują na wygnaniu! — Idea co nam w życiu przyświecała nie zginie«. Tak rozmawiając, zbliżali się zwolna do miejsca przeznaczenia, a tam Szaramowicz, zwróciwszy się do kolegów i uściśkawszy się z nimi podszedł ku czterem słupom wbitym w ziemię. Opatrzył je, a utkwivszy wzrok w jednym, zatrzymał się przy nim czekając zbliżenia się o kilka kroków dalej idących towarzyszy. Gdy już wszyscy miejsca przeznaczone zajęli, a oprawcy zabierać się zaczęli do nakładania śmiertelnych koszul, Szaramowicz pochwycił czapkę ze swej głowy, a rzucając ją w górę, zawołał donośnie: »Jeszcze Polska nie zginęła!« Towarzysze śmierci powtórzyli ostatni wyraz »nie zginęła« i po chwili niedługiej rozległy się strzały, a cztery zakrwawione ciała obwisły na słupach martwe i bez czucia!

Cieniom ich cześć!

K O N I E C.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Kilka słów tłumacza	III.
I. Polityca rossyjska	7
II. Podróż po ziemi zabajkalskiej	28
III. Katorga w Karze	50
IV. Wolna komenda katorżna w Karze	72
V. Przestępcy polityczni w katordze karyjskiej	94
VI. Historia więzienia stanu w Karze	121
VII. Kopalnie srebra w Wschodniej Syberii	153
VIII. Przygody nasze w Wschodniej Syberii	180
Wygnanie i męczeństwo polskich patryotów w Syberii (przyczynek tłumacza)	211



JERZY KENNAN

SYBERYA

przełożył

autor „Wspomnień więźnia“

Serya trzecia i ostatnia

Wydanie trzecie

LWÓW
NAKŁADEM TŁÓMACZA
1897

Kilka słów tłumacza.

Trzecią i ostatnią część »Syberyi« w przekładzie polskim, pozwalam sobie poprzedzić życiorysem autora, który, wykazaniem światu okrucieństw, gwałtów i całej ohydy systemu deportacyjnego w carstwie rosyjskiem, zapisał się głęboko w pamięci i sercu każdego, wolność, prawdę i dobro ludzkości miłującego człowieka.

Jerzy Kennan urodził się 16. lutego 1845 roku w Norwalk, Stanie Ohio. Pochodzi on z rodziny szkockiej, która od bardzo już dawnych czasów osiedliła się stale w Ameryce.

Jeżeli własności spadkowe wpływają na charakter, rozwój umysłowy i kierunek moralny człowieka, to Jerzy Kennan odziedziczył po ojcu swoim Janie — obrońcy karnym — szczególniejszy pociąg do podróży, miłość do przyrody, którą tak mistrzowsko umie szkicować, i ową szlachetną żądzę, stanowiącą tło jego duszy, ujmowania się za uciśnionymi. Doniosły wpływ na intelektualny rozwój młodzieńca i zamiłowanie do literatury wywarła matka jego Marya Anna Mors, pochodząca z rodziny słynnego wynalazcy telegrafu.

Młodość Kennana nie opływała w rozkosze i dostatki, przeciwnie, względy materyalne zmusiły go w dwunastym już roku życia do wstąpienia do służby telegraficznej i podtrzymywania szczupłą pensją niedostatniej swej rodziny. Spełniając sumiennie obowiązki służbowe, oddawał on się gorliwie w godzinach wolnych studjom naukowym, trawiąc niejednokrotnie nad książką bezsenne noce. Rzutki, śmiały i żądny wrażeń, Kennan powziął żywą chęć dostania się w charakterze urzędnika telegraficznego na plac boju w czasie wojny domowej w Stanach Zjednoczonych, ale tą razą doznał zawodu.

Niezdługo jednak wrodzona mu żądza podróżowania po świecie i szukania wrażeń, została zaspokojoną. Towarzystwo telegraficzne »Union Western« zawiedzione w swych nadziejach względem przeprowadzenia linii telegraficznej atlantyckiej, powzięło zamiar urządzenia innej linii lądowej ze Stanów Zjednoczonych do Europy przez Kolumbię, Alaskę i Syberję. Projekt ten, mimo rozpoczętych robót miał swoje niedogodności, tak, że ustąpił miejsca nowemu, — założenia linii telegraficznej podmorskiej. Otóż jesienią 1864 r. Kennan, pracujący ówczesnie w urzędzie telegraficznym w Cincinnati, zawezwany został przez szefa towarzystwa »Wester Union« do wyruszenia do Alaski. Ekspedycja ta, po kilkumiesięcznym zatrzymaniu się w Ameryce środkowej i Kalifornii wyruszyła 3. lipca 1865 r. z San-Francisko do Kamczatki. Następne dwa lata, uczestnik tej wyprawy

Kennan, przebył w stepach wschodnio sybirskich pomiędzy koczującymi tam Koryakami, w kurnych chatach wśród zamieci śnieżnych i wichrów podbiegunowych. Hartując ciało i wzbogacając umysł obcemi mu dotąd wrażeniami, udał się stamtąd do Petersburga, gdzie spędził całą zimę na badaniu stosunków rossyjsko-europejskich. Z wiosną 1868 r. młody podróżnik powrócił do swej ojczyzny, gdzie wydał, opisane z prawdziwym talentem i werwą, swoje przygody w Kamczatce p. t. »Życie obozowe w Syberyi«. — Prócz wspomnianego dzieła, miewał odczyty i umieszczał w czasopismach amerykańskich wiele publikacyj i artykułów, wykazujących niepospolite jego zdolności, co wszystko razem przyniosło mu dość pokaźną sumkę pieniężną, którą przeznaczył na zwiedzenie Kaukazu. Podróżując przez sześć miesięcy przeważnie konno, poznał on dokładnie ze zwyczajami i obyczajami kaukaskiej ludności a częste obozowanie z cyganami, uzbroiły go tą nieustraszoną odwagą, która okazała się wielce pożyteczną w przyszłych jego podróżach.

Po powrocie z Daghestanu zamieszkał w Nowym-Yorku, skąd przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie przez lat siedm zostawał w usługach »Zjednoczonego towarzystwa dziennikarzy«, jako sprawozdawca z orzeczeń najwyższego trybunału, co mu nastroczyło sposobność do najdokładniejszego obeznania się z ustawami towarzystw i ustrojem rządowym. W r. 1879, poślubił pełną zalet Ewelinę Rathbone Weld i prowadził życie domowe,

które, jak się wyraził jeden z najbliższych jego przyjaciół — jest pełne tkliwości, słodczy i powabu — jednym słowem idealne.

Kennan — jak wiadomo — sprzyjał początkowo rządowi rossyjskiemu, bronił go nawet publicznie w Nowym Yorku przeciw pociskom miotanym nań ze strony rossyjskich rewolucjonistów, pod którymi jak się wyraził »rozumie jakieś ponure, mniej lub więcej ograniczone istoty, z pewnym zasobem wiadomości w jednym tylko kierunku, zresztą zagorzałych fanatyków z bezgranicznym poświęceniem lecz z najprzewrotniejszymi pojęciami o rządzie i porządku społecznym, obdarzonych przytem zbyt szczupłą dozą zdrowego rozsądku«. Będąc jednak człowiekiem sumiennym, wolnym od wszelkich uprzedzeń, postanowił rzecz sprawdzić na gruncie i w tym celu podjął w r. 1885 z ramienia »Century Compagny«, podróż do Syberyi, która przyniosła mu rozgłosną sławę w całym świecie cywilizowanym.

Słowo to wstępne, poświęcone autorowi »Syberyi« pozwolę sobie zakończyć wymownym ustępem, wyjętym z artykułu *) pióra wysoko utalentowanej i pełnej intuicji literatki polskiej p. Maryi Wysłouchowej:

» Kennan — mówi ono — nie sięga po laury stylistyczne; dowcipne słówka zwiewają z jego ust groźne wichry północy i potężniejsze od nich

*) »Syberya« (napisał Jerzy Kennan — przełożył autor Wspomnień więźnia. Serya pierwsza i druga. Lwów 1891 r.) Patrz: Kuryer lwowski z dnia 14. lutego 1891 r.

westchnienia setek piersi uciśnionych, uczucia zaś, których doznaje, są zbyt gwałtowne, zbyt wstrząsające, aby mogły wylewać się w bądź co, bądź sztucznej formie ironji. Pióro opisowe staje się pendzlem w rękach estetyka Taine'a, gdy odtwarza nam słoneczne widoki Italii lub tłómaczy tajemnice piękna, tkwiącego w pomnikach twórczości ludzkiego ducha; wydziedziczona przez matkę-naturę kraina, którą zwiedza Kennan, nastrocza zaledwie oczom jego kilka krajobrazów, zdumiewających groźnym majestatem dzikiej północnej przyrody, a duch ludzki spętany ciemnością i okrucieństwem, ubezwładniony samowolą gwałtu i tyraństwa, nie rozwinął tam jeszcze skrzydeł do lotu w czarodziejską sferę idealnej twórczości. A jednak... dzieło Kennana przyniosło swemu autorowi nie mniejszą sławę od tej, jaka opromienia czoła wielkich jego poprzedników; przyniosło mu ono nawet coś cenniejszego od sławy, bo wdzięczność i miłość wszystkich przyjaciół ludzkości i będzie tak nieśmiertelnem, jak nieśmiertelnymi są zapasy światła i prawdy z ciemnością i fałszem; jak nieśmiertelnym jest ból i męka tych, co pragną królestwa Bożego na ziemi«...

Przedmowa autora.

Niektórzy z krytyków moich artykułów o Syberji i o systemie zsyłania na Sybir, ogłoszonych w miesięczniku *The Century Magazine*, opierają się na twierdzeniu, jakoby każde podjęcie i przedstawienie jednego, poszczególnego zjawiska w życiu jakiegokolwiek narodu, musiało być koniecznie niedokładnem i złudnem, tudzież że badacz bezstronny powinienby je uzupełnić, rozszerzając swój zakres widzenia na mnóstwo innych, nieopisanych jeszcze faktów i szczegółów z tuzina innych zjawisk życia narodowego zebranych.

»Pańskie artykuły — powiadają ci krytycy — wywierają fałszywe wrażenie. Pańskie opisy rossyjskich więzień, hurtownych aresztowań i wypędzania setek ludzi na Sybir bez poprzedniego stawiania ich przed sąd, mogą być zgodne z prawdą, jednakże pomimo tego znajdują się w Rossji tysiące spokojnych i szczęśliwych strzech rodzinnych, pod któremi żyją ojcowie i bracia, którym tak samo nie grozi niebezpieczeństwo dostania się do więzienia i zesłania na Sybir, jak gdyby żyli w Stanach Zjednoczonych. Rossja nie tworzy jednego, niezmiernego więzienia, zamieszkałego wyłącznie przez podejrzanym skazańców i katów więziennych, ale pełno w niej ludzi wykształconych, ogładzonych i dobroduszych, zaś jej cesarz, wcielenie wszelkich cnót domowych, nie zna innego celu w życiu, jeno przyczyniać swym ukochanym poddanym szczęścia i powodzenia«.

Odpowiedź na takie zarzuty nasuwa się sama pod pióro i w tem się streszcza, że krytyka tego rodzaju

rozmija się z celem i zakresem krytykowanego dzieła. Nie pojechałem do Rossyi ani po to, żeby oglądać szczęśliwe gniazda rodzinne, ani żeby zawiązywać znajomości z przyjemnemi, dobrodusznemi osobami, ani by podziwiać cnoty domowe cara, lecz w tym celu Rossyę zwiedzałem, żeby zbadać jej system karny, zapoznać się z wygnańcami, z wyklętymi i z katorżnikami, żeby się wkońcu przekonać, jak się jej rząd z wrogami swoimi w więzieniach i kopalniach Wschodniej Syberyi obchodzi. Przypuścimy, dla podtrzymania argumentu wazszego, że w Rossyi znajdują się tysiące szczęśliwych rodzin, że pełno w niej ludzi ogłodzonych i dobrodusznych, że car kocha serdecznie swą żonę i dzieci, cóż jednak mają te rzeczy wspólnego ze stanem zdrowotnym walącego się etapu w Jakucku, lub z ubiczowaniem na śmierć młodych i dobrze wychowanych kobiet w kopalniach Kary? Stawianie na jednej szali szczęśliwej, dobrodusznej rodziny petersburskiej, a na drugiej epidemii tyfusowej w zesłańczeniach więzieniu tomskiem i balansowanie tych dwóch rzeczy pomiędzy sobą, nie daje dowodu sprawiedliwości i bezstronności, lecz przeciwnie zdaje się wskazywać: że zbywa temu na logice w głowie, kto się takim wahaniem bawi. Sprawiedliwość i bezstronność mogą tylko tyle wymagać od badacza każdego poszczególnego pola życia narodowego, żeby przedstawił sumiennie, z zachowaniem należytej proporcji i bez przesady wszystkie ważne szczegóły, jakie mu się na wybranem polu zebrać udało, tudzież żeby potem wyciągnął z tych danych, wnioski zgodne z ich naturą. Dzieło jego może nie posiadać szerokiego zakresu encyklopedyi, lecz niema najmniejszego powodu, aby nie celowało w swoim ciasniejszym zakresie wyczerpującą obfitością szczegółów i dokładnością godną zaufania. Zbadanie tak zw. »kwestyi indyjskiej« w naszych Stanach Zjednoczonych musiałoby się ograniczyć z konieczności na cząstkę tyle urozmaiconego i zawisłego życia naszego narodu, a jednakże w swoim obrębie mogłoby się stać tak dokładnem i sprawiedliwem, jak »Rzeczpospolita Amerykańska« Bryce'a, obejmująca

wszystkie objawy naszego ustroju. Obraz, stworzony przez nie, oblekłby się może barwami ciemnymi, jednak nie dalibyśmy mu stron jasnych, wyliczeniem dowodów, że prezydent rzeczypospolitej żyje moralnie i kocha swoje dzieci, że w Nowym Yorku znajdują się tysiące szczęśliwych rodzin, których szukacze złota nigdy ze swych siedlisk nie wypędzili, lub że mieszkańcy na »Bulwarze Rzeczypospolitej« w Bostonie składają się z ludzi wykształconych i ugrzeczionych, nie mających zwyczaju sprzedawania napojów wysokowych, dorostkom. Usiłowanie wciągnięcia takich uwag w dzieło o kwestyi indyjskiej byłoby pozbawione logiki, aż do absurdu. Chcąc usunąć cienie ponure z naszego obrazu, należy wskazać, co już uczyniono dla zaradzenia złemu, które go zaciemniło, nie zaś szukać na to dowodów, iż w innych częściach kraju, wśród warunków i okoliczności zgoła odmiennych, możnaby znaleźć przedmiot do obrazu wesołego i orzeźwiającego.

Gdy zaś w całej Rossyi nie spotkałem się z niczem podobnem, coby wskazywać mogło, że ludzie, posiadający moc i wpływy dążą do zaradzenia istniejącemu złu, przeto ograniczyłem się na próbie przedstawienia w sposób słuszny każdej kwestyi, dotyczącej obopólnego sporu, tudzież usiłowałem zachować jak najściślejszą bezstronność w ocenieniu działalności tak rządu, jak wygnańców.

Jerzy Kennan.

Najnowsza tragedia sybirska.

Nowo-Yorkska Trybuna« z niedzieli, dnia 19 stycznia (1890) zamieszcza następujący list »okolicznościową korespondencję« w sprawie krwawej rzezi rosyjskich wygnańców politycznych w wschodnio-sybirskim mieście Jakucku.

Petersburg 1. Stycznia.

Zamieszczona w londyńskim »Timesie« wiadomość o krwawej rzezi wygnańców politycznych, która miała zajść w mieście Jakucku w Wschodniej Syberii, wywarła tu wielką sensację. Rząd cesarski, podług reguły nie zwykł zwracać żadnej uwagi na zapiski brytańskiego »krzykacza«, wiadome mu jest bowiem stanowisko, jakie zajmuje od lat kilku przy wydawnictwie »Timesa« zabójca szefa żandarmeryi Mezencowa i przywódca nihilistów Kaczewski, znany lepiej w swych publikacjach pod przybranem nazwiskiem Stepniaka. W obecnym jednak razie, wiadomość podana w angielskim czasopiśmie o krwawej rzezi, tak dalece się rozszerzyła i wywołała w całej prasie kontynentalnej tak ogromne oburzenie, że rząd cesarski uznał właściwem przerwać swoje pogardliwe milczenie i ogłosić urzędowe wyjaśnienia względem rzeczzonego wypadku. Zaprzeczają one krwawej rzezi, podają natomiast opis dwóch krwawych starć, zaszłych w Jakucku wobec następujących okoliczności.

»Przed niespełna rokiem doszło do wiadomości Oddziału tajnej policji w Petersburgu, że przeważną

wypadek ten był niewiadomy, ani też wskutek ich obojętności dla rozstrzelanych i zakłutych, bezbronnych mężczyzn i kobiet, ale wyłącznie dlatego, że mieli zakneblowane usta przez cenzurę rosyjską. Ja sam pręnumeruję i przeglądam od czterech do pięciu czasopism rosyjskich, n. p. wydawaną codziennie w Moskwie »Gazetę rosyjską«, »Goniec Europy«, i »Przegląd wschodni« wychodzący w Irkucku, stolicy Wschodniej Syberyi, mieście położonem podług odległości przyjętych w Syberyi, wcale niedaleko od widowni krwawej tragedyi. W wyż nadmienionych gazetach, nie można się było doszukać najmniejszego śladu, naprowadzającego na myśl o tym strasznym mordzie. Rząd widocznie wzdrygał się rozszerzać pomiędzy rosyjską publicznością wersyi, urobionej przez się samego o tym wypadku. Gdyby mu to było na rękę, lub też gdyby się czuł w prawie wniesienia wiarogodnej obrony, to dłaczego z góry nie ogłosił, że polityczni wygnańcy w Jakucku poszlakowani o utrzymywanie tajnej drukarni, zostali na gorącym uczynku aresztowani i uwięzieni, że w czasie opuszczenia sali sądowej, dopuścili się zbrojnego napadu na pilnującą ich strażę; dla stłumienia którego buntu w samym zarodku i uniknięcia większego krwi rozlewu, należało koniecznie poświęcić kilka ofiar. Jedynym jednak powodem, skłaniającym rząd rosyjski do pominięcia tej drogi, była myśl zawieszenia dalszych w tej sprawie dochodzeń. Zadaniem jego było nie tylko nie poznać rosyjskiej publiczności z szczegółami, dotyczącymi krwawej rzezi, ale nadto zatajenie przed nią samego faktu.

Pierwszą wiadomość o krwawej rzezi w Jakucku przyniósł mi list prywatny z Syberyi.

Następnie otrzymałem ośm, różnych, nie będących z sobą w żadnym związku piśmiennych korespondencyj o rzeczonym zajściu, z dołączeniem odpisów dokumentów urzędowych, dotyczących tego faktu; dalej plan domu i dziedzińca, w którym odbyła się rzeź; spis nazwisk, przyjmujących udział w tem zajściu urzędników i wygnańców; całkowity tekst wyroków sądu wo-

jennego na pozostałych przy życiu wygnańców; przedśmiertne listy trzech mężczyzn, straconych na szubienicy, i wszystkie najdrobniejsze szczegóły, niezbędne do zapoznania się ze stanem rzeczy i towarzyszącemi mu okolicznościami. Z kilkoma z tych korespondentów łączą mnie stosunki znajomości, a są to ludzie tak dalece uczciwi i honorowi, że nie pozwoliliby sobie przeinaczać podawanych faktów, choćby dla najlepszych celów; prócz tego ludzie ci, rozdzieleni są tysiącami milowemi odległościami, a więc żadna zмова między nimi — gdyby nawet chcieli — miejsca mieć nie mogła; opisy wypadku podane mi przez każdego z nich, są tylko jemu samemu wiadome.

Sądzę, że zbytby było starać się o przytoczenie dowodów, popierających wiarogodność świadectw, pochodzących z ośmiu różnych, niezależnych od siebie źródeł, umocnionych nazwiskami, datami, rysunkami i odpisami rządowych dokumentów. Materiał taki jest w stanie przekonać każdy z sądów przysięgłych; jestem też pewny, że przy pomocy jego, lud amerykański przeświadczy się nie tylko o okrucieństwach ale i o bezwstydnem łgarstwie rządu, skłonnego do podobnych postępów i wymiaru sprawiedliwości.

Przytoczeni w »Nowo-Yorskiej Trybunie« urzędnicy petersburscy, usiłują zamieszczoną w londyńskim »Timesie« wiadomość o krwawej rzezi podać w wątpliwość na tej podstawie, że po pierwsze, autorstwo jej przypisują znanemu rosyjskiemu pisarzowi Stepniakowi, po wtóre, że osobiste tegoż powołanie zdaje się być im podejrzanem. Jest to charakterystyczna metoda postępowania rządu rosyjskiego. Przypisywać wyjawienie nie miłego jakiego wypadku złej woli swojego wroga i tegoż wroga przedstawiać jako stowarzyszonego mordercę, jest dla rosyjskich biurokratów najwyższą strategiczną sztuką napadową. Stawać w obronie Stepniaka nie będę, bo on sam potrafi się obronić. Nie wiadomo mi nawet, czy on jest korespondentem londyńskiego »Timesa«, wiem wszakże, że zamieszczona w tem czasopiśmie wiadomość o rzezi jakuckiej w najdrobniejszych

swych szczegółach jest prawdziwą, i że opis samego faktu mimo odmiennego sposobu wyrażania się, jest prawdziwy i najzupełniej zgodny z ośmioma listami, które otrzymałem z Rossyi europejskiej i Syberyi. Podane w tych listach opisy w mowie będącego faktu są więcej rozwlekłe, bogatsze w szczegóły, lecz okoliczności w nich podane są zupełnie zgodne z zamieszczonemi w »Timesie«.

Przytoczeni przez korespondenta »Nowo-Yorskiej Trybuny« urzędnicy petersburscy utrzymują, że tragedia sybirska jest tylko drugorzędnym następstwem wysiedzenia tajnej drukarni w Jakucku przez kapitana Rusanowa. Generał — nie zaś kapitan — Rusanow, udał się przed około dwoma laty do Syberyi w celu zbadania sposobu życia i stosunków wygnańców politycznych; nie zwiadał wszakże Jakucka i niezawodnie z dawna powrócić musiał do Petersburga. Misja tego dygnitarza zaznaczyła się po pierwsze, zniweczeniem wolnomyślniej gazety sybirskiej, wychodzącej w Tomsku, za ułatwienie sposobu życia wygnańcom politycznym, przyjmowaniem ich w poczet swych współpracowników, — jako też za poświęcenie wspomnienia pośmiertnego jednemu ze zmarłych wygnańców; powtóre, usunięciem napisów z nadgrobków, pochowanych na cmentarzu w Tomsku wygnańców politycznych. Do licznych napisów zeszkrobanych z grobowców pod osobistym nadzorem rzeczowego dygnitarza, należą następujące: A... B..., zmarł w samotnej celi w więzieniu w Tomsku... dnia... 188. i B... C... zmarł w Tomsku... dnia 188. w wieku lat... Do ostatniego napisu należą jeszcze słowa Jezusa: »Większej nad tę miłości żaden niema: aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje*»). I te słowa zostały także usunięte.

Nie wątpię, że oficer, który skłonny jest przesłać politycznych wygnańców poza grobem i słowa Chrystusowe wymazywać z ich nadgrobków, potrafi także wysledzić drukarnię tajną w mieście, znanem mu

*) Ew. podług Jana 15, 13.

tylko z nazwiska; dlaczegoż nie wspominał on nie o wykryciu tej drukarni w czasie pobytu swego w Syberyi? Wszak od dwóch już prawie lat poczyniłem był wzmianki w moich zapiskach gazeciarskich o jego pobycie w różnych miejscach Syberyi.

Dla każdego, znającego Jakuck, podobnie jak ja go znam, historia wysiedzenia w tem mieście tajnej drukarni, jest zupełnie niewiarogodną. Wszak maszyny drukarskie nie rosną w Syberyi na drzewach. Rząd uznaje je niebezpieczniejszemi od dynamitu: nawet w większych miastach jak w Petersburgu i Moskwie urządzenie tajemnej drukarni połączone jest z ogromnymi trudami i narażaniem się na niebezpieczeństwa. Jakimże sposobem ogołocony ze wszystkiego wygnaniec polityczny, pozostający pod surowym nadzorem policyjnym, a w dodatku pozbawiony wszelkich środków pieniężnych, mógłby sprowadzać maszyny drukarskie aż do oddalonego Jakucka. Wszak w mieście tem, nie wychodzi żadna gazeta, a o ile mi wiadomo, to na tysiącamiłowej przestrzeni od Jakucka niema ani jednej drukarni. Pomijam już korzyść, jakąby przyniesie mogła politycznym wygnańcom maszyna drukarska, gdyby nawet cudownym jakimś sposobem przyszli w jej posiadanie? Jakuck jest tylko większą wsią, składającą się z drewnianych domów i liczącą około 6000 mieszkańców; każdy z nich jest doskonale znany zarówno władzom pocztowym jak policyjnym, zaś korespondencye wygnańców politycznych pozostają pod najściślejszą kontrolą. Gdyby nawet udało się tam drukować jakie pisma zakazane, to jakimże sposobem mogłyby one być wyprawiane do Rossyi europejskiej na odległość 4000 mil ang., zwłaszcza w większej ilości.

Podani przez korespondenta »Trybuny« urzędnicy głoszą dalej, że w Jakucku są osiedleni tylko »najniebezpieczniejsi i najbezbożniejsi« przestępcy i wygnańcy polityczni. Ludzie ci nie są znani władzom miejscowym z właściwych swych nazwisk, ponieważ te, z chwilą wyprawienia ich z Tomsku w dalszą drogę, zostają zastępywane numerami. Oba powyższe mniemania są

niesprawiedliwe, ostatnie zaś wydaje się być zupełną niedorzecznością. Większą połowę politycznych wygnańców w Jakucku składają osoby wydane do Syberyi nie z wyroku sądowego lecz porządkiem administracyjnym. Ponieważ niema żadnych uzasadnionych przyczyn do stawiania ich nawet przed sądem rosyjskim, przeto wydani są do Syberyi z rozkazu ministra. Jeżeli to ludzie »niebezpieczni« i »bezbożni«, to dlaczego rząd nie stara się udowodnić im tego na drodze sądowej?

Mniemanie, że polityczni wygnańcy czy też przestępcy, zaraz po wyjściu z Tomsku pozbawiani są właściwych nazwisk, które zamienione bywają numerami, jest tak dalekie od prawdy, że z góry rzuca podejrzenia na autentyczność źródła, z którego czerpali wiadomość autorowie historii, podanej przez korespondenta »Trybuny«. Przestępcy zwykli, jako też polityczni, znani są w całej Syberyi pod właściwymi sobie nazwiskami, nawet w robotach katorżnych. Niektórzy przybierają sobie obce nazwiska, jednakowoż zamiana tychże numerami, w całej Syberyi jest nieznaną. Jeden tylko podobnego rodzaju przykład doszedł do mojej wiadomości, gdzie się udało przestępcy zachować w tajemnicy własne swoje nazwisko i tożsamość osoby. Wyślano go do katorgi pod numerem dwa, lecz jedynie dlatego, że rząd nie wiedział nic o jego osobie i nazwisku.

W dalszym też ciągu korespondent »Trybuny« powołując się na zeznania urzędników petersburskich w sprawie rzezi jakuckiej, podaje do wiadomości: »że niebezpieczni« i »bezbożni« wygnańcy polityczni po zapadłym już na nich wyroku w sprawie tajnej drukarni, opuszczając salę sądową, napadli gwałtownie straż z nabitymi rewolwerami, tak, że przy stłumieniu buntu zostali wyrzuceni lub też porzebijani bagnetami.

Zapewnie wygnańcy przyszedli w posiadanie rewolwerów w ten sam cudowny sposób, jak owej maszyny drukarskiej. Każdemu obeznanemu choć pobieżnie z rosyjskimi więzieniami i sądownictwem, wiadomo jest dobrze, jak ściśle rewizji podlega każdy przestępca, zanim zostanie wprowadzony do celi więziennej i że

rewizya odbywa się z większą jeszcze ścisłością w razie dostawienia więźnia do budynku sądowego. Jest więc absolutnie niewiarogodnym i niemożliwym, ażeby »niebezpiecznym« i »bezbożnym« przestępcom politycznym, dozwolono przetrzymywać przy sobie w zamknięciu więziennem nabite rewolwery, a tem więcej niewiarogodnym, ażeby z temi zabójczymi narzędziami w kieszeni, wyprowadzono ich z cel więziennych do przybytku sprawiedliwości, dla wysłuchania wyroku sądowego. Policyjanci rosyjscy mogą być głupcami, — ale nie tak znów sążnistymi, ażeby wprowadzali przed sąd »niebezpiecznych« więźniów z nabitymi rewolwerami w kieszeniach.

Cała historia nosi na sobie piętno podłego i niedołęznego wynalazku, którego jedynym celem było, czytelnika, nieobeznanego z warunkami życia wygnańczego, wyprowadzić w pole i zatrzeć wrażenie rzeczywistego wypadku. Zajście w Jakucku nie było następstwem wykrycia »nihilistycznej drukarni«, ani też napadem straży na »niebezpiecznych« i »bezbożnych« ludzi. Było ono bezpośrednim rezultatem głupoty i brutalstwa urzędników i bezpośrednio następstwem okrutnego i niewłaściwego rozkazu gubernatora kraju jakuckiego, generała Ostaszkina. On to podał projekt wyprawienia do arktycznych okolic dwudziestu do trzydziestu wygnańców administracyjnych bez odpowiednich prowiantów, i w nadto licznych partyach, aniżeli stosunki miejscowe ze względu na wyżywienie ich dozwalać mogły, tak, że zagrożeni byli nieuniknioną śmiercią głodową. Okolice te są mi dokładnie znane. W roku 1867—68 przejeżdżałem je na psich nartach*) w różnych kierunkach, i przypominam sobie, że termometr mój wskazywał temperaturę —40° do —50° (Fahrenheita). Wtedyto, o mało że nie zagubiłem jednego z moich towarzyszy, który dopiero wieczorem zupełnie zeszytniał z zimna przyszedł do obozu. Mimo że nie zbywało mi na żywności i dobrem

*) Patrz: Kennan, życie obozowe w Syberyi etc., wydanie Siegfrieda Cronbacha w Berlinie.

utrzymaniu, cierpiałem strasznie od nieustających trudów i wpływów klimatycznych.

Do tej polarnej głuszy, przez którą z niesłychanymi trudami przedzierałem się w roku 1867 na psich nartach, gubernator Ostaszkim postanowił wyprawić dwudziestu do trzydziestu wygnańców politycznych — między którymi było dwie do trzech kobiet — nie zapatrzwszy ich odpowiednią żywnością i odzieżą, i w tak licznej partyi, że półdżicy Jakuci, utrzymujący stacye pocztowe rozrzucone w ogromnych od siebie odległościach po puszczech i stepach, nie byli w możności dostarczenia wygnańcom niezbędnej do wyżywienia strawy, ani też odpowiedniego sprzężaju do odstawienia ich na miejsca przeznaczone. Zagrożeni przewidzianą zatrąką, wygnańcy wystosowali do gubernatora prośbę pisemną, w której dopominali się, ażeby podług z dawna przyjętego zwyczaju, wysłano ich każdotgodniowo, i nie w większej liczbie jak po dwóch, z odpowiedniemi — w tę odległą podróż — zasobem jadła i wyekwipowaniem. W odpowiedzi na rzezoną prośbę, gubernator Ostaszkim kazał otoczyć kompanią piechoty dom, w którym zgromadzeni wygnańcy oczekiwali rezultatu swego podania, dając polecenie komendantowi siły zbrojnej odstawienia ich wszystkich do policyi. Żołnierze przystąpili do wygonienia z domu zakłopotanych wygnańców bagnietami i przykładami karabinów. Powstał zgwałt. Niektórzy z napadniętych nie pojmując znaczenia niespodziewanej na swą prośbę odpowiedzi, stawili opór i wtedy to nastąpiła masakracya, opisana przez korespondenta londyńskiego »Timesa«. Sześciu politycznych wygnańców padło na miejscu trupem, a między nimi pewna młoda kobieta, przeszyta na wskrós bagnietami; dziewięciu poniosło ciężkie rany, a wszystkich traktowano w sposób najbrutalniejszy.

Londyński »Times« w wstępnym artykule dotyczącym tej strasznej tragedyi, stawia właściwe zapytanie: »Możebnem to jest, ażeby podobne rzeczy działy się bez wiedzy cara, który uchodzi za dobrego człowieka? Czyż on tak już jest oszołomiony absolutnemi teorjami,

że serce jego znieczulało zupełnie na wszystkie opowiadania o cierpieniach, niedorzecznych przesładowaniach, doprowadzających do wściekłości klasę społeczną, ku której są skierowane. Jeśli nie, to nastrocza mu się najwyborniejsza sposobność położenia końca podobnego rodzaju scenom i systemom, przynoszącym hańbę jego rządowi i religii«.

Resztę wygnańców, ocalonych w tem krwawem starciu, oskarżono o zbrojny opór przeciw władzom rządowym, i wszyscy zostali stawieni przed sąd wojenny. Trzech powieszono, czterem, łącznie z czterema kobietami, wysłano do robót katorżnych na całe życie; czterech młodych mężczyzn wraz z dwudziestojednoletnią dziewczicą — do robót katorżnych na lat dziesięć; dwóch zaś w charakterze przestępców, wysłano do wsi arktycznych Wierchojańska i Średnio-Kałymska, położonych na krańcach ziemi jakuckiej. I wyrok ów — podług zdania petersburskich urzędników — ma być wynikiem i oznaką »niezwykłego umiarkowania« sądu wojennego. Jako dalszy dowód tego »niezwykłego umiarkowania« posłużyć może fakt, że polityczny wygnańiec Kogen-Bernstein, raniony po czterokroć w krwawej rzezi, po przeleżeniu około czterech miesięcy w szpitalu więziennym, zanieiony został w łóżku na plac stracenia, gdzie założono mu stryczek na szyję a następnie usunięto łóżko na stronę. Jeżeli to się nazywa w Rossyi »umiarkowaniem«, to należy mieć się na baczności przed tamtejszą surowością.

Jeden ze skazanych na powieszenie wygnańców, pisał przez dwie godziny przed założeniem mu stryczka na szyję, długi list pożegnalny do swoich towarzyszy, żegnając ich następującemi słowy: Nie obawiamy się umierać, chcielibyśmy śmiercią naszą przynieść wam korzyść. Zawiadomcie o wszystkim Kennana.

Ta odezwa do mnie nie będzie daremną. Skoro tylko żyć będę, nieomieszkam poznać i przynajmniej całej ludności porozumiewającej się po angielsku, z szczegółami tej ohydnej zbrodni.

Podróż zimowa przez Syberię.

Dnia 8. stycznia 1886. r. opuściliśmy z p. Frostem Irkuck, stolicę Wschodniej Syberii i podjęli daleką, 4000 milową*) podróż do Petersburga. Mając obecnie na myśli zwiedzenie dwóch obcych nam miast: Minusińska i Tobolska, wybraliśmy sobie cokolwiek inną drogę od tej, po której przybyliśmy do Syberii. Chcąc dotrzeć do pierwszego z rzeczonych miast, należało nam zboczyć z Krasnojarska jakie 400 wiorst drogi w kierunku południowym, zaś do drugiego — drogą wiodącą pomiędzy Omskiem a Tiumentem, wysuniętą cokolwiek więcej na północ od tej, po której dostaliśmy się na wschód. Dla odbycia tak długiej i uciążliwej podróży, zaopatrzyliśmy się w mocną »pawozkę« czyli zwykle sanie przysadziste, o szerokich skrzydłach, opatrzone budą, zakrywającą się w czasie śnieżyc i zawieji skórzanymi frankami, — w ciężki wór ze skór baranich 9 stóp długi a 6 szeroki, w którym mogliśmy obadwaj swobodnie leżeć z wyciągniętymi nogami, — w 8 do 10 poduszek i materacy różnej wielkości, służących do wypełnienia szczelin pomiędzy kawałkami bagaży, jako też dla osłabienia nieuniknionych na karkołonnej drodze, podrzutów ciężkich sań; — w trzy włochate kożuchy, takich rozmiarów i ciężaru, by nam mogły być ochroną przeciw zmianom temperatury, poczynając od 0 do 40-stopniowych mrozów, — w buty filcowe bardzo długie

*) Autor liczy zawsze odległość w milach angielskich, których 67¹/₂ czyni 100 kilometrów.

i ciężkie, zwane w Syberii walonkami, wreszcie w czapki i rękawice futrzane, oraz w szczupły zapas wiktuałów, jako to: herbaty, cukru, chleba, mleka kondenzowanego, szynki gotowanej, zupy zamrożonej, pociętej w kostki i parę kuropatw sybirskich. Spakowawszy jak można najstaranniej nasze bagaże w ten sposób, by tworzyły równą, zasadniczą warstwę na dnie sań i pozatykawszy szpary poduszkami i materacami, pokryliśmy nierówną powierzchnię warstwą słomy 12- do 14- calowej grubości. Po wierzchu tego wszystkiego rozestaliśmy zapasowe płaszcze, kołdry i ów wór barani, kryjąc chleb i gotowaną szynkę w słomie w ten sposób, byśmy ciepłotą własnego ciała ochronili je od straszego zimna*). Wkońcu zapełniliśmy cały tył »pawozki« poduszkami. W piątek o godzinie dziesiątej rano, było już wszystko gotowe do podróży; skoro więc woźnica przyprowadził ze stacyi pocztowej konie, zanuciliśmy *Home sweet home***), jako preludium do następnego aktu, zawinęliśmy starannie nasze »bandžo«***) w miękką kocyk i umieściliśmy je poza poduszkami, poczem wsiedliśmy do »pawozki«, wsunawszy nogi po kolana do obszernego, baraniego worka i wyruszyli z przed hotelu »Deko«, żegnani przez zgromadzoną służbę i tłum gawiedzi chórem »bywajcie zdrowi« i »niech Bóg wam użyczy szczęśliwej podróży«.

Czytelnicy poprzednich moich wspomnień przypominają sobie zapewne, że w rozdziale p. t. »Przygody

*) Mróz 32-stopniowy zmienia gotowaną szynkę w przedmiot równie nieprzydatny na pokarm, jak bryła czerwonego piaskowca, nie dający się ciąć, ani sieć, ani też tłuc młotem. Łatwiej byłoby wygotować rosół z paleontologicznej skamieliny, niż się pożywić takim przedmiotem, jeżeli się nie ma sposobności lub czasu na jego rozmrożenie. Nauczysz się tego wszystkiego drogą cierpkich doświadczeń, p. Frost i ja mieliśmy zwyczaj albo siedzieć na przedmiotach jadalnych, wilgoć zawierających, albo też wkładać je pomiędzy suknie do worka baraniego, ażeby uchronić od skamienia.

**) »Domu mój, słodki domu« — popularna piosnka amerykańska.

***) Banjo czyli gitara murzyńska o trzech strunach.

w Syberii Wschodniej* opisałem już zajścia doznane w ciągu czterodniowej naszej podróży z Irkucka, w którychto dniach zwiedziliśmy więzienie centralne w Aleksandrowsku, podążając stąd po pół zamarzłej rzece Angarze do małej osady, zwanej Kamenką. Przez Angarę udało nam się przeprawić przy pomocy zatoru lodowego na brzeg zachodni, gdzie zatrzymaliśmy się w Cheronce, stacyi pocztowej, położonej przy głównym trakcie sybirskim. Podróżujący po Syberii jadą zwykle dniami i nocą, zatrzymując się tylko chwilowo na stacyach pocztowych dla zmiany koni, tak, że sanie i znajdujące się w nich przedmioty zastępować im muszą łóżka, z którymi nigdzie się nie spotykają. Czując silne klucie w piersiach, jakiego nabawiła mnie całonocna uciążliwa przeprawa przez góry nadangarskie, wśród zawiei i mrozu, — oglądałem się skwapliwie za schronieniem i utrzymywałem organizm w należytem cieple do czasu doznania jakiej takiej ulgi, i dlatego postanowiliśmy zanoć w Cheronce. O zagrzaniu się wszakże na tej osobliwej stacyi i mowy być nie mogło, albowiem w ciągu całej nocy nadjeżdżali nowi podróżni, zatrzymując się w sali pasażerskiej dla zmiany koni lub też orzeźwienia się herbatą. Za każdym otworzeniem drzwi wpadał do izby prąd mroźnego wiatru, przeciągający ponad podłogą, na której spoczywaliśmy, zgęszczając parę wodną zawieszoną w powietrzu, w szronową mgłę, tak, że za każdorazowym otwarciem drzwi, temperatura izby obniżała się na kilkanaście stopni. Na szczęście, byłem na tyle przezornym, że przyciągnąłem do izby ów ogromny wór barani, który mi oddał ogromną przysługę, gdyż wsunawszy się w niego, po zażyciu lekarstwa, uniknąłem nie tylko przeziębienia, ale nadto udało mi się spocić. Pozbywszy się w ten sposób kolki, gotów byłem nazajutrz do dalszej podróży. W ciągu całej tej nocy obadwaj nie zmrużyliśmy ni oka, lecz jedna lub dwie noce bezsenne dla doświadczonego, sybirskiego podróżnika wydają się tylko małą niewygodą. Wątpię czy pan Frost w ciągu całotygodniowej naszej podróży z więzienia Aleksandrowskiego, do Kra-

snojarska przespał choć jedną godzinę. Zato zaraz po przybyciu na miejsce, położył się bezzwłocznie do łóżka, śpiąc jednym ciągiem godzin szesnaście.

W czasie przejazdu naszego przez wsie leżące pomiędzy Cheronką i Niżnibińskiem nie spotykaliśmy na drodze oddziałów więźniów, domysłając się tylko po niektórych oznakach, iż ci spędzają dniówki w domach etapowych. Dopiero we środe zetknęliśmy się nagle i niespodzianie z jednym takim oddziałem. Dzień był zimny i burzliwy, wieher dał gwałtownie, pędząc przed sobą zamieć śnieżną. Zanurzeni po pasy w worze baranim, upatrywaliśmy wytężonym wzrokiem następnego słupa wiorstowego. Powietrze było do tego stopnia przepełnione mgłą śnieżną, żeśmy na odległość 75 do 100 kroków, żadnego przedmiotu wyraźniej widzieć nie mogli. — Oddział wygnańców, o którym mowa, zetknął się z nami tak niespodzianie, żeśmy go początkowo wzięli za tabór sań, wyładowanych towarami. Dopiero migające karabiny przedniej straży kozackiej i dobrze znany brzęk kajdan na nogach więźniów, uwyraźniły całość obrazu. Oddział mijający nas obecnie, wyglądał odmiennie od tego, który roku zeszłego w sierpniu wyruszył w mojej obecności z Tomsku. Owcześni wygnańcy w letnich, szarych płótniankach, z twarzami ogarzałymi od upału, wlokąc się w niezdatnych pantoflach po gościńcu, pokrytym grubą warstwą pyłu, zaznaczali każdy krok swój tumanem spowijającego ich kurzu. Obecni, mieli na sobie szuby, czyli krótkie kozuchy rdzawej barwy i »brodnie« czyli wolne buty z długimi cholewami. Twarze wygnańców oblekała bladeść, następstwo długiego ich pobytu w więzieniu w Tomsku. Brnęli oni powoli i mozolnie w głębokim, kopnym śniegu, w tym samym porządku w jakim widzieliśmy ich idących przez las, z tą chyba różnicą, że burza i zły stan drogi nie dozwalały do podtrzymywania ścisłej karności; szeregi więc były rozluźnione. Przyodziewek więźniów stanowiły szare czapki bez daszków, przewiązane na uszach staremi chustkami i podartymi onucami; kozuchy rdzawej barwy; buty luźne, wypchane słomą lub sianem,

spodnie wełniane i wielkie skórzane rękawice. Obręcze kajdan spoczywały prawie zawsze wewnątrz butów, z poza których występujące ku górze łańcuchy przytroczone były rzemykami do pasów biodrowych. Odzież taka — zdaje mi się — z dodaniem kapturów futrzanych zamiast lekkich czapek, ochroniłaby może od przeziębienia ludzi zdrowych, krwistych, żwawo poruszających się; — pod żadnym jednak względem nie wystarczała ona dla więźniów wycieńczonych chorobą lub też wielomiesięcznym zamknięciem, siedzących nieruchomo po 6 do 8 godzin dziennie na odkrytych saniach wśród niepogody i zamieci. Widziałem mnóstwo takich maruderów wlokących się za maszerującą kolumną na niewygodnych, płtykich, jednokonnych saniach. Usiłowali się ogrzać, obejmując się nawzajem i przyciskając jeden do drugiego, ale widać było, że członki ich były wpełskostniałe, a śmierć mroźna zaglądała im w oczy.

Podczas przemarszu kolumny wysunął się kiedyś niekiedy z jej szeregów — widocznie za pozwoleniem straży — ten lub ów wygnaniec i podchodząc do naszej »pawozki« z głową obnażoną i z czapką podniesioną w rękę, zebrał o jałmużnę, owym tonem płaczącym, właściwym pieśni jałmużniczej, którą w przekładzie z należytemi wyjaśnieniami podałem już poprzednio.

»Zmiłujcie się nad nieszczęśliwymi« i »okażcie miłosierdzie biednym i znędziałym w imię Pana Jezusa« powtarzało się raz po raz. Wiedziałem, że pieniądze dane im, przejdą najprawdopodobniej za wódkę do rąk »majdańszczyka«^{*)}. Nędzarze ci wyglądali jednak tak strasznie dotknięci zimnem, znużeniem i głodem w tym swoim pochodzie żałobnym przez zamieć śnieżną do dalekich kopalń zabajkałskich, że uczucia wzięły górę

^{*)} »Majdańszczyk« zajmuje w oddziale zesłańców podobne stanowisko, jak markietan w wojsku. Będąc sam więźniem, posiada on prawo, na mocy dawnego zwyczaju, trzymać mały zapas takich przysmaków, jak herbatę, cukier, chleb i t. d. i sprzedawać je współwięźniom. Dając łapowe żołnierzom konwoju, handluje on jednocześnie tytoniem, kartami do gry i wódką.

(Przyp. aut.).

nad filozofią rozwagi i wrzuciłem po kilka kopijek do każdej szarej, nastawionej czapki. Wszyscy mijający nas więźniowie przypatrywali się nam z ciekawością. Niektórzy witali nas uprzejmie i kłaniali się uchylając czapki. W przeciągu pięciu minut przeszli, a oglądając się za nimi widziałem już tylko długą, ciemną, krętą linię poruszających się przedmiotów, tonących w białych kłębach zadymki.

Żaden godny zapisania wypadek nie urozmaicił naszego jednostajnego życia po rozminięciu się z owym oddziałem zesłańców. Kiedy niekiedy spotykaliśmy się z jakimś kupcem bogatym, lub z urzędnikiem pędzącym cwałem w kierunku Irkucka, albo też mijaliśmy długą karawanę prostych sań jednokonnych, naładowanych skrzyniami herbaty, opasanemi rzemieniami i podążających na jarmark do Niżno-Nowogrodu. Okolica mało zaludniona nie przedstawiała nic ciekawego, a nędzne wioski, gdzieśmy się dla zmiany koni lub dla pokrępienia herbatą zatrzymywali, były dosłownie zasypane śniegiem. Na stacji Kamiszceckaja, pięćset trzydzieści wiorst od Irkucka, dopędziliśmy dwóch wygnańców politycznych, Szamaryna i Petersona, którzy wracali do Rosyi europejskiej, przebywszy swój okres wygnania »w drodze administracyjnej« w Wschodniej Syberji. Poznaliśmy ich przed kilkoma tygodniami w Irkucku, gdzieśmy sobie byli przyrzekli podróżować razem, jeżeli się uda, aż do Krasnojarska. Z powodu jednak, że nasza marszruta różniła się z początku od drogi im przepisanej, tudzież skutkiem naszego zatrzymania się w centralnem więzieniu aleksandrowskiem i rozmaitych przygód nad Angarą, zostaliśmy przez nich wyprzedzeni. Teraz przywitani nas radośnie, podzielili się z nami wieczerzą i przegawędzili żywo parę godzin, podczas których wynurzyliśmy sobie nawzajem wspomnienia doznanych przygód i nabytych doświadczeń, poczem pobierawszy się w ciężkie szuby, wlaźł każdy z nas do swej własnej pawozki i wyjechaliśmy już razem, dwiema katkami.

Zbliżyliśmy się do miasta Kańska. Było to 14. stycznia. Niebo wypogodziło się, a powietrze oziębło nagle. Termometr spadł tego dnia na 32 stopni R. poniżej zera. W nocy mieliśmy 35 stopni mrozu. Jechaliśmy bez przestanku, cierpiąc strasznie od zimna, mianowicie podczas długich godzin między północą a świtem, w którychto godzinach nie można było dostać ciepłej strawy na stacyach pocztowych, a siły nasze żywotne zupełnie się wyczerpywały. Pomimo ciężkiej i ciepłej naszej odzieży, członki nasze kostniały i ziębły nieraz pomiędzy stacyami do tego stopnia, żeśmy nie mogli prawie wyleżeć z »pawozki«. Rozumie się, że o śnie nie było nawet mowy. Głęboki śnieg, przykrywający drogę, zbił się był i ułożył pod wpływem tuzina wyjących wichrów podbiegunowych i działania czterech lub pięciu tysięcy sań ładownych, które go wciąż tłukły w szeregi ogromnych fal, leżących obok siebie na poprzek drogi. Podróżnicy po Syberyi znają takie fale pod nazwiskiem »uchabów«. Tego rodzaju ze zbitego śniegu złożone bałwany mają 4—5 stóp pionowej wysokości, a 15—20 stóp szerokości u dołu. Rzuty i skoki ciężkiej naszej »pawozki« w miarę jej gramolenia się na szczyt jednej fali i spadania w przepaść, oddzielającą ją od następnej, wykręcały każdą kość i podrażniały każdy nerw w naszych ciałach. Skutkiem zimna, bezsenności i trzęsienia znużyłem się wkońcu do tego stopnia, że mianowicie w nocy w czasie zmiany koni, rzucąłem się w każdej stacyi na podłogę, bez kołdry i poduszki, żeby uchwycić pięć lub dziesięć minut drzemki. W takito sposób padłem raz o jedynastej w nocy na twardą ławę w izbie dla podróżnych w samotnej stancyi pocztowej w Kuskunkaja i z miejsca zacząłem śnić, iż mnie właśnie zaproszono, abym zaimprovizował mowę wobec klasy niedzielnej*). Szkoła ta należała do sekty religijnej,

*) W Stanach Zjednoczonych. zwykły rozmaite sekty religijne zbierać młodzież a nawet osoby starsze co niedziela do domów modlitwy na wykłady religijne, połączone z nauką śpiewania hymnów, czytania rzeczy prywatnych i t. d. Takie zebrania nazywają się klasami niedzielniemi.

zwanej »monopolistami«. Zapytałem o znaczenie tej nowej sekty »świętych monopolistów«, na co mi odpowiedziano, że składa się z ludzi wierzących tylko w jedną rzecz. Miałem wielką ochotę spytać się co to za rzecz, ale wahałem się, ponieważ mi się zdawało, że powinienbym to wiedzieć bez pytania.

Wszedłszy do klasy niedzielnej, ujrzałem w niej amfiteatralnie ustawiony szereg krzeseł i niską katedrę w środku, na której stał dobrze mi znany obywatel z Norwalk, w stanie Ohio, którego nie widziałem od dzieciństwa. Działał jako kierownik klasy. Uczniowie stali ku memu wielkiemu zdziwieniu tyłem do katedry; skoro przestąpiłem próg, wszedł ich kierownik i prosił, aby byli łaskawi usiąść, poczem wszyscy chłopcy i dziewczęta obrócili się i usiedli. Kierownik zanucił hymn, a podczas gdy go śpiewano, zanotowałem sobie kilka uwag na odwrotnej stronie koperty, trzymanej w ręku jako pomoc pamięciową w ciągu improwowanej mowy, którą miałem wygłosić. Postanowiłem był przedstawić uczniom w sposób porównawczy zalety budyzmu i mahometanizmu. Zastanowiłem się właśnie, czy nie wypadałoby włączyć także fetyszyzm, gdy hymn się skończył, a kierownik zawołał: »przystąpimy teraz do lekcji, przypadającej na dzień dzisiejszy«. »Chwała Bogu«, pomyślałem sobie, będę miał więcej czasu do obmyślenia mojej przemowy.

Podczas recytacji zauważałem zdziwiony, że wszyscy uczniowie trzymali w rękach duże, okrągłe suchary, na które rzucali chwilami okiem, jak gdyby to były ich książki szkolne. Nie miałem jednak czasu do zbadania tego dziwnego zjawiska, czując konieczną potrzebę nadania moim improwizowanym uwagom jakiej takiej formy, zanim kierownik głosu mi udzieli. Z tego też powodu nie zwracałem uwagi na pytania zadawane przezeń uczniom, póki nie postawił takiego, na które nikt widocznie nie umiał odpowiedzieć. Powtórzył je kilkakrotnie z wielką powagą, czekając każdym razem chwilkę na odpowiedź, tak, iż wkońcu i moją uwagę na siebie zwrócił. Pytanie to brzmiało: »Jak się zwał ów pierwszy, postępowy gracz w jukra, którego szczątki

śmiertelne przywieziono z Alaski, wśród ogólnej żałoby narodowej?*) Oglądając się po twarzach uczniów, widziałem, że wszyscy wyrzekli się rozwiązania tej nadzwyczajnej zagadki, zwróciłem się z ciekawością ku kierownikowi, licząc na to, iż nas zechce uwiadomić o nazwisku owego nieodżałowanego Alaszczyka. Zamiast tego, ukłonił mi się i rzekł: Niech znakomity przyjaciel, znajdujący się dziś pośród nas, będzie łaskaw powiedzieć nam, jak się zwał pierwszy postępowy gracz w jukra, którego szczątki pośmiertne przywieziono z Alaski wśród ogólnej żałoby narodowej? Mrowie przebiegło mi po grzbiecie. Zaświtało mi nagle w głowie, że mnie zapytano o rzecz elementarną, którąby nawet dzieci szkolne umieć powinny, ja zaś byłem takim ciemną, że nie słyszałem nigdy o graczu w jukra z Alaski! Chcąc zyskać chwilę czasu dla skupienia myśli, zażądałem pokazania mi pytania na piśmie, poczem kierownik podał mi wielki, gorący sucharek niby jaką książkę. Oglądałem go uważnie z obu stron, ale nie znalazłem na nim nic podobnego do druku. Kierownik rozerwał tedy sucharek na dwie połowy i pokazał mi wiadome pytanie, wyryte wewnątrz sucharka o jakie pół cala od jego brzegu, alfabetem tybetańskim. Dziwaczne te litery nie nastęczyły mi żadnego wątku do rozwiązania pytania, a więc mdlejąc prawie ze wstydu, oświadczyłem, że nie wiedziałem zgoda, kto był owym pierwszym, postępowym graczem w jukra, co zmarł w Alasce i został przywieziony stamtąd, wśród ogólnej żałoby narodowej. W tej chwili obudziłem się i nie mogłem odzyskać na razie równowagi umysłowej. Zdawało mi się, że się widzę w miejscu, w którym nigdy przedtem nie byłem i że nademną stoją dwie dziwaczne postacie, o których sobie nie przypominałem, abym je kiedykolwiek przedtem był widział. Jeden z nich, człek słuszny i silnie zbudowany, z czarnymi, najerzonymi włosami, na kształt czerkiesa

*) Jukier (euchre) gra w karty, pospolita między robotniczą ludnością amerykańską, posiadająca tę zabawną stronę, że się nie może obejść bez gadania i dysput.

i z iskrzącymi, błękitnymi oczyma, był odziany w długą pstrą kuklankę, (szeroką bluzę futrzaną, siegającą od szyi po kostki i ujętą naokoło bioder pasem jedwabnym) ze skóry rena, drugi zaś, widocznie urzędnik w granatowym mundurze z podwójnym szeregiem brązowych guzików, trzymał ponad moją głową naftową lampę.

— Co ci jest panie Kennan? — zapytał człowiek w skórzanej kuklance — jęczałeś we śnie, jakby cię coś bolało.

Pamięć moja odbierała tymczasem berło panowania nad umysłem i w mówiących poznałem wygnańca, towarzysza podróży Petersona, zaś w urzędniku poczmistrza.

— Miałem przykry sen — odrzekłem. — Jak długo spałem?

— Nie bawimy tu nad 10 minut — odparł Peterson, spoglądając na zegarek. — Nie sądzę, żebyś mógł być spać dłużej niż pięć. Konie gotowe.

Z członkami prawie bezwładnymi i bolącymi zawlokłem się do pawozki i wcisnąłem się do worka baraniego obok p. Frosta. Zaczęła się jeszcze jedna, długa jazda całonocna.

Między Kuskunską i Krasnojarskiem spotkaliśmy się z najzimniejszą temperaturą, doznaną tej zimy — 36 stopni mrozu — co nam dało sposobność do robienia spostrzeżeń nad zjawiskami ostatecznego zimna. Z koni naszych wydobywały się nieustannie obłoki pary. Karawany sań wiozących towary, tonęły wciąż w mgłę i zdarzało się, że minąwszy taką karawanę, jechaliśmy kilkaset kroków w mglistym, wlokącym się za nią тумanie. Wielki kłęb pary wpadał zawsze przed nami do izb pocztowych, skorośmy drzwi otworzyli, zaś naokoło każdej dziurki i szparki w drzwiach i oknach igrały sobie małe promyki parowe. Biały mróz, gruby na pół cala, zbierał się na wewnętrznych końcach okuć żelaznych przy oknach, chociaż pokój był ogrzany. Przez cały piątek i sobotę 15. 26. stycznia piliśmy herbatę w każdej stacyi pocztowej przy drodze; pomimo tego, było nam ciągle zimno, co pochodziło w części ze stra-

snego mrozu, w części zaś z tej okoliczności, żeśmy musieli wysiadać z pawozki co pięć lub dziesięć mil, by pomagać koniom do wybrnięcia z kopnego śniegu podczas wymijania się z długimi taborami naładowanych sań. W niedzielę 17. stycznia, a zatem w 9 dni po wyjeździe z Irkucka, zajechaliśmy do powiatowego miasta Krasnojarska, zmieniawszy konie pocztowe 43 razy i przebywszy mil około 700.

P. Frost i ja zamieszkaliliśmy w tymże samym hotelu, w którym staliśmy przeszłego lata w podróży po Wschodniej Syberii, zaś p. Samaryn i Peterson udali się na kwatery do swego znajomego.

Podczas trzech dni spędzonych w Krasnojarsku odnowiliśmy znajomość z p. Innocentym Kuznicowem, bogatym właścicielem kopalń, który nas tak gościnnie podejmował w czasie naszej podróży na wschód przed pięcioma miesiącami. Raz byliśmy na śniadaniu u p. Sawenkowa, dyrektora krasnojarskiej szkoły normalnej, którego zbiory zabytków archeologicznych i rysunków przedhistorycznych, zdjętych ze skał, żywo nas zainteresowały. Jedno popołudnie spędziliśmy u pułkownika Zagarina, inspektora traktu Wschodniej Syberii. Za jego pozwoleniem oglądaliśmy także uważnie w środę, miejskie więzienie w Krasnojarsku, jakoteż więzienie transportowe i szpital więzienny, o których to zakładach miło mi jest dać pochlebne świadectwo. Rozumie się, że więzieniom dużo do tego brakowało, aby sobie zasługiwały na tytuł wzorowych. Nie wątpię też, że musiały wyglądać niechlujniej i bywały bardziej przepełnione w niektórych innych porach roku. W czasie jednak naszych oględzin, stan ich był korzystniejszy niż jakiegokolwiek innego, zwiedzanego przez nas więzienia na Sybirze, z wyjątkiem wojskowego w Ust-Kamienogórsku i centralnego aleksandrowskiego. Szpital połączony z więzieniem krasnojarskim, zasługuje wedle mnie na bezwzględną pochwałę; jest on utrzymywany jak najschludniej, doskonale przewiewany, i jak się zdaje obficie zaopatrzony w bieliznę pościelową, w lekarstwa i przyrządy chirurgiczne; — jednym słowem, znaj-

duje się w dobrym stanie sanitarnym. Być może, iż ten szpital także przepelnia się i zanieczyszcza tak samo jak tomski transportowy w drugiej połowie lata i jesieni, gdy wielka powódź zesłańców wzbiera najwyżej. W czasie jednak moich oględzin byłbym sam pozwolił się w nim leczyć, w razie potrzeby.

Miejskie więzienie w Krasnojarsku przedstawiało się jak gmach piętrowy, murowany z cegieł, obrzuconych gipsem i przypominał z wejrzenia więzienie transportowe w Tomsku. Kamery, czyli kaźnie, tego więzienia były cokolwiek ciasne, jednak żadna z nich nie wydawała się przepełnioną. Nad drzwiami wiodącymi do nich, wisiały tablice z napisami: »mordercy«, »bezpaszportowi«, »polityczni« i t. d., co dowodziło, iż próbowano przynajmniej klasyfikować więźniów i rozdzielać ich w sposób należyty. W większej części okien w celach znajdowały się okrągłe, blaszane wentylatory, ściany były także poprzebijane rurami wentylacyjnymi. Kamiennie posadzki w korytarzach były czyste, przyrządy i rury wypustowe w wychodkach w dość dobrym stanie, a chociaż powietrze w niektórych celach zdawało się duszne i martwe, trącąc ową nieopisaną, osobliwą wonią więzienną, przecież można było niem odychać bez przykrości i bez tej odrazy i nudności, jakie czuliśmy w przepełnionych kaźniach Tiumentia, Tomska, Irkucka i więzieniach katorżnych. Więzienie transportowe zesłańców, stojące w pobliżu miejskiego, wewnątrz opalisadowanej zagrody, składa się z 3 obszernych, parterowych budynków z kłód na wzór tomskiego, nie przedstawiając oku ani nic zajmującego, ani nowego. Wówczas nie zawierało w sobie ponad połowę liczby więźniów, mogącej się w niem pomieścić. Niektóre kamery stały zupełnie próżne; powietrze było wszędzie świeże i dobre.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności weszliśmy do tego więzienia w chwili wymarszu oddziału zesłańców, liczącego około 270 ludzi, pędzonych pieszo do ziemi jakuckiej, jako też do kopalń i więzień zabajkalskich. Dwie trzecie oddziału przechadzało się przyspie-

szonym krokiem po dziedzińcu więziennym w celu zagrzania się, oczekując powrotu reszty więźniów, badanych przez lekarza. Przebywszy kilka chwil na dziedzińcu, weszliśmy do nowego domu drewnianego, gdzie właśnie lekarz więzienny, człowiek z wejrzenia dobrodusznego i inteligentny, zajęty był badaniem 75 do 80 więźniów, którzy oświadczyli, że z powodu słabości nie mogą iść piechotą. Dla mojego, niedoświadczonego oka, każdy z tych ludzi wydawał się nadto mizernym i wynędzniałym, ażeby nie zasługiwał sobie na uwolnienie od dwudziestomilowego marszu w ciągu doby, zwłaszcza po złej drodze i wśród niepogody. Lekarz wymieniwszy z każdym z nich po słów kilka i wysłuchawszy ich przy pomocy stetoskopu, dziewięć dziesiątych skarg odrzucił jako nieuzasadnionych lub zmyślonych, reszcie zaś, kazał sprowadzić sanie. W niespełna pół godziny wszystko gotowe było do wymarszu. Straż żołnierska z karabinami na plecach utworzyła łańcuch poza bramą, oczekując więźniów. Pojawił się kowal więzienny z młotem w rękę, nitami i zapasowemi kajdanami, oglądając pilnie okowy każdego wygnańca, w chwili gdy pojedynczo kierowali się ku bramie.

Niezdolni do chodu powłazili na oczekujące ich jednokonne sanie, jeden z podoficerów przeliczył więźniów po raz wtóry dla przekonania się o komplecie, i na komendę »marsz« oddział wyruszył, przyczem żołnierze przodujący kolumnie tak szybko postępowali, że wielu zesłańców musiało biec truchtem. W przeciagu trzech minut straciliśmy ich z oczu.

Piesze oddziały wygnańców opuszczają Tomsk i Krasnojarsk każdego tygodnia w ciągu całej zimy, podążając do miejsca przeznaczenia bez względu na złą pogodę. Porządek ten zakłócony bywa w szczególniejszych tylko razach, mianowicie gdy gościniec skutkiem nagłych ulew lub zamieci, staje się niemożliwym do przebycia. Byłoby rzeczą nader pożądaną i łatwą wysłać wszystkich wygnańców z Tomska do Irkucka podwodami konnemi w porze letniej, oszczędzając tym ludziom trudów i cierpień, na jakie ich narażają słoty

jesienne i mrozy zimowe; rząd jednak broni się zawsze i uporczywie z jakichś nieznanych mi powodów przeciw krokom, zmierzającym do tej ludzkiej reformy. Odmowy swej nie może uzasadnić odwoływaniem się na względy oszczędnościowe, albowiem wydatek poniesiony na odstawienie 10.000 wygnańców z Tomska do Irkucka podwodami połączony byłby z mniejszymi wydatkami, aniżeli dotychczas praktykowane pochody piesze. W chwili gdy to piszę, leży przede mną raport pułkownika Winokurowa, inspektora traktu transportowego Zachodniej Syberii, w którym to raporcie urzędnik ów udowadnia, że gdyby wszystkich więźniów wysłano z Moskwy latem i przewożono z Tomska do Aczyńska jednokonkami, zamiast zmuszać ich do maszerowania piechotą, to koszt dostawy zmniejszyłby się prawie o 50.000 r. s. rocznie.

Dodam tu jeszcze, że pułkownikowi Winokurowowi podlega tylko jedna część wielkiego, sybirskiego traktu transportowego, a mianowicie droga z Tomska do Aczyńska, na długości 260 mil; obliczenia więc jego i kosztorysy odnoszą się li tylko do tej części. Obliczając szczegółowo w swoim raporcie koszt pieszego transportu 9.417 zesłańców z Tomska do Aczyńska, w ciągu r. 1874, powiada on: pokazuje się, że na odtransportowanie z Tomska do Aczyńska 9.417 ludzi, w ciągu 21 dni, wydano nie mniej, jak 130.342 r. s. eo znaczy 13 r. s. 75 kopiejek na każdą głowę, podczas gdy za parę koni pocztowych z Tomska do Aczyńska, podług prawomocnej taryfy, płaci się 11 r. s. 64 kopiejek. Słowem, podług obliczenia pułkownika Winokurowa, dostawienie każdego skazańca na miejsce przeznaczone końmi pocztowymi, w rodzaju prywatnego podróżnika lub kurjera rządowego, połączone jest z mniejszymi kosztami, aniżeli transportowanie go piechotą przez Syberię »etapami«. Dalej oblicza pułkownik Winokurow, że przewiezienie 9.417 ludzi z Tomska do Aczyńska końmi rozstawnymi nie przenosiłoby kwoty 70.817 r. s., czyli, że wprowadzając ten sposób transportowania więźniów, oszczędzonoby na 260 mil wynoszącej odległości

49.525 r. s. Podług tych obliczeń, odstawienie całego kontyngentu więźniów furmankami konnymi z Tomsku do kopalni w Karze zaoszczędziłoby rządowi w ciągu jednego roku 300.000 r. s. dotąd ponoszonego wydatku.

Nieboszczyk Zagarin, inspektor traktu transportowego wschodnio-sybirskiego, oświadczył mi w ciągu długiej rozmowy, prowadzonej o tym przedmiocie w Krasnojarsku, że w 1882 i 1883 r. przedłożył generał-gubernatorowi Anuczinowi szczegółowy raport, wykazujący wszystkie ujemne strony terażniejszego sposobu transportowania więźniów piechotą po jednej partyi tygodniowo, polecając natomiast przewóz ich wyłącznie porą letnią rozstawnymi końmi, po jednej partyi codziennie. Dowiedział on dobitnie generał-gubernatorowi przy pomocy urzędowych danych statystycznych i obliczeń liwerantów, że przewiezienie w ten sposób rocznego kontyngentu wygnańców z Aczyńska do Irkucka (780 mil) wyniesie tylko 14 r. s. na głowę, a zatem zaoszczędzi rządowi 100.000 r. s. rocznego wydatku, ponoszonego dotychczasowo przy transportowaniu więźniów piechotą »etapami«. Prócz oszczędności w pieniądzu, skróconoby podróż każdego transportu przynajmniej o dni 60, coby było wielkiem dobrodziejstwem dla więźniów, bo uwolniłoby ich od niepotrzebnego przesiadywania w więzieniach etapowych, a tem samem od czynników szkodliwych ich zdrowiu.

Wysełanie codzienne skazańców podwodami położyłoby raz koniec przepełnieniu więzienia etapowego w Tomsku, czego nieuniknionem następstwem jest epidemia tyfusowa, zwiększająca śmiertelność. Usunęłoby ono także szkodliwy wpływ życia etapowego na tych, którzy odbywają karę za pierwsze przekroczenie i na niewinne rodziny, towarzyszące dobrowolnie wygnańcom, ochraniając ich zarazem od trudów i niewygód, ponoszonych wśród tysiącomilowych marszów, nadwężających ich siły i zdrowie.

— I czemuż — odezwałem się do pułkownika Zagarina, gdy skończył tłumaczyć treść swojego raportu —

w imię zdrowego rozsądku nie zaprowadzono dotychczas tej zmiany? Dlaczegoż rząd nie chce odsełać więźniów podwodami, li podczas lata, jeśliby mu to wypadło taniej i zaspokajało jego uczucia humanitarne. Komu może zależeć na sprzeciwianiu się reformie, usprawiedliwionej względami ekonomicznymi i filantropijnymi.

— Zadaj pan lepiej to pytanie w Petersburgu, skoro tam przyjedziesz — odparł pułkownik Zagarin, wzruszając ramionami. Nam tutejszym, wolno tylko podsuwać wskazówki i nic więcej.

W istocie, rozważając rzecz bliżej, przychodzi się nieraz do rozpaczki na samą myśl, że w Rosyi nie wprowadzają żadnych zmian, usprawiedliwionych konsekwencyą, dla nikogo nieszkodliwych, lecz przeciwnie bardzo pożądaných, bo zmierzających do zaoszczędzenia funduszy skarbowych. W całym carstwie rossyjskiem niema jednej gałęzi administracyjnej, w której nie możnaby się spotkać na każdym kroku z nadużyciami i wadami od dawna już wiadomemi i uznanymi za szkodliwe, a jednak wady te występują wciąż na porządek dzienny. Zapytaj urzędnika w Syberyi o wytłómaczenie mu tego zjawiska — odeszłe cię do Petersburga. Zadaj to samo pytanie szefowi departamentu więzień w Petersburgu, a odpowie, że już wypracował »projekt« mający złe usunąć, który jednakże »projekt« nie uzyskał jeszcze aprobaty ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu. Pójdź do tego ministra, dowiesz się, że wykonanie »projektu« mimo korzystnych następstw w przyszłości pociągnęłoby za sobą doraźne wydatki — zatem nie da się urzeczywistnić bez uznania i współdziałania ministra skarbu.

Śledząc dalej za »projektem« znajdziesz go u ministra skarbu, od którego się dowiesz, że został zwróconym szefowi departamentu, w celu poczynienia odpowiednich zmian. Jeżelibyś dalej, dla zaspokojenia swej ciekawości, wziął się koniecznie dociekać przyczyn za-

wieszenia tej sprawy, to mógłbyś odwołać się przez departament więzienny, ministerstwo spraw wewnętrznych i ministerstwo skarbu, do senatu. Tam dowiesz się ostatecznie, że ponieważ senatorowie i generałowie znający Syberję ledwie z nazwiska, wyrazili swoją wątpliwość o korzystnych stronach »projektu«, dlatego został zawieszony.

Mianowano specjalną »komisję« (z dyetami wynoszącymi po 20.000 r. s. rocznie i milowem), celem zbadania całego przedmiotu, oraz złożenia sprawozdania. Jeżelibyś pojechał za tą komisją na Sybir i z nią powrócił, a potem przewertował protokoły obrad senatu nad jej sprawozdaniem, przekonałbyś się wtedy, że — dokument ów został odesłany ministrowi spraw wewnętrznych, jako podstawa do nowego »projektu«, ponieważ jednak 10 lub 15 lat upłynęło od czasu wniesienia pierwszego projektu, a jego twórcy już powymierali, przeto musi się wszystko zacząć na nowo. Nie znajdziesz zaś ani jednej chwili w ciągu tej całej, błędnej kole toczącej się procedury, w którejbyś mógł chwycić za rękę którego poszczególnego urzędnika i rzec: »Słuchajno, to twoja wina — wytłómacz się z powodów takiego postępowania!« W żadnej też chwili nie spotkasz się prawdopodobnie z urzędnikiem, sprzeciwiającym się tej reformie, lub osobiście w jej zwalczeniu interesowanym, a jednakże ogólny skutek tej, w błędnej kole obracającej się procedury opiera się twemu projektowi reformatorskiemu w sposób bardziej zabójczy, niżby to mogła uczynić opozycya jak najbystrzejsza i najczynniejsza.

Z rozmaitych biur, mieszkającego na prowincyi generał-gubernatora, szefa departamentu więziennego, ministra spraw wewnętrznych, ministra finansów, ministra sprawiedliwości, rady ministrów i senatu, składa się olbrzymi rządowy Maelstrom, wir ciemnogowstwa i obojętności, w którym »projekt« obraca się pomału, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, aż go wkońcu wir pochłonie i z oczu zabierze; czasem tylko wyrzuci go wypadkowa fala osobistych względów, lub urzędo-

wych pobudek do wielkiego prądu, zapomocą którego dostaje się do życia realnego*).

Latem, podczas naszego pierwszorazowego pobytu w Krasnojarsku nie mogliśmy tu znaleźć żadnych wygnańców politycznych ani też o żadnym z zamieszkałych tam nie nie słyszeliśmy. Przy pomocy jednak naszych towarzyszy podróży, Samaryna i Petersona, odszukaliśmy teraz trzy takie osoby: najpierw panią Dubrowę, żonę sybirskiego misjonarza, który zwrócił na siebie cokolwiek uwagi publicznej swemi antropologicznemi badaniami między Buryatami, powtóre, młodego studenta medycyny Urusowa, spełniającego rolę asystenta w miejskim szpitalu za pozwoleniem gubernatora Pedaśenka, a po trzecie pewną panię, przyjętą do tego szpitala dla wyleczenia z obrażeń ciała, doznanych skutkiem napaści pijanego sąldata.

Osobiście poznaliśmy się jedynie z panią Dubrową, wygnaną przed zamążpójściem, w r. 1880 do Wscho-

*) Powyższa historia, naturalnie rosyjskiego »projektu«, nie powstała ani z wymysłu, ani z domysłu. Plan przewożenia zesłańców z Tomsku do Irkucka kręci się w wirze sargosyjskiego morza moskiewskiej biurokracyi prawie lat trzydzieści. Projektowana reforma systemu zsyłania na Sybir obeszła od roku 1871. najrozmaitsze biura »szyberowskie« przynajmniej tuzin razy, była 4 razy przedmiotem traktowania komisyjnego i przedłożono ją raz senatowi. (Komisjom tym przewodniczyli: Sołohub, Frisch, Zubów i Grote; patrz *Wiestnik Wschodu* nr. 17. 22. lipca. Petersburg 1881). Pan Kokowcew, asystent szefa rosyjskiego departamentu więziennego, oświadczył w swej mowie na międzynarodowym kongresie więziennym w Stokholmie w r. 1878., że jego rząd przekonał się o szkodliwości systemu deportacyjnego i że go znieść zamierza (patrz sprawozdanie międzynarodowego kongresu więziennego w Stokholmie, przez E. E. Winesa, komisarza Stanów Zjednoczonych, nakładem drukarni rządowej, Wasching-ton 1879). Od tego czasu upłynęło lat 13, z najświeższych zaś gazet rosyjskich dowiaduję się, że »projekt« reformy systemu zsyłania na Sybir »nie zadowolili« senatu, a zatem odesłano go przez ministerjum spraw wewnętrznych do szefa departamentu więziennego do zmiany. Mówiąc innemi słowy, »projekt« zaawansował w ciągu 13-tu lat w wirze morza biurokratycznego, o cztery kroki — wstecz. (Przyp. aut.)

dniej Syberyi, za usiłowanie zrabowania rządowej kasy w Chersonie, przy pomocy pani Rossikowej.

Było to w r. 1878, po przyjęciu przez najskrajniejsze skrzydło rosyjskiego stronnictwa rewolucyjnego t. zw. »polityki postrachu«, gdy niektórzy terroryści doradzali chwytac się i chwytali się takich środków walki, jak fałszowania carskich ukazów celem podburzania chłopów do buntu, albo rabowania dyliżansów i kas rządowych, dla dostarczenia pieniędzy, w celu złagodzenia cierpień zesłańców sybirskich, lub ułatwienia im ucieczki. Wszyscy wolnomyślni Rosssyanie, tudzież większa część rozważniejszych rewolucjonistów, potępiali te środki: z drugiej strony bronili ich ci, co się nimi posługiwali, dowodząc, że walka między terrorystami a rządem była strasznie nierówną, zaś niesprawiedliwe, zdradzieckie i dziko srogie obchodzenie się rządu z więźniami politycznymi, usprawiedliwiało wszelkie sposoby odwetu. Do liczby takich terrorystów należała także panna Dubrowa, czyli jak ją zwano przed zamążpójściem, panna Anna Aleksejewna.

Wespół z panią Rossikową, nauczycielką przy szkole ludowej w Elisabetgradzie i pewnym zbiegłym zesłańcem sybirskim, spróbowała panna Aleksejewna obrabować kasę rządową w Chersonie zapomocą tunelu, prowadzonego potajemnie norami popod kamienną posadzką piwnicy, mieszczącej w sobie ową kasę. Zamach taki wydaje się z każdego punktu widzenia dzikim pomysłem młodej, niedoświadczonej w zbrodni panienki z dobrego domu. Że się udał, dowodzi najdobitniej, jaki to spryt, jaką energję, cierpliwość i nadzwyczajną zuchwałość rozwinęły pewne warstwy społeczeństwa rosyjskiego w owej epoce życia rewolucyjnego. Młode, delikatne i dobrze wychowane kobiety z wszystkich części cesarstwa, rzucały się wtedy do podobnych czynów, wymyślały i zawiązywały spiski, któreby odstraszyły od siebie najdzielniejszego mężczyznę, przez wzgląd na swe przewidziane następstwa.

Tunel pod skarbcem rządowym w Chersonie został szczęśliwie wydrążony, zanim go odkryto. Wstęp do

skarbcza uzyskano przez podważenie jednej z ciężkich płyt kamiennych w podłodze, a młode kobiety uniosły i schowały półtora miliona r. s. w gotówce. Zanim im się jednak udało uwieźć zdobycz swą do miejsca zupełnie bezpiecznego, oraz uciec, zostały wraz z pomocnikiem swoim, zbiegiem sybirskim, aresztowane i wtrącone do więzienia. Współwinowajca zdradził je i wskazał policyi, gdzie pieniądze były schowane, zaś amatorki w zawodzie rozbójniczym, zesłano na Sybir. Panią Rossikową jako starszą, oraz inicjatora spisku, skazano do ciężkich robót w kopalniach, zaś pannę Aleksejewnę tylko na osiedlenie z pozbawieniem praw stanu. Po zamążpójściu za misyonarza Dubrowa, pozwolono jej mieszkać pod dozorem policyi w Krasnojarsku.

Długo przed przybyciem do Krasnojarska oglądałem na Sybirze wszelkiego rodzaju przestępców politycznych, począwszy od wstydlivej i nieśmiałej dziewczyny szesnastoletniej, a skończywszy na zatwardziałym i gorącą przejętym terroryście. Nigdy jednak przedtem nie udało mi się zawrzeć znajomości z politycznym rozbiaczem skarbców. Z niemałą też ciekawością wyczekiwałem spotkania się z panią Dubrową, z którą miannie zapoznać p. Samaryn. Pułkownik Nowikow*) w Czycie, opisał mi ją jako nielepszą od prostego złodzieja, dodając, że przybrała sobie była maskę poli-

*) Pułk. Nowikow należał do składu sądu wojennego, który skazał panią Rossikową i pannę Aleksejewnę; on albo nie był w stanie zrozumieć charakteru takich kobiet, lub też chciał mnie okłamać, gdy je opisał jako »proste złodziejki«. Wszyscy wygnańcy polityczni przedstawili mi panią Rossikową jako osobę nader moralną i pełną poświęcenia. Należała ona do rzędu młodych kobiet, które brały udział w donkiszotowskim ruchu »apostolowania między ludem« i przeżyła 7—8 miesięcy jak prosta chłopka w pewnej wsi, po to tylko, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób mogłaby się do ludu zbliżyć i być mu pomocną. Działała z wielkiem powodzeniem jako emisaryusz rewolucyjny, mianowicie między sztundystami czyli anabaptystami ruskimi. Sprzeciwiała się przez dłuższy czas terroryzmowi, wkońcu jednak przystała sama do nich pod wpływem listów od swych przyjaciół syberyjskich, opisujących przebywane cierpienia. (Przyp. aut.).

tyczną, celem otrzymania łżejszego wyroku. Nie przywiązywałem ja wszakże wielkiego znaczenia do słów pułk. Nowikowa, jako człowieka nieoświeconego i pełnego przesądów i wiedząc nadto, że zamiar nadania zbrodni charakteru politycznego, celem złagodzenia wyroku za kradzież, byłby krokiem równie nierozsądnym jak przyznanie się do morderstwa, dla uzyskania łagodniejszego wyroku kary za przeoranie cudzej granicy.

P. Samaryn, p. Peterson i ja, odwiedziliśmy panią Dubrowę nazajutrz w nocy po przybyciu do Krasnojarska. Zajmowała ona jedną połowę bardzo skromnie urządzonego domu, w części miasta przyzwoitej, ale nie modnej, o jakie 800 kroków od naszego hotelu. Pani ta liczyła mniej więcej lat 30, miała włosy ciemne, duże czarne oczy, rysy regularne, płeć białą, a obejście się jej było szczere i przyjemne. Przed dziesięć laty, musiała jej młoda, dziewczęca postać być bardzo ujmującą, a może nawet piękną, lecz więzienie, wygnanie, zawody i cierpienia, zostawiły na jej obliczu swoje niestarte ślady.

Przywitała nas uprzejmie, wyraziła szczególne swe zadowolenie ze spotkania się z podróżnikiem ze Stanów Zjednoczonych, żałowała, żeśmy męża w domu nie zastali, potem zaczęła mnie zaraz wypytywać o położenie polityczne w Rosyi, tudzież o losy niektórych jej przyjaciół — wygnańców, spotkanych przemieście w Wschodniej Syberyi. Zawiązała się rozmowa ogólna, w ciągu której miałem sposobność wyrobić sobie pobieżny, ale dość trafny sąd o jej charakterze, pochlebny dla niej prawie pod każdym względem.

Tylko ten, którego nienawiść polityczna i przesady zupełnie oślepiły, mógłby być niedostrzedcz, że miał przed sobą typ kobiety, tak bardzo niepodobny do rodzaju »pospolitych opryszków i złodziei«, jak Charlotta Corday była niepodobną do pospolitych morderców. Wolnoby ją może opisać jako uwiedzioną, fanatyczną, pozbawioną zdrowego rozsądku i uszanowania dla prawa istotę, lecz zaliczanie jej do rzędu pospolitych zbrodniarzy, nie dałoby się usprawiedliwić bez zapoznania wszyst-

kich rysów charakterystycznych, odróżniających ludzi w rodzaju n. p. John Browna, od zwykłych opryszków. Prawo może zajmować się tylko jedynie czynem, nie oglądając się na pobudki, zapatrując się jednak na charakter z historycznego punktu widzenia, wypada także brać w rachubę powody.

Panią Dubrowę aresztowano pierwszy raz w towarzystwie pani Rossikowej, gdy się udawały do pewnego sioła, między chłopów, z zamiarem równie czysto i wspaniałomyślnie filantropijnym, jak były zamiary niektórych, dobrze wychowanych młodych kobiet z Nowej Anglii, które w epoce uporządkowania Południa, pojechały tam w celu udzielania nauk w szkołkach murzyńskich. Od czasu owego aresztowania pilnowano ją, jako podejrzaną politycznie; władze dręczyły ją i dokuczały jej na rozmaite sposoby, przyprowadzono ją do rozpaczki niesprawiedliwym obchodzeniem się tak z nią samą, jak z jej przyjaciółmi, aż się stała terrorystką, pod przemożnym wpływem pani Rossikowej — charakteru zupełnie podobnego do typu Johna Browna*).

Działała niekiedy pod wpływem błędnych pojęć obowiązku i mylnych idei o moralnej sprawiedliwości, jak to czyni wielu innych młodych Moskali, gorącego usposobienia i niedokładnie obznajomionych z historią społecznych i politycznych eksperymentów ludzkości — odpowiedzialność za to spada jednakże i w tym wypadku na rząd rossyjski. Pod pozorem chronienia charakterów swej młodzieży od zarazy »buntowniczych« ideałów, pozbawił ją świadomości, mogącej służyć za drogowskaz przy traktowaniu problemów życiowych, oraz stawia sam przed nią wzory bezprawia, karząc ją za działalność towarzyską, zupełnie niewinną i legalną, potem zaś, przyprowadziwszy ją swoją niesprawiedli-

*) Głośny w Ameryce, fanatyczny zwolennik zniesienia niewoli murzyńskiej, którego partyzanckie czyny w Kansasie, zuchwała wyprawa do Harpes, Ferry i śmierć bohaterska krótko przed wyborem prezydenta Lincolna, zaogniły spór o niewolnictwo między Północą i Południem, przyspieszając wybuch wojny domowej.

wością i swem okrucieństwem do rozpaczny pochopnej do zbrodni, przedstawia ją światu jako potwora wyuzdanego.

Urzednicy rossyjscy oskarżali mnie, że idealizuję charaktery politycznych zesłańców, gdy jednakże dzieje drugiej połowy dziewiętnastego stulecia zostaną rozpisane, wtedy pokaże się, mojem zdaniem, że moje portrety rossyjskich rewolucjonistów, jakkolwiek z konieczności niedokładnie i pobieżnie naszkicowane, przecież wyglądają podobniej do oryginałów od ludzkich karykatur, przechowywanych w mowach i w aktach oskarżenia sądowych prokuratorów.

Nazajutrz po przyjeździe do Krasnojarska uszliśmy tylko o włos niebezpieczeństwu, które mogło być skończyć się poważnie. Wynikło zaś z niespodzianej rewizji w domu znajomego, u którego Samaryn i Peterson stanęli na kwaterze. Znajomy ten należał jak się okazało do podejrzanych, a policya zjawiała się niespodzianie późno wieczór w jego domu, podczas nieobecności owych młodzieńców, żeby przedsięwziąć rewizję. Nie znaleziono jednak nic podejrzanej natury, oprócz dwóch kufrów Samaryna i Petersona. Właściciel domu odpowiedział na zapytanie, co one w sobie zawierają, że nie wie, albowiem należą do dwóch znajomych, którzy się zatrzymali na kilka dni u niego w podróży z Irkucka do Petersburga. Zapytany, gdzie się ci znajomi znajdują, odrzekł, że także nie wie, gdyż zwykli wychodzić zaraz po obiedzie i nie wracać przed 11 lub 12 w nocy. Urzednicy policyjni zadecydowali po krótkiej naradzie, że nie mając wyraźnego rozkazu do zrewidowania osobistych bagażów gości gospodarza domu, nie rozbiją zamków przy ich kufrach, ale opasali każdy kufer sznurami i opieczętowali je w taki sposób, żeby się nikt nie mógł dostać do ich wnętrza, poczem je w takim stanie do rana zostawili.

Wróciwszy do domu znaleźli Samaryn i Peterson swoje kufry obwiązane sznurami i opieczętowane w taki sposób, że ich nie mogli otworzyć. W jednym z nich znajdowało się mnóstwo listów od zesłańców wschodnio-

syberyjskich do przyjaciół i krewnych w Europie — listów opisujących moje badania i rodzaj materyałów zbieranych przeze mnie, oraz wzywających przyjaciół i krewnych w Rosyi europejskiej, żeby mi udzielali pomocy, jako też moja fotografia, dana Samarynowi z dedykacją czyli napisem na odwrotnej stronie, którego treść musiałaby była wyjawić każdemu bystremu urzednikowi policyjnemu zażyłą naturę moich stosunków z politycznymi skazańcami. Co tu począć? Złamanie pieczęci policyjnej wśród takich okoliczności byłoby występkiem i spowodowałoby niezawodnie uwięzienie i śledztwo przeciw winowajcom. Pozostawienie listów i fotografii w kufrze musiałoby się skończyć nazajutrz ich odkryciem i konfiskatą, co wszystko mogłoby wprowadzić w nader kłopotliwe położenie tak siebie samego, jak też autorów listów i tychże przyjaciół. Młodzieńcy postanowili wkońcu spróbować otworzyć kufer bez naruszenia sznurów i pieczęci, że zaś listy i fotografia leżały prawie na samym spodzie, wieko zaś nie dawało się podnieść skutkiem opasania sznurem nawet po otwarciu zamka, więc zdecydowali się podważyć część dna, a potem nazad ją włożyć. Po całonocnej pracy udało im się wyjąć jedną deskę z denka, wy dobyć niebezpieczne listy i fotografię, włożyć deskę napowrót bez uszkodzenia sznura i pieczęci, skutkiem czego mogli stać nazajutrz rano z wyrazem niezmaconego niczem spokoju na twarzach, gdy policya wróciła i zrewidowała ich kufry, w których nie znaleziono rozumie się nic niebezpieczniejszego od szczotki do włosów, ani też bardziej obciążającego, od rachunku hotelowego.

Inny jeszcze drobny epizod zaniepokoił nas cokolwiek w Krasnojarsku, wywołany obraźliwym względem nas zachowaniem się dwóch nieznanomych w pewnej księgarni.

Czytelnicy *The Century* przypomną sobie zapewne, że raz późno w nocy w Czycie wpadł do naszego pokoju przez cienką ścianę strzał tajemniczy. Zdarzenie to naprowadziło mnie pierwszy raz na domysł, że moglibyśmy przypadkiem dać się wciągnąć w jakąś zwadę

lub intrygę, któraby dostarczyła policji wymówki do wzięcia nas chwilowo pod klucz i do zrewidowania naszych bagaży. Wiedziałem też, że z powodu treści papierów i dokumentów znajdujących się w moim posiadaniu, rewizya tego rodzaju skończyłaby się jak najfatalniej, postanowiłem więc mieć się na baczności jak najczujniejszej, żeby nie wpaść w żadne sidła na siebie zastawione. Raz wstrzymałem się nawet od pospieszenia z pomocą kobiecie, którą bito okrutnie i brutalnie w drugiej połowie domu zamieszkałego przez politycznego zesłańca, którego odwiedzałem, przeczuwałem bowiem napewne, że jej krzyk wnet sprowadzi policję, nie ważyłem się zaś dać się znaleźć w tem miejscu, lub też chociażby zostać wplątany w sprawę, mogącą dać powód do śledztwa policyjnego. A przecież było to rzeczą bolesną przysłuchiwać się krzykowi niewiasty i nie pospieszyć jej z pomocą.

Zdarzenie w Krasnojarsku, o którym wspomniałem, miało przebieg następujący:

Frost i ja wstąpiliśmy pewnego wieczora do głównej księgarni w Krasnojarsku dla zakupna kilku map okolicy, przyborów do pisania, notysek, oraz innych potrzebnych przedmiotów. Za nami weszło dwóch jegomościów ubranych po cywilnemu, których nigdy przedtem nie widziałem i na których nie zwracałem z początku uwagi. Zanim jednak kilka chwil upłynęło, spostrzegłem się, że jeden z nich przyczepił się do mnie, drugi zaś do p. Frosta, tudzież że małpowali i przedrzeźniali w sposób bardzo obrazliwy wszystkie nasze czynności. Nie byli pijani — nie przemawiali do nas — nie robili też żadnych uwag oryginalnych, tylko poprostu nas małpowali. Prosiłem o pokazanie sobie mapy prowincyi Jenisejskiej — człowiek przy moim boku także mapy prowincyi Jenisejskiej zażądał, naśladując przytem starannie mój sposób mówienia. Przeszedłem do innej części sklepu i zażądałem papieru do pisania, on się także do tejże części sklepu przeniósł i również papieru do pisania zażądał. Chęć wyrządzenia mi urazy stała się niewątpliwą i objawiła się w sposób tak

nadzwyczajny i z góry obmyślany, że mi przyszło zaraz na myśl podejrzenie, iż mam do czynienia z łapką policyjną. Nie można było bowiem przypuścić, żeby się mogło znaleźć dwóch ludzi o zdrowych zmysłach i niepijanych, którzyby mogli wejść do księgarni za dwoma nieznanymi i zachować się względem nich w sposób tak dziwny i naumyślnie z góry ukartowany. Ci ludzie musieli więc mieć cel ściśle określony. Nie mogłem zaś sobie wyobrazić żadnego innego takiego celu, okrom usiłowania wciągnięcia nas w bójkę, a nie mogąc pozwolić sobie w obecnej chwili na bijatykę, sądziłem, że mi nic innego do czynienia nie pozostaje, jak tylko załatwić swój interes jak najspieszniej i wynieść się ze sklepu. Jegomościowie wyszli za nami na chodnik, ale żaden nie przemówił do nas. Wkońcu znikli nam z oczu w ciemności. Właściciel sklepu zagadnięty nazajutrz, ażali znał tych panów, odparł przecząco.

Wypadki tego rodzaju, jakiegokolwiek mogło być ich znaczenie, musiały nas bardzo niepokoić, zważywszy, żeśmy ukrywali przy sobie i w naszych bagażach masę dokumentów, listów i politycznie zapalnych materiałów wszelkiego rodzaju, tudzież mając na pamięci tę okoliczność, że sprawa wielkiej doniosłości była związana z bezpieczeństwem naszych osób. Długo już przed dostaniem się do granicy Rosyi europejskiej wpadłem w takie rozdrażnienie nerwowe i stałem się tak bardzo podejrzliwym wobec każdej niezwykłej rzeczy, że prawie nie sypiałem po całych nocach.

Zabawiwszy tak długo w Krasnojarsku, jak podług naszego zdania wymagało załatwienie sprawy, tudzież odzyskawszy siły po nużącej podróży z Irkucka, w środę 20. stycznia wybraliśmy się do Minusińska, miasta położonego na północnych stokach gór Altajskich, na granicy Mongolii, w okolicy nazwanej wpół na seryo, a wpół żartobliwie »Włochami Syberyi«. Odległość z Krasnojarska do Minusińska wynosi około 200 mil, w zimie zaś wiedzie droga z jednego miasta do drugiego po lodzie, na wielkiej rzece Jeniseju. Nie jest to regularny trakt pocztowy, lecz zamożni i przedsiębiorczy włościanie

nadrzeźni przywykli wozić podróżnych ze wsi do wsi za taką samą cenę, jaką pobiera rząd na regularnej rucie pocztowej i prawie z takim samym pośpiechem, jak na wielkim trakcie syberyjskim.

W dzień wyjazdu z Krasnojarska zrobiło się zimno i burzliwie, a zadyмка śnieżna potworzyła na lodzie tak wielkie zasy, że już na drugiej stacji musieli zaprzęgać do sań po trzy konie szydłem i wysłać przed sobą czwartego konia, zaprzęzonego do lekkich sanek, żeby nam torował drogę. Ponieważ jednak droga ta była zupełnie równa, a ruch »pawozki« spokojny, więc mogliśmy z nadejściem nocy pograć się w głębię naszego worka baraniego i zasnąć, pozwalając woźnicom radzić sobie, jak umieli.

Nie przypominam sobie nic więcej z całonocnej tej podróży, jak tylko to, żeśmy się budzili co trzy lub cztery godziny, wylazili z pawozki i wchodzili do chat chłopskich, gdzieśmy czekali, aż zaprzęgą świeże konie,

W czwartek jechaliśmy wzdłuż rzeki, powoli, w miękkim, głębokim śniegu, w którym sanie nasze zanurzały się po same skrzydła, konie zaś zapadały po kolaną. Brzegi podnosiły się coraz wyżej i wyżej w miarę naszego posuwania się ku południowi, a wkońcu przybrały wygląd dziki i górski, tworząc wspaniałe ściany skaliste, ułożone w regularne pokłady, nakształt bazaltowych »palisad« nad Hudsonem. Na tychto skałach odkrył p. Sawenkow, wykształcony dyrektor szkoły normalnej w Krasnojarsku, owe uwagi godne napisy i piktografie, których zbiór obfity posiada. Spotyka tu się mnóstwo dowodów, że w padole Jeniseju mieszkał niedgys naród potężny i kwitnący.

W piątek, wyjechawszy z siódmej stacji, licząc od Krasnojarska, opuściliśmy koryto rzeki na jakiś czas i jechaliśmy wzdłuż płytkiej, okrytej trawą i prawie pozbawionej śniegu równiny, tworzącej dosłownie wielkie cmętaryzsko, zasianej wszędy mnóstwem kamieni grobowych stojących naokoło kurhanów. Zdaje mi się, że nie przesadzę, jeśli powiem, że było tam tysiące i tysiące

takich kamieni. Tworzyły one przez cały dzień najbar dziej w oczy wpadający przedmiot krajobrazu.

Dostaliśmy się do najbliższego naszego punktu przeznaczenia, Minusińska, przed świtem w niedzielę 23. stycznia, i znaleźliśmy schronienie w piętrowym, z kłód zbudowanym domu, który gościł w swych ścianach przez długie lata owego znakomitego wygnańca politycznego — księcia Krapotkina.

Ostatnie dni moje w Syberyi.

Minusińsk, gdzieśmy się ostatni raz w Wschodniej Syberyi dłużej zatrzymali, jest sobie kwitnącem miasteczkiem, liczącem 5—6000 mieszkańców; rozłożyło się ono w żyznym padole górnego Jeniseju, o 32000 mil ang. od stolicy carstwa, a 150 mil ang. od granicy Mongolii, w szerokości geogr. odpowiadającej położeniu Liverpoolu, a w długości Kalkuty. Podróż stąd do Petersburga zwykła trwać dni 20. Podróżnicy cudzoziemcy rzadko tu wstępują, gdyż miasto to leży daleko na południe od głównej linii komunikacyjnej tej części kontynentu. W czasie naszej wizyty nawet mieszkańcy Rossyi europejskiej znali je ledwie z imienia. Nas jednak obchodziło ono szczególnie w części dlatego, że zawierało w sobie największe i najważniejsze muzeum archeologiczne i przyrodnicze w Syberyi, w części zaś, że stanowiło miejsce wygnania dla wielu znakomitych rosyjskich liberałów i rewolucjonistów.

Zajechaliliśmy do tej miłośnicy o wpół do szóstej rano. Kolumny dymu, wzbijające się gdzieniegdzie z kominów domostw z kłód zbudowanych, świadczyły, że niektórzy przynajmniej mieszkańcy już wstali, ponieważ jednak nie zdjęto jeszcze ani jednej ze szczelnie zamkniętych, ciężkich okiennic, więc nie było widać żadnego światła. Szerokie ulice były puste, a całe miasto miało owo samotne, bezludne wejrzenie, właściwe większej części osad syberyjskich we wczesnym poranku, przy bladym oświeceniu księżyca w ostatniej kwadrze.

— Dokąd każecie jechać? zapytał woźnica, zatrzymując konie i obracając się na siedzeniu.

— Do jakiegoś hotelu — odparłem. Przecież tu musi być jakiś hotel, nieprawda?

— Był kiedyś — odparł — ale Bogu tylko wiadomo, czy jest jeszcze. Jeżeli jednak Wysokość nie ma tu znajomych, to musimy się rozpatrzyć.

Zaopatrzeni w listy polecające do kilku znanych obywateli Minusińska, nie mogliśmy wątpić, żeby nas serdecznie i gościnnie u każdego z nich nie przyjęto. Przedstawianie się z listem polecającym przed świtem gospodarzowi, dopiero co wywołanemu z łóżka, byłoby jakoś rzeczą niedogodną, kłopotliwą, a zatem postanowiłem kazać się zawieść do rządowej stacyi pocztowej, jeśliby furman nie znalazł hotelu. Wprawdzie nie mieliśmy prawa żądać przytułku w takiej stacyi, bośmy podróżowali »wolnymi« koniami i bez »podorożnej«, ale nauczyło nas było doświadczenie, że poczmistrz syberyjski zwykł przy odpowiednim wynagrodzeniu nie przypatrywać się bardzo ściśle legalnej stronie każdego poszczególnego wypadku, ale uwzględniać każde żądanie jako sprawiedliwe i zgodne z przepisami.

Objechawszy trzy albo cztery rogi ulic, woźnica nasz stanął przed wielkim, piętrowym domem z kłód, blisko środka miasta i oświadczył nam, że tu niegdyś hotel trzymano, poczem zaczął stukać i walić w bramę, aż zbudził wszystkie psy sąsiedzkie i otrzymał z ust zaspanego i rozgniewanego stróża wiadomość, że tam nie było żadnego zajazdu, bo to dom prywatny, tudzież że jeżeli zaraz nie przestaniemy rozbijać bram porządnym ludzi w taki sposób o północy, to nam zgoła nie będzie potrzeba hotelu, albowiem zaprowadzą nas na policję do odpowiednich dla nas apartamentów w wygodnym areszcie. Wszystko to nie dawało otuchy do dalszych poszukiwań, jednak nasz woźnica nie dał za wygranę, ale wymieniwszy kilka wåtpliwych komplimentów z kłótliwym cerberem, pojechał do innego domu, w innej części miasta, gdzie zaczął pukać i walić do innej bramy, z taką samą siłą i zaciętością.

Mężczyzna, który tym razem wyszedł przeciw nam, oświadczył, że trzymał wprawdzie pokoje dla przyjezdnych, lecz że wszystkie one były zajęte. Poradził nam udać się do domu niejakiego Soldatowa. Nie pozostało tedy nic innego, jak tam pojechać. Tu dano nam nareszcie w obdartym domu na piętrze izbę obszerną, jasną, wyglądającą schludnie, za którą wraz z całym utrzymaniem mieliśmy płacić po rublu za dobę. Przyjęliśmy z radością te warunki i kazaliśmy woźnicy wypróżnić »pawozkę«, tudzież przynieść rzeczy na górę.

Nowo znalezione pomieszkowanie nie mogło się chlubić dywanem, nie miało firanek u okien i nie zawierało ani umywalni, ani łóżka; braki te jednak wynagradzał widok znajdującego się w niem zgrzybiałego oleandra w zielonej doniczce, oraz dwóch wazonków geranii i gałęzi anemicznego bluszczu angielskiego, wspinającego się po sznurku i mizdrzącego się do siebie w zwierciadle, w którym wszystkie rysy odbijały się jakby zamglone. Zaledwie skończono wnosić rzeczy, legliśmy na podłodze w kożuchach i butach filcowych i wyspaliliśmy się do dziesiątej.

Przebrawszy się i nadawszy sobie powierzchność o tyle przyzwoitą, o ile na to okoliczności pozwalały, wyszliśmy cokolwiek przed południem, celem złożenia kilku wizyt i obejrzenia miasta. Nie zdawało nam się rzeczą roztrofną na razie powręczać osiedleńcom politycznym przywiezione do nich listy polecające, ale postanowiliśmy się pierwiej przekonać, jakie stosunki zachodzą pomiędzy nimi a innymi mieszkańcami, tudzież dowiedzieć się czegoś stanowczego o charakterze i wyposażeniu miejscowego sprawnika, czyli naczelnika powiatowej policji.

Udaliśmy się przeto najpierwej do p. N. M. Martianowa, znanego przyrodnika syberyjskiego, do któregośmy przywiezli bilet z poleceniem od redaktora petersburskiego *Wschodniego Przeglądu*. Zastaliśmy p. Martianowa zajętego pilnie mieszaniami lekarstwa w apteczce należącej do niego i położonej niedaleko hotelu Soldatowa. Przyjął nas serdecznie...

Muzeum w Minusińsku, zasłużony przedmiot chluby dla wszystkich wykształconych Syberyjczyków, służyć może znakomitym przykładem rezultatów, do których doprowadza niezachwiane poświęcenie się jednemu przedmiotowi i niezłomna, wytrwała praca jednostki. Jest ono w pełnym tego słowa znaczeniu utworem p. Martianowa, przedstawiając prawie wyłącznie owoce jego indywidualnej zręczności i pracy.

Przed r. 1874, w którym to roku do Syberji wyemigrował, nie istniała, o ile mi wiadomo, w całym tym kraju, ani jedna instytucja tego rodzaju, z wyjątkiem wespół martwego muzeum górnictwa w Barnaule, ani też nie świeża nawet w głowach zawodowych nauczycieli myśl podniesienia poziomu publicznego wychowania i zamiłowania w nauce, przez złożenie i pokazywanie ukłasyfikowanych zbiorów roślin, minerałów i okazów archeologicznych.

Pan Martianow, ukończony elew kazańskiej wszechnicy i specjalista botanik, zaczął zaraz po przybyciu do Minusińska robić zbiory w celu założenia muzeum.

Nie rozporządzał on ani majątkiem ani nadmiarem wolnego czasu; przeciwnie zawdzięczał całe swe utrzymanie małej aptece, w której musiał przesiadywać całymi dniami. Odmawiając sobie snu i wstając codzień bardzo rano, potrafił jednak poświęcać codzień kilka godzin pracy naukowej, a w ciągu tych kilku godzin złożył prawie tuzin identycznych zbiorów takich roślin i minerałów, jakie zdołał znaleźć w okręgu jednogodzinnej przechadzki naokoło miasta. Po należytej klasyfikacji tych okazów i zaopatrzeniu ich w napisy, posłał po jednym zbiorze do każdego nauczyciela ludowego w powiecie minusińskim, z prośbą, żeby nakłonili uczniów do robienia podobnych zbiorów w swojej okolicy i do nadsełania ich do zakładającego się muzeum. Tak nauczyciele jak uczniowie przyjęli prędko i z zapałem przedłożone sobie zaproszenia, a zbiory kwiatów i kamieni zaczęły się w przeciągu kilku miesięcy sypać do apteczki p. Martianowa ze wszystkich stron powiatu.

Rozumie się, że znaczna część tego materiału nie ma prawie żadnej wartości, albowiem zbierano go bez dostatecznej znajomości przedmiotu i bez oględności w wyborze, ale inna jego część posiadała wielką wartość. Nawet te przedmioty, które na nie się przydać nie mogły, świadczyły, że nie tylko uczniowie, lecz także ich krewni i przyjaciele byli gotowi współdziałać z założycielem, interesując się jego projektem i żywiąc dla niego sympatię.

P. Martianow rozsyłał tymczasem podobne, lecz kompletniejsze zbiory do cesarskiej akademii umiejętności, do rozmaitych muzeów rosyjskich, własnej *alma mater* i profesorów nauk przyrodniczych przy kilku wielkich wszechnicach rosyjskich, prosząc każdym razem o przysłanie sobie natomiast zbędnych duplikatów okazów z innych części cesarstwa.

W takito sposób zebrał on w przeciągu dwóch lat niezmordowanej pracy, około 1500 przedmiotów z dziedziny historii naturalnej i mały, ale cenny księgozbiór, liczący cokolwiek ponad 100 dzieł naukowych, częściowo nie spotykanych nigdzie na Sybirze. Zbiór ten darował w roku 1876 formalnie radzie miejskiej miasta Minusińska do użytku publicznego. Potem uzyskano akt fundacyjny i przeznaczony dwie izby w budynku szkolnym na wystawę zbioru, otworzono »muzeum«, wzrastające od tego czasu szybko i bez przestanku. Wykształcona część mieszkańców Minusińska podała sobie rękę w celu udzielania wsparcia p. Martianowowi w jego pracy, a datki w książkach, w materiałach antropologicznych, przyrządach naukowych i pieniądzech posyłały się tak z miasta i okolicy, jako też z wielu miejsc w sąsiednich guberniach.

Po cokolwiek pobieżnym ale uważnym przypatrzeniu się zbiorom muzealnym, przyszliliśmy z panem Frostem do przekonania, że jego oddziały archeologiczne i etnologiczne tworzyły część najbardziej zdumiewającą i zajmującą, chociaż i całość była godną pochwały wystawą, przynoszącą chlubę tak swemu założycielowi, jak miastu. Podczas naszych odwiedzin zbiór ten zapełniał

7 pokoi w ratuszu, a katalog zawierał 23.859 numerów, podczas gdy księgozbiór liczył 10.000 tomów. Wszystko to było bezpośrednim owocem wysilenia jednostki, która z początku doznała mało współczucia i zachęty publicznej, nie posiadała środków pieniężnych i zamykała się przez 10—12 godzin na dobę w czterech ścianach swej apteki.

Od czasu mego powrotu z Syberii został ogłoszony z pomocą pp. J. M. Sybiriakowa, Inocentego Kuźniecowa, oraz kilku innych zamożnych i wykształconych sybiraków, doskonały, opisowy katalog tego zbioru archeologicznego, tudzież wydano atlas ilustracji litografowanych i zbudowano obszerny gmach na muzeum i księgozbiór kosztem 12—15.000 rubli. Katalog i atlas zdobyły sobie pochlebne wzmianki ze strony archeologicznych towarzystw rozmaitych stolic europejskich, a zasługują na szczególną uwagę z tego powodu, że są wyłącznym dziełem politycznych zesłańców. Tekst opisowy, zajmujący około 200 stronice w oktawie, jest pióra znakomitego geologa i archeologa, Dymitra Klements'a, zesłanego na Sybir za »niebłahodziożność« w roku 1881; ilustracje zaś rysował wygnaniec-artysta A. W. Staniewicz.

Obrońcy rządu moskiewskiego utrzymują raz wraz, że tak zwani nihilisci, wypędzani przez tenże rząd na Sybir, składają się tylko z »malczyków« (zasługujących na pogardę doroszków), z uczniów powypędzanych z seminarjów«, z »niedouczonych żaków«, »nikczemnych żydów«, i »studentów co padli przy egzaminach«. A jednakże dyrektorowie muzeum minusińskiego, ilekroć potrzebują pomocy ludzi o tyle uczynnych, żeby rozbiierać z nimi najtrudniejsze problemy archeologii, lub artystów o tyle biegłych, aby mogli odrysować z najbardziej drobiazgową wiernością przedmioty znajdujące w kurhanach, — jednakże dyrektorowie ci muszą się wtedy zwracać do tychże samych »nihilistów« i »niedouczonych doroszków«, o których urzędowe gazety stołeczne i carscy prokuratorowie z taką pogardą się wyrażają. Brednie tego rodzaju mogą bałamucić przez czas

krótki publiczną opinię zagranicy, lecz nie oszukują nikogo w Syberyi. Sybirczykom wiadomo bowiem powszechnie, że gdzie trzeba prawości, zdolności i rozumu, tam się nie szuka tych przymiotów pomiędzy urzędowymi przedstawicielami korony, lecz między nieszczerliwymi prawnikami, lekarzami, przyrodnikami, autorami, dziennikarzami, statystykami i ekonomistami, których zesłano na Sybir za »niebłahonadiożność«.

Wyszedszy z muzeum, odwiedziliśmy z panem Martianowem kilku wybitnych obywateli, jakoto burmistrza, czyli głowę rady miejskiej, p. Litkina, dr. Malina, rozumnego lekarza, mieszkającego w domu wykwinnym, tworzącym rodzaj oranżeryi kwiatowej, oraz bogatego, młodego kupca Safianowa, prowadzącego handel z mieszkającymi poza granicą mongolską Sojotami, który miał nam towarzyszyć w wycieczce do Tatarów kaszyńskich. Złożyłem też wizytę p. Znameńskiemu, sprawnikowi, czyli naczelnikowi policyi, a nie zastawszy go w domu zostawiłem bilet. Powróciliśmy do Sołdatowa dość późno po południu, a zjadłszy obiad przespaliśmy prawie całą resztę dnia, wynagradzając sobie sen stracony w podróży.

Projektowana wycieczka do »ułusów« Tatarów kaszyńskich odbyła się wedle planu, ale nie odpowiedziała naszym oczekiwaniom względem zobaczenia czegoś zajmującego. Pan Safianow zajechał po nas o dziesiątej rano szerokimi, wygodnymi saniami. Jechaliśmy korytem rzeki w części po lodzie, a w części po niskich, rezległych wyspach, aż do ujścia Abakanu, skąd się jechało dalej do t. zw. ułusów szerokim stepem z lekka śniegiem przypruszonym.

Kraj przedstawia się wogóle jako pusta płaszczyna. Urozmaicały go jedynie niezliczone kurhany, mogiły i nagrobki z monolitów, rozsiane po krajobrazie jak daleko oko sięgało, dające nieomylnie świadectwo obfitości tego pola w takie same zabytki archeologiczne z epoki brązu, jakie nazbierano do muzeum w Minusińsku. Niektóre prosto stojące monolity miały 12 do 15 stóp wysokości, a 2 do 3 stopy szerokości i musiały

być sprowadzone nakładem żmudnej pracy z jakiegoś miejsca odległego. Chłopi rossyjscy przypisują pochodzenie tych wszystkich sterczących kamieni tudzież bronzowych narzędzi i sprzętów, znajdujących w grobach lub wyorywanych z pól naokoło Minusińska, przedhistorycznemu narodowi »Czudów«. Wejdz do którejkolwiek chaty nad wyższym Jenisejem i zapytaj o »rzeczy cudzijskie«, a dzieci przyniosą ci zaraz trzy lub cztery groty strzałowe, narzędzia bronzowe, podobne do połowy nożyczek i dziwaczny nóż miedziany, podobny swym łukowatym kształtem do australskiego bumaranga, którego środkowe ostrze tnie jak jatagan.

W ułusie kaszyńskim stanęliśmy około jedenastej. Rozczarowałem się tutaj, bo zobaczyłem, że on się w niczem ważnem nie różnił od zwykłej wsi rossyjskiej, lub od małej osady, wpółcywilizowanych Buriatów. Większa część chat o dachach ostrokątnych przypominała kładowe domostwa typu rossyjskiego, ze swymi kominami, piecami z cegły i oknami szklanymi, mieszkańcy ich zaś byli bardzo podobni do takich Indian amerykańskich, którzy porzuciwszy swe dziedziczne zajęcia i tradycyjny ubiór, przyjęli jarzmo cywilizacji i osiedli jako drobni rolnicy w sąsiedztwie jakiejś kresowej wioski lub agencji białych ludzi. Tylko gdzieniegdzie można było dojrzeć jurtę, której kształt ośmiokątny i konieczny dach z kory drzew, kibitkę kirgizką przypominał, jako że przodkowie budowniczego zwykli byli mieszkać w namiotach. Poza tymi wyjątkami nie dostrzegano się nic takiego, coby się różniło od typów, spotykanych w setkach siół rossyjskich.

Pan Safianow, dobry znajomy wszystkich tych Tatarów, wprowadził nas do dwóch lub trzech niskich, ośmiokątnych jurt, tudzież do jednej chaty ze spiczastym dachem, któreśmy oglądali i zbadali, żeby w nich nie zajmującego nie znaleźć. Rossyjskie sprzęty, rossyjskie miski, skrzynie i samowary wyparły stąd przedmioty swojskiego pochodzenia, niegdyś do podobnego użytku służące. Nie byłem w stanie znaleźć nic a nie dającego jakie takie wyobrażenie o właściwym Tatarom smaku,

oprócz kołyski, przypominającej kształtem saneczki Eskimosów, z biegunami przybitymi do niej nie napoprzek dna, ale wzdłuż niego, skutkiem czego ruch jej odbywał się w kierunku przeciwnym naszemu sposobowi kołysania — tudzież arcyprostego, domowego alembiku. Ten ostatni przedmiot służący do dystylowania napitku upajającego, zwanego arakiem, składał się z miedzianego obszernego kociołka, ustawionego na trójnogu i szczelnie nakrytego. Z nakrywki sterczała zgięta rura drewniana, służąca jako wąż kondensujący. Cały aparat był sporządzony w sposób jak najprostszy, a przejrzysty, cięrkki, obrzydliwie smakujący płyn o nieprzyjemnym wejrzeniu, wyrabiany na nim, musiał posiadać przymioty upajające i trucicielskie kordyału, przygotowywanego z muchomorów przez koczowniczych Koryaków.

Wnętrze każdego z odwiecznych domów tatarskich było takie smutne, ponure, brudne, żeśmy się zdecydowali zjeść naszą przekąskę na dworze na śniegu.

Pan Saifanow namówił w ciągu tego śniadania kilka Tatarów ażeby się wystroili w świąteczne swoje ubiory i pozwoliły się odfotografować panu Frostowi. Z fotografii tych widać, że typ kobiet kaszyńskich posiada wszystkie cechy właściwe typowi indyjskiemu, tudzież, że nawet ich ubiory przypominają krojem wzory indyjskie. W naszych stanach Zachodnich mógłby każdy z oglądanych przez nas w okręgu minusińskim Tatarów kaszyńskich, jeśliby go po amerykańsku ubrano, uchodzić bez wzbudzenia jakiegokolwiek wątpliwości lub wywołania jakichkolwiek pytań, za Indyanina. Lud ten liczy około 10.000 głów a znaczna jego większość zamieszkuje t. zw. step Kaszyński, czyli rozległą, falowaną równinę na lewym czyli zachodnim brzegu Jeniseju, posiadającą klimat umiarkowany z lekkimi tylko opadami śniegu, na której trzody i stada znajdują obfitą paszę zarówno zimą jak latem.

Było to już późno po południu, nim się p. Frost uporał z fotografowaniem kobiet tej osady, z których każda miała wielką ochotę ubrać się po świątecznemu

i »dać zdjęć swój obraz«. Zabrawszy się z powrotem do Minusińska, przybyliśmy tam zanim zupełnie ściemniało, aby się pokrzepić herbatą karawańową i rozerwać rozmową o kaszyńskich Tatarach w cieniu oleandra i bluszczu, zdobiących altanę frontową piętrowej izby domu Słódatowa.

Niech jednak czytelnik zgoła nie przypuszcza, iż byliśmy do tego stopnia zajęci muzeami, zbiorami archeologicznymi i kaszyńskimi Tatarami, ażeby zapomnieć o wygnańcach politycznych. Przeciwnie, zamiaru poznania tych ludzi, stanowiącego główny cel naszej wizyty do Minusińska, nie spuszczaaliśmy z oka na chwilę. Cała sytuacja ich była jednak w tej chwili nadzwyczajnie naprężoną i drażliwą, z powodu ucieczki niejakiego wygnańca Masłowa, której następstwem była zwiększona czujność władz nad innymi wygnańcami.

Gubernialny prokurator Skrinikow i pułkownik żandarmerii przybyli z Krasnojarska i śledzili okoliczności towarzyszące ucieczce Masłowa, zaś policję miejscową nakłaniało, jak się można było spodziewać, poczucie poprzedniego niedbalstwa i przybycie tych dwóch dygnitarzy do niezwyklej baczności. Nawiązanie stosunków z politycznymi osiedleńcami bez wiedzy organów władzy, natrafiało tedy na nadzwyczajne przeszkody; należało działać jak najogłędniej, ażeby stosunkom znajomości, związanym z tymi ludźmi, nadać charakter przypadkowy. Po niedługim czasie dowiedziałem się od pana Martianowa, że niektórzy z nich zajmowali się czynnie sprawami muzealnemi, że pomogli mu niemało przy zbieraniu i klasyfikowaniu zbiorów i uczęszczali tak do muzeum, jak do biblioteki.

Musiałbym być wielkim ciemięgą, gdyby informacja podobna nie naprowadziła mnie od razu na myśl, że trzymałem w ręku wielkiego atuta w kształcie archeologii i antropologii, tudzież, że najlepszą możliwą rzeczą dla mnie było uprawianie nauk i zagłębianie się w tajnikach muzeum. Byłem na szczęście członkiem amerykańskiego towarzystwa geograficznego w New-Yorku i towa-

rzystwa antropologicznego w Waszyngtonie, tudzież liżąłem o tyle z ogólnych zarysów nauk przyrodniczych, aby módz rozprawiać o każdej ich gałęzi z dyletantami lub z policją, chociaż nie byłem w stanie podnieść się do poziomu takiego zawodowca, jak pan Martianow. Nie tylko więc odwiedzałem muzeum, skoro mi na to czas pozwolił, tudzież zajmowałem się żywo kaszyńskimi Tatarami z antropologicznego punktu widzenia, lecz też poprosiłem p. Martianowa, żeby nam pozwolił zabrać pług sojocki, kupę miedzianych nożów i toporów, tudzież pół tuzina brązowych zwierciadeł do siebie, rzekomo celem bliższego ich zbadania i odrytowania w porze dla nas odpowiedniej. Tu będzie mógł spotkać się z nimi każdy podejrzliwy urzędnik, jako z niewątpliwymi dowodami zupełnie niewinnej i chwalebnej natury naszych celów i zajęć.

Skutkiem tak jawnego poświęcenia się naszego nauce, pan Martianow nie tylko nie omieszkiał zapełnić naszą stancję wszelkiego rodzaju zabytkami archeologicznymi i okazami etnologicznymi, ale także przyprowadził do nas pewnego wieczora wykształconego geologa, archeologa i wygnańca Dymetra Klementsasa. Poznałem od razu tę osobę, do której miałem list od całej kolonii politycznych wygnańców z innej części Syberii Wschodniej, tudzież pierwowzór, który posłużył Stepniakowi do jednego z jego szkiców życiorysowych w „Podziemnej Rosyi”. Był to mężczyzna rosły i tego zbudowany, liczący około lat 40, którego głowa i twarz zwróciłyby na siebie uwagę w każdym zgromadzeniu ludowem, ale posiadały cechy raczej azjatyckie, niż europejskie. Wyniosłem, łysym, wypukłym czołem przypominał europejskiego myśliwieca i uczonego, lecz ciemnopiwnymi oczyma, śniadą cerą, wyskakującymi policzkami, spłaszczonym nosem i rozciętymi nozdrzami zbliżał się do typu Buryata lub Mongoła. Wargi i dolna szczeka kryły się wśród ciemnej brody i takichże wąsów, zaś cała część twarzy od czoła do zarostu tak wyglądała, jak gdyby należała do jednego z południowo-syberyjskich autochtonów.

Przy pierwszej sposobności wy dobyłem swoje świadectwo uczciwych zamiarów z trzosa pod koszulą, w którym nosiłem niebezpieczne dokumenty, mogące mi się przydać w ciągu podróży i wręczyłem je panu Klementsowi z tą uwagą, że wprawdzie p. Martianow przedstawił mnie już wedle formy konwenansowej, przyjętej w dobrem towarzystwie, jednak nie mógł naturalnie zaręczyć za mój charakter, a przeto pozwałam sobie przedłożyć moje referencye. Zagadniony, przeczytał list uważnie, potarł potem zapałkę, przytknął ją do papieru i spalił go trzymając jeden rozek w palcach póki nie spłonął do szczytu, a wkońcu opuścił popiół na ziemię i roztarł go nogą na proch. Obracając się do mnie rzekł:

— Jest to najpewniejszy sposób obchodzenia się z takimi listami.

Podzielałem jego zdanie, co mnie nie uwalniało od noszenia przy sobie nie tylko innych, podobnych listów, ale także dokumentów nieskończenie niebezpieczniejszych i bardziej kompromitujących.

Po półgodzinnej rozmowie wspomniał p. Martianow, że zrobimy najlepiej, jeśli pójdziemy do niego na herbatę, co zyskało ogólne uznanie. Spędziliśmy więc resztę wieczora z nim i z panią Martianow.

Nazajutrz rano odbyliśmy pierwszą utarczkę z policją w Minusińsku. Jeszcześmy nie byli wstali, gdy się wcisnął gwałtem prawie do pokoju oficer w granatowym mundurze, nie przysławszy pierwej biletu, ani nie oznajmivszy się. Zażądał naszych paszportów tonem cokolwiek niegrzecznym. Odpowiedziałem, że je odesłano do policji nazajutrz po naszym przybyciu i że leżały tam dotychczas.

— Nadzieratel nic o tem nie wie — odrzekł szorstko.

— Do niego należy, żeby wiedział — odparłem — zamiast przysyłać do nas człowieka, aby nas niepokoić. Bawimy już dosyć długo w carstwie, żeby wiedzieć, co należy czynić z paszportami. Dlatego też odesłaliśmy nasze do policji zaraz po przyjeździe.

Ostry i wyzywający ton mego przemówienia przeko-
 nał jak się zdaje oficera, że musiała zająć jakaś urzę-
 dowa pomyłka lub że coś prześlępiono w sprawie na-
 szych paszportów, wyszedł zatem zmieszany. Nie minęło
 jednak dziesięć minut i leżałem wciąż jeszcze na po-
 dłodze, na pościeli, tworzącej moje łoże, gdy wpadł
 sam inspektor policyi — urwisz o niegodziwym, dzioba-
 tem obliczu, z oczyma zielonemi i niespokojnemi, jak
 u kota. Bez munduru wzięłyby go każdy za prostego
 zbrodniarza niepospolicie złego rodzaju. Oświadczył, że
 nasze paszporty nie znajdowały się w policyi, że ich
 tam nigdy nie było i że ich zaraz potrzebuje. Dodał,
 że posiada zlecenie od sprawnika przekonać się, co
 my za ludzie, zkądśmy przybyli i czego szukamy
 w Minusińsku.

— Odwiedzaliście rozmaite osoby w tem mieście,
 skończył — a jednak p. sprawnik nie widział was do-
 tychezas u siebie.

— A kto temu winien? zapytałem ostro. Wszakżeż
 złożyłem mu wizytę przedwczoraj i nie zastawszy go
 w domu zostawiłem swój bilet. Jeżeli zaś ciekaw, co
 my za ludzie, to czemu mi nie odda wizyty, jak się
 należy między ucywilizowanymi ludźmi, zamiast przy-
 słać urzędnika policyjnego z impertynenckimi pyta-
 niami, zanim mogliśmy wstać? — Może się pan dowiesz
 z tego co my za ludzie...

I podałem mu nasze glejty żelazne od rosyjskich
 ministrów spraw wewnętrznych i zagranicznych. Rzucił
 na nie okiem, a potem zagadnął odmiennym tonem
 i w innej postawie:

— Czy pozwolicie wziąć je i pokazać sprawnikowi?

— A to się rozumie; wszakżeż one są na to.

Sklonił się i wyszedł, ja zaś udałem się do wła-
 ściciela domu, żeby się dowiedzieć, co się stało z pa-
 szportami. Pokazało się, że były wzięte zaraz do policyi,
 ale sekretarz policyjny nie umiał ich przeczytać i nie
 z nich nie mógł wyrozumieć, więc odmówił ich przyje-

cia w głupim gniewie, poczem gospodarz przyniósł je
 nazad i schował bezpiecznie do komody.

Za pół godziny nadszedł znów inspektor z otwar-
 tymi glejtami i zwrócił mi je bez żadnej uwagi ze swo-
 jej strony. Wręczyłem mu paszporty, objaśniając zwią-
 że, że sekretarz nie chciał ich przyjąć. Rozstaliśmy się,
 żegnając się nawzajem spojrzzeniami, zdradzającemi wza-
 jemną niechęć i nieufność. Los chciał, żebyśmy się nie-
 zadługo jeszcze raz spotkali, wśród okoliczności, które
 musiały zaostrzyć jego nieufność, a moją antypatyę.

Z pomocą pana Martianowa i pana Klementsa
 poznałem w następnych kilku dniach prawie wszystkich,
 mieszkających tu politycznych osiedleńców. Spotkałem
 między nimi niektóre osoby, należące do najbardziej
 interesujących i najprzyjemniejszych moich znajomych
 w Syberyi. Z pomiędzy tych, z którymi się najlepiej
 poznałem, wymienię p. Iwanczyna-Pisarewa, właściciela
 dóbr z gubernii jarosławskiej, dra Martinowa, chirurga ze
 Stawropola, Iwana Piotrowicza-Bielokońskiego, młodego
 autora i dziennikarza z Kijowa, Leonidasa Zebuniowa,
 byłego studenta kijowskiej wszechnicy, pannę Zenaidę
 Zacepiną i Dymitra Klementsą. Zony dra Martinowa
 i p. Iwanczyna-Pisarewa podzielały wygnanie mężów.
 Obydwie mówiły po angielsku, w ich gościnnych domach
 przyjęto nas tak serdecznie, że się nam zdawało, iż
 jesteśmy między swoimi. Odwiedzaliśmy więc te domy
 tak często, o ile ostrożność na to pozwalała.

P. Martinow był człowiekiem wykształconym i za-
 możnym, posiadającym, gdy go uwięziono, obszerny ma-
 jątek ziemski koło Stawropola, na Kaukazie. Gdy go
 wygnano, oddano ten majątek administratorowi, miano-
 wanemu przez ministra spraw wewnętrznych, przy-
 znawszy właścicielowi na całe utrzymanie rodzaj jał-
 mużny, w ilości 75 rubli na miesiąc. Nie postawiono
 tego człowieka nigdy przed żadnym sądem, nie pozba-
 wiono go nigdy legalnie żadnych praw cywilnych, przy-
 sługujących mu — a jednakże na rozkaz cara zabrano
 mu dobra i zesłano go drogą administracyjną z żoną
 i dzieckiem do odległej części Wschodniej Syberyi.

Z początku nie pozwolono mu nawet wykonywać swego zawodu, ale wkońcu udzielił na to swoje pozwolenie minister spraw wewnętrznych.

W grudniu r. 1885, na kilka tygodni przed naszym przyjazdem do Minusińska, zapukał raz w późnej godzinie do drzwi dra Martinowa jakiś człowiek i oświadczył, że niedźwiedź napadł w lesie chłopą, mieszkającego w jednej z blizkich wsi, i tak go strasznie poszarpał i pokaleczył, iż zwątpiono o jego życiu. W całym mieście nie było innego chirurga, a zatem posłaniec prosił, żeby dr. Martinow pospieszył na pomoc zranionemu. O tej porze nocnej nie było sposobu dostania pozwolenia z policji na wydalenie się poza obręb miasta. Nagłość wypadku zdawała się jednak usprawiedliwiać techniczne wykroczenie przeciw przepisom, wzbraniającym wydalać się bez pozwolenia. Doktor udał się tedy do przysiółka miejskiego z owym posłańcem, złożył połamane kości pokaleczonego chłopą, pozaszwał jego rany i uratował mu życie. Raniutko już powrócił do Minusińska, będąc przekonany, że nikt w całym mieście oprócz jego własnej żony o jego chwilowej nieobecności się nie dowie. Sprawnik Znameński usłyszał jednak w jakiś sposób o całym tym wypadku, a jako głupi i brutalny formalista zdał o nim raport gubernatorowi, oświadczając, że polityczny osiedleńiec Martinow był się wydalił z miasta bez pozwolenia, tudzież prosząc o instrukcję, co ma dalej z nim zrobić. Gubernator Pedażeńko kazał przyaresztować i uwięzić winowajcę. Dr. Martinow napisał tedy następujący list do gubernatora:

Minusińsk, 3. grudnia 1885.

Do jego Eksc. gubernatora gubernii jenijskiej.

Dziś, dnia 3. grudnia 1885, oświadczone mi, że przyszedł rozkaz od Waszej Ekscelencji, ażeby mnie arestowano i uwięziono za chwilowe wydalenie się z miasta Minusińska bez pozwolenia. Widzę się tedy zmuszonym wyjaśnić Waszej Ekscelencji, że wyszedłem poza obręb

miasta Minusińska celem udzielenia gwałtownie potrzebnej pomocy lekarskiej pacjentowi, którego był napadł niedźwiedź i którego życie pozostawało w jaknajwiększym niebezpieczeństwie, skutkiem ran głębokich i połamanych kości. W całym mieście niema ani jednego chirurga oprócz mnie, do którego by można było udać się o pomoc w podobnym wypadku. Potrzebowano mojej usługi zaraz, a pomny na przysięgę złożoną, gdy zostałem chirurgiem, uważałem za swój święty obowiązek pójść tejże nocy, w której mnie wezwano, tam gdzie leżał ranny. Nie miałem przeto ani czasu ani sposobności uwiadomić policję o moim zamiarze. Ponadto należałoby mniemać, że jeśli minister spraw wewnętrznych pozwolił mi praktykować, to niktby nie powinien mi zabraniać wychodzić poza obręb miasta, celem udzielania pomocy lekarskiej. Jeżeli by jednak pomimo wszystkich powyższych wyjaśnień Wasza Ekscelencya życzył sobie pociąnąć mnie do odpowiedzialności, w takim razie błagam Waszą Ekscelencyę o wydanie polecenia, żeby nie wdrożono przeciw mnie postępowania administracyjnego, gdyż sposób ten nie zgadzałby się z rozdziałem 32. zatwierdzonych przez cesarza »przepisów o nadzorze policyjnym«, lecz by zastosowano do mnie metodę wskazaną w »uwadze« do tego rozdziału przyłączonej, w której to uwadze wyraźnie powiedziano, że osoby oskarżone o samowolne wydalenie się z przeznaczonego sobie miejsca pobytu mają być stawione przed sąd. Żeby zaś podobne omyłki nie mogły się powtarzać, mam zaszczyt prosić Waszą Ekscelencyę o wydanie mi na podstawie rozdziału 8. »przepisów regulujących nadzór policyjny« ogólnego pozwolenia do wychodzenia na czas krótki poza obręb miasta, celem udzielania pomocy lekarskiej.

Sergiusz W. Martinow dr. med.

Gubernator Pedażeńko nie raczył odpowiedzieć wprost na ten list, lecz odesłał go do sprawnika Znameńskiego z lakoniczną uwagą na marginesie: »Stawić go przed sąd«. Rozumie się, że żaden winowajca

w Rosji nie może liczyć na to, że go osądzą prędzej niż po upływie roku od czasu oskarżenia, zatem sprawa ta czekała jeszcze na rozprawę sądową, gdyśmy wyjeżdżali z Minusińska.

Powróciwszy do Stanów Zjednoczonych, wyczytałem w jednym z listów otrzymanych z Syberji, że przyczyniono 5 lat wygnania dr. Martinowowi. Nie wiem, ażali mu wymierzono tę karę dodatkową za to, że się ważył uratować życie biednego chłopka, bez pozwolenia sprawnika, czy też za to, że całe jego zachowanie się nacechowane było godnością właściwą rosyjskiemu obywatelowi, nie mającemu nic wspólnego z niewolniczym poddaństwem. Przed upływem lat wygnania każdego osiedleńca wzywają władze miejscowe, ażeby zdały sprawę o jego ogólnej konducji. W razie nieprzychylnego raportu zwykli przyczyniać rok do pięciu lat pierwotnie wymierzonej kary. Być może, że spawnik Znameński doniósł, iż Dr. Martinow nie przestrzegał należytej »subordynacji«. I to być może, że ten pan bywał istotnie nieposłusznym, bo miał uzasadnione do tego powody.

Jedna rzecz, nader oburzająca, wydarzyła się prawie w mojej obecności.

W większej części karnych osad syberyjskich istnieje przepis administracyjny, ażeby osiedleńcy polityczni przedstawiali się w urzędzie policyjnym codzień, albo dwa razy lub raz w tygodniu, w celu podpisania się w leżącym tam rejestrze. Rozporządzenie to zmierza oczywiście do utrudnienia zbiegostwa, zmuszając wygnańców stawić się przed miejscową władzą w krótkich odstępach czasu i pokazać im, że są wciąż na miejscu, że nie uciekli, za dowód czego posłużyć mają ich własnoręczne podpisy. Przepis ten niedorzeczny — bo nie zapobiegając przeciw zbiegowstwu, poniża w sposób nieopisany godność osobistą wygnańca mianowicie wtedy, gdy miejscowe organa władzy składają się z ludzi brutalnych, opitych i rozwiązłych. Wywołuje on więcej rozgoryczenia i rozpacz, niż wszystkie inne przepisy kodeksu wygnańczego razem wzięte.

W tydzień mniej więcej po przyjeździe do Minusińska siedziałem rano u p. Iwanczyna-Pisarewa, gdy drzwi się otworzyły i wszedł dr. Martinow. Nie poznałem go w pierwszej chwili. W oczach miał wyraz dziki, twarz trupio bladą, wargi mu drżały... oczywiście pasował się z jakimś głębokiem, potężnem wzruszeniem.

— Co się stało? zapytał p. Iwanczyn-Pisarew, powstając na jego przyjęcie.

— Sprawnik kazał Maryi (jego żonie) przyjść na policyę.

Na razie nie zrozumiałem całego znaczenia tego wypadku i nie pojąłem powodu jego oburzenia. Wyłomaczono mi całą rzecz w kilku słowach. Pani Martinow spodziewała się lada dzień słabości. Przypomniałem sobie, że nie dawniej jak wczoraj wieczór, gdy się wybierałem do niego z umówioną wizytą, dał mi znać, żebym z powodu choroby jego żony nie przychodził.

Był to właśnie dzień, w którym się wszyscy osiedleńcy w policyjnej księdze zapisywali. Dr. Martinow udał się więc do sprawnika, przedstawił mu stan swej żony i przeprosił, że przyjść nie może. Sprawnik pozwolił sobie zrobić o niej rubaszny żarcik, nieprzyjemny dla każdego męża, ale p. Martinow nie śmiał dać zaskłużonej odpowiedzi. Wkońcu rzekł sprawnik, że jeżeli kobieta nie może chodzić, to nie potrzebuje stawić się do policyi. Działo się to w piątek popołudniu, a tegoż dnia wieczór dał mi p. Martinow znać, żebym się nie fatygował do niego, bo żona chora. Pokazało się później, iż cierpienie jej nie wzięło stanowczego obrotu, a więc nazajutrz rano za poradą męża przeszła się kilka razy poprzód domem. Właśnie wtedy nadjechał sprawnik a zobaczywszy ją, pospieszył na policyę i przysłał do niej urzędnika z krótkim wezwaniem pisemnem, że kto może przechadzać się, ten jest także w stanie przyjść do kancelaryi policyjnej, jeżeli więc natychmiast tam się nie stawi, zastosuje do niej »całą srogość ustawy«. Biednej kobiecie przedstawiły się dwie ewentualności — albo że jej dziecię urodzi się w kancelaryi policyjnej, w obecności sprawnika i jego asystenta o zielonych oczach,

albo też, że ujrzy światło dzienne w jednej z cel więzienia minusińskiego. Jeżeliby mąż spróbował ją bronić, lub stawić opór urzędnikom mającym ją aresztować, zostałyby pobity i wtrącony do samotnej celi więziennej, a potem może na zawsze z nią rozłączony wyrokiem wygnania do podbiegunowej okolicy Jakucka, któryto wyrok oparłby się na ogólnikowym i elastycznym oskarżeniu »o opór przeciw władzy«.

Głupia brutalność całego postępowania sprawnika sprawiała w tym wypadku gorsze niż zwykle wrażenie, bo termin kary pani Martinowowej kończył się za parę tygodni, poczem miała zostać wolną. Nie tylko więc znajdowała się w stanie wykluczającym wszelką możliwość ucieczki, ale nadto nie mogła mieć najmniejszej pokusy do niej, gdyż przed odzyskaniem należitych sił do podróży korzystać nie mogła z wróconego jej prawa dowolnego wyjazdu w różne strony. Sprawnik doszukał się wszakże w przepisach administracyjnych takiego paragrafu, który go uprawniał do zawezwania na policję kobiety delikatnej, wybrednej i wykształconej, w chwili takiej, gdy ta miała przebyć czyscowa próbę macierzyństwa — więc ją zawłókł na policję! Sądzę, że ten krok jego pochodził raczej z głupoty i bezrozumnego formalizmu, niż z rozmyślnej złośliwości.

Reguły i przepisy poruszające działaniem małego rosyjskiego biurokraty czynią go antytezą zwykłych istot ludzkich. One wymagały, ażeby każdy przestępca polityczny jawił się w biurze policyjnym, one nie czyniły wyjątku na korzyść położnic, lub kobiet, których termin wygnania się kończył, a więc sprawnik Znameński postąpił sobie z żoną zupełnie tak samo, jak niegdyś z jej mężem — t. j. wykonał przepisy głupio i brutalnie, nie uwzględniając żadnych okoliczności.

Spędziliśmy parę tygodni w Minusińsku wśród zdarzeń zajmujących i wzruszających swą awanturniczością. Sprawnik podejrywał nas oczywiście i nie rewidował pomimo naszych otwartych głojtów. Zielonoki asystent przydybał nas pewnego dnia w domu

politycznego osiedleńca, p. Iwanczyna-Pisarewa, o czym zaraportował bez wątpienia swemu przełożonemu. Niekiedy zdawało się, że nas nie obroni nawet oddawanie się nauce. Udało mi się wszakże nawiązać przyjacielski, osobisty stosunek z pułkownikiem żandarmów i z rządowym prokuratorem, przysłanymi z Krasnojarska, przed którym wypowiadałem się otwarcie, że się poznałem z Klementsem, Iwanczynem-Pisarewem, tudzież z innymi politycznymi wygnańcami, jak gdyby to było najnaturalniejszą rzeczą na świecie, że się musimy z nimi stykać, z powodu wspólnego zamiłowania w archeologii, antropologii i muzeum. Udałem wogóle i wciąż, że mi to sprawia jak największą przyjemność opowiadać pułkownikowi i prokuratorowi o wszystkich moich krokach w Minusińsku, oraz dzielić się z nimi moimi wrażeniami. Nie wiem, jakie sprawozdania poszły o nas do Petersburga, lecz bądź co bądź, nie naraziły nas na żadne złe skutki, bo ani nie zrewidowano naszych rzeczy, ani nas nie aresztowano.

Postanowiłem jednakże, idąc za poradą kilku przyjaciół minusińskich, pozbyć się moich notatek, dokumentów, listów od politycznych wygnańców i wszystkich innych, kompromitujących lub winę moją dowodzących papierów, odsyłając je pocztą do pewnego przyjaciela w Petersburgu. Było to na pozór rzeczą nader hazardowną powierzać rosyjskiemu departamentowi pocztowemu takie materiały, lecz przyjaciele zapewnili, iż urzędnicy pocztowi w Minusińsku składają się z ludzi prawych, którzy nie donoszą policyi, że wysłałem paczkę. Jeszcze nieprawdopodobniej przedstawiło się przypuszczenie, że ją otworzą i zbadają w Petersburgu. Ich zdaniem niebezpieczeństwo mogące wyniknąć ze straty moich zapisków i papierów na poczcie było daleko mniejsze od tego, coby mogło wyniknąć, jeśliby mi je skutkiem rewizyi policyjnej odebrano.

Cały materiał, o którym mowa, ważył około 40 funtów, jednak ta wielka objętość nie mogła wzbudzić żadnego podejrzenia, albowiem posyłanie paczek wszelkiej wielkości pocztą należy do zwyczajnych rzeczy

w Rosyji. Kazałem więc pewnemu tobolskiemu wygnańcowi, ciesli z zawodu, zrobić w moim pokoju w nocy skrzynię, do której włożyłem wszystkie owoce moich przygód syberyjskich — najniebezpieczniejsze papiery były pochowane w oprawach książek, lub też w wydrażonych ścianach małych pudełek. Obszyłem pakę starannie płótnem, wycisnąłem na niej ze 20 pieczętek i zaadresowałem ją do owego przyjaciela w Petersburgu, którego przekonani politycznych nie podejrzewano o ile mi się zdawało, przesyłek pocztowych nie otwierano. Przykrywszy skrzynkę płaszczem, zniosłem ją na podwórze w czwartek, mniej więc na pół godziny przed odejściem poczty, wychodzącej z Minusińska do Petersburga dwa razy na tydzień, a złożony ją na saniach i przykrywszy futrem, zawiozłem osobiście na pocztę. Urzędnicy nie zadali mi żadnych pytań, ale wręczyli mi receptis, rzucili ją niedbale na inne paczki pocztowe, które jeden z nich zbierał i wkładał do obszernych worków skórzanych. Odtąd nie przedstawiałem drzeć o jej los, albowiem zawierała rezultat całej mej pracy na Sybirze, a strata jej byłaby niepowetowaną. W miarę jak mijał tydzień po tygodniu, a nie było o niej wieści żadnej, rosła we mnie pokusa, żeby zatelegrafować do przyjaciela i dowiedzieć się, czy doszła rąk jego. Wstrzymałem się jednak od tego kroku, z obawy żeby telegram nie powiększył niebezpieczeństwa.

Z wielu powodów czuliśmy mniejszą ochotę do opuszczenia Minusińska, niż któregośkolwiek innego z miast, w których wypadło nam się w powrocie zatrzymać. Niestety, 3.000 mil ang. dzieliło nas od Petersburga i należało się spieszyć do Rosyji europejskiej, zanim puszczą drogi zimowe, a więc nie wypadło odwlekać podróży.

W czwartek 4. lutego złożyliśmy tedy wizyty pożegnalne tak wygnańcom, jak p. Martianowowi, p. Safijanowowi i dr. Martinowowi, którzy byli łaskawszy dla nas od wszystkich innych, potem zaś wyjechaliśmy »wolną« trójką do Tomsku, odległego 475 mil ang. Zamiast jechać wzdłuż Jeniseju napowrót do Krasnojarska i na-

łożyć kawał drogi, puściliśmy się do Tomsku wprost przez step, szlakiem krótszym, podczas gdy wielki szlak syberyjski leżał wciąż po naszej prawej stronie. Nie spotkalimy się z niczem ciekawem cały dzień. Dopiero późno wieczór, gdyśmy skręcali od rzeki ku jakiejś wiosce, której nazwiska nie pomnę, przestraszyło i nas i konie zjawienie się dziko wyglądającego człowieka w długim kozuchu. Wskoczywszy z pod nachylonej skały, pod którą miał swoje schronienie, zabiegł nam drogę, wywołując chrypliwym głosem jakieś niezrozumiałe ostrzeżenia i potrząsając w rękę pękiem zapalonych kory brzoźowej i słomy.

— A to co takiego? zapytałem woźnicę, gdy przerażone konie zaczęły się wtył cofać.

— Warta od zarazy — odparł. — Chce nas podkurzyć.

Pokazało się, że nad górnym Jenisejem szerzyła się zaraza na bydło i że chłopci tej wioski rozciągnęli naokoło niej kordon zdrowia, w nadziei uratowania nim od zarazy swoje chudoby. Słyszeli oni coś o korzyściach fumigacyi, więc poddawali jej wszystkie pojazdy, przekraczające granicę owego siola. »Warta od zarazy« spaliła tyle słomy, kory brzoźowej tudzież innych łatwo zapalnych a kopających przedmiotów naokoło naszej »pawozki« i pod nią, żeśmy się omal nie podusili, a nasze konie ledwie nie oszalały ze strachu, poczem oznajmiła nam poważnie, żeśmy zostali oczyszczeni i że możemy jechać dalej.

W piątek, t. j. nazajutrz po wyjeździe z Minusińska, zrobiło się zimno i wietrzno. Droga stawała się coraz gorszą im dalej od Jeniseju, a późno po południu dopędził nas z wyciem wichur podbiegunowy. Byliśmy wtedy na szerokiej, pustej równinie, jakie 30 albo 40 wiorst od Jeniseju, a 150 od Minusińska. Zasy pyłne zakryły wkrótce drogę, której nie oznaczały ani płoty, ani słupy telegraficzne. Nie mogliśmy jechać prędzej, jak krok za krokiem, a co trzysta lub czterysta kroków musieliśmy wysiadać i popychać, wyciągać lub podnosić

naszą ciężką pawozkę z pomiędzy zasp miękkich i głębokich.

W godzinę albo dwie po zapadnięciu ciemności zjechaliśmy zupełnie z drogi, tudzież dostaliśmy się w labirynt olbrzymich zasp i płytkich rowów, między którymi mogliśmy się tylko bardzo powoli posuwać. Zmęczone i przestraszone koniska znarowiły się nareszcie i nie chciały z miejsca ruszyć. Napróżno zaprzął je woźnica w innym porządku a potem w »szydło«, głąskał, przeklinał i bił bez litości. Znać zrozumiały doskonale, że zjechały z drogi, więc nie było warto tłuc się bez celu całą noc po pustyni zamieciastej. Furman stękał »Boże mój, Boże mój!«, i pytał swego świętego patrona, za jakiego ciężkie grzechy takie skarcenie sobie zasłużył, a nareszcie zaczął szlochać i płakać, jak żak ze złości i rozpacz. Dałem mu do zrozumienia, że najlepiej zrobi, jeżeli nas zostawi na miejscu, dośiadać konia, odszuka drogę, jeżeli to możliwe i uda się do wsi najbliższej, ażeby powrócić z latarniami, świeżymi końmi i ludźmi. Usłuchał rady. P. Frost i ja zostaliśmy się tedy na stepie sami, w pawozce do połowy przewróconej, głodni, znużeni i przeziębli do szpiku, nie mając nic do roboty, jeno przysłuchiwać się wyciu burzy i dziwować się, ażali się uda naszemu woźnicy znaleźć wśród takiej ciemności i niepogody jaką ludzką osadę.

Długa i straszna noc skończyła się nareszcie, burza zlagodniała cokolwiek nad rankiem, a wkrótce po zaświtaniu dnia zjawił się woźnica z postronkami, drągami, trzema świeżymi końmi i tęgim chłopem z pobliskiej wioski. Wydobywszy się prędko z nieprzyjemnego położenia, zajechaliśmy dość wcześnie przed południem do osady Ribalskaja, gdzieśmy wysiedli z pawozki po 14-godzinnym pobycie wśród wichru zimowego na pustym stepie bez snu, jadła i napoju. Zagrzawszy się i posiliwszy herbatą w chłopskiej chacie, zjedliśmy na śniadanie co Bóg dał, przespaliśmy się parę godzin na gołej ławie i pojechaliśmy dalej świeżymi końmi, z nowym furmanem.

Podróż zimową, od granicy wschodnio-syberyjskiej, odbyło i opisało przede mną tylu podróżników angielskich i amerykańskich, że nie potrzebuję wyliczać jeszcze raz jej trudów, niewygód i drobnych przygód. Przyjechaliśmy do Tomska w pięć dni po wyjeździe z Minusińska, przy 30 stopniowym mrozie. Tu odnowiliśmy znajomość z wygnańcami politycznymi, podzieliliśmy się z nimi wiadomościami o przyjaciołach zabajkalskich i w kopalniach Kary, a potem podążyli ku stronom rodzinnym.

W rocznicę urodzin Washingtona, 22. lutego, przyjechaliśmy do Omska, gdzieśmy się dobę zatrzymali, tak dla odpoczynku, jak dla święcenia wspomnianej rocznicy. Stąd wyjechaliśmy do Tobolska tak zwanym krótkim szlakiem kupieckim.

W okolicy Omska zadziwił nas jeszcze raz widok wielbłądów. Z tym niezgodnym z naszymi pierwotnymi pojęciami o Syberii dowodem istnienia w tym kraju wielbłądów, byliśmy już oswojeni w lecie, ale wtedy nie zastanawialiśmy się nad tem, co się z temi zwierzętami w zimie dzieje. Jakież więc było nasze zadziwienie, gdyśmy pewnej mroźnej, jasnej księżycowej nocy, spotkali trzy lub cztery wielbłądy, ciągnące sanki kirgizkie.

Poza Omskiem zaczęliśmy się spotykać z olbrzymimi saniami, nowego dla nas kształtu, zaprzężonemi w 6 lub 8 koni i naładowanemi towarami z jarmarku w Irbicie. Niektóre z nich miały kształt i wielkość dachów na domostwach a na ich szczycie znajdowały się budki, podobne do koryt, w których siedzieli: woźnica, kupiec i jego subjekt.

Wielki, coroczny jarmark w Irbicie w Syberji Zachodniej, nie ustępuje ważnością swoją żadnemu innemu, okrom niżno-nowogrodzkiemu. Odwiedzają go kupcy i handlarze z najdalszych stron północnej Azji. Ładowne sanie jadące tam i napowrót w niezliczonych szeregach, zwykły niszczyć wszystkie drogi w okolicy Tiumenia i Tobolska do tego stopnia, że stają się nieprzebyte skutkiem wybojów, jam i wyslizganych zatok.

Wywrócił się na nich dwa razy, pomimo szerokich skrzydeł naszych sanek, raz zaś, zesunęliśmy się ze stromego, długiego pagórka na sam dół, pod wywróconą pawozkę, tłukąc się przytem i nabierając guzów, zanim się nam udało wygramolić z worka baraniego i wydostać na świat.

O spaniu i spoczynku na takiej drodze nie było mowy. Wkrótce też zaczął stan zdrowia p. Frosta budzić we mnie poważne obawy. Spokojny i cierpliwy, znosił on cierpienia i niewygody z nadzwyczajnym hartem, nie skarżąc się na nic choćby słówkiem; pomimo tego opadał oczywiście, choć powoli, na siłach, skutkiem połączonego działania na ustrój nerwowy i fizyczny takich czynników, jak brak snu, wstrząśnienie przez jazdę i obawa przed uwięzieniem. Widok jego przestraszył mnie, gdyśmy ostatniego lutego dostali się do Tobolska i zdjęli nasze ciężkie futra w poleconym nam małym zajeździe kładowym, pod skałą. Następujący wypadek wskazuje, jak źle z nim było. Około północy, przyczołgał się cichutko do miejsca, gdzie spałem na podłodze i przyłożywszy usta do mego ucha, szepnął chrypliwie:

— Chcą nas zamordować!

Niespodziane to odezwanie się przeraziło mnie do tego stopnia, że porwałem rewolwer z pod poduszki i odwiódłem kurek, zanim dostatecznie ocknąłem się, żeby zrozumieć o co chodzi, i zdać sobie sprawę, że p. Frost majaczył w gorączce nerwowej, spowodowanej głównie długim brakiem snu, tudzież, że całe jego przywidzenie morderstwa było ułudą zmyru.

Nazajutrz zwiedziłem pobieżnie pod przewodnictwem naczelnika policyi dwa więzienia, w których nic zajmującego nie spotkałem. Odwiedziłem także dzwonicę, w której wisi pierwszy zesłaniec na Sybir — sławny dzwon z Uglicza, posłany na wygnanie do Tobolska podług rozkazu cara Borysa Godunowa, za to, iż wydzwonił sygnał do powstania w Ugliczu, w czasie zamordowania księcia Dymitra. Wygnany dzwon oczyszczono później z grzechu i poświęcono go, ażeby zwo-

ływał wiernych w Tobolsku na modlitwę. Ugliczanie starali się niedawno odzyskać swój dzwon, nadmieniając w swej prośbie, że trzy wieki wygnania za polityczną nielejalność powinny być wystarczającą pokutą, zatem wypadałoby pozwolić dzwonowi wrócić do domu.

Późno popołudniu przeszedłem się w kierunku małego płaskowzgórza na wschodniej stronie miasta, gdzie stoi pomnik na cześć Jermaka, zdobywcy Sybiru. Powróciwszy stamtąd, kazałem podać sobie rachunek, posłałem po konie pocztowe i wyjechaliśmy do Tiumentia, gdzieśmy stanęli nazajutrz.

Tydzień wypoczynku w Tiumentiu, dostatek snu i dobrego jada, oraz rozweselające towarzystwo osób, mówiących po angielsku, wszystko to wyrestaurowało p. Frosta o tyle, żeśmy 9. marca mogli wyjechać koleją do Petersburga. Tylko ci, co przebyli 8000 mil ang. po drogach syberyjskich w wozach i saniach bez resorów, zdołają pojąć przyjemność wyjazdu z Tiumentia lotem pary w rozkoszonym wagonie.

Stanęliśmy w stolicy Rosyi 19. marca, a pozostawwszy p. Frosta z bagażami w hotelu, krzyknąłem na dorożkę i kazałem się zawieźć do przyjaciela, do którego odesłałem był cenną skrzynię z zapiskami i papierami. Serce pukało we mnie głośno, gdy pociągnąłem za dzwonek i podawałem służącemu bilet wizytowy. Zanim przyjaciel się zjawił, ogarnęła mnie ze strachu i niecierpliwości formalna gorączka. Jeżeli otworzono skrzynię na poczcie lub w policyi i zabrano to, co w sobie zawierała?... Cóżbym mógł wtedy pokazać za rok pracy, cierpienia?... Ile z tego wszystkiego co widziałem i słyszałem utkwilo w pamięci?... Co pocznę bez pisemnej kroniki, nazwisk, dat i najrozmaitszych drobnych szczegółów, żeby nadać mojej historii cechę wiarygodności?...

Przyjaciel wszedł do pokoju z miną tak pogodną i spokojną, jak gdyby nie był nigdy nie słyszał o skrzyni z papierami, a serce moje przestało bić prawie. Wszakżeż wyobrażałem sobie w jakiś sposób szczegółolny i nieokreślony, że zobaczę tę skrzynię na jego obliczu. Nie

pomnę już teraz, czy go pozdrowiłem czy nie, lub czy go zapytałem jak się ma, bo w tem jednym okamgnieniu, człowiek ten nie był niczem innym dla mnie, jeno stróżem mej skrzyni. Podobno mnie zapytał kiedy przyjechałem i dodał, że ma listy do mnie. Wiem tylko na pewne, że po chwilowej walce z samym sobą, celem uzbrojenia się w moc, do wymówienia kilku słów bez zdradzenia mego wzburzenia umysłowego, zapytałem go zwięźle:

— Czy nadeszła jaka skrzynka ode mnie?

— Skrzynka? — powtórzył tonem pytającym.

Znów mi oddech w piersiach zamarł. Widocznie jej nie dostał.

— A prawda, prawda — ciągnął dalej, jakby coś nagle przypominając. — Wielka kwadratowa skrzynia, obszyta płótnem? O, mam ją!

Powiedziano mi później, że posępna marcowa pogoda petersburska nie doznała była w owej chwili najmniejszej zmiany. Pomimo to żywię niezbite przekonanie, iż właśnie wtedy błysnęły w czterech oknach salonu mego przyjaciela cztery słońca, największego kształtu znanego w astronomii i że słyszałem wyraźnie, jak przed Newskim prospektem świergotały makolągwy i skowronki.

Cenne zapiski i papiery wysłałem z carstwa przez umyślnego posłańca, żeby nie być narażonym na niebezpieczeństwo, jeśliby zrewidowano na granicy moje bagaże. Cztery dni później, stanąłem z panem Frostem w Londynie.

Wielki Lama w ziemi zabajkalskiej.

Ostatnie dni naszego pobytu w ziemi zabajkalskiej zmuszeni byliśmy przeważnie poświęcić przygotowaniu do zamierzonej podróży po mniej znanych okolicach tej rozległej krainy. Widoki na tę podróż były złe. Okolica, będąca przedmiotem naszych badań, okazała się więcej dziką i pustą, niżeli inne części Syberyi z wyjątkiem Altaju. Kopalnie katorżne, które zamierzaliśmy zwiedzić, rozciągają się po dzikim, tysiące mil kwadratowych obejmującym, górzystym kraju, pomiędzy źródłami Amuru i granicą mongolską; leżą one przeważnie zdala od gościńców pocztowych i nie są na mapie oznaczone. Uzyskanie pozwolenia na zwiedzenie tych kopalń było połączone z przeszkodami, niemniej i podróż sama nastroczała wiele trudności; wreszcie i nakoniec zdobyliśmy się na odwagę do rozpoczęcia tej mozolnej podróży po dzikiej, zabajkalskiej krainie, z nadchodzącą półarktyczną zimą, gdy burze i ciężkie mrozy zwiększyć tylko mogły trudy, z którymi już poprzednio w części oswoiliśmy się. Ponieważ ziemia zabajkalska oddzieloną została od generał-gubernatorstwa wschodnio-sybirskiego i oddana pod zarząd generał-gubernatora amurskiego, nie można było tedy dowiedzieć się w Irkucku, czy uzyskamy pozwolenie na zwiedzenie tych kopalń. Odpowiedź hr. Ignatiewa i gubernatora Pietrowa na dotyczące tej kwestyi zapytania, opiewała: ziemia zabajkalska nie podlega naszej jurysdykcji; należy przeto panom zwrócić się w tym względzie do generał-gubernatora Korfa lub też gubernatora Barabasza.

Że zaś obadwaj ci urzędnicy przebywali podówczas w Chaborówce nad Amurem w odległości 1500 mil od kopalni a 2000 od Irkucka, widoki więc nasze na uzyskanie pozwolenia nie były wcale świetne. Mimo tego, postanowiliśmy podążyć ku powziętemu celowi, w tej nadziei, że szczęśliwy zbieg okoliczności ochroni nas od poważniejszych nieprzyjemności. Zamiast skierować się wprost ku kopalniom górniczym, zamierzaliśmy zbroczyć nieco w kierunku południowym do Wierchnio-Udyńska w celu zwiedzenia Kiachty, mongolskiego pogranicznego miasta Majmaczina i wielkiego klasztoru buddajskiego nad Gęsiem jeziorem. Obecnie wypuściliśmy z pod oka więzienia i system deportacyjny; na ten raz napatrzyliśmy się dość na ludzką nędzę; zdawało mi się, że lżej przeniesiemy oczekujące nas w kopalniach trudy, jeżeli myśлом naszym nadamy inny kierunek, poświęcając trochę czasu własnej rozrywce. W dodatku żądny byłem zapoznać się trochę z lamaizmem, ową wyznaczoną formą buddaizmu, które to wyznanie, panujące w całej ziemi zabajkalskiej, ma swój punkt środkowy w właściwym klasztorze zwanym przez Roszjan »daczanem«.

Opowiadano mi w Irkucku z niezwykłym zajęciem o klasztorze lamijskim nad Gęsiem jeziorem jako o rezydencyi Szamba-Lamy czyli Wielkiego Lamy Wschodniej Syberyi. Klasztor ten leży w odległości trzydziestu wiorst od Sielengińska, przez które to miasteczko wypadło nam jechać do Kiachty; ponieważ zwiedzenie tego klasztoru nie narażało nas na żadne trudności, przeto postanowiliśmy tam podążyć.

Z Irkucka do ziemi zabajkalskiej prowadzą dwa gościńce. Pierwszy i najkrótszy snuje się nad brzegiem Angary na długości mil czterdziestu aż do jej wypływu z jeziora Bajkalskiego i prowadzi do wsi Bojarskaja. Drugi, dłuższy gościńiec, wybudowany bardzo sztucznie, okrążając jezioro w kierunku południowym, wspina się malowniczo nad skalistymi przepaściami. Gdyby wybór nasz nie był zależnym od innych okoliczności, to niezawodnie dalibyśmy pierwszeństwo

temu drugiemu gościńcowi, jednakowoż powodzie przynosiły znaczną część mostów przy południowo-wschodnim końcu jeziora, wskutek czego komunikacja została przerwana. Nie pozostało nic innego jak przepłynąć się przez jezioro parostatkami. Mając na widoku zbliżającą się zimę, postanowiliśmy pozostawić w Irkucku do sprzedania nasz ciężki tarantas i przed nastaniem sannej drogi podróżować, podług przyjętego powszechnie w Roszji i Syberyi zwyczaju, na tak zwanych »pierekładnych« t. j. zmieniać ekwipaż na każdej stacji pocztowej. Jest to najnieznośniejsza procedura transportowa ze wszystkich znanych w świecie. Gdybyśmy byli przewidzieli choć dziesiątą część trudów i udręczeń, na jaką nas narazi podróż po ziemi zabajkalskiej na »pierekładnych«, nigdy nie byłibyśmy dopuścili się tego niepowetowanego błędu, którym było pozostawienie w Irkucku naszego obszernego i wygodnego tarantasu.

W czwartek po południu dnia 24. września, zamówiliśmy konie, włożyli nasze pakunki do nadeszłej ze stacji pocztowej, prostej bryki, sadowiąc się na nierównej powierzchni, powstałej z ułożenia obok siebie przeróżnych przedmiotów, jako to: futer, worków, torby z chlebem, pudełka z herbatą, butów filcowych; pożegnaliśmy zgromadzonych w dziedzińcu, porucznika Scheutza, p. Bukowskiego i Zana, i wśród nieharmonijnego dźwięku dzwonek, przytwardzonych do dugi konia dyszlowego, podążyliśmy przez miasto na prawy brzeg Angary, znalazłszy się na gościńcu, prowadzącym do Bajkalskiego jeziora, klasztoru lamajskiego nad Gęsiem jeziorem, Kiachty i kopalni górniczych.

Dzień był pogodny i słoneczny, ciężka mgła jezienna przepelniała powietrze, liście drzew ściśnięte mrozem, zabarwiły się pstrokato, lecz nie opadały jeszcze na ziemię. W miejscach osłoniętych rozweselał oko tu i ówdzie sterczący kwiatek a żółte motyle przelatywały od czasu do czasu ponad drogą. Zboże było wszędzie już zerżnięte, siano pozgrabiane w kopce, a na dzie-

dzińcach domów wiejskich widzieliśmy suszące się na słońcu, tytoń i konopie.

W połowie drogi pomiędzy Irukciem a stacją następną spotkaliśmy czwórkę koni, ciągnącą jakiś wóz w rodzaju klatki menażeryjnej. Zapytałem woźnicę, i otrzymałem odpowiedź, że prawdopodobnie wiozą tygrysa, schwytanego w okolicach Amuru, na wystawę do Irukcia. Tygrys, żywcem schwyty w Syberyi, zdawał mi się nowością, zasługującą na największą uwagę. Kazaliśmy zatrzymać konie, podbiegli do stróża prosząc go o odsłonięcie klatki i pokazanie nam zwierza. Czyniąc zadość naszej prośbie, pozejmował on cienkie szerokie deski, osłaniające żelazną klatkę. Usłyszeliśmy gwałtowne, złośliwe warczenie, i zanim zdołaliśmy odstąpić od kraty, wielki, żółty, czarno pręgowany zwierz rzucił się z taką wściekłością na cienką żelazną kratę, że aż wóz zachwiał się na kołach. Zdawało się w pierwszej chwili, że dzika bestya wyskoczy z swej siedziby jak trzystofuntowy pocisk wyrzucony z maszyny; krata z półcalowego żelaza okazała się jednak mocniejszą niżli się zdawać mogło; nagięta się ona wprawdzie, lecz stawiała opór gwałtownemu uderzeniu. Stróż chwycił długi, ciężki drąg żelazny, obrabiając nim przez kratę zwierza, dopóki tenże, waresząc jak wściekły kot, nie wyciągnął się w kącie swej klatki. Nie mogłem się nie dowiedzieć o rozmiarach i wadze tygrysa, był to jednak okazały i przepyszny zwierz, nie ustępujący co do wielkości tym, jakie kiedykolwiek widziałem; był on schwyty przez chłopów w dolinie nad Anurem — w osobliwej miejscowości w świecie, gdzie zrotnikowy tygrys spotyka się z arktycznym reniferem.

Odległość pomiędzy Irukciem a jeziorem Bajkalskiem wynosi tylko mil czterdzieści, że jednak droga nadangarska była w dobrym stanie, przeto jechaliśmy szybko. W miarę posuwania się ku wschodowi, brzegi Angary stopniowo się podnoszą i stają się więcej malownicze. Na ostatniej stacyi okolica przybiera charakter zupełnie górski, droga, wiodąca wzdłuż głębokich parowów na wysokości pięćdziesiąt do sześćdziesiąt stóp

nad zwierciadłem wody, była sztucznie wyrębana w skale i na milowej odległości zabezpieczona żelaznemi poręczami.

Przy wkradającej się ciemności, nadciągała od jeziora wzdłuż parowów, zimna, ciężka mgła, zasłaniająca wszystko przed naszymi oczyma z wyjątkiem kawałka drogi, zdającego się poruszać w odległej przestrzeni; to znów rozdzielała się ona, wyłaniając niewyraźne lecz zwiększone kontury stromych pagórków przeciwnego brzegu rzeki. Powierzchnia Bajkalskiego jeziora leży 400 stóp wyżej niż miasto Irukci, a rzeka Angara niosąca jego wody do Oceanu Lodowatego ma 400 stóp spadku na długości mil 40; bieg jej jest bardzo chyży tak, że w niektórych miejscach płynie z prędkością 12 do 15 mil na godzinę. Parostatki, kursujące pomiędzy miastem i jeziorem potrzebują ośm do dziesięciu godzin na odbycie tej odległości pod wodę — zato z biegiem wody — nie więcej nad godzin dwie. Angara jest pod każdym względem rzeką osobliwą. Zamiast wypływać od źródeł swych jako strumień, występuje ona milowej szerokości rzeką. Zamarza później niż wszystkie inne rzeki w Syberyi, a mimo tego, woda jej wśród największych upałów letnich jest zimna jak lód. Kto się kąpał w niej w sierpniu, ten ucuwa zimno do samego szpiku, zaś wśród największych mrozów grudniowych, paruje tak gwałtownie jakby wrzała.

W czwartek, około godziny dziewiątej wieczorem dojechalśmy do brzegów jeziora Bajkalskiego przy wsi Listwiennicznaja. Zimny, ostry wiatr podniósł się od jeziora, a maleńki pokoik, zajęty przez nas w domku stojącym naprzeciw przystani, był tak zimnym, żeśmy jak najspieszniej położyli się do łóżek w czapkach, butach i ciężkich kożuchach. Mówię »położyli się do łóżek« chociaż w istocie zmuszeni byliśmy leżeć na podłodze, bo z właściwym łóżkiem nie spotykaliśmy się w całej ziemi zabajkalskiej; ja zaś trzy czwarte czasu od 1. października do 1. marca spałem w mojej odzieży.

Parowiec odpływał dopiero w piątek po południu, więc nie brakło nam czasu do dokładnego obejrzenia

miasta i odszycowania przystani w Listwiennicznej. Była to mała wieś, składająca się z około stu niepokazanych domów, obejmujących jedną ulicę, ciągnącą się na jedną lub dwie mile długości, od Iesistego pasma wzgórz do samego jeziora. Jedyną zatokę, jaką się mogła poszczycić ta miejscowość, stanowiła mała przestrzeń wody, odgraniczona niską tamą, przy której stał spokojnie na zarzuconej kotwicy, parostatek kołowy »Plato«. Błękitną powierzchnię wody marszczył zlekka północno-wschodni wietrzyk, a w dali zarysowywały się w długiej linii, śniegiem pokryte góry zabajkalskie. Jezioro zdawało się nadspodziewanie wązkim. Mimo swej znacznej, bo 400 milowej długości, ma ono pod Listwienniczną tylko 20 a przecięciowo 30 mil szerokości. Brzeg przeciwległy jest bardzo wysoki i górzysty, tak, że z przystani można go śledzić okiem na odległość 60 do 70 mil.

Pan Frost spędził przeważną część dnia na szkicowaniu, podczas gdy ja po odbyciu krótkiej przechadzki nad jeziorem powróciłem do hotelu w celu napisania kilku listów. O wpół do dziesiątej pojawił się p. Frost z oznajmieniem, że parostatek »Buryat« z pocztą irkucką jest widzialnym, zaś »Plato« stoi na przystani i że czas już będzie zbierać się w drogę. Skierowaliśmy ku przystani, i zajmwszy jedną i jedyną kajutę pierwszej klasy, kazaliśmy przynieść pakunki, czekając z jakie półtorej godziny przesyłki pocztowej »Buryata«. Nakoniec ta nadeszła i »Plato« wycofawszy się powoli z zatoki, wypłynął na pełną wodę.

Liczba pasażerów naszych wynosiła od dwudziestu kilku do trzydziestu; większość z nich podróżowała trzecią klasą na pokładzie. Z wszystkich tych osób zwróciło na siebie szczególniejszą moją uwagę dwóch czy trzech kupców chińskich w swych oryginalnych strojach narodowych; wyrażali się oni komicznie po rosyjsku i wieźli do Kiachty 1000 funtów rogów jelenich, mających ważne zastosowanie w tamecznej medycynie. Rogi jelenie »Marall« bywają przez Chińczyków, w stanie miękkim bardzo szacowane. Kupcy śledzą bacznie za

nimi w najodleglejszych zakątkach Altaju, płacąc za jeden róg wyborowy po 200 r. s. Poznaliśmy w najodleglejszej części Alp katuńskich pewnego przedsiębiorczego rosyjskiego włościanina, który schwytał w stanie dzikim około dwunastu jeleni, oswoił je i trzymał wyłącznie dla rogów. Rogi te przynosiły mu rocznego dochodu 1240 r. s. Dobrze, miękkie rogi jelenie sprzedają powszechnie w Syberyi funt po cztery dolary, wysuszony zaś i sproszkowany róg sprzedaje się w państwie niebieskiem na wagę srebra. Rogi, które wieźli z sobą kupcy chińscy, były najstaranniej poobwijane sukmem i z pewnością przedstawiały wartość pięciu do sześciu tysięcy dolarów.

W miarę powolnego posuwania się ku północy, zachodni brzeg jeziora zniża się, jest mniej wzniesionym i malowniczym, a wysokie, śniegiem pokryte wierzchołki gór, widzialne w Listwiennicznej, nikięły z przed naszych oczu, zanim ciemności zaległy widnokrąg. Około godziny szóstej wieczorem zbliżyliśmy się pod stację Bojarskaja, niestety jednak, nie mogliśmy dobić do brzegu. Silny wiatr zerwał się na jeziorze; pociemniało mocno; wzburzone jezioro podniosło się tak wysoko, że kapitan nie mógł dobić do odkrytego brzegu, stanowiącego przystań. Po trzech, daremnych próbach wypłynął na otwartą wodę i zarzucił kotwicę. Całą tę noc spędziliśmy jak najgorzej na wązkich ławeczkach małej kajuty, przy ciągłym kołysaniu się małego parowca na wzburzonej wodzie, i z prawdziwą radością zoczyliśmy, gdy z wschodzącym porankiem »Plato« dobił do brzegu, nie przeczuwając niespodzianek, jakie nam gotuje ziemia zabajkalska. W niespełna 48 godzin byliśmy bardzo uszczęśliwieni, znalazzsy się powrotnie na pokładzie tegoż samego parowca, a mała kajutka, którąśmy uważali pierwotnie za celę więzienną, wydała nam się obecnie wytwornie urządzonej pokojem.

Opuściliśmy parostatek, rozumie się, bez żadnego śniadania. Powietrze było wilgotne, zimne, ostry wiatr smagał nielitościwie nasze nosy. Nędzna wieś Bojarskaja nie miała żadnego hotelu, dom pocztowy był zimny,

niechlujnie utrzymany, wypełniony podróżnymi, leżącymi na ławkach lub też na brudnej podłodze. Osłabieni głodem, z posiniałymi od mrozu twarzami, znaleźliśmy narazie schronienie u jakiegoś młodego włościanina, wynajęli od niego »wolne konie«, i po spożyciu śniadania składającego się z herbaty i suchego chleba, włożywszy pakunki do małej, płytkiej telegi, ruszyliśmy do Sielingińska.

Niejednemu z podróżnych dwudziestoczworgodzinna jazda w sybirskiej teledze po przepaścistej, złej drodze jest w stanie duszę wytrząść z ciała. Zaledwie ujechaliśmy siedemdziesiąt mil, uczulem się tak wycieńczonym na siłach, że nie byłem w stanie usiedzieć; dolegliwy ból głowy i krzyża wywołały taką drażliwość, że każde podskoczenie telegi równało się uderzeniu pałki; podtrzymywałem głowę rękoma, lecz te zupełnie drętwiały ze znużenia i gdyśmy w sobotę wieczór dobili do stacyi pocztowej Kinskaja, czulem się więcej wynędzniałym niż kiedykolwiekbądź od przyjazdu z Uralu. Posiliwszy się herbatą i chlebem — bo nic innego nie było można dostać — poszliśmy spać; p. Frost położył się na podłodze przy piecu, ja zaś na ławie pod oknem. Po dłuższej utarczce z robactwem, zasnąłem wreszcie, lecz wkrótce zbudzony zostałem przybyciem jakiegoś podoficera jadącego za urzędową »podorożną«. Podoficer ów, wciąż przechadzał się po izbie, rozmawiając z pocztmistrzem o stanie dróg; rozumie się, że o śnie i mowy być nie mogło. Po upływie jakiej pół godziny ruszył on w drogę; zagaszono światło i znów legliśmy do snu. W jakie dwadzieścia minut nadeszła poczta z Irkucka. Przeladowanie worów pocztowych z jednych dwunastu powózek na drugie, wyprzęganie i zaprzęganie około trzydziestu świeżych koni, spowodowało hałas, trwający przynajmniej pół godziny. Za każdym otwarciem drzwi, wpadał do izby prąd zimnego powietrza, tak, że raz trawiła nas gorączka, to znów trzęsły dreszcze. Około godziny drugiej rano wyruszyła wreszcie poczta z hałasem przy brzęku dzwonek; światła znowu pogasły i nastąpiła cisza. Zaledwie zamknęliśmy oczy, ktoś

otworzył drzwi na rozszereż i wszedł do stacyi, wołając na głos pocztmistrza. To nowe towarzystwo podróżujące, składało się z męża, żony i dziecięcia chorego na dławicę. Pani zaimprovizowała dla dziecka łóżeczko na dwóch stołkach i para małżeńska przystąpiła do picia herbaty. Syczenie samowara, brzęk filiżanek, głośna rozmowa, kaszlanie chorego dziecka, utrzymywały nas w czujności w ciągu całych czterech godzin; wreszcie i to towarzystwo się wyniosło i znowu wszystko ogarnęły ciemności. Wszystkie pluskwy jakby na znak umówiony poschodziły się na moją ławkę, tak, że zmuszony byłem porzucić tę siedzibę i ległem na podłodze obok p. Frosta. Po kilku chwilach zasnąłem trochę, lecz około godziny piątej rano, wpadający do izby prąd zimnego powietrza oznajmił przybycie dwóch korpulentnych kupców z nad niższego Amuru, podążających do Irkucka. Wniesiono znów samowar, kupcy pili herbatę, palili papierosy, rozprawiając do godziny szóstej o metodach dobywania złota, zastosowywanych w górnictwie, a ponieważ koni nie można było dostać, więc poszli rozglądać się za miejscem, na którym możnaby uciądrzemkę. Zaledwie zdołali położyć się, gdy na dzieć dzińcu rozległ się odgłos dzwonek, zwiastujący nowych przybyszów. Obecnie wchodzący do izby człowiek z białą brodą i strzelbą myśliwską oznajmił nam, że widział nas na parostatku i prosił abyśmy napili się z nim herbaty. Rozmawialiśmy o nowo odkrytej rudzie złotej mongolskiej i o chińskiej Kalifornii, zwracającej ówczasnie na siebie uwagę Syberyi; i pod wpływem pobudzającej, błogiej rozmowy uczulem się jakoś mniej znużonym i zniechęconym.

O wpół do jedynastej, w niedzielę rano, udało się nam wreszcie dostać koni; włożyliśmy nasze rzeczy do innej, niezdarnej, płytkiej telegi i puścili się w dalszą drogę. Noc była zimna, łąki wokół wsi pokrywał szron, w miarę jednak wznoszenia się słońca, ogrzewało się powietrze tak, że w południe musieliśmy porzucić z siebie paletoty. W odległości dziesięciu wiorst od stacyi Ilinskaja, droga zwracała się znacznie w kierunku

południowym i przebiegała rozszerzającą się po lewym brzegu rzeki Sielingi, bardzo malowniczą dolinę. Stromy brzeg przeciwniegi ozdabiała złoście brzozy, z pomiędzy których tu i ówdzie wystawała czerwona topola; najwyższe i najodleglejsze góry po lewej stronie, kąpały się w purpurze, podczas gdy pomiędzy stromym brzegiem a górami spokojnie przepływała szeroka rzeka, odzwierciadlając w swych głębiach stojące nad brzegiem drzewa i łagodnie zaokrąglone kontury lasem porośniętych wysp. Dolina sielingińska pomiędzy wsią Ilinskaja i Wierchnio-Udyńskiem zdawała mi się cieplejszą i urodzajniejszą od wszystkich znanych okolic zabajkalskich. Przez całe południe przepelniał powietrze słodki, przyjemny zapach, jakby dojrzałych jabłek, stoki pagórków pokrywały jeszcze kwiaty, między tymi astry, niezapominajki i piękny, żółto-cytrynowy mak; na niskich łąkach nadrzecznych, pięknie ogrodzonych, sterczały liczne kopice siana, a domy drewniane i szopy arendarzy Buryatów, porozrzucane po dolinie, uwydatniały się posępnie na krajobrazie.

Gdybyśmy byli zupełnie zdrowi i mieli wygodny ekwipaż, to podróż po tej dolinie sprawiłaby była nam prawdziwą przyjemność; bezsenność jednak, niedostateczna strawa i ciągłe trzęsienie nie usposobiło nas do cieszenia się pięknym widokiem. W sobotę po południu zbliżyliśmy się na odległość dwóch do trzech mil od Wierchnio-Udyńska a około godziny siódmej wieczór, stanęliśmy w Muchińsku ostatniej stacji przed Kiachtą. Pan Frost zdawał się być dość rzeźkim i mocnym: ja natomiast czułem gwałtowne klócie w jednym płucu, silny ból głowy, ogromne znużenie a puls mój osłabł do tego stopnia, że ledwie był dostrzegalnym. Nie czułem się w stanie do dalszej podróży i mimo, żeśmy w tym dniu przebyli tylko mil trzydzieści trzy, postanowiliśmy tutaj zanoć. Od czasu naszego przyjazdu do ziemi zabajkalskiej, całą naszą strawę stanowił chleb; dopiero na stacji Muchinskaja, żona pocztmistrza utraktowała nas kolacją, składającą się z mięsa, kartofli i jaj. Ta uczta i kilkogodzinny spoczynek, nie przerywany

atakami robactwa, tak nas wzmocniły, że w poniedziałek ujechaliliśmy mil siedemdziesiąt i około północy stanęliśmy w Sielingińsku, w pobliżu którejto wsi, znajduje się klasztor nad Gęsiem jeziorem.

Na nierównej podłodze zimnego i brudnego domu pocztowego w Sielingińsku przepędziliśmy znowu najszkaradniejszą noc. Krańcowe znużenie i udręczenie wprowadziło mnie w stan takiego oszołomienia, że w ciągu dwóch do trzech godzin uczuwałem tylko bezwiednie kłapanie pluskiew i hałas przyjeżdżających i odjeżdżających osób. Gdy się przebudziłem o świcie dnia, jedno moje oko było zupełnie zamknięte, a twarz tak pokąsana przez pluskwy, że mi wstyd było pokazać się na ulicę. Zimne okłady usunęły nieco zapalenie, wyszedłem więc około godziny dziesiątej w celu odszukania buryackiego naczelnika policji, Kinujewa Munka, poleconego nam jako dobrego tłumacza rosyjsko-buryackiego i człowieka dokładnie obznajomionego z klasztorem budajskim, który zamierzaliśmy zwiedzić. Kinujewa zastałem w biurze inspektora okręgowego, gdzie widocznie odbierał jakiś rozkaz dzienny od jego sekretarza. Był to ogromny, atletyczny, mocno zbudowany Buryat w wieku około lat sześćdziesięciu, głowę miał okrągłą, krótko przystrzyżone, szpakowate włosy, oczy szare, małe, na wpół zamknięte typu mongolskiego; jego ciemno-brunatną twarz, na której uwydatniał się wyraz brutalstwa i surowości, okalał gęsty, szorstki zarost. Długa, buryacka szata z ciemnozielonej tkaniny przywiązana była na biodrach szalikiem, rękawy zaś w dole obszyte jedwabiem. Oryginalny jego filcowy kapelusz, w rodzaju odwróconego półmiska, śmiało był zasadzony nad jednym uchem.

Przedstawiłem się sekretarzowi, pokazałem mu moje listy otwarte, objaśniając cel mojego tu przybycia.

— To jest Kinujew Munku — odpowiedział sekretarz, wskazując na Buryata — on może towarzyszyć panu do klasztoru, skoro zechce.

Przypatrując się bliżej temu naczelnikowi policji o twardych rysach i okrągłej głowie, zauważyłem że był

pijany; mimo to był on w pełnym posiadaniu naturalnych swych, wybitnych zdolności a jego sędziowska powaga wprowadziła mnie w prawdziwe zdumienie, gdy mi w najbezcenniejszy sposób w świecie zarachował sześć do ośmiu rubli przy zamówieniu furmanki. Za jego usługi jako tłumacza i najem trzech koni zapłaciłem siedemnaście r. s., a zatem więcej niż wynosiła jego całomiesięczna pensja. Pieniądze zresztą były dobrze użyte, gdyż rozrywka jaką on sam sprawił w ciągu tego dnia, warta była siedemnaście r. s.

W jaką godzinę po moim powrocie do stacyi pocztowej, zajechał Kinujew na dziedziniec jakąś lichą taradajką, zwaną po rosyjsku »sidajką«. Był on wyswieżony i wystrojony nie do poznania. Długa, wolna sutanna koloru niebiesko-ultramarynowego, morowana w kółka i przepasana szczelnie na biodrach jedwabnym czerwono-błękitnym szalem, spadały na pięty grubych, juchtowych butów. Jego półmiskowaty filcowy kapelusz barwy ognisto-czerwonej, przywiązany był pod brodą jaskrawą wstążką i przystrojony długimi, niebieskimi, jedwabnymi wstęgami. Widocznie uraczyć się musiał jeszcze kilkoma kieliszkami wódki, bo znajdował się w jaknajlepszym humorze. Sędziowska powaga ustąpiła obecnie miejsca jakiejś potwornej wesołości: wyglądał on jak premiiowany tatarski szermierz, przebrany w szatę narodową chłopskiej dziewczyny, rozkochanej w żywych kolorach. W całym moim życiu nie zdarzyło mi się widzieć podobnego naczelnika policyi, byłem też bardzo ciekawy, jakim przyjęciem zaszczytu podobnego tłumacza jego jaśnie oświecona wysokość, Wielki Lama.

W kilka chwil potem pojawił się, zamówiony przez Kinujewa, dla odwiezienia nas do klasztoru, jakiś obdarty Buryat z trójką wynędzniałych buryackich koni i starą »pawozką« nie wystarczającą do pomieszczenia połowy pasażerów. Spytałem Kinujewa czy należy nam zabrać z sobą wiktuały, na co on odpowiedział, że to byłoby zbytecznem, gdyż jadać będziemy w klasztorze. Ale — wtrącił z szyderyczym grymasem — jeśli pan masz

trochę »szalonych kropel«, to nie zaniedbaj ich wziąć z sobą; one się zawsze przydadzą.

Włożywszy do »pawozki« nasze kołdry, kożuchy, torbę z chlebem i moją największą flaszkę z likierem, usiedliśmy z p. Frostem na przodzie, wyciągnąwszy nogi, na których położył się Kinujew, ważący przynajmniej 200 funtów. Wygodnie być nam nie mogło, wszakże obadwaj zdawna zanadto dobrze obeznani byliśmy z wszystkimi rodzajami wschodnio-sybirskich przyrządów transportowych, abyśmy mogli oczekiwać od nich wygod; Kinujew jednakże pod wpływem rannych przygód uczuł się tak rozczulonym, oszołomionym i w stanie takiego zachwyty, że fizyczne niedogodności nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Paplał bez przestanku, zauważywszy jednak niezadługo że więcej przysłuchujemy się jego gadulstwu niż się odzywamy, wziął nasze milczenie jako przeważne następstwo swej potęgi i sławy, to też chcąc być popularnym, odezwał się tonem przyjacielskim i uspokajającym: Możecie panowie zapomnieć, że jestem naczelnikiem policyi i traktować mnie i rozmawiać ze mną jako z osobą prywatną.

Podziękowałem mu za to wspaniałomyślne jego wystąpienie względem zachowania się naszego wobec jego dostojnej osoby; on zaś gadał bez przerwy jak obłąkany, dla pokazania nam, jak łaskawie umie zstępować z swej wysokiej godności i zniżyć się do roli zwykłego śmiertelnika.

Ujechawszy z jakie pięć mil od Sielingińska, zatrzymaliśmy się na chwilę ażeby poprawić siedzenie, z czego korzystając Kinujew poprosił nas o poczęstowanie go »szalonymi kroplami«. Podałem mu flaszkę, z której nalawszy nieco w dłoń, rozprysnął na cztery strony świata jako ofiarę bożkom, następnie wychylił dwa pełne kubki, obtarł mokry, szeczinowy swój zarost połą niebiesko-ultramarynowej sutanny i oznajmił z bezwstydną czelnością: »zwykła śmierdziucha«. Chciałem mu przytoczyć znane rosyjskie przysłowie »daranemu koniowi nie zagładają w zęby«, ale powstrzymałem się, dając mu okolicznościowo do poznania, że

skoro to była »śmierdziucha« nie należało się zatruwać drugą porcją. O ile złą musiała być ta śmierdziucha dowiódł on najlepiej, nie uroniwszy z powtórnego kubka ni jednej kropelki dla swych północno-południowo-wschodnio-zachodnich bożków. Wreszcie czysta »ogniowa-woda«, mniej na niego podziałała niż spodziewałem się; jedyny jej skutek był ten, że coraz więcej przedstawiał się w własnym swem świetle. Straszyl on prawie śmiertelnie naszego biednego woźnicę, wściekłym wrzaskiem »jaba, jaba!« (prędzej, prędzej)! a gdy biedaczysko nie mógł zmusić znędzniałych koni do prędszego biegu, Kinujew w największej wściekłości wskakiwał mu na grzbiet, chwycił za gardło, trząst nim na wszystkie strony a nadręczywszy go śmiertelnie, zwracał się do nas z śmiechem, wyrażającym największe zadowolenie, jakby chciał mówić: tak ja robię; widzicie panowie jakiego strachu umiem napędzić!« Każdego przejezdnego Buryata mierzył tak ostrym wzrokiem, jakby przewidywał w nim złodzieja, większość z nich traktował swym tyrańskim, komenderującym wrzaskiem; Chińczyków pozdrawiał głośno właściwym im językiem dla popisania się swemi wiadomościami; zaś jadącej do miasta pięknej, młodej Buryatce, malowniczo ubranej, kazał zejść z siodła, konia przywiązać do drzewa by ją ucałować. Kobieta zdawała się w połowie zakłopotaną, w połowie zadowolnioną tą szczególniejszą propozycją; Kinujew zdjął z głowy swój półmiskowaty, ognisto-czerwony kapelusz z długimi błękitnymi wstążkami i ucałował ją z rozczulającą powagą i potwornem naśladownictwem galanteryjnej grzeczności, a gdy jej pozwolił bez swej pomocy wsiąść na konia, zwrócił się do nas z tryumfującą miną i uśmiechem samozadowolenia — zdającym się mówić: No, jak o tem sądzicie? Widzicie jaki ze mnie człowiek! Nie myślę ażeby wam się udać mogło kobietę zsadzić z konia, po to, by ją ucałować! — Zdawał się on wierzyć, że na wszystkie jego czyny i postęпки zapatrujemy się z jakimś zazdrośnym podziwem, i w miarę tego, jak utrata przytomności rozzuchwalała go do przedstawienia się z jak najlepszej strony, dopo-

minał się coraz częściej »szalonych kropli«. Zacząłem się wreszcie obawiać, że zanim przyjedziemy do klasztoru, utraci on do tego stopnia moc władania sobą, że nie będzie w stanie spełniać swej czasowej służby, wymagającej zdrowego sądu i taktu, i że Wielki Lama poznawszy się na rzeczy, gotów będzie wydać rozkaz wrzucenia go do jeziora. Wtedy to jednak znalazłem złe naczelnika policji z Sielingińska.

Droga z Sielingińska do klasztoru prowadziła wciąż przez jałową, kamienistą dolinę, ograniczoną z obu stron rzędami niskich pagórków. Cała ta okolica wydawała mi się jednolitą i posępną. Nie zauważyłem nic godniejszego uwagi, dopiero w odległości dwudziestu wiorst od Sielingińska, gdyśmy przerznęli łańcuch wysokich gór, zoczyliśmy z dala dolinę Gęsiego jeziora. — Pomiędzy nami i pasmem ciemno-niebieskich gór, w kierunku północno-wschodnim, błękitniała w dali wązka, nieruchoma powierzchnia wodna, ograniczona z lewej strony trawiastym stepem, rozciągającym się w prawo tak daleko jak mógł dozwolić naszym oczom stojący na zawadzie grzbiet wysokiej góry. Brzegi jeziora były niskie i nagie, trawa w dolinie wypalona żarem słonecznym i zwarzona mrozem; drzewa rosły tylko na pochyłościach oddalonej góry i cała ta okolica przypominała niższy step irtyszski. Z drugiej strony jeziora w pobliżu zachodniego jego końca, wśród wielkiej osady buryackiej, złożonej z jurt drewnianych, białiał w oddali wielki budynek. To była rezydencya Lamy z nad Gęsiego jeziora.

Na widok świętego miejsca, Kinujew, który już od godziny dziesiątej z rana trzymał się ostro i często zalewał się »szalonymi kroplami«, nagle potrzeźwiał, stawał się coraz poważniejszym i w pół godziny później w czasie naszej przeprawy przez jakiś głęboki strumień przy zachodnim końcu jeziora, wyskoczył z pawozki, prosząc byśmy chwilę poczekali, zanim się tu wykąpie. Po upływie niespełna pięciu minut znów się pojawił lecz już zupełnie trzeźwy, przybrał surową sędziowską minę, charakteryzującą go jako urzędnika

rossyjskiego i oznajmił, że należy nam koniecznie traktować Wielkiego Lamę z jak największą czcią i pokorą. Zdawał się być zaniepokojonym, że jako chrześcijanie i cudzoziemcy dopatrywać będziemy w Wielkim Lamie pogańskiego barbarzyńcy, odmawiają mu względów. Jakich wymaga grzeszność. Zapewniłem go, że przyzwyczajeni jesteśmy z dawna obcować z wysokimi dostojnikami duchownymi i wiemy jak się nam należy wobec nich zachować. Uspokojony na tym punkcie, począł się zastanawiać nad zachowaniem się Wielkiego Lamy względem nas samych, biorąc pod rozwagę wyśniewania, jakie ma udzielić Jego Świątobliwości co do naszych osób.

— Jak się panowie będziecie tytułować? — spytał nagle po chwili głębokiej zadumy. Dla mnie to jego zapytanie było równoznacznem z tem n. p.: »Jak się będziecie elektryzować?« — albo, »jak się będziecie galwanizować?«

— Jaką panowie macie rangę?

— W naszym kraju nie ma żadnych rang — rzekł pan Frost — jesteśmy po prostu obywatelami amerykańskimi.

— A więc nie jesteście szlachcicami?

— Nie.

— Nie macie żadnego tytułu?

— Nie.

— W jakim celu podróżujecie po Syberji?

— Wyłącznie dla własnej naszej przyjemności.

— W takim razie musicie być bogaci?

— Nie, nie jesteśmy bogaci?

Kinujew uczuł się rozczarowanym. Jakąż mu mogło przynieść sławę przedstawienie Wielkiemu Lamie dwóch, nie mających żadnego znaczenia cudzoziemców, bez rang, tytułów, pieniędzy, ani stanowisk i podróżujących nie z upoważnienia swego rządu.

— Dobrze — rzekł on po pewnym namyśle — jeżeli Wielki Lama was spyta kto wy tacy, i po co przybyliście do Syberji, to możecie mu odpowiedzieć co się wam podoba, jednakże ja będę mu tłumaczył że jesteście

wysokimi urzędnikami — jasnie oświeconymi pełnomocnikami, jeżeli już nie ambasadorami — wysłanymi przez rząd wielkiej amerykańskiej — jako zwyklicie ją nazywać? Republiki? — w celu zwiedzenia Syberji, i oznajmienia, że być może rząd wasz poweźmie zamiar odprzedania kraju naszemu »gosudarowi«.

— Niech i tak będzie — odpowiedziałem z uśmiechem — nic mi na tem nie zależy co pan będzieś mówił o nas Wielkiemu Lamie; skoro jednak zagrzeźniesz w błoto, to nie myśl, że my cię z niego będziemy wyciągając.

Oblicze Kinujewa przybrało znowu ten sam wyraz opilej chytrłości, pyszałkowstwa i wesołości, jaki zauważyłem na nim dzisiejszego rana; ucieszył się widocznie jak jaki swawolny sztubak, że mu się uda wyplatać figla przedstawieniem Wielkiemu Lamie dwóch nieznanym cudzoziemców jako wysoko urodzonych czynowników, pełnomocników, jeżeli już nie ambasadorów Wysokiej amerykańskiej Republiki.

Gdyśmy wjeżdżali do wsi złożonej z szarych domów drewnianych otaczających klasztor, Kinujew spoważniał niezwykle, zdjął z głowy swój płomienisto-czerwony kapelusz z niebieskimi wstążkami, przybierając minę pełną pokory i czołobitnej poddańczości. To jego zachowanie się można było uważać za dowód najgłębszego uszanowania dla miejsca świętego, w rzeczywistości jednak było ono tylko przygrzywką do obmyślanej przez niego komedyjki. Starał się on widocznie dać do poznania nawet przechodzącym ulicą mnichom, że on, naczelnik policji z Sielingińska w obecności dwóch wysokich przedstawicieli republiki amerykańskiej, nie poważy się ani rozśmiać, ni odezwać, ani nawet trzymać kapelusza na głowie.

Pojechaliśmy prosto do domu Wielkiego Lamy, gdzieśmy zostali przyjęci przez czterech czy pięciu kleryków buddajskich, ubranych w brunatne sutanny, opasane szczelnie na biodrach ciemnymi szarfami. Kinujew wyskoczył z pawozki, pomógł mi wysiąść z przesadzoną grzesznością i poprowadził z taką troskliwością i usza-

nowaniem na schody, jakby najmniejsze moje potknięcie się zagrażało mogło nieporozumieniem między dwoma narodami. Każdym swym ruchem zdawał się dać do poznania mnichom i klerykom buddajskim: ten człowiek z pokąsaną przez pluskwy twarzą, w wymiętej koszuli i w krótkim paltociku nie wygląda bardzo ponętnie, lecz skoro się przebierze zobaczycie w nim wysoko urodzonego czynownika. Widzicie moje wobec niego zachowanie się. Postawiłbym moje życie na kartę, gdybym bez jego pozwolenia włożył kapelusz na głowę.

Rezydencję Wielkiego Lamy stanowił zwykły, dość obszerny dom drewniany, przedzielony na dwie połowy szeroką sienią. Wprowadzono nas do pokoju zimnego jak lodownia, w którym nie znajdowało się nic więcej prócz dywanu wyrobu sybirskiego podług wzoru indyjskiego, niskiej sofy, pokrytej niebieskim jedwabnym rypsem, kilku stołów i krzeseł rosyjskich. Na ścianach wisiały wizerunki różnych świątyń mongolskich i tybetańskich, portrety naturalnej wielkości wybitniejszych buddajskich Lamów i świętych, pendzla domowych artystów, licho kolorowane litografie Aleksandra IIgo i Aleksandra IIIgo i mała fotografia cesarza niemieckiego Wilhelma.

Kinujew wszedł natychmiast do wnętrza domu, siadłszy skromniutko przy drzwiach jak nieśmiały młodzieniec szkolny. W jego całym zachowaniu się nie było ni śladu dotychczasowej zarozumiałości, oszołomienia i wesołości: nikt nie mógłby się domysleć w nim owego szermierza tatarskiego, który rozkazywał zsiadać z konia Buryatkom. aby je ucałować. Jego ciężkie zamglone oczy nie zdradzały niczem skutków »szalonych kropli«, a jego całe zachowanie się, umiejętność władania sobą, nie pozostawiała nic do życzenia. Nie ośmielił się zagać nas jednym słowem, a na nasze zapytania odpowiadał po cichu tonem najniższego sługi. Raz tylko, gdy wszyscy brunatno osłonięci klerycy powychodzili z pokoju, z poza maski pokornej powagi, osłaniającej jego oblicze, wybuchnął jakimś zabawnym śmiechem i ciężkim ruchem ręki, skierowanej ku ustom dał

nam do poznania: »robię z siebie głupca, jednakże czuję w głowie szalone krople«.

Wszyscy klerycy i służba porozumiewali się z sobą szeptem, jakby w domu znajdował się nieboszczyk lub też Wielki Lama pogrążony był we śnie, którego przewanie nabawiało każdego ogromną trwogą. Pokój, w którym początkowo gościliśmy, był tak zimny, że formalnie blizcy byliśmy zamarznęcia. Zauważywszy to Kinujew, zrobił najpokorniejszą propozycję, czy nie raczylibyśmy przejść do drugiego pokoju, położonego od południa i ogrzanego trochę promieniami słonecznymi. Była to zwykła komnata z meblami drewnianymi lecz przyjemniejsza i wygodniejsza od pierwszej.

Wielki Lama kazał na siebie czekać przynajmniej pół godziny. Kinujew, odbywający wciąż rekonesans, wpadł do pokoju i zawołał: id-jot. (idzie). Powstałszy spieszenie z siedzenia i równocześnie wszedł Wielki Lama. Miał on na sobie przepyszną sutannę z materji jedwabnej koloru pomarańczowego, przetykaną złotem i obszytą aksamitem purpurowym; szerokie rękawy miały wyłogi z atlasu barwy ultramarynowej. Piękną tę szatę zdobiła jedwabna, czerwona zarzutka około dwóch metrów szeroka, a sześciu metrów długa, spływająca z lewego ramienia i obejmująca kibić. Głowę jego pokrywał wysoki, spiczasty kapelusz bez skrzydeł z filcu pomarańczowego, opatrzonego po obu stronach — podobnie jak baszlik rosyjski — długimi końcami, spadającymi na ramiona i haftowanymi złotem. Przy pasie przywieszony był wielki, płaski worek z fioletowego aksamitu, z zamknięciem z brązu nadzwyczaj misternego wyrobu; całość miała pozór flaszki sukiennej. Cały ten kostium zrobiony był z jaknajpiękniejszego materiału i wywierał ogromny efekt. Wspaniałe te, duchowne szaty niósł na sobie Buryat, w wieku lat około sześćdziesięciu, wzrostu średniego i takiejże tuszy, trzymał się on prosto, a na ogolonej jego, pomarszczonej trochę twarzy, malowała się dobroduszość. Przedstawiał on raczej typ północno-mongolski, aniżeli chiński i zdawał się być człowiekiem wykształconym. Powitał nas szczerze i bez

żadnego zakłopotania, a gdyśmy wszyscy usiedli, przysłuchiwał się z całym spokojem zmyślonej tak zrecznie przez Kinujewa historii, do której za wątek posłużyło mu moje niewinne zwierzenie się o naszych planach i celu nawiedzin Wielkiego Lamy. Wierzył on temu wszystkiemu lub nie, tego sprawdzić nie mogłem, z tego jednak co mi mówiono w Sielingińsku podczas naszego powrotu z Kiachty, doszedłem do głębokiego przekonania, że matactwa dyplomatyczne Kinujewa — unikające tu gorszego wyrażenia — uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

Dowcipny tłumacz odegrał swoją rolę wybornie i miał nawet śmiałość powiedzieć Wielkiemu Lamie, że gubernator Piotrow z Irkucka polecił mnie jemu, (Kinujewowi), jako nader cennego powiernika i że na życzenie gubernatora przedstawił mnie Wielkiemu Lamie. Samo już oddanie w tej formie mego niewinnego zwierzenia się o wysłaniu przez gubernatora Piotrowa telegramu w naszym interesie do władz zabajkalskich, mogłoby zabezpieczyć naczelnikowi z Sielingińska wybitne stanowisko pomiędzy największymi aktorami.

Po wypiciu herbaty, podanej nam podług rosyjskiego zwyczaju na samowarze, spytałem Szamba-Lamę, czy nam pozwolono będzie zwiedzić świątynię. Odpowiedział on, że na wiadomość otrzymaną — rozumie się od Kinujewa, — że tak dostojni goście raczyli go odwiedzić, zapowiedział odprawienie krótkiej mszy, nastrojąc nam możność zwiedzenia świątyni. On sam mocno żałuje, że słabość nie pozwala mu wziąć udziału w nabożeństwie, Kinujew jednakże będzie nam towarzyszył i postara się dla nas o miejsce siedzące. Pozdrowiliśmy się nawzajem niskim ukłonem, Wielki Lama udał się do swojego mieszkania, my zaś z Kinujewem do świątyni.

Rezydencya Wielkiego Lamy w Wschodniej Syberji jest zupełnie podobną do osady klasztornej. Położona w samotnej okolicy, dość daleko od wsi, składa się zwykle z świątyni, pięćdziesięciu do sześćdziesięciu domów drewnianych dla księży, uczniów, kleryków i prze-

bywających tam okolicznościowo pielgrzymów. W czasie naszej bytności trzy czwarte domów drewnianych nad Gieciem jeziorem zdawało się być opróżnionymi. Tak zwany przez Rossyan »Daczan« czyli świątynia, stała na nieogrodzonym placu porośniętym trawą. Spód świątyni był prawie kwadratowy, podczas gdy z przodu widziana zdawała się mieć kształt trójkątnej piramidy. Zdaje się, że była postawioną z cegły obrzucanej wapnem, wzdłuż zaś gzymsów i nad drzwiami wchodowymi pomalowana czarno i czerwono.

Wnętrze świątyni, do której weszliśmy, wydało się nam obszerną, lecz słabo oświetloną salą, około 80 stóp długą a 65 stóp szeroką. Wielkie, okrągłe słupy, podpierające strop, udrapowane były czerwono-purpurowym sukmem; ściany świątyni były prawie zupełnie poobwieszane obrazami świętych miejsc, świętych osób i jaskrawymi draperjami, podczas gdy różnobarwne chorągwie, wstęgi i piękne oryentalne latarnie znajdowały się wszędzie w niezwykłej obfitości. Świątynię przepełniała taka mnogość przeróżnych przedmiotów, że niepodobniestwem było zatrzymać w pamięci i połowę pochwyconych okiem przedmiotów; zaś ogólne wrażenie, jakie widz tu odbierał, mogło wprowadzić w podziw znawców zarówno rzymsko-katolickich jak i grecko-katolickich katedr. Dekoracye wywarły na mnie wrażenie wielkiego bogactwa i były one niezwykle piękne ze względu na koloryt, jako też kształty. Naprzeciw drzwi wchodowych w końcu świątyni znajdowała się krata, opatrzona kunsztowną rzeźbą, przed którą wznosiły się w równej od siebie odległości trzy wielkie fotele czyli trony. Trony te, pokryte ciemno żółtą jedwabną materją i opatrzone złotemi poduszkami, przeznaczone były dla Wielkiego Lamy, naczelnego Lamy (Szeretui) i jego asystenta. Przed tymi tronami, w dwóch przeciwległych rzędach, siedziało na poduszkach rozestanych na długich filcowych dywanach siedmnastu lamów z założonemi na krzyż nogami. Lamowie byli ubrani jednakowo w sutanny jedwabne pomarańczowego koloru, opasane na biodrach czerwonymi szarfami a głowy ich pokrywały czerwone filcowe

czapki, w rodzaju hełmów; po obu stronach drzwi wchodowych leżały ogromne bębny, zaś obaj lamowie siedzący w pobliżu nas opatrzeni byli żelaznymi trąbami, mającemi co najmniej ośm stóp długości a około dziesięć cali średnicy. Bębny i trąby spoczywały na drewnianych postumentach. W środkowym przechodzie pomiędzy dwoma rzędami lamów stały dwa fotele, na których zasiedliśmy.

Scena rozpoczęcia służby Bożej oryginalnością swą i siłą wrażeń przeszła wszelkie moje oczekiwania. Ciemność, zalegająca częściowo świątynię, wysokie żółte trony prezydujących dostojników, bogactwo i przepych dekoracji, ogromne bębny, posępna mnogość uczniów i kleryków w czarnych sutannach w jednym końcu świątyni, i dwie błyszczące linie pomarańczowo i czerwono ubranych lamów — w drugim, wszystko to stanowiło obraz, przewyższający cudzoziemczyną i barbarzyńskim przepychem, wszystko to, com kiedykolwiek w życiu mojem oglądał. Gdyśmy zajęli miejsca, nastała głucha cisza. Wtedy naczelnym lama potrząsnął małą kulistą grzechotką, a w odpowiedzi na ten znak zagrziała piekielna kapela złożona z brzęku cymbałów, stłumionego dźwięku olbrzymich trąb, fałszywego odgłosu dzwonek, żałośnych tonów muszli ślimaczych, dudnienia rogów, czystego dźwięku metalicznych trójkątów i szalonego wycia wielkich, żelaznych trąb. Nie było w tem wszystkim melodyi, nie można było zwać to muzyką — był to raczej przerażający, instrumentalny hałas. Trwał on około minuty i gdy nagle został przerwany, z piersi siedemnastu lamów wydarł się przerażający, dziki śpiew, podtrzymywany wciąż na jednym i tym samym tonie. Głosy nie harmonizowały z sobą, takt wciąż ten sam, zaś koniec każdej zwrotki zaznaczał się brzękiem cymbałów i dudnieniem ogromnego bębna. Po tym śpiewie, trwającym dwie lub trzy minuty, nastąpił dalszy orkiestralny »charivari«, który bez współdziałania jakiegoś nadnaturalnego gwałtu, mógł wstrząsnąć murami jerychońskimi. Nigdy nie słyszałem jeszcze podobnie piekielnej wrzawy tonów. Cała msza

święta, trwająca około piętnastu minut, składała się z śpiewu przerywanego wrzawą piekielną. Wszystko to było zajmujące, ale nadto długotrwałe. P. Frost i ja oprowadzeni zostaliśmy przez głównego lamę i Kinujewa wokoło świątyni. Przed kratą, opatrzoną kunstowną rzeźbą, stały olbrzymie postacie bożków w pozie siedzącej, z wyciągniętymi nogami, a przed każdym z nich stały pozapalane świece z masła, naczynia porcelanowe z ryżem, pszenicą i prosem, kwiaty wyrobione z papieru, dymiące się wonne trociczki i naczynia brązowe z święconą wodą. Przy ścianach tej części świątyni stały szafy z księgami, z oszklonemi drzwiami, w których znajdowało się tysiące małych figurek, znanych światu chrześcijańskiemu jako bożków, zwanych przez Buryatów »burchanami«. W jakim celu przechowywano w świątyni taką mnogość tych figurek, tego wiedzieć nie mogę. A każda z nich miała jakiś wyraz odmienny; jednym słowem, nieskończona różnorodność. Wielu z nich symbolizowało pewne wyobrażenia, wszystkie zaś zdawały się przedstawiać śmiertelników uznanych świętymi, duchownych i miały one uosabiać potęgę nadprzyrodzone. Według objaśnień Kinujewa »burchany« czyli bożkowie odgrywają tę samą rolę w buddaizmie, co obrazy świętych w ortodoksyjnych cerkwiach rosyjskich.

Postacie wielu bożków znajdujących się w świątyni, doprowadziły mnie do wniosku, że »burchan« może być uosobieniem zarówno dobrych jak i złych potęg. Pod słowem »burchan« rozumieją w całej Mongolii istotę świętą lub nadprzyrodzoną*). Dr. Erman uznaje mongolskiego »burchana« za identycznego z indyjskim Buddą**). W świątyni nad Gęsiem jeziorem »burchany« ze względu na zmysłowość pozostają z sobą w tak

*) Patrz: podróż przez Tatarję, Tybet i Chiny. M. Guc. T. 1. str. 120, 121. Nowy-Yoyk. Dr. Appleton et Comp. 1852.

***) Patrz: Podróż po Syberji Adolfa Ermana T. II. str. 309. Londyn: Longman, Brown, Green et. Longman 1848. Dr. E. zwiedzał klasztor nad Gęsiem jeziorem w 1828 i zdaje się być on przed nami pierwszym cudzoziemcem, który go zwiedził.

ściłym związku, że trudno jest porozdzielać ich na pewne grupy lub też ustawić podług pewnego porządku. Są one wyrobione z drzewa, brązu i kamienia, a wielkość ich, poczynając od dwóch cali, dochodzi do jednej stopy. W jednym kącie »kumirnej« czyli komnaty bożków, znajdował się młynek do modlitwy, składający się z bębna spoczywającego na osi pionowej, którego wnętrze ma być wypełnione modlitwami spisaniem na kawałkach papieru. Nie widziałem go w ruchu, lecz w klasztorze w Onomie, zwiedzonym przez nas w parę tygodni później, spotkaliśmy się z młynkiem do modlitw, ogromnych rozmiarów. Młynek ten, ustawiony w osobnym budynku, nie próżnował ni chwili.

Z komnaty bożków weszliśmy na pierwsze piętro świątyni, gdzie obok rażącej mnogości bożków, znajdował się zbiór szacowniejszych ksiązek mongolskich i tybetańskich. Gdyby nas nie objaśniono, że to są książki, nigdy nie bylibyśmy w stanie domyślić się. Były to arkusze prostokątne cienkiego chińskiego papieru, mające około 14 cali długości a 4 szerokości, ściśnięte dwoma deseczkami drewnianymi lub paskami tektury i przewiązane wstążkami lub tasiemkami sukienkami jaskrawej barwy. Arkusze były drukowane po jednej tylko stronie, zaś litery szły za sobą w rzędach pionowych. Zauważyłem, że na niektórych książkach próbowano widocznie litery początkowe a także nagłówki ozdabiać atramentem żółtym i czerwonym, tudzież farbami, ale robota ta była ordynarną i niezdatną.

Poprowadzono nas jeszcze do innej kaplicy, czyli budynku znajdującego się w temże samem ogrodzeniu, w celu przypatrzenia się wyobrażeniu Madejry, najwięcej czczonego bożka »Burchana« w panteonie lamajskim. Była to olbrzymia figura, wyobrażająca człowieka w pozycji siedzącej, wyrzeźbiona niezdatnie z drzewa i pomalowana farbami i złotem. Wysokość jej wynosiła około 35 stóp. Stała ona w samym środku wąskiej lecz wysokiej kaplicy, ozdobionej chorągwiemi, wstęgami i latarniami, i była w istocie bardzo okazałą. Na ołtarzu, tuż przed figurą, ozdobionym jedwabnemi dra-

peryami, płonęły świece, dymiło się kadzidło i leżały ofiary, składające się z kwiatów, stwardniałego masła i wosku; przytem mnóstwo naczyń porcelanowych, napełnionych prosem, ryżem, pszenicą, olejem, miodem i święconą wodą. Jedne z nich były odkryte, tak, że można było widzieć, co w sobie zawierają, inne zaś poprzykrywane jedwabnemi serwetkami koloru czerwonego, niebieskiego i żółtawego. Posępny wyraz tej kaplicy podobnie jak samej świątyni, osłabiały częściowo jaskrawe kolory draperyi i dekoracyi, tudzież przepyszne żółto-pomarańczowe i karmazynowe szaty duchownych.

Z kaplicy Madejra poprowadzono nas do drugiego budynku (w temże samem oparkaniu), w którym znajdował się święty, biały słoń. Biały słoń i Siam były to dla mnie już zdawna dwa nierozłączne pojęcia; prawdziwą też sprawiło mi niespodziankę, gdy się dowiedział, że zwierzę to jest dobrze widziane w wschodniosybirskim, lamajskim klasztorze. Słoń z nad Gęsiego jeziora był bardzo sztucznie wyrzeźbiony z drzewa przez jakiegoś duchownego mongolskiego czy też buryackiego, biało malowany i z odpowiednim rynsztunkiem umieszczony na czterech niskich kółkach. Był on nieco mniejszy od zwykłego słońca, a kły jego, niewłaściwem zagięciem, wprowadzały w zadumienie każdego przyrodnika; mimo tego błędu, usprawiedliwionego tą okolicznością, że domorodny rzeźbiarz nie widział nigdy słońca żywego, robota była pięknie wykonaną. Biały ten słoń, zaprzężony jest do wielkiego, czterokołowego wozu, w którym mieści się skrzynka cudownie rzeźbiona, kształtu dwupiętrowej świątyni. Corocznie w czerwcu podczas obchodu wielkiego święta lamajskiego, w skrzynię wstawiają małą figurę którego z najwięcej czczonych bożków i przy odgłosie trąb, bębnow i ślimaczych muszli rozpoczyna się uroczysty pochód wkoło klasztoru pod eskortą przynajmniej trzydziestu wytwornie ubranych lamów.

Gdyśmy przyglądali się białemu słońcowi, podszedł ku mnie Kinujew i oznajmił, że Wielki Lama chcąc nas

uczeić jako pierwszych cudzoziemców, zwiedzających klasztor, kazał przedstawić nam święty »taniec burchanów«. Co do mnie, to nosiłem się wciąż z podejrzeniem, że wszystkie spadające na nas łaski mamy do zawdzięczenia darowi Kinujewa przeistaczania prawdy w zmyśloną poezję; nie naszą jednak było winą, żeśmy zostali przedstawieni Wielkiemu Lamie jako pełnomocnicy, jeżeli już nie »ambasadorowie« amerykańskiej republiki, więc nie mieliśmy usprawiedliwionej przyczyny odrzucać świadczonych nam tu honorów.

Po powrocie do świątyni zastaliśmy wszystko już przygotowane do tańców. Miały się one odbywać na trawniku przed świątynią, gdzie też przygotowano miejsca dla muzykantów i głównego Lamy. Sprowadzono wielki bęben i ośmiostopowej długości żelazne trąby; prezydujący lamowie zasiedli z rozłożonymi nogami na swych żółtych poduszkach, my zaś także zajęli wskazane nam miejsca. Na znak dany grzechotką, wpadło na plac przed świątynią dwunastu do piętnastu dziko wyglądających postaci i przy wrzaskliwym akompaniamencie cymbałów i wielkich żelaznych trąb, rozpoczęła się długi, rytmiczny, skoczkowy taniec.

Czterech czy pięciu tancerzy w ogromnych czarnych maskach w rodzaju hełmów uosabiali sobą chichoczących mongolskich demonów; z głów ich rozchodziły się jakby promienie, cienkie drążki, do których przytwierdzone były chorągiewki. Dwie z tych postaci miały trupie czaszki, jedna głowę jelenią z rogami porośniętymi sierścią — inna zaś — głowę byczą także z rogami. Trzech czy też czterech tancerzy, przedstawiających duchy dobre i obrońców wiary, nie byli osłonięci maskami a głowy ich pokrywały szerokoskrzydłe kapelusze, ozdobione złotymi świecidełkami kształtu serc; prócz tego uzbrojeni oni byli sztyletami. Zadaniem tych ostatnich postaci było jak się zdaje pobicie na placu boju demonów z czarnymi maskami i trupimi głowami. Szaty wszystkich tancerzy, rażące bogactwem i pięknnością, wyrobione były z materyi jedwabnej koloru karmazynowego, czerwono-szkarłatnego, niebieskiego i pomarańczowo-żółtego, z zło-

tego brokatu, fioletowego aksamitu, i ciężkich różnokolorowych atlasów. Bogate te szaty przystrajało mnóstwo innych szczegółów, jako to: pasy jaskrawe, frendzle, sznury białych pereł, spięte w łuki ciężkimi, srebrnymi broszami kształtu kolistego. Złote i srebrne ozdoby żywo błyszcząły w świetle słonecznym w czasie obracania się i skakania tancerzy podług taktu, wydawanego przez bęben i cymbały. Przedstawienie trwało około piętnastu minut; najdłużej dotrzymywali placu burchani z złotymi ozdobami na kapeluszach i z sztyletami w rękach. Ten święty »taniec burchanów«, był widocznie rodzajem religijnej pantomimy albo misteryi; Kinujew nie mógł mi dać żadnych zadowalniających objaśnień o znaczeniu tego widowiska.

W domu Wielkiego Lamy zastaliśmy już gotowy wyborowy obiad z likierem owocowym i maderą dla podochocenia »ambasadorów«, tudzież zasób wódki, wystarczający do zbitcia z nóg Kinujewa. Po skończonej uczcie miałem długą rozmowę z Wielkim Lamą o kraju rodzinnym, geografii i kształcie ziemi. Niktby prawie nie uwierzył, że w dziewiętnastym stuleciu znajduje się jeszcze na kuli ziemskiej człowiek wykształcony i wysoki dostojnik duchowny, nie wiedzący o istnieniu Ameryki i nie mający żadnego ustalonego pojęcia o kształcie ziemi. Takim to człowiekiem był Wielki Lama.

— Byłeś pan w wielu krajach, — odezwał się on do mnie przez tłumacza — i rozmawiałeś pan na zachodzie z białymi ludźmi; jakie jest pańskie zdanie o kształcie ziemi? —

— Zdaje mi się — odpowiedziałem — że ma kształt wielkiej kuli.

— O tem słyszałem już dawniej — odpowiedział Wielki Lama.

Oficerowie rosyjscy, z którymi się spotykałem, mówili mi, że ziemia jest okrągłą. Taka wiara sprzeciwia się naszym starym, tybetańskim księgom; zauważyłem jednak, że rosyjscy, biali ludzie oznaczają dokładnie zaćmienia, a skoro mogą przepowiadać zaćmienia

słońca i księżycy, niezawodnie muszą też coś wiedzieć o kształcie ziemi.

Dlaczego pan mniemasz, że ziemia jest okrągłą?

— Mam wiele powodów do tego, — odpowiedziałem — niezbitym jednak i najlepszym dowodem jest ten, że objechałem wkoło kulę ziemską.

Te słowa zdawały się być dla Wielkiego Lamy rodzajem piorunu, wstrząsającego całym jego jestestwem duchownym.

— Jakto pan objechałeś wokół kulę ziemską? — spytał on. Co pan rozumiesz pod słowami naokoło? Skąd pan wiesz, że jechałeś naokoło ziemi?

— Zwróciłem się plecyma do mojego kraju rodzinnego — odpowiedziałem — i przez wiele miesięcy jechałem w kierunku, skąd wschodzi słońce. Przejechałem wiele lądów stałych i Ocean wielki. Każdego wieczora wschodziło słońce przed moimi oczami, a każdego ranka zachodziło za plecyma. Ziemia zdaje się zawsze płaską, ale ja nie mogłem nigdzie doszukać się końca lub kąta i ostatecznie przejechawszy więcej niż trzydzieści tysięcy wiorst, znalazłem się znowu w swoim kraju i powróciłem do mojego domu, jednakowoż ten kierunek był wprost przeciwny temu, w którym wyjechałem. Sądzi pan, że mógłbym to uczynić, gdyby ziemia była płaska?

— To jest szczególne — oznajmił Wielki Lama po chwili milczącej rozmagi. — Gdzie jest pański kraj? Jak daleko od Petersburga?

— Mój kraj leży dalej od Petersburga niż Petersburg stąd — odpowiedziałem — on leży prawie zupełnie pod naszymi nogami; gdybyśmy mogli przechodzić przez naszą ziemię, to byłaby droga najkrótsza tam się dostać.

— Czy pańscy ziomkowie chodzą pod naszymi nogami z głową w dół? — spytał Wielki Lama z pozornym zajęciem i zadziwieniem, nie zmieniając ani na jotę obojętnego wyrazu twarzy.

— Tak — odpowiedziałem — mając ten punkt na względzie, wszyscy chodzimy z głowami w dół.

Wielki Lama poprosił mnie wtedy, abym mu jaknajdokładniej opisał drogę, przebytą przez nas z Ameryki do Syberyi i o wyliczenie krajów, przez które przejeżdżaliśmy. Wiedział, że Niemcy graniczą od wschodu z Rosyją, słyszał o Indjach angielskich i Anglii — prawdopodobnie przez Tybet — miał jakieś nieokreślone pojęcie o Oceanie Spokojnym; lecz o Oceanie Atlantyckim i kontynencie, leżącym pomiędzy dwoma oceanami nie zupełnie nie wiedział.

Po długiej rozmowie, w ciągu której omówiliśmy kształt ziemi ze wszystkich możebnych punktów, zdawał się Wielki Lama być zupełnie przekonany o słuszności tej nauki, dodał jednakże z wetschnieniem: nie jest ona zgodną z nauką naszych ksiąg, wszelako Rosyianie muszą mieć słuszność.

Jest to uderzającym faktem, że Dr. Erman, jedyny cudzoziemiec, który zwiedził przed nami lamajski klasztor nad Gęsiem jeziorem, miał też samą rozmowę z człowiekiem, będącym ówczesnie (1828 r.) Wielkim Lamą.

Blisko sześć dziesiątek lat oddziela obecną chwilę od nawiedzin klasztoru przez Dr. Ermana, a w ciągu całego tego czasu nauka o kształcie ziemi niepokoić nie przestawała duchownych odległego klasztoru nad Gęsiem jeziorem; nie jest też nieprawdopodobnem, że znowu za jakie lat sześćdziesiąt, podróżnik zwiedzający wschodnie krainy, spytany zostanie przez przyszłego Wielkiego Lamę o podstawy, na jakich opiera swą wiarę w kulisty kształt ziemi.

Około godziny piątej po południu wymieniliśmy z Wielkim Lamą nasze fotografie, podziękowaliśmy mu za jego uprzejmość i gościnność, żegnając go z żalem, zostaliśmy, w obecności czarno zakwefionych kleryków i uczniów, wsadzeni do pawozki w sposób najstaranniejszy przez towarzyszącego nam z odkrytą głową Kinujewa, z którym wyruszyliśmy do Sielengińska.

Cenzura rosyjska.

Mało jest czytelników po za granicami carstwa rosyjskiego, obeznanych z przeszkodami, jakie zwykła stawiać cenzura rosyjska przeciw wyjawianiu wolnej opinii i rozchodzeniu się wiadomości w owem wielkiem państwie. Wielu zapewne wiadome są dążenia cenzury, ci też pojmują jasno, że przytłumia ona rozwój duchowej działalności w ogóle, w szczególności zaś, każdy objaw ruchu rewolucyjnego; — mało jest wszakże takich, którzy mieli sposobność zapoznania się z całym zakresem zgubnych jej wpływów. Cenzura rosyjska, nie tylko staje zaporą w omawianiu spraw publicznych, ale jest zarazem przewiązką oczną, nie pozwalającą ludowi rosyjskiemu rozpatrzeć się i zapoznać z własnym swem położeniem. Utrzymywanie, że Anglik w Londynie czytający uważnie telegramy i korespondencye w »Daily-News«, »Timesie« i »Standardzie« zdołał sobie wyrobić jaśniejsze i dokładniejsze pojęcie o ważniejszych wypadkach i zjawiskach w Rosyi niż mieszkaniec Petersburga, studujący najstaranniej wszystkie gazety i dzienniki rosyjskie, jest możliwem i nie należy go uważać za przesadne. Głównych zaś przyczyn podobnego stanu rzeczy należy szukać w grubych księgach »prawa prasowego«, wydawanego pod kierunkiem ministra spraw wewnętrznych. W jaki zaś sposób prawa te są zastosowane w celu wzbraniania już nie tylko prowadzenia rozpraw nad ważnemi sprawami publicznemi, ale czynienia o nich jakiegokolwiek wzmianki, wyjaśnić może

najlepiej przytoczony tu przykład, wyniesiony z własnego mojego doświadczenia. W miesiącu czerwcu 1886 roku zgromadzili się w starem, tatarskiem mieście Kazaniu przedstawiciele rosyjskiego obywatelstwa, któreto zgromadzenie nazwane zostało pół żartem przez liberałów miejskich »parlamentem zarazy«. Składało się ono z delegatów »ziemstwa« czyli zgromadzeń miejscowych wszystkich gubernii nadwołżańskich, zebranych tu w celu radzenia nad środkami, mającymi na celu stłumienie panującej wówczas zarazy bydłowej. Znajdując się nateczas przypadkowo w Kazaniu, w wigilię dnia ustanowionego na otwarcie zgromadzenia, rozmawiałem w moim pokoju o sprawach rosyjskich z wydawcą miejscowej gazety i z profesorem uniwersytetu w Kazaniu.

— Muszę iść do mego biura — odezwał się dziennikarz — i w wstępnym artykule przemówić do serca delegatów jako przedstawicieli całego ziemstwa nadwołżańskiego, zebranych tu w celu naradzenia się nad zarazą bydłową, ażeby zechcieli skorzystać z przychyłnej sposobności i wzięli pod rozwagę inne jeszcze sprawy mające doniosłe znaczenie dla gubernii nadwołżańskich.

— A wiesz pan, czem się to wszystko może skończyć — spytał profesor.

— No, czem? — odrzekł dziennikarz, śmiejąc się.

— Pańska gazeta wraz z parlamentem zarazy, jutro jeszcze przed południem zostaną zakazane.

— Sądziś pan tak w istocie — zapytałem — czyż mogą zabronić gazetę, udzielającą w dobrej wierze podobnego rodzaju rady?

— Najniezawodniej — odpowiedział profesor. Wiadomo mi z wiarogodnego źródła, że tutejszy gubernator otrzymał od ministra spraw wewnętrznych surowy rozkaz względem zakomunikowania mu drogą telegraficzną najszczegółowszego sprawozdania z rozpraw w dniu, tym odbytych i nie ścierpieć, ażeby zgromadzenie pozwoliło sobie zajmować się innemi sprawami jak tylko jedną, powierzoną mu do załatwienia. Jestem przekonany, że choćby pan A. — (wydawca gazety) radę swoją wyra-

ził w jaknajogłędniejszy i najsurowszy sposób, nie uniknie ona przekreślenia w cenzurze.

— Ja ze swojej strony oznajmiam — odrzekł dziennikarz zwracając się do mnie — że skoro pańskim życzeniem jest dowiedzieć się o rezultacie tej sprawy, to chciej zajść do mego biura pomiędzy godziną jedenastą i dwunastą w nocy.

W oznaczonej godzinie udałem się do biura »Gazety codziennej« oczekując skoregowanego arkusza rannego wydania. Około północy dał się słyszeć dzwonek w sąsiednim domu, a w kilka chwil później wpadł chłopiec wołając »c—e—n—z—u—r—a« i rzucił na stół zwitek arkuszy, odbitych na próbę. Pan A. — wziął je do ręki, przejrzał i nie rzekłszy ni słowa wręczył mi arkusz z napisem »zebranie delegatów ziemstwa nadwożańskiego«. Ton tego artykułu nie zasługiwał sobie na zarzut nawet ze strony najmniej czułego i konserwatywnego biurokraty, w ustępie wszakże końcowym pan A. wypowiedział w ogłędnych, nieśmiałych słowach, że byłoby może dobrze, gdyby delegaci ziemstwa zużyli następczą im się sposobność na wzięcie pod rozwagę innych spraw publicznych, równie ważnych dla mieszkańców z nad Wołgi jak zaraza bydłęca. Ten cały ustęp został przekreślony przez cenzora czerwonym atramentem, na marginesie zaś, napisano było »zabroniono«. Profesor miał słuszność. »Gazeta codzienna« nie powinna się była ośmielić doradzenia delegatom zajmowania się ważnymi sprawami, dotyczącymi dobra ludności. Rząd nie miał przeciw obradom nad środkami, dotyczącymi zwierząt; lecz propozycja zrobiona delegatom względem zastanowienia się nad potrzebami i cierpieniami jestestw człowieczych, wydała się buntowniczym napadem na święte prawa korony. Dozwolono zwalczać zarazę bydłęca, lecz przeciw zarazie biurokratycznej, owej najdoskonalszej instytucji »pomazańca Bożego« nie wolno było pisać ni słówka.

Jako dziennikarza, obchodziło mnie szczególnie praktyczne zastosowanie cenzury rosyjskiej względem

prasy, to też po powrocie z Syberyi do Rosyji europejskiej poświęcałem prawie cały czas studjom nad tym przedmiotem. Rozmawiałem w tej sprawie ze wszystkimi, znanymi mi dziennikarzami i wydawcami, zwiadałem biura dziennikarskie, przysłuchiwałem się uwagom redaktorów o »wyskrobywaniu«, »pisanu między liniami« i »zawieszaniu« i zrobiłem sobie znaczny zbiór arkuszy drukowanych na próbę, co wszystko posłużyć może za dowód, jak niekorzystnie oddziaływa owa manipulacja cenzuralna na rozwój rosyjskiego piśmiennictwa i jak dalece ścieśnia działalność wydawców i sprawozdawców, zmuszonych w tym szczupłym kręgu doszukiwać się sposobów wyrażania swych zdań i opinii.

Redakcyje codziennych gazet rosyjskich otrzymują ostatnie arkusze próbne pomiędzy godziną dwunastą i pierwszą po północy. Na krzyk c—e—n—z—u—r—a zbierają się wszyscy członkowie redakcyi, jeden z nich przegląda arkusz i oznajmia swym współtowarzyszom o zmianach, wprowadzonych przez urzędowego stróża publicznej opinii i moralności, i odczytuje na głos nagłówek wzbronionego artykułu. Jeżeli najgłówniejsza część artykułu została wycięta przez cenzora, w takim razie redaktor nocny musi zawyrokować, czy przez zręczną operacyę, pozostała reszta nie da się tak połączyć, aby mogła przedstawiać »organiczną całość«, lub też, czy w razie zbyt ciężkiego okaleczenia należy ją wrzucić do kosza. Jeżeli cenzor kazał zrobić małe tylko zmiany, to redaktor nocny po wydaniu swej opinii odsła artykuł autorowi w celu porobienia odpowiednich poprawek. Znaczna ilość materiału, przepuszczonego przez cenzurę, jest zawsze nienaruszoną i gotową w nakładzie czcionkowym, dla doraźnego wypełnienia luk, powstałych wskutek wykreślenia przez cenzora prac literackich lub wstępnych artykułów, uznanych za »niestosowne« lub też »zgubnych dążności«. Jeżeli rewidowane arkusze próbne, mają być ponownie przeglądane, zaś cenzor udał się do domu, wtedy robota redaktora i sprawozdawcy jest na ten dzień ukończoną. Obecnie najważniejsze nawet wiadomości, jak o spopieleniu Mo-

skwy lub też o zamordowaniu cara nie mogłyby być pomieszczone w kolumnach gazety.

Nieobeznanemu należycie z cenzurą rosyjską zdawaćby się mogło, że wypadki zupełnego wzbronienia — należą do osobliwości, że cenzor wywiera swój gniot z przezornym umiarkowaniem i cierpliwością. Tak jednakże nie jest. Jestem w posiadaniu wielu egzemplarzy próbnych gazet rosyjskich, w których ośm do czternastu wstępnych artykułów jest zupełnie zmazanych lub zakazanych, zaś o zmianach wyrażen w pozostałych artykułach i mowy być nie może.

P. Adryanow wydawca znanego czasopisma »Gazeta sybirskaja« otrzymał dnia 9. maja 1881 r. z cenzury w Tomsku arkusze próbne, w których większa połowa materiału, przeznaczonego do następnych numerów była częściowo lub też całkowicie przekreśloną. To go tak dalece rozdrażniło, że postanowił ją wydrukować nie zastępując dozwoleń »zakazanego«, czyli mówiąc innymi słowy, miejsca, zostające pod zarzutem cenzury pozostawił próżnemi, dając czytającej publiczności wolne pole domysłów. Tak się też stało. »Sybirskaja gazeta« z dnia 10. maja 1881 r. była może szczególniejszym okazem czasopisma, jakie kiedykolwiek czytelnik miał w swoim ręku. Na jednym miejscu w zastępstwie okaleczonego artykułu, była biała przestrzeń, zajmująca około połowy kolumny; w drugim miejscu znajdowało się kilka niezrozumiałych zdań bez początku i końca; poniżej znów, tego, zwracał na siebie uwagę nagłówek, stojący nad prostokątną próżną przestrzenią, na jednej zaś stronie pozostało tak mało, że zadrukowane miejsce wydawało się wysepką na małym jeziorze z białego papieru.

Pojawienie się nazajutrz gazety, rozumie się zwróciło na siebie uwagę; popyt o nią był ogromny i niezrównany. Każdy pojmował znaczenie próżnych miejsc i każdy chciał być w posiadaniu choć jednego numeru tej gazety. Policja jednakże zawiadomiona o tem zdarzeniu wydała rozkaz skonfiskowania i zniszczenia całego nakładu. Poszukiwania robiono z taką ścisłością, że ani jeden numer nie ocalał. Nawet w cztery lata

później p. Adryanow nie był w stanie nie tylko dostarczyć mi żadnego numeru, ale nawet wskazania osoby, będącej w posiadaniu go. Otrzymałem natomiast od niego następny numer tej gazety, w którym cenzura w dowód swej bezprzykładnej niekonsekwencji i niedołęztwa pozwoliła mu pomieścić do swych abonentów następującą odezwę:

»Wydawca czasopisma »Gazeta sybirskaja« uważa sobie za obowiązek zawiadomić swych abonentów, że Nr. 11 czasopisma nie doszedł ich rąk z następującej przyczyny. Ponieważ wydawca nie doszukał się w prawie prasowym żadnego paragrafu, wzbraniającego miejsca przekreślone przez cenzurę pozostawiać na papierze próżnemi, przeto powziął zamiar wydania w ten sposób ostatniego numeru gazety sybirskiej. Na wysłany jednak w tej sprawie telegram do ministra spraw wewnętrznych, mistrz dworu i rzeczywisty naddirektor spraw prasowych P. P. Wiaziemski udzielił następującą odpowiedź: »Miejsca próżne w gazecie są znakiem milczącego protestu przeciw poprzedniej cenzurze i nie mogą być dozwolone«.

Jeden egzemplarz »Gazety sybirskiej« Nr. 12. z 17. maja 1881 roku z tą godną uwagi przedmową jest w moim posiadaniu. Gazeta ta była już poprzednio zawieszoną dwukrotnie za swe »złobne dążności«, a ostatecznie zniesioną została za to, że dawała zajęcie »niebłagonadiożnym« osobom i poświęciła wspomnienie pośmiertne wygnańcowi politycznemu Zabałujewowi. Z arkusza drukowanego na próbę, będącego w moim posiadaniu okazuje się, że »złobne dążności« gazety sybirskiej objawiły się w patriotycznej próbie, zwrócenia uwagi publiczności rosyjskiej na praktykujące się matactwa, oszustwa, przesładowania i okrucieństwa rosyjskich urzędników. Pan Adryanow, były wydawca »Gazety sybirskiej« jest człowiekiem nieposzlakowanej prawości, który po skasowaniu swego czasopisma, zajmuje się badaniami archeologicznymi jako członek cesarskiego towarzystwa geograficznego wschodnio-sybirskiego. Ponieważ archeologia odnosi się do epoki przedhisto-

rycznej, jest tem samem gałęzią ludzkiej wiedzy, nie podlegającą pod kontrolę rosyjskiej cenzury. Dopóki p. Adryanow nie będzie miał nieszczęścia odgrzebania jakiegoś kawałka kamienia z napisem lub też hieroglifem, świadczącym, że gdzieś i kiedyś istniał jakiś naród nie podbity przez żadnego cara i nie kierowany przez cenzurę, dopóty będzie mógł dalej spokojnie pracować.

Amerykańskiemu dziennikarzowi wydaje się niewiarogodną i niekonsekwentną konfiskata i spalenie całego nakładu gazety za to, że miejsca przekreślone przez cenzurę, pozostawiono na papierze próżnemi, jak również pomieszczona z jej rozporządzenia w następnym numerze tegoż czasopisma, krótka odezwa do abonentów, wyjaśniająca powody zaszłej konfiskaty; lecz sposób postępowania rosyjskich urzędników nie da się ująć pod żadne prawidło. W historii rosyjskiej procedury cenzurowej, znany mi jest prócz rzeczzonego, jeszcze inny, godny uwagi fakt, tym zaś jest zakaz wymijania rządu i zwracania uwagi publicznej na niesprawiedliwość rosyjskiego prawa cenzurowego.

Z początkiem 1886 roku zaczęto robić w całej Rosyi przygotowania do odpowiedniego uczczenia dwudziestopięcioletniej rocznicy święta wyzwolenia włościan. Uroczystości jubileuszowe w Rosyi są źle widziane i nikomu prócz koła urzędniczego, nie przeszło i przez myśl, ażeby rząd zamierzał przeszkodzić w uczczeniu najważniejszego wypadku nowoczesnej historii Rosyi. Wskutek jednak reakcyjnej polityki, charakteryzującej rządu Aleksandra III, ówczesny minister spraw wewnętrznych hr. Dmitrij Tołstoj wydał rozkaz wszystkim gubernatorom, wzbraniający publicznego obchodu uroczystości 19. lutego, i zarazem zapowiedział wszystkim cenzorom prasowym, ażeby zawiadomili redakcyje czasopism, że im się surowo zakazuje poruszać sprawę wyzwolenia włościan, zarówno jak jej skutków. Wszystkie dzienniki i gazety wychodzące w Rosyi, z wyjątkiem jednej tylko, poddały się niewolniczo rzeczonemu rozkazowi; żadna z nich nie ośmieliła się zrobić najmniejszej wzmianki o doniosłym znaczeniu święta wyzwolenia.

Otóż jedna tylko »Gazeta rosyjska«, wychodząca w Moskwie, nie mogąc w tym uroczystym dniu dać żadnego wyrazu uznania dla budzących się idei, postanowiła go uczcić zupełnem niepojawieniem się. Wołała ona zachować zupełne milczenie, niż wystąpić — podług życzenia rządu — z zakneblowanemi ustami. Gdyby ministrowi wiadomy był zamiar redaktora tej gazety, to niezawodnie użyłby był środków przymusowych do jej wydania, lecz przezorny redaktor ukrywał się z swym zamiarem, i dopiero nocą z dnia 18. na 19. lutego, drukarnia jego czasopisma zatrzymaną została w ruchu. Gdy nazajutrz ludzie zapytywali, co się stało z moskiewską gazetą, odpowiadano sobie cichaczem, że dwudziestopięcioletnią rocznicę wyzwolenia włościan obchodzili milczeniem.

Z przykładów tu przytoczonych, czytelnik może sobie wyrobić pewne pojęcie o sumarycznej procedurze rządów carskich względem swej własnej prasy, w razach, gdy się powoduje ona »zgubnemi dążnościami«. Lecz po carstwie krążą nie tylko czasopisma rosyjskie, ale także inne dzienniki, wydawane w Londynie, Paryżu, Nowym-Yorku, które w swych ściśle zadrukowanych kolumnach roznoszą ziarno »zgubnego wpływu« i »buntu«. W jakim sposobie należy ochronić carskich poddanych od »zgubnych wpływów« literatury zagranicznej? Rosyjska cenzura tak wszechpotężna w granicach caratu, nie jest w mocy w próbnym arkuszu londyńskiego »Timesa« przekreślić czerwonym atramentem »karygodny« artykuł wstępny, lub też zawiesić wydawnictwo »Century Magazine« za to, że zamieszcza studia nad systemem wygnania, a jednakże należało przecieź obmyśleć środki względem niedopuszczenia rosyjskiej publiczności do czytania artykułów zakazanych. Wobec tych trudności rząd rosyjski postąpił sobie w sposób nadzwyczaj surowy. Posiadanie zakazanej literatury uznał on czynem karygodnym, a nie poprzestając na tem, targnął się na niebezpieczność własnej swej poczty; konfiskuje, otwiera i przetrząsa każdą zagraniczną gazetę, pojawiającą się w obrębie swego państwa i powołał cały sztab cenzorów,

których zadaniem jest wyszarpywać lub zasmarowywać każdy artykuł, wyrażający się niekorzystnie o metodzie rządu rosyjskiego lub podejrzany o szerzenie »zgubnych dążeń«.

Do kategorii »zgubnych« należą rozumie się wszystkie artykuły o Syberyi i systemie wygnania, zamieszczone w »Century Magazine«. Na jakiś czas przed ogłoszeniem tej pracy, zacząłem ją posyłać pojedynczymi zeszytami mojemu przyjacielowi do Wschodniej Syberyi, w tej nadziei, że pismo to wolne dotychczas od wszelkiego zarzutu, wyrobi sobie nadal u cenzury rosyjskiej reputację, nie mającego nic wspólnego z »zgubnymi dążnościami«. Mniemałem wtedy, że cenzor po dokładnem przeczytaniu pierwszych zeszytów, nie doszukawszy się w nich »zgubnych dążeń«, może przeslepić zamieszczony w następnych numerach artykuł o systemie wygnañczym. Przekonałem się wkrótce, że cenzura rosyjska nadto jest czujną, by się dała uspić. Pierwsza praca moja pod nagłówkiem »Odwiedziny hr. Tołstoja«, — lipiec 1887 — została częściowo wyciętą, częściowo zasmarowaną i na żadnym artykule o Syberyi nie pozostawiono całej skóry*).

Latem 1888 r. p. Holl, amerykańnik, podróżując po Rosssyi, otrzymał pocztą egzemplarz »Century Magazine«, z którego wycięto nie tylko artykuł o Syberyi, ale wszystkie prawie ćwiartki z anonsami. Żądny dowiedzenia się przyczyny, skłaniającej cenzurę do uznania anonsów »Century Magazine« za »szkodliwe«, udał się pan Holl do pewnego urzędnika policyjnego i pokazując mu uszkodzone czasopismo prosił o wyjaśnienie. Oznajmił on przytem, że nie dziwi go wcale wycięcie artykułu o Rosssyi, nie może jednak pojąć dlaczego podobnemu losowi uległy kartki, zawierające ogłoszenia — wtrącając lekki amerykański żart — że postępek ten,

*) Uwaga ta dotyczy numeru »Century« wysłanego przeze mnie do Rosssyi. Dowiedziałem się od panny Izabeli F. Hapgod, przebywającej w ostatnim roku w Petersburgu, że wskutek skargi wniesionej przez nią do władz względem obszarpania czasopisma wydano jej go w stanie nieuszkodzonym.

należy chyba tłumaczyć sobie zaletami, jakie oddają anonse amerykańskie wyrobom mydłanym, — gdyż spostrzeżenia jego, poczynione w przejeździe przez państwo rosyjskie doprowadziły go do wniosku, że mydło należec musi do artykułów zakazanych, skoro dotyczące go anonse pomieszczone w czasopismach zagranicznych, podlegają zniszczeniu. Urzędnik policyjny, który stał na nadto niskim stopniu wykształcenia, aby mógł ocenić żarcik amerykańnika, przyjął go za obrazę, tak, że p. Hollowi z nie małym trudem udało się z nim pojednać. Skoro obrażony w swej godności urzędnik trochę ochłonął, oznajmił amerykańskiemu podróżnikowi z surową miną sędziowską, że kartki anonsowe »Century« zniszczono z tej przyczyny, że wychwalały »bezbożne« książki. Nie wiem z jakiego to szczytnego stanowiska czystej ortodoksyi wydał on ów wyrok na książki, zalecane przez »Century Magazine«; lecz jako członek Kościoła, który zachęca nieświadomych, ale wierzących włóścian do wieszania odzieży na obrazach i statuach cudotwornych i nazywa podobny fetyszizm »religią«, jest on w zupełnej słuszności uznawania bezbożnymi książek, zalecanych przez »Century Magazine«.

Od czasu bytności pana Holla w Rosssyi, każdy prawie numer »Century Magazine« wysyłany przeze mnie moim przyjacielom, był okaleczanym przez cenzurę rosyjską. Moje własne artykuły wycinano wszystkie a wiele rozdziałów z historii życia Linkolna, uległo temuż samemu losowi.

Zniszczenie artykułów albo dzieł zakazanych, pomieszczonych w gazetach zagranicznych, odbywa się w Rosssyi dwojakim sposobem. Jeśli są zbyt długie, to je wycinają lub wydzierają, krótkie zaś, zamazują maźią drukarską zapomocą prostokątnego, kratkowanego stempla, długości około jednej trzeciej kolumny gazetowej. Na miejscu zasmarowanym pozostaje biała kratka, wypełniona czarnymi plamkami, zwanymi przez dowcipnisiów »kawiolem«. Ktokolwiek próbował tego czarnego, rosyjskiego kawioru na chlebie posmarowanym masłem, ten musi ocenić trafność tego dowcipnego wyrażenia.

Z rzeczownika urobił się czasownik; każdemu też Rosyjaninowi wiadomo, że pod »kawiorowaniem« rozumie się zamazywanie »zakazanego« artykułu stemplem cenzurowym.

Bezpożyteczność tej szczególnej rosyjskiej metody, zmuszania do nieświadomości, razi równie jak jej bezwstydną czelność. Są inne jeszcze podstawy naprowadzające na myśl, że metoda ta nie osiąga celu wytkniętego przez jej twórców i nigdy go osiągnąć nie będzie w możliwości; dopóki rząd rosyjski nie podda rewizji cenzuralnej listów prywatnych, dopóty każdy mieszkaniec Petersburga lub Moskwy może odwołać się do pierwszej lepszej księgarni w Berlinie, Paryżu lub Londynie i kazać sobie przysłać w kopercie listowej »kawiorowany artykuł« lub też dzieło drukowane w tej lub owej zagranicznej gazecie, przysyłanej do Rossyi. To też usiłowania cenzorów rosyjskich niedopuszczenia do wnętrza carstwa dzieła o Syberyi, wydawanego w »Century Magazine« są zupełnie źle obliczone. »Kawiorowane artykuły« nie tylko przychodzą do Rossyi, ale nadto odhektografowane w przekładzie kursują po całym państwie z rąk do rąk. Wiele z nich dochodzi politycznych wygnańców w najodleglejszych częściach Syberyi. Z przykrością muszę powiedzieć, że niektóre z nich, dla odbiorców okazały się fatalnymi, a jeden z młodych ludzi, u którego je znaleziono, jęczy po dziś dzień w więzieniu. Niedawno wysłałem pewnemu młodemu dziennikarzowi Iwanowi Pietrowiczowi Bielokońskiemu, na jego usilne żądanie jeden numer »Century Magazine«.

Otóż ledwie co otrzymałem od jednego z moich znajomych list następujący:

X... Rosyja 16. (28.) grudnia 1889 r.

Mój drogi panie Kennan. Korzystam z przychylniej sposobności, by panu w kilku słowach udzielić smutnej wiadomości. Nie wiem, czy panu wiadomo jest o nieszczęściu, jakie spotkało pańskiego przyjaciela Iwana Pietrowicza Bielokońskiego z przyczyny przesłanych mu przez pana dwóch obrazów (z których jeden przedsta-

wiał pochód etapowy, drugi zaś próbę ucieczki). Jeden ze znajomych p. Bielokońskiego, któremu on podarował te obrazy, został uwięziony, a sprawie tej nadano tak ważne znaczenie, że z panem B. odbyto ścisłe śledztwo a następnie na mocy rozporządzenia, nadesłanego z policji petersburskiej, oddano go pod ścisły nadzór. To się działo w grudniu 1888 r. Dnia 29. kwietnia następnego roku o godzinie 3. z rana, policjacy pojawiła się w domu p. Bielokońskiego i odbyła tam rewizję. Nie znaleziono nic zakazanego z wyjątkiem Leroy Beaulieu »L'Empire des Tsars« i trzech jego własnych artykułów. Tejże samej nocy odbyto rewizję u osmnastu innych osób, na podstawie po dziś dzień nikomu nie wiadomej. Dnia 8. maja zawezwano ponownie p. Bielokońskiego do policji i stamtąd odesłano go do więzienia, w którym dotąd przesiaduje. Wyda się to panu bardzo dziwnem, że człowieka obarezonego rodziną aresztowano w ten sposób i wtrącono do więzienia, w którym od ośmiu miesięcy pozostaje i za co? Wyłącznie za posiadanie pańskiego dzieła. My wszakże Rosyjanie tak przyzwyczajeni jesteśmy do podobnych rzeczy, że one nas bynajmniej nie zadziwiają; jednakowoż jest to smutne. Nawet przy najgorszych stosunkach, wśród których żyjemy, żywimy w sobie gorącą miłość dla wolności, — a jakaż to nasza wolność? Nawet Turcy czują się wolniejszymi.

Rodzina Iwana Pietrowicza składa się z czterech osób. Znajduje się ona w wielkiej potrzebie a mimo to gubernator wzbronił pani Bielokońskiej udzielania lekcji prywatnych; w naszym zaś mieście gubernialnem bardzo trudno jest znaleźć jakie zajęcie. Spytasz się pan: »z czego się utrzymują?« Otóż pani Bielokońska na razie nie mogła sobie inaczej zaradzić, jak tylko sprzedaż lub daniem w zastaw pewnej części swych mebli i sprowadziła się do szczuplejszego mieszkania, gdzie żyje jak najoszczędniej. Ma ona na głowie prócz kilkorga dzieci i uwięzionego męża, dla podtrzymania którego przy siłach, kupuje i dostarcza do więzienia wiktuały, rząd bowiem daje mu na wyżywienie miesięcznie 2 r. s.

30 kop. Na szczęście pani Bielokońska jest osobą silnego charakteru i gdyby nie to, to śmierć byłaby jedynym dla niej punktem wyjścia. Pragnąłbym gorąco mieć pański najnowszy artykuł, nie ośmielam się jednak prosić pana o nadesłanie mi go, i muszę przeczytanie go odłożyć do lepszych czasów. Ściskam gorąco dłoń pańską i pozdrawiam go serdecznie.

Szczerze panu oddany

.....

List ten nie potrzebuje dalszych komentarzy. Mój przyjaciel Bielokoński zostanie prawdopodobnie wysłany drogą administracyjną do Syberyi za posiadanie mego dzieła, ja zaś nie jestem w możności zapobiedz oczekującej go doli. Czego się spodziewa, lub co zamierza osiągnąć rząd rossyjski wzbranianiem dzieł, mających wyłącznie nu celu wyświecenie stosunków tamecznych i wtrącaniem do więzień ludzi za posiadanie tych dzieł?

Pisarz rossyjski Purhawin w swej książce, pierwotnie przepuszczonej przez nieoględność cenzury a następnie przez nią skonfiskowanej i spalonej, rzucając toż samo zapytanie powiada: »Czyż może być stłumioną jaka idea? Możeż myśl być zabita, pogrzebaną, unicestwioną? Czyż prawda, miłość, sprawiedliwość i wolność nie są nieśmiertelnemi? Jest to największym błędem mniemać, że idee mogą być unicestwione. Narody pogięły, ludzie poumierali w kajdanach po więzieniach, ciała ich podległy rozkładowi, ich groby a nawet nazwiska zostały zapomniane, lecz idee ich i dążenia wciąż żyją. Idee te i dążenia uświęcone krwią męczeńską, były marzeniem tych ludzi, w których mózgach poruszała się myśl, w których piersiach biło serce«.

Zdawało się cenzurze rossyjskiej, że spaleniem książki Purhawina, zgubny wpływ tego dzieła na zawsze usuniętym zostanie, ale daremnymi okazały się jej zabiegi, albowiem »idee i dążenia znakomitego pisarza wciąż żyją«, a słowa jego, chociaż spalone z rozkazu rządu rossyjskiego, przemawiać będą do setek i tysięcy współczujących go serc.

Przyjdzie czas, że wolny rossyjski obywatel, którego cenzura nie będzie mogła utrzymywać w nieświadomości, czytając karty historii swego narodu, opowiadające o tłumieniu opinii publicznej kneblowaniem ust i wszelkich uczuć człowieczych, obudzi w swem sercu gorące życzenie, ażeby pamięć o podobnie haniebnym i oburzających czynach na wieki zatartą została.

DODATEK.

I. Życie więzienne rosyjskich rewolucjonistów.

Każdemu czytelnikowi, przyjmującemu żywy udział w sprawach rosyjskich, lecz zmuszonemu zadawałniam się szczupłymi i pobieżnymi wiadomościami, dostarczonymi mu przez telegramy dziennikarskie, — nastęrcza się często zapytanie »w czem właśnie polega zło, wywołujące szczególnie w rosyjskiej młodzieży objawy tej namiętnej, dzikiej nienawiści przeciw carowi, popychającej ją do upartych i rozpaczliwych zamachów na jego życie?« Daremnie usiłujemy z otrzymywanych wiadomości dochodzić przyczyn, objaśniających owe żarliwe, spotęgowane uczucie, na dnie którego leży jakieś szczególniejsze zjawisko socyalne. Mówią nam o złych rządach w Rosyi, o ścieśnieniu prasy drukarskiej, o wzbronieniu zgromadzeń i tłumieniu każdego swobodniejszego objawu myśli przez przekupną i despotyczną biurokracyę. Zło wszakże takie, gdyby nawet nie mogło być przezwyciężonem, nie objaśnia należycie tego zjawiska, że w Rosyi są dziesiątki — a nawet setki młodych mężczyzn i kobiet, gotowych w każdej chwili skończyć haniebną śmiercią na szubienicy, byle tylko pozbawić życia człowieka, siedzącego na tronie. Na zjeździe w Lipiecku 1879 r. gdzie przywódca partji terorystycznej uradzili zamordować Aleksandra II, zgłosiło się czterdziestu siedmiu młodych mężczyzn i kobiet, gotowych do speł-

nienia zatwierdzonego przez radę postanowienia *). Podobnie niezwykły fakt nie da się objaśnić tem, cośmy zwykli nazywać złym rządem. Uczucie ucisku musiało się złączyć z poczuciem osobistego upodlenia, by człowieka przeciętnego doprowadzić do takiego stanu moralnego, ażeby mógł oddać swoje życie dla sprawy, dokonaniem zabójstwa na kimś innym. Jeżeli Rosssyanom nie jest wrodzony pociąg do szalonego morderstwa, oparty na instynktowej nienawiści rasowej, niedozwalającej sądzić podług jednej i tej samej reguły postępów człowieka obcego pochodzenia, to przyczyn anormalnych zjawisk rossyjskiego życia należy szukać w czemś innym niżeli tylko w złym rządzie.

W tym, jako też w następnych artykułach, zamierzam mówić o tem, co mi się wydaje być najważniejszą i najistotniejszą przyczyną, skłaniającą rossyjskich rewolucyonistów do chwycenia się w r. 1878, nieludzkiej, błędnej i występnej polityki »grozy«, powodem do czego posłużyło bez wątpienia złe obchodzenie się z przestępcami politycznymi w rossyjskich więzieniach. Biorąc pod ścisłą rozwagę wszystkie fazy, jakie przechodził ruch rewolucyjny rossyjski od 1870 roku, przychodzi się niewątpliwie do wniosku, że tę ostatnią fazę — organizowanego zabójstwa — wywołało przeważnie okrutne i nieludzkie obchodzenie się z przestępcami politycznymi w fortecach Piotro-Pawłowskiej, Szliselburskiej i w więzieniach w Moskwie, Kijowie i Odessie. Zanim przystąpię do omówienia takich przestępstw, jak zabójstwo Aleksandra II, oraz wydania wyroku o charakterze ludzi, którzy pierwsi oparli się na polityce »grozy«, uważam za konieczne dać czytelnikowi pojęcie o życiu rossyjskich rewolucyonistów w więzieniach.

Materyał służący za podstawę do niniejszego artykułu, pochodzi głównie z trzech źródeł: po pierwsze, moje własne badania znacznej części więzień rossyjskich; powtórę, zeznania trzystu do czterystu mężczyzn i ko-

biet, którzy w różnych czasach od 1874 do 1885 roku przesiadywali w tych więzieniach od miesięcy sześciu do lat siedmiu; i po trzecie, zeznania rossyjskich urzędników, wchodzących w skład administracyi więziennej. Dla zbadania i stwierdzenia podanych poniżej faktów, poświęciłem wiele dni i nocy bezsennych, w katordze, osadach osiedleńczych sybirskich, jako też w miastach Rossyi europejskiej i mam uzasadnioną podstawę zeznania moje uważać za ścisłe i zasługujące na wiarę.

Przed dwoma czy też trzema laty w dziennikach angielskich głoszoną była polemika, jaką prowadzili książę Kropotkin i p. C. M. Wilson z księdzem Landsdellem i anonimowym korespondentem gazety »Pall Mall«, w sprawie traktowania politycznych więźniów w fortecy Piotro-Pawłowskiej. Odmówiono mi pozwolenia na zwiedzenie tego więzienia, dlatego też nie jestem w możności opisać je tak, jak ono jest w istocie; miałem wszakże wyjątkowo przychylną sposobność dowiedzenia się szczegółowo o warunkach życia więźniów. Poznałem w Syberyi przynajmniej pięćdziesięciu wygnańców, więzionych w tej fortecy jednym ciągiem od 1874 do 1884 roku. Rozrzucano ich jako wygnańców po całej Syberyi; wielu z nich nie widziało się wzajemnie; wszelka zmowa między nimi co do opowiadanej mi historii była niemożliwa. Większość z nich, byli to ludzie wysoko wykształceni i nieposzlakowanych charakterów, którzy nie byli zdolni do podawania zmyślonych rzeczy za prawdziwe. Opisywali mi oni najszczegółowiej swe przejścia w więzieniach; przeglądając ich zapiski, widzę się w posiadaniu sześciu do ośmiu różnych, niezależnych od siebie sprawozdań, dotyczących tegoż samego faktu, i pochodzących od sześciu do ośmiu wygnańców, którzy się nigdy nie stykali z sobą w więzieniu a na wygnaniu byli od siebie oddzieleni tysiącomilowemi odległościami.

Zeznania wygnańców muszą być, rozumie się ze stanowiska sprawiedliwości — uznane bezstronnemi; jaśnym jest wszakże, że nawet bezstronne świadectwa, zupełnie jednoznaczne i złożone wśród wyżej wymienio-

*) Oficjalnie stenografowane sprawozdanie z procesu carobójców w Petersburgu 1881 r. zeznanie Zelabowa str. 32.

nych okoliczności, mogą być podejrzanе o niewiarogodność i obciążone zarzutem wspólnego porozumienia się świadków. Zeznania tych wygnańców sprawdziłem i stwierdziłem o ile to było możebnem w rozmowach z adwokatami, sędziami i urzędnikami więziennymi. Nazwisk tych osób nie podaję tu z dobrze uzasadnionych powodów, lecz ludzie ci, mieli wszelką sposobność obeznania się z faktami, stanowiącymi przedmiot tych zeznań. Jeżeli wyłuszczone w tym artykule wypadki i rzeczy nie odpowiadają życzeniom rządu rossyjskiego i obarczone są przez niego zarzutem stronności, to wynika stąd, że generał Orzewski, szef rossyjskiej żandarmerji, w czasie mej u niego bytności nie okazał się skłonny do dawania mi w tej sprawie jakichkolwiek bądź wyjaśnień, ani też nie chciał się w niczem przychylić do ułatwienia mi podjętych badań. Pozwolenie zwiedzenia wielkiego więzienia w Petersburgu, znanego pod nazwą »Domu badań« i »Zamku litewskiego«, mam do zawdzięczenia panu Giałkin-Wrasskoj, głównemu naczelnikowi oddziału więziennego w carstwie rossyjskiem. Władza wszakże jego nie rozciągała się na fortece Piotro-Pawłowską i Szliselburską, zaś generał Orzewski, pod którego zwierzchnictwem pozostawały te więzienia, odmówił mi pozwolenia ich zwiedzenia w sposób bardzo grzeczny lecz stanowczy.

Ażeby dobrze zrozumieć to, o czem później mówić będę, czytelnik powinien zupełnie rozstać się z mniemaniem, że więzienia rossyjskie są administrowane podług jednego, raz ustanowionego systemu, albo też, że obchodzenie się z więźniami jest jakimś logicznym wypływem z góry przyjętej reguły. Byłoby to bardzo smutnie, gdyby w świecie cywilizowanym istniał jaki system karny, tak dalece zawisły od kaprysów i dowolności urzędników i narażający prawo ze względu na chwilowe korzyści i chciwość zysku na taką hańbę, jak w Rosyi.

W carstwie rossyjskiem znajduje się 884 więźni, podlegających nominalnie temuż samemu rządowi, tym samym prawom, przepisom, a mimo tego trudno byłoby

znaleźć jeden nawet dziesiątek, kierowanych podług jednego i tego samego sposobu lub też podług tej samej reguły. Również trudno byłoby się spotkać choć z jednym więzieniem, któreby było prowadzone w jeden i ten sam sposób w ciągu lat trzech. Przywileje, dane w jednym więzieniu, zabronione są w drugim; w jednym miejscu trzymają się surowo reguły, w drugim zalicza się ono do wyjątków; jedni więźniowie opływają we wszystko, drudzy w połowie umierają z głodu; niekiedy przestąpienie reguły pociąga za sobą tylko naganę, inną znów razą karane bywa dwudziestoma chłostami po nagim grzbiecie. Wszędzie panuje bezprawie, nieporządek, dowolność i daje się uczuć brak metody.

Przyczyn podobnego stanu rzeczy jest bardzo wiele, do najważniejszych zaś należą: po pierwsze, niewykonalność i sprzeczność samego prawa dyscyplinarnego; powtórę, rozdział odpowiedzialności zarządu więzienia pomiędzy znaczną liczbę urzędników i biur administracyjnych; po trzecie, skłonność rossyjskich urzędników do postępowania nie w myśl ustawy, lecz podług własnego zapatrywania, jużto w celach osobistych, już dla zadośćuczynienia życzeniu swych przełożonych; i po czwarte, niski stopień wykształcenia i brak poczucia moralnego, właściwy przeważnej liczbie urzędników więziennych, co należy przypisać tej okoliczności, że lepsi i zdolniejsi ludzie nie poprzestaliby na tak szczupłej pensyi, na jakiej ograniczyć się muszą urzędnicy więzienni*).

Mam u siebie odpis tajnego raportu, wystosowanego w roku 1881, przez generał-gubernatora Anu-

*) Zarządca domu badań w Petersburgu. największego i najważniejszego więzienia w carstwie rossyjskiem, pobiera rocznej pensyi 2260 zł. w. a. oprócz mieszkania i utrzymania; jego starszy asystent pobiera 1000 złr. w. a. Zarządca więzienia etapowego w Petersburgu pobiera rocznej pensyi 880 zł. w. a., zaś jego asystent 500 zł., w. a. Przy więzieniach gubernialnych płaca jest jeszcze mniejsza. — (Raport centralnego zarządu więziennego za 1884 r. str. 82—84. Petersburg i Ministerstwo spraw wewnętrznych 1886). (Przyp. autora).

czyna do cara, w którym ten wysoki urzędnik wyraża się o »opłakanem położeniu« więzień, regulacji więzień i systemie wygnania w sposób następujący: »aczkolwiek prawo ustanowiło w tym przedmiocie wiele reguł, są one jednakowoż wskutek niemożliwości wykonania i braku właściwego nadzoru, od dnia zatwierdzenia tylko martwą literą*).

W posiadaniu mojem znajduje się dalej odpis cyrkularza z dnia 25. sierpnia 1885 r. wydanego przez jednego z gubernatorów do komiisji więziennej, policji gubernialnej, miejskiej, policji okręgowej i biura kontrolowego więziennego, w którym gubernator zawiadamia o tak często powtarzających się rozlicznego rodzaju naruszeniach wszelkich prawideł, ustawą więzienną zastrzeżonych, że zdaje się prawie niewiarogodnym, ażeby osoby, tolerujące je, niewiadome były swych drożnych postępów. Między mnóstwem innych nadużyć, wykazanych przez gubernatora, znajdują się następujące: zmowy pomiędzy urzędnikami więziennymi i liwerantami względem dostawy wiktuałów i odzieży gorszego gatunku niżeli prawem przepisanych; tolerowanie pijactwa, gry i nieporządków pomiędzy więźniami; zabieranie wiktuałów i odzieży ze zmarłych, zbiegłych lub też uwolnionych przestępców; sprzedaż przez urzędników rozmaitych artykułów na ich własną korzyść; wypuszczanie na wolność przestępców w celu dzielenia się zarobionym groszem z urzędnikami; zaniebdywanie prowadzenia protokołów przez władze więzienne o karaniu przestępców i biciu ich przez nadzorców bez zezwolenia inspektora lub naczelnika policji okręgu, w którym znajduje się więzienie.

Z przytoczonego tu cyrkularza okazuje się, że w skład zarządu więzienia gubernialnego wchodzi nie mniej jak siedm osób lub też grup, porozumiewających się wzajemnie: po pierwsze, urzędnicy więzienni, po-

*) Tajny raport do cara od generał-gubernatora Anuczina Rozd. II. Ustęp 3. zatytułowany: »Wygnanie. roboty katorżne i sprawy więzienne«.

(Przyp. autora).

wtóre, komisye więzienne, po trzecie, zarząd policji miejskiej, po czwarte, zarząd policji powiatowej, po piąte, biuro nadzorcze więzienne, po szóste, inspektor i siódme, gubernator. Do podanego spisu możnaby jeszcze dołączyć: ósme, zarząd państwowy, dziewiąte, rada miejska, w obrębie którego to miasta położone jest więzienie, dziesiąte, generał-gubernator, jedenaste, zarząd centralny więzień w Petersburgu i dwunaste, minister spraw wewnętrznych. Okazuje się dalej z pisma urzędowego, że mimo całej tej maszyneryi i ogromu pozornie ścisłej »kontroli«, w więzieniach gubernialnych praktykują się »niezliczone naruszenia prawa« i tak jawnie przeprowadzają się one, że zdaje się prawie niewiarogodnym, ażeby osoby tolerujące je, nieświadome były nieprawości swych postępów.

W więzieniach przeznaczonych wyłącznie dla przestępców politycznych, niema rozumie się takiego nieporządku i nierzetelności, jak w więzieniach gubernialnych niższego stopnia; lecz i w tych ostatnich okoliczności i usposobienia urzędników odgrywają ważniejszą rolę niż prawo. To bowiem, co wysoki urzędnik uważa za najważniejsze dla interesów państwowych, zbacza najczęściej od prawa. Jeżeli rzecznik państwowy jak Strielnikow, albo też szef żandarmerji jak Mezencew, uznaje właściwym wymożenie na politycznym więźniu zeznania, potrzebnego do uwięzienia współwinnych, lub też do wykrycia jakiegoś spisku, nie waha się on na chwilę użyć swej władzy w celu ograniczenia więźnia w przyszłujących mu prawach. Dla osiągnięcia takiego celu chwytła się on środków w wysokim stopniu ordynarnych i nieprawnych, doprowadzających więźniów do rozpacz i przynoszących hańbę rządowi, zezwalającemu na nie.

Traktowanie politycznych przestępców zależnem jest w wysokim stopniu, zawsze i wśród wszelkich okoliczności, od widzimisię urzędników. Każdy nowy zamach gwałtu, dokonany przez spiskowców, pozostających na wolnej stopie, odzywa się na ich uwięzionych współtowarzyszach uciskiem, wywieranym ze strony władz wię-

ziennych. Niejednokrotnie po jakimś nowym zamachu spiskowców, rozgniewani urzędnicy za swe niedołęstwo w niewykryciu go, mszczą się nad więźniami zaostreniem warunków ich bytu, inną zaś razą łagodzą surowość dyscypliny więziennej dlatego, ażeby pozorną uległością dać do poznania swe zadowolenie z przywrócenia podług nich pojętego porządku socyalnego. Naturalnem następstwem tego naruszenia ustawy podług kaprysów i widzimisię urzędników jest zupełne zniweczenie systematycznego, konsenkwentnego kierownictwa więziennego. Więźniowie nie są traktowani podług przepisów prawem ustanowionych, lecz tak, jak sobie tego życzy rzecznik państwowy lub komendant żandarmeryi i w miarę pewnych okoliczności i wydarzeń, z którymi więzień nie prawie nie ma wspólnego.

Opis mój życia więziennego rosyjskich rewolucyonistów poprzedzę zwróceniem uwagi czytelnika na niektóre fakta, zostające w ścisłym związku z życiem więziennem i wywierające doniosły wpływ na usposobienie moralne i stan umysłu więźnia.

Fakta, które mam na myśli i którym poświęcić zamierzam resztę tego artykułu, są: przyjęty zwyczaj aresztowania na chybił trafił dla napędzenia strachu i w nadziei natrafienia na ślad tajemnej, rewolucyjnej działalności; powtórne, przekształcanie więzienia w rodzaj jakiejś tyrańskiej instytucyi, mającej na celu wydobywanie zeznań z więźniów zapomocą zadawanych im katuszy, albo też zmuszania ich do zdrady swych współtowarzyszy; trzecie, nieprawne przetrzymywanie »podejrzanych« politycznie w ciągu miesięcy i lat w samotnych celach, w którymto czasie policya rozpoczyna poszukiwania po całym państwie w celu zbierania faktów, mających stanowić ośnowę oskarżenia. Wszystkie te metody praktykowane w Rossyi na najrozleglejszą skalę, są zarzewiem, rozniecającem ogień działalności terorystycznej.

Nadmienić tu muszę, że wyrażenia »na chybił trafił« nie użyłem tu w tym sensie, ażeby policya miała obiegać ulice miasta i zatrzymywać pierwszego lepszego

przechodnia. Aresztowania polityczne w jakichkolwiek podjęte rozmiarach, ograniczają się zwykle na jednej tylko klasie ludności, znanej urzędownie w Rossyi jako »niebłagonadiożnoj«. To słowo, i idee przez nie reprezentowane tak są nam obce, że wymagają należytego określenia. Rosyjskie słowo »błago« wyraża »dobrze«; »nadieżda« — »nadzieja«, a zatem »błagonadiożnost'« oznacza własność albo stan, obiecujący zadowolenie lub dobro; negatywną formą tego wyrażenia jest używane urzędownie słowo »niebłagonadiożnost'«, oznaczające »stan politycznej niepewności«. Urzędownie, wyraz »niebłagonadiożnyj«, stosuje się do każdej osoby, której poglądy polityczne uważane są za spaczone i która z tytułu tego powinna pozostawać pod nadzorem policyjnym. Wykazów statystycznych o »klasie niebłagonadiożnych«, rozumie się trudno jest uzyskać; wszakże w 1888 r. gdy liberalny Mielikow stał u steru rządu, sprawdzono urzędownie, że pod nadzorem policyjnym znajduje się 2837 osób, rozdzielonych po guberniach carstwa w sposób następujący: w Petersburgu 273; Moskwie 101; Kałudze 315; Riazaniu 255; Twerze 198; Kostromiu 175; Archangielsku 96; a w innych guberniach 1434*). Osoby wszakże, zostające pod jawnym nadzorem policyjnym, stanowią stosunkowo małą tylko część ogromnej klasy »niebłagonadiożnych« czyli »niepewnych«. Są to przeważnie osoby, wbrew własnej woli wydalone z miejsc rodzinnych do innych części państwa, w celu przeszkodzenia podtrzymywania stosunków z osobami miejscowemi, u których od czasu do czasu policya odbywać zwykłą rewizyę domową. Tysiące innych, których się nie zmusza do opuszczenia miejsc rodzinnych, zostają pod tajnym aresztem policyjnym, a znów tysiące innych są wpisani w księgi żandarmeryi i tajnej policyi. Skoro tylko występuje na widownię jakiś akt gwałtu, dokonany przez krańcową

*) »Rozporządzenie dla utrzymania porządku publicznego«. Gazeta Aksakowa »Ruś« Nr. 46 i 26. wrzesień 1881.

(Przyp. autora).

partję rewolucyjną, policya miasta gubernialnego napada całą klasę »niebłagonadiożnych« i wlecze do więzienia gromady winnych zarówno jak i niewinnych, do dalszego rozgatunkowania. Gdy generał Strielnikow, mając sobie nadaną przez cara prawie dyktatorską władzę, udał się do południowych gubernii Rosyi w celu wykorzenienia buntu, kazał on w mieście Odesie w ciągu dni trzech aresztować i wtrącić do więzienia 118 osób. Skierowawszy się do Kijowa, aresztował tam naraz 89 osób i wydał rozkaz pochwylenia wielu setek ludzi w Charkowie, Nikołajowie, Połtawie, Kursku i innych miastach rosyjskich. Większość tych aresztowań dokonano bez najmniej usprawiedliwionej przyczyny, wyłącznie w celu natrafienia na ślad stowarzyszenia, którego policya nie była w stanie odkryć. Wielu z aresztowanych były to same dzieci — niedorośli szkolne i piętnasto do siedemnastoletnie dziewczęta, których nie można było pod żadnym względem uważać za niebezpiecznych spiskowców i zmuszać ich do spowiadania się z tego wszystkiego, co wynieść mogli ze ścian domowych lub z zabaw towarzyskich.

Zamiarem generała Strielnikowa było aresztować na raz mnóstwo osób, zaliczonych do klasy »niebłagonadiożnych«, przetrzymać to wszystko w odosobnionych celach wśród zaostrzonych warunków przez dni dziesięć do piętnasto i rozpocząć śledztwo, na którem działając grozą i postrachem, spodziewał się stąd i ówdzie wydobytych słówek pochwylić wątek do wykrycia stowarzyszenia rewolucyjnego. Tak np. jeśli jakiejś panience, należącej do rodziny »niebłagonadiożnoje« władze rządowe skonfiskowały »podejrzany list« do niej adresowany, lub też gdy ją widziano wieczorem wychodzącą z domu zamieszkałego przez osoby »niebłagonadiożne«, w takim razie policya aresztowała ją zwykle nocą, odprowadzała do urzędu policyjnego w tejże dzielnicy znajdującego się, gdzie ją zamykano samotnie w małej celi i oddawano na pastwę własnych myśli. Nie mogąc — naturalnie — wyjaśnić sobie znaczenia podobnego sposobu postępowania, zwracała się po

objaśnienia do chodzącej po korytarzu straży, od której otrzymywała odpowiedź: »prikazano nie gawarit«; (nie wolno jest mówić). Łatwo sobie wyobrazić, jak przygnębiające wrażenie wyrzucić musiało na młode, niedoświadczone dziewczę, wydarte z domu rodzinnego, nagłe znalezienie się w samotnej celi więzienia kryminalnego. Podobne próby zachwiać mogą moc władania sobą nawet osoby, posiadające odwagę i charakter. Hałas, przerywający ciszę nocną w rosyjskich więzieniach kryminalnych, — ciche stąpanie straży, krzyk pijaków przykrępowanych do łóżek w drugiej części budynku i snujące się po głowie młodego dziewczęcia okropne myśli, o mogącym ją tu spotkać gwałcie; jęki i histeryczne płacze innych aresztantek, czasowo uwiezionych w celach na tymże samym korytarzu, nagłe pojawienie się cichaczem, nieznanego oblicza męskiego w okienku drzwi, służącym do kontrolowania więźniów: wszystko to razem, podczas pierwszej nocy stanowi sumę tak okropnych wrażeń, że ich ślady zostają niezatarte w ciągu całego życia. Te wszystkie przejścia są tylko początkiem próby, mogącej zachwiać jej siłę woli i odwagę. Mija jeden dzień — drugi — trzeci — dziesiąty — a biedne dziewczę czeka daremnie jakiejś wiadomości ze świata zewnętrznego, nie wiedząc nawet, za co ją aresztowano. Dwa razy w ciągu doby milczący stróż podaje jej strawę przez małe okienko we drzwiach, ale nie innego nie przerywa jednostajnego, samotnego jej życia. Nie ma ona żadnych książek, żadnych materiałów piśmiennych i nic wogóle, coby mogło rozerwać jej myśli lub też złagodzić przykry nastrój moralny, prowadzący wkrótce do ostateczności. Dręczona bojaźnią niepewności jutra i niepokojem o rodzinę, chodzi po swej celi z jednego kąta w drugi, aż wyczerpawszy wszystkie swe siły pada bezwładnie na wązki tapeczan, szukając we śnie jedynej pociechy przeciw udręczeniom.

Wreszcie, po upływie jakich dni czterestu od czasu uwięzienia, skoro jak się spodziewano, samotność i zgryzota dokonały swego, wzywają ją bez poprzedniego zawiadomienia i bez obrońcy lub świadków, do

generała Strielnikowa. Zaczyna on swoją przemowę, że jest ona oskarżona o bardzo ciężką zbrodnię, podciągającą się pod ten a ten paragraf kodeksu karnego, zagrożający wieloletniem wygnaniem do Syberyi. »Uwzględniając wszakże jej młodość, brak doświadczenia, tudzież tę okoliczność, że prawdopodobnie wciągniętą została w zbrodniczą działalność przez występnych swych towarzyszy, czuje się upoważnionym oznajmić jej, że skoro się okaże skłonną do wyznania prawdy i z całą skruchą i szczerością odpowiadać będzie na zadawane jej zapytania, wtedy może być wypuszczoną na wolność. W przeciwnym razie, jeżeli trwając w uporze okaże się niegodną względów, obowiązkiem jego będzie jako urzędnika państwa, postąpić z nią podług całej surowości prawa«.

Biedne dziewczę wie aż nadto dobrze, że zapowiedziane jej wygnanie na Sybir nie jest czezą pogroźką. Należąc do rodziny »nieblagonadiożnoj« przyszluchiwała się niejednokrotnie opowiadaniom o Maryi Prysiedzkiej*), wygnanej na Sybir w szesnastym roku życia za to, że nie chciała zdradzić swej siostry; słyszała ona także o aresztowaniu w Kijowie w r. 1879 dzieci Iwiczewiczów**), czternastoletniego chłopca i piętnastoletniej dziewczyny, a następnie wygnaniu ich do Syberyi za to,

*) Jan Maksymowicz Prysiedzki jest bogatym właścicielem majątku ziemskiego w gubernii połtawskiej. Jego osobista lojalność dla cara nie podlegała nigdy żadnej wątpliwości. Lecz wszystkie jego dzieci — trzech chłopcy i jedna córka — z powodu różnych oskarżeń politycznych wydalone zostały na Syberję. Dwóch z nich znajduje się w Siemipalatynsku na granicy Azyi środkowej, trzeci w katordze w Karze u źródeł Amuru. Siostra zaś przed niedawnym czasem osiedloną była w Tunce, w pobliżu granicy pomiędzy Syberją Wschodnią i Mongolią. — W czasie podróży mojej do Syberyi miałem sposobność poznania na wygnaniu wszystkich trzech braci; zrobili oni na mnie jak najlepsze wrażenie. Nie spodziewałem się znaleźć w żadnej stronie świata tak dobrze wychowanych i ułożonych ludzi.

**) Dzieci Iwiczewicz — Krystyna, siedmnastoletnie dziewczę z bratem swym, liczącym wtedy lat czternaście, osiedleni zostali w Kierynsku, w gubernii irkuckiej, cztery tysiące mil od Petersburga.
(Przyp. autora).

że dwaj ich starsi bracia, należący do partii rewolucyjnej, stawili opór zbrojny przeciw żandarmeryi, w którym to krwawem zajściu obaj zostali zabici*).

Nie zadziwi też nikogo, że młode dziewczę, odebrane nagle od ogniska domowego, znękanie i zatrwożone, bez obrońcy, nieświadome prawa, nie wsparte radą żadnego ze znajomych w chwili stanowczej, wyrokującej o jej życiu pod wpływem śmiertelnej trwogi, ugnie się i wypowie wszystko surowemu inkwizytorowi. Wypuszczają ją w parę dni zaraz na wolność ale po to tylko, by ją oddać na pastwę zgryzot sumienia za to, że niebaczniem swem zeznaniem wtrąciła do więzienia na długie lata swych krewnych i najmilszych przyjaciół. Zdarza się często, że żadne pogroźki ani też wielotygodniowe zamknięcie nie są w stanie złamać siły charakteru badanej i wymożenia na niej jakiegokolwiek zeznań. W takichto razach władze policyjne chwytają się jeszcze haniebniejszych środków.

W 1884 r. aresztowano w Odesie i uwięziono w wyż opisanych warunkach Maryę Kalużną, siedmnastoletnią córkę tamecznego kupca, podejrzaną o nielojalność. Była to jednak osoba silnej woli i niezłomnego charakteru; wytrzymała ona z całym stoicyzmem przez kilka tygodni wszystkie udręczenia, zadawane jej w celu wydania swych towarzyszy, nie dając żadnych zeznań. Wtedy pułkownik żandarmeryi Katański zwrócił się do podstępny, przedstawiając jej podrobione zeznanie uwięzionych jej współtowarzyszy.

Dokument ten sfalszowany przez żandarmeryę, po party zręcznie ukartowanymi dowodami szpiegów, użyty był w celu wydobywania zeznań od panny Kalużnej, kompromitujących w wysokim stopniu uwięzionych jej współtowarzyszy. Pułkownik Katański oznajmił jej z niesłychaną bezczelnością, że nie przychodzi jako oficer żandarmeryi lecz jako przyjaciel, który pokazując jej zeznanie towa-

*) W starciu tem, mającem miejsce przy ulicy Pańkowskiej dnia 11. lutego 1879, bracia Iwiczewicze Jan i Ignacy zostali ciężko ranni, skutkiem których ran zmarli obaj w szpitalu.

(Przyp. tłum.).

rzyszy, upomina ją zarazem, by w swoim jeszcze czasie pomyślała o środkach ratunku. Dalszy jej opór w powstrzymaniu się od udzielania odpowiedzi na zadawane pytania na nic się nie przyda jej przyjaciółom, gdyż ci przyznali się już do winy. Przedstawia on jej ich zeznania bez porozumienia się z prokuratorem państwowym w tej jedynie myśli, ażeby ją skłonić do wypowiedzenia prawdy z całą szczerością. Na niej samej nie ciąży żaden poważniejszy zarzut, a jedyną przyczyną, tamującą jej drogę do wolności, jest jej uparte milczenie. Władze wymagają od niej jedynie skruchy i konsekwentnego postępowania. Zeznania jej ograniczają się tylko do faktów, wiadomych już policji z oświadczeń jej towarzyszy. Z jakiej racji ma ona narażać swoją młodość i życie na szwank, powodując się złe rozumianem uczuciem honoru, którem nie zmieni i tak już doli współtowarzyszy. Jeżeli pójdzie za jego radą, zostanie bezwzględnie wypuszczoną na wolność.

Ulegając tej namowie, panna Kaluźna oświadczyła się gotową do złożenia zeznań prokuratorowi i udzieliła mu faktów, które podług jej przekonania wiadome były policji z ust jej towarzyszy. Jakoż po dokonaniem oznajmieniu wypuszczono ją zaraz na wolność, gdzie wkrótce dowiedziała się, że jej to właśnie zeznania posłużyły prokuratorowi za podstawę do wytoczenia procesu więzionym towarzyszom, którzy ją w niczem nie zdradzili. Można sobie wyobrazić, jakie męki moralne zgotowała ta wiadomość owej szlachetnej, wspaniałomyślniej dziewczynie. Widziała ona swych przyjaciół, wysłanych do ciężkich robót na podstawie swojego własnego zeznania, a nie mogła dzielić ich losu ani też wytłómaczyć się przed nimi, że sama stała się ofiarą niekzemnego podstępu. Odgrywała ona w ich oczach rolę jakiegoś tchórza, dopuszczającego się zdrady dla ocalenia samego siebie. Na razie zgryzoty i rozpacz sumienia wprowadziły ją w stan obłądki, odzyskując jednak stopniowo równowagę, postanowiła uczynić jakiś krok stanowczy w celu pomszczenia wyrządzonej sobie niesprawiedliwości, z którą nie była w stanie się pogodzić i pokazania światu, że

zdradziwszy nieświadomie swych przyjaciół, gotową jest do dzielenia ich doli. Postarawszy się o rewolwer, udała się dnia 21. kwietnia 1884 r. do kancelaryi pułkownika Katańskiego, a gdy ten wyszedł na jej powitanie, dała do niego ognia. Kula przeleciała koło twarzy pułkownika i zraniwszy go lekko w ucho ugrzęzła w ścianie. Mając jedyne życzenie dzielenia doli zdradzonych swych współtowarzyszy, nie chciała korzystać z pomocy rzecznika, występując w własnej swej obronie. Sąd uznał ją winną zbrodni morderczego zamachu i skazał na dwudziestoletnią katorgę.

W przejeździe moim przez Czytę, stolicę ziemi zabajkalskiej, byłem naocznym świadkiem początku pierwszego aktu tej smutnej tragedii, gdy dnia 8. grudnia 1885 r. Marya Kaluźna w odzieży aresztanckiej wędrowała do katorgi w Karze z pocztem okutych w kajdany aresztantów, wśród dwudziestostopniowego mrozu. Myśląc o tem obecnie, doznaję jakiegoś smutnego zadowolenia, że nieszczęśliwa ta dziewczyna, maszerując etapem, owego ostrego grudniowego poranku, znużona i zziębnięta, wiedziała przynajmniej, że świadkiem tego jej pochodu był podróżnik amerykański, który będąc obeznanym z historią jej życia, poznał świat z przyczyną, skłaniającą ją do zabójczego zamachu.

Zdawaćby się mogło, że podobne wypadki są rzadkie i należą do wyjątków; muszę wyznać niestety, że o podobnych historyach nasłuchałem się dość od wygnańców politycznych w różnych częściach Syberii, a także od rosyjskich urzędników. Podstęp, którego ofiarą padła Marya Kaluźna w Odesie, powtarzał się już wielokrotnie w temże samem mieście. Rok przedtem, przedmiotem tej próby była panna Fania Morenis, osiedlona obecnie jako wygnanka w ziemi zabajkalskiej. W tenże sam sposób próbowano podejść panią Kutitanską, przytrzymywaną dotąd w więzieniu w Irkucku*). Obie te jednak próby okazały się daremne.

*) Kutitanska zmarła przed paru laty w więzieniu w Irkucku. (Przyp. tłómacza).

Jeżeli zamknięcie więzienne i podstęp nie osiągną swego celu, wtedy żandarmerya i urzędnicy sprawiedliwości zwracają się do innego, mniej wprawdzie bezpiecznego lecz równie okrutnego środka. Generał Strielników, zwiedzając w marcu 1882 r. ponure i źle wentylowane cele więzienia kijowskiego, uznał je za mało udręczającymi, by usposobić więźniów do złamania uporu i skłonienia ich do składania zeznań, dotyczących ruchu rewolucyjnego; dla zwiększenia ich udręczeń kazał pozasłaniać okna cel więziennych blachą żelazną. Zasłony te w kształcie koszów zakrywały całe okna, przepuszczając tylko trochę światła przez spodnią szczelinę. Tym sposobem więzień pozbawiony prawie zupełnie światła i powietrza, znajdował się zamkniętym jakby w podziemiach. Rękodzielnik, któremu dano do wykonania tę robotę, oznajmił generałowi Strielnikowowi, że kosze te nie przeszkadzają więźniom do wzajemnego porozumiewania się, lecz ten dał mu do poznania, że nie powinno go to obchodzić. Rozumie się, że wśród takich warunków życie więźniów staje się nie do zniesienia. Młode zwłaszcza, nerwowe dziewczęta, chodzą w ciemnościach po swych celach z jednego kąta w drugi, prawie aż do obłądu. Nawet urzędnicy więzienni wyrazili ciemnym swe współczucie i sympatyę. Wreszcie udało się więźniom wysłać podanie do generał-gubernatora Drentelena, w którym proszono go, by zechciał przybyć osobiście do więźniów dla przekonania się o stanie rzeczy. Wskutek tej prośby pojawił się w więzieniu wydelegowany przez Drentelena gubernator kijowski i wszedłszy do celi młodego studenta X. — którego poznałem później w Syberyi — spytał — Jakie jest pańskie zdanie o celu tych żelaznych zasłon? — Pan X. odrzekł, że przybite są z rozporządzenia generała Strielnikowa dla przeszkodzenia więźniom rozmawiania z sobą. — Czy osiągnięto żądany cel? — spytał gubernator. — Nie — odpowiedział student, — skoro tylko sobie pan życzysz to mogę go przekonać, że tak samo można obecnie porozumiewać się ustnie jak dawniej. — Przekonaj mnie pan, proszę — rzekł gubernator. — Pan X. podszedł do okna, zawołał

na jednego z swych towarzyszy, zajmującego podspodnią celę i rozmawiali z sobą, dopóki nie zadowolnił gubernatora. — Pojmuję bardzo dobrze położenie panów — oznajmił on panu X. — obecnie jednak nie mogę zrobić wam żadnej nadziei na polepszenie go. Generał Strielnikow działa jako wyłączny pełnomocnik cesarski i jest niezawisłym nie tylko od generał-gubernatora Drentelena, ale nawet od ministra spraw wewnętrznych. — W takich okolicznościach władze gubernialne nie mogą się do niczego mieszać.

W dniu nawiedzin więzienia kijowskiego przez gubernatora, generał Strielnikow został zabity w Odessie. Natychmiast usunięto z okien blaszane kosze ku niesłychanej radości i zadowoleniu więźniów, którzy podochoceni tym wypadkiem zaproponowali gubernatorowi, ażeby z tych blaszanych koszów kazał mu wystawić nagrobek.

Chciałbym tu choć pokrótce pomówić o innych jeszcze metodach, używanych w celu wydobywania zeznań od osób uwięzionych. Podług mego zapatrywania najokrutniejszym jest przekonywanie starych, osłabionych rodziców, że synowie ich i córki w razie powstrzymywania się od składania zeznań zostaną powieszani na szubienicach. Zagrożonych w ten sposób biednych, starych ludzi, drżących ze strachu, posyłają do cel więziennych, ażeby łzami skłonili uwięzione swe dzieci do składania zeznań. Urzędnicy wiedzą dobrze, że dzieciom tym, nie tylko że nie zagraża szubienica, ale nadto wolne są od takich zarzutów, za które mogłyby być pociągniętymi do odpowiedzialności sądowej. Uwięziono ich wyłącznie na żądanie prokuratora państwowego w celu wymożenia zeznań. Zwiększenie wszakże udręczeń uwięzionych rozpaczliwymi prośbami starych rodziców, jest na rękę przedstawicielowi sprawiedliwości. Napędzenie strachu tym starym ludzimi wyjdzie poniekąd na ich korzyść i nauczy ich zwracania bacniejszej uwagi na swe dzieci; zresztą być może widok zrozpaczonych rodziców i ich łzy rozbroją upor dzieci

i skłonią ich do zdrady swych przyjaciół. Plan ten więc podług zdania urzędników w następstwach swych przynosi korzyść obudwu stronom.

Matka pewnego młodego studenta w Kijowie, Zebuniowa, osoba lat pięćdziesięciu pięciu, zagrożona przez generała Strielnikowa, że syn jej w razie powstrzymywania się od dalszego udzielania zeznań będzie dyndał w powietrzu ze stryczkiem na szyi, tak dalece się przerażała, że zemdląła w jego kancelaryi. Mimo to, wiadomo było dobrze Strielnikowowi, że nie jest w posiadaniu nawet takich dowodów przeciw owemu młodemu człowiekowi, któreby starczyły do stawienia go przed sądem. Nie wytoczono mu też żadnego procesu, lecz wysłano na Sybir porządkiem administracyjnym.

Matce pewnego wygnańca, z którym się poznałem w ziemi zabajkalskiej, osobie wiekowej, oznajmiono, że synowi jej grozi niechybnie szubienica, jeśli nie zezna wszystkiego, o czem wie, i wtedy pozwolono jej udać się do celi więziennej, pod warunkiem skruszenia go do wypowiedzenia prawdy. Tu miała miejsce okropna scena: obłąkana prawie ze strachu kobieta rzuca się na podłogę na kolana przed swym synem, załamane swe oblicze przyciska do jego nóg, zaklinając go na miłość matki i na swe siwe włosy, ażeby odpowiadał na wszystkie pytania, zadawane mu przez żandarmów. — Wrażenie, jakie wywiera podobna scena na więźnia znękanego i wycieńczonego wielomiesięcznym zamknięciem w samotnej celi, kochającego i poważającego swą matkę, którą widział pierwszy i ostatni raz przed wydaleniem na Sybir, jest istotnie rozdzierającym serce. Wreszcie zrozpaczona matka rozstaje się z swym synem jak z umarłym, w pamięci zaś jego, straszna ta godzina zapisuje się głęboko okrutną rozpaczą matki, i walką wewnętrzną względem oddania na usługi policyi najświętszych swych uczuć. Są to wspomnienia wzmacniające nerwy i kamieniejące serce do czasu wybicia godziny zemsty.

Ta gra z najgłębszemi i najdrażliwszemi uczuciami człowieczemi w celu przymusowego wydobycia

zeznań, praktykuje się w mniejszych lub większych rozmiarach we wszystkich więzieniach politycznych. Szczegóły jej są, rozumie się, rozliczne i zależne w danych razach od okoliczności i daru wynalazczego inkwizytora. Tak n. p. jednemu więźniowi po wielomiesięcznym przetrzymywaniu obiecują widzenie się z matką. W niecierpliwem oczekiwaniu spieszy z dozorcą przez długie, ciemne korytarze na dziedziniec więzienny, gdzie na zwykłej drewnianej ławie w odległości pięćdziesięciu stóp od drzwi wchodowych spostrzega oczekującą go matkę. Na widok dobrze mu znanego, ukochanego oblicza, zmienionego i napiętnowanego troską, zabije mu żywiej serce, spieszy więc rzucić się w jej objęcia. Straż jednak powstrzymuje go i oznajmia, że miejscem wyznaczonem na widzenie się nie jest podwórze lecz sala przyjęć, do której go poprowadzą. — Czeka cierpliwie dziesięć minut — piętnaście minut — pół godziny — wreszcie przestępuje drzwi. Spieszy na przeciw niej, — i znajduje się przed prokuratorem, który zwraca się do niego z zapytaniem, czy namyślił się zmienić swój zamiar względem nieudzielania odpowiedzi na zadawane mu pytania. Odpowiada, że przecież zawołano go tutaj w celu widzenia się z swoją matką nie zaś do śledztwa. Prokurator wszakże tłumaczy mu, że widzenie się z krewnymi należy do przywileji, których odmawia się zaciętym i krnąbrnym więźniom; jeżeli więc nie jest w chęci uzupełnienia swych poprzednich zeznań, to zostanie powrotnie odprowadzonym do więzienia. Młody człowiek powraca do celi zrozpaczony i rozgorączony, budząc w sobie nienawiść i żądzę zemsty, podczas gdy stroskana matka, którą widok syna w odzieży areztanckiej, prowadzonego pod strażą wzrusza do głębi, powraca do domu z sercem rozdartem.

Inny wypadek, o którym mi mówiono w Syberii, miał miejsce z młodą kobietą z niemowlęciem u piersi. Powstrzymywała się ona od dawania zeznań w sprawie dotyczącej jej przyjaciół, za co oficer żandarmeryi, prowadzący śledztwo zagroził jej w razie dalszego upor

odebraniem niemowlęcia. Odwoływała się ona z rozżalonym sercem do prokuratora państwowego i spytała go, czy oficerowi żandarmeryi przysługuje prawo odbierania jej dziecięcia za powstrzymanie się od dawania zeznań. Prokurator odpowiedział nie wprost, lecz w sposób wymijający, »że byłoby rozsądniej wcale nie poruszać kwestyi, dotyczącej praw przysługujących urzędnikowi, a tylko wyznać otwarcie wszystko, co jest jej wiadomem, bo w takim tylko razie może być pewną, że nikt jej nie odbierze niemowlęcia«. Ta jednak pogroźka nie złamała młodej, dwudziestoletniej kobiety, pozostała ona wierną swemu postanowieniu i niczem nie zdradziła swych przyjaciół. Nie odebrano jej dziecięcia, ale w ciągu całych tygodni trapiąca była straszną obawą; opowiadając mi tę historję zalewała się łzami.

Poświęciłem dość miejsca przykładom, wykazującym praktykowane nadużycia w więzieniach politycznych w Rosyi w celu wydobycia zeznań od osób uwięzionych, a wypadki takie na każdym kroku nasuwały mi się pod oczy; zbierałem je też żądnie, gdyż one właśnie rzucają światło na charakter usposobienia duchowego, na którym rozwijała się tak zwana działalność rewolucyjna. Z jakiegokolwiek punktu będziemy się zapatrywali na stronę moralną podobnych wydarzeń, przyjdziemy zawsze do jednego wniosku, że tego rodzaju przyczyny wszędzie musiałyby wydać jednakowy rezultat, a więc posądzenie rossyjskich rewolucyonistów o nieludzkie okrucieństwa i szalone mordy, nie jest słusznem.

Należałoby się spodziewać, że urzędnicy, traktujący w ten sposób więźniów, są okrutni i pozbawieni wszelkich uczuć; podobne jednak mniemanie w wielu razach okazuje się mylnem. Wielu z tych urzędników nie są gorsi od innych ludzi, wzrosli oni wszakże pod systemem, nie cierpiącym opozycyi, a w szczególności tego rodzaju opozycyi, która się nazywa w Rosyi niesubordynacją; przywykli oni uważać się władcami ludu nie zaś jego sługami; nie oni to wynaleźli jarzmo ciężące

na karkach ogółu, a długa walka, jaką prowadzą z odważnymi i nieustraszonymi ludźmi, których przyczyni działalności i charakteru nie są im zrozumiałe, rozgoryczyły i zniechęciły ich przeciw nim i skłoniły do uznawania w nich zacofanych fanatyków, odstępców i morderców, i wreszcie nakoniec wiedzą oni, że ich przyszłość i koleje życia zawisłemi są od rezultatów toczącej się walki...

W Czycie w Wschodniej Syberyi, spotkałem się z pewnym oficerem, pułkownikiem Nowikowem, byłym komendantem kozackiego batalionu, utrzymującego straż w katordze w Karze i członkiem sądu wojennego w Odesie, przed którym stawali w r. 1880 pani Rossikowa, panna Anna Aleksiejewna i inni polityczni przestępcy. Był to człowiek, liczący lat około czterdziestu pięciu, kochający bardzo czule swoją rodzinę, zdawał się mieć bardzo humanitarne poglądy względem przestępców kryminalnych i nie robił wcale wrażenia człowieka okrutnego i mściwego. A jednakże ów oficer nadzwyczaj przyjacielski, ugrzeczniiony i wykształcony, wyraził się o przestępcach politycznych, w których procesie brał udział jako sędzia: »Gdyby to zależało odemnie, to kazałbym ich przepędzić przez kiję«. — Ten sposób karania cielesnego był dawniej używany w Syberyi przeciw klasie najgorszych przestępców. Obnażonego po pas przestępcę, oprowadzano pomału pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy, uzbrojonych różgami, oddalonych od siebie na długość karabina. Oprowadzany otrzymywał po nagim grzbiecie jedno uderzenie od każdego żołnierza. Liczba uderzeń wynosiła od dwóch do sześciu tysięcy*). Jeżeli karany przestępca nie był dość silny, to nie wytrzymywał zwykle przepisanych razów, wtedy omdlałego zanoszono z placu egzekucyi do szpitala. Z taką to karą nosił się pułkownik Nowikow w myśli dla więźniów politycznych i tę przedłożył sądowi wojennemu jako jego członek, — skoro w ten sposób będą

*) Statuty o wygnaniu. Prawa państwa rosyjskiego Tom XIV. Część II. paragraf 799.

karać, agitacja polityczna w łeb weźmie. — Wyobraźmy sobie, że podobna procedura względem politycznych przestępców zaproponowaną została przez urzędującego sędziego, nie pojmującego ohydy i barbarzyństwa przedłożonego sposobu postępowania, łatwo możemy pojąć, że wszystkie środki używane przez oficerów żandarmerji i prokuratorów ku wydobyciu z więźniów zeznań, jakimi środkami są areszty winnych zarówno jak niewinnych, przeróżne udręczenia, przestraszanie starych rodziców i t. d., wydawać się im muszą tylko zwykłymi sztuczkami.

To nie są wszystkie jeszcze czynniki, wyjaśniające należyte tak zwaną »politykę grozy«. Dalsze przyczyny owego pięknego, spotęgowanego uczucia, wzywającego do gwałtownego odwetu, jest bezzasadne przetrzymywanie w więzieniach, podejrzanych politycznie przez długie miesiące i lata, w którymto czasie policya wieźrzy i poszukuje w całym carstwie materiału, mającego posłużyć za podstawę do oskarżenia uwięzionych. W roku 1881 podczas procesu carobójców, pan Gerard, jeden z najzdolniejszych adwokatów i najsmielszy obrońca więźniów, zwrócił uwagę sądu na przyczynę takiego stanu rzeczy, przywołując znany powszechnie fakt, że z więcej niż tysiąca osób, aresztowanych od roku 1872 do 1875 r. za udział w tak zwanej »propagandzie rewolucyjnej« — że z więcej niż tysiąca osób, więzionych w ciągu jednego roku do lat czterech — ostatecznie stu dziewięćdziesięciu trzech stawiono przed sądem, i z tej to jeszcze liczby sąd ów, ustanowiony z ramienia rządu, dziewięćdziesięciu uznał niewinnymi*).

Mówiąc innemi słowy, więcej niż dziewięćset osób, uniewinnionych potem przez różne władze rządowe, prze-

*) Odpis urzędowy wyroku sądowego sprawy 193. podpisanego przez nadsekretarza Latowskiego, datowany 15. lutego 1878 r. Odpis ten znajduje się u mnie razem z aktem oskarżenia, któryto dokument zajmuje około 350 stronic in folio, stwierdzony podpisem W. Żelechowskiego, prokuratora państwowego oddziału dla spraw kryminalnych, rządzącego senatu.

(Przypisek autora).

trzymywano w więzieniu od jednego roku do lat trzech, w ciągu którego czasu ośmdziesiąt, czyli dziesiąty procent, zginęło skutkiem samobójstwa, chorób umysłowych i fizycznych*).

Zanim pan Gerard zdołał wypowiedzieć swoje uwagi, sąd przerwał mu mowę i zawezwał go do porządku**).

Mógłbym w razie potrzeby — ograniczając się na dokumentach, znajdujących się w mojem posiadaniu — zapisać całą stronicę nazwisk młodych kobiet i mężczyzn, którzy wysiedzieli w więzieniach po lat cztery i z powodu braku wszelkich dowodów zostali przez sąd uniewinnieni lub też wprost wypuszczeni na wolność bez poprzedniego osądzenia. Policya bowiem, mimo swej nieograniczonej władzy w oskarżaniu i więzieniu ludzi, nie była w stanie im dowieść najmniejszej nawet winy. W innem miejscu opiszę szczegółowo powody, dla których więziono tych niewinnych ludzi. Obecnie chcę zwrócić uwagę czytelnika na ciąg trwania ich aresztu, jako też na fakt uniewinnienia ich przez sam rząd. To wszystko, co wyżej podałem, opiera się nie już na bezstronnych świadectwach pokrzywdzonych, lecz na niezbitych w swej powadze dokumentach urzędowych.

*) Jeden z oskarżonych, śmiały i nieustraszony rewolucjonista Myszkina, podniósł ten fakt w swej gorącej mowie, wypowiedzianej w sądzie, natychmiast jednak kazano mu zamilczeć, a gdy to niepomogło, rzuciło się na niego kilku żandarmów i wyprowadziło ze sali. Ta krnąbrność i obelżywy sposób zachowania się wobec sądu uznane zostały jako okoliczności obciążające jego winę, za co też został skazany na lat dziesięć do ciężkich robót i pozbawienie wszystkich praw stanu. (Wyrok sądu w sprawie 193 str. 13). W jednym z następnych artykułów podam wiadomości, dotyczące życia Myszkina, człowieka najdzielniejszego, z pomiędzy wszystkich innych, jakich wydał ruch rewolucyjny rossyjski¹⁾.

**) Sprawozdanie urzędowe, stenografowane z procesu carobójców w Petersburgu 1881. str. 213—219.

(Przypisek autora).

¹⁾ Patrz Kennan »Syberya«. Serya druga, stron. 142 Lwów 1891.

Następuje się mimowolnie pytanie: »Dlaczego ociągano się tak długo z wydaniem procesu tysiącom uwięzionych?« Odpowiedź rządu brzmi: oskarżeni, zamieszani byli do sprzysiężenia rewolucyjnego, rozgałęzionego po wszystkich miejscowościach państwa i w tak ścisłym pozostawali z sobą związku, że niepodobniestwem było ich sądzić szczegółowo i że urzędnicy cesarscy nie mogli wcześniej wystąpić z sprawą rządową, póki wszystkie dowody przeciw oskarżonym nie zostały zebrane, porównane i uporządkowane*). Osoby jednak oskarżone, pojedynczo i zbiorowo prawdziwość tego twierdzenia podają w wątpliwość. Zeznania złożone przez te osoby nie wskazywały bynajmniej, żeby one należeć mogły do jakiegoś stowarzyszenia rewolucyjnego, a działalność przez nich rozwijana nie podlegała ówczesnie żadnej odpowiedzialności wobec rządu; zresztą, wzwyż trzy czwarte tych ludzi było sobie zupełnie nieznanych, sprawy więc ich mogły być rozбирane oddzielnie, i w istocie sam rząd rozdzielił 193 podsądnych, wcielonych do jednej sprawy, na ośm różnych grup.

Powstrzymując się od wypowiedzenia mojego własnego zdania o zeznaniach więźniów, mniemam zarówno jak wiele innych osób, nie kierujących się uprzedzeniami, że odpowiedź rządu w razie nawet jej autentyczności nie usprawiedliwia należycie jego sposobu postępowania. Wstęp aktu oskarżenia tej sprawy opiewa: »jesienią 1874 roku większość propagandzistów« siedziała w więzieniach, aczkolwiek niektórym z nich udało się uniknąć aresztu i prowadzenia dalej swej przestępnej działalności do początku 1875 r.*). Proces rozpoczął się dopiero 18. października 1877 r.***) tak, że większość propagandzistów włącznie z dziewiętnastoma osobami, niewinnionemi przez sąd, zamkniętą była bez powołowania do śledztwa, trwającego od 1874 r. do 1877 r.; a zatem osoby te więziono przez lat trzy w samotnych celach. Znaczna część oskarżonych jęczała w ponurych

*) Akt oskarżenia w sprawie 193, str. 8.

**) Wyrok w tymże procesie, str. 1.

kazamatach Piotro-Pawłowskiej fortecy, a podług aktu oskarżenia, czterdziestu znajdowało się w więzieniach jeszcze przed rozpoczęciem procesu*).

Mniemanie rządu, że przetrzymywanie w więzieniu dziewiętnastu osób niewinnych przez lat trzy, tudzież ośmdziesięciu innych, równie niewinnych przez lat dwa, nastąpiło z powodu niemożliwości sądenia ich oddzielnie, jako też zebrania oskarżeń przeciwko całemu tysiącowi innych uwięzionych, — nie usprawiedliwia należycie czynionego mu zarzutu o nadużycia i gwałty, zarzutu, opartego na fakcie zwichnięcia egzystencji ośmiuset ludziom, z których ośmnastu zakończyło życie samobójstwem lub obłąkaniem.

Sprawa »propagandzistów« należy do wyjątkowych. Nieznany mi jest przynajmniej inny tego rodzaju przykład, ażeby w ciągu tak długiego czasu przetrzymywano w więzieniu tak znaczną liczbę ludzi bez żadnego śledztwa, między którymi znajdował się tak mały procent winnych. Zresztą śledztwa sądowe w Rosyi prowadzą się żółtym krokiem, a długotrwałe, samotne zamknięcie podejrzanego od czasu jego aresztowania do stawienia przed sąd, który go ostatecznie uznaje niewinnym, naraża więźnia na ciężkie udęczenia, prowadzące do rozpacz. To też jeden z procesu 193, uniewinniony przez sąd, odezwał się do mnie z goryczą temi słowy: »karzą nas w pierw trzechletniem więzieniem, poczem dopiero rozpoczyna się śledztwo sądu nad tem, czy mamy być karani«.

Przebieg śledztwa oskarżonego o polityczne przestępstwo — w normalnych stosunkach — odbywa się w przybliżeniu w sposób następujący: aresztują go zwykle nocą bez poprzedniego ostrzeżenia i wtrącają do więzienia. Po ośmiu do czternastodniowym areszcie w osobnej celi, wzywają go do oficera żandarmeryi do tak zwanego śledztwa wstępnego. Idzie on tam zupełnie nieprzygotowany, ponieważ podług reguły trzymają go w zupełnej nieświadomości co do ciężących na nim za-

*) Dekret do aktu oskarżenia w sprawie 193, str. 1—3.

rzutów. Podług teorii rossyjskiej żandarmeryi, więźniowi, świadomemu swej sprawy, dozwolono jest wyjaśnić swoje domysły o kierunku i celu śledztwa i przedłożyć, w jaki sposób mogłoby ono być umorzonym. Jeżeli zaś nie wie, o co go obwiniają ani też nie wiadomo mu, czy wezwany został w charakterze głównego winowajcy lub też świadka, to w takim razie jako nieprzygotowany do roli, jaką ma odegrać w tej spreparowanej historii, łatwo się da załapać. W usprawiedliwieniu tego sposobu postępowania żandarmi powiadają: »Skoro więzień jest w istocie niewinnym, to mu nie wyjdzie to na szkodę; jeżeli zaś jest winnym, to nie może sobie robić żadnej wymówki za udzielenie zeznań, mogących posłużyć do wprowadzenia w błąd obecnie śledczego i unieważnienia rezultatu oskarżeń. Obecnie przedmiot śledztwa powinien być mu obojętnym. Obowiązkiem jego jest mówić prawdę na wszystkie zapytania«.

Więzień stąpający tak po omacku, rozumie się, jest szkodliwy dla siebie i swych towarzyszy. Odpowiada on na zapytania, nie wiedząc sam, dokąd one zmierzają; uchylaniem się od dawania odpowiedzi przedłuża może niepotrzebnie swój pobyt w więzieniu, następcząc żandarmom sposobność do wymuszania zeznań sposobami powyższymi.

Większość więźniów wybiera drogę pośrednią: — odpowiadają na niektóre zapytania, powstrzymując się od odpowiedzi na inne. Śledztwo jest ukończone, jeśli oficer miarkuje, że nic więcej wyciągnąć nie może. Więzień powraca do swej celi i mijają długie tygodnie, podczas których żandarmi zbierają wiadomości o więźniu od jego znajomych, przyjaciół i wszystkich innych znających go osób i policyi, pod której tajnym nadzorem prawdopodobnie od wielu tygodni pozostawał. Cały ten materiał zostaje doreczonym prokuratorowi państwowemu z raportem i wszelkimi dodatkowymi objaśnieniami, dotyczącymi śledztwa. Prokurator rozpatruje starannie wszystkie zeznania, porównywa zeznania oskarżonego ze świadectwami świadków podług wyjaśnień

i domysłów żandarmeryi i stawia cały szereg nowych pytań, na które więzień ma odpowiadać przy następnym, właściwem śledztwie »daprosie«, po którym to uzupełnieniu sprawa odesłana zostaje do ministra sprawiedliwości.

Należy zwrócić uwagę, że oskarżony do ostatniej chwili nie mógł się nic dowiedzieć, o co go obwiniają; nie wie nawet, czy figuruje jako winowajca czyli jako świadek; zeznania, na których oparto pytania zadawane mu na »daprosie« nie obznajomiły go wcale ze stanem rzeczy; pozbawiony jest obrońcy i wie tylko tyle, że od czasu swojego aresztowania odłączony jest zupełnie od świata zewnętrznego. Trudno sobie wyobrazić cięższego i kłopotliwszego położenia.

Prokurator rozpoczyna »daprosę« oznajmieniem więźniowi, że zbrodnia, o którą jest oskarżony podciąga się pod ten a ten paragraf kodeksu karnego. Większość spraw politycznych odnosi się do paragrafu 245, 249 i 250, które brzmią jak następuje:

»Paragraf 245. Wszystkie osoby, które okażą się »winnymi autorstwa, wydawnictwa jako też rozpowszecznicania książek, broszur, wszelkich druków, pism »ręcznych i wizerunków, mających na celu znieważenie »władzy najwyższej lub też osoby cara, albo naruszenie ustanowionego w państwie rządu; wszyscy ci, jako »dopuszczający się »zbrodni przeciw Majestatowi, »podlegają utracie wszystkich praw stanu i zesłaniu na »lat dziesięć do dwunastu do ciężkich robót. (Kara ta »pociąga za sobą po odbyciu czasu naznaczonego w ciężkich robotach, wydalenie na całe życie do Syberyi).

»Paragraf 249. Wszystkie osoby występujące »z bronią przeciw władzy najwyższej, t. j. osoby przyjmujące udział w buncie przeciw carowi i państwu; »wszystkie osoby, dążące do obalenia ustanowionego »rządu w państwie lub też w jego częściach, lub też »zamysłające o zmianie obecnej formy rządu, albo też »ustanowionej prawa dynastycznego; wszystkie osoby, »które dla osiągnięcia tego celu zawierają stowarzyszenia albo też świadomie do nich przystępują, zbierają »broń, lub ją rozdają, albo też czynią jakiegokolwiek

»przygotowania do powstania zbrojnego; wszyscy ci, »zarówno winowajcy główni jako też stowarzyszeni, pod- »żegacze, pomocnicy i poplecznicy, podlegają pozbawie- »niu praw stanu i karze śmierci. Wszystkie osoby, które »wiedziały o złych zamiarach i przygotowaniach do »nich i które mogły uwiadomić o tem rząd a zanie- »chały tego uczynić, podlegają tejże samej karze.

»Paragraf 250. Jeżeli dowiedzionem zostało, że »obwinione osoby dążyły do osiągnięcia w dalszej lub »bliższej przyszłości, powziętych przez nich celów, obję- »tych paragrafem 249, nie na drodze gwałtu lecz przy »pomocy zawiązywania stowarzyszeń, lub też przyjmo- »wały udział w tego rodzaju stowarzyszeniach; podle- »gają karze w miarę stopnia winy, zesłaniu do cięż- »kich robót od lat czterech do sześciu i pozbawieniu »wszelkich praw stanu (tudzież wydaleniu na całe ży- »cie do Syberji)..., albo wydaleniu do Syberji (z uwol- »nieniem od ciężkich robót); albo od czterech miesięcy »do roku i czterech miesięcy ciężkiego więzienia »w fortecy«.

Pozwolę sobie zauważyć, że paragrafy te są dość jasne i zrozumiałe. Obejmują one nie tylko wszelkie czyny, zmierzające ku obaleniu rządu; odnoszą się nie tylko do wszelkiej działalności, mającej na celu zniewa- żenie Majestatu, ale nadto obarczają karą każdy zamysł, skierowany w bliższej lub dalszej przyszłości ku przeprowadzeniu zmian w istniejącym rządzie drogą spokojnego porozumienia się i kształcenia ludu. Niedosć na tem. Na mocy tego prawa człowiek zupełnie lojalny może zostać wygnany na całe życie do Syberji za to, że dorozumiewając się przynależności swych krewnych lub przyjaciół do jakiegoś tajnego stowarzyszenia, nie pospieszyl zawiadomić o tem policyi lub koinendanta żandarmerji.

Mimo, że w początku właściwego śledztwa »dapro- »snu« oznajmiamy więźniowi, że przestępstwo, o które go obwiniają podciąga się pod paragrafy 245, 249 i 250, zawsze nie będzie on miał jasnego pojęcia o naturze swego przekroczenia. Mogą go obwiniać o »zbrodnie

»przeciw Majestatowi« albo też o »zamiar zmiany istniejącego rządu w dalszej lub bliższej przyszłości«, albo o »zaniedbanie doniesienia komendantowi żandarmerji, że jego siostra, brat albo też przyjaciel należą do zakazanego stowarzyszenia«. Obecnie oczekuje on z utrapieniem przysądzonej mu wyrokiem kary, podług której będzie mógł odgadywać zarzucone mu prze- stępstwo.

»Dapros«, czyli śledztwo właściwe, prowadzi się w ten sam sposób co wstępne, z tą tylko różnicą że pod kierunkiem prokuratora, i że obejmuje większą ilość faktów. Prokurator w miarę tego, jak mu czas na to pozwala, zestawia fakta sprawy, zaznacza to wszystko, co uważa za niezbędne do udowodnienia oskarżonemu jego przestępstwa i odsyła akta do ministra sprawiedliwości.

Jeśli w czasie śledztwa więzień nie okazywał się upartym i krnąbrnym, to mu zabezpieczają się pewne przywileje. Dozwolone mu jest widzenie się z krewnymi dwa razy na tydzień, czytanie książek i pisanie listów otwartych. Te wszakże przywileje mają swoje kruczki. Odwiedzający więźnia krewni mogą zostać sami uwię- zieni i wydaleny do Syberji*). Listy jego bywają za- czernione w połowie przez policyą**), a książki dawane

*) Młody rewolucjonista Madejski, powieszony został w Odessie w r. 1880. Małka jego wieśniaczka, dowiedziawszy się, że jej syna osadzili na śmierć, przyszła do więzienia, ażeby go pożegnać. Nie pozwolono wszakże jej zobaczyć się z synem, lecz uwięziono i wygnano »drogą administracyjną« na Sybir.

(Przypisek autora).

**) Jeden z podobnego rodzaju listów znajduje się w mo- jem posiadaniu; zawiera on cztery stronicie ściśle zapisanego papieru. Policya wszystko to zaczerniła z wyjątkiem następu- jących słów:

Mezeń 8. grudnia 1880 r.

Mój drogi Iwanie Iwanowiczu! Posyłam ci ośm rubli. Oto wszystko co ci mogę zrobić w tej chwili (cztery strony zaczernione) Całuję cię serdecznie

(Przypisek aut.)

Aleks.

mu do czytania ograniczają się na biblii i kodeksie karnym*).

W ciągu jakich trzech miesięcy papiery, dotyczące sprawy uwięzionego, powracają z ministerjum sprawiedliwości na miejsce. Tu leżą sobie z jakie sześć miesięcy, zanim zostaną przejrane. Minister w swej konkluzji obiera jedną z czterech dróg. Po pierwsze, jeśli w przedłożonej mu do rozpatrzenia sprawie nie znajduje powodów, usprawiedliwiających uwięzienie podejrzanego, to każe wypuścić go na wolność. Powtóre, jeśli w całej tej sprawie nie znajduje należytej podstawy do oddania jej sądowi, w takim razie odsyła akta na miejsce, z poleceniem przeprowadzenia ponownego śledztwa, co znów trwa z jakich sześć miesięcy. Po trzecie, jeżeli w aktach śledczych nie znajduje usprawiedliwionych powodów do oddania oskarżonego pod sąd, jednakowoż przychodzi do przekonania, że wypuszczenie tegoż na wolność byłoby szkodliwym dla rządu, w takim razie wydała go do Syberyi porządkiem administracyjnym. Po czwarte, jeżeli materyał zebrany przez prokuratora przeciw oskarżonemu okazuje się dostatecznym do oddania sprawy na drogę sądową, w takim razie wytaczają mu proces.

Ministerstwo sprawiedliwości odsyła akta do ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie znów oczekują swej kolei. Ministerstwo spraw wewnętrznych może potwierdzić lub odrzucić postanowienie drugiego. W pierwszym razie akta odsyła się do cara, w ostatnim pozostawia się do dalszej rozważki, albo też zwraca prokuratorowi państwowemu.

*) Biblia i kodeks karny stanowiły cały materyał czytelniczy pewnego młodego człowieka, uwięzionego w Petersburgu, którego później poznałem w Syberii. Czyniono to niewątpliwie dlatego, ażeby z jednej strony pobudzić go do cnót, z drugiej zaś ochronić od przestępstwa. Dla wielu z politycznych więźniów wybór ten jednak jest obfitszym w dzieła naukowe — a podług wyrażenia się niektórych urzędników, podbudzający do buntu — t. j. zbaczający od nauki Chrystusa i zbioru praw rosyjskich, wskutek czego cel wytknięty przez policję, został chybiony.

(Przyp. autora).

Ta długa procedura, zaznaczająca się na każdym kroku zwłoką, będąca koniecznym następstwem nadmiaru zajęć we wszystkich oddziałach ministerjalnych, przedłuża do ostateczności peryod niepewności więźnia. Nie jest on świadom od chwili aresztowania, czy zostanie wypuszczony na wolność, czy będzie sądzonym, czy wreszcie wydalonym do Syberyi. Większość więźniów politycznych, których sprawy mi są znane, wysłani zostali do Syberyi po przebyciu w więzieniu od jednego do trzech i pół lat. W szczególnych razach termin przetrzymywania w więzieniu trwał dłużej. Salomon Czudnowski, znajdujący się obecnie na wygnaniu w Tomsku, oczekiwał w więzieniu na rezultat oskarżenia go, od 27 stycznia 1874 r. do 18 czerwca 1878 r., czyli cztery lata i sześć miesięcy.

Tak długotrwały areszt jest dla krewnych a nawet przyjaciół więźnia, świadomych jego przestępstwa, bardzo przykry, prowadzi zaś do rozpaczki i szaleństwa osoby, przeświadczone o niewinności swych synów, córek, sióstr i przyjaciół, którzy niedoczekawszy się sądu, zakończyli życie swe w więzieniu samobójstwem.

W r. 1886 zmarła w więzieniu w Petersburgu, około dwudziestoletnia panią, nazwiskiem Fedotowa, studentka jednej z wyższych szkół tamecznych. Aresztowano ją przed rokiem jako podejrzaną politycznie i przez ten cały czas przetrzymywano w domu śledczym w osobnej celi, gdzie skutkiem cierpień moralnych wpadła w tak ciężką chorobę, że ją oddano do szpitalu, gdzie zmarła na zapalenie mózgu. Pani Fedotowa, zawiadomiona o śmierci swej córki, udała się do policmajstra z zapytaniem, kiedy odbędzie się pogrzeb jej dziecka, na którym chce być obecną. Oznajmiono jej, że pogrzeb odbędzie się dnia tego i tego o tej a o tej godzinie.

Władze rządowe, nie tylko że wzbronily przyjaciołom zmarłej zająć się pogrzebem, ale nawet niedozwolono dzwonięcia. Obawiano się, ażeby obchód pogrzebowy, w którym wzięłyby z pewnością udział wszystkie koleżanki zmarłej, nie nastreczył powodu do

mów pobudzających i innych jakich seen, mogących zwrócić uwagę publiczną na śmierć młodej dziewczyny, zmarłej w więzieniu za podejrzenie polityczne, niczem jej nie udowodnione. W razie dozwolenia jawnego pogrzebu, koleżanki zmarłej dopuściłyby się mogły jakiej demonstracyi, wystąpiłyby mowy, tak, że musianooby użyć policyi do przywrócenia porządku, czego następstwem byłyby nowe areszty. Prócz tego eskorta policyjna przy pogrzebie robiłaby niemałe wrażenie; znaczyłoby to, że się prowadzi wojnę ze zmarłymi. Zachowanie wszystkiego w tajemnicy zdawało się być jedynym środkiem dla utrzymania porządku publicznego i powstrzymania gorącej młodzieży od czynów popędliwych.

Policmajster wydał rozporządzenie pochowania zmarłej w nocy i wzbronił uwiadomić o tem jej krewnych i przyjaciół; tak się też stało.

Gdy nazajutrz pani Fedotowa w oznaczonej godzinie przyszła do szpitala, dla oddania ostatniej przysługi ukochanej swej córce, oznajmiono jej, że pogrzeb już się odbył. Strapiona matka udała się do policmajstra z zapytaniem, gdzie pochowano jej córkę i otrzymała odpowiedź: »Eto nasze dzieło«, (To rzecz nasza).

O smutnej tej historii słyszałem najpierw od redaktora dobrze znanej gazety petersburskiej, który wszakże nie odważył się zrobić o niej żadnej wzmianki. Toż samo opowiadała mi później inna osoba; ostatecznie miałem sposobność słyszeć o niej z ust pewnego urzędnika szpitala, w którym zmarła owa dziewczyna.

Ażeby wyświecić doniosłość wpływu podobnych faktów na tak zwaną »politykę grozy«, pozwolę sobie czytelnikom tych karteek, zadać następujące zapytanie: »Przedstawcie sobie, że wasza córka jedynaczka, dziewczę szkolne, niespełna dwudziestoletnie, zostało wskutek podejrzenia o nielojalność — aresztowaną, wtrąconą do więzienia, dręczoną przez rok cały w samotnej celi bez poprzedniego osądzenia, gdzie skutkiem odosobnienia, zgryzoty i obawy, zmarła na zapalenie mózgu; nie pozwolono wam było być przy łożu umierającej; podano

wam mylnie czas jej pogrzebu; i ostatecznie na wasze pokorne zapytanie, gdzie pogrzebano wasze zamordowane dziecko, byście przynajmniej mogli świeżo usypaną mogiłę zrosić waszemi łzami, odbieracie od naczelnika policyi brutalną odpowiedź: to rzecz nasza, — co mamy czynić?

Płacić zemstą za podobnie dzikie impulsa i tak haniebną niesprawiedliwość, jest przeciw prawom moralnym i nie po chrześcijańsku — a jeżeli chcecie nawet — karygodnie, jednak po ludzku. Nie potrzeba być na to krwiożerczym, dzikim fanatykiem, ażeby w stanie tak wielkiego rozdrażnienia, w braku innych środków, chwycić się tych, jakie są pod ręką. Opisując podobne wypadki nie mam wcale na myśli usprawiedliwiania działalności terrorystów, a tem mniej upatrywać w morderstwie środka, przeciwdziałającego despotyzmowi, zadaniem jednak mojem jest objaśnić w wszelki możliwy sposób objawy chorobliwej strony życia społecznego i biorąc się do wyjaśnienia tego zjawiska, zdaje mi się, że są takie okoliczności, które mnie zobowiązują do wydania wobec świata korzystnej opinii o rosyjskich rewolucyonistach; oni wszakże potrafią sami przemówić za sobą, jeżeli usta umarłych nie obróćą się jeszcze w proch, a głosów żyjących nie słumią mury więzienne. — Rząd rosyjski ma swoją własną prasę i swych własnych zastępców za granicą; on może, jeśli mu się podoba, nicować swoje metody i reguły dla bronienia się przeciwko bezzasadnym oskarżeniom. Rosyjscy rewolucyonisci, pogrzebani w stepach sybirskich, mogą tylko przypadkowo opowiedzieć swoje koleje życia podróżnikowi z wolnej ziemi i prosić go o oddanie jej pod sąd świata.

II.

Więzienia gubernialne rossyjskie.

Prócz więzienia w Petersburgu, przeznaczonego wyłącznie dla przestępców politycznych, niema w całej Rosyi innego, podobnego zakładu. Osoby, aresztowane w guberniach państwa za polityczne przestępstwa, zmuszone są oczekiwać rozwiązania swej sprawy w więzieniach, zbudowanych dla włóczęgów, złodzieji, fałszerzy i morderców, i przepełnionych zawsze tego rodzaju złoczyńcami. Aczkolwiek polityczni przestępcy odosobnieni od zwykłych, wszelako dzielić muszą z tymi ostatnimi wszelkie dolegliwości i nędzę, będącą koniecznym następstwem przepełnienia więzień, braku kierownictwa i złego stanu zdrowotnego. O ile strasznymi i nieznosnymi są nieraz warunki egzystencji więźniów, dotykalnie czują tylko ci, co mieli sposobność zwiedzać więzienia rossyjskie a jeszcze dotykalniej dają się one we znaki samym więźniom. Ministerstwo spraw wewnętrznych i zarząd centralny więzienny od czasu do czasu podejmują nawet poważne próby w celu poprawienia opłakanego stanu zakładów karnych w carstwie rossyjskiem, jednakowoż próby te przynoszą mały tylko skutek.

Już w roku 1867, baron Welio, najwyższy urzędnik Oddziału policyi wykonawczej, wystosował raport do ministra spraw wewnętrznych, oparty na wizytacyi czterdziestu dziewięciu więzień gubernialnych, w którym wypowiada, że w wszystkich, zwiedzanych przez

niego zakładach karnych, wykrył różnego rodzaju jawne bezprawia. Wykazuje on np., że mało się zwraca uwagi na klasyfikacyę i oddzielanie więźniów; że wielu z więźniów niezsutych i niezdolnych do zbrodni, przebywać musi razem z najgorszymi złoczyńcami; więźniowie nie mają należytej odzieży, wielu z nich jest bosych i w gałganach; kobiety i mężczyźni, dotknięci zaraźliwymi chorobami, mieszczą się w przepełnionych »kamerach«*), nie doznając w ciągu całych dni żadnej pomocy; stan szpitali w ogóle bardzo niezadowolniający; lekarze zaniedbują się w spełnianiu swych obowiązków; przestępcy, którzy odbyli już swą karę, przetrzymywani są w więzieniu wbrew wszelkiemu prawu, zaś rządcy więzień, z bardzo małymi wyjątkami, są ludzie opieszali, niezdolni, i jako tacy nie powinni być cierpieni na swych posadach.

W r. 1869 — w dwa lata później — rzeczywisty radca stanu Kossakowski podjął ponowną podróż inspekcyjną, która doprowadziła go »do wykrycia nieporządków, nadużyć i naruszeń prawa«, co wszystko z dotyczącymi szczegółami zakomunikowane zostało w oddzielnym cyrkularzu naczelnikowi tej gubernii. Minister spraw wewnętrznych zauważył z ubolewaniem, że większość stron wadliwych, wykrytych przez radcę stanu Kossakowskiego w r. 1869, okazała się zgodną z wykazanemi w raporcie, złożonym mu w r. 1867 przez barona Welio. Czyli innemi słowy, nie wprowadzono żadnych ulepszeń**).

W r. 1872, minister spraw wewnętrznych zwrócił ponownie i w sposób stanowczy uwagę gubernatorów na nieporządki i bezprawia, panujące wciąż w więzieniach, znajdujących się pod ich zwierzchnictwem, i wyraził swe ubolewanie, że mimo siedmiu cyrkularzy,

*) »Kamera« nazywają wielką izbę czyli celę, mieszczącą w sobie od dwudziestu do stu sześćdziesięciu więźniów.

***) Cyrkularz Nr. 84 z dnia 27 sierpnia 1872 r.

wydanych już w tej sprawie, nie zaprowadzono dotychczas prawie żadnych ulepszeń*.)

Pomienione zło zapuściło od zbyt dawna nadto głęboko swe korzenie, ażeby mogło być wyplenione cyrkularzami ministeryalnymi, bez względu na energiczny ich ton.

W roku 1879 minister spraw wewnętrznych z powodu raportu, złożonego przez senatora (Grote, wydał ponowny cyrkularz do naczelników gubernii, zwracający uwagę na krzycząco zły stan więzień; dla zapobieżenia mu wydał surowe reguły i polecił ściśle przestrzeganie przepisów prawnych**).

Większość z wspomnianych wyżej cyrkularzy dotyczyła złego stanu, spowodowanego bezpośrednio brakiem należytego kierownictwa i niedostatecznego nadzoru***), wszakże równocześnie z temi poruszono cały szereg innych kwestyj, dotyczących przeważnie spełnienia więzień i złego stanu zdrowotnego. Z całej tej ostatniej seryi okólników okazało się, że »większość więzień w państwie rossyjskiem« jest do tego stopnia przepełnioną, że mieści w sobie trzy do cztery razy więcej więźniów nad liczbę przepisaną****). W jednym z raportów najwyższego urzędnika zarządu centralnego więziennego do ministra spraw wewnętrznych z r. 1883, wykazywano, że w więzieniu gubernialnem w Jelcu zamiast 207, mieściło się 484 osób; w więzieniu gubernialnem w Suwałkach zamiast 165 było 433, zaś w Piotrkowie zamiast 125 aż 652.

*) Cyrkularz Nr. 33 z dnia 6 marca 1879 r.

(Przyp. aut.)

***) Pomiedzy rokiem 1859 i 1879 wyslano trzynascie tego rodzaju cyrkularzy do naczelnikow gubernii, prócz siedemnastu innych odnoszacych sie do szczegolniejszych naduzyc.

(Przyp. aut.)

****) Wyciag z sprawozdania centralnego zarzadu wiazennego za r. 1882. Gazeta »Sybir« 1 maj 1866 r.

(Przyp. aut.)

*****) Wyciag z sprawozdania centralnego zarzadu wiazennego za rok 1884.

(Przyp. aut.)

W rocznikach centralnego zarządu więziennego z r. 1882 podano fakt, że w całym państwie rossyjskiem nie spotkano jednego takiego więzienia, w którymby na każdego aresztanta przypadało więcej nad $2\frac{1}{3}$ stóp sześciennych powietrza, i że w niektórych razach przepełnienie dochodzi do tego stopnia, że na jedną głowę przypada ledwie $1\frac{2}{5}$ stóp sześciennych. Innemi słowy, znajdują się więzienia, w których siedm istot ludzkich mieścić się musi i oddychać w skrzynce, mającej siedm stóp długości, siedm szerokości i siedm wysokości*).

Do tej niesłychanej ciasnoty w więzieniach rossyjskich przyczynia się powolność procedury prawnej rossyjskiej, a więcej poniekąd być może, przetrzymywanie w więzieniach ludzi za nieformalności paszportowe. W niektórych częściach państwa spotyka się pomiędzy więźniami dwadzieścia pięć do trzydziestu nawet procentu tak zwanych »bezpaszportowców«, więzionych z powodu braku dokumentów, dotyczących tożsamości osobistej**).

W roku 1884 zepchano do więzień w państwie rossyjskiem 792.933 osób, z których wypuszczono na wolność 698.418, tak że 1. stycznia 1885 roku liczba wszystkich uwięzionych w cesarstwie zmniejszyła się do 94.515. Z tych zaś wszystkich 26.307 stawiono przed sąd***).

Z cyrkularza tu wspomnianego okazuje się dalej, że w wielu więzieniach nie odłączano mężczyzn od kobiet i że kobiece więzienia pozostawały pod nadzorem mężczyzn; że urzędnicy przeniewierzali się władzy, dozwalając powierzonym ich dozorowi przestępcom taje-

*) Wyciag z sprawozdania centralnego zarzadu wiazennego za r. 1882, gazeta »Sybir« 1. maj 1883 r.

(Przyp. aut.)

***) Sprawozdanie zarzadu centralnego wiazennego za rok 1884, str. 17.

(Przyp. aut.)

*****) Sprawozdanie zarzadu centralnego wiazennego za rok 1884, str. 5—8.

(Przyp. aut.)

mnie zapijać się upajającymi trunkami*); że stan zdrowotny budynku więziennego był zły, studnie zatrute wszędy przez wadliwy stan i niechlujne utrzymanie wychodków, a powietrze zarażone do tego stopnia skutkiem zbytniego ścisku w kamerach, że niepodobieństwem było niem oddychać**), że szpitale więzienne znajdują się w jak najniekorzystniejszych warunkach zdrowotnych, a wiele z nich są zbyt szczupłe i niedość zaopatrzone w środki lecznicze, że chorzy bardzo mało mogą z nich korzystać***), że urzędnicy szpitalni zaniedbują się często w swych obowiązkach do tego stopnia, że należy ich pociągać do odpowiedzialności sądowej. Podług przytoczonego przykładu przez ministra spraw wewnętrznych, lekarz jednego z więzień gubernialnych wypędził do domu jednego z śmiertelnie chorych, wyzwolonych już swych pacjentów, ten zaś idąc etapem zakończył życie na pierwszej stacyi, dziesięć do dwudziestu mil odległej od miasta gubernialnego, w którym był więziony****).

Jak się okazuje z powyższego cyrkularza, stan więzień gubernialnych — podług słów ministra spraw wewnętrznych — jest nadzwyczaj niezadawalniającym, chociaż obraz tam dany dalekim jest od przedstawienia rzeczy w istotnem świetle. Inspektorzy więzień gubernialnych jak Welio, Kossakowski zapatrują się na więzienia w państwie rosyjskiem z jaknajlepszej strony. Gubernatorowie i urzędnicy więzienni zawiadomieni na-przód o ich przybyciu, mają dość czasu do przeprowadzenia w więzieniach należytego porządku; przegląd

*) Cyrkularz ministerstwa spraw wewnętrznych Nr. 33, z 6. marca 1879 r. (Przyp. aut.)

**) Cyrkularz Nr. 266, z 26. grudnia 1866 r. (Przyp. aut.)

***) Cyrkularz Nr. 21, z 30. czerwca 1882 r. (Przyp. aut.)

****) Cyrkularz Nr. 161, z 8. czerwca 1867 r. (Przyp. aut.)

więzień odbywa się zwykle powierzchownie dla formy i rażące tylko nadużycia zaciągane bywają do notatek; zaś stereotypowe frazesy »naruszenie prawa«, »niezwykle niezadowolniający stan« i t. d. w jakich przedstawia się ministrowi spraw wewnętrznych rezultaty oględzin, nie mogą dać czytelnikowi jasnego pojęcia o stanie, do którego stosują te oględne wyrażenia.

Więzienie rosyjskie i sposób życia więziennego.

Artykuły, zamieszczone w niektórych czasopismach rosyjskich, dają nierównie jaśniejsze pojęcie o życiu więziennem w Rosyi, niżeli cyrkularze ministeryalne. Zdarza się, że rzetelny i nie powodujący się względami osobistymi urzędnik więzienny, nie mogący być bezstronnym świadkiem nieładu i nędzy, którym nie jest w stanie zaradzić, wszystko to, co wyniósł z doświadczenia, podaje do którego z czasopism w tej formie, ażeby zostało przepuszczone przez cenzurę. W r. 1885 pan I. Revé urzędnik, mający styczność oficjalną z jednym z więzień w północnej Rosyi, zamieścił w »Wiestniku prawa«, organie towarzystwa prawniczego rosyjskiego, dwa długie, starannie opracowane artykuły pod tytułem »więzienie rosyjskie i sposób życia więziennego«, w których rozwija ponury obraz nieładu więziennego, nieprawości i demoralizacyi. Autor nie waha się utrzymywać, że prawa, podług których powinny być prowadzone więzienia rosyjskie, nie zgadzają się w najmniejszym względzie z prawdziwymi faktami życia więziennego. »Dziewięć dziesiątych tych praw — powiada on — nie znajdują żadnego zastosowania, a pozostała jedna dziesiąta w wykonaniu swem nie odpowiada zupełnie widokom statutów«. Przywodzi on rozporządzenia dla więzień rządowych, podług tomu czternastego »zbioru praw rosyjskich« i wykazuje, że w więzieniach, do których ściągają się jego obserwacye, nie można dostrzedz nawet śladu ich zastosowania. Taki stan rzeczy, podług jego twierdzenia, nie dotyczy tylko jednego, od-

dzielnego więzienia, lecz z małemi, nieznacznemi zbroczeniami wszędzie się praktykuje. — Węzienie, o którym mówi pan Revé, w roku 1870 przedstawiało »małenkie carstwo, w którym prawo zastępowała wola rządu więzienia, do którego to carstwa nie ośmieliły się zajrzeć wyższe władze rządowe«. Prokurator państwowy, który podług przepisu winien zwiedzać więzienie każdego piątku, pokazywał się raz lub dwa razy rocznie. Lekarz nie zwracał uwagi ani na stan zdrowotności budynku, ani na strawę, odzież i obyczaje więźniów, poprzestając na pobieżnej jednotygodniowej wizycie.

Duchowny, którego obowiązkiem jest co najmniej dwa razy tygodniowo pojawiać się w więzieniu w celu pouczenia zaniedbanych więźniów, jako też dbałości o dobro duchowne całej osady więziennej, wcale nie jest widzialnym. Warsztaty więzienne porzucone i w największym nieładzie, a więźniowie zamiast oddawać się pracy, spędzali czas na paleniu tytoniu, grze, zabawach i borykaniu się. Trudno było się spotkać z regularnie podawaną i pożywną strawą; że jednak więźniom pozwolono było wychodzić do miasta i szukać tam zajęcia, przeto zarabiali sobie dość pieniędzy na kupno jada, dzieląc się resztą zarobku z rządcą więzienia, udzielającym im tych przywilejów. — Handel trunkami upajającymi był formalnie zorganizowany, a za przykład opilstwa służył rządcą w własnej swej osobie. Wymierzanie kar dyscyplinarnych zależało od jego humoru, sądził i wykonywał wyroki własną swą pięścią. Komisya ustanowiona dla nadzoru domowego gospodarstwa więzienia nie była w stanie pod żadnym pozorem spełniać swego zadania. »Nie istniała ona — jak powiada pan Revé — w rzeczywistości, lecz była tylko funkcją biurokratyczną«.

Zdaje się prawie niewiarogodnym, ażeby podobny stan rzeczy mógł być cierpianym w więzieniu w Rosssyi europejskiej, jednakowoż jest to faktem, stwierdzonym podpisem jednego z urzędników, a artykuł opisujący ten fakt pojawił się w największej wpływowem czasopiśmie prawniczem carstwa, prawdopodobnie za przyzwoleniem

moskiewskiej komisji cenzurowej. Nie należy jednak mniemać, ażeby władze gubernialne nie były przedsięwzięły możliwych starań w celu zapobieżenia wyż wzmiankowanemu złemu stanowi rzeczy. Ponieważ jednak skłonienie do wprowadzenia w czyn istniejącego prawa więcej zależy od humoru urzędnika, niż od poważnego postanowienia, przeto rezultaty jego były mniej jak zadowolniającymi. Każdy urzędnik, stojący na czele rządu gubernialnego, ma swój właściwy sposób postępowania, swoje własne poglądy, co wszystko odbija się w zarządzie więziennym gubernialnym. Powyż opisane więzienie, miało skutkiem zmiany gubernatorów pomiędzy rokiem 1880 i 1885 trzech różnych rządców, a w zarządzie jego zaszło w tym czasie pięć rdzennych przemian. »Czegóż można — pyta pan Revé — spodziewać się wśród takich okoliczności, jak tylko zupełnego nieładu i dezorganizacji? Tak kierowane więzienie przypomina przysłowie: co nadto słone, to niedobre«.

Pan Revé nie wspomina nic o swych próbach, podejmowanych w celu poprawienia stanu, opisanego przez niego więzienia; wszakże w r. 1882 ogłosił inny urzędnik, prokurator państwowy N. Timofiejew, długie i pouczające sprawozdanie nad podjętymi przez niego próbami w celu poprawy opłakanego stanu innego więzienia gubernialnego, nad którym poruczoną miał inspekcję.

Budynek więzienny — mówi on — był stary, zbudowany, źle wietrzony, z ciemnymi kurytarzami i prześycony tak obrzydliwym odorem zarodków chorobliwych i smrodem wydobywającym się z niechlujnie utrzymanych wychodków, że człowiekowi świeżo przybyłemu niepodobniestwem było oddychać w tej zabójczej atmosferze. W czasie gdy pan Timofiejew miał urzędowy stosunek z tem więzieniem, mieściło się w niem dwa do trzech razy więcej ludzi nad liczbę przepisaną. Dwie trzecie więźniów, nie mogących znaleźć miejsca na narach, spało na gołej, zabłoconej podłodze, bez żadnego przykrycia albo też w kałużach. Wskutek ścisunku i złych warunków zdrowotnych budynku więziennego, dwie do

do trzech czwartych części więźniów nie opuszczają szpitala, a w ciągu jednego lata grasował dwukrotnie tyfus. Łaźnia, znajdująca się przy więzieniu była tak zdemolowaną, że rządcą więzienia zabronił do niej przystępu więźniom; zaś w celach, w których prano bieliznę, zamiast mydła używano gliny. Zapas więziennej odzieży odpowiada tej liczbie aresztantów, jaką miało w sobie mieścić więzienie podług normy przepisanej, że zaś ta była zwykle dwa do trzech razy większą, zatem połowa do dwóch trzecich części aresztantów przyodziana była brudnymi łachmanami, rojącymi się robactwem: nie zmieniali nigdy koszul i chodzili boso. Wypuszczano ich trzykrotnie w ciągu każdej zimy przy -20° Reaumura na wolny zarobek, rozumie się boso. Urzędowym dostawcą produktów spożywczych dla więzienia był burmistrz tego miasta, a że on zajmował się handlem, przeto było mu bardzo na rękę karmić więźniów zepsutymi produktami. Członkowie komisji więziennej schodzili się zaledwie dwa razy rocznie, nie mając najmniejszego pojęcia o obowiązkach, jakimi obarczało ich prawo. Biuro gubernialne więzienne odbywało dwa do trzech posiedzeń w ciągu całego roku, powierzając prowadzenie interesów więziennych obojętnemu na nie i niedołącznemu pisarzowi. Duchowny, którego obowiązkiem było troszczyć się o obyczajne sprawowanie się więźniów i odprawiać mszę świętą każdej niedzieli, odwiedził raz tylko więzienie w ciągu roku i to na usilne życzenie isprawnika »w połowie dla formy i przyzwoitości«. Strażnicy więzienni, otrzymujący miesięcznej pensji piętnaście do dwudziestu marek, więźniom mającym pieniądze, robili sprawunki i zaopatrywali ich upajającymi trunkami. Jeden z nadzorców, przechrzta żyd, sprowadzał do więzienia na noc zwykłą prostytutkę, płatną przez niego miesięcznie, sam zaś chował do kieszeni pieniądze zbierane od więźniów za podtrzymywanie z nią stosunków miłosnych.

Próby reformacyjne.

Gdyby pan Timofiejew był człowiekiem słabym, samolubnym i nieśmiałym, to niezawodnie zachowałyby się wobec tego ogromu nędzy i występków zarówno obojętnie jak wielu innych ludzi, dbających tylko o siebie; pojawiałby się on jak najrzadziej w tem więzieniu, a w swym raporcie rocznym zaznaczyłby, że wszystko znajduje się »w stanie zadowalniającym«; uczuwałby się on także spokojnym na sumieniu, mając na uwadze, że odpowiedzialność za istniejący stan więzienia ciąży więcej na rządcy więzienia, lekarzu, burmistrzu, biurze gubernialnem więziennem, isprawniku, nadprokuratorze i gubernatorze. Na szczęście jednak p. Timofiejew był człowiekiem innego charakteru. Skoro obowiązkiem jego urzędowym było wizytować więzienie, nie omieszkał zwiędzać je bacznie i zarazem składać raporta do rządu więziennego o zastraszającym stanie zdrowotności. Przedstawienia jego jednak nie zwracały na siebie niczyjej uwagi; każdy ze składanych raportów podlegał jednemu losowi. Wreszcie w czasie grasującego w więzieniu tyfusu udało mu się zainteresować tą sprawą lekarza okręgowego i za jego pomocą wyjednać tyle przynajmniej u władz więziennych, że w niektórych celach więziennych powstawiano w okna wentylatory, zaś zebranie okręgowe wydało rozporządzenie, na mocy którego otrzymał z apteki trzydzieści sześć funtów wotryolu dla desinfekcyi lokalu więziennego. Był to nadzwyczaj skromny rezultat zabiegów pana Timofiejewa, jednakowoż zawsze większy, niżeli wszystko to, co zrobiono dla więzienia w ciągu całego dziesiątka lat.

Wtedy p. Timofiejew zwrócił swoją uwagę na walącą się łaźnię więzienną i po przeprowadzeniu urzędowej korespondencji, co trwało wżwyż roku i przedstawieniu trzech różnych planów z kosztorysami i wystaniu ich do Petersburga i po czterokrotnych oględzinach budynku łaźniennego przez gubernialnego architekta, sprowadzonego z miasta położonego w odległości 300 wiorst — który przy tej sposobności schował do swej kieszeni

przynajmniej połowę sumy pieniężnej, wyznaczonej na naprawę walącego się budynku — udało mu się wreszcie nakłonić upartego prokuratora do zatwierdzenia dostawy niezbędnych materiałów budowlanych, jako też pozwolenia użycia więźniów do przebudowania walącej się łaźni. Budynek ów w ciągu czternastu dni został zrestaurowany.

Następna reforma dotyczyła odzieży. Zaraz po objęciu urzędowania przez pana Timofiejewa, pojawiło się u niego dość liczne grono białych, wychudłych z powodu bezsenności i złego powietrza więźniów, pokazując mu »prawie z rozpaczą« swe brudne łachmany, zastępujące im odzież czerniącą się od rojów gnieźdzącego się robactwa; uskarżali się, że od wielu miesięcy dniem i nocą chodzą wciąż w tej samej odzieży, dodając »że owady wyssały z nich już wszystkie siły«.

Pan T. wnosił jedno zażalenie za drugim do swych bezpośrednich zwierzchników, do oberprokuratora; przedstawił mu w słowach wymownych okrutne cierpienia więźniów, prosił ażeby im wydano odzież prawem przepisaną. Oberprokurator odpowiadał, że zażalenia te »stosownie do przepisów prawnych przedłożone będą do bliższej rozważki« i na tem wszystko się skończyło. Wtedy zwrócił się pan Timofiejew osobiście do władz wyższych gubernialnych, nalegając uparcie ażeby przedsięwzięły jakiegokolwiekbądź kroki w celu zaradzenia złemu stanowi rzeczy, który wydaje mu się haniebnym i nieznośnym. Wyżsi urzędnicy odpowiadali mu: mój drogi panie, zło, na które się pan uskarża nie jest niczem osobliwym, praktykuje się ono we wszystkich naszych więzieniach i nie może być zmienionem doraźnymi i nadzwyczajnymi środkami zaradczymi. Pan Timofiejew dla przekonania swych zwierzchników — przynajmniej o cierpieniach więźniów, wynikających skutkiem trapiącego ich robactwa — kazał rozebrać jednego więźnia i zapakowawszy całą jego poszarpaną odzież z rojami robactwa, po należytem owinięciu i opieczętowaniu pakietu odesłał go do oberprokuratora. Tym heroicznym czynem osiągnął on żądany cel; odzież dla więźniów

została przysłaną, ale zarazem ściągnął na siebie niezadowolone prokuratora, który podobne odezwanie się ze strony swego podwładnego uważał jako »ubliżające« i »niestosowne«.

Pan Timofiejew kończy swój opis następującą uwagą: prokurator państwowy, który z poczucia obowiązku przystąpił do urzeczywistnienia reformy więziennej z roku 1864, robi sobie nie tylko osobistych nieprzyjaciół, ale nadto dążenia jego mogą być uważane jako przestępne*).

Przytaczając tu w krótkości artykuł pana Timofiejewa, nie miałem na celu zwrócić uwagi czytelników na kilka gorzkich kropli, dolanych do oceanu nędzy, lecz wykazać tylko niektóre niedostatki beznadziejnego, złego systemu. Zło, przeciw któremu pan Timofiejew walczył tak wytrwale, chociaż bezskutecznie, — jak to mu wyjaśniali wszyscy urzędnicy gubernialni, — jest właściwem wszystkim więzieniom rosyjskim i nie może być usunięte doraźnymi, nadzwyczajnymi środkami ulepszącymi.

Niestusznem i przedwczesnem — rozumie się — byłoby utrzymywanie, że wszystkie więzienia gubernialne znajdują się w Rosyi w podobnie opłakanym stanie jak wyż opisane; nie ulega jednak wątpliwości, że podobnych temu, można spotkać dziesiątki jeśli nie setki. Najlepszym dowodem takiego stanu rzeczy są rządowe wykazy statystyczne. Więzienie opisane przez pana Timofiejewa nie stanowi wcale jakiegoś szczególniejszego wyjątku.

Sprawozdania centralnego zarządu więziennego wykazują, że w roku 1884 w carstwie rosyjskiem znajdowało się 144 więzień, w których liczba chorych przewyższała dwadzieścia procent ogółu więźniów, w tem więzieniu znajdujących się; że w pięćdziesięciu dwóch innych więzieniach liczba chorych przenosiła trzydzieści

*) »Rodzaje więzień. «N. Timofiejew, prokurator państwowy. »Goniec prawa« Nr. 6 str. 284—305, Moskwa, 1. czerwiec 1883«.
(Przyp. autora).

procent; w 25 przekraczała czterdzieści procent; w ośmiu pięćdziesiąt procent, a w więzieniu w Kutais dosięgała do sześćdziesięciu dwóch procent¹⁾. Że przy zestawieniu tych wykazów popełniono małe zboczenia, okazuje się stąd, że w pięćdziesięciu pięciu miejscowościach, przeciętny peryod trwania chorób wynosił wzwyczaj czterdziestu dni na każdą głowę, a w wielu więzieniach chorzy nie opuszczali łóżek w ciągu siedmiu tygodni²⁾. Dodać należy, że prawie wszyscy chorzy cierpieli na szkorbut — chorobę, przeciw której można zapobiedz odpowiednimi środkami ostrożności — a panującą podług raportów w 223 więzieniach i na którą to chorobę w 19 więzieniach odleżało więcej niż dziesięć procent ogółu chorych³⁾. W więzieniach petersburskich, prócz fortecy Piotro-Pawłowskiej i Szlieselburskiej, w ciągu jednego roku zaszło 391 wypadków szkorbutu⁴⁾. Bezprzykładne szerzenie się tej choroby w stolicy państwa lekarze tłumaczą tem, że chorzy przynosili już do więzienia zarodki szkorbutu, a powtóre że jest to choroba zaraźliwa⁵⁾. Tyfus — także choroba dająca się uniknąć przez zachowanie właściwych środków ostrożności — panował podług raportów w 336 więzieniach rosyjskich, chociaż w 45 z nich nie okazało się więcej nad dwadzieścia wypadków; w Odesie zaszło 58 wypadków tyfusu, w Charkowie 73, w Saratowie 121, w Petersburgu 158, w Warszawie 261, w Permie 484, w Moskwie 106. W siedemnastu więzieniach choroba ta wystąpiła jako epidemia, — a w jednym z nich dotknęła wzwyczaj czterdzieści dziesięć procent ogółu chorych⁶⁾. Liczba chorych w szpi-

¹⁾ Sprawozdanie centralnego zarządu więziennego za r. 1884 str. 416 do 218. Petersburg. Ministerjum spraw wewnętrznych 1886.

²⁾ Sprawozdanie centralnego zarządu więziennego za rok 1884. str. 231. Petersburg. Ministerjum spraw wewętrz. 1886.

³⁾ Toż samo str. 222 i dodatek. str. 1—129.

⁴⁾ Toż samo. Dodatek. str. 79—117.

⁵⁾ Toż samo, str. 231—236.

⁶⁾ Toż samo, str. 222—225.

talach więziennych całego państwa rosyjskiego wynosiła w ciągu jednego roku 89.523 oprócz 700 osób chorych umysłowo: zaś ogólna liczba »dni szpitalnych« dochodziła do 2,055.524. Na każde tedy więzienie w carstwie wypadało 101 przypadków chorób rocznie, i 2325 »dni szpitalnych«⁷⁾. Wobec tej urzędowej statystyki zdaje mi się niepodobienstwem utrzymywać lub też wierzyć, ażeby stan wiezienia, opisanego przez prokuratora Timofiejewa, stanowił wyjątek.

Cierpienia więźniów politycznych.

Domiaręm upokarzającego i ze wszęch miar przykrego położenia wykształconych i uciemiężanych więźniów politycznych jest nienależyte ich odosobnianie od najwyuzdańszych przestępców kryminalnych. Cele, zamieszkałe przez politycznych przestępców, były pierwotnie przeznaczone dla najmniejbezpieczniejszych zbrodniarzy, których obecność zagrażała nieraz ich współtowarzyszom pobiciem lub morderstwem; — nawet obecnie jeszcze spotkać można w tych celach pojedynczo więzionych złoczyńców. Sąsiedztwo podobnego rodzaju jest nadzwyczaj przykre dla młodych, niewinnych kobiet, które niejednokrotnie zmuszone są przysłuchiwać się najnieprzyzwoitszym wyrażeniom, wygłaszanym przez najgorsze i najwyuzdańsze zbrodniarki, odgraniczone od nich ścianą przedziałową. Spotykałem w Syberyi młode kobiety, opowiadające mi o tego rodzaju przykrych swych przejściach, a prawdopodobnie było wiele innych, którym względy skromności nie pozwalały się zwierzać przed obcym mężczyzną z przykrych przygód życia więziennego.

W tych samych celach przebywają przestępcy kryminalni, dotknięci ospą lub też innemi chorobami zaraźliwemi. Podług przyjętego zwyczaju w szpitalach wię-

⁷⁾ Toż samo, str. 213.

(Przypisek autora).

ziennych rosyjskich, wszystkich chorych pomieszczają w wspólnych, wielkich izbach, nie robiąc wyjątku dla dotkniętych chorobami zaraźliwymi. Tylko chorych na ospę pomieszczają w celach oddzielnych, znajdujących się na jednym korytarzu z zamieszkałymi przez przestępców politycznych i pozostających pod okiem wspólnego nadzorcy.

Politycznych więźniów, którzy skutkiem samotności i wzruszeń moralnych zapadają na choroby mózgowie, odsyłają częstokroć do oddziału, przeznaczonego dla obłąkanych złoczyńców. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób oddziaływać muszą nieustanne gadaniny i szaleństwa obłąkanych na rozstrojone nerwy chorego więźnia politycznego, uczuwającego być może zboczenia, wkradające się do jego własnego mózgu, a zmuszonego mieć przed oczyma to, czego się najwięcej obawia. Skutki podobnego towarzystwa muszą koniecznie najfatalniej odbijać się na młodych, nerwowych kobietach, których długie zamknięcie w osobnych celach, nabawiło chronicznej histeryi.

Prócz cierpień i niewygód, doświadczanych przez politycznych przestępców i opisanych przez prokuratora państwowego p. Timofiejewa, narażeni są oni często ze strony zwierzchności więziennej na różne okrucieństwa, sprzeciwiające się prawu.

W roku 1879 w więzieniu w Kijowie pomiędzy innymi przestępcami politycznymi byli Władysław Izbički i Beverley; ten ostatni aczkolwiek urodzony w Rosyi, pochodził z rodziny angielskiej. Latem obadwaj ci młodzi ludzie przedsięwzięli śmiałą ucieczkę przez tunel, wydrążony w fundamentach ścian więziennych. Pracowano niezmordowanie nocami w ciągu całych tygodni, posiłkując się w braku odpowiednich narzędzi kubkami cynowymi, kawałkami desek i innymi materiałami, jakie były pod ręką. Ażeby ukryć prowadzenie roboty przed okiem czujnej straży, zakładano starannie podłogę w ciągu dnia i pracowano tylko w porze nocnej. Tunel przeprowadzony był pod całym więzieniem i kończył się za murem obwodowym; dla bezpieczeństwa wszakże

otwór jego nie sięgał powierzchni terenu lecz był ukryty w głębi ziemi. Młodzi ludzie oczekiwali tylko ciemnej nocy dla wykonania swego zamiaru. Traf chciał, że urzędnik więzienny rewidując celę pewnego młodego człowieka w czasie jego nieobecności, wykrył ów tunel podziemny. Ponieważ w swoim czasie w więzieniu w Kijowie zaszło kilka śmiałych ucieczek, rządca więzienia postanowił, ratującym się obecnie ucieczką dwóm młodym więźniom dać naukę, któraby w przyszłości odstręczyła innych od podobnego rodzaju prób. Zamiast tedy przychyceniem ich na gorącym uczynku w celach więziennych ubezwładnić ucieczkę, nie stawiał on im do niej żadnych przeszkód, obsadzając natomiast uzbrojoną strażą koniec wychodowy tunelu. Skoro tylko młodzi ludzie wypełzli z owego podziemnego tunelu na powierzchnię ziemi, żołnierze dali natychmiast do nich ognia. Beverley przeszyty kilkakrotnie kulami padł na miejscu trupem, Izbički zaś został schwytany i powrotnie uwięziony. Dla dania przykładu pozostałym więźniom, obnażonego i okrwawionego trupa Beverleya pozostawiono w ciągu całego dnia na miejscu gdzie go zabito*).

Szczegółów wspomnianego faktu udzielił mi najlepszy przyjaciel Beverleya, który opuścił więzienie kijowskie rankiem tegoż samego dnia. W ciągu całego marszu do Syberyi miał on przed oczyma okrwawionego trupa swego najdroższego przyjaciela, którego więcej kochał nad rodzono go brata. — Zdaje mi się, każdy to przyzna, że rozmyślnie ukartowana przez rządcę więzienia napaść na Beverleya, jest haniebniejszym i podstępniejszym mordem, niżeli zabójstwo dokonane na śpiącym.

Podobne zajścia rozumie się, należą do szczególnych tylko, nawet w najgorszych więzieniach rosyjskich,

*) Zwiedzający w tym czasie więzienie, gubernator kijowski Hesse, kazał sobie przedstawić żołnierza, który zastrzelił Beverleya, i wydobywszy z własnej portmonety banknot pięciorublowy, wręczył go owemu żołnierzowi jako nagrodę za dokonane zabójstwo.
(Przypisek tłumacza).

że jednak zdarzają się niekiedy, za dowód tego posłużyć może okólnik ministryalny z dnia 9. lutego 1870 r. do naczelników wszystkich gubernii, nadmienający o innym podobnego rodzaju wypadku, w którym jednakże odpowiedzialność urzędników więziennych łagodziła ta okoliczność, »że przestępcy urządzili zorganizowaną wyprawę«. Minister oznajmia, »że podobnego rodzaju praktyki niezgodne są z dyscypliną więzienną, uwłaczają godności urzędników więziennych i wywierają szkodliwy wpływ na moralną poprawę więźniów«.

Zbytecznym byłoby podnosić tu doniosłość wpływu podobnych wypadków na życie politycznych przestępców, przetrzymywanych w więzieniach gubernialnych. Słusznie też wyraża się pan Timofiejew w przytoczonym powyż przezemnie swym artykule: »jeżeli prawo wykonawcze wyzuwa kogoś z wolności osobistej, ubezwładnia jego działalność i poddaje go surowej dyscyplinie więziennej, to przynajmniej powinny mu być dochowane przywileje prawem zastrzeżone. Najważniejsze zaś z tego — zabezpieczenie znośnej człowieczej egzystencji, zachowanie życia i nienadwerężanie zdrowia i sił — w większości naszych więzień nie jest przestrzeganiem, a w szczególności w więzieniach odległych, opuszczonych i prawie zupełnie zapomnianych, których nie zwiedza prawie nigdy wyższy jakiś urzędnik i gdzie więźniowie nie żyją lecz wegetują w brudzie, zgniliźnie głodzie i zimnie«*).

Jeżeli prawo zabezpiecza znośny sposób życia oszustom i mordercom t. j. zwykłym przestępcom, stojącym na bardzo niskim stopniu wykształcenia i obyczajności, — to o wieleż więcej troszczyć się ono powinno o osoby młode, wykształcone i dobrze wychowane, którym nie udowodniono świadkami żadnego przestępstwa, ani też nie osądzono o żadne czyny

*) »Rodzaje więzień«. Timofiejew, prokurator państwowy »Goniec prawa« Nr. 6. 305, Moskwa 1 lipiec 1882 r.

(Przyp. aut.)

zdrożne i których występność zasadać mogliby na »zamiarze zmiany, istniejącego rządu« w dalszej lub bliższej przyszłości.

Sposoby porozumiewania się.

Jedyną rozrywką, jakiej doświadczają przestępcy polityczni w ciągu udręczającego i pełnego przykrości życia więziennego, jest wzajemne porozumiewanie się, które aczkolwiek surowo wzbronione dyscypliną więzienną, praktykuje się we wszystkich więzieniach państwa rosyjskiego z wyjątkiem chyba Szlieselburga. Władze więzienne zwykły zwracać się do wszelkich możliwych środków w celu przeszkodzenia porozumiewaniu się więźniów politycznych, usiłowania te wszakże okazują się daremnymi wobec ich rzutkości, sprytu, cierpliwości i wytrwałości. Nawet w ponurych, surowo strzeżonych kazamatach fortecy Piotro-Pawłowskiej, władze więzienne nie były w stanie pozbawić więźniów tej jedynej rozrywki, podtrzymującej ich moralnie i rozpraszającej trawiającą ich troskę.

Porozumiewanie się wzajemne więźniów polega na tak zwanym alfabcie stukającym, t. j. zręcznym zestawieniu liter i liczb w ten sposób, że litery przedstawiają wartości liczebne, zaś liczby równoważniki alfabetyczne. Obecne mnóstwo osób w Rosyi — przynajmniej jedna piąta »niebłagonadiożnych« — posługuje się mową stukającą; w początkach jednakże ruchu rewolucyjnego, zanim »niebłagonadiożność« czyli własność nie-obejująca-nie-dobrego« uznana została za zbrodniącą, udzielanie sobie wiadomości przy pomocy ściany murowanej, było praktykowane w sposób dawno zarzucony przez pospolitych złoczyńców, którzy, że użyję tu ich własnego wyrażenia — »przesmyknąwszy się już przez ogień, wodę i rurę miedzianą, uzyskali stopień »mistrzów sztuki«.

Alfabet stukający.

Utalentowany rosyjski nowelista X —, dwukrotnie wydalany do Syberyi i więziony przynajmniej po razy dwanaście, opowiadał mi przeszłego lata, że nazajutrz po swem aresztowaniu zauważywszy jakieś lekkie stukanie, dorozumiewał się tylko, że sąsiednia cela jest przez kogoś zamieszkałą. Powtarzające się wciąż stukanie, przerywane miarowymi przestankami, naprowadziło go na myśl o chęci sąsiada zawiązania z nim rozmowy. Nie mógł on sobie wyjaśnić, na czym właściwie polega ten sposób porozumiewania się, domyślał się wszakże, że liczba uderzeń pomiędzy dwoma przestankami mogła stać w związku z szeregami liter alfabetycznych, — jedno stuknięcie mogło oznaczać literę »A« — dwa stuknięcia »B«, — trzy »C« i tak dalej do dwudziestego szóstego »Z«. Pierwsza próba okazała, że domysły jego są trafne i że pojedyncze stuknięcia oznaczały: R—o—z—u—m—i—e—s—z P—a—n? Odpowiedział on jedenastoma stuknięciami i przystankiem t—a—k; zaledwie zdołał dokończyć to krótkie słowo, przeświadczył się, że tego rodzaju rozrywka niekoniecznie jest zajmującą. Nieznajomego jednak jego sąsiada próba ta nie zdawała się zniechęcać, zaczął on wystukiwać ponownie, zachowując pewne przestanki, wynikiem czego było oznajmienie: »trzeba się uczyć lepiej: bacność!«. Pan X — zauważał wtedy w kącie sąsiedniej celi jakieś mocne stuknięcie, poczem dało się słyszeć wyraźne kreślenie po ścianie od kąta ku drzwiom na wysokość człowieka, jak gdyby nieznany towarzysz wyciągnął linie poziome na drugiej stronie ściany przedziałowej. Po małej pauzie nastąpiły znowu dwa krótkie uderzenia i zgrzytliwe kreślenie drugiej linii, równoległej do pierwszej, tylko nieco poniżej. Po nakreśleniu siedmiu takich linii, oddzielonych od siebie mniej więcej jednostopową odległością i mocnym stuknięciu po każdej z nich, nieznany sztukmistrz stuknął ponownie i nakreślił sześć linii prostopadłych, krzyżujących się z pierwszymi pod kątem prostym, tak

że można było pochwytać słuchem nakreśloną na ścianie ogromną szachownicę. Pan X. — domyślał się w okamgnieniu znaczenia tej szachownicy i zaledwie nieznany nauczyciel wystukał słowa: »alfabet wstawić do kwadratów«, gdy bystry uczeń nakreśliwszy sobie takąż samą szachownicę na podłodze swej celi, wziął się do wstawiania alfabetu.

Figura jego wyglądała w sposób następujący:

	1	2	3	4	5
1	a	ą	b	c	d
2	e	ę	f	g	h
3	i	j	k	l	ł
4	m	n	o	p	r
5	s	t	u	w	y
6	z	ż	ź		

Po pewnym czasie, wystarczającym panu X. do ukończenia swej szachownicy, nieznajomy więzień rozpoczął nową serję uderzeń w ścianę, zachowując przystanki, zaznaczające szeregi i kratki, w których należało szukać odpowiednich liter. Trzy stuknięcia po sobie następujące, a po nich znowu trzy, oznaczały że sygnalizowana litera znajduje się w kratce trzeciej, trzeciego szeregu; dwa stuknięcia a po nich pięć, oznaczały literę w kratce drugiej piątego szeregu, trzy uderzenia a po nich cztery — literę w kratce trzeciej czwartego szeregu. — Pierwsze pytanie, wystukane przez nieznajomego, brzmiało

3. 3 — 5. 2 — 4. 3 — 4. 4 — 1. 1 — 4. 2 — 3. 2
 2. 1 — 5. 1 — 5. 2 — 2. 1 — 5. 1 — »Kto pan je-
 steś?« Więźniowie wymienili między sobą krótki swój
 życiorys, z którego dowiedział się p. X., że jego na-
 uczycielem stukającego alfabetu jest zwykły złoczyńca,
 oczekujący swojego wydalenia do Syberyi.

Szachownica liczbowa.

Celem szachownicy liczbowej jest po pierwsze, ułatwienie pochwywania liter i słów, po wtóre, utrudnienie ich zrozumienia osobom nie mającym klucza do rozwiązania. Niżej umieszczona figura przedstawia szyfr nader pojedynczy; obejmuje ona 351 do 157 stuknięć; które posunięte mogą być do nieskończoności. Litery alfabetu mogą być ułożone symetrycznie w kwadracie podług dwudziestu czterech rozmaitych sposobów i każdy porządek alfabetyczny może być podwójnie skombinowanym w szeregu liczbowym. Lecz to tylko jest początkiem przeróżnych, skombinowanych systemów, do jakich doszli przestępcy polityczni na zasadzie tak zwanego prostokąta alfabetycznego. Przez skombinowanie szachownicy alfabetycznej z umówionem jakimś słowem czy hasłem, powstaje mowa tajemna, której dotychczas ani biegle »biuro »szyfrowe« ani żandarmerya nie byli w stanie dociec i zdaje mi się nigdy nie dociekną.

Dajmy na to, że mamy wyczytać zlecenie »Floryan uwięziony«, zaś hasło »Wszędobylski«. Litery składające hasło wypisują się pod literami zlecenia tyle razy, ile wymaga zapełnienie wolnej przestrzeni. Wtedy wypisuje się na szachownicy dwa rzędy liczb, odpowiadające rzędom liter i dodaje wzajemnie.

F—l—o—r—y— a—n—u—w—i—ę—z—i—o—n—y
 W—s—z—ę—d—o—b—y—l—s—k—i—W—s—z—ę
 23-34-43-45-55-11-42-53-54-31-22-61-31-43-42-55
 54-51-61-22-15-43-13-55-34-51-33-31-54-51-61-22
 77-85-104-67-70-54-55-108-88-82-55-92-85-94-103-77

Sumy powstałe z dodawania są liczbami szukanimi i mają tę ważną zaletę, że jedna i ta sama liczba prawie nigdy nie stoi pod temiż samemi literami. — W imieniu »Floryan« literę o oznacza liczba 104, podczas gdy w »uwięziony« o oznacza 94; literę y w pierwszym wyrazie liczba 70, w drugim zaś 77; podobnież n w pierwszym 55, w drugim 103. Liczba 77 oznacza w pierwszym f, w drugim y; 85 raz l, drugi znów i, wreszcie 55 n i ę. Przy rozwiązywaniu tajemnego pisma należy liczbę otrzymaną z różnicy poszukiwać w szachownicy odpowiedniej litery.

Przykład ten pokazuje dosadnie, że takie pismo tajemne może być w nieskończonych odmianach, a ponieważ pod jedną i tąż samą liczbą, nigdy prawie nie znajduje się jednakowa litera, przeto nie może być ono odczytane sposobami zwykłymi.

Rozliczne zastosowania pisma liczbowego.

Drugą ważną zaletą pisma liczbowego jest możność wzajemnego porozumiewania się nie tylko przy pomocy stukania lub ustnie, ale także wszelkiego rodzaju znakami na papierze, piasku, deszczułkach drewnianych i t. d. Każdy materiał dający się nakłówać, nacinać lub karbować, użytym być może do pisania tajemnego. Porozumiewanie się ustne przy pomocy alfabetu liczbowego znajduje przeważnie zastosowanie w więzieniach, zwłaszcza przy większej ilości więźniów politycznych. Prowadzą oni wtedy głośną rozmowę liczbami, nie obawiając się władzy, która w celu wzbronienia im tego rodzaju porozumiewania się, zmuszoną byłaby się zwrócić do najsurowszych środków dyscyplinarnych. Karanie cielesne tak wielkiej liczby osób, wrzuconych do więzienia przeważnie za »niebłagonadźność« wywołałoby ze strony przesładowanych »protest głodowy«, który to krok rozpaczliwy, jak wykazały doświadczenia, nie tylko oburza szlachetniejszych obywateli miasta, ale nadto jątrzy przyjaciół dręczonych więźniów i skłania

ich do zamachów na życie urzędników więziennych. Zresztą rządca więzienia obowiązany jest zdać raport o każdym podobnym wypadku ministrowi spraw wewnętrznych, a wynikię stąd śledztwo mogłoby znów wyprowadzić na wierzch różne nadużycia urzędników więziennych.

Mając to na względzie, władza więzienna obawia się protestów głodowych i woli patrzeć przez szpary na małe zbrocenia od ustanowionej reguły, niż doprowadzić do tego, co świat więzienny zwykł nazywać skandalem. Dla zapobieżenia więc rozmaitego rodzaju nieporozumieniom, mogącym oddziaływać niekorzystnie na interesa rządcy więzienia, zmuszony on jest dozwalać więźniom głośnej rozmowy. W 1883 r. każdy, przechodzący koło więzienia w Kijowie, mógł przysłuchiwać się głośnej rozmowie, którą prowadzili między sobą więźniowie umówionemi liczbami w każdej niemal godzinie, zarówno dniem jak i nocą. Wszyscy prawie wyznańcy, których poznałem w Syberyi, posiadali znakomitą wprawę w udzielaniu sobie wiadomości zapomocą stukania lub też ustnie liczbami z prędkością dziesięciu do piętnastu słów na minutę.

Więźniowie mają taką wprawę w sygnalizowaniu liczbowego alfabetu, że porozumiewać się mogą nie tylko stukaniem lub też ustnie, ale nawet ruchem ręki. Tak np. więzień staje w celi przed palącą się na stoliku świecą i machaniem książką lub też chustką porozumiewa się przez okno z swymi przyjaciółmi, mieszkającymi w pobliżu więzienia.

Ze wszystkich znanych sposobów porozumiewania się przy pomocy szachownicy liczbowej, najdowcipniejszym i najzręczniejszym jest ten, jakiego używają więźniowie w celu udzielenia różnych tajemnych zleceń swym krewnym i przyjaciółom w listach otwartych, przechodzących przez ręce urzędników. Po ukończeniu śledztwa właściwego z przestępcą politycznym, gdy akta jego odesłane zostały do ministra sprawiedliwości, dozwoloną jest mu zwykle korespondencya z rodziną i krewnymi. Wszystkie jednakże listy idą na ręce pro-

kuratora i oficera żandarmeryi, którzy nie tylko odczytują je najstaranniej ale nadto poddają przeróżnym próbom fizykalnym i chemicznym w celu przeświadczenia się, czy nie zawierają jakich zleceń, pisanych sekretnym atramentem. Mimo tych wszystkich środków ostrożności udaje się więźniom politycznym przy pomocy szachownicy liczbowej zamieszczać niepostrzeżenie w listach, tak ściśle kontrolowanych przez władze, przeróżne zlecenia tajemne. Przykładem tej manipulacyi może posłużyć list pewnego więźnia poniżej umieszczony:

List twój otrzymałem przed kilkoma dniami i ucieszyłem się bardzo że w domu wszyscy są zdrowi i że otrzymaliście mój list z dnia dwudziestego zeszłego miesiąca.

W całym tym liście nie zdaje się być nic podejrzanego i z dziesięciu przeglądających go urzędników, dziewięciu z pewnością nie doszukawszy się nic szkodliwego, wyszła go do miejsca przeznaczonego, — a mimo tego zawiera on w sobie słowa: »Jan niech ucieka, bo go uwiężą«.

Rozdział wyrazów jest tu następujący:

Lis—tt—w—o—jotr—zy—małe—mp—rze—d—ki—
—l—k—omad—ni—amiiu—ciesz—yle—m—sięb—ard—
z—oż—e—wdo—muw—s—z—y—scy—sązd—row—ii—
żeot—rzym—ali—ściem—ójl—istzd—niad—wud—z—
ie—st—egozes—zł—e—go. Ilość liter, składających pełną grupę stanowi liczbę, każde zaś dwie liczby tworzą numer, odpowiadający literze zamieszczonej w szachownicy alfabetycznej. Grupy te wyrażają następujące liczby: 32—11—42—42—31—21—14—25—53—14—
31—21—33—11—13—43—24—43—53—54—31—22—
62—12, które w szachownicy alfabetycznej oznaczają:

J—a—n—n—i—e—c—h—u—c—i—e—k—a—b—o—g—o—u—w—i—ę—ż—ą. Przy odczytaniu listu nie powinno się zwracać żadnej uwagi na przerwy pomiędzy pojedynczemi słowami, jeżeli zaś przerwa rozpoczyna nową grupę liczbową, w takim razie przy ostatniej literze wyrazu, jak np. »przed» »ucieszyłem« wyciąga się ku górze nieznaczna kreseczka. Podana powyż metoda porozumiewania się pisemnego obecnie znaną już jest rosyjskiej żandarmeryi, długo jednak korzystali z niej więźniowie polityczni i w odległych więzieniach gubernialnych po dzień dzisiejszy nią się posługują.

Nic tak nie ochraniało więźniów politycznych w samotnych celach od samobójstw i obłąkań, jak porozumiewanie się z sobą przy pomocy szachownicy liczbowej. Zupełne odosobnienie i spodziewana najsurowsza kara, wśród więziennej samotności i zerwaniu wszelkich stosunków ze światem, zatruwają życie ludziom wykształconym, prowadzą ich do samobójstwa lub też w stan apatyj, kończącej się pomieszaniem zmysłów. Możliwość nawiązywania jakichkolwiek bądź stosunków i powierzania swych uczuć i myśli innej istocie człowieczej, budzi pewne zajęcie wśród najcięższych nawet warunków i okoliczności, zaś obmyślanie środków dla porozumiewania się z sąsiadem wobec czujnej władzy, jest jednym najważniejszym zajęciem, zabezpieczającym więźnia od strasznych następstw, jakie mu gotuje samotność. Dziesiątki więźniów politycznych przypłaciło swój pobyt w więzieniach pomieszaniem zmysłów, lecz nierównie więcej padłoby ofiar, gdyby więzionym rewolucjonistom nie było się udało przerywać zabójczej samotności wzajemnem porozumiewaniem się przy pomocy dowcipnie obmyślanej metody liczbowej.

III.

Więzienia polityczne rosyjskie.

Forteca Piotro-Pawłowska.

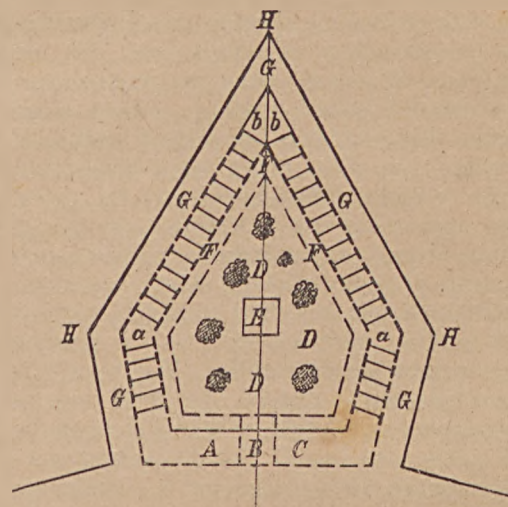
Wielkie więzienie stanu rosyjskie — więzienie, w którym od dawna po dzisiejsze czasy przetrzymywani są najważniejsi i najniebezpieczniejsi przestępcy polityczni — jest forteca Piotro-Pawłowska. Każdy podróżny, zwiedzający Petersburg, zauważyć musiał smagłe, połączone wieżyce, wznoszące się naprzeciw pałacu zimowego na wysokość jakich czterdziestu stóp ponad niskimi brzegami Newy i połyskujące zdala jak najeżone złote piki po nad błotnistą deltą rzeczną i płytkimi wodami fińskiej zatoki. To jest wieża cerkwi katedralnej fortecznej, pod którą spoczywają szkielety carów rosyjskich i w pobliżu której, grzebią wrogów carstwa. Patrząc od rzeki, ku której zwrócona jest frontem ta forteca, widzi się tylko długi, niski, szary mur z występującymi węglami, kilka pozycyjnych dział, chorągiew powiewającą na wale, dominujące po nad wszystkim białe dzwony, błyszczącą wieżę cerkwi katedralnej i dymiące się kominy carskiej mennicy. Głównym wjazdem do tej fortecy jest długa, sklepiona brama, wychodząca z muru parkowego w pobliżu mostu troickiego. Park ten, wcale obszerny i ocieniony, otwarty jest w ka-

źdej godzinie dnia dla mieszkańców przyległej mu części miasta, zwanej »Stroną Petersburską«. Żaden jednak z odwiedzających ów park nie jest w możności wyrobić sobie bliższego pojęcia o rozkładzie i rozmiarach tego największego więzienia stanu w Rosyji. Forteca ta w całości tworzy niesłychanie wielką flosć bastyonów, fortów, wałów, koszar i magazynów, zajmujących przestrzeń przynajmniej ćwierć mili kwadratowej i odciętą jest od wspomnianego bulwaru nawodnionym kanałem, oddzielającym zarazem cytadelę czyli właściwą fortecę od grupy gmachów carskich. W której części tego labiryntu murów, bram, bastyonów i szańców zamknięci są więźniowie polityczni, tego oni sami wiedzieć nie mogą. Przywożą ich tu żandarmi nocą w zamkniętych kibitkach, a gdy minąwszy mnóstwo zaułków, placów, sklepionych bram, zatrzymują się przed bastyonem, nie widzą nic więcej przed sobą prócz małego obwarowanego muru dziedzińca i kawałka nad nim zawieszzonego nieba. W której części fortecy znajduje się ów dziedziniec, o tem nic pewnego wiedzieć nie można. Domyślają się tylko, że więzienie politycznych przestępców mieści się w bastyonie, położonym nad rzeką w kierunku giełdy, na pewne jednak twierdzić o tem nie można. Ze wszystkich objaśnień, udzielonych mi w tym przedmiocie od wygnańców politycznych w Syberyi, dowiedzieć się mogłem tyle tylko, że uwięziono ich w bastyonie Trubeckiego, plan której to części fortecy sporządzony podług ich opisu, podaję poniżej.

Bastyon Trubeckiego.

Bastyon Trubeckiego jest pięciokątnym, dwupiętrowym gmachem, zbudowanym nadzwyczaj mocno z kamieni i cegieł. Mieści się on w podwórzu, którego długość i szerokość nie przenosi 25 do 30 stóp obszaru, zajmowanego przez sam budynek i obwiedziony jest naokół w odstępnie 12 do 15 stóp murem obwodowym

z załomami, odpowiadającymi węglom bastyonu. Kazały, czyli cele zamieszkałe przez więźniów politycznych, zajmują obadwa piętra głównej części budynku i dotykają wąskiego podwórza z jednej strony — zaś obszernego, wewnętrznego z drugiej. Drzwi cel wychodzą na korytarze, ciągnące się naokoło podwórza wewnętrznego,



A Kordegarda. B. Przechód sklepiony, wiodący na dziedziniec. C. Kuchnia. DD Dziedziniec. E Łaźnia. aa Stacyja dla nadzorców. bb Cele więzienne ciemne. FF Korytarze, prowadzące do cel więziennych. G Wązki korytarz pomiędzy bastyonem a murem wewnętrznym. H Mur obwodowy.

okna zaś, na mur obwodowy, dorównywały wysokości samemu bastyonowi. Mur ten nie tylko zasłania widok na zewnątrz, ale nadto nie dopuszcza światła i powietrza do cel pierwszopiętrowych. Liczba cel więziennych w całym bastyonie wynosi 72 t. j. po 36 na każdym piętrze; wszystkie cele są jednakowych rozmia-

rów z wyjątkiem kątowych. Ponieważ kazamaty te pierwotnie służyć miały dla dział pozycyjnych, ciężkich, przeto są one o wiele obszerniejsze od zwykłych cel więziennych. Mają one długości około 24 stóp, 16 stóp szerokości, a wysokość sklepienia dochodzi do stóp 12; podłoga wszędzie cementowana. Ściany cel są niezwyklej grubości, a w głębokich, sklepionych framugach, na wysokości ośmiu do dziewięciu stóp nad podłogą umieszczone są okna podwójnie okratowane. Dolne ich skrzydła opatrzone zawiasami i odmykają się dla odświeżenia powietrza. Ponieważ okna są umieszczone w tak znacznej wysokości ponad podłogą, przeto więzień nie jest w stanie dosięgnąć ich bez jakiejś podstawki, a oko jego nic więcej nie widzi prócz muru obwodowego i kawałka nieba. Ciężkie, drewniane drzwi cel, opatrzone są we środku czworokątnym otworem, zamykającym się odpowiednią kłapą, przytwierdzoną na zawiasach. Kłapa ta opuszczona poziomo, tworzy stolik, na którym straż stawia więźniowi jedzenie. Tuż ponad tą kłapą znajduje się wązka szpara, nie większa jak w skrzynkach na listy, zakrywająca się deszczułką. Więźniowie nazywają tę szparę »Judaszem«, dlatego, że służy ona straży do obserwowania w celi więźnia, w każdej godzinie, bez zwracania na siebie jego uwagi. Sprzęty każdej celi składają się z zwyczajnego rosyjskiego pieca, opalanego z korytarza, z żelaznego łóżka, przymocowanego nieruchomo do ściany, pułki czyli płyty żelaznej, przymocowanej także do ściany nad łóżkiem w głowach i służącej zarazem jako stolik, z miednicy żelaznej, skrzynki drewnianej, mieszczącej naczynie do odchodów, małego wizerunku Matki Bożej, do której więzień zanosić może swoje modły, wreszcie z kubka cynowego, zawieszzonego pod oknem, do którego ścieka kroplami wilgoć z okna celi. Kazamata robi wrażenie posępne, ponure i wstrętne; niezwykle grube mury, sklepienie, żelazne kraty, ciężkie, wilgotne powietrze, wszystko to przypomina wnętrze grobu.

Pierwsza noc w fortecy.

Skoro więźnia politycznego przywiozą do fortecy w porze nocnej, rozbierają go zaraz do naga i rewidują nie tylko jego odzież ale i osobę. Poszukiwania przedmiotów wzbronionych odbywa się we włosach, ustach, uszach i nozdrzach, a w razie znalezienia czegoś podejrzanego zabierają mu własną jego odzież, zastępując ją więzienną, składającą się z grubej, lnianej, szarej koszuli, takichże spodni, niebieskiego, płóciennego chałatu, wełnianych skarpetek i filcowych pantofli. Za ledwie przywdzieje na siebie tę nową odzież, straż odchodzi, zatrząskuje za sobą ciężkie drzwi celi, klucz zgrzytnie w zardzewiałej kłódce i więzień zostaje sam na sam w mgławo oświetlonej celi. Panuje w niej istotnie cisza grobowa. Żadne stąpnięcie, żaden głos, żaden nawet szmer nie zdradza obecności żyjącej istoty w bastyonie. Co ćwierć godziny wygłaszają dzwony cerkwi katedralnej długą melodyę, odnoszącą się do słów rosyjskiej liturgii: »Zmiłuj się o Panie!« i co godzinę rozlega się śpiew cerkiewny »jakże wspaniała jest nasz Pan w Syonie!« Wilgotne, ciężkie powietrze, ociekające ściany, przygębniąjąca cisza i słaby, przytłumiony odgłos dzwonów, wydzwaniających smętną melodyę liturgii cerkiewnej, wszystko to zdaje się mówić do opuszczonego i stroskanego więźnia: »Pogrzebanym jesteś za życia«. Dręczony złowrogimi myślami, zapowiadającemi koniec wszelkim jego nadziejom i usiłowaniom i walce o dobro ojczyzny, pełen trwogi i niepokoju o los najbliższych mu i najmilszych osób, podnosi się z swego żelaznego, wązkiego łóżka, na które go rzucił pierwszy poryw rozpaczony i zaczyna chodzić wokół swej celi, pytając sam siebie: »Jak długo to wszystko potrwa«. Rozważa pilnie wypadki, poprzedzające jego aresztowanie, przypomina sobie pytania, zadawane mu na pierwszym śledztwie i zaczyna wyrabiać sobie wyrozumiały wyrok o własnej swej sprawie i trwaniu aresztu. Przestępstwo, którem go obciążają, podług jego sposobu zapatrywania nie należy do ważniejszych i nie

towarzyszą mu żadne okoliczności, opóźniające śledztwo; prawdopodobnie więc za parę tygodni wezwany zostanie do sądu, który go wypuści na wolność. (Gdy jednak ten promyk nadziei błysnie w jego sercu, schyla się by nałożyć na nogi spadające z nich pantofle i wtedy po raz pierwszy dostrzeżę w swej celi wydeptaną ścieżkę. — Ogarnięty nieokreśloną trwogą bierze lampkę do ręki i poddaje rzecz bliższej rozwadze. Obecnie widzi dotykalnie ścieżkę, wydeptaną ludzkimi stopy w twardej cementowej posadzce. Smutne znaczenie tego odkrycia przejmuję go jakimś złowrogiem uczuciem... A więc nie on to pierwszym więźniem, którego ma pochłonąć ta kazamata i nie pierwszym, szukającym w fizycznym ruchu ulgi przeciw rozstrojowi duchowemu. Poprzedził go ktoś podejrzany o przestępstwo polityczne i ten ktoś wydeptał swojemi stopami tę ścieżynę, łudząc się spiesznie ukończeniem śledztwa. Ów poprzednik jego żywił także w swem sercu nadzieję na odzyskanie wolności, lecz utracił ją, zaczął chodzić po tej kazamacie z jednego kąta w drugi, póki zmęczoną stopą nie wydeptał tej ścieżki w twardej posadzce. Ten smutny dowód samotności i opuszczenia nieznanego poprzednika, staje się dla więźnia źródłem największych katuszy, zabija on go nierównie więcej, niżeli wszystkie przykrości doznane tu od chwili uwięzienia. Przywołując pamięcią historię dekabrystów, przekonywa się, że wielu z tych dzielnych rewolucjonistów, stawszy tu najlepsze lata swej młodości, pomarli lub też pokonczyli swe męczeńskie życie samobójstwem i obłąkaniem. Jeden z nich, nadporucznik Batienkow, przejeżdżał tu w samotności blisko ćwierć wieku*); inny znów, kadet floty morskiej

*) Znany jest dobrze zamach rewolucyjny, podjęty przez wielu oficerów armii rosyjskiej w celu obalenia z tronu cara Mikołaja I. i zaprowadzenia rządów konstytucyjnych. Nadporucznik Batienkow, uczestnik tego ruchu, więziony był w samotnej celi fortecy Piotro-Pawłowskiej od grudnia 1825 r. do lutego 1846. W ciągu całego tego czasu nie opuszczał fortu aleksiejewskiego i nie widział nigdy nikogo więcej, prócz straży. Dozwolono mu było mieć u siebie biblię w języku hebrajskim i słownik hebrajsko-

Dybow, skończył dni swe jako więzień; trzeci, porucznik Zaikin, nie mogąc znieść mąk, jakie mu sprawiała samotność więzienna, roztrzaskał sobie głowę o ścianę, podczas gdy czwarty, dając pierwszeństwo męczeńskiej śmierci nad życie, pełne udręczeń moralnych, otrul się połknięciem kawałków szkła z wybitej szyby*).

W teże samej fortecy jęczał w samotności inny znów oficer, aż pewnego razu straż zawiadomiła władze, że nie daje żadnej odpowiedzi na zadawane mu pytania, zaś śledztwo urzędowe sprawdziło, że zupełnie zniedołężniał. Nie mógł on nic jeść ani pić, tylko wykonywał machinalnie to wszystko, do czego wzwycało go długotrwałe zamknięcie. Żył on, lecz z jego zmartwiałyh ciężkich oczów znikła ostatnia iskra ducha człowieczego, całymi dniami siedział na swem łóżku patrząc nieruchomo przed siebie**).

rossyjski, przy pomocy którego przełożył stary testament na język rosyjski. To zajęcie umysłowe ochroniło go prawdopodobnie od samobójstwa, którego się najczęściej lekają przestępcy polityczni, a które jest koniecznym następstwem dłuższej samotności. Cały materiał literacki nadporucznika Batienkowa w ciągu lat dwudziestu ograniczał się na słowniku i kilku książkach treści religijnej — nie spotykał się on z żadną gazetą, ani też nie miał żadnych stosunków ze światem zewnętrznym. Był on istotnie pogrzebany za życia. Wreszcie w miesiącu lutym 1846 r. wypuszczono go z więzienia i wygnano do Syberji Wschodniej. Niektóre ciekawe wypadki z jego życia, znajdują się w liście jego przyjaciela p. A. Luchtowa, zamieszczonego w gazecie irkuckiej »Sibir« z 30. stycznia 1883 r. i w dziele Maksimowa »Syberja« i ciężkie roboty« tom II. str. 166. (Przyp. autora).

*) »Wspomnienia Dekabrysty« str. 185. A. Bielajew. Petersburg 1892. Cenzura wykreśliła wiele z manuskryptu p. Bielajewa, lecz nadmienione tu szczegóły zostały wydrukowane. (Przyp. autora).

**) Nazwisko ani też przeszłość tego oficera nie są znane. O jego uwięzieniu opowiadali żandarmi pełniący straż przy Aleksiejewskim fortecy, których w sierpniu b. r. wygnano na Syberję za dozwole nie więźniom politycznym znużenia się ze swymi przyjaciółmi. Podług słów tych żandarmów zniedołężniały ów oficer przed wielu laty został uwięziony w fortecy za jakąś wielką obrazę wyrządzoną cesarzowi Aleksandrowi II. Przyczyna tej obrazę miała być uwiedzenie jego siostry przez cara. Nie

Wzruszony temi smutnemi wspomnieniami życia fortecznego, więzień nie jest w stanie chodzić dalej po swej celi. Zdaje mu się, że duch grozy, zasklepiony w tej podłodze, udziela się stopom jego, a każdy krok jego budzi w wyobraźni obraz cierpień, których on sam może stać się pastwą. — Rzuci się znowu na wązkie łóżko i śledzi pilnie za jakimkolwiek bądź objawem z świata zewnętrznego, za jakimś choć stabiutkim znakiem działalności ludzkiej, ażeby nią rozprószyć trapiące go widzenie jakiejś ciemnej jaskini, w której błakają się cienie dręczonych samobójców i obłąkańców i która ma go żywcem w siebie pochłonać. Dzwony cerkwi katedralnej wydzwiewają ponownie: »Zmiłuj się o Panie!« Wkrótce jednak przebrzmia odgłosy błagalnej prośby i zapanuje cisza grobowa. Nagle, uderza wzrok więźnia para nieruchomych oczu, jakby wprawionych w otwór drzwiowy. Chorobliwa wyobraźnia więźnia, miotanego wstrząśnieniami moralnemi i uczuciem trwogi, upatruje w tem zjawisku cienia politycznego samobójcy, zagląającego w północnej godzinie do wnętrza kazermy, w której ongi jego cielesna powłoka leżała na posadzce z rozbitym czerepem. Ale nieruchome oczy wywołane przed chwilą jakby czarodziejskiem zaklęciem, nagle znikają, a lekkie stuknięcie opadającej zasuwki »Judasza«, w otworze którego tkwiły te oczy, daje do poznania więźniowi, że należą one do szpiega. Po małej uldze następuje jeszcze większe rozdrażnienie, wywołane obecnie zrobionem spostrzeżeniem. Wzrok nadprzyrodzony przybysza zdawał się nierównie sympatyczniejszym i obudzającym współczucie, niż bezwyraziste, wstrętne oko nieznanego szpiega, śledzącego go w każdej chwili przez szparę »Judasza«. Odkrycie to zatruwa mu życie do reszty, przekonywa się bowiem, że w samotności nawet jest przedmiotem ciągłej bacności wro-

mogę ręczyć, czy to historia prawdziwa, czy też urobiona przez żandarmów. ci jednak opowiadali o przygodach i życiu owego oficera. którego sami z bliska mieli sposobność obserwować, podając w sposób dokładny wszystkie szczegóły dotyczące jego choroby umysłowej.

(Przyp. autora).

giego mu, bezlitościwego człowieka, którego nie chce widzieć i ścierpieć nie może.

W miarę stopniowo zmniejszających się wzruszeń więzień ucuwa wilgotny chłód celi i drżąc nerwowo, włazi do swego wązkiego łóżka, narzucając cieką derkę na ramiona. Zanim jednak ogarnie go gorączkowy sen, jeszcze raz odbije się o jego uszy o samej północy dźwięk dzwonów katedralnych »Boże caria chroni«.

Życie w celi więziennej.

Dzień każdy rozpoczyna się dla więźnia bastyonu Trubeckiego, przyniesieniem mu o godzinie ósmej z rana wody gorącej do herbaty. Rząd daje tylko gorącą wodę, skoro jednak więzień ma swoje własne pieniądze, złożone rozumie się u rządcy więzienia, to może sobie kazać za nie kupić — cukru, bułek, tytoniu i innych artykułów zbytowych, dozwolonych regułą więzienną. Około godziny drugiej po południu straż podchodzi pod okienko drzwiowe i stawia na odemkniętej klapie zupełni krupnik z kawałeczkami pływającego w niej mięsa i półtora funta razowego chleba. Pozostała od obiadu reszta krupniku, stanowi kolację więźnia, a w późnej, wieczornej godzinie przynoszą mu powtórnie gorącą wodę do herbaty. Wszystkie dania podają się w miskach cynowych, a do nich drewniane łyżki. Noże i widelce jako narzędzia niebezpieczne pod żadnym pozorem nie mogą być więźniom udzielane. W r. 1879 dawano więźniom bastyonu Trubeckiego dobrą, posiłną strawę i w dostatecznej ilości. Trzydziestu pięciu do czterdziestu więźniów, z którymi spotykałem się w Syberyi, zapewniało mnie, że w czasie ich pobytu w więzieniu fortecznem pomiędzy r. 1873 i 1878, nikt z nich nie mógł uskarżać się na złe jadlo. Było ono co do swej jakości i ilości lepsze i dostatniejsze niż w innych więzieniach carstwa. Dopiero z rokiem 1879, gdy zaczęto rozwijać działalność terrorystyczną, więźniowie polityczni byli coraz gorzej traktowani we wszystkich

więzieniach rosyjskich, któryto zwrot w fortecy Piotro-Pawłowskiej dał się uczuć więźniom uszczupleniem i pogorszeniem dotychczasowej ich strawy. Po zabójstwie Aleksandra II. więzionych rewolucjonistów pozbawiono wszystkich dotychczasowych przywilejów; obchodzono się z nimi z całą surowością i traktowano na równi z przestępcami kryminalnymi. Pewien młody jurysta nazwiskiem Staszow, z którym poznałem się w Syberyi, opowiadał mi, że w czasie swego więzienia w bastyonie Trubeckiego w r. 1882 strawa, podawana więźniom była tak złą, że tenże nie mogąc przewyciężyć swego do niej wstrętu, nie mógł jej przyjmować, mimo tego, że przywykł już do podobnego rodzaju jadła podczas czteromiesięcznego swego pobytu w innym więzieniu rosyjskiem. Straż zauważywszy, że obiad jego i wieczerza stoją nietknięte, spytała go, czy zamysła zamorzyć się głodem.

— Być może — odpowiedział więzień.

— Nie zezwolimy na to i będziemy pana karmić przymusowo — oznajmił strażnik.

— Jakto przymusowo?

— Bardzo prosto; założywszy panu w gardziel rurę kauczukową, wlewać będziemy przez nią mleko.

— Jeżeli tylko chcecie mi wlewać mleko — odpowiedział p. Staszow, to gotów jestem pić je bez rury kauczukowej.

Strażnik jakiś dobroduszny, młody żołnierz, roześmiał się i podał mu żądany posiłek. Głód wkrótce skłonił p. Staszowa do pochłaniania więziennego jadła; że jednak ten przymusowo spożywany pokarm nie wyszedł mu na dobre, dowodem tego najlepszym było to, że po upływie trzech miesięcy zapadł na szkorbut do tego stopnia, że czwartego miesiąca władze zmuszone były kazać go przenieść do »domu śledczego« dla poprawy zdrowia. Osłabł tak dalece, że nie opuszczał łóżka; twarz jego była pobladła i wynędzniała, oczy zapadłe, a gdy wziął cokolwiek do ust, z nabrzmiąłych dziąseł sączyła się krew. Podówczas kończył mu się już ósmy miesiąc więzienia, w ciągu którego to czasu nie był

jeszcze powołany do sądu, a zdrowie jego okazało się na tyle zrójnowanem, że lekarz więzienny zbadawszy go oznajmił: »musimy pana wydobyć z tego grobu, bo będzie za późno«.

Smutny, jednostajny sposób życia w bastyonie Trubeckiego przerywany bywa codzienną przechadzką trwającą od dziesięciu do piętnastu minut. Każdego rana lub popołudnia w oznaczonej godzinie, żołnierz wrzucając do celi więźniowi zawiniątko z odebraną mu na wstępie jego własną odzieżą, oznajmia: »Pażałujcie ne pragulku«. (Bądź pan łaskaw udać się na przechadzkę). Podług przyjętej reguły, więzień wychodząc z celi powinien pozostawić własną odzież, w czasie bowiem jego nieobecności odbywa się rewizya wszystkich przedmiotów. Zmuszony jest zmieniać nawet bieliznę i skarpetki a obecna przy tem straż, baczy pilnie, ażeby przypykowo nie przemycił jakiej bagatelki. Przebrawszy się, idzie na mniejsze podwórze, po którym odbywa dziesięciominutową przechadzkę pod dozorem dwóch żandarmów, i gdzie nie więcej nie widzi prócz tego, co z okna własnej celi. Wszelakoż i ta mała zmiana, zwłaszcza w porze letniej, przy pięknej pogodzie jest dla niego bardzo pożądaną, gdyż oddycha przynajmniej chwilę świeżem powietrzem. Biedny więzień ma tu nad sobą choć szmat nieba i nasycy wzrok swój zielenią rozkwitających się krzewów; czasem obje się o jego uszy świst płynącego po Newie parostatku lub też słabe tony muzyki, grającej w ogrodzie zoologicznym; niekiedy znów, sprzyjający wiatr niesie zdala aż na dziedziniec bastyonowy błogi, orzeźwiający podmuch od pól i lasów. Jeśliby ta przechadzka trwała dwie do trzech godzin, to niezawodnie oddziaływałyby zawiennie na zdrowie i usposobienie moralne więźnia, rząd wszakże ogranicza ją do dziesięciu minut, z tej jedynie przyczyny, ażeby więźniowie, których liczba w bastyonie dochodzi do wielu dziesiątek, w czasie wspólnej przechadzki nie mieli sposobności słowem ustnem lub jakim innym znakiem porozumiewać się z sobą. W czasie tej krótkiej nieobecności więźnia, cela

jego i wszystkie sprzęty podlegają najściślejszej rewizji, dla przekonania się, czy nie jest on przypadkowo w posiadaniu starego, zardzewiałego gwoźdźcia, papierka cygaretkowego, tajemnej jakiej korespondencji lub też nie gromadzi zapalek w celu otrucia się; jednym słowem poszukują wszystkiego, cokolwiek mogłoby się przyczynić do uprzyjemnienia mu życia, lub też do odebrania go sobie. Po powrocie z przechadzki do celi przebiera się znów w odzież aresztancką, własne zaś jego rzeczy zabierają żandarmi i starannie rewidują je. Tak się kończy dzień każdy.

Podług zeznania więcej niż pięćdziesięciu więźniów, których jako wygnańców spotykałem w Syberyi, najdolegliwszem cierpieniem w bastyonie Trubeckiego jest samotność, cisza i brak zajęcia. Udręczenia fizyczne, spowodowane złą strawą, zepsutem powietrzem, wilgocią i zimnem mogą być przeniesione, lecz katusze moralne, jako to zupełne odosobnienie, martwa cisza i brak wszelkiego zajęcia cielesnego i duchowego doprowadzają do ostateczności.

Straż i dozór nad więźniami.

Dyscyplina forteczna jest nadzwyczaj surową. W r. 1881 na każdym korytarzu bastyonu Trubeckiego znajdowało się dwóch zaprzysięgłych nadzorców, pięciu żołnierzy uzbrojonych w karabiny i rewolwery, i czterech żandarmów. Obowiązkiem ich było przynoszenie więźniom do cel jada i wody, palenie w piecach w porze zimowej, wypróżnianie kublów odchodowych, przestrzeganie zupełnej ciszy w tej części bastyonu i ciągle obserwowanie więźniów dniem i nocą przez szparę drzwiową, zwaną »Judaszem«. Wszyscy ci strażnicy mają obuwie filcowe ażeby chodzić mogli po korytarzu i zaglądać do cel, nie zwracając najmniejszym szmerem uwagi więźniów. Nawet im nie wolno jest rozmawiać z sobą głośno tylko szeptem, zaś z więźniami mogą mówić w szczególniejszych tylko razach. Mają oni su-

rowy rozkaz donosić władzy o każdym ruchu więźnia, wzbudzającym ich podejrzenie i wogóle o każdej najmniejszej niemoralności, dotyczącej zarówno osoby więźnia jako też stanu jego celi. Zresztą zadaniem tej straży — dzielącej się na trzy kategorie t. j. nadzorców, żołnierzy i żandarmów — jest śledzenie się wzajemne, tak że np. żołnierz, któryby przez współczucie dla więźnia chciał mu być w czemkolwim pomocnym, lub też się nim opiekować, powinien wiedzieć, że sam jest strzeżonym przez żandarma i że za najmniejsze zboczenie od surowej reguły albo też objawy współczucia dla więźniów — zostanie stawionym przed sąd. W więzieniach rosyjskich władze są zawsze w obawie, że polityczni więźniowie jako ludzie wykształceni wchodzą w stosunki przyjazne ze swoją strażą, a w szczególności zaś z żołnierzami, którzy stają się ich pośrednikami w tajemnej korespondencji z krewnymi i przyjaciółmi. Tak się zdarza we więzieniach w całej Rosyi, a nawet raz miało miejsce we fortecy Piotro-Pawłowskiej. Dla uniknięcia tego, rząd wkłada na żołnierzy i żandarmów obowiązek wzajemnego śledzenia się, a oprócz tego zmienia jak najczęściej strażę, tak że ledwie więzień zdołał zapoznać się z pilnującym go żołnierzem, ten natychmiast zostaje zastąpiony drugim. W r. 1881 zmieniano w bastyonie Trubeckiego żołnierzy co godzinę, a ponieważ władze więzienne miały do rozporządzenia 50 do 60000 stacyonowanych w Petersburgu żołnierzy, przeto mogły w ciągu pięciu miesięcy powierzać codziennie straż więźniów innemu batalionowi. Także żandarmi bywają dość często zmieniani, a nadzorczy, których jest dwudziestu czterech, co dnia wyznaczony mają inny posterunek, jużto na piętrach lub korytarzach bastyonu, już w innych miejscach i w różnych nieoznaczonych odstępach czasu, tak że więzień w ciągu dwóch tygodni nie spotyka się po dwa razy z jednym i tym samym nadzorcą, i nie może nigdy liczyć na obecność jego w spodziewanej godzinie. W ciągu całego miesiąca więźniowie raz tylko uczęszczają do łaźni, gdzie myją się pod nadzorem żandar-

mów, a w razie potrzeby felczer więzienny strzyże im włosy i obcina paznokcie u rąk i nóg. Wzbronionem jest surowo dawanie do rąk więźniów ostrych narzędzi, choćby nawet chwilowo; pewnej więzionej kobiecie, zajmującej się szyciem, dawano wprawdzie nożyce na jej żądanie, ale w czasie ich użycia obecnym był zawsze nadzorca, który po ukończonej robocie zabierał je z sobą.

Odwiedziny krewnych.

Samotne i pełne udręczeń życie więźniów politycznych w bastyonie Trubeckiego osładzają czasem odwiedziny ich krewnych. Ministrowi spraw wewnętrznych albo też komendantowi fortecy służy prawo dozwoleń odwiedzin więźnia jego rodzicom, braciom, siostram, żonie lub dziecku. Odwiedziny te mogą się odbywać raz tylko w miesiąc, a czas ich trwania jest minut dziesięć. Pokój przeznaczony do odwiedzin przedzielony jest dwiema drucianymi ścianami, oddzielonemi od siebie pięcio- do sześciostopową odległością i opatrzonemi na wysokość człowieka prostokątnymi otworami. Więzień staje przy otworze jednego przepierzenia drucianego, podczas gdy nawiedzające go osoby zajmują stanowisko przy drugim; pomiędzy temi przepierzeniami siedzi przy stoliku oficer żandarmeryi, przysłuchujący się prowadzonej przez obie strony rozmowie. Nawiedzające więźnia osoby zarówno jak i on sam, otrzymują z góry ostrzeżenie, że rozmowa ich ma dotyczyć wyłącznie stosunków osobistych i powinna być zupełnie zrozumiałą dla asystującego oficera; nie wolno jest w tej rozmowie wymieniać żadnych nazwisk ani też czynić jakiegokolwiek wzmianki o sprawach publicznych. Dla przeszkodzenia wzajemnemu porozumieniu się stron, za plecami więźnia stoi jeden żandarm śledzący pilnie każdy ruch i zmianę wyrazu fizjonomii osób nawiedzających, podczas gdy drugi stojący za plecami tych osób, obserwuje ściśle więźnia. Jeżeli żandarmi zmiar-

kowali, że strony zamierzają porozumiewać się wzajemnie, w takim razie odwiedziny zostają przerwane, przyczem rodzina więźnia utracą ten przywilej na zawsze. Wiele z więźniów nie chce korzystać z tego przywileju, uważając go za ubliżający swej godności. Doktor Mielikow, wykształcony młody entuzjasta, którego miałem sposobność poznać w jednej wsi przy granicy mongolskiej w Wschodniej Syberyi, gdzie przybywał na wygnaniu, wyraził się raz w czasie naszej rozmowy: Nawiedziny mojej żony sprawiały mi więcej bólu i przykrości, niż pociechy. Nie mogłem jej otwarcie powiedzieć czego żądam, nie mogłem jej uściskać, ani dotknąć jej ręki i zdawało mi się ubliżającym dla mojej miłości, wynurzać przed nią moje uczucia w obecności wyuzdanych zbirów, nadzorczy więziennego i szpiegów, przedrwiwających potem w sposób najordynarniejszy objawy moich uczuć. Wszystko co mogłem zrobić ograniczało się na kilku zapytaniach, wypowiedzianych dla formy, na takichże odpowiedziach i wpatrywaniu się z skrwawionem sercem w blade, wynędzniałe oblicze mojej żony, którą pożegnawszy, powracałem do mojej kazamaty. Dniami całymi miałem przed oczyma jej smutne oblicze i czułem się nieszczęśliwym nad wszelki wyraz. Ostatecznie zaprzestałem się z nią widywać.

Przywileje i spędzanie czasu. — Sztuczna czkawka.

Największej wartości przywilejem w bastyonie Trubeckiego, jest dozwalanie więźniom książek i materiałów piśmiennych. Bastyon ma swój własny księgozbiór, składający się z około tysiąca tomów. Są to przeważnie książki pozostałe po więźniach, siedzących tu naprzemian w ciągu ostatnich lat dwudziestu, podarowane im przez przyjaciół lub też kupione za ich własne pieniądze. Korzystać z tej biblioteki może wielu, w szczególności ci polityczni przestępcy, którzy się poświęcają zawodowi prawniczemu. Co się tyczy materya-

łów piśmiennych, to te, składające się z kilkuarkuszowych zeszytów grubego papieru, półtuzina piór i kałamarza, wypożyczane bywają więźniom pod warunkiem, że wszystko to w stanie nieuszkodzonym zostanie zwrócone. Przywilej ten wszakże nie służy każdemu więźniowi i nie w każdym czasie. Mikołaj Czaruszin, jeden z pierwszych propagandzistów, który dwa i pół lat więziony był w bastyonie Trubeckiego, w ciągu pierwszych pięciu miesięcy nie widział ni jednej drukowanej litery. Salomon Bzdnowski, znany rosyjski publicysta i członek geograficznego towarzystwa wschodnio-sybirskiego, więziony w tym bastyonie, wiosną 1878 r. wtrącony był do ciemnicy za to, że domagał się pióra, atramentu i papieru w celu wystosowania skargi do prokuratora państwowego. Wielu innych więźniów pozbawiono przez długie miesiące innych przywilejów, bez wyjaśnienia im przyczyn tego nadużycia. Zdaje się, że rząd rozmyślnie pozbawia zajęcia umysłowego niektórych krnąbrniejszych więźniów, w celu złamania ich uporu i wprowadzenia w stan obłąkania. Dr. Mielikow, młody chirurg, o którym już wyżej wspominałem, pozbawiony przez czas dłuższy książek i materiałów pisemnych, dla zabicia czasu zaczął wyrabiać sobie różne figury z chleba, zaoszczędzonego z dziennej porcy. Zdaje się że przeciw podobnie niewinnemu zajęciu nie mogłaby mieć nic najsurowsza nawet dyscyplina i gdyby mu tego nie wzbroniono, młody lekarz mógł był sobie urozmaicić długie, smętne godziny. Skoro jednak żandarmi służbowi zauważyli jego robotę, pozabierali mu figury tudzież chleb i zagrozili, że w razie powtórzenia się czegoś podobnego zostanie ukaranym.

Martwa cisza kazamaty, w której zamknięty był doktor Mielikow, okazała się z czasem również nieznośną, jak brak zajęcia. Mając na nogach filcowe pantofle, nie mógł dosłyszeć własnych swoich kroków, nie wolno mu także było wystukiwać ani wybębnić palcami, doszedł więc z czasem do tego, że zdawał się wsłuchiwać w własny swój głos, o którym już był zwątpił. Wreszcie siadł sobie na ziemi w najodleglejszym końcu ka-

zamaty i odwróciwszy się plecami ku drzwiom rozpoczęła rozmowę z samym sobą. Gdy straż zauważyła przez otwór »Judasza« ten nowy sposób zajęcia więźnia, otworzono drzwi i oznajmiono mu, że w razie ponownego przekroczenia zakazu zostanie zamkniętym w ciemnicy. Młody lekarz przez czas długi zachowywał się spokojnie, poczem przyszła mu myśl do głowy, ażeby przy pomocy sztucznie wywołanej czkawki, przerwać panujące w celi milczenie i przeświadczyć się o funkcji własnego organu głosowego. Ten wybieg udał się. Straż wzywała go do milczenia, lecz więzień objawił jej, że czkawka jest objawem kurczowego stanu krtani i tchawic, niezależnym od woli człowieka, o czem mogą zasięgnąć bliżej wiadomości od lekarza więziennego. Żołnierz udał się do felczera bastyonowego, podczas gdy więzień uparcie podtrzymywał tak głośną czkawkę, że ją można było słyszeć na całym korytarzu. Wszelkie usiłowania władz rządowych podjęte w celu wyleczenia doktora Mielikowa z tej czkawki, okazały się daremnymi.

Słyszając z ust młodego lekarza ów epizod z jego życia więziennego, mniemałem, że z chwilą wyzwolenia go z więzienia fortecznego, choroba ta na zawsze opuściła go musiała; »nie«, oznajmiła mi jego żona uśmiechając się, »czkawka ta pojawia się niezależnie od jego woli wtedy, gdy się znajduje sam na sam, lub też gdy go dręczy nuda«; jest więc istotnie chorobliwą.

Podtrzymywanie komunikacji między więźniami.

Najgłówniejszym zadaniem dyscypliny więziennej bastyonu Trubeckiego jest przeszkodzenie więźniom porozumiewania się z sobą. Ponieważ osoby więzione w tej części fortecy nie są zawyrokovane, a tylko zostają pod śledztwem, przeto usilnem zadaniem rządu jest nie dopuścić ich do wzajemnego udzielania sobie rad względem obmyślenia planu obrony, jako też utrzymywać wszystkich więźniów w zupełnej nieświadomości

o zaszytych w świecie zmianach lub wypadkach. Rząd dąży usilnie do tego, by jaknajzupełniejszym wyso-bnieniem każdego przestępcy politycznego utrwalić w przekonaniu, że on jest jedynym jestestwem człowieczym, znajdującym się w tej części fortecy i zarazem wybić mu z głowy wszelkie rachuby na to, że stukaniem alfabetycznym, albo też innymi jakimi znakami porozumiewawczymi uda mu się zwrócić na siebie uwagę współczującego go człowieka. Byłoby niemożliwym gdyby więźniowi dozwoloną była rozmowa z samym sobą lub ze strażą. Więzień, usłyszawszy głos swego sąsiada mógłby przyjść do świadomości, że nie on jeden znajduje się w bastyonie, a najmniejszy hałas posłużyłby więźniom za środek do wzajemnego porozumiewania się. Mogliby oni znosić się z sobą nawet zapomocą głośnego stapania i zastępować niem alfabet stukający. Aby zapobiedz temu wszystkiemu, rząd uznał koniecznym przestrzeganie w bastyonie ciszy grobowej, przy pomocy wciąż czuwającej straży.

Rezultaty jednak owego surowego nadzoru okazują się niekiedy mniej zadowolniające, niżeli uczy teoria. Mimo wszelkich środków ostrożności, obmyślanych przez władze, więźniowie porozumiewają się z sobą zapomocą alfabetu stukającego. Aby raz położyć koniec owemu sztucznemu telegrafowaniu, władze rządowe w r. 1876 kazały ściany wszystkich cel pobijać siatką drucianą, a następnie pokryć wołłokiem czyli grubym miękkim filcem. Nowe to wszakże urządzenie wywołało inne niedogodności, nie zapobiegając dawniejszym. Przestrzeń pomiędzy wołłokiem i ścianą posłużyła więźniom za magazyn do przechowywania papierków cygaretowych, starych gwoździ, igieł, nadpalonych zapalek i przeróżnych innych przedmiotów, które przedtem z wielkimi trudnościami dawały się ukrywać przed okiem żandarmów. Prócz tego ściany wołłokowe nie zapobiegały stukaniu. Więźniowie wkrótce przyszli na myśl że małe żelazne stoliki, przytwierdzone w głowach łózek, przenoszą równie dobrze głos jak ściany murowane i że więzień w celi sąsiedniej, przytknąwszy

ucho do swojego stolika, może dokładnie usłyszeć naj-lżejsze stuknięcie stolika celi wierzchniej lub też spodniej. Dzięki temu odkryciu, komunikacya pomiędzy celami pierwszo i drugopiętrowemi okazała się dość łatwą i bezpieczną. Więzień potrzebował tylko sięgnąć na swe łóżko, podeprzeć głowę ręką, opartą łokciem o blat stolika, jakby się czuł zakłopotanym lub zmęczonym i wystukiwać palcem po żelazie. Pozycya tego rodzaju była bardzo naturalną i nie budziła w straży żadnego podejrzenia; w razie wsłuchiwania się w stukanie sąsiada, więzień pochylał się trochę dotykając uchem stolika. Lekkie stukanie po żelazie nie rozchodziło się po korytarzu, a jednak cel był osiągnięty, gdyż każde stuknięcie w stolik wywoływało w drugim sąsiednim lekkie drganie, zapomocą którego porozumiewali się więźniowie. Ten sposób porozumiewania się miał pierwszeństwo nad stukaniem zwyczajnem, które władze zużytkowały na niekorzyść więźniów, obsadzając przyległe cele żandarmami.

Gałki z chleba z wiadomościami szyfrowanemi.

Władzom więziennym znane są tylko dwa sposoby, zapobiegające znoszeniu się więźniów. Pierwszym z nich jest oddzielanie od siebie więźniów politycznych próżnemi celami i stawianie przed każdą z nich żandarma lub żołnierza. — Lecz i te środki ostrożności nie były w stanie zapobiedz ostatecznie komunikacyi między więźniami, zarówno jak pozbawienie ich przechadzki lub korzystania z książek bibliotecznych. W razie gdy więzień stukając do opróżnionej sąsiedniej mu celi nie otrzymał żadnej odpowiedzi, wydobyl przechowany kawałek papieru cygaretowego i zaznaczał na nim liczby odpowiadające literom, małemi dziureczkami albo punktował nadwęgloną zapalką, poczem zmiąwszy papierek powlekał go warstwą zagniecionego w palcach chleba i urobioną gałkę przechowywał, dopóki nie nadejdzie pora codziennej przechadzki. Gdy się dały słyszeć kroki żan-

darma wzywającego więźnia na przechadzkę, wkładał on pigułkę do ust, zmieniał odzież i w czasie spaceru po dziedzińcu wypuszczał ją zręcznie w takim miejscu, ażeby była dostrzeżoną i zabraną przez pierwszego jego następcę. Małe, szare kuleczki z chleba razowego, rzucane na ziemię, nie zwracają nigdy na siebie uwagi straży, dosięgnię ich jednak niechybnie oko więźnia, spragnionego wiadomości o osobach, obchodzących go sercem i duszą. W razie braku kawałka papieru cygarowego więzień wydzierzga nitkę ze swej szkarpetki lub też kłaczek wełny z pościeli, nawiązuje na nim pęczki odpowiadające grupom alfabetycznym i podczas przechadzki pozostawia na dziedzińcu. Następca jego dostrzegłszy w czasie przechadzki taką nitkę lub też bibułkę, schyla się niby w celu poprawienia spadającego z nogi mu pantofla, zręcznie podnosi ją z ziemi, wkłada do ust i dopiero po powrocie do celi zabiera się do jej odczytania. Wiadomości udzielane w ten sposób bywają krótkie, ale ważnego znaczenia i niekiedy pełne porywów. W listopadzie 1880 r. uwięziony był w fortecy Piotro-Pawłowskiej znany rosyjski rewolucjonista Goldenberg. Samotność więzienna zaczęła oddziaływać na niego zgubnie; podlegał cierpieniom umysłowym, które z czasem doszły do tych rozmiarów, że on sam zwątpił w powodzenie ruchu rewolucyjnego, uważając go za dalszy ciąg bezpożytecznej, rozpaczliwej walki, pociągającej za sobą nieszczęścia i daremne ofiary z życia ludzkiego. Dla zapobieżenia temu, postanowił zwierzyć się ze wszystkim przed komendantem żandarmeryi i przedłożyć mu swój projekt względem zniszczenia całej organizacji rewolucyjnej. Goldenberg spełnił wkrótce swój zamiysł, wydając rządowi wszystko co wiedział o ruchu rewolucyjnym i wykazując nazwiska osób w nim przodujących. Ta zdrada zadała stanowczy cios partii rewolucyjnej, gdyż pociągnęła za sobą aresztowania wielu najzdolniejszych ludzi, stojących na czele ruchu. Zrobiwszy ten krok fatalny, Goldenberg zaczął się gryźć myślami, że towarzysze jego nie będąc świadomi powodów, skłaniających go do tego postępku,

mogą go uważać za zwykłego zdrajcę lub tchórza. — Więziony w fortecy zdala od swych towarzyszy, nie miał sposobności wytłómaczenia się im z swych postępów i szyfrowane tylko gałki, rozrzucone przez niego po podwórzu, świadczyły o gorącej chęci jego wypowiedzania się przed towarzyszami. Pewien wybitny rewolucjonista, więziony podówczas w bastyonie Trubeckiego, którego poznałem w Syberyi Wschodniej, mówił mi, że prawie każdego dnia więźniowie znajdowali na podwórzu gałki lub też kawałki papieru cygarowego, zaznaczone liczbami odpowiadającymi słowom: »Mogę wszystko wyjaśnić — Goldenberg«, albo »Nie potępijcie mnie — Goldenberg«, albo »Wysłuchajcie, zanim będziecie sądzić — Goldenberg«. Prawdziwie było wzruszającym pomyśleć sobie, jak usilnie pragnął ten biedny człowiek otworzyć przed nami swoje serce i jakich doznawać musiał katuszy na samą myśl, że go uważamy za zdrajcę lub tchórza. — Goldenberg zmarł w więzieniu w końcu roku w sposób niewiadomy, powiadano, że popełnił samobójstwo. Rząd użył zeznań Goldenberga przeciw Zelabowowi w procesie carobójców w r. 1881, nie wyjawiając czasu i okoliczności, towarzyszących jego śmierci*).

W razie niemożebności skomunikowania się zapomocą stukania, więźniowie porozumiewają się książkami, wydawanymi im z biblioteki. Każda książka, przeczytana przez więźnia, podlega ścisłej kontroli żandarma; przegląda on pilnie każdą stronicę, zanim odniesie do biblioteki, a to w celu zapobieżenia możliwego porozumiewania się więźniów przy pomocy jakiej notatki, zamieszczonej na marginesie książki. Mimo wszakże tej przeczności więźniowie zamieszczają swoje znaczki, nieprzystępne dla oka najczujniejszego nawet żandarma. Sposób zaś podobnego porozumiewania zasadza się na delikatnem nakłównaniu kartek ponad pewnemi literami. Te znaczki są tak niewyraźne, że nie mogą być do-

*) Stenografowane sprawozdanie urzędowe z procesu carobójców, str. 7. Petersburg 1881.

strzeżalne pod żadnym pozorem, gdy kartka przeglądana tworzy kąt prosty z linią wzrokową, lecz wyraźnie je widać, skoro kartka zwrócona jest ku światłu pod kątem ostrym a oko widza obserwuje ją z pod spodu. Jeden znaczek nad drugą literą z początku wiersza, oznacza liczbę 2, inny zaś nad trzecią literą z końca tegoż wiersza liczbę 3, zaś liczba 23 odczytana na szachownicy alfabetycznej oznacza literę *h*. W ten sposób można w obecności żandarma rozszyfrować jakieś zlecenie, i zaledwie na sto wypadków zdarzy się jeden, ażeby znaczków tych dostrzedz zdołało oko urzędnika, zwłaszcza że przegląda on stronicę tylko dla formy.

Skrzydlaty posłaniec.

Zdawaćby się mogło, że powyżz podane sposoby porozumiewania się więźniów między sobą, stanowią ostatnią granicę, do jakiej posunąć się może zmysł ludzki w dążeniach swych ku tajemnej wymianie uczuć i myśli: w fortecy jednak dochodzą do innych, godniejszych uwagi na tem polu wynalazków. — Pewnego południa latem 1881 r. — opowiadał mi dr. Mielików w czasie naszej rozmowy o życiu fortecznym, — położyłem się na łóżku w mojej celi, nie wiedząc jak spędzić resztę dnia, gdy przez otwarte okienko drzwiowe wleciała ogromna mucha. Wśród samotności i ciszy, panującej w celi, każda drobnostka zwraca na siebie uwagę, zaś pojawienie się muchy należy do osobliwych wypadków. Wsłuchiwałem się w jej brzęczenie, i nie spuszczać na chwilę oka z latającego wokół skrzydlatego gościa, spostrzegłem że tułów jego ociężony jest czemś niezwykłym. Wziąwszy w rękę kawałek papieru starałem się kilkakrotnie schwycić ową muchę w sposób ostrożny, nie zwracając uwagi straży, stojącej na kurytarzu, latała ona jednak tak wysoko, że nie wstanie byłem jej dosięgnąć. Obserwowałem ją przez ciąg dziesięciu do piętnastu minut, a gdy opadła na podłogę, udało się mi ją złapać gołą ręką bez żadnego uszkodzenia. Okazało się, że do tułowia

muchy przytwierdzony był na ludzkim włosie kawałek papieru cygaretowego, na którym napisane było końcem nadwęglonej zapalki nazwisko jakiegoś człowieka. Nazwisko to było mi zupełnie obce, lecz widocznie należało ono do jakiegoś więźnia, surowo strzeżonego, który użył tego sposobu w celu zawiadomienia swych przyjaciół w bastyonie, że jest uwięzionym i że jeszcze żyje. Papierek ów przywiązałem ponownie jak mogłem do tułowia muchy i wyprawilem ją tą samą drogą którą przysła, z słowami »z Bogiem«.

— Czy słyszałeś pan kiedy o tej musze, lub też dowiedziałeś się co o tym więźniu? — spytałem doktora.

— Nie — odpowiedział on. — Mucha zniknęła w kurytarzu, ale czy ów papierek dostał się w ręce kogoś znajomego owego więźnia, tego nie wiem, prawdopodobnie że nie.

Jeżeli te kartki dostaną się do rąk owego politycznego przestępcy, który swoje nazwisko wypisał na owym kawałeczku papieru cygaretowego i jeżeli on istnieje jeszcze gdzie w Syberji, to dowie się z nich, że jego skrzydlaty wysłaniec nie był wysłanym zupełnie daremnie, lecz zawiadomił o jego nazwisku innego więźnia, który chociaż mu nieznany, wspomina o nim często z pełnym współczuciem nawet na wygnaniu w Syberji.

IV.

Rossyjscy więźniowie stanu.

Dalsze szczegóły o więzieniach i życiu więziennem.

Czytelnik, zastanawiający się nad życiem politycznych przestępców w fortecy Piotro-Pawłowskiej nie powinien wypuszczać z pod uwagi, że mężczyźni i kobiety, jęczące przez miesiące i lata w kazamatach bastyonu Trubeckiego, są osobami czystymi w obliczu prawa. Nie są to zawyrokowani przestępcy, odbywający tę karę za udowodnione im wykroczenia na drodze sądowej, lecz prawdopodobnie osoby niewinne, pozabawione na czas nieograniczony prawa własnej obrony i traktowane w ten sposób jak istotni winowajcy. Że przeważna część mężczyzn i kobiet, wtrąconych do więzień rosyjskich jako podejrzanych politycznie, w istocie jest niewinną, stwierdzają to najlepiej dokumenta urzędowe. W przeszłym artykule wykazałem już, że z więcej niż tysiąca osób, uwięzionych od 1875 do 1885 r. za podejrzenie uczestnictwa w tak zwanej »propagandzie rewolucyjnej«, postawiono przed sądem tylko 193, a i z tej nawet stosunkowo małej liczby, dziewięćdziesięciu zostało sądownie uniewinnionych. A więc dziewięćdziesiątych więźniów okazało się zupełnie niewinnych,

którym nie można było zrobić nawet cienia zarzutu przestępstwa uczestnictwa »w rewolucyjnej propagandzie«, objętego 250 paragrafem kodeksu karnego rosyjskiego, a mimo tego wszyscy oni do czasu uwolnienia przesiedzieli od trzech miesięcy do lat trzech w odosobnionych celach »domu śledczego«, lub też w wilgotnych kazamatach bastyonu Trubeckiego. Że system dający podobne rezultaty jest w najwyższym stopniu despotyczny i niesprawiedliwy, i że przetrzymywanie prawdopodobnie osób niewinnych przez dwa do trzech lat w ciężkich więzieniach bez powoływania ich do sądu, jest niesłychanym okrucieństwem, to słuszności podobnego twierdzenia nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Czy jednak sposób odwetu, przyjęty przez terrorystów za podobne okrucieństwa i gwałcenie prawa może być usprawiedliwionym, to stanowi znów inne pytanie, na które różni ludzie, rozmaicie mogą odpowiadać; zdaje mi się jednak, każdy przyzna, że trzechletnie przetrzymywanie człowieka w kazamatach bastyonu Trubeckiego w warunkach powyżej opisanych a potem wypuszczenie go na wolność bez żadnego odszkodowania lub zadośćuczynienia i prawdopodobnie bez przeprowadzenia formalnego śledztwa sądowego, jest w najwyższym stopniu oburzającym i wyzywającym. Tak zapatrywał się na tę sprawę słynny adwokat rosyjski Gerard, który w procesie carobójców w roku 1881 starał się udowodnić, że jego klient Kibalczyce wskutek podobnie niesprawiedliwego z nim postępowania, ze spokojnego obywatela przemienił się w rewolucjonistę; ale widocznie sąd nie chciał dopuścić pana Gerarda do uzasadnienia jego sposobu zapatrywania się, dając mu do zrozumienia: »że nie rzeczęją jego jest wyrokować o sposobie obchodzenia się rządu z jego poddanymi*).

Późniejsza historia 90 więźniów z procesu »193« wypuszczonych na wolność w 1877 r., dowodzi jasno

*) Stenografowane sprawozdanie urzędowe z procesu carobójców, str. 217. Petersburg 1881.

i dobitnie, że niesłuszne więzienie ludzi i surowe obciążenie się z nimi w czasie zamknięcia, posłużyły za główne czynniki do rozwoju ruchu rewolucyjnego w Rosyi. Na mocy wyroku sądu, wykluczającego z góry wszelkie widoki na ulaskawienie, ludzie ci, wobec prawa nie okazali się winnymi żadnego przestępstwa. Nawet na mocy paragrafu 250. kodeksu karnego rossyjskiego, nie można im było udowodnić zamiaru zmiany w bliższej lub dalszej przyszłości, ustanowionego w państwie rządu, a mimo to wszyscy oni ukarani zostali trzecholetnim ciężkim więzieniem w domu śledczym lub w fortecy Piotro-Pawłowskiej, i ostatecznie nie powołano ich nawet do formalnego śledztwa sądowego, które wykazałoby przynajmniej światu o rażąco niesprawiedliwym postępowaniu z nimi rządu. Takie to krzywdzące postępkі musiały wydać przewidziany rezultat. Prawie każdy z tych niesprawiedliwie ukaranych a następnie uniewinnionych ludzi występował później jako rewolucjonista, tak, że przed rokiem 1885 trzecia ich część znajdowała się na wygnaniu w Syberyi; zaś dwoje z nich — Andrzej Żelabow i Zofia Perowska — jako winni rozlewowi Aleksandra II., straceni zostali na rusztowaniu*).

Nie znany mi jest więcej rażący dowód pobudzenia i rozkiełnywania podobnego rodzaju bodźców, jakie uwidoczniają się w ostatnim ruchu rewolucyjnym rossyjskim. Głównymi przyczynami, które tych niewinnych, młodych ludzi pchnęły na drogę ruchu rewolucyjnego, były: niesprawiedliwe ich aresztowanie, odmówienie im prawa obrony i przetrzymywanie w więzieniach wśród zabójczych warunków dla zdrowia. Trzy lata — dwa, a nawet rok jeden więzienia w bastyonie Trubeckiego, wystarczą, ażeby człowieka przeświadczono o swej niewinności, rozgorzyczyć do ostatnich granic,

*) Wyrok sądu w sprawie 193, str. 8. rękopismu, zawierającego spis nazwisk osób, znajdujących się obecnie na wygnaniu w Syberyi, który to rękopism znajduje się u mnie. Stenografowane sprawozdanie z procesu carobójców, str. 270. Petersburg 1881. (Przyp. autora).

a gdy do tej krzywdy dołączy się śmierć siostry, brata, żony lub przyjaciela, trzymanego w więzieniu bezprawnie, li na mocy podejrzenia, łatwe pojąć można, że przebrana miarka cierpliwości, najspokojniejszego nawet człowieka zmienić musi w rewolucjonistę.

Dola osadzonych.

To nie są jeszcze wszystkie epizody z życia fortecznego rossyjskich rewolucjonistów. Prócz osób, podejrzanych politycznie, oczekujących rozwiązania swych spraw na drodze sądowej w bastyonie Trubeckiego, jest jeszcze wiele innych, więzionych w różnych częściach fortecy Piotro-Pawłowskiej. Forteca jest zarówno zakładem karnym jak inne więzienia i dom śledczy; w ich posępnych murach mieszczą się zarówno oskarżeni jak zawyrokwani. Jeżeli zoczyńca, morderca albo inny jaki rossyjski przestępca kryminalny zostanie osadzony do ciężkich robót, to podług reguły przenoszą go z odosobnionej celi, w której pozostawał w ciągu toczącego się śledztwa, pomiędzy innych więźniów, skąd wysyłają spiesnie do Syberyi. Przestępca polityczny, osadzony do robót ciężkich na mocy tegoż samego prawa, nie tylko że nie zostaje wypuszczony z samotnej celi lub też zaraz wysłany do Syberyi — jakby to miało miejsce n. p. gdyby cięciem siekiery powalił na śmierć rodzoną swą matkę — lecz przetrzymują go w kazamatach fortecy Piotro-Pawłowskiej w tak zwanym oddziale katorżnym, lub też po lat trzy a nawet pięć w małych celkach więzień centralnych, gdzie z niedostatku i rozpaczy dochodzi do szaleństwa, a stamtąd dopiero wysyłają do katorgi w Karze*). W której części fortecy mieści się ów oddział katorżny, tego nie mógł mi wyjaśnić żaden z więźniów, z którymi spotykałem się

*) Są naturalnie wyjątki od tej reguły, a rossyjscy urzędnicy utrzymują, że osadzonych do ciężkich robót wysyłają obecnie do Szliselburgu. (Przyp. autora).

w Syberii; prawdopodobnie skazańców politycznych więziono w różnych bastyonach i fortach, zaś »oddziałem katorżnym« nazywają tę część fortecy, w której przetrzymywani są ludzie, należący do klasy katorżników. Położenie osadzonych mało się różni od tego, w którym się znajdują obwinieni. Jedni jak drudzy wegetują zarówno w wilgotnych i ponurych kazamatach z podwójnie okratowanymi oknami, zasłoniętymi wysokim murem obwodowym, opatrzonych takimi samymi drzwiami z otworem pośrodku, przez który niespuszczani są z pod oka strażnicy, jedni i drudzy oddychają wśród ciszy grobowej temże samem, ciężkiem powietrzem. — Główna różnica pomiędzy osadzonymi i oskarżonymi polega w sposobie traktowania ich.

Pozbawienie wszystkich praw stanu.

Każdy przestępca w Rosyi, osadzony do ciężkich robót, pozbawiony zostaje wszelkich praw stanu. Polityczny, zawyrokovany na tę karę, przestaje być obywatelem kraju; utracą on nie tylko wszystkie przywileje i prerogatywy, przysługujące jego randze i stanowisku społecznemu, ale także prawo rozporządzania swoją własnością, rodziną, własną swą osobą, i w żadnym razie nie może się odwoływać do opieki prawa, a nawet wtedy, gdyby złe obchodzenie się z nim władz, zagrażało niebezpieczeństwem własnemu jego życiu. Człowiek taki, pozbawiony jest wszelkich praw w najściślej siewszym słowa tego znaczeniu i może być traktowanym przez każdego urzędnika rządowego jak istotny niewolnik. Czas trwania naznaczonej mu kary nie ma żadnego wpływu na zmianę sposobu obchodzenia się z nim. Przestępca, skazany na lat cztery do ciężkich robót, utracą zarówno wszystkie prawa stanu jak osadzony na dożywotnią katorgę. Wydziedziczony on jest z wszelkiej własności, jak gdyby był umarłym, a mienie jego przechodzi na rzecz skarbu. Rodzina, której dotychczas był głową, przestaje do niego należeć, a rząd może rozcią-

gnąć nad nią swoją opiekę. Utracą on przywilej, zabezpieczający go od kary cielesnej i może być chłostany różgami lub pletnią. Wreszcie w ciągu całego okresu »próbnego« trwającego od jednego roku z połową do lat ośmiu, nie wolno mu mieć łóżka, pościeli, poduszki, kołdry, ani książek ani materiałów pismiennych i porozumiewać się listownie z rodziną i krewnymi. Głowa jego zostaje w połowie ogoloną, tak, że zniewolny jest obwiązywać ją kawałkiem grubego płótna; ograniczać się musi na areszlanckiej strawie i nosić na nogach pięcioletnie kajdany. Za każde nieposłuszeństwo przeciw władzom więziennym, choćby ono było wynikiem chorobliwego stanu jego umysłu, wkładają mu kajdanki na ręce, zasadzają do ciemnicy, biją, przykuwają do ściany celi lub też do taczek*).

Życie w t. z. oddziale katorżnym.

Zbytecznem byłoby poddawać różnicę zachodzącą pomiędzy sposobem życia osadzonych i oskarżonych, chociaż jedni i drudzy przetrzymywani są w tejże samej fortecy. Oskarżeni zawsze żywią w sobie nadzieję,

*) Rosyjskie prawo karne [Ułożenie o nakazaniach] wydanie urzędowe §§ 22 do 25 włącznie i §§ 27 do 28. Drukarnia rządowa, Petersburg 1885. Patrz także przepisy względem obchodzenia się z przestępcami, zamieszczone w czternastym tomie rosyjskiego »swoda zakonow«, a w szczególności statutu o wydanych (ustaw o zsylnych) część II. Co się tyczy noszenia kajdan w fortecy, jest tam zamieszczony wyjątek ze względu na dźwięczenie łańcuchów, mogące się przyczynić do ułatwienia więźniom wzajemnego porozumiewania się i przerywania ciszy, uznawanej za najistotniejszą część dyscypliny więziennej. Najsurowiej jest przestrzegana reguła, wzbraniająca podtrzymywanie wszelkich stosunków pomiędzy więźniem i jego krewnymi, tak, że matce nie wolno jest wiedzieć czy syn jej żyje lub też umarł. Spotkałem w Rosyi blizkich krewnych i przyjaciół Myszkiń, Nieczajowa, Hellisa i pani Wiary Filipowej, którzy mi mówili, że nie są w stanie się dowiedzieć, czy ci nieszczęśliwi ludzie jęczą jeszcze w więzieniu w Szliselburgu, czy też są już w grobach.

(Przyp. autora).

że stawieni zostaną przed sądem lub też wypuszczeni na wolność; osądzonych oczekują jedynie długotrwałe duchowe i cielesne katusze w samotności i ciemnościach kazamatów; wreszcie śmierć, obłąkanie lub katorżne roboty w ziemi zabajkalskiej.

»Nie jesteś w stanie sobie przedstawić panie Kennan (rzekł do mnie pewien rewolucjonista osadzony do katorgi sybirskiej) jak straszne jest życie więzienne w kazamacie fortecznej na stopie tak zwanej ciężko więziennej«. Kazamata moja była często zimna, zwykle wilgotna i zawsze ponura. Dnie całe, tygodnie, miesiące przepędzałem samotnie, nie słysząc żadnego głosu prócz żałośnego bicia dzwonów, których dźwięki zdawały się do mnie przemawiać »tu siedzisz — i siedź spokojnie«. Nie miałem absolutnie żadnego zajęcia jak tylko chodzić z jednego końca celi w drugi i rozmyślać. Przez długi czas starałem się rozmawiać szepem z samym sobą, powtarzać wszystko cicho, co umiałem na pamięć z poezji i prozy lepszych pisarzy, tudzież układałem sobie mowy, które przy okazji miałem wygłaszać. Wreszcie nie stało i do tego ochoty, i przez długie godziny wpadałem w stan zupełnego oniemienia, nie mogąc, o ile sobie przypominam, pobudzić żadnej myśli. W końcu pierwszego roku uczułem się tak osłabionym fizycznie i moralnie, że z trudnością przychodziło mi się wysłowić. Wiedziałem co chcę powiedzieć, lecz niedostawało mi niektórych słów do wypowiedzenia moich myśli, po wielkim dopiero namyśle przychodziły mi one na język: Zdawało mi się niekiedy, że mowa moja jest mi obcą, albo też, że zapomniałem ją z powodu długiego nieużywania. Obawiałem się dostać pomieszania zmysłów, tem więcej, że dwóch moich towarzyszy więzionych w celach na tymże samym korytarzu zachorowawszy psychicznie, podlegali często halucynacyom. Ich płacze, krzyki i nawoływania straży usuwała z cel trapiące ich widma; jęki i błagania, gdy w przystępie gwałtownych paroksyzmów, przywiązywano ich do łóżek, nie dały mi zasnąć w ciągu wielu nocy i doprowadzały do

stanu nerwowego wzruszenia. Nie mogąc przekonać się naocznie o tem co się dzieje w celach, z których wychodzą owe jęki i rozdzierające krzyki, dałem wolne pole mej wyobraźni, co mnie przyprowadziło do takiego rozstroju nerwowego, że sam byłem blizkim histeryi. W obawie utraty władzy panowania nad sobą, posyłałem kilkakrotnie po lekarza lub felczera, którzy dla zapobieżenia ostatecznemu rozstrojowi nerwowemu zapisywali mi brom, zalecając zarazem aże bym siłą woli powstrzymywał potęgujące się wzruszenia. Ponieważ w fortocy nie było żadnego szpitala, przeto chorych psychicznie więźniów doglądano w ich celach, i nieuleczalnych tylko, jako też tych, których leczenie wymagało szczególniejszych starań, odsyłało do zakładów. Prócz wiecznej ciszy, samotności i braku wszelkiego zajęcia, przyczyniał się znacznie do przygnębienia moralnego brak ruchu i posilniejszej strawy. Oskarżonym więźniom, oczekującym wyroków sądowych w bastyonie Trubeckiego, pozwolono było za ich pieniądze kupować przez rządcę więzienia bułki, jarzynę, herbatę i cukier, lecz my już osądzeni, musieliśmy zadawałniam się razowym chlebem i rosółem, przyrządzonym z tak dalece zepsutego mięsa, że niepodobienstwem było go wziąć do ust, i małą porcją kaszy. Taki pokarm przy wilgotnem, ciężkiem powietrzu w kazamatach i braku odpowiedniego ruchu utrudniał trawienie powodujące za sobą symptoma skorbutu. Pani Lebiedowa, więziona w tym samym oddziale co ja, tak dalece zapadła na skorbut, że wszystkie jej zęby chwiały się, dziąsła nabrzmiały, a całe jej pożywienie składało się z chleba razowego, rozmoczonego w gorącej wodzie. Skorbut, nawet w początkach swego rozwoju, potęguje, rozumie się, udręczenia pochodzące z innych przyczyn i czyni je niemożliwymi do zniesienia. Nie myślałem nigdy stanowczo o odebraniu sobie życia, dzieląc to przekonanie, że szukanie środka zaradczego przeciw cierpieniom i dolegliwościom w samobójstwie jest zawsze tchórzowstwem; mimo tego zastanawiałem się nad

»tem, w jaki sposób w danym razie możnaby się po-
 »zbawić życia w kazamacie, ogołoconej z wszelkich
 »przrzędów, niezbędnych do unicestwienia się. Raz do-
 »szedłem był aż do tego, że zacząłem próbować czy
 »można się powiesić na rurze pieca wystającej w mo-
 »jej celi na długość dwóch do trzech cali. Nie myśla-
 »łem wprawdzie na seryo o odebraniu sobie życia, lecz
 »wszedłem w jakiś stan chorobliwej ciekawości prze-
 »świadczenia się, czy w ten sposób możnaby tego
 »dokonać. Skoro się okazało, że rura jest dość silną
 »do utrzymania ciężaru mego ciała, wyszedłem z poza
 »pieca, narobiwszy tyle hałasu, że zwróciłem na siebie
 »uwagę chodzącej po korytarzu straży. Przeniesiono
 »mnie do innej celi, gdzie już nie przyszła mi ochota
 »do ponowienia tego doświadczenia. Opowiadano, że
 »biednemu Goldenbergowi udało się odebrać sobie życie
 »przez powieszenie w celi; jakim sposobem on mógł
 »spełnić swój zamiar, istotnie tego nie pojmuję. Przy-
 »szedłem do tego przeświadczenia, że w mojej kazama-
 »cie mógłbym się pozbawić życia li przecięciem arteryi
 »albo też rozstrzaskaniem głowy o ścianę, czułem się
 »jednak nadto słabym bym tego mógł dokonać«.

Czy więźniowie forteczni są karani cieleśnie i torturowani?

Zadaniem mojem nie jest zarówno ujmowanie się za rządem rosyjskim, jako też przesadnem opisywaniem katuszy i cierpień politycznych przestępców, więzionych w fortecy Piotro-Pawłowskiej zdobywać sobie sympatyę rosyjskich rewolucjonistów. Zbadawszy gruntownie stan rzeczy, chcę go przedstawić takim, jakim jest w istocie. Stepniak i księżę Krapotkin naszkicowali życie osadzonych przestępców politycznych ciemniejszymi barwami niżeli ja się czuję być do tego uprawnionym. Między pięćdziesięcioma a nawet więcej więźniami, z którymi poznałem się na Syberji, nie było ni jednego takiego, od którego mógłbym być się dowiedzieć

o istnieniu w fortecy jakichś cel leżących poniżej powierzchni Newy, ani też o liście, krwią Nieczajowa pisany do cara, ani wreszcie o żadnych-lochach podziemnych zapelnionych szczurami; nie słyszałem także, ażeby politycznych więźniów bito różgami albo też torturowano. Nie jestem w stanie zaprzeczać mniemaniom Stepniaka i księcia Krapotkina, nie mając do tego uzasadnionej podstawy, względy wszakże sprawiedliwości nie pozwalają mi przemilczeć, że rezultaty do jakich doprowadziły mnie własne moje badania nie stwierdzają ich mniemań. W fortecy są cele więzienne do tego stopnia wilgotne, że sól i cukier w ciągu kilku godzin w nich topniały; w takich celach niejednokrotnie przetrzymywano przestępców politycznych, wszakże nie leżą one pod powierzchnią Newy. Nieczajow, skutkiem pobicia oficera żandarmeryi Potapowa był raz przykuty do ściany, lecz dotąd obchodzono się z nim wcale znośnie, a wygnańcy w Syberji nic o tem nie wiedzieli, ażeby go bito różgami ani też, że pisał on własną krwią list do Aleksandra III. Zawyrokowanych przestępców politycznych, straż darzyła często w fortecy kolbami karabinów albo pięściami, jednakowoż nie mogłem uzyskać żadnej uzasadnionej wiadomości o karaniu ich różgami, mimo tego, że prawnie kara ta jest dozwoloną. Co się tyczy tortur, to nie zdaje mi się, ażeby ich obecnie używano w więzieniu fortecznem ani też w innych więzieniach w Rosyji europejskiej. Jeden z wydatniejszych rewolucjonistów, dobrze znany Stepniakowi, którego życiorys on skreślił, rzekł pewnego razu do mnie w Syberji: »Zapewniam cię panie Kennan, że w czasie naszej bytności w fortecy o torturach i mowy być nie mogło. Jeden szczególnie wypadek, o którym słyszałem w czasie trzechletniego mego więzienia w fortecy, »było to, — coś w rodzaju tortury, przymusowe chło-»roformowanie Oboleszowa i pani Witaniowej w celu »zdjęcia z nich fotografii*). Wielu ze straży więziennej

*) Oboleszów i pani Witaniowa. oskarżeni o udział w spisku, celem którego było zamordowanie generała Mezencowa. zo-

»wymawiało się od przyjmowania w tym gwałcie udziału,
 »a jeden z nich nie chcąc przytrzymać szamotającego
 »się więźnia, oznajmił, że nie jest oprawcą i że trucie
 »ludzi nie należy do jego obowiązków«.

Skutki samotności więzienia fortecznego.

Opisy życia w fortecy przez Stepniaka i księcia Krapotkina zgadzają się z rezultatami moich spostrzeżeń nierównie więcej, niż podane przez księdza Landdella i innych angielskich podróżników, którzy od lat wielu zwiedzali powierzchownie bastyon Trubeckiego. Nie podlega najmniejszej wątpliwości — o czem sam jestem najgłębiej przekonany, — że długotrwała samotność w kazamacie rosyjskiej fortecy, bez książek, materiałów pisemnych, pościeli, właściwej strawy, przy pozbawieniu więźnia stosunków ze światem zewnętrznym, jest cięższą, niżeli kara śmierci. — Znana rosyjska rewolucjonistka, osoba wysoko wykształcona, pani Wiera Filipowa, osadzona w r. 1884 w Petersburgu, prosiła sądu, ażeby jej wyświadczył tę największą łaskę i zamienił więzienie w Syberii na karę śmierci; prośba jej jednak nie została uwzględnioną. W kazamatach fortecznych trafiają się często zamachy samobójcze, a osądzeni polityczni przestępcy, doprowadzeni do ostatek rozpaczy, rzucają się na straż i oficerów w tej myśli, ażeby sąd wojenny skazał ich na rozstrzelanie. Pewien prezes sądu wyższego, z którym poznałem się w Moskwie w czasie mego powrotu z Syberii do Rosyi, opowiadał mi, że przestępca Myszkina został rozstrzelany

stali oboje wrzuceni do fortecy. Ponieważ nie chcieli się dać fotografować, przeto użyto środków przymusowych. Pani Witaniowa została uspioną i zachowywała się spokojnie. Obolęszów zaś, pod wpływem chloroformu rzucał się z taką wściekłością, że musiano zaniechać fotografowania go. Obecni przy tem zdarzeniu byli: major Nikolski, oficer żandarmerji, doktor Wilms, lekarz forteczny, i kilku nadzorców więziennych.

latem 1885 r. w Szliselburgu za pobicie więziennego lekarza. Zrozpaczony więzień postanowił zamorzyć się głodem, ażeby położyć raz koniec swemu nędznemu, beznadziejnemu żywotowi, a gdy przyzwany lekarz więzienny przystąpił do przymusowego karmienia go, wtedy ten rzucił się na niego. Wysoki urzędnik sądowy, opowiadający mi o tym wypadku, nie był wcale rewolucjonistą i nie żywił w sobie żadnych sympatyj w tym kierunku; mówił o tem wcale obojętnie, bez jakiegokolwiek bądź wzruszenia i nie mam żadnej usprawiedliwionej podstawy powątpiewać o prawdziwości udzielonej mi przez niego wiadomości.

Nieludzkie obchodzenie się z politycznymi więźniami, pozostającymi na stopie »ciężko więziennej« wpływa stąd, że ci są zawsze na wyjeździe z fortecy. W kwietniu 1883 r. oddział cesarskiej policji wydał rozkaz do komendanta fortecy względem wysłania pewnej liczby osadzonych więźniów politycznych do ciężkich robót we Wschodniej Syberji. Komendant fortecy po porozumieniu się z lekarzem i oficerem, przeznaczonym do prowadzenia partyi odpowiedział, że większość wymienionych w rozkazie więźniów jest tak wycieńczoną z sił, że prawdopodobnie nie będą w stanie odbyć i jednej trzeciej oczekującej ich drogi; więcej niż połowa nie jest w stanie ustać na własnych nogach i że oficer prowadzący partyę nie chce przyjąć tych więźniów pod swe zwierzchnictwo, obawiając się odpowiedzialności za przewidziane wypadki śmierci. — Wobec takich okoliczności komendant zaproponował, ażeby, więźniów, przeznaczonych do deportacji, przeniesiono z fortecy do »domu śledczego« i przetrzymywano ich tam, dopóki przychylniejsze warunki życia nie pokrzepią ich zdrowia na tyle, by mogli odbyć podróż do Syberji. Na mocy tej propozycji dyrektor carskiej policji wydał rozkaz przeniesienia dwudziestu dwóch więźniów włącznie z czterema kobietami z kazamat fortecy Piotro-Pawłowskiej do stosunkowo widnych i do-

brze przewietrzanych cel pierwszopiętrowych »domu śledczego«*).

Sześciu z przeprowadzonych więźniów okazało się w stadium pełnego rozwoju t. z. suchot więziennych, dwunastu zaś pozostałych, osłabieni byli do tego stopnia, że nie mogąc się utrzymać na własnych swych

*) Podaję tu notatkę, zawierającą nazwiska, wiek, stan i peryod kary tych przestępców:

K o b i e t y.

1. Anna Pawłowna Korba, wiek lat 32. nauczycielka a następnie siostra czerwonego krzyża w czasie wojny rossyjsko-tureckiej 1877—1878; na lat 20 ciężkiego więzienia.
2. Anna Jakimowa, lat 27, nauczycielka, na dożywotne ciężkie więzienie.
3. Praskowia Iwanowskaja, lat 30. nauczycielka, na dożywotne ciężkie więzienie.
4. Tatiana Lebediewa, lat 31, nauczycielka, na dożywotne ciężkie więzienie.
5. Nadiołda Śmirnickaja, lat 31. studentka wyższej szkoły żeńskiej, na 15 lat ciężkiego więzienia.
6. Antonina Lisowska, lat 26, studentka wyższej szkoły żeńskiej, 4 lata ciężkiego więzienia (zmarła na suchoty w katordze w Karze, w kilka tygodni po przybyciu).

M ęż c z y ź n i.

1. Mirski, lat 26, student, na dożywotne ciężkie więzienie (przesiedział lat 4 w kazamacie fortu Aleksijewskiego).
2. Wołoszenko, lat 31, student, na dożywotne ciężkie więzienie.
3. Nagorny, lat 25, student, na dożywotne ciężkie więzienie.
4. Pomin, lat 25, oficer, na dożywotne ciężkie więzienie.
5. Jewejow, lat 26, włościanin, na dożywotne ciężkie więzienie.
6. Złatopolski, lat 38, technik, 26 lat ciężkiego więzienia.
7. Prybyłow, lat 25, lekarz, 15 lat ciężkiego więzienia.
8. Kalużny, lat 26, student, 13 lat ciężkiego więzienia.
9. Orłow, lat 27, student, 13 lat ciężkiego więzienia.
10. Nowicki, lat 29, student, 12 lat ciężkiego więzienia.
11. Hekker, lat 19, 10 lat ciężkiego więzienia.
12. Stefanowicz, lat 30, student, 8 lat ciężkiego więzienia.
13. Liustik, lat 27, oficer, 4 lata ciężkiego więzienia. (Widziałem Liustika w więzieniu w Irkucku we wrześniu 1885 r., nie miałem jednak sposobności mówienia z nim).
14. Kuźminkin, lat 21, włościanin, 4 lata ciężkiego więzienia.
15. Emilianow.
16. Fridenson.

(Przyp. autora).

nogach, zanieśieni zostali przez służbę więzienną na tragach do wozów*). W »domu śledczym« zaczęto pielęgnować tych nieszczęśliwych ludzi, dawano im pożywną strawę, tak, że po upływie trzech miesięcy, wszyscy oni z wyjątkiem Emilianowa i Friedensona zaliczeni zostali do rekonwalescentów. Orłow i pani Lebediewa chorzy byli jeszcze na skorbut, inni zaś wyglądali jak własne cienie, jednakowoż urzędnicy uznali ich dość silnymi do odbycia męczącej, niezmiernie dalekiej podróży do katorgi w ziemi zabajkalskiej.

Odjazd do Syberii.

»Dopóki żyć będę« — mówił do mnie jeden wygnaniec maszerujący na Sybir z partą osądzonych przestępców politycznych — »nigdy nie zapomnę ostatniej nocy w domu śledczym, przed naszym odjazdem do Syberii. Była to noc z 24 na 25 czerwca 1883 r. Rozeszła się była pogłoska pomiędzy politycznymi więźniami, że nazajutrz raniem wyprawiają znaczny poczet do Syberii, nikt nie wiedział wszakże, którzy więźniowie zostaną wyprawieni w drogę, wszyscy też czuwali i oczekiwali. Nie zauważyłem żadnego nadzwyczajnego ruchu, aż dopiero koło północy otworzono drzwi celi sąsiedniej i wkrótce usłyszałem kroki mego drogiego przyjaciela i towarzysza. Przesiedział on długo w więzieniu i obaj nie widzieliśmy się z sobą od czasu opuszczenia szkolnej ławy; w młodocianych naszych latach, gdyśmy obaj używali jeszcze wolności i oddychali świeżym powietrzem, pracowaliśmy wspólnie nad urzeczywistnieniem naszych ideałów. — Teraz widocznie, przyjaciel mój wędruje na Sybir z gotującą się do wymarszu partą. W jaki kwadrans usły-

*) Dwunastu więźniów, których wyniesiono z fortecy na tragach, są kobiety: Jakimowa, Śmirnickaja i Korba; mężczyźni: Złatopolski, Liustik, Wołoszenko, Nagorny, Kalużny, Mirski, Hekker, Fridenson i Emilianow. (Przyp, autora).

»szalem go powracającego, ale krokiem mniej spiesznym
 »i pewnym, przy tem chodowi jego towarzyszył brzęk
 »kajdan obciążających mu nogi. Wiedziałem, rozumie
 »się, że inaczej być nie może, a mimo to dźwięk kaj-
 »dan przejął mnie oburzeniem i hańbą. Zdawało się tak
 »nienaturalnem i niewiarogodnem — że człowieka, któ-
 »rego kochałem jak rodzonego brata, który był dla mnie
 »uosobieniem dobra, odwagi i szlachetności, traktowano
 »jak prostego złoczyńcę i pędzono w kajdanach do ka-
 »torgi sybirskiej«.

»Przez jakiś czas chodziłem po mojej celi nie
 »mogąc opanować wzruszenia, wreszcie usłyszawszy
 »przechodzących pojedynczo pod drzwiami mojej celi,
 »okutych w kajdany więźniów, nie mogłem wytrzymać
 »dłużej, rzuciłem się na łóżko, okrywszy głowę pościelą,
 »ażeby uszy moje zabezpieczyć od przekłętego brzęku
 »kajdan«.

»Okolo godziny trzeciej zrana nadzorca odemknął
 »drzwi mojej celi i oznajmił: »chodź pan!« Poszedłem
 »z nim do kancelaryi więziennej, gdzie komendant
 »eskorty sprawdziwszy najdokładniej tożsamość mojej
 »osoby podług trzymanego w rękę rysopisu i fotografii,
 »zdjętej ze mnie wkrótce po uwięzieniu, odebrał mnie
 »od władz więziennych przy zachowaniu możliwych
 »formalności. Następnie poprowadzono mnie po scho-
 »dach do kordegardy, przy drzwiach której stał szyl-
 »dach. W obszernej lecz niskiej i posępnej izbie słabo
 »oświetlonej płomieniami kilku kopcających się lamp
 »i świec, siedziało przy dwóch niepokrytych stołach
 »dziesięć do piętnastu kobiet i mężczyzn w grubej, sza-
 »rej, aresztanckiej odzieży i pili herbatę. Mężczyźni mieli
 »głowy w połowie ogolone, wszyscy okuci na nogi,
 »a bure ich chałaty opatrzone były na grzbietach dwoma
 »czarnymi kwadratami — godłem katorżników. W po-
 »bliżu drzwi stało sześciu do ośmiu żandarmów i urzę-
 »dników tajnej policji, nie wypuszczali oni z pod oka
 »więźniów, porozumiewając się ze sobą szeptem, jak
 »gdyby pewni byli rezultatu swoich spostrzeżeń. Ciszę
 »panującą w izbie przerywało tylko syczenie samowaru

»lub brzęk kajdan, wydawany przy poruszaniu się któ-
 »rego z więźniów. Rozmowy nie prowadzono żadnej,
 »tak, że nieświadomemu tej sceny widzowi nie przy-
 »szłoby nigdy na myśl, że te szare postacie siedzące
 »przy sobie wśród głębokiego milczenia, są spokrewnieni
 »ze sobą lub też blizkimi przyjaciółmi, którzy spotkali
 »się tu po raz pierwszy po długich latach pobytu w for-
 »tecznych kazamatach«.

»Gdym wszedł do izby, jeden z więźniów, mój
 »dawny przyjaciel, którego w pierwszej chwili nie by-
 »łem w stanie rozpoznać, rzucił się w moje objęcia
 »i szepnął na ucho: »udawaj że nikogo nie znasz, żan-
 »darmi wszystko obserwują«. Zrozumiałem tę prze-
 »strogę. Policji była prawie nieznaną przeszłość i wza-
 »jemne stosunki niektórych obecnych tu więźniów, na-
 »leżało więc zachowywać się bardzo ostrożnie, ażeby
 »niebaczny słowem lub ruchem nie dać powodu do
 »utwierdzenia jej w domysłach względem podejrzanych
 »osób. Nierozważne wywnętrzanie uczuć pomiędzy wię-
 »źniami, spotykającymi się po długim niewidzeniu, mo-
 »głoby spowodować ponowne ich zamknięcie do forte-
 »cznej kazamaty i dać początek nowemu śledztwu. To
 »więc było powodem panującego w izbie milczenia
 »i pozornej obojętności więźniów. Na oko zdawali się
 »oni nieznanymi sobie, w rzeczywistości zaś łączyły ich
 »związki przyjaźni i wspomnienia przeszłości i z pra-
 »wdziwym heroizmem powstrzymywali się od objawów
 »wszelkich uczuć, wpatrując się w zmiany, jakie na
 »twarzach ich wyrzył czas i cierpienia. Po jednej stro-
 »nie stołu siedział mój dawny towarzysz, którego po
 »wieloletniem niewidzeniu miałem za umarłego. Po dru-
 »giej znowu, młody człowiek z swoją narzeczoną; nie
 »widzieli się oni od lat pięciu, lecz strzeżeni pilnie przez
 »żandarma nie chcąc zdradzić swej znajomości, obcho-
 »dzili uroczystą chwilę spotkania się, upartem milcze-
 »niem. Tuż przy nich siedziała jakaś około dwudzie-
 »stosiedmioletnia kobieta, trzymająca na rękach zbie-
 »dzone, w kazamatach fortecznych urodzone niemowlę
 »i wzrokiem zwróconym ku drzwiom, oczekiwała żądnie

»swego małżonka, który miał jej towarzyszyć w pochodzie na Sybir. Większość z nas wiedziała, że mąż tej nieszczęśliwej już nie żyje, wszelako nikt nie śmiał jej o tem powiedzieć«.

»Najdramatyczniejszą z pośród wielu scen, odbywających się w tej ponurej izbie, było wniesienie około godziny 5 zrana reszty chorych więźniów, wyprawianych do Syberyi. Rażąca, nienaturalna cisza w izbie, przepełnionej żyjącymi ludźmi, kontrast pomiędzy błyszczącymi mundurami żandarmów i grubymi, szarymi chałatami, okutych na nogi wężniów; ciche szepty tajnej policyi, milczenie i pozorne oniemienie blądych, wychudłych skazańców, dla obcego widza czyniły tę scenę niezwykle wpływową i wrażliwą. Dla tego wszakże, który nie wypuszczając z pod uwagi tragiczności położenia sięgał głębiej okiem i którego dusza wezbrała powodzią nienawiści, męki, współczucia i uznania dla tych szarych chałatów, scena ta nie tylko wydawała się efektowną, i wzruszającą, ale straszłą i rozdzierającą serce«.

»Okolo godziny piątej powieziono nas w zamkniętych wozach do stacyi kolei żelaznej Petersburgsko-Moskiewskiej, przesadzono do wagonu z okratowanemi oknami, gdzie rozpoczęliśmy długą, obfitą w różne przygody podróż do Syberyi. Przy całej mojej chęci i woli nie byłbym w stanie opisać tej pamiętnej sceny, gdy z wyruszeniem pociągu oswobodzeni z pod bacznego oka szpiegów, wolni od wszelkiej obawy, rzuciliśmy się w swe objęcia i zaczęli rozpowiadać sobie o wszystkim, przebytem w ciągu kilkuletniej naszej rozłąki. Rozmawialiśmy z sobą cały dzień i niezawodnie starczyłoby było materiału do rozmowy na całą noc, gdyby rozstrojone nerwy najslabszych z pomiędzy naszego towarzystwa pod wpływem wzbierających uczuć i wstrząśnień umysłowych nie zagrażały zupełnem starganiem. Więzień, przeniesiony nagle z samotnej kazamaty fortecznej do wagonu kolei żelaznej, podlega nie dającym opisać się wrażeniom; hałas, chyży bieg pociągu, widok swobodnej przyrody i twarze swych jakby z grobu

»powstałych towarzyszy, wszystko to wywołuje silne wstrząśnienie duszy, które jednak uspokaja sen. Wieczorem jeden z moich towarzyszy wpadł nagle w stan histeryczny, a w ciągu jakich dziesięciu minut na podłodze naszego wagonu tarzało się siedmiu ludzi już to nieprzytomnych, już dotkniętych napadem delirycznym. Jedni szalejąc krzyczeli, inni mdlejąc padali na drugich, a wielu znów leżało bezwładnie, nie wydając wcale oddechu ani też oznak życia, tak, że mieliśmy ich za umarłych. Zawezwano lekarza towarzyszącego pociągowi, który trzeźwił wodą nieprzytomnych chorych i czynił wszystko, co było w jego mocy, ażeby ich pobudzić do życia, ale mimo tego, przez noc całą rozchodziły się jęki i płacze histeryczne, obecne zaś kobiety, a w szczególności Anna Pawłowna Korba, posiadająca więcej siły woli i władzy panowania nad sobą niżeli niejeden mężczyzna, chodziła nieustannie z pomocą od jednego chorego do drugiego. — Po przybyciu naszym do Moskwy, władze zmuszone były kazać powynosić z wagonów połowę naszych chorych towarzyszy, dla powierzenia ich opiece lekarzy, wskutek czego nasza dalsza podróż została opóźnioną«.

Powyższy szkic opowiedziany mi ustnie, a następnie na moje żądanie opisany ze wszystkimi szczegółami, wyda się może wielu czytelnikom przesadzonym i sensacyjnym, muszę jednak zauważyć, że o przygotowaniach tego transportu wygnańczego opowiadali mi nie tylko polityczni, ale i oficerowie zarządu więziennego. Jeden z ostatnich, przyglądający się temu transportowi, w drodze pomiędzy Moskwą a granicą sybirską, opowiadał mi, że prawie wszyscy więźniowie cierpieli na epilepsyę; były to cienie istot ludzkich, które pod wpływem najmniejszego wstrząśnienia utracaly świadomość siebie. Niewątpliwie nie powiedziałby mi tego, gdyby zamiarem jego nie było mnie przekonać, że położenie politycznych w Syberyi a nawet w robotach katorżnych, niżej jest lepszem niżeli w fortecy i więzieniach centralnych w Rosyi europejskiej.

Sposoby poskramiania przestępców politycznych.

Żaden z rosyjskich urzędników nie mógł mi należycie wyjaśnić faktu, że politycznych więźniów wrzucają do tajemnych cel więzień centralnych i kazamat fortecznych, gdzie przetrzymawszy ich całemi latami w najsurowszem odosobieniu, wysyłają do Syberii wtedy dopiero, gdy skutkiem niedostatku, niemocy i samotności złamani zostają na ciele i duszy, podczas gdy morderców, rozbójników i zwykłych złoczyńców przeprowadzają bezwzględnie do więzień etapowych i wspólnie z innymi im podobnymi wyprawiają jak najspieszniej do Syberii. Pomiędzy wygnańcami w Syberii obiega pogłoska, że poprzedni dyrektor cesarskiej policji, którego nazwisko przemilczam, rozmyślnie organizując »oddział katorżny« miał na celu poskromić politycznych przestępców*. Czy to miało miejsce w rzeczywistości i czy istotnie dyrektor policji na tej drodze zamierzał dopiąć rzeczony cel, tego wiedzieć nie mogę; tak lub owak, słowa te zawsze wykazują dokładnie dążności okrutnego systemu karnego. Sprawozdanie rosyjskich zakładów dla umysłowo chorych a w szczególności z zakładu w Kazaniu, udowadniają najlepiej, jak wielka liczba politycznych przestępców została poskromiona.

Przywidzenia obłąkanych przestępców politycznych. — „Fikcyjne małżeństwo“. — Fotografia cesarzowej.

W miesiącu październiku 1880 r. przybył do miasteczka rosyjskiego Mcenska oddział politycznych więźniów, którzy osiedliawszy po lat cztery do pięciu w odosobnionych celach fortecy Piotro-Pawłowskiej i więzień centralnych, wysłani zostali obecnie do robót katorżnych w ziemi zabajkalskiej. W czasie mojej podróży w r. 1885, miałem szczęście poznania wielu z tych więźniów w różnych częściach Syberii a w ich liczbie pewnego, młodego dziennikarza X, osiedlonego w po-

bliżu Irkucka, który w czasie przybycia rzeczony transportu przestępców politycznych do miasta Mcenska, znajdował się w tamiecznym więzieniu. Położenie zawyrokowanych przestępców było istotnie opłakane. Dwaj z nich, Płotnikow i Doniecki, byli nieuleczalnie chorzy umysłowo, trzech do czterech histeryków i maniaków, zaś wszyscy wogóle tak wyczerpani z sił i wynędzniali, że musiano powstrzymać dalszą ekspedycję do Syberii, dopóki stan zdrowia więźniów nie polepszył się przez zasilanie ich posilniejszą strawą. »Nie można było pa-
 »trzeć — wyraził się pan X. opowiadając mi o przy-
 »byciu tego transportu — bez wzbudzenia w sobie naj-
 »głębszego współczucia dla niektórych z tych ludzi, do-
 »prowadzonych cierpieniem i samotnością do zupełnego
 »rozstroju umysłowego. Doniecki przed swem uwięzieniem zawarł był »fikcyjny związek małżeński« z pewną
 »młodą dziewczyną z prowincyi, w celu wyzwolenia jej
 »z tyrańskiej opieki domowej i nastęrczenia jej zara-
 »zem sposobności do kształcenia się w Petersburgu*)

»Od chwili wzięcia z nią ślubu w cerkwi nigdy jej
 «już nie oglądał; gdy jednak w więzieniu centralnem
 »w Charkowie zaczął podlegać zboczeniu umysłowemu,
 »myślał wciąż o niej, nie rozłączając się z nadzieją, że
 »ona go odszuka, jeśli rząd nie będzie się temu sprze-
 »ciwiał. W więzieniu doszła przypadkowo ręk jego foto-
 »grafia carowej, z czasów gdy jeszcze była wielką księ-
 »żną Dagmarą. Nieszczęśliwemu więźniowi, przywidziało
 »się, że to jest wizerunek jego fikcyjnej małżonki i ca-

*) W owym czasie, gdy młodzież rosyjska pod wpływem wysokiego nastroju moralnego zaczęła wywoływać ruch ludowy, (pomiędzy r. 1870 i 1875), zdarzało się często, że młodzi ludzie dla wyzwolenia dziewcząt z pod tyranii domowej, zawierali z niemi tak zwane małżeństwo fikcyjne. Ceremonia ze względu na wymogi prawne nie była fikcyjną — przeciwnie, małżeństwa zawierane były z zachowaniem wszelkich formalności — lecz osoby związane związkiem małżeńskim nie żyły z sobą i daleko były od zamiaru wspólnego pożycia. Młody człowiek zrzekał się dobrowolnie swego przyszłego pożycia rodzinnego w celu wyzwolenia młodej dziewczyny z pod despotyzmu domowego i nastęrczenia jej sposobności zdobywania sobie pracą jakiego stanowiska, na

»temi godzinami wpatrywał się w nią z największą »czułością i uwielbieniem. Przebywając w więzieniu »w Mcensku wspólnie ze swymi towarzyszami w jednej »wielkiej celi, pokazywał on im wciąż ową zawalaną »i sponiewieraną fotografię carowej, dodając z dzieciinną »dumą: »to moja żona, czy nie jest piękną?« — Następnie mówił żalonym głosem: »prosiłem już nieraz »aby po nią posłano, jestem prawie zupełnie przekonany, że ona przybędzie do mnie — ale nie chcą, nie »chcą tego uczynić«.

»Możeż być coś więcej wzruszającego i rzewniejszego — dodał pan X — jak widok politycznego »przestępcy, zakutego w kajdany, i noszącego się z fotografią carowej, jako z najcenniejszym swym skarbem, »widok rewolucjonisty, doprowadzonego tyrańskim »obchodzeniem się z nim rządu do stanu obłąkania i tęskniącego za małżonką cara?«

Przestępca polityczny Płotnikow w stanie obłąd.

Jeszcze godniejszym politowania niż Doniecki, był w tym transporcie inny więzień polityczny, Płotnikow, który także dostał pomieszania zmysłów w więzieniu

którem mogłaby z korzyścią pracować dla ludu wiejskiego. Po między r. 1870 i 1875 zawierano w różnych częściach Rosyi całe setki podobnego rodzaju małżeństw, a w wielu razach młodzi ludzie pobrawszy się z dziewczętami nie widywali się nigdy z sobą, otrzymując tylko wiadomości o sobie przez swych przyjaciół. Zdawało się niejednokrotnie, że młode stadło złączone z sobą związkiem fikcyjnym, po upływie lat kilku od czasu małżeństwa nominalnego spotykało się z sobą w więzieniu lub na wygnaniu: przeważnie jednak pole ich działalności leżało poza obrębem osobistych stosunków, tak, że w ciągu całego życia pozostawali dla siebie zupełnie obcy. Cel tych małżeństw fikcyjnych był czysto szlachetny, ale sam sposób podążania do tego celu nadzwyczaj awanturniczy i niepraktyczny. W czasie choroby umysłowej Donieckiego w więzieniu centralnem w Charkowie, fikcyjna jego małżonka więziona była w Moskwie jako oskarżona o przestępstwo polityczne.

(Przyp. autora.)

centralnem w Charkowie. Aresztowano go w dwudziestym roku życia jako studenta uniwersytetu moskiewskiego. Był to młodzieniec bardzo sympatyczny, szlachetny i głęboko myślący. Odebrał wychowanie bardzo staranne i posiadał znajomość wielu języków, mówił płynnie po niemiecku, francusku i angielsku, nie brał żadnego czynnego udziału w działalności rewolucyjnej, lecz był członkiem stowarzyszenia młodych ludzi w Moskwie, zwanego od założyciela swego »kółkiem Dołgoszyńskiego«. Uwięziono go, osądzono do ciężkich robót i wykreślono na zawsze z listy żyjących.

»Gdyśmy przybyli do Mceńska« — opowiadał mi »świadek wiarogodny — był to już człowiek złamany, »chory na umyśle, wynędzniały, wieku lat 28, z których »ośm spędził samotnie w celi więziennej. Od jak dawna »dostał on pomieszania zmysłów, tego nie wiem, ale »widocznie należy do nieuleczalnych, gdyż choroba jego »umysłowa wzięła kierunek religijny i całemi »godzinami pogrążony był w głębokich rozmyślaniach. Posiadał on jeszcze na tyle samowiedzy, że uznawał się »przestępcą politycznym, ale to zdawało się go dręczyć »i upokarzać, tak, że nie mógł ścierpieć gdy mu o tem »przypominano. Wstydział się swych kajdan i starał się »je ukrywać. W czasie pierwszego naszego spotkania »poobwijał gałganami wszystkie ogniwa łańcuchów »kajdan, obciążających mu nogi, ażeby zapobiedz ich »brzęczeniu podczas poruszania się i nie zwracać na »nie niczyjej uwagi, gdyż poczytywał sobie to za hańbę. »Zbierał starannie różne szmaty ze starej odzieży »i onuce i pozszywawszy to wszystko, zrobił z tego »materiału surdut takiej długości, ażeby zakrywał okowy. »Włosy jego na jednej połowie głowy były tak długie, »że sięgały ramienia, zaś na drugiej, ogolone, co przy »grubej aresztanckiej koszuli i owym długim surducie, »pozszywanym z łachmanów, przedstawiało tak nie- »zwykle zjawisko, jakiego nie zdarzyło mi się dotąd »widzieć«.

W ciągu całego czasu przetrzymywania Płotnikowa w fortecy i w więzieniu centralnem w Charkowie,

matka jego zupełnie go nie oglądała ani też nie mogła żadną drogą uzyskać o swym synie jakiegokolwiek bądź wiadomości; dowiedziawszy się jednak, że w pochodzie na Syberję zatrzymany został czasowo w więzieniu w Mceńsku, wyprosiła u ministra spraw wewnętrznych pozwolenie odwiedzenia go. Gdyby ministrowi wiadomy był stan zdrowia Płotnikowa, to niezawodnie prośba jego matki nie zostałaby uwzględniona; niepodobieństwem jest wszakże, ażeby wysoki urzędnik państwowy mógł mieć w pamięci nazwiska wszystkich przestępców politycznych, którzy w więzieniu ulegli chorobom umysłowym.

Skoro pani Płotnikowowa przybywszy do Mceńska natarczywie nalegała na rządcę więzienia by jej pozwolił zobaczyć się z synem, dobroduszny ten człowiek chcąc jej oszczędzić zmartwienia, powstrzymywał ją od tego kroku, tłumacząc że syn jej wkrótce wyrusza z partją na wygnanie do Syberyi, i że długotrwałe więzienie zniszczyło i złamało mu zdrowie, lepiejby też było ażeby zachowując w pamięci wspomnienie o swym synie z lat jego dziecięcych lub też z czasu ostatniego się z nim widzenia, zaoszczędziła sobie goryczy i zmartwienia, jakimi ją nabawi niezawodnie obecne spotkanie się z chorym więźniem. Matka wszakże nie dała się do tego nakłonić; otrzymała od ministra pozwolenie zobaczyć swe dziecko, więc chce koniecznie je widzieć. Wtedy rządca więzienia zaczął jej przedstawiać, że od czasu ostatniego widzenia się z synem zaszły w nim wielkie zmiany, i że jest złamany zarówno na ciele, jak na duchu; matka jednakowoż wierzyć temu nie chciała. Rządca więzienia widząc, że wszystkie jego przedstawienia i perswazye na nic się nie zdadzą, poprowadził panią Płotnikow do sali odwiedzalnej więziennej, gdzie syn jej siedział zajęty czytaniem biblij. Zrazu osłupiała z wzruszenia i przerażenia. Oczom jej przedstawiła się dzika postać jakiegoś człowieka z wychudłą, poźółkłą twarzą z półwygoloną głową, w grubej szarej koszuli aresztanckiej i długim, zszytym z łachmanów szlafroku; postać ta nie miała żadnego podobieństwa do jej mło-

dego dzielnego syna, którego po raz ostatni widziała przed ośmiu laty. Po dłuższem, badawczem wpatrywaniu się, macierzyński instynkt dopatrzył się w tej postaci własnego syna. Krzyknęła przeraźliwie i pochwyciła go w swoje ramiona. Zakłopotany i przestraszony więzień usiłował się wycofać z objęć matki, która spojrzawszy mu w oczy, zmiarkowała szybko, że ma przed sobą tylko ciało syna swego, którego umysł uległ obłąkaniu. Ten straszny cios był ponad jej siły; obezwładniała zupełnie i w tym stanie wyniesiono ją z pokoju. Płotnikow zmarł w Kazaniu w domu obłąkanych, dokąd go odtransportowano z Mceńska.

Przytoczone tu fakta zawdzięczam przestępcom politycznym, przetrzymywanym razem z Płotnikowem w więzieniu centralnem w Charkowie, częścią zaś wygnañcom, znajdującym się w Mceńsku w czasie odwiedzin matki Płotnikowa. Wszyscy moi sprawozdawcy są na Syberyi a większość z nich w ziemi zabajkalskiej.

Czy sprawozdania wygnañców o życiu więziennem są przesadzone?

Zdaje się może czytelnikowi, że sprawozdania wygnañców politycznych o życiu więziennem są nawodzone nader czarnemi barwami, że w samej naturze rzeczy leży, że człowiek przechodzący sam tego rodzaju próby, nie może patrzeć na nie okiem bezstronnego widza, a tem samem oddawać je bez przesady. Rozumiem i pojmuję to oględne a nawet sceptyczne odnoszenie się do podobnych faktów; oddając wszakże sprawiedliwość dawniejszym więźniom, z którymi zawiązałem stosunki znajomości w Syberyi, powiedzieć muszę, że z całą niechęcią wspominali o tych strasznych miesiącach i latach, i jeżeli mi się udało upartem naleganiem wydobyć od nich bliższe objaśnienia, dotyczące ciemnych stron ich życia, to działało się to kosztem obrażonych uczuć, co było zarówno bolesnem dla mnie, jak dla opowiadają-

cych. Pewien rosyjski pisarz, znany dobrze z nazwiska w zachodniej Europie, a obecnie żyjący na wygnaniu w wschodniej Syberii, zaczął pewnej nocy opowiadać mi o śmierci serdecznego swego towarzysza, oficera rosyjskiego, zmarłego w kazamacie fortecznej. Zanim skończył swoje opowiadanie, oczy moje tonęły we łzach. on zaś sam biegał po pokoju z zaciśniętymi pięściami, usiłując panować nad sobą i powstrzymać swój potęgujący się głos, podczas gdy z piersi jego wyrwały się konwulsyjne jęki. Doprowadził on swoje opowiadanie do końca, lecz w ciągu tej nocy nie chciał więcej wspominać o fortecy. Ktokolwiek słyszałby to opowiadanie, ten z pewnością nie posądziłby go o przesadę. Opowiadania zmyślonych wypadków nie byłyby w stanie obudzić w ludziach tak głębokich wzruszeń.

Jeżeli Jego Wysoka Mość Car rosyjski, spotkawszy się kiedykolwiek z temi kartkami, zechciałby kazać przywołać do siebie oficera, pełniącego w r. 1880 obowiązki rządy więzienia centralnego w Charkowie, tudzież lekarza służbowego fortecy Piotro - Pawłowskiej z r. 1883, i spytał osobiście tych oficerów, a w danym razie ich podwładnych o cielesny i duchowy stan skazańców politycznych, deportowanych w wspomnianych latach do Syberii, wtedy być może wyjaśniłyby mu się przyczyny, dla których w czasie swojego przejazdu z Petersburga do Moskwy linię kolei żelaznej strzeże wał żywy, złożony z dwudziestu tysięcy żołnierzy.

Dom śledczy.

Jednym z godniejszych uwagi więzień dla przestępców politycznych w Rosyi europejskiej, które pozwolono mi było zwiedzić, jest dom śledczy. Nie jest to właściwie więzienie polityczne, ponieważ większość przetrzymywanych w niem osób są zwykłymi przestępcami, lecz czasowo bywało tu więzionymi do trzystu osób, podejrzanych politycznie, oczekujących wyroków sądowych lub też wygnania na Sybir. Jest to w swoim

rodzaju najwytworniejsze więzienie w całym carstwie rosyjskiem, które ksiądz Henry Lansdell przywodzi jako dowód, co Rossya w tym zakresie »jest wstanie dokończyć«. Więzienie to zbudowane zostało pomiędzy r. 1873 i 1875, pod kierunkiem specjalnej komisji, wyznaczonej przez ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, podług planu rzeczywistego radcy stanu Majewskiego. Budynek ten kosztował 800.000 r. s., zawiera wszelkiego rodzaju najnowsze ulepszenia, jakoto kaloryfery i wentylację, i został uznany wzorem wszelkich wymagań nowoczesnej architektury. Ze względu jednak na fakt, że przed wykończeniem budynku wytoczono proces architektowi o niekompetencyę, należy wnosić, że wkrótce wyjdą na jaw wadliwe strony tego budynku więziennego. O ile odpowiadał on swojemu celowi, okazuje się najwidoczniej z tego, że pomiędzy rokiem 1875 i 1880 trzy komisye więzienne uznały go do niczego*).

Latem 1886 r. opatrzony pozwoleniem przez pana Gaukin - Wrasskoja, głównego naczelnika wszystkich więzień w carstwie rosyjskiem, podszedłem pod bramę domu śledczego i wysławszy mój bilet rekomendacyjny do rządy więzienia, zostałem natychmiast wpuszczony do wnętrza. Więzienie to stoi w środku miasta na końcu prospektu litewskiego, tuż za gmachem sądowym. Jest to wielki, czworokątny, dość pompatyczny budynek z wielkimi łukowemi oknami, który w oczach Amerykanina, nieobebranego z jego przeznaczeniem, uchodzić mógłby raczej za ratusz miejski lub też dom opery, niżeli za więzienie. Ale ta okazała powierzchowność jest tylko złudną maską, osłaniającą cel i właściwy charakter budynku. Zewnątrz zdaje on się tylko trzypiętrowym, jednakowoż patrząc z podwórza okazuje się, że wysokie, łukowe okna są tylko na zewnątrz, zaś budynek ma pięć pięter i wszystkie cele wychodzą na podwórze. Zapomniałem się spytać do czego właściwie służą owe wielkie okna frontowe;

*) »Więzienie i wygnanie« W. H. Nikitina (jednego z dyrektorów komisji więziennej w Petersburgu) str. 519. Petersburg 1880. (Przyp. autora).

nie oświetlają one żadnej celi i zarówno jak wszystkie inne wewnętrzne, nie dopuszczają najmniejszego błysku ze świata zewnętrznego; wspiąwszy się dopiero na umywalnię, więzień widzi dziedziniec i nic więcej.

Więzienie zawiera w sobie 317 cel pojedynczych i 68 »kamer«, czyli cel, mieszczących więcej nad jedną osobę, ogółem zaś może pomieścić w sobie 700 więźniów. Cele oddzielne czyli separatki są jednych i tychże samych rozmiarów, długość ich wynosi około 12 stóp, szerokość 7 stóp a wysokość $7\frac{1}{2}$ stóp; ściany cel są tynkowane i bielone, zaś posadzka cementowa. Sprzęty, znajdujące się w celach są: lampa gazowa, umywalnia, stale przytwierdzona do ściany, żelazne łóżko składane, przymocowane stale, dwie żelazne płyty, składane na zawiasach, służące jako stół i krzesło, wreszcie w węgle celi przy oknie mieści się waterklozet z pokrywą, wodnem splukiwaniem i rurą, odprowadzającą zły odór. Nie widząc potrzeby wdawania się w szczegółowy opis rzeczonoego więzienia, poprzestanę na tej tylko o niem wzmiance, jakiej wymagają objaśnienia pewnych wydarzeń, których ono było widownią. Cele i korytarze po których mnie prowadzono, utrzymywane były nadzwyczaj czysto; wyższopiętrowe zdawały się wśród pogodnego, letniego dnia dostatecznie widne, dolne jednak były wilgotne, ponure i nienależycie wietrzone. Ponieważ podwórze, na które wychodzą wszystkie okna cel, przedstawia szczelnie zamknięty czworościan, nie dopuszczający nigdy do wnętrza prądów wiatrowych, przeto mimo sztucznej wentylacji powietrze wewnątrz budynku jest zstałe. Stan zdrowotności więzienia, podług raportów szpitalowych jest bardzo niezadawalniająca. Już w samych początkach urzędzenia więzienia zachorowało wśród roku ¹⁾

¹⁾ W domu śleńczym znajdowało się:

	mężczyzn:	kobiet:
w roku 1876	1502	173
.. 1877	1148	149
.. 1878	1195	138
	3845	460
	ogółem 4305	

do 20 procent ogółu mieszkańców, zaś w r. 1884 okazało się 116 przypadków anemii i szkorbutu ²⁾. Obchodzenie się z więźniami w domu śleńczym jest łagodne i wyrozumiałe. Dozwolono im jest chodzić w własnej swej odzieży, widywać się z krewnymi, otrzymywać książki tudzież garderobę i zakupywać za pieniądze złożone u rządcy więzienia, żądane wiktuały.

Różnica pomiędzy zamknięciem w podobnym więzieniu i w kazamatach fortecznych, jest bardzo wielka.

»Kiedy mnie przeniesiono z bastyonu Trubeckiego do domu śleńczego — mówił do mnie dr. Sokółow w Syberyi — zdawało mi się że znalazłem się naraz w hotelu jakiegoś miejsca kąpielowego. Odgłosy kroków ludzkich, szum wentylatorów, dość widne stosunkowo i dobrze wietrzone cele; gołębie, podlatujące pod okna; słaby turkot wozów, dochodzący z ulicy, wszystko to oznajmiało, że się jest blizkim życia światowego; czułem się też bardzo zadowolonym i niezwykle uradowanym. W klasztorze ³⁾ nie widziałem nigdy żadnego człowieka prócz straży więziennej i nie dochodził mych uszów żaden inny odgłos, prócz lekkiego stukania w sąsiedniej celi.

W domu śleńczym natomiast, dochodził mnie zewsząd gwar i wciąż mogłem się porozumiewać z różnemi osobami. Już w pierwszym dniu mego przybycia mieszkaniec dolnej celi stukaniem w rurę kaloryferową oznajmił mi »spłócz pan swoją miednicę!« — Spojrzałem w miednicę lecz była próżną. W kilka chwil otrzy-

Z tej liczby było chorych:

	mężczyzn:	kobiet:
w roku 1876	146	33
.. 1877	287	45
.. 1878	296	40
	729	118
	ogółem 847	

²⁾ Sprawozdanie centralnego zarządu więziennego za rok 1884, str. 234.

³⁾ Fortecę Piotro-Pawłowską więźniowie przezwali klasztorzem.

małem ponowne zlecenie »splócz pan miskę klozetową!« Domyśliłem się teraz, że ktoś chce z mną rozmówić się przez łączącą nasze cele rurę klozetową. Udało mi się z pewnym trudem otworzyć pokrywę, przez którą usłyszałem ludzkie głosy i w ten sposób mogłem rozmawiać z mieszkańcami dwunastu cel«.

„Klub rurowy“ więźni politycznych.

Niech sobie czytelnik przedstawi sześć liter y w ten sposób po sobie następujących, ażeby ogonek każdego z nich zwrócony był ku widełkom, jakie tworzy część górna a będzie miał ogólne pojęcie o urządzeniu rur klozetowych w domu śledczym. Ramiona y każdego piętra łączą się z miskami klozetowymi dwóch przylegających do siebie cel, podczas gdy trzon tworzy część wielkiej rury pionowej, idącej od samego dachu aż do podłogi. Jeżeli więc mieszkańcy cel zamierzają prowadzić między sobą rozmowę, to nie pozostaje im nic więcej jak otworzyć klapy wodne. Więźniowie polityczni w domu śledczym w pierwszej już chwili wy-miarkowali, że przy pomocy tych rur można się z sobą porozumiewać, a gdy ilość tych więźniów wzrosła do tego stopnia, że i dziesiątej ich części nie można było pomieścić w ciemnicach, władze więzienne uczuły się bezsilnymi w zbranianiu im podobnego rodzaju komunikacji. Od roku 1876 zaniechano wszelkich prób w tym względzie, z czego korzystając polityczni więźniowie, założyli tak zwane »kluby rurowe« w celu wzajemnego porozumiewania się i nauczania. W skład każdego klubu wchoziło dziesięć do dwunastu członków, i każdy z nich, miał swoją właściwą nazwę i reguły. Zapytując często w Syberyi którego wygnańca politycznego, czy znajomy jest z tym lub z owym z swych współtowarzyszy, otrzymałem odpowiedź: »O tak! nie widziałem go nigdy, ale znam go dobrze, był on członkiem mojego klubu rurowego w domu śledczym«. Przy pomocy tych rur, wykształceni więźniowie polityczni

wykładali swym towarzyszom nauki ściśle i nauczali ich języków zagranicznych. Panna Miedwiedcow, obecnie żona rosyjskiego pisarza Machteta, odczytała przez rurę członkom swego klubu całą nowelkę Turgeniewa »Panińska posadzka«. Polityczni nie poprzestawali jednak na rozmawianiu się przez rury, lecz użyli ich do przesyłki pakietów. Mieszkaniec celi górnego piętra skręcał sobie sznur z prześcieradła, przywiązywał go do dobrze zawiniętego pakietu i wepchnąwszy do rury głównej, spuszczał w dół. Więzień, zamieszkujący dolną celę, dla którego przeznaczona była ta przesyłka, nie mogąc jej dosięgnąć ręką, skręcał drugi tego rodzaju sznur i przytwierdziwszy do końca jego ciężarek, wrzucał do rury głównej i obadwaj więźniowie manipulowali w ten sposób sznurami, dopóki te nie splątały się wzajemnie, a wtedy więzień dolnej celi przyciągał sobie pakiet przez ramię rury do miski klozetowej. W ten sposób przy pomocy obciążonych sznurów, które poruszały się pomiędzy oknami klubów jak wahadła zegarowe, ułatwiano sobie różne przesyłki.

Obchód stuletniej rocznicy 4. czerwca w więzieniu.

Więźniowie polityczni, których liczba latem 1876 w domu śledczym przewyższała trzystu, postanowili obchodzić w więzieniu stuletnią rocznicę powstania republiki amerykańskiej. Już na kilka tygodni przedtem rozpoczęto przygotowania do tej uroczystości, w którym to celu zamówiono przez krewnych i przyjaciół mnóstwo chustek czerwonych i niebieskich, tudzież krawatów, koszul i czerwonych, flanelowych kalesonów; ci zaś więźniowie, którym dozwolono było palić w celach świece, postarali się o znaczniejszy ich zapas. Różnobarwną odzież pocięto w pasy, świece pokrajano na kawałki, nagromadzone te materiały przy pomocy rur klozetowych porozdzielano pomiędzy wszystkich więźniów. Kobiety, zajmujące się szyciem, którym dozwolono było

mieć w celach nici, igły i nożyce, wzięły się do zszywania chorągwi, i jeszcze przed pierwszym czerwca każdy z politycznych miał u siebie albo chorągiew, albo też białe i niebieskie oznaki i kilka kawałków świec.

Latem w Petersburgu dzień się zaczyna nader wczesnie, tak, że dnia 4. czerwca rankiem, na długo jeszcze zanim armaty w Filadelfii o północy oznajmiły wystrzałami o święcie narodowym, w okratowanych oknach więzienia petersburskiego powiewało mnóstwo chorągwi naokół całego dziedzińca, a członkowie klubów więziennych witali pamiętny dzień okrzykami hurra! śpiewali patryotyczne pieśni i przez rury klozetowe posyłałi sobie życzenia szczęścia. Święto — rozumie się — minęło szybko pod okiem straży więziennej, która aczkolwiek nie pojmując znaczenia tej demonstracyi, szła na wyścigi w zabieraniu chorągwi i trójbarwnych godeł. Niektórzy jednak więźniowie, posiadający zapasy różnobarwnych materiałów, nie przestawali przystrajać żelaznych krat trójkolorowemi chorągiewkami, późnym zaś wieczorem w umówionej godzinie więźniowie pozapalali w oknach kawałki świec, którą to iluminacyą ukończyła się uroczystość świąteczna.

Wystąpienie to, wzwyż trzystu więźniów politycznych rossyjskich, w celu uczczenia rocznicy święta ludowego, — wywarło na mnie smutne i zarazem rozrzewniające wrażenie. W porównaniu z wspaniałemi chorągwiemi, fajerwerkami, muzyką wojskową i całym przepychem, z jakim odbywała się ta uroczystość w Filadelfii, cóż mogły znaczyć te improwizowane chorągiewki i godła, pozawieszane na żelaznych kratach, jako też kawałki świec kopcające się w nocy wśród ciszy więziennej. Patrząc jednak z wyższego stanowiska, to ta uroczystość stuletniej rocznicy wyzwolenia, odprawiana w więzieniu rossyjskiem, w głównej stolicy państwa, świadczyła zarówno wymownie o sympatyi i poczuciu obywatelskiem tych młodych ludzi dla sprawy wolności, jak wspaniała obchód owego ważnego wypadku w Filadelfii. Czyny człowieka powinny być sądzone nie tylko podług okazałości zewnętrznej, ale wedle szczerości

manifestujących się uczuć. Marya Magdalena w bardzo prosty a nawet trywialny sposób okazała wyraz swej miłości i uszanowania dla swego mistrza i pana, smarując mu nogi maścią, a jednak Chrystus rzekł: »uczyniła, co uczynić mogła«. Rossyjscy rewolucyoniści dając wyraz swego głębokiego uznania i współczucia dla święta wolności, wywieszeniem w zakratowanych oknach skromnych chorągiewek i oświetleniem ich kawałeczkami zaoszczędzonych świec, uczynili wszystko, co tylko mogli, uczynić. I jakążo los im gotował przyszłość? Przed jednymi stały otworem grobowe kazamaty fortecy Piotro-Pawłowskiej, gdzie traci się rachubę czasu; innych oczekiwała nurząca, pełna udręczeń droga do Syberyi, nad niektórymi zaś widmo śmierci rozpościerało swe ponure skrzydła; mimo jednak odosobnienia, nędzy i przeszkód, uświęcali oni w więzieniu rocznicę stuletnią święta wyzwolenia. Dali oni, o ile tylko było w ich mocy, dowód poświęcenia dla sprawy wolności i współczucia dla narodu, miłującego swobodę, manifestując swój szlachetny zapał trójbarwnemi szmatkami i ogryzkami płonących świec, któryto czyn donioślejsze ma znaczenie historyczne, niżeli odbyta z całym przepychem ceremonia carskiej koronacyi.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Kilka słów tłumacza	III
Przedmowa autora	IX
Najnowsza tragedia sybirska	13
Podróż zimowa przez Syberyę	24
Ostatnie dni moje w Syberyi	52
Wielki Lama w ziemi Zabajkalskiej	79
Cenzura rossyjska	108

D O D A T E K.

1. Życie więzienne rossyjskich rewolucjonistów	125
2. Więzienia gubernialne rossyjskie	158
Więzienie rossyjskie i sposób życia więziennego	163
Próby reformacyjne	167
Cierpienia więźniów politycznych	171
Sposoby porozumiewania się	175
Alfabet stukający	176
Szachownica liczbowa	178
Rozliczne zastosowania pisma liczbowego	179
3. Więzienia polityczne rossyjskie	183
Forteca Piotro-Pawłowska	183
Bastyon Trubeckiego	184
Pierwsza noc w fortecy	187
Życie w celi więziennej	191
Straż i dozór nad więźniami	194

	str.
Odwiedziny krewnych	196
Przywileje i spędzanie czasu. — Sztuczna czkawka . . .	197
Podtrzymywanie komunikacji między więźniami	199
Gałki z chleba z wiadomościami szyfrowanemi	201
Skrzydlaty posłaniec	204
4. Rosyjscy więźniowie stanu	206
Dalsze szczegóły o więzieniach i życiu więziennem . . .	206
Dola osądzonych	209
Pozbawienie wszystkich praw stanu	210
Życie w tak zwanym oddziale katorżnym	211
Czy więźniowie polityczni są karani cielesnie i torturowani	214
Skutki samotności więzienia fortecznego	216
Odjazd do Syberyi	219
Sposoby poskramiania przestępców politycznych	224
Przywidzenia obłąkanych przestępców politycznych. —	
»Fikcyjne małżeństwa«. — Fotografia cesarzowej . . .	224
Przestępca polityczny Plotnikow w stanie obłądu . . .	226
Czy sprawozdania wygnańców o życiu więziennem są	
przesadzone	229
Dom śledczy	230
»Klub rurowy« więźni politycznych	234
Obchód stuletniej rocznicy w więzieniu	235

52.177

X

229/1

15.4.59

180,000

50076441/3

